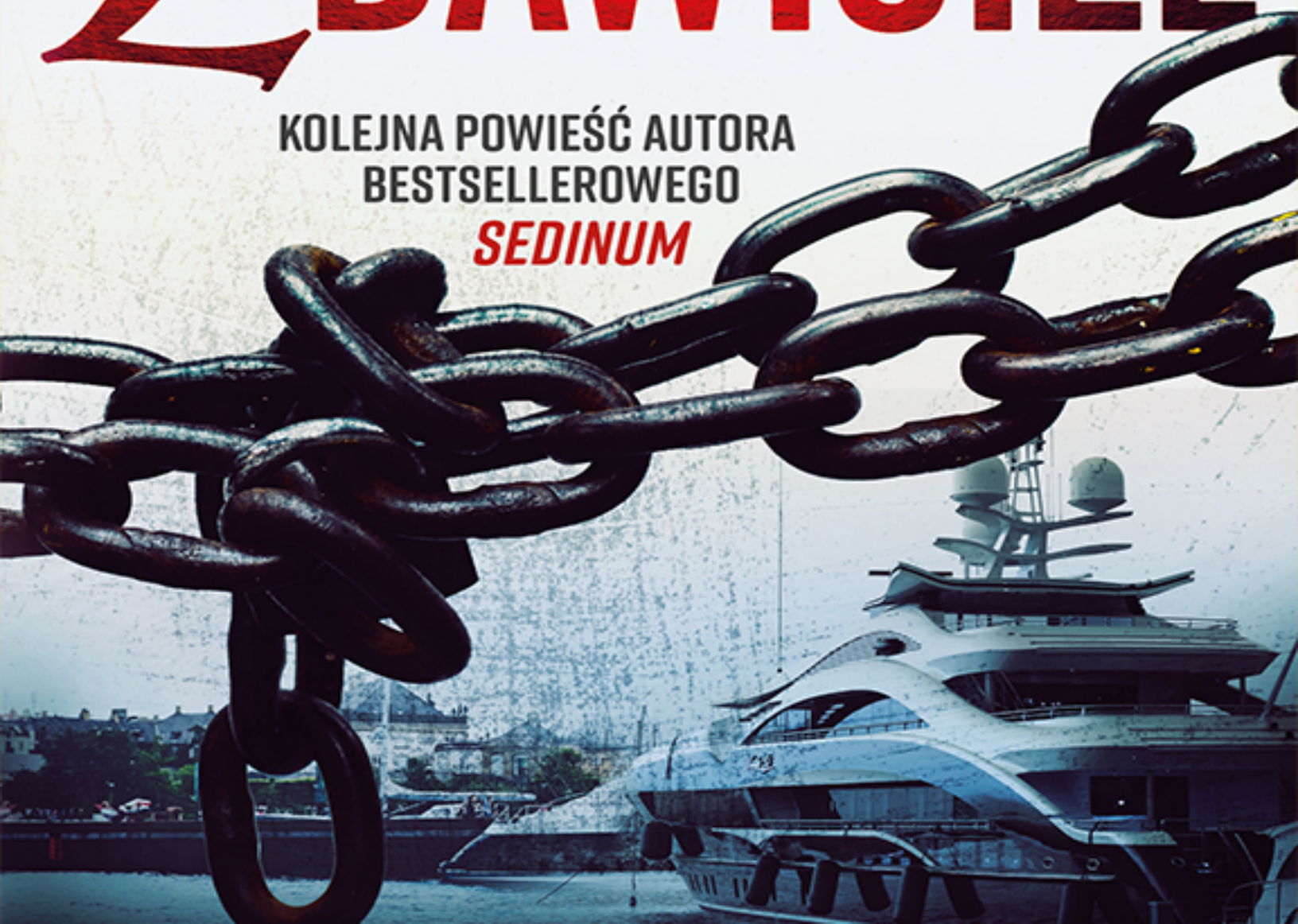




LESZEK  
HERMAN

# ZBAWICIEL

KOLEJNA POWIEŚĆ AUTORA  
BESTSELLEROWEGO  
*SEDINUM*



LESZEK  
HERMAN  
**ZBAWICIEL**



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*  
Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*  
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*  
Redakcja techniczna: *Robert Fritzkowski*  
Korekta: *Lilianna Mieszczkańska*

Wydawnictwo dziękuje Głównemu Urzędowi Geodezji i Kartografii za możliwość skorzystania z zasobów Geoportalu, z których pochodzi fragment mapy użyty na stronie 449

<https://www.geoportal.gov.pl>

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Eugene Chystiakov/Unsplash

© by Leszek Herman

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora.  
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-1442-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

Nawet twarda skorupa góry mięknie, gdy ją podmyje woda, co  
dopiero słabe serca ludzkie, gdy poddadzą się podszeptom  
siejącym niezgodę.  
prysłowie hinduskie

# Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Epilog

Podziękowania



# Prolog

WTEDY...

*Lotnisko wojskowe Faldingworth, hrabstwo Lincolnshire,  
16 sierpnia 1944 roku  
godz. 18.00*

**W**ieczór tego dnia był wyjątkowo upalny. Jakby na przekór panującej w północnej Anglii aurze, na ciemniejącym przed zmierzchem niebie nie było ani jednej chmury. Lazurowy błękit przechodził na zachodzie w kobalt, wylewając się za horyzont, zza którego już za kilkanaście minut miały rozbłysnąć pierwsze żółte i czerwone refleksy.

Do zachodu słońca zostały niecałe dwie godziny i wszyscy mieszkańcy Lincolnshire szykowali się powoli do snu, ale na pasach startowych ciągnących się wzdłuż pożółkłych pól widać było nerwowe przygotowania.

Z wielkich blaszanych hangarów biegały w tę i we w tę grupy mechaników, pomiędzy dziesiątkami stojących na pasach samolotów uwijały się ekipy pomocników, ciągnięto wózki wypełnione sprzętem i wyposażeniem, a odziane w granatowe mundury załogi szykowały się, by wejść do maszyn.

W słońcu połyskiwało kilkadziesiąt bombowców Avro Lancaster, każdy wyposażony w cztery potężne silniki Rolls-Royce Merlin. Tylko czekały, żeby wzbić się w powietrze.

W Faldingworth stoi, odbudowany z ruiny na początku dziewiętnastego wieku, anglikański kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych, a przy głównej ulicy mieści się stary pub o nazwie Coach & Horses, w którym w czasach drugiej wojny światowej wiele długich wieczorów spędzali piloci i obsługa pobliskiego lotniska.

Złoty okres dla pubu zaczął się pod koniec lata 1943 roku, gdy władze Królewskich Sił Lotniczych zdecydowały się założyć tutaj bazę bombowców i lotnisko wspomagające dla większych wojskowych portów w Lindholme i Ludford Magna. Od 1944 roku było to miejsce stacjonowania polskiego Dywizjonu 300 imienia Ziemi Mazowieckiej, dla którego uczczenia na końcu jednego z pasów startowych stoi do dzisiaj pamiątkowy monument.

Po wojnie to lotnisko, ze względu na swoje położenie na zapomnianej przez Boga i ludzi prowincji, stało się ustronną bazą składową, w której magazynowano broń nuklearną dla sił powietrznych i okrętów podwodnych.

Lotnisko zamknięto ostatecznie w 1972 roku, a przylegające tereny sprzedano na cele magazynowe i przemysłowe.

Jednak w ten ciepły sierpniowy wieczór 1944 roku jeszcze dzielnie służyło Królewskim Siłom Powietrznym, a polscy piloci z Dywizjonu 300 właśnie szykowali się do nocnego lotu nad trzecie co do wielkości miasto ówczesnych Niemiec. W jego granicach znajdowały się bardzo ważne dla nazistowskiej maszyny wojennej zakłady – fabryka benzyny syntetycznej, fabryka silników lotniczych, a także port, stocznia i kilka wielkich fabryk amunicji. Niemieckie miasto nie miało żadnych szans, żeby uniknąć swojego losu.

Tego letniego wieczoru na lotnisku panował nerwowy pośpiech. W operacji zaplanowanej przez RAF oprócz polskiej eskadry brało także udział kilkanaście dywizjonów brytyjskich z wielu innych lotnisk północnej Anglii, a także Amerykanie w swoich latających fortcach. Sprzężenie czasowe wspólnego działania było więc bardzo ważne. Pech sprawił, że na lotnisku w Faldingworth akurat tego dnia wystąpiły drobne problemy techniczne, które o kilkanaście minut opóźniły start polskich bombowców.

Eskadra wystartowała dopiero po godzinie osiemnastej. Minąwszy wrzosowiska rozciągające się przed rozlewiskami ujścia rzek Ouse i Trent, znalazła się nad Morzem Północnym. Siedem lancasterów leciało początkowo bardzo nisko, prawie dotykając lśniącymi stalowymi brzuchami fal. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, załogi bombowców poderwały je na bezpieczniejszą wysokość.



Cały odcinek nad Morzem Północnym piloci polskiego dywizjonu lecieli z prędkością znacznie przekraczającą zalecane optimum. Chcieli się zrównać z wyprzedzającymi ich maszynami angielskimi i amerykańskimi. Minąwszy zachodnie brzegi Danii, Polacy nadrobili kilka minut, ale wyrównali opóźnienie dopiero, gdy znaleźli się nad Rugią.

Lecąca owej letniej nocy ze swoją misją eskadra aliantów liczyła czterysta sześćdziesiąt ciężkich bombowców, a na pokładzie każdego z nich znajdowało się kilka ton bomb. Gdy gigantyczny rój stalowych maszyn minął brzegi wyspy, dochodziła godzina dwudziesta pierwsza.

Do celu pozostało już tylko sto kilometrów.

# Rozdział 1

*poniedziałek 1 lipca*

**U**lica Zbożowa na Łasztowni zaczyna się u stóp urzędu celnego, który mieści się w jednym z typowych dla Szczecina wielkich budynków wyglądających jak zamczyska z bajek braci Grimm. Gmach postawiony jest na rzucie litery E, ma dziedziniec od strony wyspy i reprezentacyjną elewację od strony Odry. Tam przed wojną znajdował się geometryczny ogród. Dzisiaj jest to początek prawobrzeżnych bulwarów, strefa przewrotnie nazywana wolnościową. Obecnie miejsce to szczególnie upodobali sobie studenci. Przesiadują tutaj w każdy weekend do późnych godzin nocnych i wypijają hektolitry piwa.

Ulica Zbożowa omija urząd celny i biegnie dalej, aż do filarów Trasy Zamkowej, za którą ciągną się zabudowania starej rzeźni miejskiej, z wolna zamieniające się w modną portową dzielnicę z miejską mariną u brzegów. Coś na kształt Docklands w Londynie.

Wzdłuż ulicy Zbożowej, która przed wojną nazywała się nomen omen Spichrzową, do czterdziestego czwartego roku rzędem stały dobrze zachowane renesansowe i barokowe spichlerze. Ich ruiny usunięto ostatecznie pod koniec lat czterdziestych. Teren ten, należący częściowo do miasta, a częściowo do skarbu państwa, jeszcze do niedawna stanowił wielki zaniedbany ugor wykorzystywany od lat na parking.

Kilka miesięcy wcześniej całą ciągnącą się wzdłuż ulicy nieruchomość miasto zdecydowało się sprzedać, poprzedzając jednak sfinalizowanie transakcji wykonaniem prac odkrywkowo-konserwatorskich. Nikt nie wiedział tak naprawdę, w jakim stanie są obecnie ściany piwniczne i fundamentowe dawnych spichlerzy, a nawet czy w ogóle coś po nich przetrwało. Nabywca musiał się zatem liczyć z tym, że będzie trzeba

zachować pozostałości renesansowych budynków, czy nawet je zrekonstruować. Miasto za wszelką cenę chciało uniknąć nieporozumień w tym zakresie, zwłaszcza że niedługo miały ruszyć prace przy przebudowie układu komunikacyjnego pomiędzy miastem a wyspą, a teren ten znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie.

Biały pick-up przejechał wzdłuż Lastadii, biurowca z czerwonej cegły stojącego przy urzędzie celnym, minął rząd zaparkowanych wzdłuż ulicy samochodów i zatrzymał się przed stalowym ogrodzeniem z paneli, na których zdążyły się już pojawić reklamy i plakaty, a kilku zdolnych streetworkerów pokryło niektóre z przeseł błyskotliwymi z założenia, głupio-mądrymi tekstami usiłującymi uchodzić za graffiti.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wysiadł mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcioletni, z krótkimi szpakowatymi włosami, ubrany w dżinsy i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Rozejrzał się wokół i ciężko westchnął.

Gdy półtora miesiąca temu przyjął zlecenie na zrealizowanie zadania pod nazwą „Prace odkrywkowe i badania konserwatorskie zachowanych fundamentów spichlerzy nr 25, 26 i 27”, wydawało mu się, że nie będzie łatwiejszej roboty. Całkiem dobrze wyceniona praca, która miała polegać na odkopaniu zachowanych ścian, wywiezieniu gruzu i wykonaniu badań konserwatorskich.

Problemy pojawiły się jednak już pierwszego dnia. Ledwie koparka wykonała pierwszy zamach łyżką, okazało się, że pod ziemią, akurat w tym miejscu, przebiega nienaniesiona na plany sieć energetyczna. Kabel niskiego napięcia biegł sobie dwadzieścia centymetrów pod ziemią i urywał się tuż przed chodnikiem. W dodatku był cały czas zasilony. Jeden nieuważny ruch i ktoś mógł się po prostu usmażyć. Kabel był wprawdzie zaizolowany, ale izolacja była już stara i za chwilę mogła się okazać nieskuteczna.

Tak czy siak, odnalezienie właściciela sieci, a potem jej odłączenie i wykopanie cholernego kabla zajęło blisko miesiąc. Cały miesiąc wyrwany z czasu przewidzianego na zakończenie robót. W dodatku z powodu zapisów w umowie przedłużenie kontraktu było absolutnie niemożliwe.

A główny wykonawca, duże konsorcjum z Poznania, okazywał coraz większe zniecierpliwienie brakiem postępu prac.

Szymon Rogala musiał skończyć to w terminie. Potrzebował pieniędzy. Wtopił dopiero co prawie sto tysięcy złotych w robotę przy Baltice, wielkim biurowcu w centrum miasta. Z powodu jakichś zaniechań właściciela inwestycja została wstrzymana, a zarówno nadzór, jak i prokuratura, bo zaszło to aż tak daleko, nie dawały żadnych nadziei na szybkie wznowienie prac i odzyskanie pieniędzy w dającym się przewidzieć terminie.

Miał jeszcze ludzi na dwóch budowach, jakieś drobne podzleczone prace, ale na nich nie był w stanie zarobić tyle, żeby spłacić dłużników z Baltiki.

Spichlerze były, poprawka – wydawało się, że będą – gratką, łutem szczęścia. Ale przecież można się było tego spodziewać, bo ostatnimi czasy szczęście omijało Szymona szerokim łukiem.

Jak tylko zobaczył dzisiaj rano na ekranie komórki nazwisko Pawelczyka, kierownika budowy ze Zbożowej, od razu wiedział, że znowu będą kłopoty. Kolejny kabel niskiego napięcia albo tym razem jakaś pieprzona kanalizacja.

Szymon spojrzął z żalem na stojący na bulwarach nieopodal pawilon modnej restauracyjki. Klienci okupowali ją ostatnio bez umiaru, mimo że nie było tam najtaniej.

To jest dopiero robota. Spokój, dobre jedzenie, a kasa sama spływa.

Wsunął kluczyki do kieszeni i ruszył na tyły parkingu, gdzie znajdowało się wejście na ogrodzony teren budowy. Obok na rozjeżdżonym trawniku stała ogromna wywrotka wypełniona teraz do połowy gruzem.

Pchnął stalową bramkę i znalazł się na terenie rozgrzebanego pobojuwiska.

Na dawnym trawniku za parkingiem leżały hałdy wydobytego z wykopów gruzu. Wałało się tam jakieś poskręcane żelastwo wyglądające jak spalone resztki pozaziemskich istot z filmów science fiction, fragmenty murów z ceramicznej, nadpalonej i stopionej cegły i pozostałości jakiegoś zmurszałego drewna. U stóp góry śmieci wymieszanych z ziemią ziały odsłonięte częściowo piwnice dawnych budynków. Pierwszy z wykopów,

od lewej, był najgłębszy. Widać było ceglane ściany piwniczne, które jakieś trzy metry poniżej poziomu terenu niknęły w gruncie, pokruszone i poszarpane jak przez zęby jakiegoś potwora.

Nieco dalej, oddzielona kilkumetrowym pasem dawnego przejazdu, wyzierała z ziemi ruina kolejnego spichlerza. Całą powierzchnię jego podziemi wypełniała masa brudnej, szarej, skamieniałej pulpy. Podobnie wyglądały odsłonięte korony murów piwnicznych ostatniego z trzech spichrzów. W narożniku środkowego wykopu w wykutej wyrwie pracował jeden z robotników. Dwóch stało na krawędzi muru i przypatrywało mu się z powątpiewaniem.

– Co to jest? – Szymon spojrzał na swojego kierownika budowy z mieszaniną niepokoju i zniecierpliwienia.

– Beton, kurwa! – warknął Pawelczyk.

– Jak to beton?

– No beton! Nie wiesz, co to jest beton? Mieszanka cementu, kruszywa i wody. Cholerny, twardy jak diabli i w dodatku zbrojony tym strupieszalym żelastwem. – Majster machnął ręką w kierunku hałdy śmieci.

Szymon patrzył przez chwilę na swojego kierownika.

– No to co? Młot udarowy i trzeba jechać.

– Taa... – parsknął majster.

– No co taa? Co taa? – zachnął się Szymon. – Potrzebujesz więcej ludzi do skucia tej posadzki?

– Nie o to chodzi.

– Ze trzy dodatkowe młoty mogę ci podrzucić – przerwał mu Szymon. – I ewentualnie zabiorę ze trzech chłopaków z Chopina i tu przywiozę.

– To nie chodzi o brak ludzi.

– A ci dwaj dlaczego właściwie tam stoją, gapią się i nic nie robią? – Rogala ze złością kiwnął głową w kierunku dwóch odzianych w odblaskowe kamizelki mężczyzn. – To po cholere mam więcej ludzi przywozić?!

– Ja cię proszę, daj mi w końcu dojść do słowa! – huknął kierownik. – Przerywasz mi i przerywasz! Patrz tu! – Wskazał ręką beton pod nogami. –

Myśleliśmy początkowo, że to posadzka parteru, ale droga jest pół metra wyżej...

– Zbożowa mogła pójść po wojnie wyżej. Zalali betonem raz, drugi, a potem położyli asfalt na wierzch.

– Też tak pomyślałem – westchnął ciężko kierownik i ukucnął. Pochylił się i wycelował palec w wystające ze ściany pokiereszowane cegły. – Ale patrz tu.

– Co to? – Szymon wychylił się i powiódł spojrzeniem za palcem wskazującym Pawelczyka.

– Strzępia stropów nad piwnicą. – Kierownik podniósł dłoń i zatrzymał ją w powietrzu na wysokości domniemanego stropu. – To tu na oko była posadzka parteru. I to by się zgadzało. – Pochylił się i spojrzał w kierunku widocznego za wykopem fragmentu chodnika przy ulicy Zbożowej.

Szymon przez dłuższą chwilę patrzył to na resztki sklepień, to na chodnik.

– To co to jest? – Wskazał brodą skamieniałą szarą maź.

– Beton, kurwa! Już mówiłem!

– Ale co on robi w tym miejscu?!

Pawelczyk dźwignął się z przysiadu i wytarł ręce o spodnie.

– Najwyraźniej jakieś ruskie głąby, przecież do lat pięćdziesiątych kacapy tu siedziały, wylały do piwnicy spichlerza niepotrzebną albo zanieczyszczoną kupę cementu. Albo i nasi, jak po ruskich zaczął tu urzędować port.

– Myślisz, że cała piwnica jest... – Szymon zbladł. – Ja pierdołę!

– Potem nadziemne ruiny wszystkich spichlerzy rozebrali na cegłę dla Warszawki, a to, co zostało, wyrównali spychaczem – dokończył kierownik budowy i wzruszył ramionami. – I tyle.

– Szefie! – dobiegło nagle od strony narożnika ruin wołanie jednego z robotników. – Pan tu podejdzie!

– Co jest? – Pawelczyk ruszył w kierunku trzech mężczyzn w kamizelkach.



– Pan zobaczy, szefie... – Robotnik, który stał na dnie dziury wyrżniętej młotem udarowym, dziobał ręką powietrze nad ciemną masą wysypującą się z wywierconego otworu.

– Co to jest? – Kierownik ukucnął na brzegu muru i pochylił się. – Ziemia?

Pracownik przejechał rękawicą po ścianie. Na jasnoczerwonym materiale został ciemny ślad. Zdjął rękawicę i dotknął palcem ciemnego żwiru.

– Nie gołymi łapami, durniu! – obsztorcował go Pawelczyk. – Co to jest?

– Węgiel chyba. – Mężczyzna wzruszył ramionami. Powąchał palec. – No węgiel, jak nic.

– No dokładnie, jak mówiłem! – Kierownik podniósł się i spojrzał na zdenerwowanego Szymona. – Ruskie pozbywali się tu pewnie śmieci z portu. Ropa, węgiel, a na końcu włali beton i po sprawie.

– Ale ten beton to idzie niżej, szefie. – Pracownik założył rękawicę i kopnął leżące pod nogami kawałki. – Jak nic.

– Ile czasu zajęło wam zrobienie tej dziury? – Szymon spojrzał na metrowej głębokości otwór, na którego dnie stał mężczyzna.

– Robimy to od wczoraj. – Robotnik podrapał się po brodzie. – Ale zaczęliśmy po południu – dodał szybko, widząc minę Rogali.

– Jakież piętnaście na dwadzieścia metrów. – Szymon ze spojrzeniem utkwionym w przestrzeni zaczął liczyć coś w pamięci. – Do tego ze trzy metry głębokości... To kubatura...

– Jakież dziewięćset metrów – odezwał się obserwujący go Pawelczyk. – Nawet jak tu postawimy ze trzech chłopaków z młotami pneumatycznymi, a to na zmianę przecież trzeba robić, więc z sześciu powinno być, to nie ma co, miesiąc jak w mordę strzelił.

– Ja pierdolę. – Szymon zamknął oczy.

– A ten ostatni spichrz pewnie to samo – dobił go majster, wskazując na wystające z ziemi poszczerbione ściany trzeciego spichlerza.

– A dziobakiem? – Rogala spojrzął na Pawelczyka z nadzieją. Oczami wyobraźni zobaczył wielką koparkę z potężnym dziobem do kruszenia ścian i betonowych stropów.

Kierownik skrzywił się i pokręcił głową.

– To za ciężka maszyna. Rozwali ściany albo, jeszcze gorzej, poprzesuwa je i rozpiardoli pale. To gówno przecież na palach stoi.

– To ja już nie wiem... – jęknął Szymon.

– Ja tam bym powiedział po prostu tym z Doclands Developer, że zmieniły się założenia i że dwa miesiące to za mało.

– Miesiąc! – warknął z rezygnacją Rogala. – Został miesiąc tylko! I to niecały.

– To już w ogóle nie ma o czym gadać.

Przez chwilę stali i wpatrywali się w pozostałości piwnic renesansowych spichlerzy.

– Trudno! – Szymon zmierzwił włosy. – Robimy, co się da. Przywożę dzisiaj sprężarkę i trzy młoty pneumatyczne. Więcej nie dam rady tutaj ściągnąć. Chyba że gdzieś pożyczę.

– Więcej ludzi naraz i tak nie postawimy.

– I trzech chłopaków ściągam z Chopina. Tam jakichś Ukraińców znajdę – mówił Szymon ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– To Ukraińców tutaj daj – zaproponował Pawelczyk. – Do napierdalania młotem to nie trzeba budowlanki kończyć.

– À propos, ten cholerny Hirszfeld jest? Czy znowu zawalił? – Rogala rozejrzał się dookoła.

Pawelczyk westchnął i bez słowa pokręcił głową.

– Kurwa! Zabrałem go z portu, bo tam bardziej wymagająca robota, a tutaj tylko, kurwa, kopanie albo walenie młotem za tę samą stawkę, a ta kurwa jebana dalej się opierdala!

– To nie jest zły chłopak. – Majster się zawahał. – Ma kłopoty jakieś.

– Jak wszyscy! I jeszcze to jego bredzenie o prawach pracowniczych. Kiedy był tutaj ostatni raz? – Rogala łypnął na skonsternowanego Pawelczyka.

– Dzisiaj się nie pojawił. Wcześniej przychodził codziennie. Pewnie będzie za godzinę.

– Koniec z tym! Wywalamy go!

– Może porozmawiam z nim jeszcze?

– Nie, Bogdan! – Rogala zniechęcony wykrzywił usta. – Nie będziemy się już z nim cackać. Ja tu kombinuję, skąd wziąć ludzi do roboty, a ten sobie wszystko olewa. Wypierdol go, jak przyjdzie!

Pawelczyk smętnie przytaknął.

– A jeszcze ta cholerna inwentaryzacja i badania konserwatorskie – stęknął Rogala i podrapał się w głowę. – To kolejny miesiąc.

– A gadałeś w ogóle już z kimś? Kto się ma tym zająć?

– Z Flemingiem gadałem. Ale on miał zacząć za jakiś tydzień. Obiecałem mu, że koło dziesiątego lipca będzie mógł wejść ze swoimi ludźmi na inwentaryzację. Nawet zaliczkę mu dałem, żeby się zgodził. –

Rogala sapnął. – Ale my do tego czasu stąd nie ruszymy przecież, a jak wszystko się poprzesuwa w czasie, to nie wiem, czy Fleming nadal będzie zainteresowany.

– Fleming?! – jęknął kierownik. – On się zajmuje głównie zabytkami. Będzie się trząsł nad każdą gównianą cegłą. Do Gwiazdki nie wyleziemy z tego gówna.

– Nikt inny nie chciał w tym terminie. Wszyscy na urloпах.

Kierownik zdjął kask i przejechał dłonią po spoczonej łysinie na czubku głowy.

– Ja ci mówię, że to się wszystko, kurwa, źle skończy.

## Rozdział 2

*środa 17 lipca*

**B**iała navara przemknęła wąską asfaltową drogą wzdłuż rozlewającej się pomiędzy dwiema wyspami – Pucką i Kępą Parnicką – Odry Zachodniej i zwolniła dopiero przed zakrętem na most nad kanałem. Kiedyś, kiedy jeszcze pływały w nim ryby, nazywany był Rybnym. Navara przetoczyła się przez wąską przeprawę i mijając stojący na przystanku autobus linii 52, pomknęła w głąb wyspy, znacznie przekraczając dopuszczalną prędkość.

Dochodziła ósma, do zachodu słońca zostało jeszcze jakieś półtorej godziny, ale nad miastem powoli zapadał już mrok. Słoneczne dni ustąpiły ostatnio mrocznym i burzowym, więc wieczór pod zaciągniętym chmurami niebem zaczynał się dużo wcześniej.

Szymon rzucił okiem na leżący na siedzeniu pasażera stary brudny chlebak i pomyślał o jego zawartości. Tych kilka dokumentów i planów z niemieckimi pieczętkami i klauzulami najwyższej tajności było czymś tak nieprawdopodobnym, że w zasadzie trudno było się dziwić urzędnikom, że uznali go za szaleńca, albo właściwie nie szaleńca, tylko cwaniaka, który wymyśla niestworzone rzeczy, żeby przedłużyć umowny termin robót.

No i niczego innego nie należało oczekiwać po tych z Doclands Developer. To absurdalne, że w ogóle czegoś się spodziewa po tej podróży do Poznania. Zwłaszcza jak im powie, że roboty należy wykonać bardzo ostrożnie, powoli odsłaniając poszczególne warstwy, żeby nie dopuścić do uszkodzenia, a nie, kurwa, rozpierzdalając wszystko ładunkami wybuchowymi.

Boże, kto to wymyślił?

A teraz jeszcze musiał okłamywać Monikę.

Powiedział jej, że jedzie do Poznania i przenocuje tam, bo z samego rana ma spotkanie. W rzeczywistości spotkanie miał w południe, ale ten wieczór i noc były mu potrzebne, żeby wszystko dokładnie obliczyć, zrobić symulacje, określić kolejność...

Posiedzi nad tym, przygotowuje wszystko tak, żeby było dokładnie i precyzyjnie zrobione. Racjonalna część jego natury wciąż podpowiadała mu, że jeśli rzetelnie wszystko przedstawi tym z Docklands, to znajdzie w nich sojusznika. Ale podświadomie sam sobie ubliżał, że jest tępym naiwnym debilem. No i już widział ich miny, kiedy powie, że to wszystko potrwa ze dwa miesiące dłużej.

I aż go trzęsło, jak pomyślał o tych skurczybykach z urzędu miasta. Czy to jego wina, że nie było żadnych materiałów i danych na temat spichlerzy? Nie zapewnili jakichkolwiek dokumentów archiwalnych z okresu powojennego. Bo port nic nie dał, kurwa! A to jego wina, że port nic nie dał?! Według umowy miały być proste prace odkrywkowe, a teraz, skurwiele, upierają się, że skoro w umowie nie było żadnych wyłączeń ani niczego na temat rodzaju gruzu, ani innych utrudnień, to znaczy, że to zaakceptował.

Gruzu! Ale nie litego betonu! W dodatku z czymś takim.

Właściwie to powinien dać im nauczkę!

Zostawić wszystko w diabły i zobaczyć, czym to się skończy.

Odkuć się na tym całym cholernym mieście. Na tych oszustach z Baltiki, na tych draniach z zamówień publicznych, tym łajdaku nadzorującym roboty w katedrze, który co chwila, jak z rękawa, wyciągał dodatkowe roboty – nie zostały one wprawdzie ujęte w kosztorysie, ale były rzekomo oczywiste.

Może to jest jakaś myśl.

Szymon kurczowo trzymał kierownicę i zacisnął zęby, a zaraz potem odetchnął głęboko i policzył w myślach do dziesięciu.

Przed samochodem wyrosła przekrzywiona i skrzypiąca na wietrze tablica z nazwą ulicy. Szymon skręcił. Jeszcze tylko jeden odcinek pomiędzy działkami i będzie na miejscu. Domek schowany prawie całkiem w jednym z najdzikszych zakątków wyspy należał jeszcze do jego dziadka,

który przesiadywał w tym ustroniu całymi dniami. Przez krótki czas przyjeżdżali tutaj z Moniką, ale ona nie lubiła tego miejsca, twierdziła, że tu jest posepnie, tak się dokładnie wyrażała, posepnie, cokolwiek miało to, kurwa, znaczyć. Po kilku kłótniach chciał nawet to miejsce sprzedać, ale w końcu oboje dali sobie spokój. Ona przestała tu bywać, a on odkrył, że lubi tu niekiedy posiedzieć w samotności. Monika to na szczęście zaakceptowała.

Na małym placyku z jednej strony odgrodzonym wysokim płotem, przez który wylewała się zapuszczona zieleń, stała pojedyncza latarnia. Zaraz za nią była dziczejąca stopniowo droga. Biegła ona w kierunku kolejnego mostu nad kanałem. Za nim, aż do wiaduktu nad Odrą, ciągnęły się grzęzawiska i całe pola nieużytków.

Szymon zaparkował pomiędzy drzewami nad kanałem i ruszył do furtki.

Dom i drewniana altana, jak z amerykańskiego filmu, stały w głębi działki. Altanę sam kiedyś zbudował, myśląc, że fajnie się będzie tutaj relaksować na huśtawce.

Otworzył drzwi i rzucił swoją torbę na kanapę. Stary chlebak położył na stole i wyjął z niego zamknięty w skórzanych okładkach plik dokumentów.

Na każdym z nich groźnie stroszył pióra niemiecki orzeł. Kilka rozkazów, opatrzonych ostrzeżeniami o zachowaniu zasady bezwzględnej tajności, przepustki, papiery, a wszystko ukryte pod kryptonimem tajnej operacji.

Sięgnął po torbę i wyjął z niej skoroszyt. To było wszystko, co udało mu się znaleźć w rozmaitych odtajnionych po wojnie archiwach i co zdołał z nich wydobyć. Prawie nic. Ale dwa dokumenty z lat pięćdziesiątych, odtajnione nie tak dawno, w zupełności wystarczyły. Było do nich dołączone wykonane w czasie wojny zdjęcie, bez podpisów, bez żadnych adnotacji. Nikt, z kim rozmawiał, nie miał pojęcia, czego mogło dotyczyć. Prawdopodobnie ktoś kiedyś, przekładając akta, wsadził je między kartki całkiem przypadkowo, więc ze sprawą mogło nie mieć nic wspólnego.

Podniósł głowę i spojrzał na zegar. Dwadzieścia po dziewiątej. Chwila kontemplowania starych dokumentów trochę mu się przeciągnęła.

Z zewnątrz dobiegł go nagle odgłos silnika. Szymon odwrócił się i wyjrzał przez okno. Za gęstym żywopłotem przesuwał się powoli jakiś



samochód, którego światła przedzierały się przez gałęzie krzewów. Na chwilę pojawił się w wąskim prześwicie furtki, przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał gdzieś nad samym kanałem.

Stare bordowe kombi. Opel chyba, o ile dobrze rozpoznał kształt. Ktoś z niego wysiadł i po chwili szarpnął już furtką.

Szymon otworzył drzwi i wyszedł na ganek.

Zaskoczony patrzył na idącą w jego kierunku postać.

– A co ty tutaj robisz? – zapytał.

Nad wyspą zapadł już zmrok.

Od strony Odry dobiegał rechot żab i szum rosnących nad brzegiem rosochatych wierzb.

## Rozdział 3

*poniedziałek 22 lipca*

Igor Fleming przeciągnął się i chwycił kubek z herbatą. Praca w domu – gdy ma się do zrobienia zamknięty etap projektu, który nie wymaga konsultacji z branżystami, wizyt w urzędach, negocjacji z rzeczoznawcami – miała ten plus, że nie marnowało się czasu na komunikację. Przemieszczanie się pomiędzy domem a biurem pochłaniało mnóstwo czasu, a wliczając w to jeszcze golenie się, ubieranie, śniadanie jakieś, a potem w pracowni rozmowę z kolegami na temat tego czy owego, autentyczną pracę zaczynało się koło dziesiątej.

Zostając w domu, mógł sobie darować golenie, śniadanie jadł przy komputerze i odpadało przedzieranie się przez miasto i parkowanie, no i stanie w korkach.

Wypił łyk gorącej herbaty i spojrzał z zadowoleniem na ekran komputera. Nie było jeszcze dziewiątej, a już miał za sobą spory kawał roboty przy projekcie nowego domu na obrzeżach Szczecina.

Na ścianie obok stołu wisiała kartka ze spisem projektów do zrobienia oraz datami poszczególnych etapów, które musiał wykonać, żeby jako tako zmieścić się w terminach. Spojrzał na nią z niechęcią i od razu zwarzył mu się humor.

Projekt zagospodarowania terenu remontowanej szkoły, koncepcja domu pod Szczecinem i przede wszystkim rozgrzebany projekt apartamentowca w jednej z północnych dzielnic miasta to były rzeczy najpilniejsze, ale oprócz nich kilka innych mniejszych także trzeba było uwzględnić, żeby znowu wszystko się nie poopóźniało i nie rozjechało w czasie.

Na samym końcu listy widniał punkt dopisany jakiś miesiąc temu – „inw. i bad. kons. sp. – ok. 10.07”.

Igor potarł brodę i odstawił kubek na stół. Co to do diabła było? Sp.? Inw. to była oczywiście inwentaryzacja, ale pozostałe? Co on mógł mieć na myśli?

Pewnie znowu rozmawiał z kimś przez telefon, jakieś niekonkretne ustalenia, ktoś coś chciał, a Igor oderwany od pracy, zdekoncentrowany, zanotował to tak, że teraz za cholere nie mógł dojść, o co chodziło.

Sp.? Co to mogło być, na miłość boską?

Spojrzał na wiszący obok upiornej listy obowiązków kalendarz. Za dwa tygodnie do Szczecina miała przyjechać cała londyńska obsada pewnej spółki Sedinum Exploration, której był udziałowcem, co utrzymywał w tajemnicy nawet przed swoimi rodzicami. Bał się pomyśleć, co zrobiłaby matka, gdyby wszystko wyszło na jaw. Tak czy siak, za trzy tygodnie zaczynał się jego trzytygodniowy urlop. Do tego czasu musiał, ale to absolutnie musiał uporać się z najważniejszymi problemami projektowymi i porozdzielać pracę w firmie tak, żeby przez trzy tygodnie robota posunęła się do przodu i żeby jak wróci do Szczecina, nie rzucili mu się do gardła wściekli klienci.

Zwłaszcza że cały praktycznie czerwiec spędził w Londynie i w Kopenhadze, biorąc udział w załatwianiu spraw, które prawdopodobnie były wstępem do największej przygody jego życia.

Ze Szczecina mieli wypłynąć 12 sierpnia, a wcześniej londyńscy przyjaciele chcieli w końcu obejrzeć Szczecin. Przygotowywali się więc z Pauliną na kilka fajnie spędzonych wieczorów. Natomiast to, co miało nastąpić później, w dalszym ciągu wydawało mu się kompletną abstrakcją.

Wciąż trudno było mu uwierzyć, że to wszystko rzeczywiście się dzieje. Gdy w zeszłym roku, podczas nurkowania w Bałtyku – które notabene było jego pierwszym schodzeniem pod wodę na otwartym morzu – w wyniku wielu mniej lub bardziej przypadkowych wydarzeń odkryli wrak żaglowca z piętnastego wieku, miał wrażenie, że to mu się przyśniło. Miesiące załatwiania formalności, uzyskiwania pozwoleń od duńskich władz, zakładanie spółki eksploracyjnej, rozmowy z prawnikami. I w końcu się stało!

Wyprawa rozpoczynająca się 12 sierpnia roku Pańskiego bieżącego, zorganizowana za pieniądze jego bogatych londyńskich przyjaciół, stawała

się faktem. Stawką był trudny do oszacowania pod względem wartości ładunek średniowiecznego okrętu, ale przede wszystkim nieprawdopodobna przygoda, która czekała ich już za chwilę.

Prawdę powiedziawszy, od trzech lat, dzięki znajomości z Pauliną, dziennikarką, która miała wrodzony dar wplątywania się przy okazji każdego kolejnego artykułu w nieprawdopodobne tarapaty, przygód mu wprawdzie nie brakowało, ale wrak, jakkolwiek to brzmiało, ze skarbami, a przynajmniej z jakimiś historycznymi artefaktami, to była przygoda przez największe P.

W czerwcu także, jeśli już pozostajemy przy przygodach, ominęła go potworna awantura z wypadkiem promu, którym akurat płynęli do Szwecji jego rodzice. Za tymi wydarzeniami do tej pory jeszcze ciągnęły się przesłuchania i rozmaite czynności śledcze, za które średnio raz w tygodniu, telefonicznie, matka oskarżała jego, bo to on przecież namówił ich na wakacyjny wyjazd do mieszkającej w Szwecji swojej siostry, a ich córki.

Westchnął, przejechał myszką wzdłuż listy katalogów i otworzył ten z projektem zagospodarowania terenu szkoły. Płatanina kresek jedynie dla wtajemniczonych była koncepcją drózek i ścieżek wokół projektowanego budynku.

Prawie jednocześnie przypomniał sobie o tajemniczym skrótce na kartce obok monitora.

„Bad. kons.” to mogły być badania konserwatorskie. Zaraz, z kim on gadał ostatnio na temat tych badań? Jakies dwa tygodnie temu ustalał cenę. Sp?

O kurde!

Igor zamarł ze wzrokiem wbitym w przyklejoną taśmą do ściany kartkę.

Cholerne spichlerze na Łasztowni! No oczywiście! Na prośbę kolegi obiecał, że zajmie się tym w połowie lipca. 10.07, no przecież! Szymon Rogala, znajomy wykonawca, który akurat je odkopywał. Fundamenty znaczy po nich, bo tyle tylko zostało.

Pomijając wszystko inne, temat był niezwykle ciekawy. Inwentaryzacja pozostałości renesansowych, legendarnych szczecińskich spichlerzy

w każdym innym czasie byłaby absolutną przyjemnością, a nie pracą, ale teraz, biorąc pod uwagę to wszystko, co miał na głowie, spichlerze stanowiły kolejny problem.

Złapał się znowu na tym, że jest tak zaganiany, że nawet urlop i udział w poszukiwaniach wraku zaczynają mu się jawić jako jeszcze jeden kłopot, przeszkoda na drodze do świętego spokoju. Pokręcił głową, odpędzając od siebie te myśli.

Czy on obiecał Rogali, że zacznie robić te pomiary dziesiątego, czy Rogala miał mu dać znać, jak już będzie gotowy z wykopami? Nie pamiętał.

A co jeśli już od dziesięciu dni leci termin?

W dodatku wziął przecież zaliczkę. Trzydzieści procent, Rogala przelał mu pieniądze na konto.

Ożeż... Cholera jasna!

Igor spojrział na komórkę. Lepiej się upewnić. Wprawdzie jak usłyszy przez telefon pytanie, czy już kończy, to chyba szlag go trafi, ale nie miał wyjścia.

Westchnął, sięgnął po telefon i wybrał numer kolegi.

Po sześciu sygnałach przerwał połączenie i przez chwilę trzymał telefon, ważąc go w dłoni.

Może niepotrzebnie się denerwuje. W końcu żadnej umowy na tę robotę nie ma. Niczego nie podpisał, a Rogala nawet się do niego nie odezwał. Zwróci mu po prostu te trzy koła. Na szczęście miał pieniądze na koncie.

Chciał odłożyć komórkę na blat, ale się zatrzymał.

Jak tego nie wyjaśni, to będzie się teraz denerwował bez końca i koncentrację nad projektem szlag trafi.

Pamiętał, że Rogala był tylko podwykonawcą, a generalnym wykonawcą robót była spora firma z Poznania, która powstała na potrzeby tego tematu.

Doclands Developer!

Pochylił się nad klawiaturą i po chwili znalazł stronę poznańskiego dewelopera. Numer kontaktowy także tam był i Igor już sięgał po telefon, ale znowu się zawahał.

Czy może tak gadać z kimś za plecami kolegi? I o co zapyta? Czy prace odkrywkowe już się zakończyły? Dzwoniąc do Poznania, żeby zapytać, co się dzieje na budowie kilka przecznic dalej, narobi Szymonowi obciachu, ale i sam wyjdzie na idiotę.

Wybrał ponownie numer Rogali i poczekał tym razem, aż uruchomiła się poczta głosowa.

– Cześć, tu Fleming. Dzwonię w sprawie inwentaryzacji na Łasztowni. Oddzwoń, jak będziesz mógł. Na razie.

Rzucił telefon na stół i z poczuciem, że zrobił wszystko, co można było zrobić w tej sytuacji, wrócił do pracy.

Godzinę później, gdy płatanina kolorowych linii na ekranie wzbogaciła się o barwne sztrafy, określające rodzaj projektowanych nawierzchni, przypomniał sobie, że miał zajrzeć na pocztę i odebrać jakąś przesyłkę, której listonosz rzekomo nie mógł dostarczyć na czwarte piętro do rąk własnych.

Igor zmarszczył brwi i pogrążony jeszcze w myślach na temat zagospodarowania terenu, sięgnął bezwiednie po leżący na stole kwitek.

Właściwie co szkodzi zjechać na tę budowę i samemu się rozejrzeć? To raptem po drugiej stronie Odry. Spojrzał za okno. Świeciło słońce, a temperatura, tak jak i wczoraj, oscylowała wokół dwudziestu kilku stopni. Cudownie. Szkoda jechać samochodem.

Sięgnął ponownie po komórkę i wybrał potrzebną aplikację.

Dziesięć minut później jechał na elektrycznej hulajnodze Bulwarem Piastowskim w kierunku mostu Długiego. Po drugiej stronie Odry widział już oklejone reklamami stalowe ogrodzenie mające za pawilonami gastronomicznymi przy Zbożowej. Za wstęgą Trasy Zamkowej powoli obracał się Wheel of Szczecin, ogromny diabelski młyn.

Minął most Długi, po wąskich schodkach zniósł hulajnogę na bulwar i omijając niewielkie jeszcze o tej porze grupki spacerowiczów, ruszył w kierunku placu budowy.

Zatrzymał się przed bramą wjazdową i zajrzał przez szparę. Wewnątrz widać było częściowo odkopane rumowisko piwnicznych ścian i hałdy



gruzu, ale nie dostrzegł żadnego pracownika. Szarpnął bramę i dopiero wtedy zauważył zawieszoną na łańcuchu wielką kłódkę. Zglądając przez szpary pomiędzy stalowymi panelami, obszedł cały ogrodzony teren i prawie wpadł na idącego z drugiej strony grubego jegomościa w żółtej odblaskowej kamizelce.

– A co pan tu robi? – Stróż spojrział na Igora niechętnie. – Nie można tutaj podchodzić, tu jest niebezpiecznie.

– Przepraszam, jestem architektem – bąknął Igor. – Szukam waszego szefa, pana Rogali.

– Ja nic nie wiem – powiedział mężczyzna. – Proszę dzwonić pod numer na tablicy.

– A czemu nikt tu nie pracuje?

– W zeszłym tygodniu wstrzymano roboty aż do odwołania. – Ciec zmarszczył brwi i popatrzył na Igora podejrzliwie. – Kim pan powiedział, że jest?

– Architektem. Mam tutaj robić inwentaryzację i badania konserwatorskie.

– Ja nic nie wiem. Nie wpuszczę pana. – Zdecydowanie pokręcił głową. – Proszę dzwonić i się dowiadywać, ja nie słyszałem o żadnych badaniach.

– W porządku – odparł Igor i zawrócił. – Do widzenia.

W drodze powrotnej objechał urząd celny i pomknął mostem Długim w kierunku Starówki. Po kilkunastu minutach dotarł do parku Żeromskiego. Zostawił hulajnogę pod pomnikiem Mickiewicza i przez park ruszył spacerem do domu.

Po drodze przypomniało mu się jednak, że przecież zna kierownika budowy, który pracował dla Rogali. Rogala nie oddzwonił, a Igora, pomijając już ewentualną pracę, cała sytuacja zaczynała po prostu ciekawić.

Właściwie z jakiego powodu wstrzymano roboty?

Po chwili namysłu zatrzymał się, usiadł na ławce i wybrał numer Bogdana Pawelczyka.

– Witam, panie Bogdanie – zaczął, gdy usłyszał głos kierownika budowy.

– A, pan Fleming, witam. Co tam słyszeć?

– Panie Bogdanie, dzwonię w sprawie zlecenia przy spichlerzach na Łasztowni. Szymon się nie odzywa...

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– To pan nic nie wie?

Igor na moment zamarł. To pytanie zabrzmiało niepokojąco.

– Rogala nas nieźle wystawił. Łobuz jeden!

– Ale co się stało?

– Jakiś tydzień temu, chyba w piątek, deweloper nam zagroził, że zerwie umowę i odsunie od roboty. Nie skończyliśmy tego odgruzowywania, ale kto by, do kurwy nędzy, sobie z tym poradził? Nikt nas nie uprzedził, że tam będzie wszystko zapierdalone betonem.

– Betonem?

– No betonem, betonem. Następny, który nie może uwierzyć. Piwnice dwóch z tych trzech spichrzów są kompletnie zalane betonem. Zapierdalone na amen. Nawet młotami pneumatycznymi szło jak po grudzie. W końcu generalny wykonawca się wściekł i wymyślił, że ten beton trzeba wysadzić po prostu, ale Rogala zaczął coś kręcić...

– Wysadzić? Mikrowybuchy?

– Tak, coś w tym guście. Umówili się tydzień temu na rozmowę, taką ostatniej szansy. Na czwartek chyba, ale Rogala do nich nie dotarł. To jeszcze tego samego dnia zadzwonili, kurwa, że wstrzymują prace. A Rogala wziął i przepadł. Ulotnił się.

Igor na moment zaniemówił.

– Jak to przepadł? – zapytał w końcu.

– No przepadł. – Pawelczyk wciągnął głośno powietrze. – W środę wyjechał z domu i już go nikt od tamtej pory nie widział.

– Ale jak to?

– No zwiął chyba gdzieś. Nie odbiera telefonów, żadnego kontaktu. Długi już takie miał, że pewnie się chłop załamał, ale jak, kurwa, nam mógł to zrobić? Pan Romek jest taki wściekły, że nie można się z nim dogadać, ale co mu się dziwić. Wprawdzie cały czas twierdzi, że wszystko jest

w porządku i że się rozliczymy, ale ja widzę, że coś jest nie tak. Pewnie po prostu kryje przyjaciela.

Igor w pierwszej chwili chciał zapytać, o jakiego Romka chodzi, ale przypomniał sobie, że Rogala miał współnika. Jak mu tam było? Chyba jakieś takie rosyjskie nazwisko.

– Mieli jeszcze kilka rozbabranych robót do skończenia. Małe, ale wszystkie na umowy. I teraz ten biedny Jarost został sam z tym bajzlem.

Jarost! Właśnie!

Igor przypomniał sobie w tym momencie niepozornego szatyna z jasnymi oczami. Oczy miał charakterystyczne, takie z ciemnymi obwódkami.

– To nieźle się porobiło – powiedział, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– No porobiło się, porobiło – westchnął Pawelczyk. – Jak pan na tę robotę nadal liczy, to ewentualnie do generalnego wykonawcy niech się pan zwróci. Docklands Developer się nazywają.

Igor podziękował za radę i się rozłączył. Przez chwilę siedział, wpatrując się w ekran komórki.

Z jednej strony poczuł ulgę, że dodatkowa robota, którą wcisnął w bardzo napięty grafik, okazała się nieaktualna, ale z drugiej strony oczywiście poruszyła go ta afera.

Jak ten biedny Szymon musiał być zaszczuty, skoro tak po prostu postanowił urwać się i zniknąć. Sam kilka razy w życiu był w takiej sytuacji, że miał ochotę rzucić w diabły to całe projektowanie i gdzieś wyjechać. Przeciągające się w nieskończoność postępowania administracyjne, przeterminowane i niezapłacone faktury, od których trzeba było płacić podatki, wściekli klienci i zero na koncie.

Rogala jako wykonawca obracał znacznie większymi kwotami i większe pieniądze był winien swoim pracownikom, podwykonawcom, hurtowniom. Czy to możliwe, że rzeczywiście się załamał i uciekł?

Igor westchnął i spojrzął na telefon leżący na stole.

Nie znał współnika Rogali. Widział się z nim tylko ze dwa razy w życiu. Raczej dziwnie by wyglądało, gdyby akurat teraz do niego zadzwonił

i zaczął wypytywać. Zresztą i tak nie powiedziałaby mu prawdy. Pewnie ma kontakt z Rogalą, tylko ściemnia pracownikom i kontrahentom.

Znał natomiast żonę Rogali. Dopiero teraz sobie o niej przypomniał. No i córkę mają. Dziewięć lat, mała dziewczynka. Rogala wyjechał razem z nimi? Zostawiłby żonę i dzieciaka i zniknął? Chyba że żona wie, co się z nim stało, w końcu mógł wyjechać do rodziny, zaszyć się w tym Świdwinie czy Drawsku, czy skąd on tam pochodził. Monikę znał nawet dłużej niż Rogalę. Może powinien jednak zadzwonić i zapytać, czy wszystko w porządku. No i wisi przecież Szymonowi te trzy koła, a może ona akurat potrzebuje teraz kasy.

Sięgnął po telefon i po chwili wahania wybrał numer Moniki Rogali. Na ekranie smartfona pokazało się czerwone kółeczko i po chwili rozległ się sygnał. Potem drugi i trzeci. Po czwartym Igor przerwał połączenie i przez chwilę wpatrywał się w okno. Nie powinien jej nagabywać. Jeśli będzie chciała, to oddzwoni. Jego wzrok prześlizgnął się po ekranie komputera i po rozbabranym projekcie. Zaczerpnął powietrza i sięgnął po myszkę.

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon.

Igor, któremu udało się skupić na pracy, oderwał wzrok od monitora i z rezygnacją spojrzął na wyświetlacz komórki.

Monika Rogala.

– Cześć, Igor. – Głos w słuchawce nie zdradzał specjalnych objawów rozpaczy czy paniki. – Dzwoniłeś do mnie?

– No cześć, Monia. Ja bardziej do Szymona, ale nie można go namierzyć. Czy wszystko w porządku, bo na budowie mówią...

Usłyszał podenerwowane westchnienie.

– Szymon ma trochę kłopotów, to prawda, ale wszystko jest pod kontrolą. Niech Pawelczyk nie rozsiewa tych głupich plotek.

– Więc Szymon jest w domu? Już wrócił?

– Nie... to znaczy... – Monika na moment się zawahała. – Nie ma go. Wyjechał w środę wieczorem do Poznania, coś jeszcze chciał tam załatwić, a w czwartek miał spotkanie. Ale wracając, zajechał do rodziny. W czwartek napisał, że zatrzyma się na kilka dni u rodziców. Dzisiaj albo jutro powinien wrócić.

– Szymon zapłacił mi zaliczkę za pracę przy spichlerzach, a teraz słyszę, że stracił ten kontrakt, a ja nawet nie zdążyłem niczego zrobić. Chciałem się z nim rozliczyć.

– Na pewno jak wróci, to się do ciebie odezwie. Powtórzę mu, że dzwoniłeś. – Wymienili jeszcze kilka grzecznościowych uwag, po czym się pożegnali.

Zastanawiał się, czy reakcja Moniki nie była jakaś dziwna.

Mąż wyjeżdża w środę, w czwartek pisze, że wróci za kilka dni. A ona nie dzwoni do niego, nie dopytuje się? Chyba że po prostu nie powiedziała mu wszystkiego.

Westchnął i przeciągnął się.

Właściwie to w ogóle nie jego sprawa, a w dodatku jego własna robota przecież czeka.

Pochylił się nad klawiaturą i ponownie skupiony zagłębił się w gęstwinie problemów, które się wyłoniły przy zagospodarowaniu terenu szkoły w jednej z prawobrzeżnych dzielnic Szczecina.

## Rozdział 4

*Piątek 26 lipca,  
Bazylika archikatedralna św. Jakuba,  
późnym wieczorem*

**P**lac Orła Białego na Starym Mieście rozbrzmiewał śmiechem i muzyką dochodzącymi z licznych restauracji i kawiarenek. Powoli pogrążał się w aksamitnym półmroku długiego letniego wieczoru. Na wschodzie, nad wysokimi dachami budynków z lat sześćdziesiątych całkiem udatnie wpisanymi w miejsca po dawnych kamieniczkach, rozlewała się już czerni, na zachodzie, nad pałacem Pod Globusem, siedzibą Akademii Sztuki, niebo jaśniało jeszcze czerwienią i fioletem.

Południową pierzeję placu zamyka ogromna bryła katedry, morze czerwonych cegieł nakryte oceanem blachy miedzianej. Nad wzniesioną w dwunastym wieku bazyliką góruje stujedenaśmetrowa wieża, która czyni szczecińską świątynię najwyższym kościołem w Polsce. Nie licząc oczywiście Lichenia, ale kto by tam brał pod uwagę Licheń. Przed wojną wieża była jeszcze wyższa, ale zbombardowana przez aliantów runęła malowniczo i katastroficznie na korpus kościoła, niszcząc kilkusetletnią drewnianą więźbę, część gotyckich sklepień, a także dachy sąsiednich kamienic. Odbudowano ją dopiero w dwa tysiące ósmym roku.

Główne, używane dzisiaj wejście do katedry usytuowane jest w bocznej elewacji, od strony placu, ale tego lata prace konserwatorskie przy północnej ścianie kościoła spowodowały, że do wnętrza wiodły tylko ogromne wierzeje z brązu w fasadzie zachodniej. Pod samą wieżą, wznoszącą się nad niewielkim placikiem, na którym do wojny, na wysokim postumencie stało popiersie szczecińskiego kompozytora Carla Loewe. Dzisiaj stoi tutaj posąg Matki Boskiej.

Na powoli pogrążający się w mroku placyk przed wejściem do katedry przez otwarte drzwi wylewało się światło z wnętrza kościoła. Pod ścianami świątyni stało parę osób zatopionych w cichych rozmowach, a ze środka dobiegały dźwięki muzyki. Międzynarodowy Festiwal Organowy jak co roku przyciągnął do katedry tłum miłośników muzyki poważnej, którzy słuchali właśnie w skupieniu preludium organowego Johanna Sebastiana Bacha.

Dwie kobiety oderwały się od niewielkiej grupki palących papierosy osób i ruszyły w kierunku wejścia. Minęły wykute z brązu otwarte na oścież wrota, nad którymi wyryty był napis „Otwórzcie drzwi Chrystusowi”, weszły do nawy głównej i, starając się robić jak najmniej hałasu, zajęły swoje miejsca. Środkowa nawa, nakryta niebotycznymi sklepieniami, z których zwieszały się żyrandole, biegła wprost ku prezbiterium, gdzie nad współczesnym stołem ołtarzowym wisiał tryptyk zbudowany ze zniszczonych ołtarzy z kilku pomorskich kościołów. Do roku czterdziestego czwartego stał w tym miejscu ogromny, sięgający aż do sklepienia barokowy ołtarz wykonany przez pomorskiego rzeźbiarza Erharda Löfflera.

Muzyka przelewała się nad głowami pogrążonych w ciszy słuchaczy, rozbrzmiewający od dłuższego czasu główny temat utworu właśnie powoli zbliżał się do kody. Głębokie tony organów cichły, przygotowując słuchaczy do finału, gdy nagle wnętrzem katedry targnął wybuch.

Właściwie nie był jakiś spektakularny, bardziej przypominał wystrzał z pistoletu lub odpalenie ogni sztucznych, ale w ogromnym, sklepionym wnętrzu przypominał detonację.

W kościele rozległy się krzyki kilku przestraszonych kobiet, a siedzący najbliżej wybuchu poderwali się w ławkach i rozglądali z przerażeniem dookoła.

Do preludium Bacha wkradł się fałszywy ton, po czym organy zamilkły.

W nawach katedry narastała panika. Kilka osób siedzących po zewnętrznych stronach ław kościelnych rzuciło się pospiesznie do wyjścia.

Jakaś kobieta nagle zadarła głowę i krzyknęła głośno, patrząc na szczyt nawy głównej. Kilka osób powędrowało wzrokiem za jej spojrzeniem, a po

chwili cała zgromadzona w kościele publika z osłupieniem obserwowała przedziwne widowisko.

Z kołyszącego się z cichym skrzypieniem żyrandola, wirując i migocząc w światłach kinkietów, na głowy zdezorientowanych gości festiwalu organowego spadał deszcz malutkich kolorowych iskierek.

Dopiero gdy kilka sfrunęło na elegancką czarną suknię jakiejś nobliwej starszej pani i osiadło na jej ramieniu, okazało się, że to płatki kwiatów.

To były setki migotliwie łopoczących płatków kwiatów, które po chwili miękkim dywanem zasłały kamienną posadzkę kościoła.



## Rozdział 5

*WTEDY...*

*Norwegia, 21 lutego 1944 roku*

**P**ierwsza cysterna wypłynęła jeszcze tej samej nocy, kiedy zatonął przewożący ją prom. Z głuchym łoskotem kruszących się kawałków lodu uderzyła o taflę jeziora, chwilę pokołysała się na granatowej powierzchni wody i zaczęła powoli dryfować w kierunku brzegu. Towarzyszyła jej metaliczna muzyka kryształków lodu obijających się o stalowe ściany. Gdy niebo nad ośnieżonymi szczytami okolicznych gór pojaśniało, po ciemnym, gładkim i lodowato zimnym lustrze jeziora pływały już cztery cysterny.

W oknach nielicznych tutaj domów, przycupniętych nad wodą, u stóp wysokich kamienistych wzniesień, światła zaczęły się zapalać już około szóstej rano. A zaraz potem na brukowanej drodze, wijącej się wzdłuż brzegów jeziora, rozległ się warkot ciężarówek i motocykli. Chwilę później od strony przystani nadpłynął niewielki kuter rybacki, a za nim kolejny.

Gdy wybiła siódma, niebo przejaśniało, a kłębiące się nad górami chmury rozpierzchły się, ukazując na moment skrawek błękitnego nieba. O tej porze roku zagubione wśród norweskich gór jezioro wyglądało jak z bajkowych północnych opowieści, lodowych sag o elfach i trollach albo ludziach ognia i lodu.

Samochody zatrzymały się na poboczu drogi tuż obok skarpy, która łagodnie opadała w kierunku brzegu. Kilkanaście metrów od niego, za linią poszarpanego przez wodę lodu, kołysał się uwięziony w jego białych kleszczach stalowy kontener.

Z ciężarówek wysypała się gromada ubranych w ciemnozielone gumowe spodnie mężczyzn i uzbrojona w długie liny i bosaki ruszyła na lód.

Z kolejnego samochodu wyskoczyli, jeden po drugim, ubrani w czarne mundury żołnierze i z przewieszonymi przez ramię karabinami maszynowymi ustawili się wzdłuż drogi, rozglądając się czujnie dookoła.

Kilka pierwszych prób oplecenia cysterny linami nie powiodło się, ale za którymś razem sznury zaczepiły się skutecznie. Mężczyźni w rybackich kombinezonach zaczęli przeciągać liny w kierunku jednej z ogromnych ciężarówek, na której zamocowany był niewielki hydrauliczny podnośnik. Operacja trwała ponad godzinę, ale w końcu stalowy kontener znalazł się na pace ciężarówki, a grupa żołnierzy szybko zamykała burty i naciągała plandekę na stalowy ruszt.

Trzy pozostałe cysterny, które uwięzły w zamrożonych szuwarach przeciwnego brzegu, zostały podniesione przez kutry. Dochodziła dziesiąta, gdy ciężarówki, jedna za drugą, z basowym warkotem wysokoprężnych silników skierowały się w kierunku miasteczka, a drugi z kutrów zniknął właśnie w porannej mgle, wciąż unoszącej się nad jeziorem.

## Rozdział 6

*poniedziałek 29 lipca*

**P**iotr, z łokciami na stole i głową wspartą na splecionych dłoniach, od dłuższego czasu siedział nieruchomo i wpatrywał się w swój monitor. Co jakiś czas fukał z wyraźną irytacją.

Paulina w końcu nie wytrzymała, podniosła głowę znad rozłożonych na stole notatek i spojrzała na kolegę.

– Co ty tam czytasz?

– Widziałaś, co ta Ulka napisała? – spytał Piotr ściszym głosem, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Co takiego napisała?

– No jak to co? – Piotr rzucił Paulinie spojrzenie, w którym malowały się niedowierzanie i uraza. – O aferze w katedrze.

– Ulka?

– No Ulka. Przecież ona jest u nas kulturalno-kościółowa. Akurat była tam na koncercie. Widziała wszystko na własne oczy, a takie rzeczy wypisuje.

Paulina, skupiona jeszcze przed chwilą nad swoim artykułem na temat korków w Szczecinie i przebudowy kolejnych ulic, dopiero po chwili przypomniała sobie, o czym przez cały weekend pisały wszystkie szczecińskie portale i strony na Facebooku.

– A co napisała?

Piotr obruszył się ponownie.

– Zacytuję ci: „...gwałtowny wybuch przerwał podniosły religijny koncert” albo to: „Czy mamy do czynienia z kolejną próbą znieważenia

wartości chrześcijańskich?”.

– I co w tym niezwykłego? Przecież ktokolwiek to zrobił, taki właśnie efekt chciał osiągnąć.

Piotr spojrzał na Paulinę i wyduł usta.

– I uważasz, że powinniśmy pisać o tym w taki sposób? Jeszcze jeden cytat w takim razie: „Pojawiły się spekulacje na temat ekoterroryzmu”.

Paulina obrzuciła spojrzeniem leżące przed nią wydruki rozmaitych dokumentów i wzruszyła ramionami.

– To nie znaczy, że to jej zdanie.

– Oj, nie broń jej! – Piotr pokręcił głową. – To dokładnie zdanie Ulki, tyle tylko, że wygodnie schowała się za bezosobową formą.

Paulina westchnęła. Konflikt pomiędzy Ulką a Piotrem zaczął się niecały miesiąc temu, gdy w ferworze jakiejś redakcyjnej dyskusji palnęła coś o ekstremistach, którzy chcą zmusić wszystkich do przejścia na weganizm. Kontekstem rozmowy były zamieszki w Londynie, zorganizowane przez radykalny odłam angielskiej proekologicznej grupy Extinction Rebellion, starającej się zmusić rząd do ograniczenia przemysłowej produkcji żywności i krytykującej jego bezczynność w kwestii zmian klimatu. Kłótnia pomiędzy Piotrem a Urszulą osiągnęła taką temperaturę, że od tamtego czasu unikali ze sobą kontaktu.

Piotr przesunął ze złością swój laptop i sięgnął po kubek z kawą.

– Jeszcze tylko o tęczowej zarazie nie napisała – mruknął. – Ale to chyba wyłącznie przez ograniczoną ilość miejsca.

– Nie musiała. – Paulina uśmiechnęła się pod nosem. – Kilka portali już to zrobiło. Ktoś nawet wygrzebał tę durnowatą historię gejbombera z Warszawy.

– Czytałem. Natomiast o tym, w jaki sposób worek z materiałem wybuchowym znalazł się w zworniku sklepienia, Ulka oczywiście nie napisała. Tak się skupiła na swoich urażonych uczuciach religijnych, że praktycznie w jej artykule nie ma żadnych merytorycznych treści.

– A ktoś coś o tym napisał? – Paulina odkleiła wzrok od klawiatury. – Słuchałam rzeczniczki prokuratury i policjantów, którzy mówili, że za wcześnie na jakiegokolwiek teorie.

– W katedrze trwa właśnie remont elewacji północnej, stoją przeciw rusztowania. Dach też siłą rzeczy przebudowują. Ktoś mógł się dostać po rusztowaniu na strych i tamtędy wsunąć plecak.

– W jaki sposób? Przecież w sklepieniu nie ma dziur.

– A właśnie że bywają. Takie otwory, z których zwisają łańcuchy żyrandoli. Od biedy ktoś mógł przecisnąć przez nie plecak. W środku był zapalnik czasowy albo coś uruchamianego radiem.

– Jeśli ktoś w nocy włąził na rusztowania, to na pewno kamery go złapały. – Paulina zmierzyła Piotra baczным spojrzeniem. – A skąd ty tyle wiesz o architekturze sakralnej?

– Tam nie ma żadnych kamer. Na pewno ten ktoś zadbał, żeby nikt go nie rozpoznał. Nic nie wiem o architekturze sakralnej. Kiedyś w Anglii zwiedzałem taką wieżę i tam pokazywali, jak specjalnym kołowrotem opuszcza się żyrandol, żeby go umyć albo naprawić.

Paulina uśmiechnęła się z aprobatą. Sama chyba widziała takie rozwiązania w jakimś zamku.

– Ale skąd kwiaty? Co to może znaczyć? – Spojrzała pytająco na Piotra.

Przez cały weekend wszystkie szczecińskie gazety o niczym innym nie pisały. Naczytała się rozmaitych teorii próbujących wyjaśnić znaczenie płatków kwiatów, które spadły ze sklepienia katedry. Od jakiegoś artystycznego happeningu począwszy, na ekoterroryzmie kończąc.

– Może ktoś się dopiero odezwie – zawyrokował Piotr. – Wypuści jakiś mail do mediów. Gdybym ja to zrobił, to odczekałbym kilka dni, żeby wszystko się najpierw przewaliło w gazetach i dopiero wtedy bym napisał, czego chcę.

– Te drobiny kwiatów siłą rzeczy kojarzą się z jakimiś ekotematami. Jak ktoś chciał narobić szumu, to trzeba mu przyznać, że wybrał naprawdę dobre miejsce.

– Dlaczego właściwie nam nie dali tego tematu? – Piotr łypnął w kierunku przeszklenia oddzielającego gabinet naczelnego.

– Bo Marcin czeka na powrót Pawła. On wcale nie ukrywa, że to zastępstwo mu nie pasuje – stwierdziła Paulina. – Robi wszystko po linii

najmniejszego oporu. Ulka była w katedrze, więc najlepiej się nadawała do napisania artykułu na ten temat. Proste.

Piotr westchnął.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że kiedyś zatęsknię za Pawłem. Myślałem, że po naszym artykule na temat promu i mafii od razu dostanę do podpisania umowę o pracę, a tu masz. Paweł wciąż na chorobowym, a ja dalej na śmieciówkach robię.

Paulina chciała właśnie wspomnieć, że sama pracowała na umowę o dzieło przez dwa lata, ale przy wejściu zrobiło się nagle jakieś zamieszanie. Słysząc było dochodzące zza drzwi głośne rozmowy, śmiech i w końcu stanęły otworem.

A w nich pojawiła się uśmiechnięta od ucha do ucha Urszula. Przytrzymała drzwi wchodzącej za nią kobiecie. Kobieta była szczupła, żeby nie powiedzieć, chuda, miała proste jasne włosy, które opadały jej luźno na ramiona, a na sobie szarą elegancką garsonkę. Rozejrzała się po redakcji i zrobiła kilka kroków w kierunku gabinetu naczelnego. Marcin, zastępca Pawła, na jej widok podniósł się i szybko wyszedł na zewnątrz. Przywitał się, wymienili się cicho jakimiś uwagami, a następnie Marcin odwrócił się i wskazując ręką kobietę, przemówił do wszystkich.

Głosy i śmiechy powoli ucichły i zapanowała względna cisza.

– Proszę o chwilę uwagi. Muszę wam powiedzieć o pewnych drobnych zmianach. Jak wiecie, moje obowiązki dotyczą spraw administracyjnych i biurowych, natomiast kwestiami redakcyjnymi zajmował się zawsze Paweł. Miał już do nas wrócić w tym tygodniu, ale lekarz zalecił mu rehabilitację, która może potrwać niestety nawet dwa miesiące. Na ten czas nasi szefowie zdecydowali się powierzyć obowiązki redaktora naczelnego pani Julii Przeworskiej.

Marcin odwrócił się do stojącej obok kobiety.

– Dzień dobry – powiedziała z chłodnym uśmiechem. – Nazywam się Julia Przeworska. Jestem, a właściwie byłam do tej pory, zastępcą redaktora naczelnego wydania stołecznego. Poproszono mnie o poprowadzenie „Dziennika Szczecińskiego” do powrotu pana Pawła. Mam nadzieję, że będzie nam się doskonale współpracowało.

– Pani Julia przejrzy wszystkie nasze bieżące teksty, zwłaszcza te przygotowywane do druku na przyszły tydzień. Umówiliśmy się...

– Umówiliśmy się – Przeworska delikatnie weszła w słowo Marcinowi – że wszystkie artykuły przewidziane na jutro i pojutrze idą bez żadnych zmian. Raczej trudno byłoby je w takim trybie wprowadzić. Natomiast o tekstach na drugą część tygodnia będę chciała porozmawiać z każdym z państwa osobno.

– Mój artykuł o drogach ma być na piątek – mruknęła Paulina, spoglądając na Piotra.

– A ja mam dwa sponsorowane – jęknął Piotr. – Oba muszą być skończone na połowę sierpnia.

– One są dobrze płatne, więc nie jęcz. Ja liczyłam na to, że od środy za tydzień wezmę jeszcze trzy dni wolnego, ale w tej sytuacji...

– Przecież idziesz za dwa tygodnie na urlop. – Piotr spojrzał na nią ze zdziwieniem. – I jeszcze chcesz wcześniej brać jakieś dni wolne?

– Ale w środę siódmego przyjeżdżają do Szczecina moi znajomi. Myślałam, że będę miała czas, żeby ich oprowadzić po mieście.

– Problemy wielkiego świata. A inni muszą tutaj na śmieciówkach pracować. Bez urlopu – westchnął ciężko Piotr.

Paulina spojrzała na niego z drwiącym uśmiechem.

Tymczasem Marcin powiedział jeszcze kilka słów na temat bieżących spraw i po chwili oboje z Przeworską zniknęli za szklanymi drzwiami aneksu naczelnego.

Igor wyciągnął z tylnego siedzenia torbę, trzasnął drzwiami i zamknął samochód. Rozległo się ciche piśnięcie i toyota mrugnęła pogodnie światłami.

Znalezienie w okolicach urzędu miasta miejsca do zaparkowania o tej porze graniczyło z cudem. Czasami trzeba było stanąć kilkaset metrów dalej, a potem drałować piechotą. Ale cuda się czasem zdarzają i dzisiaj akurat, gdy Igor robił drugie kółko, z miejsca tuż przed fontanną wyjeżdżał właśnie jakiś samochód.

Igor ruszył w kierunku głównego wyjścia. Westchnął i sięgnął do kieszeni. Na telefonie odszukał odpowiednią aplikację i ustawił parkowanie na funkcję start/stop. Zapomni oczywiście wyłączyć ją po powrocie do samochodu, a system powiadomi go wieczorem, że czas parkowania na dzisiaj dobiegł końca. I zapłaci majątek.

Małe codzienne przyjemności. Smak życia.

Pchnął drzwi i wszedł do holu urzędu. Miał do załatwienia kilka uzupełnień w projekcie, który już od dwóch miesięcy leżał na jakimś biurku w administracji budowlanej.

Wszedł na schody i po chwili długim korytarzem, z oknami wychodzącymi na dziedziniec wewnętrzny gmachu, zmierzał w kierunku pokoiów wydziału Śródmieście.

– Igor? – usłyszał za plecami męski głos.

Odwrócił się i zobaczył idącego w jego stronę uśmiechniętego inspektora z wydziału zamówień publicznych.

Krzysiek. Poznali się dawno temu podczas rozmów związanych z jakimś sporym projektem, w który zaangażowany był inwestor z Berlina. Potem spotkali się przypadkowo na imprezie u wspólnych znajomych i obaj stwierdzili, że całkiem dobrze się dogadują.

– Witam pana urzędnika wysokiego szczebla. – Uśmiechnął się do kolegi.

– Witam pana architekta dużego kalibru. Co ty tutaj robisz? – Krzysiek przewrócił oczami. – Niezłe pytanie, co?

– Super.

– Śródmieście?

– Poprawki do projektu.

– Coś ciekawego?

Igor wzruszył ramionami.

– Adaptacja poddasza. Kompletnie nic ciekawego.

– À propos projektów... – Krzysiek wycelował nagle palec w pierś Igora. – Słyszałem, że to ty miałeś robić dokumentację konserwatorską spichrzów na Łasztowni.



Igor przytaknął.

– No tak, ale nic z tego nie wyszło. Podwykonawca ma jakieś kłopoty.

– No my wiemy o tym najlepiej – Krzysiek się uśmiechnął. – Generalny wykonawca i między nami mówiąc – ściszył głos – przyszły nabywca tego terenu Docklands Developer ma przez niego spore opóźnienie. To jest duże konsorcjum z Poznania. Mogą się pochwalić realizacją kilku naprawdę sporych, prestiżowych inwestycji. Miasto powinno zrobić wszystko, żeby ich tutaj zatrzymać.

Igor smętnie pokiwał głową. Wolał nie pytać o kulisy sprzedaży działek na Łasztowni. Wszystko na pewno przebiegało zgodnie z prawem.

Przez chwilę się zastanawiał, skąd ma dzisiaj w sobie tyle cynizmu, i na moment przestał słuchać. Oprzytomniał dopiero, gdy usłyszał, że Krzysiek wspominał coś o Rogali.

– Jakaś paranoja. Był tutaj u mnie jakieś dwa tygodnie temu, żeby porozmawiać za plecami tych z Docklands o terminach, ale ja mu powiedziałem, że my nie mamy nic do tego. A już wtedy wiedzieliśmy, że poznaniacy chcą zerwać z nim współpracę i rozmawiają z jakąś firmą, która zaoferowała dobry termin. A teraz taka afera. Ale ja myślę, że to jakiś wkręt.

Igorowi głupio było pytać, o jaką aferę chodzi, i przyznać się tym samym, że nie słuchał, więc przytaknął, mając nadzieję, że Krzysiek zaraz powie coś, co naprowadzi go na ten wątek.

– Z drugiej strony nie chce mi się wierzyć, żeby robili aż taki szwindel z zaginięciem. Przecież ona nie wprowadzałyby chyba w błąd policji.

– Policji? Jakiej policji? Kto? – Igor spojrzał na kolegę zaskoczony.

Krzysiek pochylił się do Igora.

– To nieoficjalne. Nie rozgaduj tego na prawo i lewo. Żona Rogali zgłosiła jego zaginięcie.

– Zaginięcie? – Igor otworzył szeroko oczy. – Przecież ja z nią niedawno rozmawiałem. Zaraz, kiedy to było? – Zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć. – W zeszły poniedziałek. To był dwudziesty drugi. Mówiła, że Szymon zatrzymał się u rodziców. Miał wrócić we wtorek najpóźniej.

– A dwudziestego piątego, w czwartek, złożyła zawiadomienie na policji. – Krzysiek się zasepił. – Wiem, bo dzwonił do nas dzisiaj rano. To świeża sprawa. Tylko pamiętaj, nie gadaj o tym z nikim. Za kilka dni i tak będą musieli to ogłosić.

Igor ze wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni myślał o tych trzech tysiącach, które Rogala przelał mu na konto dwa miesiące temu. Będzie musiał czym prędzej oddać Monice tę kasę. Boże! Dlaczego myśli teraz o takich bzdurach, przecież facet zaginął. Ale jednak trzy koła piechotą nie chodzą, ona zwłaszcza teraz może tych pieniędzy potrzebować.

– Dobra, muszę lecieć – stwierdził Krzysiek. – Te badania konserwatorskie, tak czy siak, będzie trzeba zrobić. Prześlę ci numer do menadżera projektu poznaniaków. Może zadzwoń do niego? Przecież nikogo lepszego nie znajdą.

Igor uśmiechnął się do odchodzącego kolegi i ruszył w kierunku wydziału Śródmieście.

Paulina zasunęła szklane drzwi i spojrzała na siedzącą przed monitorem nową naczelną.

– Proszę. – Przeworska, nie podnosząc wzroku, skinęła ręką w kierunku fotela po drugiej stronie biurka.

Paulina usiadła.

Pomyślała, że znowu czuje się w tym fotelu jak wtedy, gdy kilka lat temu zaczęła pracować w „Dzienniku Szczecińskim” i wydawało jej się, że Pawłowi osobiście zależy na tym, żeby zniszczyć jej początkującą karierę dziennikarską. Mimo że gazeta zmieniła już dwukrotnie siedzibę, fotel wciąż był ten sam.

– Czytam właśnie pani artykuł, ten, który ma iść w piątek. – Przeworska stuknęła długim paznokciem w klawiaturę, przesuwając kilka linii tekstu na ekranie.

– Nie skończyłam tego jeszcze. – Paulina się uśmiechnęła. – Marcin chciał rzucić okiem na to, co już jest. Został mi jeszcze jeden akapit i chciałam całość przeredagować.

– No to będzie raczej konieczne – mruknęła Przeworska pod nosem, w dalszym ciągu nie odrywając wzroku od ekranu.

Paulina chciała od razu spytać dlaczego, ale w porę ugryzła się w język. Przypomniała sobie, że to nie Paweł siedzi po drugiej stronie biurka.

– Okej. – Naczelną skończyła w końcu czytać i odsunęła się od blatu. – Słyszałam o pani wiele dobrego. – Zlustrowała Paulinę taksującym spojrzeniem. – Pani ostatni artykuł o katastrofie na Bałtyku miał przedruki w całym kraju. Gratuluję.

– Dziękuję. – Paulina uśmiechnęła się skromnie. – Akurat znalazłam się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

– Właśnie – przytaknęła Przeworska.

Paulina spojrzała na nią z ciekawością.

– Słucham?

– Miała pani po prostu dużo szczęścia. Zresztą pani poprzednie teksty także wykazywały tę samą prawidłowość.

– A co w tym niewłaściwego, przepraszam?

– Ależ to oczywiście bardzo ważne, żeby znaleźć się w centrum wydarzeń. Absolutnie tego nie neguję, ale musi mi pani przyznać, że dziennikarstwo nie może się opierać wyłącznie na szczęściu. Dobry dziennikarz musi mieć nosa. Musi sam kreować wydarzenia, umieć przewidzieć, gdzie się znaleźć, a nie opierać się wyłącznie na tym, co mu los akurat podetknie.

– Nie bardzo dostrzegam różnicę.

– Pani Paulino... – Naczelną rozparła się w fotelu i wbiła wzrok w monitor. – Jeśli kolejny pani tekst powstaje wyłącznie dlatego, że w wyniku całkowitego zbiegu okoliczności znalazła się pani w odpowiednim miejscu, to coś jest chyba nie w porządku, prawda?

– Jeśli chodzi o ostatni artykuł, to nie do końca tak było.

– Przecież pani sama to powiedziała. – Przeworska przerwała Paulinie i spojrzała na nią pobłaźliwie.

Przez moment mierzyły się wzrokiem.

– Pani Paulino... – Naczelną w końcu się uśmiechnęła. – Proszę po prostu przemyśleć to, co pani powiedziałam, i wyciągnąć wnioski. A teraz, jeśli chodzi o artykuł na temat nowych połączeń drogowych i przebudów...

Paulina zacisnęła zęby i opuściła wzrok.

Każdy przynajmniej raz w życiu spotkał kogoś, kogo nie lubił od pierwszego wejrzenia. Zazwyczaj taka relacja opierała się na wręcz automatycznym działaniu sobie na nerwy. Tak jakby dwie osoby miały jakieś odmienne ładunki albo pola magnetyczne, które wzajemnie się odpychały. Paulina, praktycznie od pierwszej chwili, gdy tylko weszła do gabinetu i zasunęła za sobą drzwi, wiedziała, że dokładnie tak właśnie jest z Przeworską.

Piotr, patrząc jednocześnie w kierunku aneksu naczelnego, a właściwie naczelną, nerwowo przeglądał linijka po linijce swoje tłumaczenia dwóch reklamowych artykułów technicznych. Nagle zadzwonił jego telefon.

Zdenerwowany spojrzął na wyświetlacz.

Mateusz. Dobry kolega z czasów studiów, z którym od pewnego czasu utrzymywał ponownie bliższe kontakty. Mieli przerwę, kiedy każdy skończył studia i zaczął pracę. Mati w dodatku był w stałym poważnym związku, nawet myślał o ślubie, więc łącząca ich niegdyś przyjaźń zaczęła w pewnym momencie blednąć. Zbliżył ich ponownie artykuł, nad którym Piotr pracował z Pauliną, a Mati, z racji swojej specjalności – transport i logistyka – okazał się bardzo pomocny.

– Cze, Mati, co tam? Nie mogę za bardzo gadać, bo mamy tu nową naczelną. – Piotr schował się za swoim monitorem.

– Uuu. Ładna?

– A tam ładna, kogo to obchodzi?

– No raczej nie ciebie, faktycznie – zarechotał Mati. W tle słychać było muzykę. Jakiś letni rytmiczny kawałek.

– Mów, co tam, bo mnie zaraz wywalą.

– Słuchaj, mam coś dla ciebie. Może cię zainteresuje. Słyszałeś na pewno o tym wybuchu w katedrze.

– Ja w gazecie pracuję, czaisz?

– Tak, jasne. No więc wyobraź sobie, że ja tam byłem!

Na moment zapadła cisza.

– Jak to? Byłeś na tym koncercie?! – Piotr spytał z niedowierzaniem.

– Martyna lubi takie rzeczy, wiesz przecież. Ja myślałem, że umrę z nudów. Takie rzępolenie to jakaś masakra była.

– Nie mów, że zrobiłeś fotki?

– Lepiej. Nagrałem to! – Mati zachichotał. – Podeślę ci zaraz, ale nie o to chodzi.

– A o co? Mów!

– Słyszałeś, że tam były płatki kwiatów? Różnych kwiatów, bardzo kolorowe. Pozbierałem trochę i zabrałem ze sobą. Materiał do badań.

– Policja zapewne już się tym zajmuje. – Piotr poczuł się trochę rozczarowany.

– To nie wszystko – mruknął tajemniczo kolega.

Przez chwilę znowu trwała cisza.

– Jezu, jak ty mnie wkurzasz! – warknął Piotr. – No mów!

– Nigdzie o tym nie napisali ani nie mówili, ale razem z kwiatkami tam spadło kilka malutkich karteczek. Część była nadpalona po tym wybuchu, ale udało mi się znaleźć całą.

– Karteczek? Porwany papier jako wypełniacz? Oprócz płatków?

– Nie. – W głosie Matiego słychać było zaaferowanie. – Na tych kartkach były jakieś dziwne znaki.

– Żartujesz? – Piotr otworzył szeroko oczy. – I masz to?

– Zaraz ci podeślę fotkę. A jak będziesz chciał, to ten woreczek z płatkami kwiatów też ci dam. Jutro będę w pobliżu.

– Jasne. A co to za znaki? Przyjrzałeś się? Liczby? Litery?

– Nie mam pojęcia. Wyglądają jak jakiś wzorek. Może to zresztą nic nie znaczy i rzeczywiście razem z płatkami było trochę pociętego papieru, ale popatrz na to uważnie. Może coś wymóźdzysz.

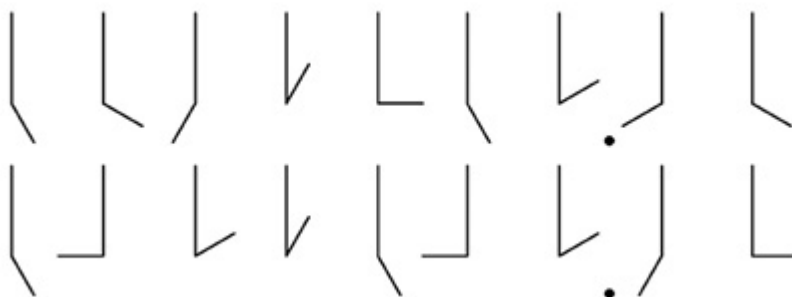
Piotr pożegnał się z kolegą i wbił wzrok w ekran komórki, czekając na wiadomość. Po chwili rozległo się piśnięcie i ukazała się malutka koperta.

Otworzył Messenger i pochylił się nad telefonem. Na ekranie widać było dwa rzędy kresek. Właściwie znaków, które składały się z kresek. Dwa rzędy po dziewięć znaków.

Piotr nie miał pojęcia, co znaczą. Pierwszy raz widział coś takiego.

Odłożył komórkę i sięgnął po laptop. Otworzył Facebook i wszedł do zakładki Messengera. Skopiował fotografię i przeniósł ją na pulpit.

Po chwili otworzył ją na całym ekranie.



Znaki najwyraźniej napisane były w jakimś programie graficznym, a następnie wydrukowane. Były zbyt regularne jak na ręczną robotę.

Paulina czuła, że wszystko zaczyna się w niej gotować, zaczęła więc sobie powtarzać w duchu, że każdy ma prawo do krytyki i do swojego zdania i że nie powinna mieć z tego powodu do nikogo pretensji. Zwłaszcza jeśli to nowa naczelna. Poprawka – pełniąca obowiązki naczelnej – skorygowała złośliwie w myślach.

– To nie jest temat tego artykułu. – Przeworska patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby miała do czynienia z wyjątkowo namolnym insektem. – To ma być tekst informacyjny.

– To jest właśnie konkretna informacja. – Paulina wskazała brodą laptop naczelnej, na którego ekranie wciąż otwarty był jej nowy artykuł.

– Tyle że naszą intencją w tym momencie nie powinno być kierowanie uwagi czytelników na tę problematykę. Już i tak wywołuje ona ogromne kontrowersje.

– Na potrzeby budowy tego parkingu miasto planuje wycięcie dokładnie dwustu sześćdziesięciu siedmiu drzew. Dwustu sześćdziesięciu siedmiu! –

powtórzyła Paulina z naciskiem. – To jest jeden z najważniejszych aspektów tej inwestycji. Nawet radni o tym rozmawiali.

– Ja tego nie kwestionuję, ale w swoim artykule powinna się pani skupić wyłącznie na wypunktowaniu aspektów dotyczących tej inwestycji, na powstających z tego powodu problemach komunikacyjnych, ale i w efekcie na poprawie warunków. Kwestie ekologii są nie na temat, zwłaszcza że pani dywaguje.

– Kto powiedział, że powinnam się skupić wyłącznie na problemach komunikacyjnych? I w jakiej niby kwestii ja dywaguję?!

– W kwestii możliwości realizacji tego parkingu bez wycinki. Z tego, co wiem, to są gotowe koncepcje, analizy, a pani ot tak sobie teoretyzuje...

– Projekt zakłada po prostu usunięcie wszystkich drzew i budowę miejsc postojowych. Natomiast wykonanie dokładnej inwentaryzacji dendrologicznej i naniesienie wszystkich drzew na podkład geodezyjny umożliwiłoby uratowanie znacznej ich części. Te drzewa można by było bez trudu wkomponować w parking. No ale miasto woli oszczędzić tych kilkadziesiąt tysięcy złotych i nie zlecać inwentaryzacji, prościej jest wyrząć pół lasu. Dzięki temu można oszczędzić wykonawcy dodatkowej roboty. No i nie trzeba wydawać pieniędzy na zabezpieczanie pni i wytyczanie miejsc postojowych pomiędzy drzewami.

– Czy pani jest urbanistą, przepraszam bardzo? – Przeworska spojrzała na Paulinę z nieukrywaną drwiną. – A może architektem krajobrazu? Nie? Dendrologiem może?

Paulina policzyła w myślach do dziesięciu.

– Przecież to oczywiste, że to nie moja wiedza – odpowiedziała Paulina spokojnie. – Konsultowałam te kwestie z architektem i projektantem zieleni. To nie są żadne bezpodstawne oskarżenia ani moje prywatne dywagacje.

– Nieważne – odpowiedziała naczelna ze zniecierpliwieniem. – Jesteśmy gazetą informacyjną, a nie jakimiś „Faktami i mitami”, nie mamy za wszelką cenę szukać sensacji. Wydaje mi się, że pani problem polega na tym, że uznała się pani za dziennikarkę śledczą i z każdej zwykłej sprawy usiłuje pani zrobić sensację. Jeśli chcemy napisać o korkach, a pani nagle pisze o wycinaniu drzew, to coś chyba jest nie halo, prawda?

Paulina słuchała tej przemowy z opuszczoną głową, bynajmniej nie z powodu skruchy, po prostu nie chciała, żeby naczelną zobaczyła błyski wściekłości w jej oczach. Podniosła wzrok.

– Co jest nie halo? – spytała, siląc się na spokój.

– Łączenie własnych poglądów z artykułem na temat zupełnie neutralnego problemu, jakim są korki na ulicach oczywiście.

– Według pani ważniejszym problemem w kontekście tej budowy jest to, że ktoś pół godziny dłużej będzie trzymał dupę w klimatyzowanym wnętrzu swojego SUV-a niż to, że miasto zamierza wyciąć trzysta starych drzew?!

Przez dłuższą chwilę mierzyły się wzrokiem. Przeworska westchnęła.

– Pani Paulino – powiedziała, pochylając się nad laptopem. – Proponuję skończyć tę rozmowę. Proszę zostawić w tekście informację o wycinie drzew, ale w takiej formie, żeby czytelnicy mogli sami wyrobić sobie zdanie na ten temat, a te dywagacje urbanistyczne proszę usunąć. Kolejna sprawa, którą mam do pani, to tekst na następny tydzień. Chciałabym, żeby poszedł w czwartek, najpóźniej ósmego sierpnia.

Piotr starannie wyczyścił zdjęcie z dziwaczną grafiką, wyostrzył krawędzie wszystkich symboli, z każdej strony odciął niepotrzebne fragmenty fotografii, pozostawiając jedynie same znaki, i przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu. Pomyślał, że teraz wreszcie można spróbować poszukać czegoś w necie. Zaczął od zwyczajnej wyszukiwarki obrazów Google. W efekcie po chwili na ekranie otworzyła się kolekcja obrazków z rozmaitymi znakami, od hieroglifów z jakichś stron archeologicznych począwszy, na schematach elektrycznych kończąc. Nic w zasadzie nie odpowiadało dokładnie znakom z grafiki, choć kilka obrazków nawet je przypominało. Na szóstej stronie zaczęły już pojawiać się rzeczy coraz mniej związane z motywem ze zdjęcia, połączone jedynie luźno czarno-białą kolorystyką lub prostym zestawieniem linii.

Piotr ściągnął zdjęcie na pulpit i uruchomił wyszukiwarkę Bing. Rzekomo Microsoft wyszukiwał bardziej użyteczne informacje, opierając się na naturalnych i prostych analogiach. Miał także przyjaźniejszy mechanizm oglądania wyników, nie trzeba było otwierać kolejnych stron,



a wyszukane zdjęcia pojawiały się w jednym ciągu, jak na Instagramie. Po chwili na ekranie ukazał się ciąg ilustracji.

Piotr przewijał powoli ekran, patrząc na pojawiające się coraz to nowe grafiki i symbole. Zatrzymał się na moment na ciągu esów-floresów, które okazały się jakimś masońskim szyfrem templariuszy. Otworzył jeden z linków, a na boku przywołał kod, który dostał od Matiego.

Zmodyfikowany szyfr masoński, którym posługiwał się Wolnomularski Zakon Rycerski, jak natychmiast przeczytał w Wikipedii, różnił się od tradycyjnego tym, że litery szyfru wpisywane były nie w kratownicę, ale w krzyż maltański. Piotr przez chwilę kontemplował znaki ze swojego szyfru, ale nawet w dużym uproszczeniu nie miały one zbyt wiele wspólnego z tym, co widział na ekranie.

Zniechęcony zamknął wyszukiwarkę i wpatrywał się w dwa rzędy tajemniczych kresek, usiłując znaleźć w nich jakąś regularność lub zasadę. Może to ciąg arytmetyczny, czy geometryczny albo coś w tym stylu? Dumanie nad szyfrem tak go pochłonęło, że nawet nie zauważył, jak do swojego biurka wróciła Paulina. Dopiero głośny trzask jej klawiatury wyrwał go z transu. Jeden rzut oka na jej minę wystarczył, żeby stwierdzić, że rozmowa na temat masońskiej grafiki nie wchodzi aktualnie w rachubę.

– Co się stało? Co powiedziała? – spytał z niepokojem, wpatrując się w najwyraźniej wściekłą Paulinę.

– Że jestem idiotką i tylko przez przypadek udaje mi się czasem napisać coś z sensem.

Piotr otworzył szeroko oczy.

– Żartujesz?

Paulina wychyliła się zza swojego monitora i spojrzała na kolegę z irytacją. Chciała coś powiedzieć, ale jego potargane ciemne włosy, broda i wielkie, wpatrujące się w nią teraz ze strachem brązowe oczy jak zwykle ją rozśmieszyły.

Schowała twarz w dłoniach i zaczęła chichotać.

Piotr pochylił się nad biurkiem, spoglądając w popłochu w kierunku aneksu naczelnej.

– Boże! Paulina, czy ci odbiło?

Paulina przestała się śmiać, podniosła głowę i przetarła oczy.

– To chyba reakcja nerwowa. Zaczynam się domyślać, w jaki sposób funkcjonuje się w korporacjach. Bez imprezy na prochach w weekend nie da rady.

W kilku zdaniach streściła mu przebieg rozmowy z Przeworską.

– W dodatku ma taki debilny zwyczaj mówienia, że coś jest nie halo. Wie pani, jak coś tam i coś tam, to to jest trochę nie halo, prawda? – przedrzeźniła naczelną, wykrzywiając się do Piotra, który parsknął śmiechem, ale zaraz spojrzał nerwowo na swój laptop.

– Ze mną jeszcze nie rozmawiała. Może w ogóle nie będzie? W końcu jestem tu tylko na śmieciówce.

– Twoje tłumaczenia tych reklamarskich tekstów technicznych są bardzo dobre. – Paulina uśmiechnęła się do kolegi. – Nie wiem, do czego mogłaby się przyczepić. Aha, wiesz, co jeszcze jej się nie podobało? Mój aktualny tekst o robotach drogowych i to, że punktuję wycinanie drzew. Chodzi o ten projektowany parking na Głębokim, gdzie bez mała cały las wokół jeziora chcą wyrząść.

– Jak to? – Piotr podniósł wzrok. – Kazała ci to usunąć?

– No właśnie. – Paulina skinęła głową. – Według niej mamy jedynie informować o inwestycjach, a nie zajmować się komentowaniem.

– Hmm... – Piotr wpisał w wyszukiwarkę kilka słów i po chwili skupił się na czytaniu jednego z pierwszych artykułów, które pojawiły się na stronie.

– No to chyba mamy odpowiedź – mruknął cicho, nadal pogrążony w lekturze felietonu na jakimś warszawskim portalu.

– Jaką odpowiedź? – Paulina, która zdążyła się skupić na pracy, podniosła głowę zdezorientowana.

– Na temat twojej awantury z drzewami. Czytam właśnie artykuł Przeworskiej pod tytułem „Mitologia globalnego ocieplenia”. Nie uwierzysz, co ona tu wypisuje.

– Nie wiem, czy w ogóle chcę to wiedzieć. – Paulina westchnęła, spojrzawszy z rezygnacją w kierunku aneksu naczelnej.

– Posłuchaj tylko tego. – Piotr podniósł na moment głowę, a następnie ze wzrokiem wbitym w ekran zaczął czytać. – „Tak zwane globalne ocieplenie stało się obecnie dla niektórych lewicujących dziennikarzy oraz środowisk związanych z szeroko pojętą ekologią tym, czym dla prasy brukowej w latach dziewięćdziesiątych był zbliżający się koniec świata w roku dwutysięcznym...”

Piotr rzucił Paulinie porozumiewawcze spojrzenie.

Paulina przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa.

– A gdzie ona to puściła?

– No jak gdzie? – Piotr ściszył głos. – U nas, tylko w wydaniu warszawskim. Na szczęście w takim cyklu artykułów, które prezentowały dwa odmienne zdania na ten sam temat.

– No to może napisała to, wiesz... – Paulina wzruszyła ramionami. – Bo ktoś musiał napisać.

– Oportunistka. To jeszcze gorzej o niej świadczy. Ale słuchaj tylko dalej. – Piotr ponownie spojrzał w ekran. – „Globalne ocieplenie stało się wciąż powtarzanym dogmatem, za którym, wbrew pozorom, wcale nie opowiadają się wszystkie bez wyjątku gremia naukowe. Wprost przeciwnie. Wiele środowisk naukowych podkreśla, że okresy ocieplenia klimatu przeplatają się z epokami chłodu i jest to cykl, który powtarza się na planecie od miliardów lat...”

– Szczerze mówiąc, trudno mi to zweryfikować. – Paulina odetchnęła głęboko. – Nie znam się na tym. Nigdy też nie robiłam na ten temat żadnego poważnego researchu.

– Ale ja tak – mruknął Piotr. – Ona tu się powołuje w dalszej części, jak oczywiście wszyscy płaskoziemcy i antyszczepionkowcy tudzież im podobni, na broszurę Komitetu Nauk Geologicznych PAN z dwa tysiące dziewiątego roku oraz na tak zwane badania amerykańskiego Heartland Institute z Arlington Heights w Illinois.

– Boże, skąd ty wiesz takie rzeczy? – Paulina patrzyła zdumiona na Piotra. – Dlaczego ja o czymś takim nie wiem?

– Ale czym jest globalne ocieplenie w ogóle chyba wiesz?

– Tak, cwaniaczku. – Paulina uśmiechnęła się cierpko do kolegi. – Nawet przeczytałam ostatni raport ONZ dotyczący ocieplenia klimatu[1]. O tym, że uzgodnione w dwa tysiące piętnastym Porozumienie Paryskie o ograniczeniu emisji dwutlenku węgla może być niewystarczające, bo zmiany klimatu następują zbyt szybko.

– No właśnie. – Piotr zmarkotniał. – A wiesz, co Przeworska napisała o tych raportach ONZ? – Piotr parsknął. – „ONZ-owską komórkę stworzono wyłącznie po to, żeby dostarczyć dowodów, że działania człowieka są główną przyczyną globalnego ocieplenia. Z pominięciem wszystkich alternatywnych hipotez wyjaśniających przyczyny...”

– I to my piszemy takie rzeczy? – Paulina z niedowierzaniem spojrzała na Piotra. – Może w międzyczasie Solorz nas wykupił i jeszcze o tym nie wiemy?

– Na przykład. Ale jest też możliwe, że tak, jak powiedziałaś, ona napisała to po prostu dlatego, żeby zademonstrować inny punkt widzenia. Chociaż, prawdę mówiąc... – Piotr popatrzył z powątpiewaniem na ekran – ...jakoś w to nie wierzę.

– O co chodzi z tym komitetem nauk geologicznych i tym czymś drugim?

– W dwa tysiące dziewiątym Komitet Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk wydał kuriozalny dokument, którym wywołał skandal. Generalnie, nie opierając się w ogóle na jakichkolwiek badaniach, stwierdzili tam, że zmiany stężenia dwutlenku węgla w atmosferze nie mają nic wspólnego z człowiekiem, a okresy ocieplenia i lodowce są naturalnymi procesami naszej planety, na które człowiek nie ma żadnego wpływu. – Piotr spojrzał na Paulinę i podniósł znacząco brwi. – Jednym z argumentów było na przykład to, że w czwartorzędzie człowieka w ogóle nie było, a w atmosferze mimo to nastąpił wzrost zawartości dwutlenku węgla.

– No i? – Paulina patrzyła na Piotra, czekając na jakąś konstatację. – Teoretycznie brzmi sensownie.

– W trakcie ocieplania się klimatu w czwartorzędzie temperatura, owszem, rosła, ale dopiero potem następowała koncentracja gazów cieplarnianych na skutek parowania wód powierzchniowych. Natomiast

dzisiaj wzrost ilości gazów cieplarnianych związany jest głównie z emisją zanieczyszczeń ze spalania paliw kopalnych. A mimo że zwiększa się temperatura wód oceanów, ilość rozpuszczonego w nich dwutlenku węgla rośnie zamiast spadać.

Paulina patrzyła na Piotra zdumiona. Właśnie chyba odkryła jedno z jego zainteresowań. Jakoś wcześniej nigdy się z tym nie zdradził, pomijając awanturę z Ulką.

– Albo inny argument. – Piotr stuknął w klawiaturę, otwierając jakiś dokument. – Zdaniem tych ćwoków klimat Ziemi kształtowany jest przez wzajemne oddziaływanie jej powierzchni i atmosfery, które są ogrzewane przez promieniowanie słoneczne o cyklicznym natężeniu...

– No to chyba akurat prawda – wtrąciła Paulina.

– Niby tak – przytaknął Piotr. – Klimatem rządzi wiele czynników, ale akurat zgodnie z tym, co oni napisali, wszystko obecnie powinno wyglądać odwrotnie. Od dłuższego czasu te naturalne czynniki działają akurat na rzecz ochłodzenia klimatu, a nie ocieplenia. Tym bardziej globalne ocieplenie jest niezrozumiałe i to najlepszy dowód na to, że jest wywołane sztucznie.

– Co to znaczy, że te czynniki działają na rzecz ochłodzenia? – Paulina zmarszczyła brwi, jednocześnie szukając w Google dokumentu geologów z PAN, o którym mówił Piotr. Obiecała sobie w duchu poczytać więcej na ten temat.

– Na przykład w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, w których klimat gwałtownie się ocieplił, aktywność Słońca akurat malała. Podobnie prądy oceaniczne były w fazach, które powodowały obniżenie średniej temperatury, tymczasem oceany wciąż się ogrzewają. Koniec końców, przeciwko zapatrywaniu geologów z PAN stanęły wszystkie towarzystwa geologiczne innych krajów, stwierdzając, że jest ono sprzeczne ze stanowiskiem nauki światowej.

Paulina przez chwilę milczała, usiłując poukładać sobie w głowie zasłyszane informacje. Na długiej liście dokumentów, które ukazały się w jej wyszukiwarce, znalazła także ten, o którym akurat rozmawiali.

– A co z tym drugim, o którym mówiłeś? – spytała w końcu. – Ten jakiś amerykański instytut.

– To w ogóle nawet nie ma o czym mówić – stwierdził ze złością Piotr. – Heartland Institute, konserwatywny, libertariański, prawicowy think thank założony praktycznie głównie po to, żeby bronić producentów papierosów. Pseudonaukowe lobby, które skupiało się na podważaniu związku między paleniem tytoniu a rakiem płuc po to, żeby ochronić swoich mocodawców przed wypłatą odszkodowań. Dokładnie tak samo działa obecnie w kwestii klimatu. Według nich zmiany klimatu nie są katastrofalne, a wszelkie działania w celu ich łagodzenia są ekonomicznie nieuzasadnione i stanowią poważne zagrożenie dla systemów gospodarczych.

– Ochrona wielkich korporacji?

– Oczywiście – przytaknął Piotr. – Głównych sprawców zmian klimatycznych.

Paulina spojrzała w stronę oszklonej ściany oddzielającej główną salę redakcji od aneksu naczelnej.

– Dobra, może mieć sobie te płaskoziemcze poglądy, ale co ona ma do drzew?

Piotr westchnął.

– Jak to co? Pan nasz powiedział wszak „czyńcie sobie ziemię poddaną”. Wszelka ekologia, ochrona gatunków, klimatu czy lasów to grzech przecież.

– Papież ostatnio stwierdził chyba coś wprost przeciwnego.

– Ale papież jest w Watykanie, a tu jest Polska.

Paulina spojrzała na ekran swojego laptopa, na którym wyświetlał się artykuł na temat nowych połączeń drogowych w mieście.

– Czarno widzę moją współpracę z Przeworską.

– Kochaj szefa swego, bo możesz mieć gorszego – powiedział z uśmiechem Piotr. – Tak się zawsze wyklócałaś z Pawłem, a teraz będzie nam go chyba brakowało.

– Zdaje się, że Ulka wyrośnie na nową gwiazdę redakcji. – Paulina spojrzała w kierunku jasnowłosej koleżanki, która właśnie, anielsko uśmiechnięta, wychodziła z biura naczelnej.

– Jakoś te dwa miesiące przecierpimy. – Piotr pozamykał wszystkie pootwierane dokumenty na swoim laptopie. Spod ostatniego wyłonił się

nagle otwarty w przeglądarce Windows dziwny szyfr.

Patrzył przez chwilę na monitor, po czym zapisał rysunek w nowo utworzonym katalogu „kwiatki w katedrze” i zamknął.

Ściągnięty godzinę temu do dolnej belki artykuł sponsorowany ponownie ukazał się na ekranie, a Piotr z rezygnacją wbił wzrok w angielski tekst.

## Rozdział 7

*wtorek 30 lipca*

**T**elefon oderwał Igora od rozmyślań na temat urlopu. Oczywiście siedział ze wzrokiem wlepionym w monitor i teoretycznie pracował, ale w rzeczywistości wpatrywał się kompletnie bezrefleksyjnie w otwarty rysunek, a jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Konkretnie w okolicach Bornholmu.

– Igor, czy ty wiesz, że my znowu musimy jechać na kolejne przesłuchanie w Izbie Morskiej? – Głos w telefonie natychmiast go otrzeźwił. – W piątek w dodatku, szesnastego. Nigdy w życiu nie byłam w Czerwonym Ratuszu, a teraz w ciągu dwóch miesięcy będę tam po raz trzeci.

Igor westchnął. Dochodzenie w sprawie tragicznych wydarzeń na promie, na którym zrzędzeniem losu znaleźli się jego rodzice, prowadziła szczecińska Izba Morska. Mieściła się w siedzibie starego ratusza, w ogromnym, neogotyckim gmachu z czerwonej cegły, zwanym Czerwonym Ratuszem. Gwoli ścisłości, ratusz był tam jedynie przed wojną, po wojnie znalazły się w nim rozmaite instytucje i organa związane z Urzędem Morskim i Urzędem Żeglugi Śródlądowej.

– No co poradzić? – mruknął. – Dochodzenie to dochodzenie.

– Co poradzić?! Nie trzeba było nas tak namawiać na tę poronioną wycieczkę do Szwecji. Mało tego, że tam nie dotarliśmy, to kłopoty będziemy mieć pewnie jeszcze przez pół roku.

Igor orientował się, że podobne postępowania w sprawie wypadków na morzu potrafiły trwać nawet kilka lat, ale o tym wolał matce raczej nie wspominać.



– Ale ja dzwonię do ciebie w sprawie tego wypadku w katedrze. Tam były chyba jakieś roboty, prawda? – zmieniła temat pani Anna Fleming. – Ty nie miałeś przypadkiem z tym nic wspólnego?

– Słucham?! – Igor spojrział na trzymaną w rękę komórkę. Nigdy by nie pomyślał, że matka mogła go o coś takiego podejrzewać. No dobra... dwa lata temu wmieszał się przypadkowo w pewną katastrofę budowlaną w centrum miasta, ale przecież nic wspólnego z nią nie miał. Tyle tylko, że wlaźł, gdzie nie trzeba.

– No nie w sensie, że z wybuchem! – zachnęła się pani Anna. – Już nie rób ze mnie wariatki. Z jakimiś pracami. Przecież tam chyba robią remont, a ty zajmujesz się konserwacją zabytków.

– Mamo. – Igor zamknął oczy. – Nic nigdy w katedrze nie robiłem ani niczego tam nie projektowałem.

– No i chwała Bogu. Przynajmniej jesteś poza wszelkimi podejrzeniami.

– Mamo!

– Oj, wiesz, co mam na myśli.

– No właśnie nie wiem, o czym ty mówisz. Jak zwykle zresztą.

Pani Anna odchrząknęła.

– Jak zwykle to nie można z tobą porozmawiać jak z człowiekiem – powiedziała urażonym tonem. – Córka naszej sąsiadki wychodzi za mąż pod koniec sierpnia. Najwyższy czas. Dwadzieścia dziewięć lat ma dziewczyna. Tylko trochę od ciebie młodsza.

– Mamo... – wtrącił Igor ostrzegawczo.

Rozmowy na temat kandydatek na żonę doprowadzały go do białej gorączki.

– Oj, co mam, co mam. Już nie bądź taki wrażliwy. Ślub biorą właśnie w katedrze. No i sąsiadka prosiła mnie, żebym zapytała, czy tam nie odwołają czegoś teraz. Nie wie, czy ma szukać innego kościoła.

– Mamo! – Igor jęknął po raz kolejny. – Skąd ja mam wiedzieć? Niech dzwoni na plebanię. Dlaczego mieliby odwoływać? Że trochę kwiatków im się tam rozsypało?

– Piszą w gazetach, że to był wybuch, prowokacja.

– Pewnie to miał być tylko jakiś żart, à propos ekologizmu, ale media wywołały taką wrzawę, że zrobił się z tego prawie zamach bombowy.

W słuchawce rozległ się cichy sygnał. Ktoś usiłował się z nim połączyć. Igor przymknął oczy z rezygnacją.

Pani Anna głośno westchnęła.

– Jeśli to był żart, to niezbyt mądry. A wiadomo w ogóle, jakie to były kwiaty?

– Słucham?

– No jakie kwiaty? Z jakich kwiatów były te płatki?

Igor przez moment siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Mamo – odezwał się, gdy w końcu do niego dotarło, o co chodzi. – Skąd ja mam to wiedzieć?

– Po prostu jestem ciekawa – westchnęła ponownie pani Anna i zmieniła temat. – Rozumiem, że przyjeżdżasz do nas na weekend, dwudziestego trzeciego sierpnia? Dożynki organizujemy, jak co roku. Mógłbyś w końcu tę Paulinę tutaj przywieźć.

– Mamo, przecież ja dwunastego wyjeżdżam na trzy tygodnie. Mówiłem ci to miesiąc temu.

– Jak mówiłeś? Niczego mi nie mówiłeś. Trzy tygodnie? Na Bornholm?! Znowu morze. Mało było naszego wypadku na promie? Po co los kusić?!

Bornholm był oczywiście zasłoną dymną. Igor wolał nie wprowadzać matki w prawdziwe kulisy ich wyprawy. Gdyby się dowiedziała, że zamierza nurkować w Bałtyku, pewnie spróbowałyby go sądownie ubezwłasnowolnić.

Spojrzał na zegar na ścianie.

– Mamo, muszę kończyć. Robota tu czeka, a poza tym ktoś się do mnie dobija od paru minut i muszę oddzwonić. Pa, pa. – Nie czekając na ewentualne protesty, rozłączył się i sprawdził, kto dzwonił.

Nieznany numer.

Czerwona honda civic zatrzymała się przy krawężniku przed biurowcem, tuż obok Piotra, który szeroko uśmiechnięty zaglądał do

wnętrza samochodu.

– Siema, Mati.

– Wskakuj! – Krótco obcięty chłopak z kunsztownie przystrzyżoną brodą skinął głową, wskazując skórzany fotel pasażera.

Piotr wślizgnął się do środka auta, które w chwilę potem z piskiem opon ruszyło.

– Nie wiedziałem, że ta twoja gazeta ma biura w Lastadii – powiedział Mati. Uśmiechnął się i sięgnął do schowka. – Nieźle masz.

– Taa – prychnął Piotr. – Na śmieciówce.

Samochód przemknął pod filarami Trasy Zamkowej, wjechał na plac na Nabrzeżu Starówka, z którego roztaczał się widok na Wały Chrobrego, i zatrzymał się frontem do Odry.

Mati zgasił silnik.

– Tu mam te kwiatki, które spadły w katedrze. Trzymaj, bo potem zapomnę.

Piotr chwycił małą przezroczystą torebkę i podniósł ją do góry, z zaciekawieniem przyglądając się zawartości.

– A te kartki?

– Też tam są, potrząśnij.

Piotr zakręcił torebką i w gąszczu kolorowych, wyschniętych już płatków ukazała się malutka, przycięta na kształt prostokąta karteczka.

– Wyglądamy, jakbym ci sprzedawał narkotyki. – Mati zarechotał.

– No – mruknął Piotr, wyciągając ostrożnie kartkę palcami.

– Nic tam więcej niż na skanie nie ma.

– Jak to w ogóle wyglądało? – Piotr podniósł kartkę pod światło. – Gdzie był ten ładunek? Pod sklepieniem?

Mati pokręcił głową.

– My siedzieliśmy z tyłu, więc jak rozległ się wystrzał, to od razu zadarłem głowę. To musiało być przymocowane do łańcucha żyrandola.

– A ja myślałem, że może było umieszczone w samym sklepieniu.

– Coś ty. Żyrandole, żeby zmienić żarówki, są opuszczane mechanicznie. Najczęściej taki automacik stoi na strychu i uruchamia się go pilotem. Lampa zjeżdża, samoczynnie odłącza się zasilanie i można wymieniać żarówki albo wyszorować żyrandol. Ten automat podnosi ciężar do pół tony.

– Hmm. – Piotr włożył kartkę do woreczka. – A nie rozglądałeś się? Jak to był jakiś challenge, to jego autorzy mogli być gdzieś tam ukryci.

– Gdyby to był challenge, już by to było w necie.

– Początkowo myślałem, że to prowokacja związana z ekologią.

– Wszyscy tak myśleli, z tego, co widziałem w mediach – potwierdził Mati.

– Że to ktoś z tych ruchów miejskich, wiesz, Nowy Szczecin czy Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, ale oni by się do czegoś takiego raczej nie posunęli.

– A może właśnie tak, ale zrobiła się z tego taka afera, że teraz siedzą cicho. – Mati pogłaskał się po brodzie. – Dlatego na YouTube nic nie trafiło.

– Za to trafiły prywatne filmy, ze dwa. Ktoś z widowni nakręcił, tak jak ty. – Piotr spojrzał na kolegę. – Mogę w ogóle wykorzystać ten film, jakby co?

– Jasne! – Mati się roześmiał. – Będę się chwalił, że to moje, jeśli pojawi się na waszym portalu.

– No to super! – Piotr schował woreczek do kieszeni. – Dobra, przepraszam, ale muszę spadać. Mamy nową szefową, mówiłem ci. Zołza straszna.

– Na sobotę jesteśmy umówieni, pamiętasz? Aktualne?

– Jasne.

Honda warknęła i zawróciła, zostawiając na szutrowej nawierzchni ślady opon.

Igor patrzył przez dłuższą chwilę na nieznany numer, usiłując skojarzyć ciąg cyfr. Pewnie jakiś przedstawiciel handlowy. Od posadzek, izolacji albo czegoś tam.

Przyszło mu na myśl, że równie dobrze mógł to być ktoś z urzędu, czasami dzwonił z komórek. Generalnie wolał nie oddzwaniać na niezapisane numery. W dziewięciu na dziesięć przypadków oznaczało to kłopoty.

Zanim jednak zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, usłyszał dźwięk przychodzącej wiadomości tekstowej.

„Dzień dobry. Daniel Ratajczak, menadżer projektu z Doclands Developer. Mam pana numer od pana Krzysztofa Zawilły ze szczecińskiego ratusza. Proszę o telefon”.

– O masz. – Igor mruknął pod nosem i dotknął ekranu komórki.

Po trzecim sygnale odezwał się zaskakująco wysoki męski głos.

– Dziękuję, że pan tak szybko oddzwania. Daniel Ratajczak, dzwonię w sprawie kontraktu na Lastadii w Szczecinie.

– Łasztowni – poprawił odruchowo Igor.

– Tak, właśnie. Niezależnie od kłopotów, które tam mamy, o których pan już zapewne słyszał, to niestety i tak musimy zrobić tę inwentaryzację i badania. Jeśli jest pan nadal zainteresowany, to chciałbym się z panem spotkać. Będę jutro w Szczecinie. Mam się zobaczyć z wykonawcą robót. Może być około dziesiątej? O dziesiątej mam spotkanie z tym wykonawcą, więc wie pan...

Igor nie przerywał słowotoku faceta, grzebał jednocześnie w papierach na biurku, w których gdzieś zanotował sobie godzinę jutrzejszego spotkania z rzeczoznawcą do spraw sanepidu. W końcu wyrwana z notatnika kartka wpadła mu w rękę. Dwunasta. No to może się spotkać z tym gościem.

– Oczywiście – powiedział, przesuwając papiery. – O dziesiątej może być. Gdzie pan proponuje?

– Zatrzymam się w Radisson Blu przy placu Rodła. Z wykonawcą jestem umówiony w restauracji na dole. Wie pan, gdzie to jest?

– Oczywiście – potwierdził Igor, zastanawiając się jednocześnie, gdzie on tam, do diabła, zaparkuje. Na szczęście tuż obok był parking galerii Galaxy. Tajemnicą poliszynela było, że wszyscy załatwiający sprawy w promieniu kilometra tam właśnie zostawiali samochody.

– Super. To do zobaczenia.

Igor odłożył telefon na stół i spojrzął w kalendarz.

Robota szykowała się dokładnie na czas jego nieobecności w Szczecinie.

Wszystko zawsze musi być pod górę.

Piotr wpadł do głównej sali redakcji i udając, że wraca z kuchni, wślizgnął się na swoje miejsce i schował za monitorem. Spojrzął w kierunku aneksu naczelnej i zamknął swój artykuł sponsorowany, który cały czas tutaj na niego czekał. Od wczoraj był już skończony. O dziwo, Przeworska nie miała żadnych specjalnych uwag, poza jedną, żeby mocniej wypunktował nazwę firmy, której produkt sponsorowali.

Dyskretnie wyciągnął przezroczystą ofertówkę i przesypał do niej garść płatków, które dostał od Matiego. Położył ją na biurku i sięgnął po swój laptop.

Cały poniedziałkowy wieczór spędził na grzebaniu w necie i szukaniu jakiegoś sposobu złamania szyfru z tajemniczej karteczki z katedry. Oczywiście cały czas miał z tyłu głowy podejrzenie, że to kompletna bzdura i że dał się właśnie wpuścić w maliny. Jacyś dowcipnisie wrzucili do worka przypadkowo pocięty papier, a on doszukuje się w tym Bóg wie jakiego znaczenia.

Ale jednak kartek w samym tylko woreczku, który przyniósł Mati, było pięć. I na wszystkich był dokładnie taki sam wzorek. Już nawet przeszło mu przez myśl, że to może być jakiś własnoręcznie zrobiony papier pakowy z powtarzającym się motywem, który został pocięty na kawałki, ale wtedy te znaki nie wszędzie przecież ułożyłyby się tak równo. Gdzieś wypadłyby odcięte fragmenty. Tymczasem tutaj miał pięć kawałków i na każdym z nich był na środku dokładnie ten sam motyw.

Spojrzał na ofertówkę.

Wewnątrz było mnóstwo różnej wielkości kolorowych płatków. Może to była jakaś podpowiedź? Nawet zakładając, że ci żartownisie chcieli urządzić po prostu mały prześmiewczy happening w nawiązaniu do głośnych już słów pewnego arcybiskupa, który ochronę praw zwierząt i starania o ochronę środowiska naturalnego nazwał niebezpiecznym ekologizmem, przypominając, że to człowiek jest koroną stworzenia i ma

czynić sobie ziemię poddaną, to chyba musieli mieć coś na myśli, wpychając do worka te dziwne znaki i płatki kwiatów.

Co znaczą płatki kwiatów? Symbolicznie?

Piotr wpisał hasło w wyszukiwarkę i po chwili patrzył na ciągnący się bez końca spis różnych stron, najczęściej z jakimiś horoskopami, przepowiedniami czy wróżbami weselnymi.

Otworzył jedną ze stron, która budziła największe nadzieje na merytoryczną zawartość.

Kwiaty w dziejach ludzkości i przez różne religie postrzegane były jako jeden z najpiękniejszych darów dla ludzi od bogów. Na przykład lilie w średniowiecznej Europie stały się heraldycznym symbolem majestatu, trafiły do herbów królów i wielkich rodów magnackich. W starożytnej Grecji wierzono natomiast, że lilie są kroplami mleka z piersi Hery, żony Zeusa.

Gladiolusy, czyli w miarę pospolite obecnie mieczyki, swoją nazwę zawdzięczają łacińskiemu słowu *gladius*, które oznacza miecz. Średniowieczni rycerze używali ich jako talizmanu, który noszony w srebrnych wisiorach na piersiach miał chronić ich w walce.

Róże znane były już w starożytnej Mezopotamii i Egipcie, chociaż ich botaniczne pochodzenie wiąże się z Azją. Egipcjanie róże utożsamiali z boginią Izydą. Grecy poświęcali je bogini miłości Afrodycie. W starożytnym Rzymie róża była tak popularna, że Pliniusz Starszy w swojej *Historii naturalnej* poświęcił jej całkiem spory fragment.

Znana jest półlegendarna opowieść o jednej z uczt, którą urządził młody cesarz rzymski Marek Aureliusz Antoniusz, zwany Heliogabalem. Szalony władca słynął z publicznych orgii, na których wpuszczał na salę dzikie zwierzęta lub kazał jeść gościom potrawy z drewna. W czasie jednej z takich uczt na zgromadzonych biesiadników wysypano ogromne ilości płatków czerwonych róż. Kwiatów było tak wiele, że uczestnicy orgii w nich się podusili.

Piotr podniósł wzrok i spojrzął z namysłem na leżący obok woreczek z kolorowymi skrawkami. Nie znał się w ogóle na kwiatach. Nawet jeśli byłyby tutaj płatki róż, to i tak pewnie nie potrafiłby ich rozpoznać.

Pochylił głowę i udając skupionego na pracy, wrócił do czytania, jednocześnie notując sobie co ciekawsze zagadnienia i własne komentarze.

Kwiaty miały też symbolikę chrześcijańską. Konwalia na przykład według średniowiecznych pieśni powstała z łez wygnanej z raju Ewy. W średniowieczu konwalia symbolizowała wiedzę, zwłaszcza medyczną, a że jej olejki eteryczne są trujące, była też wykorzystywana w okultyzmie jako składnik różnych magicznych napojów.

Piotr uniósł brwi.

Ezoteryzm, czarna magia, biblia diabła.

Kwiaty, ich płatki, olejki były przecież używane w zielarstwie. Czarownice, medycyna ludowa w oczywisty sposób łączą się z Kościołem. I to w bardzo złowrogi sposób.

Ale czy to mogło mieć jakieś znaczenie? To chyba jednak zbyt daleko posunięte skojarzenia.

Już prędzej ruch hippisowski. Dzieci kwiaty. Kontestacja, bunt młodych przeciwko światu dorosłych.

Młodzieżowy Strajk Klimatyczny.

Zaraz...

Jakie oni mieli hasło? „Dosyć słów, teraz czyny”.

Piotr zaklął pod nosem. No bez jaj. To rzeczywiście tak się kojarzy.

Tylko czekać, jak tym tropem pójda jakieś pismaki z różnych pravicowych brukowców.

– Piotruś! Co ty właściwie robisz?

Pytanie Pauliny wyrwało go z zamyślenia. W dodatku okazało się, że tak się skoncentrował na tych kwiatowych dywagacjach, że gapił się w okno.

– W sumie to nic – mruknął. – Skończyłem już te dwa sponsorowane gówna. Przeworska nie miała specjalnych uwag.

– To musisz mi pomóc w takim razie – jęknęła Paulina. – Czy ty wiesz, co ta larwa wepchnęła mi na przyszły tydzień?

Piotr pokręcił głową.



– Żeby iść tropem tego artykułu o budowie parkingu i przygotować duży tekst o wszystkich nowych inwestycjach drogowych w Szczecinie.

– O ja pierdołę!

– No właśnie. Powiedz, czy to nie jest mała złośliwość? – Paulina zacisnęła zęby. – Przy okazji każdej z tych zasranych modernizacji, dzięki którym, wyjeżdżając z miasta w jakimkolwiek kierunku, godzinami stoi się teraz w korkach, są przewidziane gigantyczne wycinki. Razem to tysiące drzew. Zdążyłam policzyć. Celowo mi to dała! Już w ogóle pomijam, że na czwartek za tydzień to cholernie mało czasu.

– To co mam zrobić?

– Wejdz na stronę miasta albo zarządu dróg i poszukaj jakichś zestawień inwestycji drogowych. Tam muszą być gdzieś podane ich parametry. Ceny, udział funduszy europejskich i tak dalej. Ogólniki i różne inne dane to już tutaj sama sobie wypunktowałam. Brakuje mi tylko takiego silnie merytorycznego wsparcia.

Piotr westchnął. Pozamykał strony mówiące o symbolice kwiatów i wepchnął torebkę z płatkami do swojego plecaka.

Z rezygnacją otworzył stronę urzędu miasta i pochylił się nad ekranem.

Bulwar Piastowski powoli rozblęskiwał światłami wieczoru. Najpierw były to długie, złote i czerwone refleksy ostatnich promieni zachodzącego słońca, a od kilkunastu minut, gdy zapaliły się latarnie – jasne kręgi światła padające na kamienną nawierzchnię alei Żeglarzy. Tuż obok na wysokich betonowych postumentach połyskiwały marynistyczne rzeźby przedstawiające przyrządy nawigacyjne – sekstant, astrolabium i chronometr. Nad nimi długą podświetloną wstęgą płynęła Trasa Zamkowa.

Paulina siedziała obok Igora na ławce, wpatrywała się w migotliwie iskrzące się świetlne refleksy na wodzie i słuchała, jak mówił o umowie na projekt, który miał być zrobiony podczas ich nieobecności w Szczecinie.

– Znowu napytasz sobie biedy – podsumowała.

– To tylko inwentaryzacja i program prac konserwatorskich. I tak nie robiłbym tego sam.

– Ale mimo wszystko. Jak twoi ludzie zrobią coś złe, a ciebie nie będzie na miejscu, to znowu skończy się awanturą i kolejny raz twój prawnik, jak mu tam...

– Lorenz. Bartek Lorenz.

– Właśnie on... będzie musiał wyciągać cię z kłopotów.

– Od tego go mam.

– Ale sprawa z tym zaginionym facetem to niezła draka.

– No – przytaknął Igor. – W głowie się nie mieści.

– On tak szybko się nie pojawi w rejestrach osób zaginionych. – Paulina patrzyła zamyślona na Trasę Zamkową, z której dochodził szum przejeżdżających samochodów. – Policja pewnie przez dłuższy czas będzie sprawdzała, czy nie uciekł z kochanką albo czy nie zwiął z kraju, w końcu miał kłopoty. Może pod wpływem impulsu podjął jakąś desperacką decyzję.

– Wydawało mi się, że z Moniką im się dobrze układa.

– Tego nigdy nie wiesz.

– A co to ma niby znaczyć? – Igor uśmiechnął się pod nosem i sięgnął do stojącej pomiędzy nimi torby po kolejną frytkę z batatów.

– Nie łap mnie za słówka – powiedziała i westchnęła ciężko. – Ta nowa baba u nas w redakcji mnie wykończy. Nie wyobrażam sobie, jak wytrzymam z nią całe dwa miesiące.

– A tak narzekałaś na Pawła – przypomniał jej Igor.

– Ja nie wiem – zmieszła się Paulina. – Wszyscy mi to powtarzają. Z Pawłem też pewnie bym się musiała wykłócać o te wycinki drzew, ale cokolwiek by o nim mówić, to niezależnie od swoich pravicowych poglądów potrafi zachować neutralność.

Przez chwilę milczeli, sięgając co chwila po frytkę.

– Zdązysz napisać artykuł przed wyjazdem?

– Zwariowałeś?! Ja go muszę oddać we wtorek! Chcę to skończyć jak najszybciej, bo nie mogę już tego znieść! Miasto wycina drzewa pod każdym najmniejszym nawet pretekstem. Osiemnaście starych lip w samym centrum, czterdzieści dwa stare drzewa na Wojska Polskiego, trzysta na

Głębokim, siedemset na budowanej drodze do Wołczkowa, osiemset już wycięto na budowanej obwodnicy śródmiejskiej.

– Do tego dochodzą setki drzew unicestwionych pod mieszkaniówkę przez TBS-y i deweloperów prywatnych. Nie mówiąc o hektarach lasów wyrżniętych pod S3 czy o wyciętej w pień Puszczy Bukowej.

– Już sama nie wiem, co myśleć, bo jak czytam wypowiedzi różnych urzędasów, to okazuje się, że to wszystko jest niezbędne i potrzebne.

– Paulina... – jęknął Igor. – Wiesz, jak wyglądają tak naprawdę takie decyzje? Najczęściej chodzi oczywiście o bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo? – Paulina przez moment myślała, że Igor zmienił temat.

– To słowo wytrych. Tego argumentu w naszym mieście, a właściwie w całym naszym chorym kraju nie przetrwa żadne, nawet najcenniejsze, drzewo. Wystarczy jakaś gówniana ekspertyzka, że część gałęzi obumarła i susz się sypie na mamusie i wózki z dziećmi. Sądzę, że dęby rogalińskie też dałoby się z pomocą tej argumentacji usunąć. – Igor ciężko westchnął. –

Albo to wycinanie w centrum miasta starych drzew i zastępowanie ich magnoliami, wiśniami japońskimi czy głogiem...

– Przecież takie decyzje podejmują projektanci, architekci zieleni, a nie urzędnicy.

– W cywilizowanych krajach może i tak. U nas jest po polsku. Przecież kierowniczka wydziału z wykształceniem ekonomicznym wie lepiej, jak ma wyglądać gospodarka zielenią, prawda?

– A kierownik to niby nie, mizoginie?

Igor kiwnął zgodnie głową.

– Racja. To niech będzie mężczyzna. Przykładowo ksiądz... Kilka lat temu robiłem projekt remontu pewnego kościoła w pewnym miasteczku tuż obok Szczecina, wraz z zagospodarowaniem terenu wokół. Rosło tam wiele pięknych starych lip i dębów. Konieczność sprzątania opadłych liści jest jak wiadomo jednym z największych utrapień Polaka katolika, dlatego notabene wszędzie sadi tuje Szmaragd. Któregoś dnia dostałem tajemniczy telefon z urzędu.

– Z urzędu? I czego chcieli? – Paulina sięgnęła ponownie do torby, patrząc z ciekawością na Igora.

– Najpierw pewien miły pan, którego tożsamości ci nie zdradzę, powiedział, że dzwoni nieformalnie i prosi o traktowanie tej rozmowy wyłącznie jako sugestii, absolutnie nie jako urzędowych wytycznych. Zaproponował, żeby całość tak zaprojektować, żeby dało się uzasadnić usunięcie wszystkich zaśmiecających teren przykościelny drzew. A oni już dadzą zgodę na wycinkę.

– Żartujesz? – Paulina pokręciła głową z niedowierzaniem.

– To się wszędzie odbywa dokładnie w taki sposób. Jeśli jakaś rzeczniczka ZUK-u, sruku czy nadleśnictwa opowiada, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami i z zachowaniem wszelkich procedur, to w rzeczywistości tak właśnie to wygląda.

Do tego dochodzi brak bieżącej konserwacji. Rozejrzyj się czasem i zwróć uwagę, ile jest jemioly na drzewach w mieście. Zdejmowanie jej to koszt, trzeba opłacić wyżkę, samochód. Konserwacja to drogie zabiegi, które trzeba wykonywać co sezon, a wygodniej przecież poczekać. Sezon, drugi i pod wpływem tego pasożyta z drzewa zaczynają się sypać suche gałęzie na te przysłowiowe matki i te ich wózki. A wtedy wycinka i po kłopotcie. A miasto, za kasę z Unii oczywiście, wyda jeszcze gówniany folder, w którym będzie się chwaliło, że ten Szczecin to najzieleńsze miasto w Polsce. Prawdziwy floating, kurwa, garden[2].

– Mam wrażenie, że myśmy już przekroczyli jakiś próg... – Paulina spojrzała w zamyśleniu na wodę.

– To znaczy? Kto my? – Oderwany od urzędniczych realiów Igor spojrzał na nią zdezorientowany.

– My, ludzie.

Paulina pokrótce streściła mu swoją ostatnią rozmowę z Piotrem.

– Stopień zniszczenia środowiska, wymieranie gatunków, pożary w Australii, ten nieszczęsny ostatni biały nosorożec w Kenii, dzień i noc pilnowany przez uzbrojonych strażników. A i tak trzeba było go uśpić. Przekroczyliśmy pewien próg, za którym jest już tylko reakcja łańcuchowa. Nie da się jej zatrzymać.

Nad ich głowami Trasą Zamkową z hałasem przetoczyła się jakaś ciężarówka, a obok pogrążeni w rozmowie przeszli, trzymając się pod rękę, jacyś starsi państwo.

Niebo było już całkiem czarne, a w Odrze odbijały się światła bulwarów.

## Rozdział 8

*środa 31 lipca*

**I**gor zaparkował samochód na parkingu podziemnym Galaxy, wjechał na parter. Do spotkania zostało mu dziesięć minut, więc wraz z tłumem ludzi, którzy nie wiadomo co właściwie robili o tej porze w sklepach, przespacerował się po ogromnym wnętrzu galerii i wyszedł w końcu wprost na stojący obok hotel Radisson Blu.

Wszedł do środka, odpowiedział uśmiechem dziewczynie w recepcji budynku i skierował się do hotelowego lobby. Rozejrzał się po wnętrzu baru i od razu zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku pod oknem.

Skądś znał jednego z tych facetów. Blondyn o bardzo sympatycznej powierzchowności, z jasnymi, pogodnymi oczami.

Mężczyzna także go zobaczył, podniósł się i skinął do niego ręką. Ten siedzący do Igora tyłem dźwignął się z fotela, co, biorąc pod uwagę jego tuszę, łatwe nie było. Odwrócił się i uśmiechnął jowialnie.

– Witam, Igor! – Blondyn z uśmiechem podał Igorowi dłoń. – Miło mi cię widzieć.

– Daniel Ratajczak – przedstawił się korpulentny facet i wskazał ręką brązowy skórzany fotel.

W tym momencie Igor dopiero przypomniał sobie, skąd zna sympatycznego blondasa. To wspólnik Szymona. Jarost. Romek Jarost.

Jakieś dwadzieścia minut zajęła im niezobowiązująca rozmowa na tematy ogólnie i z grubsza tylko związane z budowlanką. Igor przez cały czas się zastanawiał, jak to możliwe, że Jarost siedzi teraz z nimi, skoro

Docklands Developer zrezygnowało z ich usług. Zakładał, że za chwilę się dowie.

– Panie Igorze. – Ratajczak odsunął od siebie pustą filiżankę i wyjął ze skórzanego neseserka plik dokumentów. – Żeby już nie marnować pana czasu, przejdźmy do rzeczy.

Igor pokiwał głową i wypił ostatni łyk swojego soku grejpfrutowego.

– Niestety, musieliśmy się pogodzić z dużą obsuwą, jeśli chodzi o termin. Pan Rogala nie podjął z nami rozmów i jak pan wie, nie wiadomo, co się z nim dzieje. Ale to już nie nasza sprawa. Na szczęście udało nam się porozumieć z panem Romanem. Doszliśmy do wniosku, że zmiana koni w czasie jazdy to kiepski pomysł, a pan Jarost zaproponował nam dobrą formułę dalszej współpracy. Sytuacja wygląda tak...

Igor obrzucił dyskretnym spojrzeniem Jarosta. Szymon rzeczywiście potrafił być uparty i nieprzejednany. Ciekawe, jak daleko musiał ustąpić jego wspólnik, żeby uratować ten kontrakt. Finansowo oczywiście.

– W przyszłym tygodniu planujemy wykonać roboty strażowe w pierwszym spichlerzu. Trzecim w kolejności od strony biurowca Lastadia.

– W przyszłym tygodniu? – Igor spojrział z powątpiewaniem na mężczyznę. – A dokumentacja i zgoda na te prace?

– Panie Igorze. – Grubas się uśmiechnął. – My nie traciliśmy czasu. Do tego typu robót rozbiórkowych nie potrzeba dokumentacji, wystarczy zgłoszenie do nadzoru oraz metryka strażowa.

– Uproszczona dokumentacja rozbiórkowa z danymi dotyczącymi obiektu, rodzajem materiałów wybuchowych, obliczeniami wytrzymałościowymi i tak dalej – wtrącił Jarost.

– Dokładnie – przedstawiciel poznańskiej firmy przytaknął, z lekko widocznym niezadowoleniem, że Jarost mu przerywa. – Budynek Lastadii jest w odległości stu dwudziestu metrów od naszego terenu, więc teoretycznie nie musimy wykonywać pomiarów drgań...

– Zgodnie z przepisami musielibyśmy, gdyby stał w odległości mniejszej niż sto metrów – ponownie uzupełnił Jarost.

– Dokładnie – przytaknął Ratajczak ze zniecierpliwieniem. – Ale i tak zrobimy te badania dla świętego spokoju. Zgodnie z wymogami konserwatora najpierw dokonujemy rozbiórki spichlerza numer dwadzieścia siedem, a tydzień później, po przeprowadzeniu oględzin, spichlerza środkowego numer dwadzieścia sześć. Roboty oczywiście przeprowadzimy w nocy z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa.

Mężczyzna postukał w leżący przed nim podkład geodezyjny.

Igor powędrował wzrokiem za jego palcem. Ostatni spichlerz został jeszcze przed wojną przebudowany na kamienicę czynszową i już wtedy utracił cechy stylowe, natomiast środkowy, bardzo stary, renesansowy, był jednym z najpiękniejszych na Łasztowni. Pierwszy od strony Lastadii był w ogóle jakimś zupełnie nowym budynkiem.

– A kto wykona te roboty strzałowe? – spytał.

– My – powiedział Jarost z uśmiechem.

Ratajczak przytaknął.

– Tak. Po naradzie uznaliśmy, że firma panów zna jednak obiekt najlepiej i jest najbardziej w tym zakresie kompetentna. Kolejny wykonawca straciłby następne tygodnie na rozeznanie tematu. A teraz jesteśmy przy pana zadaniu...

Mężczyzna wyjął z torby kolejny dokument, na którym były naszkicowane rzuty fundamentów wszystkich trzech spichlerzy.

– Zaraz po robotach strzałowych przy spichlerzu numer dwadzieścia siedem, szóstego lub najpóźniej siódmego sierpnia, trzeba od razu przystąpić do pomiarów zachowanych ścian piwnicznych oraz do wykonania badań.

Igor skinął głową. Wyjazd miał zaplanowany na poniedziałek dwunastego, zdąży zatem wprowadzić ludzi w tę robotę i zdoła nawet dokonać oględzin i rozpocząć prace w terminie.

– Za dwa tygodnie po stwierdzeniu przez nadzór autorski i rzeczoznawców, że roboty strzałowe nie wyrządziły szkód w zachowanych zabytkowych ścianach, szesnastego sierpnia dokonujemy rozbiórki następnego spichlerza.



Igor wziął do ręki jeden ze szkiców z wstępnie oznaczonymi miejscami usytuowania ładunków. Roboty strzałowe w tym przypadku polegały na odpowiednim rozłożeniu mikroładunków w obrębie zalanych betonem piwnic spichlerzy, żeby wybuchy rozkruszyły jedynie cement, nie niszcząc ścian. W tym celu były potrzebne także odpowiednie otwory, które należało wykuć mniej więcej na środku budynków, żeby impet wybuchów miał gdzie się rozłożyć, a rozkruszony beton gdzie rozsypać. Prawdopodobnie tym wszystkim właśnie, dzięki ugodzie z deweloperem, miał się zająć teraz Jarost.

– Mam tutaj już przygotowaną wstępną umowę. – Ratajczak wyjął jeszcze jeden dokument i położył przed Igorem. – Proszę to przeczytać, podpisać i jak najszybciej do nas odesłać. Najlepiej jeszcze w tym tygodniu. Wydaje mi się, że umowa jest bardzo rozsądna.

Paulina westchnęła i wykasowała spam w swojej prywatnej skrzynce. Mimo blokad i automatycznego segregowania treści, tak czy siak, dostawała durnowate propozycje kredytów parabankowych i pożyczek na fantastycznych warunkach. Do tego dochodziły wredne maile z różnych lewych kancelarii prawnych z załącznikami pozwów lub pism przedsądowych albo wiadomości z jakichś firm, które przesyłały zaległe faktury do zapłacenia. Wszystko oczywiście tylko po to, żeby po otwarciu załącznika zainfekować jej komputer jakimś malware'em, trojanem albo innym gównem. Nauczyła się nie otwierać żadnych załączników z nieznanymi adresów.

Zamknęła swoją skrzynkę i otworzyła pocztę redakcyjną. Tutaj dostępu chroniły bardzo dobre programy antywirusowe oraz blokady, które teoretycznie nie przepuszczały niebezpiecznych treści, ale w tym przypadku to już była nie jej sprawa, tylko informatyków z kilku pokoiów dalej.

Na swój redakcyjny adres dostawała sporo maili z miłymi słowami od ludzi, którym podobały się jej ostatnie duże teksty przedrukowywane w całym kraju. Po tym jak artykuł o katastrofie promu i związanych z nią kradzieżach dzieł sztuki pojawił się we wszystkich prawie ważniejszych tytułach w Polsce, otrzymywała dziennie po kilkadziesiąt maili. Oczywiście nie wszystkie pozytywne. Było też sporo wyzwisk i gróźb od różnych frustratów, którzy nie mogli jej zapomnieć artykułów sprzed kilku miesięcy

o czarownicach i kościelnych oprawcach. Przez jakiś czas te maile ją niepokoiły, potem stały się jej całkowicie obojętne.

Wśród tych, które teraz przeglądała, kilka dotyczyło ostatnich wydarzeń w katedrze. Dwa z nich to były zwykłe żarty jakichś małych, którzy żądali uciszenia dzwonów w każdy niedzielny poranek, a w przypadku niespełnienia ich żądań grozili obrzuceniem kościoła czymś znacznie gorszym i zdecydowanie gorzej pachnącym niż kwiatki. Natomiast kolejny z maili był jakiś dziwny. Też wyglądał na żart, ale tym razem nieco przyciężki.

W dodatku, jak szybko sprawdziła, przyszedł nie tylko do niej indywidualnie, ale także na ogólnoredakcyjny adres.

– Piotruś – odezwała się do pochylonego nad laptopem kolegi. – Chcesz coś zobaczyć?

Piotr podniósł wzrok.

– Prześlę ci to, żebyś nie musiał wstawać.

– Co takiego?

– Sam zobacz. Ktoś bardzo kreatywny.

Gdy po chwili podniosła wzrok, zobaczyła, że Piotr wpatruje się w ekran z dziwną miną.

– I co o tym myślisz? Ciekawe, co Ulka z tym robi, bo to na ogólny też poszło – powiedziała. – Pewnie się wścieknie, że chociaż to ona o tym pisze, ktoś miał czelność wysłać wiadomość do mnie imiennie. A co ty masz taką dziwną minę?

Piotr wpatrywał się w ekran swojego laptopa, na którym nad krótką wiadomością podpisaną intrygującym nickiem wklejony był znajomy szyfr.

U  
L  
K  
A  
.  
U  
L  
K  
A

*Deweloperzy, międzynarodowe korporacje i służący im politycy niszczą przyrodę i żerują na słabszych i biedniejszych. Jediną wartością, którą wielbią, jest pieniądz. Dla niego nie cofną się przed niczym! Są wiecznie nienasyчени. Ludzie już zajmują zbyt dużo miejsca, lecz oni wciąż chcą zagrabiać więcej i więcej.*

*Przestaną dopiero, gdy wytną ostatnie drzewo i wypędzą ostatnie zwierzęta z ich naturalnego domu.*

*Nadszedł czas ponoszenia konsekwencji. Bywa, że w dobrej sprawie musimy się uciec do pirackich metod. Wtedy to piractwo staje się dobrą sprawą. Nie nasze umiejętności świadczą o nas, lecz dojrzałe decyzje. A nawet człowiek mały jest zdolny do największych czynów.*

*Macie dwa dni, a potem czternaście...*

*Heiland der Welt*

Piotr podniósł głowę i spojrzał na Paulinę. Na jego twarzy malowały się mieszane uczucia.

– Niezłe, co? – Paulina rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. – Ludzie mają chyba za dużo czasu, żeby czymś takim się zajmować. – Wydęła usta z dezaprobatą i otworzyła katalog z materiałami do nowego artykułu.

Piotr mruknął coś i zagryzł wargi, wpatrując się wciąż w swój monitor.

– Nie mówiłem ci o tym jeszcze. – Sięgnął do plecaka. – Poza tym byłaś zajęta swoim artykułem. Wczoraj mój koleś, który był z dziewczyną na koncercie w katedrze, przyniósł mi garść tych kwiatków, a wśród nich znajdowały się też takie małe karteczki...

– Jakie karteczki? – Paulina zerknęła na Piotra z zaciekawieniem.

– Popatrz sama. – Piotr rzucił na biurko Pauliny ofertówkę z płatkami kwiatów i pociętymi kartkami.

– I co mam zobaczyć? – Paulina pochyliła się nad torebką. Po chwili podniosła wzrok i otworzyła ponownie pocztę. Patrzyła przez chwilę w ekran, a potem znowu w leżącą przed nią ofertówkę.

– To taki sam wzór – stwierdziła zdziwiona i spojrzała w końcu na Piotra.

– No właśnie – podchwycił Piotr. – Albo ktoś pozbiierał te kartki w katedrze, dlatego wiedział, jak ten wzór wygląda, albo to naprawdę jest autor tego happeningu.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Pomijając wszystko inne, całe zajście było raczej niepoważne. Ot, taka manifestacja. Nikomu nic się nie stało. W zasadzie to by się zgadzało. Ten mail też jest cokolwiek naiwny.

– Wczoraj trochę grzebałem w necie. – Piotr znowu sięgnął po klawiaturę. – Wysłałem ci linki. Symbolika kwiatów i takie tam.

– To tym się zajmowałeś, gdy prosiłam cię o pomoc! – Paulina zaczęła po kolei otwierać przysłane strony.

– Dzieci kwiaty? Kontestacja? – Spojrzała na Piotra z niedowierzaniem. – Młodzieżowy Strajk Klimatyczny? Żartujesz chyba?

– No a nie kojarzy się tak? „Dosyć słów, teraz czyny”?

– Chyba nie podejrzewasz tych uczniów i studentów, że zorganizowaliby coś takiego?

– Po manifeście Kościoła potępiającym ekologizm?

Paulina otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i wbiła wzrok w ekran.

– Nie. Nie wierzę w to. Rozmawiałam z nimi w czasie ich dwóch protestów w Szczecinie. Oni dopominają się właściwej edukacji w szkołach, uświadamiającej skutki zmian klimatu, i określonych działań lokalnych władz w tym zakresie. Po co mieliby robić taki szczeniacki wygłup? Tylko by im zaszkodził.

– Też tak w sumie uważam. – Piotr wzruszył ramionami. – Ale nie jest niemożliwe, że to może być jakiś, powiedzmy, radykalniejszy odłam, który chciał wywołać więcej szumu. Po tych marszach chwilę popisano na ten temat i ucichło, a szanowny pan wojewoda wiadomo gdzie ma takie akcje społeczne. Stołek pod dupą jest wygodny.

– Skórzany fotel, nie stołek. – Paulina odetchnęła głośno. – Nadal uważam, że to szczeniacki wygłup. I jeszcze ten nick. Bardzo pretensjonalne to wszystko.

– Heiland der Welt – przeczytał Piotr. – Brzmi jak coś z Marvela. Jakiś superbohater.

– No więc sam widzisz. Ciekawe, czy Ulka to już przeczytała? – Paulina spojrzała w kierunku biurka koleżanki w przeciwległym kącie redakcji.

– Nawet jeśli, to raczej nie zdobyła tego. – Piotr wskazał głową na woreczek z kruszącymi się już płatkami i pociętym papierem.

– Sądziś, że powinniśmy z nią porozmawiać?

– Dlaczego niby? – Piotr spojrzał na Paulinę i ostentacyjnie westchnął.

– To jednak jej temat. Solidarność koleżeńska chyba nakazywałaby to zrobić.

Piotr przez chwilę patrzył w przestrzeń, mniej więcej w kierunku biurka Ulki, po czym niechętnie przytaknął.

Igor wychodził już z lobby, gdy usłyszał za plecami swoje imię. Jarost dogonił go, uśmiechnął się i przepuścił w drzwiach do holu.

– Pewnie nie spodziewałeś się mnie tutaj. Przepraszam, mogłem uprzedzić. – Westchnął ciężko. – Kosztowało mnie sporo, żeby jednak ich ułagodzić. Gdyby zerwali z nami ten kontrakt, to byłibyśmy w czarnej dupie.

– Bylibyśmy? – Igor zatrzymał się i spojrzał na Jarosta. – To Szymon się znalazł?

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. Nachmurzył się.

– Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Serio – dodał, widząc powątpiewającą minę Igora. – Naprawdę przepadł. Monika jest zrozpaczona. Mówiła mi, że jeszcze w sobotę z nim gadała, miał wrócić w poniedziałek wieczorem tydzień temu. A minął najpierw wtorek, potem środa. Telefon nie odpowiadał. Ja sam do niego dzwoniłem milion razy. Do weekendu dałem mu spokój, pomyślałem, niech odpocznie, ale w poniedziałek zacząłem już gonić, kurwa, w piątkę. No a poza tym ja go znam prawie całe życie. Dłużej niż Monia.

Jarost stęknął ciężko i zamknął oczy.

Igor, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, wyciągnął rękę i poklepał mężczyznę po ramieniu.

– A jeśli chodzi o roboty strzałowe... – zmienił temat. – Nawet nie wiedziałem, że robiliście już takie rzeczy.

– Raz czy dwa. To nic trudnego. Bardzo niewielkie ładunki, proste obliczenia. Zlecaliśmy to podwykonawcom, koordynację robiliśmy sami.

– Zdążycie do przyszłego tygodnia przygotować teren?

– Musimy. – Jarost zacisnął szczęki. – Sam, kurwa, złapię za młot udarowy, jak będzie trzeba. Nie mamy wyjścia. Na kasę z innych robót trzeba czekać jeszcze dwa, trzy miesiące.

– Bo najlepiej byłoby, gdybym wpadł tam i dokładnie obejrzał to, co jest, może zresztą uda mi się pomierzyć gabaryty już teraz, po obrysie widocznych ścian.

– Nie ma problemu. – Jarost się rozpromienił. – Byłoby super. Jak tylko to ogarniemy, zadzwonię.

Porozmawiali jeszcze chwilę i pożegnali się. Igor ruszył w kierunku galerii, a Jarost poszedł na parking przed Pazimem. Udało mu się zaparkować pod samym hotelem. Igor przechodził przez jezdnię, gdy jego biały terenowy pick-up właśnie podjeżdżał do pasów.

Ulka wpatrywała się w ekran swojego laptopa przez dłuższą chwilę. W końcu podniosła głowę i spojrzała na stojących obok jej biurka Paulinę i Piotra.

– Dostałaś to także na mail prywatny? – spytała.

Paulina zaprzeczyła.

– Nie na prywatny, ale na mój adres redakcyjny.

– Czemu wysłał to akurat na twój adres?

– Niestety, jego trzeba zapytać.

– Albo ją – wtrącił Piotr.

Ulka obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

– Masz te rzeczy – wskazała wzrokiem trzymaną przez Piotra torebkę z płatkami kwiatów – od poniedziałku? Dlaczego wcześniej mi tego nie pokazałeś? Mogliśmy to jeszcze w poniedziałek wrzucić na nasz portal, w uzupełnieniu do mojego artykułu.

– Tego o twoich urażonych uczuciach religijnych?

Paulina, korzystając z tego, że Ulka ponownie wpatrzyła się w ekran laptopa, szturchnęła Piotra i posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Uważasz, że to zabawne? – zapytała Ulka, nie odrywając wzroku od dziwnego maila.

– Szczerze mówiąc tak, ale słuchaj... – zaczął Piotr ugodowym tonem. – Zrobiłem research na temat znaczenia kwiatów w różnych okresach i...

– Nikt cię nie prosił – przerwała mu Ulka i zaczęła świdrować wzrokiem Paulinę. – Nie uważasz, że to nie w porządku podkradać komuś temat?

– A kto ci podkrada jakiś temat? – Paulina czuła, że zaczyna się irytować. – Właśnie ci przecież przekazujemy to, co przez przypadek wpadło w nasze ręce. Możesz teraz zrobić z tym, co zechcesz.

– Co nie zmienia faktu, że gdyby on – Ulka niedbałym ruchem głowy wskazała Piotra – dał mi coś w poniedziałek, to moglibyśmy już wtedy o tym napisać. Dzisiaj jest już środa, za chwilę wszyscy o wszystkim zapomną.

– Ulka. – Paulina westchnęła. – Piotr pracuje tutaj jak na razie tylko na zlecenie. Czyli robi to, co mu zlecimy. Te cholerne kwiatki dostał prywatnie i właściwie to nic ci do tego. Powinnaś być mu wdzięczna, że się tym z tobą podzielił. Pomijając wszystko inne, byłaś na tym koncercie i mogłaś sama zebrać to gównno z posadzki.

– Co się tutaj dzieje? – Pytanie, które usłyszeli za swoimi plecami, spowodowało, że wszyscy troje gwałtownie się odwrócili.

– Więc? – Naczelną spojrziała na Paulinę i Piotra.

– Nic właściwie, rozmawiamy z Ulką o jej – Paulina posłała koleżance złośliwe spojrzenie – temacie. Przyszedł mail w sprawie wybuchu w katedrze.

– Widziałam. – Przeworska skinęła chłodno głową. – Ale co wy macie z tym wspólnego? To temat pani Urszuli, o ile mi wiadomo.

Ulka uśmiechnęła się do naczelnej.

– Piotr zdobył pewne informacje w poniedziałek i właśnie mi je przekazał.

– Dopiero dzisiaj? – Przeworska ściągnęła brwi.

– Te informacje były publicznie dostępne od piątku! – Paulina rzuciła Ulce wściekłe spojrzenie.

– Proszę wszyscy do mnie! – wysyczała Przeworska.

Paulina dopiero teraz zauważyła, że zwyczajne odgłosy pracy w redakcji jakoś dziwnie ucichły, a wszyscy pilnie wpatrują się w swoje monitory, nadstawiając jednocześnie uszu i dyskretnie obserwując rozwijającą się ciekawie sytuację.

Ulka wstała i ruszyła w stronę aneksu naczelnej. Paulina spojrzała na wystraszonego Piotra, przywołała go gestem i podreptała za nią.

Kilka minut później Przeworska podeszła do swojego biurka, odwróciła się i założyła ręce na piersi.

– Osobiście uważam, że cała ta sprawa to szczeniacki wygłup i pisząc na ten temat, robimy tylko przysługę tym, którzy chcieli narobić zamieszania. Intuicja mi mówi, że nie powinniśmy poświęcać temu pożałowania godnemu incydentowi zbyt wiele miejsca. – Spojrzała nieznaczliwie na Piotra. – Niemniej oczywiste jest, że gdyby przekazał pan te – machnęła lekceważąco ręką w kierunku wciąż trzymanej przez Piotra pogniecionej ofertówki – te śmiecie pani Mateckiej, to miałyby szansę uzupełnić swój artykuł.

– W jaki sposób?! – Paulina nie wytrzymała. – Artykuł ukazał się w poniedziałek rano, Piotr dostał telefon w tej sprawie około południa.

– Mogła napisać o tym na naszym portalu – wycedziła Przeworska. – Piotr chyba nie potrzebuje adwokata.

– Adwokata nie potrzebuje, ale umowy o pracę tak, jeśli chciałaby pani obarczyć go dodatkowymi obowiązkami. Już o tym wspomniałam Ulce.

– Panie Piotrze. – Przeworska zignorowała Paulinę i wycelowała wzrok w coraz bardziej spłoszonego chłopaka. – To, że pan jest asystentem pani Weber, nie zwalnia pana z obowiązku zachowania określonych reguł wobec innych. To, co pan zrobił, jest działaniem na szkodę gazety...

– Ja zaraz postaram się na ten temat napisać parę słów na portal – odezwała się Urszula, która zorientowała się chyba, że przesadziła,



a sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Jeśli nadal będzie pan w ten sposób postępował – kontynuowała naczelna – to proszę raczej zapomnieć o umowie o pracę.

– Chyba pani przesadza. – Paulina z trudem opanowywała rozsierdzenie.

– A do pani mam prośbę. Proszę zająć się własnymi tematami i nie wchodzić w paradę koleżankom. Na miejscu pani Urszuli, biorąc pod uwagę pani temperament i zdecydowanie przerośnięte ego, zrobiłabym pani o wiele większą awanturę.

Paulina zamarła. Dawno nie była tak wściekła, ale wiedziała oczywiście, że okazywanie złości jest bezcelowe i tylko sobie tym zaszkodzi.

– To wszystko! – warknęła Przeworska i ostentacyjnie odwróciła się, dając tym znać, że audyencja zakończona.

## Rozdział 9

*Kopenhaga,  
czwartek 1 sierpnia*

**T**rwającą od kilku tygodni piękną pogodę z końcem lipca przerwały deszcze, które niczym ponura szara kurtyna oddzieliły miasto od słonecznych, letnich, jeszcze niedawno pogodnych dni. Przez wąskie uliczki Starego Miasta pod ścianami kolorowych kamieniczek przemykali okutani w płaszcze i kurtki przeciwdeszczowe mieszkańcy. Niezrażeni pogodą, schowani za drogimi okularami przeciwsłonecznymi, przechadzali się japońscy turyści, a restauratorzy i właściciele tawern przy kanale Nyhavn z tęsknotą spoglądali w niebo, usiłując wypatrzeć jakieś dziury i pęknięcia w szarym marmurowym sklepieniu chmur, które kilka dni temu skamieniały nad Kopenhagą.

W samym centrum Starego Miasta, przy obleganym przez turystów pasażu Strøget, zaraz za skrzyżowaniem z Klosterstræde, stoi niepozorna osiemnastowieczna kamienica z umieszczonym centralnie prostym portalem z piaskowca. Wejście, przez ogromną tafłę jednolitego szkła, prowadzi do ekskluzywnego salonu modnej szwedzkiej marki odzieżowej. Po prawej stronie fasady zaś znajduje się brama, którą wchodzi się na wyłożone brukiem podwórze kamienicy. Jedna ze ścian bramy ma oczyszczone i odsłonięte stare cegły, wieczorami krwiście czerwieniące się w świetle lamp.

Około godziny szesnastej, gdy z biur i urzędów zaczęli wysypywać się na ulice tubylcy, by z irytacją wmieszać się w tłum spacerujących turystów, w bramie pojawił się wysoki ciemnowłosy mężczyzna. Stukot jego kroków przez chwilę odbijał się echem pod sklepieniem przejazdu, by utonąć w końcu w gwarze i hałasie panującym na pasażu.

Naprzeciwko kamienicy, oddzielony kutym, żelaznym ogrodzeniem i szpalerem wysokich, starych drzew, stał kościół Świętego Ducha. Wzdłuż ogrodzenia rzędem rozstawione były ławki, na których, mimo niezachęcającej aury, siedziało sporo pogrążonych w rozmowie osób. Nieco dalej przycupnął pawilon z wegańskim jedzeniem.

Mężczyzna zatrzymał się chwilę w cieniu bramy i czujnie rozejrzał dookoła. Uspokojony sięgnął do kieszeni krótkiej bluzy i wyciągnął ciemne przeciwsłoneczne okulary. Włożył je, naciągnął na głowę kaptur i dopiero wtedy wmieszał się w spacerujący po Strøget tłum.

Wsunął ręce w kieszenie bluzy. Starał się trzymać prawej strony ulicy. Nie podnosząc głowy, ruszył w kierunku Kongens Nytorv, Królewskiego Nowego Targu, największego placu w Kopenhadze, na którego środku stał konny pomnik króla Christiana V. Co roku w czerwcu studenci urządzali tutaj wielką balangę z okazji zakończenia kolejnego semestru.

Mężczyzna nauczony doświadczeniem nie rozglądał się, nie reagował na żadne dźwięki ani głośniejsze rozmowy, żeby przez przypadek nie wpaść na kogoś, kto go rozpozna. Chciał tylko niezauważony przemknąć przez Stare Miasto i znaleźć się w domu kilka przecznic dalej.

Sierpień dopiero się zaczął, ale on miał już przykre uczucie kończącego się lata. Może dlatego, że już pod koniec miesiąca musiał się stawić w Varde, małej miejscinie w zachodniej Danii nad samym Morzem Północnym, dziurze, gdzie chyba zawsze padał deszcz. Gdy dwa lata temu podjął w końcu decyzję, żeby pójść w ślady ojca i dziadka i wstąpić do szkoły podoficerskiej, miał nadzieję, że to jednak będzie wyglądało trochę inaczej.

Po roku musztry, zajęć na placu w strugach deszczu, nauki w smętnych salkach, w których wisały ponure portrety znamienitych absolwentów, bieganiu po okolicznych mokradłach i poligonach, gdzie wciąż padał ten cholerny, pieprzony deszcz, po tym wszystkim, jeżeli czegoś w swoim życiu był pewien, to tego, że nie ma ochoty spędzić tam nawet tygodnia dłużej.

Wakacje to był błogosławiony czas powrotu do Kopenhagi, do pracy, którą znalazł poprzedniego lata i która, jak na razie, go bawiła. W mieście był szczęśliwy. Jak każdy młody człowiek. Rodzice mieszkali kilkadziesiąt

kilometrów na północ od stolicy, w niewielkim miasteczku nad samą cieśniną. W wielkim białym domu z basenem. Ojciec prowadził rozmaite interesy. Oprócz tego miał kilkanaście mieszkań w Kopenhadze, które były lokatą kapitału i przynosiły dochód z wynajmu. I właśnie w jednym z nich mieszkał, gdy wracał na wakacje z tego koszmarnego zadupia w Varde.

Już sobie wyobrażał tę scenę, jak informuje rodziców, że chce rzucić szkołę. To surowe spojrzenie ojca, ciężkie westchnienie matki, chociaż ona akurat pewnie prędzej go zrozumie. Ojciec od razu wyjedzie z tym, że na synu spoczywają obowiązki, że nie może lekceważyć rodziny. Ojciec już i tak prawie dostał udaru, gdy w poprzednie wakacje przyprowadził do domu nową dziewczynę, a w dodatku radośnie oznajmił, że znalazł pracę w nowym modnym portalu.

Pracę po dwóch tygodniach zmienił, a dziewczyny ostatecznie się pozbył, tak jak i poprzedniej. Ojciec tradycyjnie miał rację. Dziewczyna zaczęła go osaczać, tak to odczuwał. Nie mógł już jej znieść, gdy zaczęła coraz częściej mówić o przyszłości. Jak mógł myśleć o wspólnej przyszłości, kiedy sam swojej własnej nie był pewien?

Ale w jego rodzinie wszystko da się zatuszować, podkolorować, wyhaftować na twarzach ujmujące uśmiechy dla postronnych. I dla tych wciąż zaglądających w jego życie.

Dość tego!

Miał tyle mroku do ukrycia, tyle pochmurnych myśli i złych rzeczy, których się czasem dopuszczał. Chciał z tym wreszcie zostać sam. Bez nieustannej kontroli, bez ciągłych pytań.

Oczywiście bał się, że jak tylko oznajmi, że rzuca szkołę, to ojciec go wyrzuci z mieszkania, dużego wygodnego poddasza w wielkim, modernistycznym bloku z czerwonej cegły, ulokowanym tuż obok zamku Rosenberg

Sztuka, kultura, muzyka. To było właśnie coś, do czego go znacznie bardziej ciągnęło. Ale jak tu powiedzieć ojcu, że ma dość munduru i uświęconej rodziną tradycją wojskowej służby w szkole podoficerów?

Musiałby zrezygnować z wygody, z luksusowego loftu, w którym urządzał imprezki dla przyjaciół i znajomych z pracy, i poszukać samemu czegoś tańszego. Dużo tańszego.

A najgorsze, że wcale nie byłby mniej kontrolowany.

Nawet to mieszkanie ojciec wybrał tak, żeby było niedaleko domu stryja. Zawsze mieli go na oku. Gdziekolwiek poszedł, cokolwiek zrobił, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wciąż obserwują go czyjeś oczy, które lustrują, jak się zachowuje, czy ma stosowny strój, czy jest odpowiednio grzeczny i uprzejmy. A co jeśli tak naprawdę wcale nie jest ani grzeczny, ani uprzejmy? A co jeśli w rzeczywistości chciałby wykrzywić się z wściekłością, rzucić czymś albo wyrznąć kogoś w pysk?

Na jednej z ostatnich rodzinnych imprez obserwował dwie wygadane aroganckie dziennikarki, które przepytowały jego matkę, i fantazjował o tym, że pozbawia je głów jednym z tych starych mieczy, które wisiały na ścianach w domu stryja. Widział w wyobraźni, jak odcięte głowy turlają się po marmurowej posadzce, prosto pod nogi jak zawsze lodowato powściągliwej, ale wyraźnie wstrząśniętej babci...

– Maks!

Głośne zawołanie za plecami wyrwało go z zamyślenia, ale instynktownie nie zareagował. Opuścił głowę niżej i przyśpieszył.

W Kopenhadze były tysiące Maksów.

– Maks! Zaczekaj!

Usłyszał za sobą stukot kroków. Ktoś chyba za nim biegł.

Stanął i markując, że wyciąga telefon, spojrzął za siebie. Odetchnął z ulgą.

Morten.

Szeroko uśmiechnięty, z rozczochraną grzywą ciemnych włosów. Po chwili kolega objął go i poklepał po plecach. Maks uśmiechnął się i odwzajemnił gest.

Morten był jednym z nielicznych znajomych, którzy zbliżyli się do magicznego określenia przyjaciela. Maks nie sądził, że kiedykolwiek komukolwiek uda się przekroczyć ten próg, ale Morten był bardzo blisko. Może dlatego, że wcale się nie starał.

– Po robocie?

Maks przytaknął i skinął głową w kierunku mającego w perspektywie ulicy Nowego Targu.

– Idę do domu.

– To może skoczmy coś zjeść? – Morten uśmiechnął się i obrzucił kolegę krytycznym spojrzeniem. – Jesteś szczuplejszy niż ja, chociaż moja matka twierdzi, że nie ma chudszych facetów ode mnie.

– Mam w domu coś tam.

– Czyli nic nie masz. No to idziemy pod siedemnastkę albo do Cap Horn.

Maks skrzywił się, słysząc nazwę popularnej tawerny w jednym z najbardziej turystycznych miejsc w Kopenhadze.

– Albo gdzie indziej. – Morten wzruszył ramionami. – No dawaj, jestem głodny jak wilk, a muszę ci coś powiedzieć. Mówię ci, jaki przypadek, nie uwierzysz.

– Co powiedzieć?

– Czyli idziemy? – Chłopak uśmiechnął się szeroko i szarpnął Maksa za ramię. – Najpierw zamówimy coś do żarcia, a potem wszystko ci opowiem.

Maks, rad nierad, ruszył za kolegą. W zasadzie szli w kierunku jego domu, więc miał jeszcze chwilę na to, żeby jakoś się ewentualnie wykręcić.

Dziesięć minut później siedzieli w narożnej, odseparowanej od reszty sali łązy. Maks stwierdził po drodze, że obiad w fajnym towarzystwie i rozmowa dobrze mu jednak zrobią.

– Załapałem się do niezłej roboty na cały sierpień... – Morten odstawił kufel z piwem i spojrzał tajemniczo spod ciemnej niesfornej grzywki, która co chwila opadała mu na czoło.

– I to jest ta rewelacja, którą chciałeś się ze mną podzielić? – Maks uśmiechnął się kpiąco.

– Poczekaj, aż ci wszystko opowiem – ściszył głos Morten, widząc idącego w ich kierunku kelnera.

Maks odwrócił się do okna, opuścił głowę i zasłonił twarz ręką, drapiąc się w czoło. Usiadł tyłem do sali, ale wolał unikać kontaktu wzrokowego

z obsługującym ich dużym, ciemnoskórym mężczyzną w białym fartuchu z emblematem tawerny.

Morten patrzył na niego z wyrozumiałym rozbawieniem.

– Możesz być spokojny. Ten gość pracuje tu od miesiąca. Przyjechał z Afryki, chyba z Sudanu.

Dwa lata temu rodzice zmusili Maksa do wizyty u psychoterapeuty. Oficjalnie nazywało się to przygotowaniem do pełnienia zaszczytnej służby wojskowej i docelowo przygotowaniem do rozpoczęcia studiów na jakimś preferowanym przez rodzinę kierunku. W rzeczywistości zaczynali się obawiać jego coraz bardziej wisielczego poczucia humoru, żartów z rodzeństwa i coraz częstszych stanów depresyjnych. Ojciec uważał także, że syn nie radzi sobie z ludźmi, że wykazuje niepokojące, introwertyczne skłonności.

Maks nienawidził spotkań z psychoterapeutą. Tego grzebania w głowie, pytań na temat stosunku do rodziny, do obowiązków, czy boi się przyszłości, czy obawia się, że sobie nie poradzi. Nie miał ochoty o tym rozmawiać, zwłaszcza że nie to było jego problemem.

Maks dyskretnie spojrział w kierunku baru, dokąd wrócił właśnie ciemnoskóry chłopak i rozglądał się teraz po sali, czekając, aż ktoś go przywoła lub poprosi o rachunek.

Tawerna była prawie pełna, także na zewnątrz, pod parasolami siedziało trochę ludzi, przeważnie turyści z Europy i Japonii.

Morten rozłożył na kolanach białą serwetkę i pochylił się w kierunku Maksa.

– Wiesz, że mam niemiecki patent żeglarski SBF See?

Maks sięgnął po widelec i kiwnął głową. Okazało się, że nawet jest głodny, chociaż kiedy wychodził z pracy, nie czuł tego jakoś specjalnie.

– No i?

– Znalazłem robotę na jachcie. U Anglików. Przez trzy tygodnie będą prowadzić rzekomo jakieś badania hydrograficzne na Bałtyku.

Maks wsadził do ust kawałek krwistego steku i sięgnął widelcem po małego pieczonego ziemniaczka.

– Dlaczego rzekomo?

Morten uśmiechnął się zawadiacko.

– Bo mam podpisać z nimi umowę, która zobowiązuje mnie do całkowitego milczenia na temat tej wyprawy. Inaczej nie dostanę ani grosza, a płacą całkiem dobrze.

– Po co ci w ogóle ta robota? Przecież twoi rodzice są bardzo bogaci.

– Ale wolę być niezależny, a przynajmniej w czasie wakacji. – Morten się rozpromienił.

– Może i masz rację – powiedział zamyślony Maks. – Widziałeś się już z nimi?

– Gadałem tylko przez telefon. To awaryjna sprawa, jeden z marynarzy im zachorował. Wyrostek, wyobraź sobie. – Morten parsknął śmiechem. – Zabrali go helikopterem z Morza Północnego.

– Ja myślałem, że ten jacht stoi w Kopenhadze.

– Bo stoi. – Morten przytaknął. – Teraz stoi. Przypłynęli trzy dni temu i już nie mieli czasu, żeby ściągać jakiegoś swojaka z Anglii, a że razem z nimi płynie pewien duński statek badawczy, więc poprosili ich o pomoc. – Morten zrobił tajemniczą minę.

– Wyprawę współorganizuje Duński Uniwersytet Techniczny, na którym, jak wiesz, od trzech lat studiuje – dodał, widząc pytające spojrzenie Maksa.

– To stąd się w tym wzięłeś?

Morten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zgłosiłem się od razu, jak zamieścili ogłoszenie.

– Gadałeś z nimi tylko przez telefon i już wiesz, że cię wezmą? – Maks popatrzył na niego powątpiewająco. – A jeśli mają innych kandydatów?

– Wezmą – powiedział z przekonaniem Morten. – Mam doskonałe referencje z poprzedniej podobnej roboty.

– Twoja matka będzie się znowu zamartwiać jak wtedy, gdy popłynęliśmy na Ven i siedzieliśmy całą noc na plaży, bo się spóźniliśmy na ostatni prom. Pamiętasz?

– No jasne, że pamiętam. – Morten się roześmiał. – Moi rodzice postawili na nogi całą policję Zelandii. Ile myśmy mieli wtedy lat?



– Szesnaście. – Maksowi rozjaśniły się oczy na wspomnienie całego dnia i nocy spędzonej na niewielkiej wyspie, położonej na środku cieśniny Sund.

– Nie mogę im nic powiedzieć, bo zrobiliby z tego piekło. Wiesz najlepiej, jacy są rodzice.

Maks przewrócił oczami.

– A kiedy ci Anglicy wypływają? – zapytał, zmieniając temat.

– We wtorek rano. W poniedziałek mam się stawić na pokładzie. Jestem już spakowany i gotowy.

Maks przełknął powoli kolejny kawałek mięsa i spojrzął w stronę okna.

Na ulicy, przed ogródkiem letnim, wolno przepływała rzeka przechodniów. W tle kołysały się maszty zacumowanych w kanale łodzi.

Trzy tygodnie na Bałtyku, z dala od ludzi, telefonów, aparatów fotograficznych, kamer, rodziny. Zazdrościł Mortenowi. Sam za dwa tygodnie będzie się musiał stawić w pierdolonym, kurewskim Varde, nad Morzem Północnym. Zacisnął ze złością pięść.

– Fuck! – Drgnął gwałtownie.

– Co się stało? – Morten podniósł wzrok znad talerza.

– Skaleczyłem się tym cholernym nożem. – Maks odsunął się od stołu i sięgnął po leżącą na kolanach serwetkę. – Na szczęście to nic, zaraz przejdzie.

Morten zarechotał, po czym wskazał wzrokiem wieszak nad głową Maksa.

– Au! Zajrzyj do mojej kurtki. Mam w kieszeni chusteczki higieniczne.

Maks odwrócił się i sięgnął po kurtkę kolegi.

Wyjął paczkę chusteczek, wydobył jedną i ścisnął w dłoni, przytrzymując krwawiący palec.

Przez dłuższą chwilę z namysłem wpatrywał się w czerwoną plamę, która została na serwecie.

Jego rodzina miała spory motorowy jacht. Organizowali na nim niektóre rodzinne przyjęcia i większe uroczystości, jak na przykład jego osiemnaste urodziny kilka lat temu.

Tak jak i Morten, patent morski miał od dawna. W dodatku był doskonałym nurkiem.

Jakże mógłby nie być. Pod wodą nikt go nie widział, była tylko czerń, ewentualnie granat. Kompletna cisza na dnie, pewność, że nikt go nie obserwuje, a potem godziny dekompresji przy linii opustowej, gdy mógł w spokoju pobyc sam ze swoimi myślami.

Podniósł głowę i spojrzał uważnie na Mortena. Anglicy zmusili go do utrzymania tej wyprawy w tajemnicy. Nikomu o niej poza nim nie powiedział.

I byli nawet podobni.

Pomyślał, że chyba mógłby zabić, żeby tylko znaleźć się na jego miejscu.

## Rozdział 10

*WTEDY...*

*Gdzieś w północnych Niemczech*

**P**ociąg drgnął i zaczął powoli się toczyć, mijając pogrążone w ciemności budynki stacji kolejowej. Mniej więcej pośrodku składu jechały cztery wagony z pilnie strzeżonym ładunkiem, oddzielone od reszty wagonami towarowymi, w których siedzieli żołnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe i okutani w długie wełniane płaszcze. Na ich mundurach groźnie błyszcząły dwie charakterystyczne runy, dawniej oznaczające słońce, a od kilku dobrych lat złowrogo wieszczące zwycięstwo III Rzeszy.

Dachy mijanych domów pokryte były grubymi czapami białego puchu, a z okapów zwisały długie lodowe sople. W tamtych czasach zimy tak właśnie wyglądały. Zasypane śniegiem pola i łąki i szklane pancerze na jeziorach i rzekach.

Za pociągiem ciągnął się długi czarny warkocz dymu.

Pociąg pokonał jakieś sto kilometrów, przejeżdżając północno-wschodnią Meklemburgię, po czym wszelki ślad po nim zaginął. To było w okolicach pewnego małego miasteczka, będącego od początku osiemnastego wieku do czasów pierwszej wojny światowej siedzibą książąt meklemburskich z linii Strelitz.

W samym centrum miasteczka, rozciągniętego wzdłuż wschodniego wybrzeża sporego Jeziora Mirowskiego, na oddzielnym fosą półwyspie znajdują się dwa barokowe pałace oraz pozostałość średniowiecznego zamku, ukryta w budynkach kordegardy i jej przyległości.

Większość historyków podążających tropem tajemnic drugiej wojny światowej właśnie w Mirowie widzi koniec w miarę udokumentowanych losów owego pociągu, który nocą na początku czterdziestego czwartego roku przemierzał zasypane śniegiem równiny północnej Meklemburgii. Natomiast to, gdzie zniknął jego tajemniczy ładunek, jest wciąż obiektem nieustających spekulacji.

Według jednych wywieziono go do jakiegoś tajemniczego miejsca niedaleko Göttingen w Dolnej Saksonii, według innych zakończył swój bieg w okolicach Frankfurtu nad Odrą, a jeszcze inne teorie mówią, że zniknął w wykutych w skałach Sudetów podziemiach niedaleko Wałbrzycha.

Ale jest jeszcze jedna wersja.

Strzeżony przez esesmanów ładunek mógł trafić do pewnego ustronnego miejsca niedaleko małego miasteczka leżącego zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Szczecina.

# Rozdział 11

*piątek 2 sierpnia*

**Ł**asztownia to wielka wyspa, która leży dokładnie naprzeciwko Starego Miasta. Jej nazwa ściśle związana jest z jej odwiecznym przeznaczeniem. Od najdawniejszych bowiem czasów wyspa służyła jako miejsce magazynowania i załadunku towarów. Stały tu pierwsze drewniane spichlerze i składy, a gdy umocniono brzegi i powstały drewniane pomosty i nabrzeża, pojawił się także port. Tutaj żaglowce zrzucały balast, którym obciążone wracały do Szczecina z Danii, Szwecji czy Gdańska. *Lastadium* to po łacinie łaszt, co dawniej oznaczało miarę ładunku. W języku niemieckim brzmiało to *last*, po francusku i angielsku *lastage*. Z czasem więc tym właśnie słowem zaczęto nazywać całą wyspę.

Już w średniowieczu na nabrzeżu wzdłuż Odry powstał szpaler spichlerzy, w głębi wyspy w połowie dziewiętnastego wieku zbudowano zespół zabudowy rzeźni miejskiej, a na jej wschodnim krańcu oraz terenach przyległych na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku powstał port wolnocłowy. Ukoronowaniem tej inwestycji była budowa ogromnego gmachu zarządu portu. Na uroczystość oddania go do użytku przybył sam cesarz Fryderyk Wilhelm II. Na triumfalnej ceremonii wypowiedział wówczas znamienne słowa: „Nasza przyszłość związana jest z wodą”.

Dzisiejszą Łasztownię przecina wstęga Trasy Zamkowej, która przekracza Odrę w pobliżu Zamku Książąt Pomorskich, wznosi się nad przemysłową zabudową portu i nad Parnicą, a niedaleko budynku Zarządu Portów Morskich Szczecin-Świnoujście wbija się w dzisiejszą ulicę Gdańską.

Pod Trasą Zamkową zaś biegnie stary trakt do Dąbia, niegdyś kamienna grobla, dziesiątkami lat usypywana na mokradłach i rozlewiskach

strzegących od wschodu Szczecina. Dzisiaj to ulica Energetyków. Parnicę przecina ona mostem, który o włos wręcz mija ceglany, najeżony wieżyczkami i sterczynami budynek portowej straży pożarnej.

Dochodziła właśnie siedemnasta. W zielonym kombi audi A4 siedział za kierownicą młody mężczyzna i z wściekłością patrzył na tył samochodu ciężarowego, który wznosił się nad maską jego auta. Gdy TIR drgnął i zaczął się z wolna toczyć, westchnął i wrzucił jedynkę. Ciężarówka przejechała parę metrów i znowu stanęła. Mężczyzna zacisnął zęby i kilka razy w bezsilnej złości walnął pięścią w fotel pasażera. Właśnie spóźnił się na budowę, na ważne spotkanie z przedstawicielami inwestora i nadzorem autorskim. W dodatku budowę miał wręcz pod nosem. Gdyby wysiadł z samochodu i dobrze się rozpędził, to od biedy mógłby wskoczyć na rusztowanie stojące przy elewacjach wieży obserwacyjnej budynku portowej straży pożarnej. Audi stało obecnie na wjeździe na most Parnicki i jedyne, co mógł zrobić, to czekać, aż dotoczy się wraz z innymi do zjazdu z Energetyków do portu.

Zamknął oczy i policzył do dziesięciu. Budowa była opóźniona, w dodatku przez optymistyczne założenie jego szefów, że do wykonania remontu starego gmachu wystarczy sam projekt budowlany, co chwila stawali obecnie przed jakimiś problemami, które projektanci musieli rozwiązywać na bieżąco.

A to jego oczywiście, jako kierownika budowy, wszyscy oskarżali o kolejne opóźnienia. Teraz też będą mieć pretensję, że sam się spóźnił o dwadzieścia minut. W dodatku na budowie miał być inspektor od miejskiego konserwatora, który oczywiście będzie wydziwiał, że kolor spoin pomiędzy ceglami jest nie dość piaskowy. Kurwa!

Ciężarówka stęknęła i przetoczyła się o kilka metrów. Zza kierownicy audi rozpostarł się w tym momencie widok na cały gmach straży portowej oraz stojącą o kilka wręcz metrów od mostu wieżę z przylegającym do niej budynkiem dawnej wartowni.

Marek policzył ponownie do dziesięciu i głęboko odetchnął. Pomyślał, że musi się trochę hamować, bo w wieku trzydziestu sześciu lat będzie miał zawał. Spojrzał z rezygnacją na zegar na tablicy rozdzielczej. Piętnaście minut temu dzwonił na budowę i uprzedził, że się spóźni kilka minut, ale

kilka minut urosło już prawie do pół godziny. Jedyna nadzieja, że inni także gdzieś utknęli, zwłaszcza inspektorka od miejskiego konserwatora.

Środek lata, piękna pogoda i piątek. Właśnie się zakorkował wjazd do centrum, tradycyjnie już w okolicach szesnastej, a za chwilę zakorkuje się także wjazd. Kto żyw, będzie chciał uciec z miasta na weekend nad morze.

Przejechał ponownie kilka metrów i utknął praktycznie na samym środku mostu. Pluł sobie w brodę, że nie zjechał do portu mostem do Hryniewieckiego. Tam było pusto, bo przeprawa wiodła wyłącznie do portu i do oczyszczalni ścieków na Ostrowiu Grabowskim. Praktycznie nikt tam nie jeździł. Ale zupełnie o tym zapomniał. Na budowę jeździł zazwyczaj rano, w okolicach siódmej, wtedy jeszcze było w miarę spokojnie. Dzisiaj na popołudniowe spotkanie pojechał po prostu automatycznie, jak koń w kieracie.

No i utknął.

Na rusztowania wieży obserwacyjnej wchodziła właśnie grupa robotników. Widział, jak kilku mężczyzn wspina się po metalowych drabinach na ostatni poziom. Tuż pod nakrytym dachówką, spiczastym hełmem wieży. Na samym jej szczycie była platforma widokowa, otwarta na cztery strony wielkimi, łukowymi otworami. A do tego profilowany gzyms, kamienne i ceglane detale, stalowe kotwy i mnóstwo innego starego badziewia. Od zajebania robót konserwatorskich. A tymczasem narada w baraku na dziedzińcu pewnie już wkroczyła w etap sporów o kolejne niedotrzymane terminy oraz o źle oczyszczone partie ścian.

Marek, czując, że znowu się nakręca, odetchnął głęboko.

Samochód przed nim przetoczył się znowu kawałek, a jego audi zatrzymało się jakieś kilkadziesiąt metrów od wieży. Miał na nią teraz piękny widok.

Rusztowania od strony rzeki, z braku możliwości sensownego statycznego oparcia na ziemi przez przebiegający poniżej ciepłociąg, były zamocowane do elewacji na stalowych kotwach wkręconych w konstrukcję ścian. To rozwiązanie krytykował nadzór autorski, ale im nigdy nic nie pasowało.

Marek spojrzał na zegarek i głośno jęknął. Gdzieś obok rozległ się klakson, a stary diesel ciężarówki przed nim dychawicznie zacharczał.

To dlatego nie usłyszał wybuchu.

Pogrążony w myślach na temat tego, jak obsmarują go na naradzie, zauważył nagle, że wokół zrobiło się chyba jakieś zamieszanie. Z kilku samochodów wysiedli ludzie, a gdzieś z przodu usłyszał czyjeś krzyki.

I nagle zobaczył, jak wali się część rusztowania od strony wiaduktu mostu.

Z głośnym metalicznym łomotem runęły w dół stalowe przęsła i pojedyncze rury. Mata osłaniająca rusztowanie rozerwała się, pociągając za sobą kolejne elementy stalowej konstrukcji.

Marek na moment skamieniał. Patrzył z przerażeniem i czuł, jak wali mu serce. Zaciągnął hamulec ręczny, szarpnął za klamkę i wypadł na zewnątrz.

W tym momencie od ściany odspoił się cały pion i kolejny poziom stalowych pomostów runął w dół. Marek przeskoczył przez stalową odbojnicę jezdni i dopadł do balustrady. Na jego oczach zwała się prawie cała ściana metalowych elementów rusztowania, z potwornym jazgotem roztrzaskując się na biegnących poniżej rurach ciepłociągu i leżących już na dole innych stalowych częściach.

Na moście rozlegało się głośne trąbienie, ludzie, którzy tkwili za kierownicami samochodów i nie zauważyli jeszcze, co się dzieje, patrzyli z wściekłością na opuszczających swoje auta innych kierowców przed nimi.

Jakaś kobieta dopadła balustrady obok Marka i wychyliła się przez poręcz.

– Boże! Widzi pan? Tam ludzie spadli! – Pokazała ręką w dół, w kierunku stosu pogieętego żelastwa.

Marek zobaczył, że na trawniku pomiędzy rurami leżą chyba dwa ciała. Poczuł, jak z twarzy odpływa mu cała krew.

Sięgnął do kieszeni i od razu przypomniał sobie, że komórkę zostawił na siedzeniu. Przeskoczył odbojnicę, szarpnął drzwi i chwycił telefon.

Obok niego i trochę dalej wzdłuż balustrady mostu zebrał się już spory tłumek gapiów, a ze stojących w korku samochodów ciągle dochodziły kolejne osoby.

– Pogotowie ratunkowe, słucham – po trzecim sygnale odezwała się jakaś kobieta.



– Wypadek w budynku straży pożarnej! – Marek krzyknął do słuchawki.  
– Potrzebny będzie sprzęt specjalistyczny do cięcia stali!

– Skąd pan dzwoni? Straży pożarnej gdzie? – spytała kobieta beznamiętnym głosem jak automat.

– Szczecin, Bytomska jeden! Rusztowanie się zawaliło!

– Przed chwilą mieliśmy dwa telefony z Energetyków, z mostu nad Parnicą.

– Tak! To to samo! Stoję właśnie na tym moście! Ale podjechać musicie na dół, od strony Bytomskiej albo od Bulwaru Śląskiego. Prędszej, pospieszcie się! Tu się zaraz zrobi jeszcze większy korek!

– Dobrze, już wysyłam karetkę!

Marek schował telefon do kieszeni i wyjrzał przez balustradę.

Od strony dziedzińca straży pożarnej nadbiegało właśnie kilkoro ludzi. Na zachowanej części rusztowania stały trzy osoby, kurczowo trzymając się stalowych prętów.

Wieża miała w przekroju kształt kwadratu. Od strony Łasztowni przylegała do budynku dawnej bramy i dalej wartowni, od strony rzeki zaś, czyli od południa, wznosiła się jej ściana szczytowa, wyrastająca nad biegnącym poniżej mostu i przebijającym się pod nim tunelem Bulwarem Śląskim. I to od niej oderwało się rusztowanie i pogruchotanymi szczątkami zasłało teraz jezdnię na bulwarze.

Marek zauważył także, że spadające żelastwo rozerwało ciepłociąg, którego poszarpane fragmenty zwisały z konstrukcji wsporczej. Ocalało rusztowanie przy dwóch ścianach sąsiadujących, i to właśnie tam, od strony mostu, stali teraz ludzie.

Rozejrzał się. Miał wrażenie, że nerwy zaraz oderwą mu głowę od reszty ciała. Nie było szans, żeby drgnęły samochody, z których powyłazili prawie wszyscy pasażerowie. Z zapamiętaniem robili teraz zdjęcia telefonami komórkowymi.

I nagle uprzytomnił sobie, że rusztowanie na ścianie zachodniej, tej, która stała raptem kilka metrów od wiaduktu mostu, także przecież częściowo opierało się na hakach.

Jeśli haki zostały naruszone, to rusztowanie zwali się na jezdnię.

Podbiegł do balustrady i zaczął krzyczeć do trojga konserwatorów, którzy sparaliżowani strachem wciąż stali z plecami przyklepionymi do ścian.

– Spierdalajcie stamtąd! Natychmiast! – Przepchnął się pomiędzy ludźmi i zaczął machać energicznie w kierunku wieży.

Któraś z postaci drgnęła i powoli zaczęła się przesuwać w kierunku narożnika i drabiny na niższe poziomy.

Marek złapał za rękaw stojącą najbliżej kobietę.

– Proszę się stąd odsunąć! – wrzasnął. – To rusztowanie może się zwalić na samochody!

Kobieta w pierwszej chwili spojrzała na niego ze złością, ale prawie od razu w jej oczach pojawił się także strach.

– Wysiadać! – Marek biegł wzdłuż jezdni i walił w dachy samochodów stojących najbliżej balustrady. – Rusztowanie może tutaj runąć.

Jakby pobudzone tym do działania rusztowanie nagle tąpnęło. Gwałtownie obniżyło się o kilkanaście centymetrów, wzbijając tuman kurzu. Z górnego poziomu spadł spory pojemnik i roztrzaskał się o pręty poniżej, bluzgając dookoła zieloną farbą.

Stojący przy balustradzie tłumek drgnął, odskoczył do tyłu i zamarł. Na moment wszystko zatrzymało się w kadrze, po czym rozległ się charczący łomot i cała konstrukcja stalowych pomostów zaczęła powoli odrywać się od wieży.

Na moście wybuchła panika. Gapie rzucili się do ucieczki. Z samochodów wyskoczyli ludzie i widząc, co się dzieje, zaczęli biec za innymi.

Marek zadarł głowę. Niczym w zwolnionym tempie widział, jak ściana stali powoli przekrzywia się, po czym zaczyna łamać na kawałki i lecieć w dół.

Nie oglądając się za siebie, ruszył biegiem w kierunku zjazdu z mostu. Słyszał za plecami krzyki ludzi i łomot opadających na dachy samochodów stalowych dźwigarów.

Kątem oka zauważył, że nad stosem pogiętego żelastwa wciąż wiruje chmura jakichś kolorowych okruchów.

Paulina rzuciła na stół egzemplarz „Dziennika Szczecińskiego” i z ciężkim westchnieniem usiadła przy swoim biurku.

– Brzydzę się sobą, że zgodziłam się na te zmiany – stwierdziła ze złością.

Piotr podniósł głowę i najpierw ostrożnie zerknął w kierunku aneksu naczelnej, a potem dopiero przeniósł wzrok na Paulinę.

– I tak wytną te drzewa, niezależnie od tego, czy o tym napisałaś, czy nie. Poza tym ekologizm to grzech ciężki. Prawie taki jak weganizm.

– Och, przestań. – Paulina westchnęła po raz kolejny i z rezygnacją podniosła klapkę laptopa. – Wiem, że wytną, ale to ja napisałam. Podpisałam się pod tym. W oczach wszystkich czytelników wychodzę na taką, która beznamietnie opisuje szkodliwą ekologicznie i przyrodniczo inwestycję i nawet nie ma własnego zdania na ten temat.

– Nie przesadzaj – bez przekonania mruknął Piotr, wpatrując się w ekran swojego monitora. – Coś się dzieje chyba na moście nad Parnicą.

– To przecież niedaleko nas. Co takiego? – Paulina spojrzała na kolegę bez specjalnego zainteresowania i od niechcienia odpaliła przeglądarkę. – Pewnie korek, jak zwykle.

– Mam tu forum konkurencji. Ludzie tam piszą z samochodów, że coś stało się na budowie.

– A jaka tam jest budowa? Żadnej budowy tam nie ma przecież.

– Remontują budynek portowej straży pożarnej. Ten z wieżą, co wygląda jak mały zamek.

Paulina zmarszczyła brwi i pochyliła się nad swoim laptopem.

– Czeka! Naprawdę coś się dzieje. Ktoś wkleił fotki.

– O ja! – Piotr otworzył nagle szeroko oczy, wpatrując się w monitor. – Zawaliło się rusztowanie. Boże! Ktoś chyba spadł. Właśnie oglądam czyjś filmik z komórki.

Paulina poderwała się z fotela, okrążyła biurka i pochyliła się nad plecami Piotra.

– Boże! Rzeczywiście! Zaraz będzie afera na wszystkich portalach. Czeka! Piotr zamarł w bezruchu.

– Jesteśmy najbliżej! – Paulina spojrzała nerwowo w stronę aneksu naczelnego i rozejrzała się po redakcji. – I chyba nikt tego jeszcze nie wyczał.

– Bo wszyscy grzecznie pracują – szepnął Piotr. – Lecimy?

– Ale mówimy o tym Przeworskiej?

– Po co? Przecież mogliśmy wyjść kupić sobie ciastko. – Piotr poderwał się z krzesła. – Gdzie masz samochód?

– Daleko. Aż pod trasą. I w dodatku w przeciwnym kierunku.

– To szybciej będzie na piechotę. To jakieś trzysta metrów. – Piotr sięgnął po komórkę i nagle znieruchomiał.

– Raczej sześćset. Dobrze, że mam zwyczajne buty, a nie szpilki. Co jest? – Zauważyła, że Piotr pochylony nad ekranem laptopa w coś się wpatruje.

– Jeśli to jest to, co myślę... – Wskazał palcem powiększony fragment czyjegoś zdjęcia, na którym na tle zatrzymanych w ruchu stalowych pomostów widać było jakąś mieniącą się kolorowo chmurę.

– Chryste! – Paulinę na moment sparaliżowało. – Idziemy!

Oboje rzucili się w kierunku drzwi i po chwili znaleźli się na schodach.

Igor stanął przed wiszącym na ścianie kalendarzem i zamyślił się. Godzinę temu zadzwonił Jarost i zaproponował mu, żeby w poniedziałek wpadł na budowę i wszystko dokładnie obejrzał, a może i dokonał pierwszych pomiarów.

Poniedziałek to był już piąty sierpnia. Siódmego przypływają do Szczecina Johann i całe angielskie towarzystwo, a dwunastego wyruszają w morze. Strasznie mało czasu na wszystko. A Johanna trzeba będzie przecież tutaj jakoś podjąć, zająć się nimi. Może niepotrzebnie się zgodził na tę robotę. Chociaż właściwie to tak naprawdę się jeszcze przecież nie zgodził.

Spojrzał z powątpiewaniem w kierunku leżącej na biurku umowy.

Z korytarza do jego aneksu zajrzała jedna z projektantek.

– Igor, ten inwestor od pałacu pod Koszalinem...

– Co z nim? Miał być piętnaście minut temu!

– Właśnie zadzwonił, że się spóźni, bo jest straszny korek na wjeździe do miasta. Wszystko stoi.

Igor spojrział na zegar na ścianie. Dochodziła siedemnasta.

– O Boże! Myślałem, że uda mi się dotrzeć dzisiaj do domu przed osiemnastą. A to spotkanie potrwa pewnie ze dwie godziny.

– No to nie masz żadnych szans, chociaż moim zdaniem nie miałeś ich już od początku. – Dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie i zasunęła oszklone drzwi.

Igor spojrział ponownie na kalendarz.

Żeby tak jutro był dwunasty... Dawno już tak się nie cieszył na urlop. Ba, dawno w ogóle nie miał prawdziwego urlopu. Co najwyżej jakieś wypadki na kajaki, narty czy inne tego typu rzeczy, najczęściej zamykające się w jakimś nieco tylko dłuższym weekendzie. A teraz trzy tygodnie na Bałtyku. Na tym niezemskim białym jachcie Johanna.

Białym. Przypomniało mu się przejście dla pieszych pod Pazimem i jasne, ciepło uśmiechnięte oczy Jarosta. Pomachał mu nawet. Czy Jarost i Szymon mieli takie same samochody? Wydawało mu się, że to Rogala jeździ białym pick-upem.

Monika. Miał do niej zadzwonić. Właściwie to nie wiedział, jak postąpić. Nie byli na tyle przyjaciółmi czy specjalnie zażyłymi znajomymi, żeby telefon w takim momencie był w oczywisty sposób usprawiedliwiony. Bał się, że wyjdzie na kogoś, kto szuka sensacji. Ale co tam...

Sięgnął po komórkę i po chwili stał przy oknie, wyglądając na plac przed budynkiem i czekając na połączenie.

– Igor? – Monika odebrała po trzecim sygnale.

– Witam, nie chciałbym się narzucać, ale jeśli potrzebna jest jakaś pomoc, to służę swoją osobą.

– Nie, wszystko jest w porządku – mówiła przybitym głosem. – Jakoś sobie radzimy, ale bardzo ci dziękuję.

– Czy coś już wiadomo?

– Nic kompletnie. – Monika westchnęła. – Policja mnie zbywa. Oni pewnie myślą, że Szymon mnie rzucił. Rzekomo dziewięćdziesiąt procent takich zgłoszeń tak wygląda.

– Podobno rozmawiałaś z nim tydzień temu w sobotę, nic nie zwróciło twojej uwagi? Normalnie się zachowywał?

– Nie rozmawiałam. Kto ci to powiedział? Pisaliśmy tylko na Messengerze. Napisał, że wraca w poniedziałek wieczorem, a jak mu się nie uda, to we wtorek rano.

– Gadałem z Romkiem, bardzo się tym wszystkim martwi. A nie dzwoniłaś do rodziców Szymona?

Na moment zapadła cisza.

– Nie wiem, czy wiesz, ale mamy bardzo złe układy z jego rodzicami. Ja mam. Nie znoszą mnie, nigdy mnie nie lubili, zwłaszcza jego matka. Po ostatniej awanturze dwa lata temu w ogóle zerwałam z nimi kontakt. Dla Szymona to był oczywiście problem, dlatego nigdy nie protestowałam, jak chciał tam jechać czy spędzić z nimi trochę czasu. Poza tym pomagał siostrze. Zawsze kończyło się na tym, że pili całą noc ze szwagrem. – Monika westchnęła ciężko. – Ale nie czepiałam się. Teraz też myślałam, że jest u nich. Zwłaszcza w obecnej sytuacji, gdy ma te kłopoty.

– Może rzeczywiście gdzieś się zaszył.

– Na szczęście w firmie jest Romek. – Monika znowu westchnęła. – Już dwóch kierowników budowy zaczęło do mnie wydzwaniać. Nie wiem, co bym zrobiła bez Romka.

Igor znowu przypomniał sobie łagodny uśmiech Jarosta i jego jasne przyjazne oczy.

Rozmawiali jeszcze przez moment na jakieś neutralne tematy, a potem Igor powtórzył swoją deklarację pomocy i pożegnali się.

Gdy odkładał telefon na stół, przypomniał sobie niespodziewanie słowa Pauliny na temat relacji pomiędzy ludźmi.

*Nigdy nie wiadomo...*

Paulina zatrzymała się zdyszana na wysokości bramy wjazdowej na teren portu.

– Poczekaj! – krzyknęła do Piotra.

– Już jesteśmy na miejscu, dawaj! – Piotr niecierpliwie przebierał nogami.

– Zaraz wypluję płuca.

– Musisz zacząć chodzić ze mną na zumbę. To lepsze niż jakieś gówniane snobistyczne bieganie. W butach za pół tysiaka.

Paulina podniosła głowę i spojrzała na Piotra wzrokiem, który powinien mu wypalić dziurę na czole.

– Idziemy! – Ruszyła w kierunku budynku straży pożarnej, widocznego już za szpalerem drzew obrastających nasyp mostu.

– O rany! Patrz! – Piotr przystanął, gdy znaleźli się obok narożnika gmachu. Wyszarpnął z wąskich džinsów komórkę i zaczął filmować.

Pomiędzy nasypem a ścianą budynku przemykała nitka ciepłociągu. Teraz w tym miejscu było gruzowisko pogiętych stalowych belek i kratownic.

– Może przeleziemy tędy, pod tym ciepłociągiem – Piotr skinął ręką w kierunku zwaliska żelastwa – zamiast lecieć naokoło Bytomską.

– Żeby się na nas coś jeszcze zważyło? – wydyszała Paulina, wskazując głową zwisające ze ścian fragmenty rusztowania. – Poza tym to jest łązenie po miejscu wypadku.

– Jeszcze nie ma policji.

– Ty się bardziej do tabloidu jednak nadajesz, a nie do gazety.

– I tak tam wyląduję, jak Przeworska zostanie z nami jeszcze z miesiąc.

– Ja wyląduję na kozetce.

– Oj, przestań – ofuknął ją Piotr. – Idziemy! Póki co zrobimy zajebisty materiał na nasz portal. Jak wrzucimy to za godzinę, to będziemy pierwsi w mieście.

Piotr, nie czekając, przelazł pod stalową rurą ciepłociągu i ruszył po trawie wzdłuż wiaduktu mostu. Paulina rozejrzała się dookoła siebie i kręcąc głową z niezadowoleniem, poszła za nim.

Obok ciepłociągu leżały fragmenty zniszczonego rusztowania – pogięte stalowe panele, rury, ale także deski oraz kubły z farbą i rozmaite materiały

budowlane. Piotr cały czas trzymał przed sobą komórkę.

– Gazeta powinna nam zapewnić kamerki sportowe – rzucił, pokonując stertę żelastwa.

– Jasne! – Paulina starała się trzymać jak najbliżej wiaduktu. – Ciesz się, że cienkopisy i mazaki nam czasem dają.

– Zobacz! – Piotr nagle zamarł.

Przed nimi wyłonił się narożnik budynku, za którym widać było wysokie stalowe filary, na których biegł ciepłociąg, a dalej, zasypaną stalowymi belkami jezdnię na bulwarze Śląskim. Nieco dalej grupa robotników zbierała i rozkładała fragmenty rusztowania. Pod samą ścianą piętrzyła się kupa pogiętych kratownic.

– Co takiego niby? – Paulina wyjrzała zza pleców Piotra.

– Tutaj. – Piotr ze zgrozą wycelował palec w kierunku złomowiska.

Na niektórych kratownicach, ale przede wszystkim na trawie obok i pod stalowymi przęsłami, widać było kolorowy nalot.

Piotr dmuchnął i z najbliższej belki uniósł się w powietrze kłęb barwnych okruchów.

Paulina zmartwiała.

Słysząc było hałas stalowego złomu, który robotnicy przekładali z miejsca na miejsce, głośnie pokrzykiwania oraz narastający z oddali sygnał nadjeżdżających karet pogotowia.

– Co wy tu robicie?! – zza narożnika dobiegł ich nagle męski głos.

Na trawie obok jezdni stał mężczyzna w żółtej kamizelce i białym kasku.

– Tu nie wolno włączyć! Nie zauważyliście, że był wypadek! Wypierdalać stąd!

– Już idziemy, panie majster. – Piotr podniósł ręce w uspokajającym geście. – Ulica tam dalej jest zastawiona.

– Nie zauważył pan tablic ostrzegawczych?! – Mężczyzna w kasku spostrzegł nagle komórkę w ręku Piotra. – A to co jest? Filmujecie nas?

– Spadamy! – Piotr odwrócił się i złapał Paulinę za rękaw.

– Pierdolone hieny! – Majster ruszył za nimi w pogoń.



Paulina przeskoczyła przez najbliższą hałdę żelastwa, ominęła słup trakcji ciepłowniczej i pognała wzdłuż wjazdu na most. Słyszała tuż za sobą tupot szybkich kroków Piotra.

– Niech ja was dorwę, skurwiele! – Mężczyzna zatrzymał się przy gruzowisku i pogroził im pięścią. – Łajdactwo jebane!

Paulina i Piotr przebiegli cały odcinek nasypu mostu nad Parnicą i zatrzymali się dopiero za pniem drzewa tuż przy schodach prowadzących na chodnik na moście.

– Boże! Ja przy tobie na samo dno dziennikarstwa spadam. Pieprzony paparazzi się znalazł! – Paulina wyjrzała zza drzewa. Ciężko oddychała.

Na szczęście robotnicy z budowy zaniechali pościgu.

– Zobacz! – Piotr sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść płatków. – Udało mi się w ostatniej chwili zgarnąć.

– I po co ci to? – Paulina oparła się o drzewo. – Zrobisz badania węglem C czternaście? W naszej kuchni redakcyjnej?

– Porównamy, czy to te same rośliny. To może być jakaś informacja.

– Piotruś. – Paulina postukała się palcem w czoło. – Jaka informacja, do diabła? Policja pewnie to zrobi nieco bardziej profesjonalnie od ciebie.

– Jasne – zakpił Piotr. – O ile tylko znajdą odpowiednie zakłęcie w modlitewniku milicjanta katolika.

– Boże! – fuknęła Paulina. – Dlaczego ja cię w ogóle słucham?!

– Jak na razie to tylko my wiemy, że tu także były te płatki kwiatów.

– Wypatrzyliśmy to na fotkach w necie. Pewnie na forach już o tym gadają.

– Dlatego jak najszybciej musimy wsadzić mój film na nasz portal – powiedział Piotr i rzucił się biegiem przez ulicę.

Biurowiec Lastadia Office, gdzie mieściła się redakcja gazety, znajdował się za zakrętem. W miejscu, w którym się zatrzymali, było go już widać. Pomiędzy filarami Trasy Zamkowej majaczył dach biurowca.

– Chryste! – powiedziała Paulina z rezygnacją i ruszyła za Piotrem. – Zabiję w końcu tego gówniarza!

Urszula kątem oka obserwowała, jak Paulina z Piotrem raptem się zerwali i pochyleni nad laptopem tego pęta zaczęli najwyraźniej coś knuć. A potem nagle zabrali się i gdzieś poszli, z trudem zachowując pozory, że wychodzą sobie ot tak, po śniadanie.

Coś musiało być na rzeczy.

Urszula nie lubiła Pauliny. Tego jej efekciarskiego napuszonego lewactwa, tego zakłamanego feminizmu i pustego żalnego ateizmu. Nie o to chodzi, że miała coś do ludzi niewierzących oczywiście, ale nie znosiła, jak ktoś się z tym obnosił. Manifestował tę pozbawioną wartości bezideowość.

Nieźle się dobrali z tym chłystkiem. Do gejów też nic nie miała oczywiście, przecież nie była żadną homofobką. Co to w ogóle za określenie? Nienawidziła po prostu tej ideologii, tego wpychania ludziom, że to jest normalne, gdy dwóch facetów sypia ze sobą. Nikomu nie zamierzała zaglądać do łóżka, ale nie życzyła sobie, żeby ktoś tak ostentacyjnie się z tym afiszował. Miała wśród znajomych gejów, o których wszyscy wiedzieli, ale oni nie chępli się tym, żyli skromnie i samotnie na boku, nie wchodząc ludziom w oczy. I tak powinno być. Każdy dźwiga jakiś krzyż.

Nie była uprzedzona, to śmieszne. Po prostu irytował ją tymi swoimi pompatycznymi, górnolotnymi ekologicznymi bredniami. Prawda była taka, że tacy jak on wycierali sobie gęby prawami zwierząt, wierutnymi bzdurami o ociepleniu klimatu i jakiejś wydumanej, bezglutenowej, hipsterskiej katastrofie ekologicznej, a byli ślepi na prawo naturalne i humanizm. Na człowieka.

Ze złością stuknęła w swój laptop, usiłując skupić się nad tekstem, który pisała na sobotę na ich portal. Wciąż była zła za tę awanturę w środę. Na siebie także, niepotrzebnie dała się sprowokować. Była przekonana, że Piotr celowo nie powiedział jej o tych gównianych kwiatkach i jakichś napisach i oboje specjalnie odczekali aż trzy dni. To prawda, mogła sama zebrać te śmiecie podczas koncertu, ale najpierw była skupiona na muzyce, a potem zbyt wstrząśnięta tym barbarzyństwem, tym świętokradztwem. Niech to sobie brzmi, jak brzmi. Wiadomo, że Paulina by ją wyśmiała, ale przerywanie koncertu w katedrze, niszczenie podniosłego nastroju

płynącego z piękna muzyki i przebywania w tym ogromnym wnętrzu pełnym pokory i duchowości, to było dla niej świętokradztwo.

Przewinęła kolejną stronę z kilkuset linków na temat ekoterroryzmu, organizacji ekologicznych i takich tam i otworzyła następną. I nagle wpadł jej w oko pewien tytuł.

Zamarła. Niemożliwe.

Otworzyła link i zaczęła, coraz bardziej podekscytowana, czytać artykuł sprzed kilkunastu miesięcy. A potem otworzyła następny na ten sam temat i jeszcze parę wzmianek. Gdy skończyła, była tak podniecona, że w ogóle nie mogła skupić się na pracy.

Ale to jest przecież prawdziwa bomba! I to ona pierwsza ją odkryła.

Stwierdziła, że musi się przejść i kupić sobie coś słodkiego.

– Idę po pączka – rzuciła do siedzącej najbliżej koleżanki i ruszyła w kierunku wyjścia.

Zwolniła przy biurkach Pauliny i Piotra.

Oczywiście powygaszali monitory i raczej się nie dowie, co ich tak zainteresowało. Miała nadzieję, że nie odkryli tego samego co ona. Ale jakby nawet, to ona pisze na ten temat, Paulina ma się od tego trzymać z daleka. Naczelną tym razem powiedziała jej to chyba bardzo wyraźnie.

Zatrzymała się na moment nad stołem Piotra. Przed monitorem miał rozrzucone w nieładzie kilka kartek z notatnika, na których plątały się jakieś jego różne bazgroły. Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę.

Młodzieżowy Strajk Klimatyczny? No proszę, jakie ciekawe skojarzenie.

Uśmiechnęła się do siebie i rażnym krokiem wyszła z redakcji.

Piotr pchnął drzwi do głównej sali redakcji i przepuścił przodem Paulinę.

– Idź pogadaj z Przeworską, ja skoczę do Macieja, żeby ten film obrobił na nasz portal.

Paulina wciąż jeszcze zdyszana po ekspresowym powrocie do redakcji, weszła do środka i ruszyła w kierunku aneksu naczelniej. Na myśl

o kolejnym starciu z tą kobietą zrobiło jej się niedobrze.

Aneks był jednak pusty. Paulina zajrzała przez oszklone drzwi, a następnie rozejrzała się po sali. Nigdzie nie było widać szefowej.

– Gdzie jest Przeworska? – zwróciła się do siedzącej najbliżej koleżanki.

– Wyszła jakieś piętnaście minut temu.

– A Ulka?

– Też wyszła. Po pączka.

– A Marcin jest?

Dziewczyna spojrzała w kierunku kuchni.

Paulina nie czekała, aż zastępca naczelnego wyjdzie z kuchni. Zastała go przy ekspresie do kawy.

– Co jest? – spytał, widząc jej nerwowe spojrzenie. – Stało się coś?

– Mamy z Piotrusiem niezły materiał, ale Przeworska gdzieś wyszła.

Marcin pokręcił głową.

– Ja nie jestem od tych spraw, musisz poczekać, aż wróci.

– Będzie za późno. – Paulina podeszła do kolegi i oparła się o szafkę. –

Mamy film z zaważenia się rusztowań na budowie niedaleko. Jak nie pójdzie teraz, to za pięć minut wszyscy nas wyprzedzą.

– Co ty? – Marcin spojrzał na Paulinę zdezorientowany. – Zawaliło się rusztowanie? Gdzie? Ktoś zginął?

– Nie wiem. Przyjechały karetki, więc pewnie są ofiary. Ale nie o to chodzi.

– E tam, zwykły wypadek – zbył ją Marcin, zabrał kawę i ruszył do wyjścia. – To może poczekać, serio.

– Marcin! – Paulina pobiegła za nim. – Mamy podejrzenie, że to ma coś wspólnego z wybuchem w katedrze.

Marcin, który miał właśnie zamiar zamknąć jej drzwi przed nosem, zatrzymał się i cofnął do środka.

– Znaleźliśmy na tych zaważonych rusztowaniach takie same płatki kwiatów, jakie były w katedrze. Poza tym na zdjęciach internautów widać je w czasie, gdy lecą rusztowania.

- Jesteś pewna? – Marcin postawił kubek na stole.
- Nawet zabraliśmy garść tego.
- A jeśli rosły tam po prostu jakieś krzaki, a wy robicie aferę? Może katastrofa je zdmuchnęła.
- Tam nie ma żadnych kwiatów ani krzaków z kwiatami. To przecież port.

Paulina zobaczyła przez oszklone drzwi Piotrusia, który wpadł do głównej sali i rozglądał się dookoła. Pomachała w jego kierunku. Dostrzegł ją i wbiegł do wnętrza aneksu Marcina.

- Masz już? – spytała go.
- Maciej właśnie go obrabia. Za pięć minut ma skończyć i możemy wrzucać.
- To jak? – Paulina spojrzała na szefa.
- Pokażcie ten film – polecił Marcin.

Po chwili oparty dwiema rękami o stół wpatrywał się w ekran laptopa Piotra.

- Z tym waszym pieprzeniem mamy to puszczać? – spytał w końcu poirytowany.
- Maciej to właśnie usuwa – zapewnił go Piotr.
- Dobra! Julia mi łeb urwie, ale puszczaście to. Wrzuć komentarz, że tylko podejrzewamy. – Spojrzał na Paulinę znacząco. – Tylko podejrzewamy, powtarzam, że to może mieć coś wspólnego z prowokacją w katedrze.

Paulina skinęła głową i po chwili oboje z Piotrem wypadli z aneksu naczelnego.

## Rozdział 12

*sobota 3 sierpnia  
późnym wieczorem...*

**M**aleńki ogródek przy restauracji, ogrodzony drewnianym płotkiem i opleciony roślinnością, oświetlony był przez wiszącą nad wejściem latarenkę oraz palące się na stoliku świece. Na rynku panował harmider, z ogródków letnich dochodziły śmiechy i głośne rozmowy. Sierpniowy gorący wieczór dostarczał wszystkim lokalsom i turystom, którzy zapędzili się na tak zwane Stare Miasto, rozkosznej radości nicnierobienia i pozwalał cieszyć się spokojem upływającego wieczoru. Zwłaszcza że to sobota i nie trzeba się było przejmować jutrzejszym kacem. A przynajmniej bez zbytnej przesady.

– Boże! Jak mi tego było trzeba. – Paulina przymknęła oczy i podniosła do ust pękaty kieliszek czerwonego wina.

W drzwiach lokalu pojawił się kelner z tacą pełną dymiących smakowicie pyszności.

– Ale jestem głodny. – Igor cmokną z zadowoleniem, gdy chłopak skończył rozstawiać przed nimi talerze i poszedł do kuchni.

Gdy jedzenie zniknęło już z talerzy, a kieliszki ponownie napełniły się czerwonym winem, Paulina sięgnęła do torebki i wydobyła tablet. Położyła go na stoliku przed sobą i otworzyła przeglądarkę.

– Chyba żartujesz? – Igor spojrzał na nią wzrokiem zranionej łani. – Teraz? Internet?

– Oj nie, chcę ci tylko coś pokazać – powiedziała Paulina niecierpliwie i przeleciała palcem wzdłuż listy maili w swojej poczcie.

– Zobacz, co dostałam. Co o tym sądzisz? – Wyciągnęła w jego kierunku tablet.

Igor przeczytał krótki tekst i przez chwilę wpatrywał się w ekran urządzenia.

– Dziwny jakiś ten mail. Taki trochę szczeniacki.

– W pierwszej chwili też tak pomyślałam, ale potem zaczęłam się zastanawiać. Przecież mit o wyjątkowej przenikliwości i precyzyjnej inteligencji seryjnych morderców i różnych zamachowców tak naprawdę wykreowało kino. W rzeczywistości to zazwyczaj ludzie średnio inteligentni, za to ze sporymi problemami psychicznymi.

– Te kwiatki w katedrze były raczej niepoważne. – Igor wciąż wpatrywał się w tablet. – Wypadek w porcie to zupełnie inna liga. Dwaj faceci wylądowali w szpitalu, jeden w stanie ciężkim ze zmiążdżonymi narządami wewnętrznymi. Jesteś pewna, że tam naprawdę były te kwiaty? Może to jakiś totalny przypadek?

– Nie, nie jestem pewna. Dlatego na portal poszła informacja, że tylko podejrzewamy jakiś związek, ale popatrz sam na te liczby.

– Jakie liczby? – Igor podniósł głowę.

– To jego ostrzeżenie na końcu. Macie dwa dni, a potem czternaście. Mail dostaliśmy w środę rano, tak jak zresztą wiele innych portali i gazet w Szczecinie. Czyli czwartek i piątek, a w piątek był wypadek w porcie.

– Jeśli chodzi o ścisłość, biorąc pod uwagę, że rusztowania runęły jakoś po siedemnastej, to dwa i pół dnia. Nieprecyzyjnie dość. – Igor spojrzał w przestrzeń nad głową Pauliny. – A te czternaście jak liczyć? Od środy?

– Raczej od piątku. Napisał „a potem czternaście”.

– Czyli sobota, niedziela... – Igor otworzył kalendarz w telefonie i zaczął przesuwać palcem po monitorze – ...szesnastego sierpnia.

– No tak by wychodziło. – Paulina liczyła dni miesiąca na palcach. – Znowu piątek.

– Czemu tego nie daliście do gazety? – Igor wskazał e-mail na ekranie tabletu.

Paulina się nachmurzyła.

– To nie ja się tym zajmuję. – Opisała pokrótce kulisy zatargu z koleżanką z redakcji. – Nie wiem, kiedy ona zamierza napisać coś na ten temat. Odgrażała się, że zrobi to na czwartek, a jest sobota. Nie mam pojęcia, co ustaliły z Przeworską.

– Może miało iść na piątek, ale po tym, co się stało w porcie, wasza naczelna kazała to przerobić i puścić w poniedziałek?

– Może. Wczoraj już się z nią nie widzieliśmy. Przeworska zniknęła do końca dnia, a Ulka była tak zajęta pisaniem czegoś, że z nikim nie chciała gadać. Może rzeczywiście robiła poprawki?

Paulina sięgnęła po kieliszek.

– A ten cały szyfr? – Zmrużyła oczy. – To w ogóle jest szyfr? Jak myślisz?

– Nie kojarzy mi się to kompletnie z niczym. Jakieś przypadkowe kreski. – Igor w zamyśleniu podrapał się po brodzie. – To znaczy da się dostrzec pewną prawidłowość. Część symboli się powtarza, więc należy zakładać, że jest ich ograniczona liczba. Jakiś kod podstawieniowy?

– Dwie linijki i taka sama liczba znaków. – Paulina postukała palcem w ekran tabletu.

– I kropki w tym samym miejscu. Siedem znaków, kropka i kolejne dwa znaki.

– Mnie się wydaje, że to mogą być po prostu cyfry. Może to współrzędne? Daje nam jakąś podpowiedź?

Igor się roześmiał.

– Kto? Jakiś dzieciak z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego?

Paulina westchnęła i pokręciła głową, patrząc na Igora z pobłażliwym uśmiechem.

– Sam powiedziałeś, że katastrofa w porcie to już nie żarty.

– Na razie nie mamy pewności, czy to ten sam sprawca. Widziałeś, co było dzisiaj w mediach. Wyłącznie doniesienia o wypadku. Nikt nie powiązał tego z wydarzeniami w katedrze. Oprócz was.

– „Wyborcza” opisała mail od niego już w środę, kilka portali także. A dzisiaj my byliśmy z Piotrem tak naprawdę pierwsi. Może kiedy na



miejsce dotarły inne ekipy i policja, to budowlańcy, przenosząc rusztowania, wdeptali kwiatki w ziemię i dlatego nikt nic nie zauważył.

– To jest równie dobrze argument za tym, że jednak oba wydarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego. Kwiaty mogły tam się wysypać na przykład z torby któregoś robotnika, który kupił je wcześniej na imieniny babci.

Paulina otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła ciężko i wzruszyła ramionami.

– Może masz rację. Może dałam się uwieść entuzjizmowi Piotra w szukaniu sensacji.

– Natomiast ciekawy jest ten nick – powiedział Igor w zamyśleniu i zaczął skubać trochę już przerośniętą brodę.

– Do barbera powinienes iść. – Paulina potrząsnęła butelką i rozlała resztę wina do kieliszków. – Najlepiej zanim przyplyną Anglicy.

– Tak, tak – mruknął Igor. – Wiesz, co to znaczy?

– „Zbawiciel świata”, *Savior of the World*, stara angielska pieśń, chyba świąteczna.

– To też w takim razie – przytaknął Igor. – Pojęcia nie mam, skąd ty wiesz takie rzeczy.

Paulina spojrzała na niego z irytacją i sięgnęła po wino.

– A według ciebie co to znaczy?

– Zbawiciel świata. – Sięgnął po tablet i zaczął szukać czegoś w wyszukiwarce obrazów. – *Salvator Mundi*.

Przesunął do Pauliny tablet, na ekranie widać było fotografię obrazu.

Mężczyzna w intensywnie błękitnej tunice, o hipnotyzującym spojrzeniu, trzyma w lewej ręce przezroczystą kulę, a prawą dłoń unosi do góry ze skrzyżowanymi dwoma palcami w starym, biblijnym geście błogosławieństwa.

– Co to jest? – spytała Paulina, patrząc podejrzliwie na obraz.

– Chrystus oczywiście. A ten portret to chyba najbardziej tajemnicze dzieło sztuki na świecie. Autorstwa Leonarda da Vinci. Rzekomo.

Paulina odstawiła kieliszek i pochyliła się nad tabletem.

– Rzeczywiście jest niesamowity. To spojrzenie budzi autentyczną grozę.  
– Przekrzywiła głowę, przypatrując się portretowi. – Dlaczego niby jest taki tajemniczy?

Igor się rozpromienił.

– Leonardo namalował go około tysiąc pięćsetnego roku dla swojego protektora, króla Francji Ludwika Dwunastego. Do początku siedemnastego wieku obraz znajdował się w posiadaniu francuskiej rodziny królewskiej i dopiero francuska księżniczka Henrietta Maria wywiozła go do Anglii, gdy w tysiąc sześćset którymś tam wyszła za mąż za Karola Pierwszego. Od tego momentu dalsze losy obrazu są niejasne.

Igor sięgnął po kieliszek z winem i rzucił Paulinie przekorne spojrzenie.

– No mów!

– Niektóre źródła podają, że ponoć był jeszcze w posiadaniu Karola Drugiego, a później przepadł na setki lat i pojawił się niespodziewanie na początku dwudziestego wieku, kupiony na aukcji w Londynie przez angielskiego kupca sir Francisa Cooka za czterdzieści pięć funtów. A potem znowu przepadł.

– Czterdzieści pięć funtów?! Obraz Leonarda?! – Paulina gwizdnęła z niedowierzaniem.

– Jego dokładne dzieje są nieznane. Dopiero na początku dwudziestego pierwszego wieku podjęto próby rekonstrukcji losów obrazu, więc w rzeczywistości nic nie jest pewne. W każdym razie obraz ponownie pojawił się w dwa tysiące piątym w Nowym Orleanie, gdzie w niewielkiej galerii został kupiony za niecałe tysiąc dolarów przez dwóch kutech na cztery nogi nowojorskich marszandów jako kopia kopii dzieła Leonarda.

– I co dalej? – Paulina zdenerwowała się, gdy Igor znowu sięgnął po kieliszek. – Skończ wreszcie tę historię, potem będziesz sobie pił!

– Nowi właściciele zlecili renowację obrazu. W owym czasie był bardzo zniszczony i częściowo przemalowany. I to wtedy pewnie ktoś zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest to oryginał. Obraz trafił do pracowni konserwacji dzieł sztuki na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Został dokładnie oczyszczony i odnowiony przez amerykańską konserwatorkę Dianne Modestini. Badania obrazu trwały sześć lat, podczas których został

poddany analizom, oględzinom i ekspertyzom najwybitniejszych znawców malarstwa renesansu. I w końcu wystawiono go w dwa tysiące jedenastym w National Gallery jako oryginał Leonarda. To wywołało w środowisku historyków i marszandów sensację, którą można porównać jedynie do wybuchu bomby atomowej.

– Zaraz, zaraz... – Paulina nagle drgnęła. – Przecież ja o tym czytałam, kiedy pisałam swoje artykuły o kradzieżach dzieł sztuki. Kupił go chyba jakiś szejk?

– Najpierw za osiemdziesiąt milionów dolarów kupił go rosyjski oligarcha Dmitrij Rybolowlew, a dopiero pięć lat później, w dwa tysiące siedemnastym, za czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów, saudyjski książę Mohammed bin Salman. To najwyższa cena, jaką kiedykolwiek zapłacono za jakikolwiek obraz. Portret miał trafić do budowanego przez szejka w Abu Zabi tak zwanego nowego Luwru.

– Właśnie! – zawołała Paulina. – I potem obraz znowu zaginął.

Igor przytaknął.

– W Abu Zabi go nie wystawiono. I nie przyjechał także do Luwru, na wystawę zorganizowaną z okazji pięćsetlecia śmierci Leonarda. Dzisiaj nikt nie wie, gdzie faktycznie ten obraz się znajduje.

Paulina sięgnęła po kieliszek i wypła resztkę wina.

– Bardzo ciekawa historia, tylko co to ma wspólnego z absurdalnym mailem jakiegoś domniemanego zamachowca ze Szczecina?

– Może jest miłośnikiem sztuki? – Igor wykrzywił usta z ironią. – A może jest jeszcze jakieś inne znaczenie słów *Heiland der Welt* niż pieśń religijna i obraz Leonarda?

– Johann! – ucieszyła się Paulina i podniosła wzrok. – Johann na pewno będzie wiedział.

– Może być za późno – mruknął Igor, wzywając kelnera. – Oni mają tu być w środe, a jeśli założymy, że ten wypadek w porcie był kolejnym zamachem...

– To w środe rano powinniśmy dostać następny mail – skończyła Paulina, wciąż przypatrując się niezwykle wizerunkowi Chrystusa.

– No właśnie. – Igor przytaknął i sięgnął do kieszeni po portfel. Skinął na kelnera.

W torebce Pauliny zaświergotał nagle telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

– Piotruś – szepnęła do Igora, który pytająco uniół brwi.

Wstała, obeszła drewniany płotek i stanęła na brukowej nawierzchni uliczki przy rynku.

– Coś się stało? – zapytała.

– Przeszkadzam w czymś? Jest po dziesiątej, a słyszę, że jesteś na randce.

– Nie przeszkadzasz. – Paulina skrzywiła się i przycisnęła telefon do ucha. – A co to za łomot? Skąd ty dzwonisz? Ledwie cię słyszę.

– Jestem w klubie. – Piotr prawie krzyczał. – Zajrzyj na nasz portal. Właśnie sam to zauważyłem. Ulka wrzuciła tekst na temat tego maila. Musiała to zrobić dzisiaj po południu, bo rano nic jeszcze nie było. Ta zołza znalazła coś rzeczywiście niezłego. Ale musiała to poprawiać, bo poszło tak, jakby nie zauważyła filmu, który myśmy wrzucili, i wygląda na to, że dopiero później dopisała jakieś bzdety.

– Przeworska znowu nas ochrzani. – Paulina wyciągnęła rękę nad płotkiem i sięgnęła na stolik po tablet.

Nie odrywając telefonu od ucha i słuchając Piotra, zaczęła nerwowo przeszukiwać przeglądarkę. Znalazła w końcu artykuł z dołączonym mailem, o którym przed chwilą rozmawiali.

– O ja dziękuję! – mruknęła i ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

# Rozdział 13

*poniedziałek 5 sierpnia*

**N**ad Zelandią cały czas wisiały ciemne chmury. Sund widziany z szerokiego pasażu, wzdłuż drogi Kystvejen łączącej Kopenhagę z Klampenborg, wyglądał jak Niflheim – wrogie królestwo lodu i zimna.

Kilka przecznic od pasażu, w starej dzielnicy, przy wąskiej uliczce pod numerem osiemnastym stał spory dom nakryty wielkim szarym dachem. Wjazd prowadził wąskim brukowanym podjazdem z dwóch stron szczelnie ogrodzonym wysokim żywopłotem. Na podjeździe parkowały czarny terenowy mercedes i także czarna limuzyna tej samej marki.

Przez otwarte tarasowe drzwi wiatr szarpał jasnymi firanami, usiłując wyrwać je na zewnątrz i zatańczyć z nimi na trawniku za domem.

Wewnątrz przy stole siedziała szczupła ciemnowłosa kobieta i wpatrywała się w leżący przed nią na stole tablet.

– Dzwoniłeś do swojego syna? – spytała na widok wysokiego mężczyzny, który pojawił się w drzwiach jadalni.

Mężczyzna spojrział na nią z lekką irytacją.

– Nie sądzisz, kochanie, że ciągłe nazywanie go moim synem może mu trochę przeszkadzać?

– On ma więcej dystansu do samego siebie, niż ci się wydaje. – Kobieta uśmiechnęła się. – Poza tym nie ma go z nami przecież. I w tym rzecz – dodała, patrząc na męża. – Miał przyjechać na weekend.

– To przecież cały on – stwierdził mężczyzna z ironią.

Usiadł przy stole i położył na kolanach białą serwetkę.

– Wracasz dzisiaj późno? – Kobieta podniosła wzrok znad tabletu.

– Raczej tak. – Mężczyzna skinął głową i sięgnął do wiklinowego koszyka po kromkę chleba. – Mam parę spraw do załatwienia.

– Może zajedź do niego i sprawdź, co tam?

– Bez zapowiedzi? Mam aż tak złamać jego hipsterską, czy kim on tam jest, etykietę? Pewnie znowu znalazł sobie jakąś dziwną robotę. W jakimś Paryżu albo Mediolanie. Albo Moskwie zgoła – dodał i westchnął.

– Im bardziej będziemy mu to wybijać z głowy, tym bardziej będzie przekonany, że dobrze robi.

– Boję się, że w końcu zawali studia. Wiesz, co będzie się wtedy działo.

– Dlatego sprawdź może jednak ostrożnie, co u niego słychać. Skoro musiał gdzieś wyjechać, to mógł przynajmniej jakoś dać znać.

Mężczyzna na moment znieruchomiał, po czym zmarszczył brwi i spojrzał na żonę z kpiarskim uśmieszkiem.

– A nie sądzisz, kochanie, że najprościej będzie, jeśli po prostu zadzwonisz?

– A nie sądzisz, kochanie, że już próbowałam? Nie odbiera – dodała po chwili i wróciła do czytania wiadomości.

Paulina weszła do redakcji, przemknęła przez salę i wślizgnęła się na swoje miejsce koło okna. Piotr wyjrzał zza komputera.

– Dziewiąta jest – mruknął. – Przeworska pytała o ciebie.

Paulina wzniosła oczy do nieba.

– Szlag żeby ją trafił. Byłam załatwić ubezpieczenie turystyczne.

– Mogłaś to przecież zrobić przez net.

– Wolałam pogadać na ten temat. Zwłaszcza że polisa ma obejmować także ewentualne szkody podczas nurkowania i takich tam. Kupiłabym jakieś gówno i potem okazałoby się, że jest bezwartościowe, jeśli, dajmy na to, torebka wypadnie mi za burtę.

– Zamierzasz podczas nurkowania mieć przy sobie torebkę?

– Oj, nie gadaj głupot! – Paulina rzuciła chichoczącemu koledze zniecierpliwione spojrzenie. – Czego chciała?

- Pytała tylko, gdzie jesteś.
  - I co powiedziałaś?
  - No jak co? – Piotr zrobił obrażoną minę. – Że nie wiem. O niczym mnie nie uprzedziłaś. Miałem wymyślać jakieś kłamstwa?
  - Mówiła coś o naszym filmie?
- Piotr się zastanowił.
- No właśnie nie, i bardzo mnie to niepokoi.
  - Pewnie czeka, żeby mnie zbesztać. – Paulina spojrzała w głąb sali i akurat traf chciał, że napotkała wzrok Urszuli. Koleżanka uśmiechnęła się do niej i manifestacyjnie uprzejmie skinęła głową.
  - To mała – syknął Piotr, widząc to. – Obie coś knują.
  - Ulka to pewnie jest wściekła, ale sama sobie winna. Najpierw napisała, że cała sprawa to wygłup jakiegoś żartownisia, a kartka z napisami i płatki kwiatów swoim infantylizmem tylko to potwierdzają, a po kilku godzinach, jak w końcu udało jej się obejrzeć nasz film, na naszej redakcyjnej stronie w dodatku, wrzuciła dodatkowy komentarz o zagrożeniach ekoterroryzmem.
  - Zobaczysz, że znowu będzie na nas.
  - Oczywiście, że będzie na nas. Na szczęście Marcin pozwolił to puścić, a poza tym wrzuciliśmy to jako redakcja, a nie jako my, więc nie może się czepiać, że miesza się do jej tematu.
  - Ale to, co znalazła, jest rzeczywiście niezłe – przyznał uczciwie Piotr.
  - I naprawdę w tym momencie wydaje się, że to głupi żart kogoś, kto się podszył pod tę sprawę.
  - Tyle, że zawałiło się rusztowanie. Jak na razie prokuratura i nadzór budowlany milczą. Prokuratura zasłania się dobrem śledztwa oczywiście.
  - Więc coś tam jest na rzeczy, ale nikt oprócz nas nie połączył tych wydarzeń – rzekł Piotr gderliwie. – Specjalnie sprawdziłem dzisiaj rano wszystkie gazety, portale i fanpejdże na Fejsie. Jedyne „Wyborcza” coś tam tylko napomknęła.
- Paulina otworzyła przeglądarkę i po chwili ponownie wpatrywała się w artykuł na temat kulisy sprawy, która jakiś czas temu wzburzyła

mieszkańców jednego z miast na południu Polski.

W sąsiedztwie niewielkiego ustronnego osiedla domów jednorodzinnych, urokliwie usytuowanego na obrzeżu łąk i pobliskiego lasu, deweloper z sąsiedniego miasta rozpoczął budowę osiedla. Najpierw powstał jeden blok, a zaraz po nim następny. Niebawem rozpoczęto wycinanie starych drzew, a w ich miejsce zaczęły wyrastać kolejne budynki. Wkrótce po porośniętych młeczem i makiem łąkach nie było śladu, a las w sąsiedztwie, w miarę budowy nowych bloków, zaczął powoli znikać.

Wszystko zaczęło się od tego, że ktoś nocą podpałił stojące na placu budowy maszyny, spychacz i koparkę. Zostawił list z enigmatycznym poleceniem „Odejdźcie stąd. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie”.

Policja i prokuratura bez specjalnego przekonania wszczęły śledztwo, a roboty budowlane zaraz potem ruszyły ponownie.

Minęło kilka tygodni i którejś nocy jeden z nowych nieukończonych jeszcze bloków wyleciał w powietrze.

Tym razem momentalnie powstało ogromne zamieszanie. Śledztwo, początkowo prowadzone w kierunku katastrofy budowlanej, wykazało, że powodem zawalenia się domu był wybuch butli z gazem. To jeszcze nie przesądzało oczywiście o tym, że mógł to być zamach, a lokalne media skupiły się na tropieniu nieprawidłowości na budowie.

Prawdziwa afera wybuchła dopiero w momencie, gdy do mediów trafiła wiadomość przekazana przez tajemniczą organizację Brygada Wschód, która przyznała się do zamachu, a na dowód tego szczegółowo opisała sposób wniesienia na budowę butli z gazem i ich podpalenie. Pod listem podpisała się łączniczka organizacji, która nazwała siebie Pocahontas. Grupa ostrzegała, że to dopiero początek, a jeśli deweloper nie rozbierze wszystkich wzniesionych bloków, zostaną wysadzone następne.

„Nie wiecie jak, nie wiecie kiedy, ale pamiętajcie – każdy budynek, który powstanie wbrew zakazowi, wyleci w powietrze. Na tej ziemi nie ma więcej miejsca dla betonowej dżungli!”

Wiadomość kończył pełen patosu manifest.



„Zarówno deweloperzy, jak i międzynarodowe korporacje niszczą przyrodę i żerują na słabszych i biedniejszych. Jediną wartością, jaką wielbią, jest pieniądz. Dla niego nie cofną się przed niczym! Są wiecznie nienasyceń. Człowiek już zajmuje zbyt wiele miejsca na tej ziemi, lecz oni chcą zagrabieć więcej. Przestaną dopiero, gdy wytną ostatnie drzewo i wypędzą ostatnie zwierzęta z ich naturalnego domu. Nadszedł czas konsekwencji. Bywa, że musimy się uciec do pirackich metod, ale wtedy piractwo działa w dobrej sprawie. To są nasze dojrzałe decyzje. A nawet mały człowiek w dobrej sprawie jest zdolny do największych czynów...”

Paulina oderwała wzrok od ekranu i spojrzała w okno. Bulwary, rozciągające się u stóp biurowca, zalane były słońcem. W tle srebrnymi błyskami mieniła się Odra.

Za tydzień wakacje, po co się w ogóle mieszać do tej sprawy? Nie lepiej trzymać się od tego z daleka? Niech sobie Ulka pisze, co chce.

Paulina pomyślała, że niestety, dała się już porwać fantazjom Piotrusia i tkwią w tym teraz oboje. Jeśli nikt nie potwierdzi ich teorii na temat powiązań katastrofy w porcie z katedrą, Przeworska łby im pourywa. I tyle będą z tego mieli.

– A czytałaś, co Ulka tutaj wypichciła? – Piotr wychylił się z za swojego monitora. – Popłynęła totalnie na temat ekoterroryzmu. Napisała, że Frakcja Czerwonej Armii[3] też na początku była niegroźną organizacją lewicową, walczącą z niesprawiedliwością społeczną, a skończyło się na międzynarodowym terroryzmie i wysadzeniu w powietrze budynków rządowych i konsulatów.

– Trzeba jej przyznać, że zrobiła jednak dobry research dotyczący deweloperów – oceniła Paulina niechętnie. – Tylko po co ktoś miałby cytować słowo w słowo tekst zamachowców z Brygady Wschód?

– Zamachowców to trochę za dużo powiedziane. Okazało się, że to jeden biedny student, który nie mógł się pogodzić z dewastowaniem krajobrazu i przyrody. Złapali go, dostał już wyrok, czytałem o tym niedawno, ale w ogóle nie skojarzyłem sprawy.

– Ale z tego artykułu płynie jeden ciekawy wniosek. – Paulina spojrzała na Piotra z namysłem.

– Jaki?

– Że na każdą budowę naprawdę można się dość łatwo włamać.

– No oczywiście – przyznał Piotr. – Skoro weszli do katedry w nocy, to co dopiero mówić o rusztowaniach, które w ogóle stoją luzem przy moście. Każdy mógł tam wleźć i zawiesić gdzieś torbę z ładunkiem wybuchowym.

– Jeszcze nie ma żadnych informacji na temat przyczyn, nie wiemy, czy mamy rację. Napisałiliśmy o tym jako jedyni.

Oszklone drzwi do aneksu naczelnej otworzyły się i stanęła w nich Przeworska.

– Pani Paulino, panie Piotrze, proszę do mnie! – jej głos w ciszy, która momentalnie zapadła w całej sali, zabrzmiał głośno i wyraźnie, niczym na scenie.

Igor stał na fragmencie odsłoniętej ceglanej ściany i wpatrywał się w rumowisko po dawnym spichlerzu. Korona zachowanych murów fundamentów znajdowała się jakieś pół metra poniżej gruntu. Kolejne pół metra stanowił pierwotnie zwyczajny gruz, który wypełniał wnętrze zniszczonych piwnic, a poniżej było już betonowe wypełnienie tkwiące pomiędzy renesansowymi ścianami jak plomba w chorym zębie. Ziemia i gruz leżały obecnie na wielkiej hałdzie, tuż obok trzech stalowych kontenerów, w których ulokowane były podręczne magazyny i biuro budowy.

W kilku miejscach w betonowej skorupie widać było poszarpane wyrwy, efekt pracy kilku robotników wyposażonych w młoty pneumatyczne.

– No i tak to wygląda – filozoficznie skwitował stojący obok Igora Jarost.

– Pomiary w rzucie mogę już zrobić, bo widać górę ścian. – Igor machnął laserowym miernikiem w kierunku wykopu. – Tylko głębokości i wszystkich wysokościowych relacji nie zrobię, dopóki nie odsłonicie spodu. Możliwe, że tam na dole to i posadzki się zachowały.

– A nie lepiej zacząć od pierwszego spichlerza, tego, w którym nie ma betonu? – wtrącił rezolutnie Pawelczyk, wskazując palcem najgłębszą dziurę od strony wznoszącego się za ogrodzeniem biurowca Lastadia.

– Tak, to się rozumie samo przez się – przytaknął Igor. – Rozmawiamy o tych tu. Swoją drogą ciekawe, dlaczego tylko te dwa zalali betonem, a tego pierwszego nie.

Jarost podrapał się po głowie.

– Może dlatego, że ten pierwszy miał zachowane stropy nad piwnicami, które jeszcze po wojnie wisiały?

– Jak kopaliśmy, to już śladu nie było – mruknął Pawelczyk.

– Może jak Rosjanie ładowali do dwóch pozostałych te swoje śmiecie, to jeszcze były. Dopiero potem, jak już Polacy rozbierali je na cegłę dla Warszawki, to rozebrali i sklepienia?

– Tak czy siak, muszę coś zrobić przed wyjazdem, bo potem nie zdążę – westchnął ciężko Igor i oderwał się od kontemplowania ruin. – Zaczniemy rzeczywiście od tego pierwszego. Zdejmę teraz kilka ogólnych wymiarów, żeby oszacować całość, a jutro przyjdą tu ode mnie chłopaki i skończą.

– A te zabytki, co je wykopalim, to pan już widział? – odezwał się nagle jeden z dwóch przysłuchujących się z boku robotników.

Igor odwrócił się i zdążył dostrzec jeszcze, jak kierownik piorunuje chłopaka wzrokiem.

– Jakie zabytki? – zapytał i spojrzał na Jarosta, który wzruszył ramionami i wlepił z kolei wzrok w Pawelczyka.

– Eee, jakie znowu zabytki... – wymamrotał Pawelczyk. – Takie tam gówno. Jakiś chlebak niemiecki ze starymi papierami i trochę gadżetów. Czapka ruska, zardzewiały kozik, pewnie też ruski, i niemiecki bukłak. A i jeszcze taki medalion szkopski.

– Stąd wyciągnęliście? – Igor wskazał głową dziury w betonowej nawierzchni.

– Nie. – Młody robotnik wytarł nos wierzchem dłoni. Wskazał środkowy spichlerz. – Z tamtego. Jeszcze jak pan Rogala tu był.

– I gdzie to jest? – Igor spojrzał z zaciekawieniem na kierownika budowy.

– Szymon kazał w baraku złożyć wszystko i leży tam, odkąd roboty zostały wstrzymane. Nikt tego nie ruszał. – Pawelczyk odszukał wzrokiem

jeden z kontenerów.

– Mogę zobaczyć?

– Jasne – niechętnie przytaknął Pawelczyk i ruszył w kierunku baraku. – Rogala kazał to tam zanieść i nie dotykać.

Po chwili stali przed zielonym kontenerem, a kierownik, balansując na zbitych z desek schodkach, grzebał kluczem w zamku.

Wszedł do wnętrza jako pierwszy, rozejrzał się i zamarł na moment. Igor wspiął się na schodki jako drugi, a za nim do baraku wszedł Jarost. Pawelczyk zapalił światło i wyciągnął rękę w kierunku stołu pod ścianą.

Na stole, oprócz kilku zapasowych kasków i grubego segregatora, znajdowały się utyłane w ziemi przedmioty.

Igor podszedł i pochylił się nad blatem. Pod samą ścianą leżała brudna, wytarta czapka, obok niej porzewiały bukłak, na którym trzymało się sporo pokruszonego cementu, owalna blaszka i jeszcze brudny scyzoryk z drewnianą, częściowo spaloną rękojeścią. Na otwartym ostrzu wygrawerowane były ledwie widoczne litery.

Igor wziął do ręki scyzoryk, wyciągnął z kieszeni smartfon i włączył latarkę.

– Bayer – przeczytał. – To logo Bayera. – Spojrzał ze zdziwieniem na Jarosta.

– Bayer. Ten od aspiryny? – Jarost zajrzał mu przez ramię – Na nożu?

– No zobacz sam. – Igor podniósł wyżej scyzoryk. – Na pewno.

– A tu co jest? – Jarost postukał palcem w drugą stronę kozika. – Jakieś niemieckie słowa.

– Schmidt coś tam... – odcyfrował Igor, przyświecając latarką. – Więcej nie widać.

– Bayer produkował scyzoryki? – Pawelczyk stanął po drugiej stronie stołu. – Pierwsze słyszę. Nie obejrzałem tego nawet dokładnie.

– A to jest przecież nieśmiertelnik. – Igor podniósł owalną blaszkę. – Żołnierze nosili to na szyi. Były tam dane jednostki i numer. To jest ten medalion, o którym pan wspominał? – Spojrzał na kierownika, który przytaknął.

– Ja tam się na tym nie znam. Kiedyś takie rzeczy widywałem u kolegów, którzy zbierali podobne śmiecie. Mówili na to medalion, to powtarzam.

Igor przetarł rękawem blaszkę. Widniały na niej niemieckie słowa i kilka numerów.

– Sto osiemdziesiąt dziewięć – przeczytał, obracając nieśmiertelnik w rękach. – SS... Panz. Gre... coś tam...

– I dziesięć na końcu – dodał, cały czas zaglądający mu przez ramię Jarost. – Czyli pewnie jakaś dywizja SS, która ochraniała port w czasie wojny.

– No pewnie tak. – Igor jeszcze przez chwilę badał wzrokiem blaszkę, po czym położył ją na stole i zrobił zdjęcie z obu stron. Sfotografował także szczyryk i podniósł głowę. Rozejrzał się po blacie stołu i zerknął na Pawelczyka. – A gdzie ten chlebak z papierami?

Pawelczyk powiódł spojrzeniem za wzrokiem Igora.

– Tu wszystko złożyliśmy, jak Boga kocham.

– To gdzie ten chlebak?

Pawelczyk popatrzył pod stół i rozejrzał się po baraku.

– Ktoś ma jeszcze klucze od tego kontenera? Może wpuszczalesz tu jakichś chłopaków po sprzęt? – spytał Jarost.

– Nikt tu nie wchodził! – zdecydowanie zaprzeczył kierownik. – Drugi klucz miał tylko Rogala.

Przez chwilę panowała cisza. Na zewnątrz rozległ się nagle stukot butów i do baraku zajrzał jeden z robotników.

– Przyjechał inżynier od wybuchów. Ogląda dziury, prosił, żeby zawołać. – Spojrzał na kierownika i Jarosta.

– Dobra! – Jarost odwrócił się do drzwi. – Idziemy! Zamknij ten barak na klucz! – polecił Pawelczykowi. – Nikogo tu nie wpuszczaj. Potem się rozejrzemy. Może ktoś jednak przełożył gdzieś ten chlebak.

– Chyba że Szymon to jednak zabrał... – skonstatował Igor.

Pamiętał, że Rogala interesował się takimi rzeczami. Udzielał się nawet czynnie w kilku grupach rozmaitych eksploratorów i urbeksów.

Wyszli na zewnątrz, a Pawelczyk komisyjnie zamknął drzwi baraku.

Po ruinach spichlerza, z pochyloną głową, przechadzał się wąsaty mężczyzna w białym kasku. Jarost pomachał do niego przyjaźnie i ruszył w kierunku rumowiska.

Paulina weszła do środka i nie czekając na zaproszenie, zajęła miejsce w fotelu naprzeciw Przeworskiej. Piotr usiadł obok i wbił wzrok w blat biurka.

– Mimo mojego wyraźnego polecenia, żeby zostawiła pani sprawę zamachu w katedrze pani Urszuli – Przeworska mówiła, nie zaszczycając nikogo spojrzeniem i wpatrując się w ekran laptopa – samowolnie puściła pani film z wypadku w porcie z własnym absurdalnym komentarzem. Pomijając już w ogóle to groteskowe i żałosne poszukiwanie na siłę sensacji, postawiła pani w niezręcznej sytuacji panią Matecką. I tym samym gazetę.

Przeworska spojrzała na Paulinę, która wpatrywała się w nią, usiłując zachować spokój.

– Nie przyszło pani do głowy, że puszczanie przez nas najpierw komentarza o głupim żarcie w katedrze, a zaraz potem, przez ten wasz godny najgorszego brukowca film, sprostowań i informacji o możliwym podłożeniu bomby, naraża pani naszą redakcję na śmieszność?! Raz piszemy jedno, a kilka godzin później co innego. Swoją drogą Urszula musiała się nieźle natrudzić, żeby jakoś dyplomatycznie z tego wybrnąć.

Paulina nie wytrzymała.

– Porównywanie aktywistów miejskich usiłujących powstrzymać wycinki drzew do Frakcji Czerwonej Armii to rzeczywiście szczyt dyplomacji. Poza tym nasz film poszedł w piątek po południu! W piątek! Ulka miała aż nadto czasu, żeby zreflektować się, co się dzieje. O wypadku mówiły i pisały wszystkie media.

– Co mówiły?! – Przeworska podniosła głos. – Właśnie w tym rzecz! Żadne inne media nie zająknęły się o jakimś zamachu! Pisały wyłącznie o wypadku! Pani Matecka nie ma żadnego obowiązku przewidywać, co pani się akurat uroi.

– To ja wypatrzyłem te kwiatki na rusztowaniach – odezwał się Piotr. – I namówiłem Paulinę na zamieszczenie tego na portalu.

– Kwiatki! – warknęła Przeworska. – Jak jeszcze raz usłyszę o kwiatkach, to mnie chyba szlag trafi! Jakiś student zrobił głupi żart, na co zresztą Urszula znalazła dowód, wykazując, że treść maila była żywcem zerznęta z internetu, a wy robicie z tego drugie World Trade Center!

Paulina zaprzeczyła rozeźlona.

– Ale z tego, co wiem, to zajęła się tym także prokuratura – wtrąciła, siląc się na spokój. – Gdyby to był wyłącznie wypadek...

Przeworska ze złością postukała w blat biurka.

– Katastrofa budowlana, a nie wypadek! Katastrofa budowlana, w której jeden z robotników poniósł śmierć...

– Śmierć? – Paulina podniosła brwi i spojrzała na naczelną ze zgrozą. – Skąd...

– Przed chwilą się o tym dowiedziałam. – Przeworska, z wypisaną na twarzy irytacją, przerwała jej obcesowo. – Jeden z mężczyzn właśnie zmarł w szpitalu. Prokuratura więc siłą rzeczy bada ewentualność zaniedbań na budowie. A wy doszukujecie się w tym jakichś sensacji!

Na chwilę zapadła cisza.

– Wam się wydaje, że z wszystkiego można zrobić cyrk. – Przeworska ze złością patrzyła to na Paulinę, to na Piotra. – Kwiatki w katedrze, naigrzawanie się z czyjejs wiary. Te prześmiewcze żarty, tęczowe obrazki, policyjne pałki w znaku krzyża, ten ekologizm. To wszystko prowokacja wymierzona w tradycyjne wartości i tradycyjne podejście do życia. Mówię o tym dlatego – naczelna spojrzała na Piotra oskarżycielsko – że doskonale wiem, że natrzęsaliście się z artykułu pani Mateckiej na temat incydentu w katedrze. Z jej potraktowania tego tematu. A to było właśnie jedyne sensowne ujęcie. Jakiś łajdak przerwał podniosłą uroczystość religijną...

– Koncert organowy Bacha... – Paulina znowu nie wytrzymała.

– Tylko po to, żeby wywołać skandal. – Przeworska puściła uwagę Pauliny mimo uszu. – Jediną sensowną reakcją jest nazwanie tego po imieniu i zignorowanie, a nie doszukiwanie się w tym bulwarowych sensacji!

– Ulka w ogóle nie zwróciła uwagi na podpis pod tym artykułem – odezwał się Piotr. – I na ultimatum na końcu.

– Bo to brednie!

– Można się trzymać przekonania, że w katedrze to był wygłup. – Paulina zacisnęła pięści. – Ale naszym zadaniem jako gazety jest informowanie o wszystkich faktach, a nie zatajanie ich, bo nie pasują akurat do pani poglądów na ten temat.

– Proszę się nie zapominać...

– To przecież pani ostatnio twierdziła, że łączenie własnych poglądów z tematem artykułu jest nie halo... naganne.

– Dosyć! – Przeworska uderzyła otwartą dłoń w blat. – Ta rozmowa, jak widzę, donikąd nie prowadzi. Próbowałam po raz drugi wytłumaczyć, jakimi standardami powinniśmy się kierować, ale to bezcelowe. Dosyć zajmowania się tymi bzdurami z zamachem! A jeżeli jeszcze raz będzie pani próbowała zdyskredytować pracę pani Mateckiej, to wyciągnę wobec pani konsekwencje służbowe.

Igor zaparkował pod pracownią i sięgnął pod fotel. Woził zawsze robocze caterpillary na takie właśnie okazje jak dzisiejsza, czyli pobyt na budowie, z której trzeba wrócić do pracy przed komputerem albo, co gorsza, iść na spotkanie w urzędzie czy z inwestorem.

Żółte buciory były umorusane gliną, ziemią i ceglanym szutrem. Otrzeptał je dokładnie, wałąc podszwami w chodnik, a następnie zaczął rozwiązywać sznurówki.

Przed oczami miał ciągle wojenne przedmioty znalezione w wykopach. W drodze do pracowni zastanawiał się, co z nimi zrobić. Takie sytuacje były kłopotliwe, ale oczywiście zdarzały się na każdej budowie. Większość tych znalezionych rupieci nie miała żadnej wartości. Za niemieckie chlebaki i nieśmiertelniki rozmaici kolekcjonerzy brali po dwieście–trzysta złotych, czasem więcej, jak były dobrze zakonserwowane. Z reguły, mimo przepisów, które nakazywały to robić, nikt nawet nie zgłaszał takich znalezisk, chyba że przez przypadek akurat wpadły w ręce nadzorowi autorskiemu albo konserwatorom. Pomijając wszystko inne, muzeum z pewnością nawet specjalnie by się tym nie zainteresowało. Pamiętał



sytuację sprzed paru lat, kiedy pewien wykonawca, który kładł instalacje w centrum Szczecina i natknął się na stare groby i kości żołnierzy z czasów wojen napoleońskich, chodził po urządach i wszędzie odprawiano go z kwitkiem. Żadna instytucja nie poczuwała się do zajęcia się tematem, z tą zarządzającą cmentarzami włącznie.

Inna sprawa, że zwyczajnie ciekawiło go, skąd pochodził nietypowy kozik z emblematem firmy Bayer. No i ten nieśmiertelnik. Kim był żołnierz, który go stracił?

Rozsznurowując drugi but, stwierdził, że zna przecież kogoś, kto jest niekwestionowanym specjalistą od takich rzeczy. Jego inwestor Rafał Borola. No przecież.

Wrzucił ubabrane caterpillary na tył samochodu i wyjął z kieszeni komórkę. Borola odebrał prawie natychmiast.

Po obowiązkowych żartach i wzajemnych koleżeńskich złośliwościach Igor w końcu przeszedł do rzeczy.

– Czy kojarzysz, żeby Bayer w czasie wojny albo przed nią zajmował się produkcją białej broni, scyzoryków konkretnie?

– Bayer? Ten od aspiryny? – w głosie Boroli słychać było powątpiewanie. – Nic nie wiem na ten temat. A jakiś kontekst?

– Budowlańcy znaleźli na budowie w porcie taki scyzoryk. Jest tam logo Bayera oraz jakiejś firmy ze Schmidt w nazwie.

– W porcie? To mógł należeć do jakiegoś marynarza. Może to pamiątka po prostu, wiesz taka, jaką firmy robią pracownikom na różne okazje. Pióra z emblematami i tym podobne.

– Hmm. – Igor pomyślał, że może rzeczywiście za szybko połączył to z drugą wojną. Mogło być dokładnie tak, jak mówił Borola. – Był tam też nieśmiertelnik. Numer sto osiemdziesiąt dziewięć i dalej zatarte. SS, Panz. i Gre... tylko tyle odczytałem.

– Jakaś dywizja Waffen SS. Masz fotkę tego? Podeślij, to obejrzę. Czeka...

Borola na chwilę zamilkł.

– To w jednym wykopie było? Razem?

– No tak.

– To ciekawe – mruknął Borola i Igor usłyszał, że zaczął przerzucać jakieś papiery i coś przeglądać. – To zmienia postać rzeczy.

– Dlaczego? – Igor się niecierpliwił, bo Borola umilkł na dłuższą chwilę.

– Bayer w okresie drugiej wojny było częścią koncernu chemicznego IG Farben. Koncern był mocno umocowany we współpracę z nazistami. W jego władzach, czego jednak nie udowodniono niepodważalnie, było mnóstwo wyższych oficerów SS. Wystarczy powiedzieć, że to oni wytwarzali większość produktów chemicznych dla armii, różne smary i oleje, ale także gazy bojowe, materiały wybuchowe, proch, no i przede wszystkim to oni dostarczali granulowaną ziemię okrzemkową nasyconą cyjanowodorem.

– Co takiego? – Igor zdecydował się zapytać, gdy Borola umilkł, myśląc pewnie, że chemiczna nazwa wszystko wyjaśni.

– Cyklon B.

– Bayer? – Igor z niedowierzaniem spojrzął w kierunku schowka, w którym leżało opakowanie aspiryny.

– Konkretnie firma Degussa, która w połowie była wówczas własnością IG Farben, ale faktycznie wszystkie te kartele podlegały SS. Degussa na przykład zajmowała się także przemysłowym przetapianiem koronek ze złota, które wiadomo skąd się brały.

Igor siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Nie spodziewał się, że rozmowa dotycząca znalezionej na Łasztowni scyzoryka zdryfuje na takie tematy.

– Bayer z kolei – kontynuował beztrąsko Borola – wytwarzał gaz musztardowy, który wojsko wykorzystywało jeszcze w czasach pierwszej wojny światowej, natomiast to, za co całe szefostwo IG Farben dostało wyroki w Norymberdze, to przede wszystkim wykorzystywanie więźniów obozów koncentracyjnych. Do pracy i do eksperymentów.

– W ogóle nic o tym nie wiedziałem – przyznał Igor, patrząc w zamyśleniu na ulicę, którą przechodziła właśnie grupka dzieci.

– Koncern budował zakłady pracy bezpośrednio przy obozach zagłady. W Mauthausen-Gusen i w Oświęcimiu na przykład. Miał też własne obozy pracy, które powstawały przy ich zakładach. Na przykład w Policach.

– Tych naszych Policach?

– Naszych, naszych. IG Farben zajmowało się produkcją benzyny syntetycznej i to oni właśnie założyli tę fabrykę. Jedną z dwunastu na terenie ówczesnych Niemiec.

Igor oczywiście był tam nie jeden raz. I nie dwa. Stały mu od razu przed oczami gigantyczne silosy i zrujnowane budynki fabryczne tonące w nieposkromionej od czasów wojny zieleni.

Sto sześćdziesiąt hektarów prawie nieprzebytej dzisiaj dżungli, w której niczym zaginione pomniki jakiejś starożytnej cywilizacji tkwiły ogromne budowle niemieckiej fabryki.

Pomorskie Angkor Wat. Zaginiona świątynia wojny.

Zamyślił się na moment, a przed oczami wyobraźni przesuwają mu się ogromne hale oplecione gałęziami drzew i wysokie na kilka kondygnacji betonowe konstrukcje. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Borola cały czas coś mówi.

– ...I w tym momencie ten kozik z emblematem Bayera i esesmański nieśmiertelnik nabierają sensu.

– Czemu? – Igor miał wrażenie, że umknęła mu jakaś część rozumowania Boroli, ale liczył na to, że za chwilę wszystkiego się dowie.

– Bayer był w tym czasie głównym dostawcą dla SS także takich rzeczy jak barwniki do mundurów i takie tam, więc pewnie ta firma wykonała scyzoryk po prostu na ich zlecenie.

– Jaka firma?

– No powiedziałem przecież. J.A. Schmidt & Soehne. Znalazłem właśnie pełną nazwę. Byli dostawcami białej broni dla Waffen SS. Wysłałeś mi te fotki? Może uda się dowiedzieć, z której dywizji był ten esesman z waszej budowy.

– Jeszcze nie. Siedziałem cały czas w samochodzie. Wyślę ci zaraz, jak tylko będę przed kompem.

– Okej, to czekam.

Igor chwycił torbę, zatrzasnął drzwi i po chwili wbiegał po schodach do pracowni.

## Rozdział 14

*WTEDY...*

*Gdzieś w północnych Niemczech*

**P**arowóz spowity kłębamii pary i dymu zbliżał się do Mirowa. Już za chwilę pomiędzy drzewami ukazał się spory, nakryty czterospadowym dachem budynek stacji kolejowej. Tynkowane w kolorze czerwieni, a właściwie intensywnego ugru elewacje miejscami były już brudne, a gdzieś tam tynk się łuszczył. Budynek najwyraźniej wymagał remontu, ale o remontach nikt wtedy nie myślał.

Przed dworcem stało kilka wojskowych ciężarówek pilnowanych przez nieustannie chodzących wzdłuż drogi żołnierzy. Do dworca od strony miasteczka wiodła długa wysadzana lipami aleja. W jej połowie stał motocykl, a dwóch żołnierzy pilnowało przejazdu, bacząc, by nikt nie podszedł do budynku zbyt blisko.

Od strony zachodu pomiędzy pogrążonymi w ciemności drzewami rozległ się gwizd i błysnęły światła zbliżającego się parowozu. Cztery ciężarówki wolno podjechały do torów.

Gdy każdy z wielkich dwustulitrowych pojemników znalazł się już na pace ciężarówki, eskortujące je motocykle zawarczały i po chwili kawalkada pojazdów długą lipową aleją ruszyła w kierunku miasta, a kilkanaście minut później zniknęła na drodze wyjazdowej w kierunku Neubrandenburga.

Pół roku wcześniej, w nocy z siedemnastego na osiemnastego sierpnia, w ramach operacji Hydra licząca ponad pół tysiąca maszyn eskadra bombowców RAF-u zaatakowała ośrodek doświadczalny w Peenemünde, gdzie Niemcy przeprowadzali doświadczenia z bezzałogowymi

samolotami-pociskami oraz raketami pionowego startu, jak nazywano wówczas rakiety V-1 i V-2. Straty nie były wielkie, zginęli głównie jeńcy wojenni, których baraki alianci wzięli za hangary lotnicze, oraz jeden z szefów ośrodka zajmującego się pracami nad silnikami do raket V-2.

Najistotniejszym jednak następstwem tej katastrofy była decyzja o przeniesieniu wszelkich eksperymentalnych badań, ośrodków produkcyjnych, naukowych i badawczych do zakładów podziemnych.

W różnych utajnionych miejscach rozpoczęły się budowy schodzących w głąb ziemi, niekiedy nawet na kilka kondygnacji, hal fabrycznych, magazynów i kazamatów, których na próżno szukał wywiad i wypatrywały załogi szpiegowskich samolotów aliantów.

A przy każdym z tych ośrodków powstawały obozy pracy przymusowej, do których trafiali jeńcy wojenni z całej Europy oraz podludzie z podbitych krajów na Wschodzie.

# Rozdział 15

*wtorek 6 sierpnia*

**P**o dwóch tygodniach deszczowej i ponurej aury wtorkowy poranek przywitał Kopenhagę promieniami słońca malowniczo przebijającymi się przez kłęby chmur. Ponure ceglane budynki, którymi usiane były brzegi szerokiego wejścia do portu, rozjaśniły się ciepłą czerwienią, a takielunki stojących przy nabrzeżach żaglowców i łodzi rozbłysły oślepiającą bielą.

Środkiem kanału w kierunku wyjścia na szerokie wody zatoki płynęły trzy kompletnie do siebie niepodobne jednostki.

Pierwszy, niczym wilk przewodnik, płynął okręt patrolowy Duńskiej Królewskiej Marynarki Wojennej – surowy, szary, najeżony masztami sygnałowymi i kopułkami radarów. Zaraz za nim powoli przesuwał się wzdłuż brzegów wielki statek z jarzącymi się w słońcu białymi nadbudówkami i wściekle czerwonym kolorem kadłuba. Na jego dziobie, wyniesiony ponad poziom pokładu, wyróżniał się zielony owal lądowiska dla helikopterów.

Ostatni, jakieś dwieście metrów za nimi, oślepiając jaskrawą bielą pokładów, płynął ogromny luksusowy jacht, na którego burcie widniała nazwa Pandora.

Okręt patrolowy zostawił za sobą ulokowany na zachodnim brzegu port kontenerowy i leżący tuż za nim ultranowoczesny budynek FN Byen mieszczący agencje ONZ. Zbliżył się do ciągnącego się w poprzek kanału falochronu i po chwili znalazł się na otwartych wodach Sundu.

Na wschód od szerokiego wylotu falochronu centralnie na środku kanału ulokowana była trójkątna wyspa strzegącego wejścia do Kopenhagi fortu Trekroner.

– Wiedzieliście, że to sztuczna wyspa? – Wysoki potężnie zbudowany brunet w białej koszuli machnął ręką w kierunku fortu.

Na górnym pokładzie, opierając się o reling sterburty, stało sześcioro względnie młodych ludzi – czterech mężczyzn i dwie kobiety. Wpatrywali się w brzegi duńskiej wyspy.

– Wstrząsające! – burknął z przekąsem jeden z mężczyzn, pucułowaty szatyn o sylwetce zdradzającej niewielkie zainteresowanie fitnessem.

– Trekroner to chyba trzy korony, prawda, Johann? – Dziewczyna z wielkimi zielonymi oczami i burzą brązowych włosów targanych akurat zalotnie przez wiatr odwróciła się w kierunku szczupłego blondyna o wyrazistych, nieco kanciastych rysach twarzy.

– Nie mam pojęcia. Moja mama jest Niemką, nie Dunką.

– Trekroner to nazwa jednego z trzech starych okrętów, które w tysiąc siedemset trzynastym zatopiono w tym miejscu, tworząc podstawę do budowy sztucznej wyspy – odezwała się druga z kobiet, blondynka z włosami starannie związanymi na karku czarną wstążką. – W czasie wojny były tutaj niemieckie koszary, a potem więzienie.

– Byłaś tutaj, Alice? – spytał milczący do tej pory szczupły opalony szatyn ubrany w biały T-shirt z napisem *Keep calm and go to Hogwarts*.

– Dawno temu – odpowiedziała blondynka i uśmiechnęła się do przyjaciół. – Pięknie, prawda?

Przez chwilę stali w ciszy, oparci o reling, obserwując słońce przedzierające się przez ciemne chmury.

– Mam jakieś niepokojące *déjà vue* – mruknął korpulentny mężczyzna.

– W twoim przypadku to się nazywa kac, Jamie – dociął mu wysoki brunet i zarechotał. – Wczoraj wieczorem wyżyłopałeś chyba dwa litry piwa.

– Odezwał się abstynent.

– Ale ja nie mam żadnych przywidzeń.

– Przecież rok temu płynęliśmy tędy na Alandy. – Alice spojrzała na nich z pobłażliwym uśmiechem. – To nie żadne *déjà vue*, tylko zwyczajne wspomnienie.

– To dlaczego ten bałwan znowu ma na sobie koszulkę z tym durnym napisem? – Jamie wskazał wzrokiem wysokiego, wyjątkowo przystojnego szatyna.

– Bo to Rupert, nasz pokładowy fotomodel – westchnął brunet.

– Wszystko słyszałem, gamonie. – Rupert wychylił się zza pleców Gwen, zielonookiej szatynki, która odwróciła się także i posłała koleżance porozumiewawcze spojrzenie.

– Przedszkole jak zwykle. – Alice uśmiechnęła się do niej i chciała coś jeszcze powiedzieć, ale od strony dolnego pokładu rozległ się stukot kroków i po chwili na schodach pojawił się steward. Niósł wielką tacę, na której stało sześć wysokich kieliszków i trzy butelki szampana. Na moment zrobiło się głośno, po czym brunet chwycił butelkę i machając nią do reszty pasażerów, stanął na środku pokładu. Usiłował ich przekrzyczeć.

– Jako że właśnie mijamy Sund i za chwilę wpłyniemy na mroczne i zimne morze wikingów, duńskich korsarzy tudzież innych łotrów, by zmierzać ku dawnej stolicy księstwa zachodniopomorskiego...

– Déjà vue, jak w mordę. – Jamie zachichotał. – Mroczne i zimne morze.

– Nie zabraliśmy puchowych kurtek! – krzyknął Rupert.

– Ani etoli z lisów – dodała ze śmiechem szatynka.

– Cisza! Zamknijcie się! Płyniemy, jak powiedziałem – Dermot machnął butelką w kierunku rozbawionych przyjaciół i kontynuował przemowę wśród ich śmiechów – by dokonać spektakularnych odkryć i zdobyć sławę...

– *God save our gracious Queen!*<sup>[4]</sup> – zaśpiewał pod nosem Jamie, celowo fałszując i krzywiąc się, czym wzbudził kolejny wybuch radości.

– Zamknąć się! – Brunet starał się przekrzyczeć głośne śmiechy i komentarze. – No więc... Po wielu trudach, długim przekonywaniu duńskiej królowej, ojca Johanna i Bridget, żeby puściła z nami Jamiego...

W tym momencie ponownie rozległy się śmiechy, Dermot jednak energicznie zamachał rękami, tym razem nie dając sobie przerwać.

– Płyniemy, by stanąć oko w oko ze starożytną tajemnicą!

Podniósł wysoko kieliszek i popatrzył na rozbawionych przyjaciół.



– Za nas! – wrzasnął, kończąc mało kreatywnie swoją przemowę i jednocześnie z hukiem otwierając szampana.

– Za nas! – krzyknął Johann, a za nim cała pozostała piątka, stukając się kieliszkami.

Na górnym pokładzie ponownie zapanował gwar. Steward dyskretnie zszedł po schodach i zniknął w czeluściach dolnych pokładów, pozostawiając rozbawione towarzystwo.

Wielki biały jacht majestatycznie sunął po granatowej tafli cieśniny, żegnając malowniczo rysujące się na horyzoncie dachy Kopenhagi.

Paulina wkleiła ostatni fragment swojego tekstu i otworzyła katalog ze zdjęciami, które kilka minut temu odebrała od grafików. Miała wybrać z nich dwa, trzy do zilustrowania artykułu. Czuła obrzydzenie do tego tematu, chciała skończyć i przestać o tym myśleć. Żeby w jakiś sposób odpokutować tę uległość wobec naczelnej, przelała całe dwie stowy na akcję ratowania drzew w Puszczy Wkrzańskiej. Był to jedynie symboliczny gest i doskonale zdawała sobie sprawę, że niczego w ten sposób nie załatwi, tak samo jak nie uratuje żadnego zwierzaka, jeśli nie będzie używała plastikowych toreb. Ale cóż mogła zrobić więcej. Chciała wierzyć w to, że coraz głośniejsze ostatnio protesty i manifestacje w sprawach ekologii w końcu odniosą jakiś skutek. Kropla drąży skałę.

– Z tym obrazem to nie jest taka oczywista sprawa – usłyszała dochodzący zza monitora głos Piotra.

– Jakim obrazem? – spytała zdezorientowana.

– No tym, o którym opowiadał ten twój Igor. *Salvator Mundi*.

– Piotruś! – Paulina syknęła i przesunęła się z krzesłem, tak żeby zobaczyć twarz kolegi. – Skończ lepiej z tym cholernym tematem! Nie słyszałeś, co ta raszpla powiedziała?

– O obrazie nie było mowy – odparł Piotr z niewinną miną. – Ja tu o sztuce czytam, a nie o żadnych zamachach.

– Piotr!

– No co? Nie mam żadnego swojego tematu, a artykuł o drogownictwie już pewnie skończyłaś.

– Ja mówię poważnie – sarknęła Paulina. – Przez ciebie będziemy mieli kłopoty.

– Niczego złego nie robimy. Po prostu rozmawiamy sobie o sztuce. Dopiero co napisałaś przecież artykuły o kradzieżach dzieł sztuki, więc jest to nawet uzasadnione i wytłumaczalne.

Paulina przez chwilę wpatrywała się w kolegę, usiłując zachować surowy wyraz twarzy, ale jak zwykle jego wielkie brązowe oczy i rozczochrane włosy pozbawiły ją resztek powagi. Schowała się na moment za swoim monitorem, żeby nie zauważył, że się uśmiecha.

– To o co chodzi z tym obrazem? Co jest nie w porządku? – spytała.

– Przeczytałem właśnie. O nie!

– Co się stało? – Paulina aż podskoczyła na krześle.

Przy wejściu do redakcji zrobiło się nagle niewielkie zamieszanie.

– To chyba majster z budowy. – Piotr przesunął monitor i skulił się za nim. – Jezu! Zamkną nas.

Paulina podążyła za jego wzrokiem. W drzwiach stali dwaj mężczyźni. Jeden w zwykłym ciemnym T-shircie, drugi w białej koszulce z narzuconą na nią zieloną odblaskową kamizelką. Mężczyzna w roboczym bezrękawniku podszedł do pierwszego w kolejności od drzwi stanowiska i o coś zapytał.

Paulina z rosnącym niepokojem obserwowała, jak koleżanka uśmiecha się do niej i wskazuje ją palcem. Mężczyźni spojrzeli w jej kierunku i ruszyli.

– No to koniec – jęknął Piotr. – Przeworska nas wywali.

– Pani Paulina Weber? – Mężczyzna pochylił się grzecznie w jej kierunku, a gdy przytaknęła, ukłonił się dwornie.

– My jesteśmy z budowy, tej po sąsiedzku. Z portu, ze straży pożarnej. Majstrem tam jestem, Marek Roźnowski.

– Bardzo mi miło. Czym mogę panom służyć? – Paulina wciąż patrzyła na mężczyzn z lekkim niepokojem, ale intuicja już zaczęła jej podpowiadać, że to wcale nie chodzi o ich wdarcie się na plac budowy.

Zresztą teraz jak się dokładniej przyjrzała, to żaden z dwóch robotników nie był podobny do tego, który za nimi gonił.

– Mamy taką dla pani informację, tylko to raczej dyskretnie trzeba. – Mężczyzna w kamizelce pochylił się nad biurkiem Pauliny.

Piotr ostrożnie wyjrzał zza swojego monitora i spojrzął na Paulinę porozumiewawczo.

– Proszę, siadajcie panowie. – Paulina wskazała mężczyznom dwa krzesła stojące pod ścianą.

– A nie ma tutaj jakiegoś bardziej ustronnego miejsca? – Robotnik rozejrzał się z powątpiewaniem po otwartej sali redakcji. – Te openspejsy to ja nie wiem, jak to można w nich pracować. Żadnej prywatności.

– No dobrze, to zapraszam panów ze mną. – Paulina podniosła się i skinęła na Piotra. – Mój asystent, pracujemy razem – powiedziała, widząc pytające spojrzenie mężczyzny.

Gdy znaleźli się w małej salce konferencyjnej, Paulina zasunęła oszklone drzwi i wskazała ręką stół na środku.

– Pani Paulino, jestem pani stałym czytelnikiem. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął garść czegoś brudnego i pomiętego. –

Pisze pani chyba najciekawsze artykuły. Ten ostatni o kulisach wypadku promu do Ystad to było coś niesamowitego, dlatego właśnie do pani przychodzimy. Tylko żeby nikt się nie dowiedział, bo nam policja zakazała rozpowiadać.

Drugi z mężczyzn kiwnął głową.

Paulina rzuciła szybkie spojrzenie Piotrowi, który wydawał się bardzo zdziwiony.

– Jak się to rusztowanie zawaliło, to musieliśmy szybko je przewalić na bok, bo wie pani, dwóch chłopaków tam przygniotło. – Mężczyzna westchnął. – Biedny ten Wania, to Ukrainiec był, młody, dwadzieścia dwa lata...

Paulina nie popędzała rozmówcy, ale wpatrywała się z rosnącym niepokojem w jego zaciśniętą pięść.

– Więc jak przyjechała policja i nadzór, to tam już wszystko było zdeptane i zasypane ziemią i gruzem. Sporo cegieł i różnych materiałów

spadło, ale ja coś tam pozbierałem. Ja w ogóle na moście byłem, jak się zaczęło walić, widziałem, jak się rozsypuje, dlatego zwróciłem uwagę na tę kolorową chmurę.

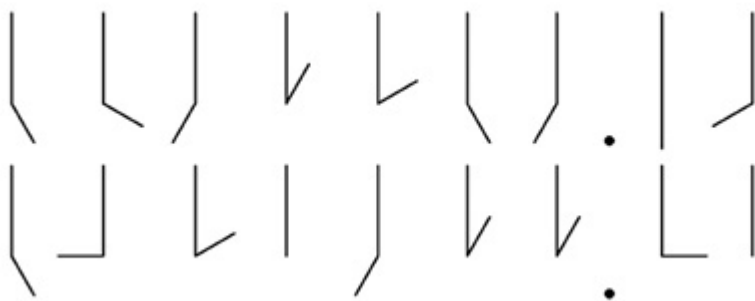
Mężczyzna rozejrzał się ostrożnie, czy przypadkiem nikt nie zagląda do salki, i wysypał na stół kilka brudnych pomiętych skrawków papieru.

– Policja to, wie pani, zlekceważyła chyba. Wziąć wzięli, bo tam tego więcej było, ale głównie to z nadzorem budowlanym gadali. Ale to przecież wygląda tak samo jak to, co „Wyborcza” wydrukowała w środę.

Piotr sięgnął po jedną z kartek, wyprostował ją i położył przed sobą na stole.

Na małym skrawku papieru widać było znajomy wzorek złożony z dziwacznych symboli.

Dwa wiersze. Każdy po dziewięć znaków przedzielonych kropką.



Igor otworzył klapę bagażnika i wrzucił do środka notatnik ze szkicami i dalmierz. Wyciągnął z torby butelkę wody mineralnej i oparł się o maskę.

Słońce mocno przygrzewało i kilka łyków chłodnej jeszcze na szczęście wody przyniosło mu sporą ulgę. Przez otwartą bramę ogrodzonego terenu robót budowlanych widział dwóch chłopaków uwijających się przy pomiarach ruin spichlerza. To, co można było pomierzyć, to praktycznie skończyli. Poszło szybciej, niż się spodziewał. Dwaj studenci, którzy akurat mieli praktyki w jego firmie, inwentaryzowali jeszcze detale resztek dawnych sklepień.

Dookoła z kolei robotnicy ustawiali nowe ogrodzenia wyznaczające bezpieczną strefę dla robót strzałowych, które miały się odbyć dzisiejszej

nocy.

Od kilkusobowej grupki budowlańców w jaskrawych zielonych kamizelkach oderwał się Jarost i podszedł do Igora. Wyciągnął z kieszeni komórkę i oparł się obok Igora o maskę toyoty.

– Ale mi ulżyło wczoraj, jak stwierdziliśmy, że jednak zdążymy na dziś z przygotowaniem trzeciego spichrza – powiedział, wpatrując się jednocześnie w ekran komórki. – Ci z Doclands już teraz pourywaliby nam łby. I to przy samej dupie.

– O której będą te strzały? – Igor podniósł butelkę do ust i wypił kolejny łyk.

– O pierwszej. Punkt. Najgorsze było użeranie się wczoraj z tymi ludźmi z Lastadii. – Jarost wskazał głową stojący nieopodal biurowiec.

– Czemu? – Igor pomyślał, że nawet nie zapytał Pauliny, co jej gazeta na to.

– Parking musieli zwolnić. Chcieliśmy, żeby już dzisiaj tutaj nie parkowali i nie mogli pojąć dlaczego, skoro wybuchy będą w nocy. – Jarost był zły. – Tyle że potem te ich samochody stałyby tu do siódmej, a my musielibyśmy czekać z postawieniem ogrodzeń i tablic.

– A ulicę Zbożową zamkniecie?

– Tak, ale dopiero po szóstej. Tylko bulwar będzie otwarty. Jak ktoś nie zabierze samochodu z mariny albo ze Starej Rzeźni, to będzie musiał wracać piechotą.

– To ogrodzenie to w ogóle wystarczy? – Igor spojrzał z powątpiewaniem na rozstawiane wokół parkingu stalowe panele.

– No coś ty? – Jarost się roześmiał. – To mikroładunki. Jakbyśmy teraz je odpalili, to nikt by ich tutaj nawet nie usłyszał. A jeszcze nad spichrzem postawimy taki specjalny namiot, żeby się nie kurzyło. To ogrodzenie i te tablice są tylko pro forma, żeby ten cały upierdliwy inspektor, o tam – Jarost wskazał brodą wąsatego mężczyznę – miał satysfakcję, że nie bierze od miasta kasy za darmo.

Przez chwilę wpatrywali się w rozmawiających kilkanaście metrów od nich mężczyzn.

– Wiadomo, co z Szymonem? – odezwał się w końcu Igor.

Jarost pokręcił głową.

– Nic nie wiadomo. Policja całkiem Monię olała. Nic nie zrobili cały tydzień. Dopiero w piątek oficjalnie podano, że zginął. Pewnie wcześniej zrobili małe rozeznanie w urzędzie, że kłopoty, długi i tak dalej, stwierdzili, że zwiął, i nikt nawet palcem nie ruszył.

– A co ty o tym myślisz właściwie?

– Pojęcia nie mam. Kurwa, zapadł się pod ziemię. Ale on nigdy nie uciekał przed żadnymi kłopotami. – Jarost westchnął i spojrzał na Igora z kwaśnym uśmiechem. – Takiego lata to ja w życiu nie miałem. Wiesz, że na tej budowie w porcie też byliśmy?

– No co ty? – Igor spojrzał na Jarosta z niedowierzaniem. – Miałeś tam ludzi? Coś się stało?

– Nie, nie – zaprzeczył Jarost. – Tylko rusztowanie tam było nasze, pożyczaliśmy. To Szymon je rozstawiał, a teraz ja się muszę użerać z nadzorem budowlanym. Rusztowanie szlag trafił, nie wiadomo, co się z niego da uratować, ale mamy ubezpieczenie, więc pół biedy. Tylko że to kolejna kasa zamrożona. Dopóki nie wyjaśnią, że to nie nasza wina, nic nam nie zapłacą. Mówię ci, to jakieś fatum.

W kieszeni Igora zabręczała komórka. Igor odstawił butelkę wody mineralnej na chodnik i wyciągnął telefon.

– Dobra, nie przeszkadzam ci. – Jarost kiwnął mu głową i ruszył w kierunku wykopów, nad którymi właśnie zaczęto rozpinać brezentowy namiot.

– Siema! – Igor usłyszał głos Boroli i od razu przypomniał sobie o wojennych przedmiotach z baraku. – Znalazłem tę dywizję z nieśmiertelnika. To Frundsberg.

– Czy to coś niezwykłego?

– Trudno powiedzieć. Wszystko niby pasuje. Frundsberg została przerzucona na Pomorze w marcu czterdziestego piątego i walczyła tutaj w obronie Szczecina właśnie. Więc wszystko się niby zgadza.

– Czemu niby?

– Bo trochę to jednak dziwne, że ten żołnierz zginął w porcie. Miasta generalnie broniła w Szczecinie dywizja forteczna, takie oddziały

posklecane pod koniec wojny z byle kogo, niedobitków, maruderów, dziadków i dzieciaków. Waffen SS brało udział w walkach na wschód od miasta. Chyba że gdy się wycofywali, jakoś trafił do portu.

– Równie dobrze Rosjanie mogli wrzucić do wykopów różne śmiecie, pochodzące w ogóle skądinąd. Ten nieśmiertelnik mógł się tam znaleźć całkowicie przypadkowo.

– Też prawda – zgodził się Borola. – W każdym razie, jakby ktoś chciał sprzedawać ten nóż i nieśmiertelnik, to mogę kupić. Przekaż. Dam dobrą cenę.

– Okej, powiem. – Igor uśmiechnął się pod nosem.

Chwilę pogadali jeszcze o niczym i Igor się rozłączył. Położył telefon na biurku, otworzył notatnik i drukowanymi literami zapisał FRUNDSBERG.

Mostek Pandory tonął w półmroku. Niebieskim cyfrowym światłem mieniły się monitory i ekrany urządzeń pokładowych rozmieszczonych na długim pulpicie pod wielkimi panoramicznymi oknami.

Przed pulpitem stały dwa duże fotele pokryte czarną skórą. W jednym z nich siedział mężczyzna z jasnymi włosami i długą jasną brodą, wyglądający, jakby urwał się tutaj z planu zdjęciowego do kolejnego odcinka *Wikingów* Netflixa. Wpatrywał się w ekran komputera, na którym system ECDIS[5] przedstawił właśnie optymalną, przewidywaną wcześniej trasę do Szczecina, uwzględniającą czynniki pogodowe i stan morza.

Drzwi do sterówki otworzyły się i do środka wszedł jasnowłosy, ubrany w granatową marynarkę młody mężczyzna. Podeszedł do pulpitu i usiadł na drugim fotelu.

– A gdzie nowy? – Spojrzał na śledzącego w skupieniu ekrany urządzeń kapitana. – Nie miał tu przypadkiem siedzieć z tobą?

Wiking odwrócił głowę i uśmiechnął się uspokajająco do chłopaka.

– Nie bój się – powiedział z silnym wschodnim akcentem. – Nic mu nie będzie.

– Jemu to może się stać cokolwiek, ja się o nas martwię. Nie ufam mu jakoś.

Patrick pływał na jachcie lorda Carleya od dobrych paru lat. Zaczął jako steward i nadal właściwie pełnił tę funkcję, ale zakres jego obowiązków za każdym razem ulegał rozmaitym modyfikacjom. Raz, gdy płynął z lordem Carleyem i jego przyjaciółmi na Morze Śródziemne, był zwyczajnym pomocnikiem, czyli podawał drinki i robił porządki, ale gdy płynęli nurkować – bo zarówno lord, jak i jego syn Johann często się temu oddawali – bywało, że miewał nawet wachty na mostku. Po kilku latach na tej łajbie bez problemu potrafiłby własnoręcznie wyprowadzić ją z portu.

– Ty mnie też nie ufałeś – kapitan parsknął śmiechem. – Odczepiłeś się ode mnie dopiero wtedy, kiedy pierwszy raz popłynąłem z wami jako stary.

Zazwyczaj Pandorą dowodził kapitan Robert Whitmore, nazywany przez wszystkich Billem, którego lord Carley zatrudniał od wielu lat.

– Ty to ty – mruknął Patrick. – Nasz paniczek Johann ufa ci chyba bardziej niż Billowi, więc nie ma o czym gadać. Ale ten chudy pętał to co innego. Nagle nam tu się wpakował.

– Daj chłopakowi spokój. – Kapitan roześmiał się rubasznie i zmierzwił palcami długą brodę. – Przegląda sprzęt do nurkowania. Pan Dermot mu kazał.

– Co takiego? – Patrick spojrzał na brodatego wikinga z niedowierzaniem. – Grzebie przy akwalungach? Przy butlach z gazem?

– On się na tym zna, może nie aż tak dobrze jak pan Dermot i pani Alice, ale na pewno lepiej niż nasz Johann i jego narzeczona.

– Ale ty jesteś tutaj najlepszym nurkiem. Nie niepokoi cię, że zupełnie obcy facet grzebie przy sprzęcie? – Patrick gapił się na kapitana z malującym się na twarzy niepokojem.

– Przecież i tak wszystko osobiście sprawdzę. Tak samo jak pan Dermot. Zanim zaczniemy nurkować, minie jeszcze tydzień. Nie musisz się o nic martwić. Poza tym przepytalem go. Bez problemu mógłby sam dowodzić tym jachtem. Gówniarz ma naprawdę spore doświadczenie.

– I tak mu nie ufam.

Patrick wbił wzrok w okno, za którym w oddali na horyzoncie widać było zarysy brzegów Szwecji. Mijali właśnie najbardziej wysunięty na



południowy zachód półwysep Falsterbonäset, który wyglądał jak jezioro jakiegoś morskiego potwora.

Dwaj robotnicy wyszli. Paulina i Piotr siedzieli sami w salce konferencyjnej i wpatrywali się w leżące na stole skrawki.

– I co z tym robimy? – odezwał się w końcu Piotr.

Paulina westchnęła ciężko.

– Nie mam pojęcia. Znowu będzie awantura.

– Ale to jednoznacznie dowodzi, że tam jednak była bomba.

– Na razie mamy tylko twoje pieprzone kwiatki, teraz jeszcze śmiecie od tych budowlańców i żadnej bomby.

– Ale...

– Przecież to mógł ktoś tam podzucić. Nawet ci robole mogą sobie robić z nas żarty.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz – prychnął Piotr z irytacją. – Czyli tak... – podniósł do góry palec wskazujący – ...jakiś żartowniś, student, oczywiście lewak, zaangażowany w ekologię i przejęty zmianami klimatu, jest autorem żartu z petardami w katedrze, przez który nasza Urszula do tej pory nie może się pozbierać.

Paulina chciała mu przerwać, ale Piotr ponownie podniósł palec do góry.

– Zupełnie przypadkowo w piątek, prawie idealnie zbieżnie z ostrzeżeniem, które lewacki ekologiczny student rozesłał po redakcjach, zawala się rusztowanie w porcie. To jest mu tak na rękę, że zbiera kwiatki w ogródku babci...

– Piotr... – Paulina wciąż próbowała mu przerwać.

– Drukuje te wzorki, tnie w paski, leci szybciej do portu, zaraz jak tylko przeczytał o tym na forum, tuż przed nami, co dowodzi, że pracuje gdzieś obok nas, może nawet tutaj, tylko na wyższym piętrze, i siuuup...

Piotr machnął w tym momencie obiema rękami w stronę przesywającej go wzrokiem bazyliuszka Pauliny.

– ...rozsypuje wszystko na zgliszczach rusztowań.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, wpatrując się w siebie.

Paulina w końcu się odezwała.

– Ale z ciebie głupek.

– To co z tym robimy?

– Idziemy do Ulki.

– Zwariowałaś? – Piotr otworzył szeroko oczy. – Poważnie mówisz?

– Nawet jeśli nie podoba mi się sposób, w jaki to wszystko załatwia Przeworska, to ten temat faktycznie jest Ulki. To ona pisze o tym od początku. Miała pecha, że była na tym koncercie w katedrze.

– Raczej szczęście.

– Jak zwał, tak zwał. Powinniśmy to jej oddać i niech robi z tym, co tylko chce.

– Boże! – Piotr pokręcił głową z niedowierzaniem. – Solidarność jajników ponad wszystko.

Jamie, trzymając się mokrej poręczy, zszedł ostrożnie na najniższy tylny pokład. Jakąś godzinę temu zaczęło mocniej wiać. Nie było to jeszcze nic nadzwyczajnego, ale wystarczyło, żeby morze zrobiło się sine, a fale zaczęły się wdzierać na białe burty Pandory. Jacht miał trzy zewnętrzne pokłady na trzech poziomach. Najwyższym, gdzie był barek i kilka wielkich sof, wszyscy okupowali w słoneczne dni. Dzisiejszy poranek także tam spędzili, popijając szampana, ale gdy zaczęło się robić wietrznie, całe towarzystwo przeniosło się na środkowy pokład, gdzie mieściła się największa mesa, jedna z trzech na jachcie. Bardziej przypominała ogromny loft niż pomieszczenie na statku.

Jamie starał się nadrabiać miną, ale w rzeczywistości czuł się fatalnie. Ten mądrała Dermot miał oczywiście rację. Przesadził wczoraj z alkoholem na imprezie integracyjnej, która odbyła się na towarzyszącym im statku badawczym.

Najniższy pokład, najbardziej wysunięty ku tyłowi statku, był częściowo zasłonięty przez pokład rufowy górnego poziomu, a pozostała jego część służyła jako przestrzeń ładunkowa dla znajdującej się na tym poziomie ładowni oraz jako miejsce, skąd spuszczano łodzie, pontony oraz skąd schodzili pod wodę.

Tę część morze usiłowało właśnie osiągnąć swoimi stalowymi spienionymi mackami. Na tekowym pokładzie przelewały się teraz strugi wody.

Jamie podszedł do relingu, złapał się poręczy i wychylił na zewnątrz. Wiatr od razu szarpnął jego krótkimi włosami, a na twarz bryznęła mu fontanna słonej wody.

Właśnie tego potrzebował. Liczył, że zimna morska woda przywróci mu świeżość umysłu.

Jakieś kilkaset metrów na północ widać było kanciasty kadłub towarzyszącego im statku.

R.V. Viden, czerwonoburtowy duński statek badawczy, własność Technical University of Denmark, był pływającym laboratorium. Zajmował się badaniami na potrzeby rybołówstwa, projektami hydrograficznymi, oceanograficznymi, penetrowaniem dna oraz różnymi projektami komercyjnymi, jeśli tylko pozwalały na to przepisy uczelni.

Do udziału w całym przedsięwzięciu duńskiej jednostki badawczej zobowiązała ich umowa, którą podpisali z Królestwem Danii. Jamie ufał, że londyńska kancelaria Carmondeley & Chatfield Ltd. należąca do sir Williama Carmondeleya, stryja Dermota, na pewno zrobiła wszystko, żeby na tym nie stracili. Chociaż jeżeli brać pod uwagę morskie przesady, to nie zaczęło się najlepiej. Marynarz z załogi Pandory z atakiem wyrostka został zabrany z Morza Północnego śmigłowcem na ląd. Wyglądało to wprawdzie niezwykle malowniczo, prawie jak w filmie sensacyjnym, ale pech to pech.

Cofnął się w głąb pokładu i jeszcze raz mocno odetchnął chłodnym powietrzem. Odwrócił się i chciał iść w stronę trapu na wyższy pokład, ale zamiast tego stanął jak wryty i poczuł, jak ciarki przeszły mu po plecach.

Tuż za nim przy ścianie wyrosła jakaś ciemna postać w czarnej bluzie, z głęboko nasuniętym na twarz kapturem.

– Jezu! – powiedział Jamie ze złością.

Złowroga postać po bliższych oględzinach okazała się nowym zamustrowanym w Kopenhadze marynarzem.

– Ale mnie wystraszyłeś. Co ty tu w ogóle robisz? Morten, prawda?

– Tak, proszę pana – potwierdził marynarz. – Sprawdzalem sprzęt do nurkowania. Pan Carmondeley mi kazał.

– Sprawdzales sprzęt? – Jamie podniósł brwi ze zdziwieniem. – Znasz się na tym?

– Powiedziałbym, że nawet dobrze. – Chłopak uśmiechnął się półgębkiem.

– Dobra! – Jamie złapał za poręcz i obrzucił Mortena niezadowolonym spojrzeniem. – Przestań się tak czaić w tym kapturze, bo ktoś przez ciebie wykituje na zawał. Może nie ja, ale...

Nie skończył swojej myśli, wymamrotał tylko coś pod nosem i zaczął się wspinać na wyższy poziom.

Paulina zacisnęła zęby i ruszyła w kierunku zagrodki Ulki. Dziewczyna siedziała pochylona nad klawiaturą i pracowicie coś pisała, zaglądając do leżących wokół notatek.

Paulina stanęła obok jej krzesła i chrząknęła. Posłała Piotrowi porozumiewawcze spojrzenie.

Ulka podniosła wzrok i przyglądała się Paulinie podejrzliwie.

– Chciałaś coś?

– Słuchaj, Ulka. – Paulina odsunęła krzesło i siadła obok dziewczyny. – Byli właśnie u mnie dwaj robotnicy z tej budowy...

– Widziałam. I co?

– Z tej budowy, na której się zawaliło rusztowanie.

– Pomijając wszystko inne, tam nie ma żadnej budowy. Remontują elewację. – Ulka uśmiechnęła się protekcyjnie. – I co niby?

– Przynieśli to. – Paulina rzuciła na biurko kilka pomiętych pasków papieru. – Znaleźli pod zawałonym rusztowaniem.

– Nadal chcesz to drążyć? Słyszałaś, co mówiła naczelną. Mamy się nie zajmować więcej tymi bzdurami.

– Dopuszczasz w ogóle taką możliwość, że możesz się mylić? – Paulina spojrzała chłodno na koleżankę. – A co jeśli to naprawdę był drugi zamach?

– Nie możesz znieść, że to ja wygrzebałam tę sprawę ze Śląska? Cały ten wygłup w katedrze był tylko jakimś durnym żartem, pogódź się z tym. Nie ma zresztą lepszego dowodu niż te durnowate karteczki. Jaki szanujący się zamachowiec robiłby takie żalosne rzeczy? Pocięte karteczki jak w przedszkolu?

– A nie ciekawi cię, co znaczy ten szyfr? Nie chciałabyś się dowiedzieć? Nawet jeśli to głupi żart jakichś studentów, to jednak coś mieli na myśli.

– Wygrzebaliście coś? – Ulka zerknęła na Paulinę z zainteresowaniem.

Paulina pokręciła głową.

– Niestety. – Wstała i popatrzyła na dziewczynę z góry. – Poza tym przecież mamy się tym nie zajmować.

Wracając do siebie, czuła wyraźnie na plecach nieżyczliwe spojrzenie koleżanki.

Gdy Pandora na wysokości Trzebieży minęła małą sztuczną wyspę Chełminek, na której stał osamotniony domek latarnika i czerwono świeciły dwie małe latarnie, dochodziła pierwsza w nocy. Wielki biały jacht wpłynął na wody Rostoki Odrzańskiej, zostawił za sobą schowaną w głębi niewielkiej zatoki małą Stepnicę i Odrę Zachodnią wpłynął w niekończące się uroczyska, wyspy i ostrowy, które witały zdążających do Szczecina morskich przybyszów. Pomiedzy Skolwinem a zrujnowaną przystanią w Inoujściu wpłynął na Kanał Skolwiński.

Z szuwarów porastających brzegi wysp dobiegał głośny rechot żab i letni odgłos cykad. Co i rusz odzywał się jakiś zaniepokojony ptak, spłoszona kaczka wzbijała się do lotu, zostawiając na wodzie połyskującą w światłach jachtu smugę.

A potem na zachodzie zaczęły się wylaniać pierwsze zabudowania. Pograżone w mroku pokierszowane nabrzeża i sterczące pomiędzy barakami kominy fabryk i zakładów na Skolwinie, smętne pozostałości eleganckich przed wojną dawnych marin i ośrodków wodnych u stóp wieży Bismarcka na Gocławiu, stojący nad wodą przepiękny modernistyczny zameczek z czerwonej cegły, w którym cały czas funkcjonował i hotelik, i restauracja.

A później z mroku wyłonił się Ostrów Brdowski, na którym sto dwadzieścia metrów ponad ziemię wznosiła się największa w Europie suwnica bramowa.

I dalej Drzetowo i Grabowo, z coraz intensywniej oświetlonymi połaciami przemysłowych hangarów i dawnych, ceglanych zabudowań, pozostałości dogorywającej stoczni, i wreszcie gigantyczny elewator Ewa na Gryfii, strzegący niczym starożytny obelisk wodnych wrót do miasta.

Pandora przepłynęła wzdłuż uśpionych bulwarów u stóp Wałów Chrobrego, ominęła miejską plażę na Wyspie Grodzkiej i Bielawę, na której czujnie warował niewielki budynek rzeczno-komisariatu policji, i powoli dobiła do nabrzeży Starówki na Łasztowni.

Dwa potężne diesle umilkły i wielki biały jacht pogrążył się w ciszy.

Chwilę później rozległy się wystrzały.

Jeden po drugim, w odstępach kilkudziesięciu sekund.

# Rozdział 16

*środa 7 sierpnia*

Ciemnowłosa mężczyzna siedział przy stole konferencyjnym i wpatrywał się w wykresy na ogromnym ekranie projekcyjnym, który wisiał u szczytu stołu. Młoda, ubrana w dopasowaną garsonkę kobieta referowała właśnie skutki uboczne stosowania pestycydów w rolnictwie tradycyjnym przy jednoczesnym, zwiększającym się w Danii z roku na rok popycie na produkty ekologiczne.

Terkocząca cicho kieszeń wewnętrzna marynarki mężczyzny oderwała go od prezentacji. Wyjął telefon i spojrział na wyświetlacz. Żona.

Wstał i z przepaszającym uśmiechem wyszedł z sali, zamykając za sobą oszklone drzwi.

– Coś się stało?

W głosie żony usłyszał nutki zaniepokojenia wymieszanego z irytacją.

– Dzwonię od rana i nadal nie odbiera. Telefonowałam do jego agencji, ale nikt nic nie wie. Ostatnią rzecz robił dla nich w poprzedni czwartek.

– Kochanie, przecież to jego stały numer. Co jakiś czas znika. Pewnie realizuje kolejny niezwykły projekt.

– Joas, nie irytuj mnie – fuknęła kobieta i westchnęła ciężko. – Byłeś u niego?

– Nie byłem. – Mężczyzna wzniósł oczy do nieba, spodziewając się od razu pretensji i wymówek.

– Joas, na miłość boską! Od poniedziałku cię o to proszę.

– Kochanie, ode mnie także nie odbiera. Mam się włamać do tego mieszkania pod jego nieobecność? Nie wybaczy mi tego do trzydziestki!

– Może coś mu się tam stało? Przewrócił się, rozbił głowę albo stracił przytomność z powodu jakiegoś skoku ciśnienia...

– Nie histeryzuj. Ma doskonałe ciśnienie. Nie mógłby nurkować, gdyby było inaczej.

– Jak skończysz tę nasiadówkę, masz natychmiast do niego podjechać!

– Marie...

– Joas, nie żartuj! Inaczej sama przyjadę do centrum i tam pójdę!

– Pamiętasz, jak zrobiłaś aferę, gdy został na noc na Ven, bo uciekł mu prom? Prasa o tym pisała.

– Miał szesnaście lat!

– Właśnie! A teraz ma dwadzieścia jeden. To dorosły chłop.

– Joas! – w głosie kobiety słychać było groźbę.

– Dobrze, kochanie – powiedział ugodowo mężczyzna. – Podjadę tam i zobaczę, ale wlamywał się nie będę. Wybij to sobie z głowy.

– Jeśli go nie ma i nadal nie będzie odbierał, będziemy musieli zadzwonić do Christiny... – Kobieta nagle przerwała. – Właśnie!

Mężczyzna zrobił marsową minę. Wiadomo było przecież, jak się skończy rozmowa z byłą żoną na temat ich syna. Tak jak każda rozmowa z byłą żoną.

– Może to Christa za tym stoi? – Kobieta w słuchawce mówiła podniesionym głosem. – Zorganizowała mu jakiś szalony wyjazd i zapomniała nam o tym powiedzieć.

– Nie przesadzaj. Ona nie robi takich rzeczy.

– Zaraz do niej zadzwonię. Że też od razu o tym nie pomyślałam. Jak już będziesz u niego, to zadzwoń.

– Tak, tak – przytaknął mężczyzna z rezygnacją.

Gdy żona przerwała połączenie, schował telefon do kieszeni, przywołał na twarz uśmiech i wrócił na salę konferencyjną.

Jamie, z wielkim kubkiem kawy w ręku, stał przy balustradzie zewnętrznego pokładu na tyłach głównej mesy i wpatrywał się w rozciągający się na zewnątrz widok. Odra płynęła sobie nieśpiesznie,



migotliwie iskrząc się w słońcu, a na przeciwnym brzegu, na tle wstęgi zjazdu z Trasy Zamkowej, wznosiły się całkiem monumentalne zabudowania Wałów Chrobrego.

– To te Hakenterrasse? – Jamie odwrócił się i spojrzał na Johanna pochłaniającego właśnie kanapkę z pomidorem.

– Wały Chrobrego – odpowiedział z pełnymi ustami, łamiąc sobie język, Johann. – Hakenterrasse to były, jak defilowały tutaj oddziały Hitlera.

– Nie mów z pełnymi ustami, kochanie – odezwała się Gwen.

– To niech on nie zadaje głupich pytań.

– Pierwszy raz tu jestem. – Jamie spojrzał na niego z urazą. – To nie jest żadne głupie pytanie.

– Większość twoich pytań jest głupia – zaripostował Dermot i zarechotał.

Gwen przewróciła oczami i żałując, że się odezwała, sięgnęła po kubek z kawą.

Jamie nagle sobie o czymś przypomniał.

– Słyszeliście te strzały w nocy? Obudziły mnie. Musiała być jakaś druga godzina.

– Ja nic nie słyszałem – mruknął Dermot. – Pewnie znowu masz omamy. Tym razem słuchowe.

– Sam masz omamy, głąbie.

– To nie omamy. Ja też słyszałam – odezwała się Alice, przebijając się przez śmiechy przyjaciół. – Trochę po pierwszej, a nie druga. Chyba z pięć ich było.

– No właśnie! – Jamie spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Tam jest jakaś budowa. – Johann spojrzał w kierunku nabrzeża, przy którym stał jacht. – Może coś tam robią.

– Bardziej mnie interesuje, co my będziemy robić – odezwał się Rupert, sięgając po cieniutkie plasterki sera. – Idziemy na miasto?

Johann pokręcił głową.

– Czekamy na Igora. Umówiłem się, że wpadną tutaj z Pauliną. Tylko że oboje muszą się urwać z pracy.

– Paulina pracuje tutaj niedaleko. – Gwen odwróciła się i machnęła ręką w kierunku mającego pomiędzy filarami Trasy Zamkowej biurowca. – Pokazywała mi, jak byliśmy tutaj na wiosnę.

– To mniej niż pięć minut drogi stąd, nawet nie musi zmieniać butów. – Jamie odstawił kubek na stół, sięgnął po plasterek salami i wsadził sobie do ust.

– Blee. – Rupert się skrzywił. – Jak ty możesz to jeść?

– Nie każdy musi być weganinem.

– Jestem wegetarianinem.

– Jakich butów nie musi zmieniać? – zapytała Gwen, patrząc ze zdziwieniem na Jamiego.

– No kobiety przecież przebierają się w szpilki w pracy, a jak idą do domu, to wkładają adidas.

– Hostessy chyba – zauważyła Alice.

– Paulina jest dziennikarką. – Gwen popatrzyła na Jamiego z ironią. – Po co miałyby się męczyć w redakcji w szpilkach?

– Żeby oszałamiająco wyglądać – mruknął zza wielkiego kubka Dermot. – I zbić z pantałyku jakiegoś rozmówcę.

– Niewiele potrzeba, jak widzę, żeby cię zbić z pantałyku.

Johann pokręcił głową z pobłażliwym uśmiechem. Prawie każda rozmowa w tym towarzystwie tak wyglądała. Żeby porozumieć się w jakiejś merytorycznej kwestii, trzeba było rezerwować dwa razy więcej czasu niż w normalnych okolicznościach.

Przypomniał sobie Paulinę w dniu, gdy ją poznał. W hotelu przy Wałach Chrobrego, nawet było chyba stąd widać ten hotel na nabrzeżu. Miała na sobie dzinsy i wcale nie musiałyby wkładać szpilek, żeby zbić kogoś z pantałyku.

Na schodach na niższy pokład pojawił się nagle uśmiechnięty od ucha do ucha Patrick.

– Macie państwo gości – oznajmił i wykonał dworny ruch ręką w kierunku schodów.

Po chwili ukazała się na ich szczycie Paulina we własnej osobie, a zaraz za nią Igor.

– Słyszałam co nieco. – Uśmiechnęła się zjadliwie.

Momentalnie zrobiło się wielkie zamieszanie. Wszyscy zerwali się od stołu i rzucili na powitanie dwojga przybyszów.

– Zjecie z nami śniadanie? – spytała Gwen, gdy już wszyscy się wyściskali. – Przepraszamy, że nie poczekaliśmy, ale nie powiedzieliście, kiedy dokładnie wpadniecie, a bez śniadania to tutaj wybuchłyby zaraz zamieszki.

– Czemu akurat na mnie patrzysz? – pieklił się Jamie, robiąc urażoną minę.

– Boże, zjemy z przyjemnością. – Paulina odsunęła krzesło i usiadła przy stole. – Jestem strasznie głodna, jeszcze nic dzisiaj nie jadłam.

– Jakie macie plany? O której kończycie? – spytał Johann.

– Ja mam spotkanie o dwunastej, potem tylko wpadnę do domu, przebiorę się i jestem cały twój! – powiedział z uśmiechem Igor. – Wasz! – poprawił się, patrząc na wszystkich pozostałych.

– Ja niestety muszę siedzieć w redakcji do szesnastej. – Paulina była niepokieszona.

– No to trudno! W takim razie my widzimy się tutaj na podwieczorku. – Johann uśmiechnął się szeroko do Pauliny. – A ty nam pokażesz miasto. – Klepnął Igora po ramieniu.

– Nie udało mi się niestety wziąć tych dwóch–trzech dni wolnych. – Paulina się skrzywiła. – Mamy nową naczelną, a to straszna zołza.

Na schodach rozległ się stukot kroków i u ich szczytu pojawił się wystrojony w granatowy mundur kapitan. Podeszedł bliżej i rozpromienił się na widok Igora.

– Artjom! – krzyknął Igor i zerwał się od stołu.

Gdy wywinął się w końcu z niedźwiedziego uścisku Łotysza, odsunął się na odległość ramion i spojrzał na niego z uznaniem.

– Ten angiolski mundur bardziej ci pasuje niż ruskie marynarskie łachy.

– No ba, też tak myślę. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie pomyślałbym, że kiedykolwiek dostanę taką robotę – powiedział i uśmiechnął się do stojącego za nimi Johanna. – W dodatku u prawdziwego kniazia – dodał.

– Taki z niego kniaź, jak ze mnie ta twoja hostessa – odezwał się z tyłu Jamie, spoglądając na Alice.

– Jaka moja hostessa? – Alice znieruchomiała nad kubkiem z kawą.

– Ta twoja w szpilkach.

– Jezu, nie możecie jeść tego śniadania zamiast gadać? – wtrącił się Rupert. – Potem będą jeszcze godziny przebierania i w końcu zejdziemy na ląd po obiedzie, bo w międzyczasie Jamie zrobi się znowu głodny i nie będzie można go wyciągnąć z kambuza.

– Czyli wszystko jak zwykle – podsumowała filozoficznie Gwen.

Igor patrzył na Artjoma i myślał, jak nieprzewidywalnie potrafi się układać życie. Artjom Zetlers, kiedyś oficer rosyjskiej marynarki wojennej, a potem członek załogi pewnego kutra na usługach wysoko postawionego rosyjskiego generała. Gdyby nie on, kto wie, czy życie ich wszystkich, jak tutaj siedzą, w ogóle nadal by trwało, nie mówiąc o tym, czy jakoś by się układało.

A teraz znowu płyną dokładnie w to samo miejsce, gdzie zupełnie przypadkowo znaleźli wrak legendarnego okrętu i wpadli w łapy rosyjskiej mafii.

Opatrzność. Albo fatum.

Od strony Łasztowni dochodził odgłos pracujących na sąsiedniej budowie dźwigów i odgłosy krzątania przy budzących się właśnie do życia restauracjach na bulwarach.

Piotr starał się jakoś przekonująco markować pracę. Właściwie to nie było ku temu żadnego powodu, pracował przecież na zlecenie, a dwa powierzone mu artykuły sponsorowane już skończył. I tak nie miał co robić, dopóki nie dostanie nowego tematu. Ale bał się ostentacyjnie buszować w internecie, bo Przeworska gotowa zaczęła mu naliczać opłaty

za prąd i wi-fi. I to wcale nie było takie nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę to, co się ostatnio tutaj działo. Sytuacja w ich redakcji zaczynała jako żywo przypominać sytuację w kraju. Gdy wydawało się, że coś jest absolutnie nieprawdopodobne i niemożliwe, następnego dnia wchodziło w życie.

Godzinę temu Paulina wyszła na tak zwaną chwilę, prosząc go, żeby każdego, kto będzie o nią pytał, informował, że poszła na spotkanie z informatorem. W sprawie rysującego się ciekawego tematu oczywiście. Nie bardzo wiedział, jak takie tłumaczenie przyjmie Przeworska, ale na szczęście jak do tej pory nie zainteresowała się nieobecnością Pauliny. A wprost przeciwnie. Była zajęta zupełnie czymś innym.

Widział, że działo się u niej coś ciekawego. Jakies pół godziny temu naczelna zawołała Ulkę i teraz obie żywo o czymś dyskutowały, przy czym Przeworska wyglądała na mocno wzburzoną. Kątem oka obserwował sytuację za szklanym przepierzeniem i miał wrażenie, że obie nie są zbyt szczęśliwe. Czy to możliwe, że miało to coś wspólnego z wydarzeniami w katedrze i w porcie?

Pięć minut temu sprawdził dokładnie cały internet, ale nie było żadnych nowych wiadomości na ten temat. Może naczelna dostała cynk z nadzoru budowlanego? Albo prokuratury? Paweł miał w tej ostatniej jakieś doświadczenia. Może Przeworska też je wykorzystuje.

Piotr pochylił się nad klawiaturą i ponownie wszedł na Facebooka. Jeżeli wydarzyło się coś ciekawego, to tu najprędzej się o tym dowie. Prześlizgnął się wzrokiem po najnowszych wiadomościach, zajrzał na fanpejdze gazet, na popularne portale i na tablice kilku dziennikarzy. Nigdzie nie było niczego, co uzasadniałoby ten tajny spisek w krypcie Przeworskiej. W końcu odpuścił zrezygnowany.

Może w ogóle chodziło o coś innego? Niezwiązanego z tym tematem ani w ogóle z redakcją. Spojrzał dyskretnie w kierunku szklanej ściany, oddzielającej główną salę od aneksu Przeworskiej. Naczelna stała obok biurka, a Ulka najwyraźniej coś do niej mówiła. I gdy tak zezował w ich kierunku, nagle Ulka odwróciła się i wskazała ruchem głowy ich kąt. Przeworska podążyła za jej wzrokiem, a Piotr o mało nie dostał zawału.

Gwałtownie odwrócił się do swojego monitora i wbił wzrok w ekran. Nic na nim akurat nie było, ale zorientował się dopiero po dłuższej chwili. Walnął palcem w klawiaturę i szybko otworzył swój ostatni tekst. Ściągnął brwi i udawał wyjątkowe wręcz skupienie.

A to małpa z tej Ulki. Wyraźnie zauważył, że gdy ich wzrok się spotkał, przez krótką chwilę wyglądała, jakby ją na czymś przyłapano. Najwyraźniej coś tam nagadała na niego albo Paulinę.

Starał się nie patrzeć w stronę aneksu, licząc na to, że na cokolwiek się tam zanosilo, to go jednak ominie. Po chwili jednak sam siebie zbeształ za takie myślenie. Zachowuje się jak typowa ofiara mobbingu, a nawet tutaj przecież oficjalnie nie pracuje. Podniósł głowę i spojrzał zuchowato w kierunku szyby.

Ale tym razem na niego nie patrzyły. Siedziały obok siebie, a Przeworska mówiła, najwyraźniej pokazując coś Ulce na tablecie.

Piotr spojrzał na zegar. Właśnie mijała dziesiąta. Paulina powinna już wrócić, bo jeszcze jakaś bieda z tego będzie.

Chciał sięgnąć po komórkę, ale w tym samym momencie usłyszał dźwięk przychodzącej wiadomości. Powiadomienie o nowym poście na stronie.

Pochylił się nad laptopem i otworzył folder.

Przez moment wpatrywał się w treść krótkiego ogłoszenia na stronie prokuratury okręgowej, usiłując przyswoić sobie treść, po czym dotarli do niego nagle wszystkie implikacje tego faktu.

Sięgnął po telefon i wybrał numer.

Patrick dyskretnie zebrał talerze ze stołu, wymienił termosy z kawą i herbatą na nowe oraz postawił dwa dzbanki ze świeżymi sokami, a następnie cicho i niezauważalnie ulotnił się jak duch.

Johann roześmiał się na wspomnienie historii pewnego starego obrazu, który odnalazł się w galerii jego ojca i który anonimowo podarował Szczecinowi. Portret wisiał dzisiaj w muzeum na Staromłyńskiej i wciąż wzbudzał niesłabnące zainteresowanie. Bezskutecznie próbowano znaleźć tego, kto przysłał niezaadresowaną paczkę i oddał miastu wart kilkaset

tysięcy złotych obraz znanego malarza renesansu. Koncepcje mnożyły się w mediach jak króliki. Oscylowały od porachunków gangsterów, którzy pozbyli się w ten sposób problemu, po nazistowskiego filantropa, który gdzieś z Brazylii, dręczony wyrzutami sumienia zdecydował się zadośćuczynić swojemu ojczystemu miastu za zbrodnie narodu.

– To dzisiaj obowiązkowy punkt zwiedzania – oświadczył Igor i śmiejąc się, sięgnął po szklankę z sokiem. – A potem podziemia pewnej kamienicy, gdzie ja, Paulina i Johann szukaliśmy skarbów loży masońskiej. Musicie w końcu zobaczyć, gdzie się zaczęła nasza znajomość. – Spojrzał na resztę towarzystwa.

– I nasze fatum – wtrąciła Paulina. – Zawsze jak czegoś szukaliśmy, to znajdowaliśmy zupełnie co innego.

– Sedinum Exploration dopiero zaczyna działalność – odezwał się Johann. – Jeżeli uda nam się z tym okrętem, to przez resztę życia będziemy mogli zajmować się czymkolwiek.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę płyniemy na te poszukiwania. No i że naprawdę widziałem ten okręt ze skarbami – dodał Igor i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Cały czas mam wrażenie, że to jakiś sen.

– Teoretycznie może się okazać, że to jednak był sen. – Alice spojrzała na niego przekornie. – Po raz pierwszy nurkowałeś na taką głębokość...

– Zgubiłeś się na dole – wtrącił Dermot. – Oddychałeś za długo mieszkankami gazów dennych, które mają silne działanie narkotyczne.

– Ponadto większa ilość tlenu w mieszkankach powoduje, że z jednej strony wolniej się męczysz – kontynuowała Alice – ale z drugiej, zaczynasz być bardziej pewny siebie i wpadasz w taką narkotyczną autofilię.

– W najczarniejszym scenariuszu może się okazać, że to, co wzięłeś za piracką kogę króla Eryka, było jakimś starym wrakiem barki albo kutra. –

Dermot pokiwał głową z udawaną rezygnacją. – A kufry pełne skarbów były skrzyniami pełnymi śmieci.

– Przemawia przez was taki optymizm, że aż zrobiło mi się gorąco z emocji – zakpił Igor.

– Poza tym zapominacie, że ja też to wszystko widziałem – dodał Johann.

– Też zostałeś za długo na dnie – kontynuował Dermot. – Żeby go szukać w dodatku, czyli do narkotycznego działania gazów doszły nerwy i tym samym szybsze wchłanianie tlenu, a co za tym idzie, zwielokrotnienie tych objawów. No co się tak patrzysz?

– Zaczynam żałować, że was zabraliśmy, nie, Igor? – Johann uśmiechnął się porozumiewawczo do przyjaciela.

– To prawda, co oni mówią? – Jamie spojrział na Ruperta.

Rupert wzruszył ramionami.

– Oj, już skończcie z tym! – zniecierpliwiła się Gwen. – Nie ma co się martwić na zapas.

Ten wątek rozmowy efektownie zakończył motyw ze znanego kawałka Y.M.C.A., który zabrzmiał nagle w torebce Pauliny.

– Piotruś! – Paulina nerwowo szarpnęła za zapięcie, wyciągając telefon. – Boże! Muszę już lecieć! Zapomniałam przez was, że jestem w pracy.

Poderwała się od stołu i z telefonem przy uchu nagle znieruchomiła, wpatrując się w przestrzeń. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Joas wysiadł z windy na ostatnim piętrze ponurego ceglanego bloku przy Dronningens Tværgade i odetchnął. Jeszcze tego brakowało, żeby miał się denerwować przed konfrontacją z własnym synem. Ale się denerwował.

Na końcu korytarza przez kwadratowe okno padała na posadzkę smuga światła. Nie wiedział, skąd się biorą zachwyty nad tą architekturą. Dla niego była ciemna, ponura i przytłaczająca. Przeszedł krótki korytarz i stanął przed brązowymi drzwiami, w których tkwił okrągły, stylizowany na koło sterowe judasz.

Przez chwilę się wahał, po czym zacisnął szczęki i przycisnął dzwonek. Usłyszał, że w mieszkaniu rozlega się przeciągły świdrujący dźwięk. Odczekał dłuższą chwilę i ponowił próbę.

Nie było możliwości, żeby ktoś w środku nie usłyszał tego dzwonka.

Joas stał przez chwilę, wpatrując się w ciemne drewno, i czuł się coraz bardziej głupio. Miał wrażenie, że tuż obok, za drzwiami innych mieszkań, czają się sąsiedzi i wpatrują w jego plecy. Celowo nie użył domofonu na samym dole. Udało mu się wejść do budynku starym i znanym chyba pod



każdą szerokością geograficzną sposobem. Wcisnął naraz kilka dzwonek i poczekał, aż ktoś otworzy drzwi, nie dopytując, kto za nimi stoi.

Chciał zaskoczyć syna i nie dać mu tych kilku minut potrzebnych na przejazd windą siedmiu kondygnacji, podczas których uzbroiłby się w to swoje typowe, irytujące zblazowanie i nabrał odporności na jakiegokolwiek argumenty.

No ale najwyraźniej go nie było.

I co gorsza, nikt nie widział go od soboty. Zadzwoił nawet do jego dziewczyny, nie miał wprawdzie pewności, czy to aktualna, była, czy dopiero ewentualna dziewczyna, ale jej numer dostał od jego kolegów z pracy. Swoją drogą, co oni mogli sobie pomyśleć. Ojciec dzwoni i pyta, czy mają jakiś kontakt do syna. Za chwilę zaczną się plotki.

Zły na siebie, że ulega, jak zwykle zresztą, żonie, która była prawdziwą mistrzynią zamartwiania się na zapas, wcisnął guzik dzwonka po raz trzeci i gdy znowu nie było reakcji, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do windy.

Oczywiście cieszyło go, że Marie tak się przejmuje swoim pasierbem i traktuje go jak własnego syna, ale to już był dorosły facet, na miłość boską.

Na dole przypomniał sobie jeszcze, że syn lubił, niezapowiedziany, wpadać do stryja.

Ale jak ma, do diabła, bez wywołania od razu rodzinnego pandemonium, zapytać brata o to, czy nie wie przypadkiem, gdzie od soboty może się podziewać jego syn?

Wyszedł z budynku prosto na stojącego przy samochodzie, wyprostowanego jak struna kierowcę, który uklonił się i bez słowa otworzył mu drzwiczki.

Paulina szybkim krokiem szła bulwarem, wpatrując się jednocześnie w ekran komórki. Zdawała sobie sprawę, że to najlepszy sposób, żeby wpaść na latarnię albo wyłożyć się na tych kamiennych inkrustowanych drobną kostką płytach. Na szczęście o tej porze przechodziły tędy tylko niewielkie grupki turystów, miała więc duże szanse dotrzeć do redakcji bezpiecznie.

Usiłowała znaleźć coś na forach i profilach dziennikarzy, co rzuciłoby światło na decyzję prokuratury, ale nikt niczego jeszcze nie napisał. Widać wszyscy wiedzieli tyle samo co ona i Piotruś.

Oświadczenie w sprawie katastrofy budowlanej. Tak to zostało ujęte. Ale dlaczego w takim razie nie nadzór, ale prokuratura zwołuje konferencję prasową? Nadzór tak szybko niczego nie oświadcza w takich sytuacjach. Procedura badania wypadku, projektu, zabezpieczeń, montażu rusztowania i tak dalej będzie trwać jeszcze z miesiąc co najmniej, zanim cokolwiek powiedzą. W przypadku innych tego typu zdarzeń pierwsze miarodajne informacje pojawiały się nawet po roku. W przypadku katastrofy na zamku trzeba było czekać jeszcze dłużej. Nie była też pewna, czy nadzór budowlany w ogóle urządza jakiegokolwiek konferencje prasowe.

Ale tutaj zginął człowiek, może więc to był powód?

Przed zejściem na ląd z Pandory zdążyła w kilku słowach opisać wszystkim ostatnie wydarzenia w mieście, co skomentował Jamie, mówiąc, że Greta Thunberg jest poza wszelkimi podejrzeniami, bo od miesiąca przebywa akurat w Stanach.

Telefon oderwał Paulinę od rozmyślań. Y.M.C.A.

– Już jestem prawie na miejscu – warknęła, słysząc podenerwowany głos Piotra.

– Nie w tym rzecz. Słuchaj, właśnie się dowiedziałem, o co może chodzić. Prokuratura prawdopodobnie zamierza wydać oświadczenie w sprawie udziału osób trzecich w katastrofie, tak to ktoś mądrze ujął. Takie oświadczenie ma się także pojawić w necie u nich. Konferencja to pewnie formalność, i tak niczego nie zdradzą dla dobra śledztwa. To pewnie dlatego Przeworska spiskowała tutaj z Ulką. Wyszło jednak na nasze. Ale widzę, że Ulka się nigdzie nie wybiera.

– Piotruś. – Paulina rozejrzała się w obie strony i przebiegła jezdnię. – To Ulka się tym zajmuje i to jej decyzja.

– Przeworska wyszła pięć minut temu, ale powiedziała, że idzie na jakąś konferencję marszałka w sprawie funduszy czy czegoś tam.

– No i co z tego?

– To się nie dowie, jak skoczymy na tę konferencję.

– Chyba zwariowałeś! W końcu oboje nas wywałą. Poza tym rzadko to mówię, ale rzeczywiście tym razem masz rację. W tej sytuacji na konferencji niczego więcej się nie dowiemy.

– Ale co szkodzi?

– To, że jak Ulka albo naczelna się dowiedzą, to znowu będzie piekło.

– Ulka siedzi i coś pisze, a Przeworska wyszła, jak mówiłem. Lecę na dół i jedziemy. To nie będzie trwało dłużej niż dwadzieścia minut.

– Piotr! Parkowanie tam będzie trwało dwadzieścia minut.

– Już schodzę.

Paulina skręciła z placu Zwycięstwa w Potulicką i zwolniła, rozglądając się za jakimś wolnym miejscem.

– I tak to właśnie wygląda – rzuciła do Piotra, który siedział wpatrzony w ekran tabletu.

– Na temat zamachu w porcie pojawiają się coraz bardziej kretyńskie komentarze – stwierdził, nie podnosząc głowy. – Na przykład, że to porachunki mafii ukraińskiej.

– Jak widzisz, cały czas mało kto wiąże ze sobą wydarzenia z katedry i w porcie. – Paulina gwałtownie zahamowała i zaczęła powoli cofać. Kilka metrów za nimi, pomiędzy zieloną skodą a mercedesem, widać było jedno wolne miejsce.

Paulina chwyciła torebkę i wysiadła. Na zewnątrz Piotr stał już obok samochodu i wyciągał do niej rękę z jakimś kolorowym szmaciakiem.

– Co to jest? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czapki z daszkiem. Wziąłem od informatyków. Jak tam będzie telewizja, to ktoś nas potem może rozpoznać.

Paulina przez chwilę patrzyła na Piotra i nie kryjąc irytacji, chwyciła czapkę.

Po chwili biegli do głównego wejścia gmachu prokuratury, nad którym, ukryta za toskańskimi kolumnami, witała ich płaskorzeźba przedstawiająca świętego Jerzego zabijającego smoka.

W holu zebrała się już spora grupa dziennikarzy i reporterów – uzbrojeni w mikrofony i kamery czekali na rzeczniczkę. Gdy od strony pierwszego piętra rozległ się stukot kroków, rozmowy ucichły, a cała grupa przesunęła się w kierunku schodów. Po chwili na ich szczycie pojawiła się ubrana w szarą garsonkę kobieta.

Rzeczniczka zatrzymała się na podeście i z brązowej teczki wyjęła jakiś dokument.

– Dzień dobry państwu. W piątek na terenie portu miał miejsce tragiczny wypadek – przeszła od razu do rzeczy. – W wyniku zaważenia się rusztowań przy budynku portowej straży pożarnej jedna osoba zmarła w szpitalu, a dwie inne nadal znajdują się pod opieką lekarską. Ich stan na szczęście jest całkowicie stabilny. Równoległe z naszym postępowaniem trwają procedury budowlane prowadzone przez Wojewódzki Inspektorat Nadzoru Budowlanego, który bada okoliczności katastrofy.

Rzeczniczka spojrzała do swoich notatek i mówiła dalej.

– Prokuratura okręgowa wszczęło śledztwo z uwagi na domniemaną zbieżność wypadku z wydarzeniami, które miały miejsce dwudziestego szóstego lipca w szczecińskiej katedrze Świętego Jakuba, w sprawie której to... w sprawie których – na moment się zgubiła – w sprawie których to wydarzeń prokuratura prowadzi odrębne postępowanie.

– Mówiłam ci, że ta konferencja to formalność. – Paulina syknęła do Piotra, naciągając głębiej na czoło czapkę z daszkiem i dyskretnie rozglądając się po wnętrzu holu. Poznała dziennikarza z „Wyborczej”, parę osób z portali internetowych i dziennikarkę ze szczecińskiej telewizji.

– Przeprowadzone czynności śledcze w sprawie... co do wydarzeń w katedrze... – rzeczniczka, wyraźnie zdenerwowana, spojrzała na trzymany w ręku dokument – wykazały w zachowanych resztkach torby, którą umieszczono w sklepieniu kościoła, obecność azotanu amonu.

Przez hol przebiegł cichy szmer.

– Azotan amonu jest związkiem chemicznym z grupy saletr wykorzystywanym jako nawóz sztuczny...

– Przede wszystkim jest składnikiem wielu materiałów wybuchowych. – Dziennikarz „Wyborczej” wyciągnął swoją komórkę w kierunku

rzeczniczki.

– To prawda... – potwierdziła rzeczniczka i zajrzała do swoich notatek.  
– Wykorzystuje się go także do produkcji tanich i bezpiecznych materiałów wybuchowych stosowanych w górnictwie i przy robotach...

– Z użyciem saletry produkuje się ANNM, najsilniejszy materiał wybuchowy, jaki można uzyskać z azotanów – odezwała się dziennikarka jednego z portali internetowych. – Wystarczy zajrzeć do Wikipedii. Nie mówiąc o tym, że azotan amonu jest wykorzystywany do budowy torped i bomb.

– Proszę państwa. – Rzeczniczka, która, jak widać, nie spodziewała się, że pismacy przyjdą przygotowani, całkiem straciła rezon. – Proszę państwa, proszę mi dać dojść do słowa!

– No i co? No i co? – Rozgorączkowany Piotr szturchnął Paulinę. – Nie mówiłem, że warto tu przyjść! Kurde, szkoda, że nie ma z nami Macieja. Paweł to pewnie pozwoliby nam zrobić film na nasz portal...

– Cicho bądź! – zgromiła go Paulina, wpatrując się w rzeczniczkę. Zaczynała się domyślać dalszego ciągu jej wypowiedzi.

– Proszę państwa, jak powiedziałam, w katedrze zastosowano śladowe ilości tego środka. Na obecnym etapie śledztwa nie można stwierdzić, że zamiary osób, które stały za tym... – rzeczniczka odkaszlnęła – głupim żartem, były poważniejsze.

– Azotan amonu został wykorzystany przy zamachu na World Trade Center! – przeczytała dziennikarka z logo „Kuriera Szczecińskiego” na mikrofonie i podniosła telefon do góry, pokazując rzeczniczce.

W holu momentalnie wybuchł harmider.

– Ja pierniczę! – zaklął cicho Piotr, który z fascynacją obserwował rosnące zamieszanie.

– Proszę państwa! – Zdenerwowana rzeczniczka przestąpiła z nogi na nogę. – Proszę państwa! Proszę państwa! – krzyknęła i walnęła brązową tęczką w balustradę.

Hałas odrobinę ucichł, a zgromadzeni w holu dziennikarze ponownie spojrzeli na kobietę.

– Pani redaktor! Chodzi o zamach z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego, w którym zginęło sześć osób! A wybuchła wtedy ciężarówka wypełniona prawie tysiącem kilogramów azotanu amonu! Jest różnica pomiędzy tysiącem kilogramów a śladową ilością!

– Czy sześć osób to za mało?!

– Ja nie twierdzę, że za mało. Ale pani usiłuje tutaj robić sensację, że te wydarzenia mają coś wspólnego z zamachem...

– No przecież to był zamach! – przerwał jej dziennikarz „Wyborczej”. – Celem zamachowców było wtedy naruszenie fundamentów budynku, a nie zabicie sześciu osób. Tyle że im się po prostu nie udało. Prokuratura lekceważy realne niebezpieczeństwo.

– Niczego nie lekceważymy! – Rzeczniczka przymknęła na chwilę oczy.  
– Jak powiedziałam, prowadzone jest dochodzenie, także w kierunku możliwości udziału osób trzecich...

– W katedrze? To przecież chyba oczywiste!

– Bardzo proszę nie robić niepotrzebnej paniki! Mam na myśli wydarzenia w porcie, od których zaczęłam. Więc wracając do wydarzeń w porcie...

Harmider ucichł i w holu rozlegały się tylko pojedyncze głosy.

Rzeczniczka pochyliła się nad notatkami.

– W szczątkach rusztowania zostały odnalezione pojemniki i torby z różnymi środkami chemicznymi. Z informacji uzyskanych od wykonawcy robót wynika, że prace konserwatorskie przy konserwacji elewacji i detalu architektonicznego zabytkowego budynku portowej straży pożarnej wymagały użycia specjalistycznych preparatów...

– Nie wierzę. – Piotr szturchnął Paulinę. – Słuchaj teraz!

– Cicho! – ofuknęła go Paulina.

– Nie ma jak na razie dowodów na to, że te dwie sprawy może coś ze sobą łączyć...

– Czy znaleziono tam azotan?! – krzyknął ktoś z głębi holu.

– Co z listem od zamachowców?!

– W jednym z plecaków znaleziono ślady azotanu amonu – dokończyła bohaterka rzeczniczka i wzięła głęboki oddech, a w holu znowu wybuchł jazgot.

– Jeszcze raz powtarzam! – Kobieta usiłowała przekrzyknąć dziennikarzy zadających pytania jeden przez drugiego. – Na razie nie ma żadnych dowodów na jakikolwiek związek tych dwóch spraw. Informacje o resztkach kwiatów znalezionych na budowie nie zostały jednoznacznie potwierdzone!

Komórka Pauliny nagle zapiszczała, a zaraz potem taki sam dźwięk wydał telefon Piotra.

– No to pięknie! – jęknęła Paulina. – Pewnie w redakcji nas nakryli.

Wyjęła telefon. Obok niej Piotr z dziwną miną wpatrywał się w ekran swojego smartfona. Przeczytał wiadomość raz, potem drugi, ale był tak zdenerwowany, że nie mógł skupić się na treści.

– Boże! – szepnął i spojrzał na Paulinę. – Heiland!

Paulina stała ze wzrokiem wbitym w swoją komórkę.

Wiadomość od Zbawiciela Świata.

Nagle wokół nich zapiszczały inne telefony, a wszyscy dziennikarze, jeden po drugim, zaczęli sprawdzać pocztę i nawzajem się przekrzykiwać.

\*

Myślał, że to będzie trudniejsze. Że wejście do kościoła będzie wymagało więcej zachodu, że na rusztowaniach ktoś go zauważy i w ostatniej chwili będzie musiał improwizować albo co gorsza zrezygnować ze swojego planu. Nie chciałby tego, sporo się napracował przy zorganizowaniu wszystkiego, no i bardzo go to bawiło. Myśl o tym, jak powoli ta błazenada będzie się rozkręcała, jak będzie się pojawiał strach i rosło napięcie, była bardzo podniecająca. Miał nadzieję, że uda mu się skłonić jak najwięcej ludzi do jakichś ekstremalnych zachowań. Już teraz czuł przyjemne mrowienie na myśl o tych megabajtach komentarzy w mediach, które będą się powoli rozkręcać.

Gdy był dzieckiem, w lesie niedaleko domu, w którym mieszkał z matką i ojczymem, trafił kiedyś na mrowisko.

Spory kopiec, wokół którego uwijały się przy swoich codziennych obowiązkach tysiące malutkich mrówek. Doskonale zorganizowana społeczność, z przydzielonymi ściśle określonymi zadaniami. Każda z mrówek doskonale znała swoją rolę i była malutkim trybikiem, który niezawodnie działał w tej kopiastej maszynie.

Złapał wtedy jakiegoś robaka i wrzucił pomiędzy maszerujące w różne strony mrówki. Widział, jak grupy stworzonek dostosowują się błyskawicznie do sytuacji, ustawiają w szeregach i okrążają nieszczęsnego żuka.

Tak samo było, gdy wrzucał tam kamień albo patykiem rozgrzebywał fragmenty kopca. Społeczność mrówek błyskawicznie się organizowała, naprawiała szkody, usuwała zwłoki swoich ziomeków. Wszystko działało bez zarzutu.

Ale to, co najbardziej go podniecało, to fakt, że stał tam obok i mógł oto decydować o istnieniu całej tej społeczności. Jak demiurg, który jest w stanie nie tylko poplątać ścieżki tych stworzeń, ale i jest panem ich życia i śmierci. Niezależnie od tego, jak pracownicy będą naprawiać te drobne szkody, które im wyrządzał, jak będą wszystko porządkować, jak się organizować, żeby zapobiec stratom, to i tak to on decydował o ich istnieniu.

Nie zrobił tego wtedy. Wtedy jeszcze nie. Zresztą to było częścią planu. Świadomość, że jest panem całej tej społeczności, tego mikroświata, i decyduje o jego losie.

Pewność, że w każdej chwili może tam wrócić ze szmatą nasączoną benzyną i ukradzionymi z kuchni zapalkami, wystarczyła mu jeszcze na długo.

Fantazje na ten temat, gdy chodził tam jeszcze przez kilka tygodni, dawały mu tyle satysfakcji, że wciąż odkładał na później to, co i tak wiedział, że prędzej czy później się stanie.

I teraz było tak samo.



## Rozdział 17

**G**dy Paulina i Piotr wrócili do siebie, w redakcji panowało zamieszanie. W aneksie Przeworskiej siedziała Ulka, Marcin i informatyk Ksawer i o czymś rozmawiali. A właściwie, jak widać było przez oszklone ściany, Ksawer z wyraźnie widoczną irytacją mówił, a pozostała trójka w skupieniu słuchała. Tak więc praktycznie nikt nie zauważył, gdy Paulina i Piotr weszli do głównej sali i wślizgnęli się na swoje miejsca.

Oprócz Baśki, która zajmowała się sprawami gospodarczymi, niekiedy polityką. Właśnie wróciła z urlopu uśmiechnięta i zrelaksowana, ale najwyraźniej zupełnie zdezorientowana nową sytuacją kadrową w redakcji.

– Matko Boska, co za babsztyl! – szepnęła porozumiewawczo do Pauliny. – Rozmawiałam z nią chwilę i już mam jej dość. Co je łączy? – spytała, zezując w stronę aneksu.

– Z Ulką? – Paulina powędrowała wzrokiem w tym samym kierunku. – Chyba się znają z jakiejś swojej przeszłości.

Baśka westchnęła.

– Mam nadzieję, że te dwa miesiące szybko miną – powiedziała rozmarzona. – Ale było cudownie. Macedonia okazała się strzałem w dziesiątkę, chociaż kiedy Bartek przyniósł foldery, uważałam, że to głupi pomysł. Ale te plaże, po prostu boskie! A poza tym niedrogo. A ty miałaś, zdaje się, iść na urlop też jakoś teraz? – Spojrzała pytająco na Paulinę.

– Od poniedziałku.

– I gdzie się wybieracie? Jak nie macie planów, to naprawdę polecam Macedonię. Pokoje można znaleźć nawet z marszu.

– Bałtyk – mruknęła Paulina, patrząc w stronę aneksu naczelnej.

– Bałtyk?! – Baśka spojrzała na Paulinę z niedowierzaniem. – Zwariowałaś?! To ten twój, jak mu tam, to wymyślił? Kto nad Bałtyk

jeździ? Bo co? Bo taniej? Wcale nie taniej.

– Mamy to już zaplanowane od dawna. – Paulina nie chciała wtajemniczać koleżanki w szczegóły ich bałtyckiej ekspedycji. Obawiała się też, że lada moment padnie pytanie o to, gdzie przed chwilą byli z Piotrem.

– Ja bym się jeszcze zastanowiła. Bałtyk to brud, smród i ubóstwo, jak mówiła moja babcia. – Baśka spojrzała na uśmiechającego się krzywo Piotra. – A gdzie właściwie byliście przed chwilą?

Paulina się zawahała. Pomyślała, że może jednak lepiej mieć Baškę po swojej stronie.

– Tylko nikomu nic nie mów – poprosiła cicho i pochyliła się nad biurkiem w kierunku koleżanki. – Byliśmy na konferencji prasowej prokuratury.

– A czemu to niby jest tajemnica? – spytała Baśka szeptem.

– Przeworska, po mojej scysji z Ulką, zabroniła nam zajmować się tym tematem. Ale nikogo tam nie posłała, bo pewnie wyszła z założenia, że nic ciekawego tam nie powiedzą.

– A powiedzieli?

– Prawdziwa jatka się zrobiła! – Paulina przypomniała sobie pandemonium, które nastąpiło po tym, jak rzeczniczka poinformowała o ładunku wybuchowym.

– No co ty? – Baśka otworzyła szeroko oczy, gdy Paulina pokrótce streściła jej przebieg konferencji. – Sądzisz, że one jeszcze o tym nie wiedzą?

– Zaraz się dowiedzą od konkurencji. Widziałam, że część dziennikarzy wysyłała newsy już stamtąd.

– Ja myślę, że Przeworska dostała cynk już rano – odezwał się Piotr. – Bo gadały o czymś z Ulką mocno poruszone. Pewnie dlatego uznała, że w prokuraturze niczego więcej się nie dowie.

Ktoś nagle zawołał Baškę z drugiego końca sali. Baśka wzniosła oczy do nieba i ruszyła do wołającej ją koleżanki.

Paulina przez chwilę za nią patrzyła.

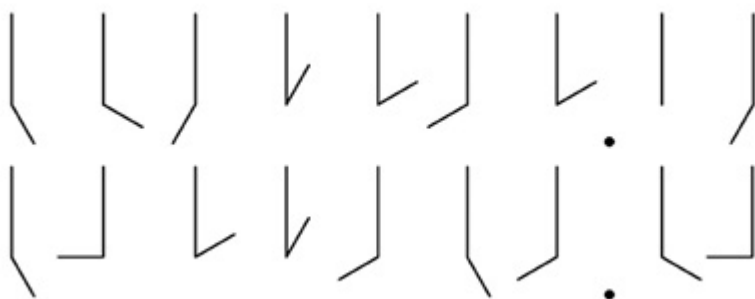
– Mam nadzieję, że się nie wygada – mruknął Piotr, spoglądając w kierunku aneksu, z którego właśnie wychodził uśmiechnięty Ksawer.

– Czekaj – rzucił do Pauliny, która zamierzała mu właśnie odpowiedzieć.  
– Pójdę go zapytać, o czym nawijali.

To mówiąc, zerwał się i pobiegł za wychodzącym z sali chłopakiem.

Paulina obserwowała, jak Piotr dopada Ksawera i obaj, śmiejąc się, wychodzą z redakcji.

Skorzystała z chwili spokoju, sięgnęła po klawiaturę i otworzyła pocztę. Na ekranie pojawiła się wiadomość, która godzinę wcześniej wywołała takie zamieszanie na konferencji prasowej w prokuraturze.



*Po co skupiać się na imigracji i wskaźniku urodzeń, gdy zmiana klimatu jest tak ogromnym problemem?*

*Ponieważ są tym samym problemem. Środowisko jest niszczone przez nadmierną populację. My, Europejczycy, jesteśmy jedną z grup, które nie zaludniają świata. Najeźdźcy są tymi, którzy zaludniają świat. Zabić najeźdźców, zwalczyć przeludnienie i ocalić środowisko.*

*Macie dwa dni, a potem siedem...*

*Heiland der Welt*

Kolejny szyfr i znowu to samo. Macie dwa dni. Znowu piątek. A potem siedem, czyli piątek za tydzień. Co to oznacza? Ta wiadomość wprawdzie nie była oczywistym i jednoznacznym dowodem, że wydarzenia w porcie są autorstwa tej samej osoby lub grupy osób. W końcu nigdzie tutaj do tego nie nawiązali, ale było mało prawdopodobne, że jest inaczej.

I znowu jakiś, tym razem nawet jeszcze bardziej enigmatyczny tekst. Czy to kolejny raz cytat?

Znowu o ekologii, ale tym razem pojawili się najeźdźcy. Oczywiście uchodźcy. Trudno w tej sytuacji nadal podtrzymywać teorie, że za tymi wydarzeniami stoją zradykalizowane dzieciaki z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. To absurd! Jak Ulka, nawet z tymi jej poglądami, może rozpowszechniać takie rzeczy? Zaraz...

Paulina stanęła w miejscu i podniosła głowę. Skądś znała te słowa z listu Heilanda. Gdzieś je słyszała albo czytała niedawno.

Co ten Jamie powiedział? Że Greta Thunberg coś tam... Że jest poza wszelkimi podejrzeniami, bo od miesiąca jest w Stanach.

Dlaczego to się jej kojarzy...

– Proszę o chwilę uwagi!

Paulina odwróciła się i zobaczyła Przeworską, która stała na środku sali i czekała, aż ucichną wszystkie rozmowy. Obok oparta o biurko sterczała nieodłączna Ulka.

– Jak wiecie, autor niewybrednego żartu z katedry przysłał właśnie kolejną wiadomość. Nie ma wprawdzie żadnych dowodów na to, że dwa wydarzenia łączą się ze sobą, ale prokuratura zdradziła dzisiaj, że w katedrze znaleziono ślady ładunku wybuchowego.

Paulina rozejrzała się po redakcji. Słowa naczelnej nie wywołały specjalnie ożywionego odzewu. Wszyscy wiedzieli już o tym z internetu.

– Jako że w mailu jest kilka wskazówek, które ten psychopata najwyraźniej celowo zostawił, chciałabym, żeby każdy się nad tym zastanowił. Pierwsza to oczywiście kod kreskowy. Co to może być? Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Przeworska rozejrzała się po redakcji, napotykając jedynie zdziwione spojrzenia.

– Nie muszę wam chyba tłumaczyć, jak cenne będzie dla gazety, gdy to my wpadniemy na rozwiązanie tych szarad.

Ponownie zlustrowała salę.

– Druga wskazówka to oczywiście podpis. Co znaczy Heiland der Welt? Rzecz jasna proste tłumaczenie to zbawiciel świata, kolejne wulgarne bluźnierstwo. Ale o co może chodzić? Urszula w zeszłym tygodniu napisała tekst na temat wydarzeń w katedrze, celnie odgadując pochodzenie słów z wiadomości. Ta dzisiejsza także może być skądś zerznęta. Chciałabym, aby każdy, kto ma jakiś pomysł, przyszedł z nim do mnie. Bez żadnych oporów, każda koncepcja może być strzałem w dziesiątkę.

– Mamy podrzucać pomysły Ulce – burknął pod nosem Piotr, który cicho wszedł na salę i schował się za swoim monitorem. – Poza tym przecież cała ta sprawa to wygłup i mieliśmy się nią nie zajmować.

– Prokuratura podała także, że dokładnie taki sam związek chemiczny, azotan amonu, znaleziono w szczątkach rusztowania w porcie – odezwała się nagle Baśka.

– Skąd o tym wiesz? – Ulka, wyraźnie zaniepokojona, spojrzała na nią czujnie.

Paulina ściągnęła brwi i opuściła głowę. Chyba Baśka nie zamierzała jej wydać. Ale Baśka była kuta na cztery nogi.

– Stąd! – Podniosła do góry tablet i odwróciła go w stronę naczelną.

Przeworska podeszła bliżej i wzięła go do ręki. Przemknęła wzrokiem po krótkim tekście z „Kurierza Szczecińskiego”.

– Napisały o tym wszystkie dzienniki. – Baśka patrzyła twardo na naczelną. – Dlaczego nie my?!

W redakcji zapadła cisza.

Przez dłuższą chwilę obie kobiety mierzyły się wzrokiem.

– Przyznaję – odezwała się w końcu Przeworska. – Zlekceważyłam temat. Po odkryciu Urszuli, że nadawca skopiował tekst z internetu, założyłam, że to głupi żart, który się błyskawicznie znudzi. Tymczasem okazało się, że temat jest rozwojowy. – Przeniosła wzrok na salę. – Dlatego tym bardziej, skoro straciliśmy na starcie, musimy dać coś naprawdę dobrego.

Paulina spojrzała na Piotra, który wzruszył z niechęcią ramionami.

– Salvator Mundi – powiedziała głośno.

Przeworska, zaskoczona, odwróciła się w jej kierunku i spojrzała, nie rozumiejąc.

– Co *Salvator Mundi*? – zapytała w końcu i uśmiechnęła się nerwowo. – Przecież dopiero co powiedziałam, że *Heiland der Welt* znaczy zbawiciel świata, religijne nawiązanie. Nudne, antyklerykalne...

– *Salvator Mundi* – powtórzyła Paulina. – Zaginiony obraz Leonarda da Vinci. Niedawno kupił go za pół miliarda saudyjski szejk Mohammed bin Salman i wywiózł do Emiratów. I obraz znowu zaginął.

W kącikach ust Przeworskiej pojawił się ślad protekcjonalnego uśmiechu.

– I co? W jaki sposób to się niby łączy?

– Najeżdźcy. Uchodźcy – powiedziała Paulina. – Zaludniają Europę. Nie wiem... Grabią naszą kulturę?

– Hmm. To znowu trochę rodem z tabloidu, nie sądzi pani? Trochę nie halo.

– Prosiła pani o pomysły. – Paulina spojrzała chłodno na naczelną. – Nikt o tym nie wspomniał, żaden dziennik ani portal. Wszyscy jak na razie skupili się na ekologii.

– Nie bez powodu być może? – odpowiedziała Przeworska z uśmiechem i odwróciła się do Pauliny plecami.

– Kochani! Ponawiam apel! Każdy pomysł do jutrzejszego wydania jest cenny! Najpóźniej w piątek musimy coś dać. Ale na portal możemy wrzucić w każdej chwili. Spróbujmy wyprzedzić o krok tego łajdaka. Gdzie może uderzyć teraz? Dał nam czas do piątku.

– A potem do kolejnego piątku – wtrąciła Baśka z ledwie wyczuwalną ironią.

– Dokładnie! Liczę na was. Dla autora najlepszego pomysłu spora premia!

Przeworska spojrzała jeszcze raz na wszystkich zgromadzonych w redakcji, po czym odwróciła się i zniknęła w swoim aneksie.

Igor wpatrywał się w rumowisko gruzu i pokierszowanego betonu wymieszanego z kawałkami stali, drewna i cegieł.

– Idealnie poszło. – Pawelczyk, uśmiechnięty od ucha do ucha, machnął ręką w rękawicy w kierunku wykopu. – Pokruszone na kawałki. Teraz to można szybciotko stąd wybrać. Większe kawały jeszcze się pokruszy młotem, ale to już drobiazg.

– Ściany fundamentowe też wytrzymały, jak widzę. – Igor pochylił się nad odsłoniętym licem ceglanej struktury.

– No a co miały nie wytrzymać? Prawie metr grubości mają. Trzeba by sporo większego ładunku użyć, żeby je naruszyć. – Pawelczyk kopnął grudkę betonu, która z łomotem wpadła do wykopu i potoczyła się po hałdzie gruzu. – No a teraz jeszcze za tydzień ten środkowy spichrz i będzie wreszcie po kłopotcie.

– Zrobiliście tam już odwierty dylatujące?

– Prawie. – Pawelczyk uśmiechnął się z zadowoleniem. – W tym środkowym spichrzu to my już dłubaliśmy na początku, zaraz po odkryciu wierzchniej warstwy, jak ten beton żeśmy znaleźli. Teraz powiększyliśmy tylko te otwory. Oczyszczyć się je z gruzu i będzie gotowe.

– A te niemieckie gadzety to gdzie właściwie były? – Igor przypomniał sobie o zaginionym chlebaku.

– No tam właśnie. – Pawelczyk spojrział w kierunku środkowego wykopu. – Chłopaki wyciągnęli je razem z jakimś żelastwem. Naszarpali się. Przy okazji, gamonie, łapy sobie poparzyli jakimś mazutem albo innym ruskim gównem. Nic im nie było, ale w poniedziałek bąble im wyskoczyły, to posłałem ich do lekarza, a ten im zwolnienie dał. I tak to właśnie jest na tej budowie, jak nie urok, to sraczka – zakończył Pawelczyk filozoficznie i westchnął.

– A ten chlebak się znalazł?

– No nie. Przeszukaliśmy oba baraki. Nigdzie nie ma. Ale wie pan co? – Pawelczyk spojrział na Igora. – Ja to sobie myślę teraz, że to pan Szymon musiał go zabrać. To jedyne wytłumaczenie. Nikt inny, poza mną i panem Jarostem, nie miał dostępu do tego baraku.

– No tak, szkoda. – Igor zeskoczył z korony muru na trawę i sięgnął do kieszeni po telefon.

– Kiedy wywalicie stąd ten gruz? – Wskazał pokruszone wnętrze spichlerza. – Tak, żebym mógł przysłać chłopaków na resztę pomiarów?

– Sądzę, że w piątek będzie czysto.

Igor kiwnął głową i wybrał numer jednego ze studentów.

Piotr wychylił się zza swojego monitora i spojrzał na Paulinę, która w odpowiedzi podniosła tylko pytająco brwi.

– Po co w ogóle wspominałaś o tym obrazie? – zapytał.

– Żeby wykazać dobrą wolę – wyjaśniła Paulina. – Ale moja babcia zawsze powtarzała, że tak już jest w życiu, że każdy dobry uczynek prędzej czy później zostanie przykładnie ukarany.

– Twoja babcia była mądrą kobietą, ale ja bym to ujął inaczej. Bez filozofowania. Przeworska to ograniczone tępe babsko.

– Nieważne. – Paulina machnęła ręką. – Leonardo to i tak najprawdopodobniej zupełnie postronny wątek, bez znaczenia dla sprawy. A właśnie – przypomniała sobie. – Zaczęłaś ostatnio coś mówić o tym obrazie, ale ci przerwałam. O co chodziło?

– Ano tak – podjął Piotr. – Czytałem, że eksperci mają poważne wątpliwości, czy ten obraz, który został sprzedany za pół miliarda dolarów, to naprawdę autentyczne dzieło Leonarda. Rzekomo nie wystawiono go w tym arabskim Luwrze w Abu Zabi i nie sprowadzono na wystawę do Paryża właśnie dlatego, że saudyjski książę połapał się, że kupił podróbkę i wszystko wyszło na jaw.

– To w dalszym ciągu nie ma nic wspólnego z zamachami bombowymi w Szczecinie.

– A skąd właściwie ta pewność? – z namysłem zapytał Piotr i spojrzał na Paulinę.

– No w sensie, że ci, którzy stoją za zamachami, może i mają jakąś z tym związaną swoją, pomyloną ideologię...

– Jestem ostatnio uczulony na słowo ideologia.

– No to filozofię, niech będzie. Ale to wszystko. Nie sądzisz chyba, że ten obraz fizycznie ma z tym jakiś związek?



– Przyszłoby ci do głowy kilka miesięcy temu, że za wypadkiem na promie stoi *Most Waterloo* Claude’a Moneta?

Paulina pomyślała, że gdyby wiedziała wcześniej, jak się skończy afery z promem, to w tamten piątkowy wieczór zostałyby w domu zamiast łączyć z koleżankami po nocnych klubach.

– Co ci powiedział Ksawer? – Przypomniała sobie o misji Piotra do jaskini informatyków.

– A właśnie. – Piotr się ożywił. – Ulka chciała wiedzieć, czy można za pomocą IP namierzyć adres mailowy nadawcy, a najlepiej imię, nazwisko i miejsce zamieszkania.

– Najpierw musiałyby namierzyć IP. – Paulina się roześmiała.

– Nawet zakładając, że udałoby się nam to zrobić, to po IP mielibyśmy tylko ogólną geolokalizację, kraj, miasto, dostawcę internetu, przybliżone współrzędne geograficzne sieci. I to wszystko.

– Czyli nic. Tą drogą pewnie poszła już policja.

– A w ogóle Ksawer powiedział, że ten nadawca na bank używa VPN.

– Czego?

– Virtual Privat Network, takiego szyfrowanego połączenia pomiędzy swoim komputerem a siecią, dzięki któremu wszystkie przesyłane dane są chronione.

– A najprędzej to kupił stary laptop na eBayu, na przykład we Włoszech, założył ze trzy główniane konta, a wiadomości wysyła, siedząc w KFC w którejś z galerii handlowych.

– Używając jednocześnie VPN – dodał Piotr.

– Dokładnie – podchwyciła Paulina. – Żadna policja go nie namierzy. Musieliby wynająć Lisbeth Salander.

– W przypadku polskiej policji to świętego Antoniego raczej – powiedział złośliwie Piotr. – Tylko że teraz przy zakładaniu nowego adresu większość dostawców żąda innego adresu albo numeru telefonu dla uwiarygodnienia tożsamości.

– A co za problem, skoro organizuje się taką imprezę, ukraść telefon?

– Hmm. No niby tak.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, przeglądając ostatnie wiadomości.

– Cały czas mam wrażenie, że znam skądś ten tekst z listu Heilanda – odezwała się w końcu Paulina.

– Bo może to także jest cytat. To byłoby nawet sensowne. Jakaś konsekwencja...

– O Boże! – Paulina przerwała nagle dywagacje Piotra. – To nie mogło być aż takie proste!

Wpatrywała się w monitor z malującym się na twarzy osłupieniem.

– Co takiego?

– Wpisałam pierwsze zdanie z tego maila do Google i patrz, co mi wyskoczyło.

Piotr zerwał się i stanął za plecami Pauliny.

– W zamachu terrorystycznym zginęło łącznie czterdzieści dziewięć osób. Sprawcą był Australijczyk wyznający zasady supremacji białej rasy – przeczytał. – Zamach został przeprowadzony w dwóch meczetach w miejscowości Christchurch w Nowej Zelandii.

– Przed zamachem napisał manifest, w którym, w formie pytań, przedstawił założenia swojej ideologii... – Paulina z malującym się na twarzy niedowierzaniem śledziła tekst. – Inspirował się między innymi Andersem Breivikiem, a jedną z jego motywacji była śmierć jedenastoletniej dziewczynki, ona zginęła w zamachu w Sztokholmie.

– Boże! – Piotr usiadł na krześle obok Pauliny i zdębiał. – Tylko dlaczego z tego manifestu, w którym, jak widać tutaj – Piotr skinął głową w kierunku ekranu – jest wiele różnych rasistowsko-ideologicznych bredni, Heiland wybrał akurat ten akapit o środowisku i zmianach klimatu?

– No właśnie. – Paulina przewinęła tekst na Wikipedii do końca i zaczęła szukać informacji na innych stronach. – Poza tym to jest niekonsekwentne. W pierwszej wiadomości atakował deweloperów i kreował się na ekoterrorystę, a teraz inspiruje go prawicowy ekstremista?

– Czekaj, czekaj. – Piotr nagle złapał ją za rękę. – Spójrz na ten link. Jestem ciekaw, co pisze o nim prawica.

Paulina kliknęła w link do wskazanej strony.

– Australijski zamachowiec jest przede wszystkim ekofaszystą i zwolennikiem ograniczenia liczby ludności dla dobra planety. Media mainstreamowe zrobiły z niego prawicowego ekstremistę – przeczytał głośno Piotr. – Zamach ma być pretekstem do jeszcze większego spolaryzowania społeczeństwa i zaprowadzenia ekoterroru...

– Chryste! Co za bełkot! – ostentacyjnie westchnęła Paulina.

– Facet morduje pięćdziesiąt osób w meczetach, w imię czystości i supremacji białej rasy, a nasi narodowi chrześcijanie robią z niego ekofaszystę, który wprowadza ekoterror.

– To nawet trudno skomentować. – Paulina wydeła usta i odepchnęła klawiaturę ze wstrętem. – Ale jak się do tego ma Heiland?

– Trudno w ogóle powiedzieć coś o jego poglądach. – Piotr podrapał się w głowę. – Albo sam jest ekozwolennikiem, ujmijmy to tak, ale równocześnie nacjonalistą i przeciwnikiem imigrantów, albo...

– Albo wprost przeciwnie. To prowokacja w celu oczernienia ruchu ekologicznego i środowisk z nim związanych.

– Albo po prostu chce narobić zamieszania. – Piotr sięgnął po klawiaturę i wpisał kilka słów w wyszukiwarkę. – No można się było tego spodziewać. Już po ptakach.

W spisie linków do stron szczecińskich gazet i mediów już na wierzchu było widać, że większość tytułów podała informację o kopii manifestu Australijczyka.

– A co w tym czasie robi Ulka? – Paulina spojrzała w stronę biurka, przy którym siedziała koleżanka i w skupieniu coś czytała.

– Idziemy z tym do naczelnej? – Piotr wskazał brodą monitor Pauliny.

Paulina wzruszyła ramionami.

– Po co? Już wszyscy o tym napisali.

Od strony centrum sali, kierując się do aneksu kuchennego, nadeszła Baśka.

– Wymyśliliście coś? – spytała. – À propos tego, co chciała Przeworska... – Spojrzała na Paulinę. – Właśnie prosi cię do siebie.

– Mnie? A czego ona chce znowu? – Paulina podniosła się i odpowiadając uspokajającym uśmiechem na zdenerwowaną minę Piotra, ruszyła w kierunku aneksu naczelnej.

We wnętrzu, oprócz Przeworskiej, był także Marcin, wicenaczelny. Siedział z bardzo niezadowoloną miną i wpatrywał się w blat stołu.

– Pani Weber. – Przeworska spojrzała na Paulinę zimno. – Dowiedziałam się właśnie, że mimo mojego wyraźnego zakazu była pani na konferencji prasowej prokuratury. Co ma pani do powiedzenia na ten temat?

– Nic. – Paulina starała się ukryć zaskoczenie, ale z trudem zachowywała spokój. – Nie wprowadziła pani żadnego zakazu udziału w konferencjach prasowych.

– Pani doskonale wie, co mam na myśli.

– W tym właśnie problem, że nie wiem.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, a Marcin starał się udawać, że go nie ma.

– Ustaliłyśmy, że tematem zamachów zajmuje się pani Matecka. Po raz kolejny, w sposób arogancki i niekoleżeński, torpeduje pani pracę koleżanki.

– Przepraszam, jakich zamachów? – Paulina zacisnęła pięści, hamując się, żeby nie wybuchnąć. – Ustaliłyśmy, że nie ma żadnych zamachów, właściwie pani ustaliła, a wydarzenia w katedrze to jedynie głupi żart, o którym nie warto wspominać.

– Proszę nie odwracać kota ogonem! Bez mojej zgody poszła pani na konferencję prokuratury, posługując się naszą legitymacją prasową...

– Nie była potrzebna.

– Proszę nie być bezczelną.

– Wykazałam dużo dobrej woli! Wczoraj przekazałam Ulce informację o kwiatach i karteczkach z tym kodem kreskowym, jak go pani nazwała, które przynieśli mi budowlańcy z portu. Gdybyśmy wczoraj o tym napisali, byłibyśmy o krok przed wszystkimi mediami w mieście.

Marcin podniósł wzrok i zmarszczył brwi.

Przeworska ponownie spojrzała na Paulinę ze złością.

– To my, dzięki pani Mateckiej, odkryliśmy, że pierwsza wiadomość jest kopią listu zamachowca ze Śląska – powiedziała z rozdrażnieniem. – Ale tu nie chodzi o to, kto będzie pierwszy czy ostatni. Pani nie tylko utrudnia pracę koleżance, ale nie wykonuje poleceń służbowych.

– W czasie gdy tutaj siedzimy, ostatnie ze szczecińskich mediów publikują właśnie newsa o tym, że drugi mail to fragment manifestu Brentona Tarranta.

– Co takiego?!

– Znowu tylko my o tym nie napisaliśmy.

Marcin sięgnął po leżący na biurku tablet i przejechał palcem po ekranie.

– Rzeczywiście – burknął. – „Wyborcza” puściła nawet na swoim portalu cały jego manifest. Na Fejsie mają już tysiąc udostępnień.

Przeworska spojrzała na Marcina i nerwowo postukała palcami w biurko.

– Pani Weber! – odezwała się w końcu, siląc się na spokój. – Poszła pani na konferencję prokuratury to jedno. Ale dlaczego po powrocie nie przekazała pani nikomu żadnych informacji? Celowo wstrzymała się z tym pani, żeby zaszkodzić koleżance?! To przecież działanie na szkodę gazety!

Paulina otworzyła usta, ale jednak się powstrzymała. Czy to możliwe, że Przeworska ma jednak trochę racji? Podświadomie chciała zaszkodzić Ulce? Może ten konflikt rzeczywiście wymknął im się spod kontroli?

– Większość dziennikarzy posłała newsy na portale bezpośrednio stamtąd – odpowiedziała w końcu z wahaniem. – Gdy wróciłam tutaj, to już wszyscy o tym napisali. Ostatnio, kiedy podjęłam decyzję o puszczeniu filmu z portu, zresztą za twoją zgodą – spojrzała na Marcina – to zagroziła mi pani służbowymi konsekwencjami.

– I w ten sposób pani się broni? To niedorzeczne. Wywołaliście konflikt z panią Matecką. Pani i pani asystent, a teraz odbija się to już na całej redakcji! Gdyby nie to, że Urszula dowiedziała się, że poszła pani do prokuratury, nikt by o tym nie wiedział. Dla kogo właściwie pani pracuje? Nadal dla nas?

– Trochę chyba przesadzasz, Julio – odezwał się Marcin, nie patrząc na żadną z kobiet.

Paulina przez oszklone przepierzenie widziała biurko Ulki Mateckiej.

– To Ulka powiedziała, że byliśmy na prasówce prokuratury?

– Tak, ponieważ jest lojalna wobec dziennika i nie stara się gwiazdorzyć jak pani!

Paulina złość czuła kilka minut temu, teraz natomiast miała wrażenie, że słowa Przeworskiej spływają po niej już jak po kaczce. Miała tego dość. Właśnie sobie uprzytomniła, że za dwa dni jest piątek i zaczyna się jej trzytygodniowy urlop. A Ulce pewnie doniosła któraś z koleżanek.

– Jak to możliwe, że ważniejsze od samej wiadomości staje się to, gdzie ja byłam i kto komu o tym doniósł?! – Spojrzała na Przeworską. –

Wszystkie media w tym mieście piszą właśnie o dwóch zamachach bombowych, o azotanie amonu i o faszystowskim manifeście Tarranta, a ostatnie, co my napisaliśmy, to porównanie ekologów do Frakcji Czerwonej Armii.

– Skończmy z tym! – Przeworska wykonała ruch ręką, jakby odcinała komuś głowę. – Ostatnio ostrzegałam panią, że wyciągnę wobec pani konsekwencje służbowe. I tak zrobię. Zbliży się koniec kwartału, ale pani niech się pożegna z premią kwartalną. A jeśli chodzi o nasz system motywacyjny, to za wszystkie teksty, które pani napisała i napisze podczas mojej tutaj obecności, otrzyma pani najniższą możliwą punktację.

– Ależ... – Paulina spojrzała na Przeworską z mieszaniną niedowierzania i złości.

– To wszystko. Proszę wracać do pracy. I jeszcze jedno, pani Paulino...

Paulina, która właśnie wstała i szła w kierunku wyjścia, obróciła się.

– Proszę może jednak pomyśleć o pracy w jakimś tabloidzie.

Paulina zamknęła za sobą oszklone drzwi i spojrzała na główną salę redakcji. Kątem oka zauważyła, że Marcin i Julia zaczynają się ostro kłócić.

Wiedziała, że stres działa podstępnie. Teraz, zapewne dzięki jakimś energetycznym rezerwom organizmu, czuła się swobodnie, tak jakby awantura u naczelnej w ogóle jej nie dotknęła, ale wiedziała, że za kilka

godzin poczuje żelazną obręcz wokół czoła, a drugą na wysokości płuc. Miała ochotę wyjść stąd natychmiast. Tylko że wtedy od razu mogłaby zacząć szukać pracy w jakimś tabloidzie.

Hubert!

Nagle przypomniała sobie właściciela portalu, na który nie tak znowu dawno pisywała od czasu do czasu. Szczecin & LeftSide. Gdy w „Dzienniku Szczecińskim” miała tylko umowę o dzieło, dorabiała sobie pisaniami tekstów tam właśnie.

Jakie to głupie. Zarabiała tam tyle, co kot napłakał, ale nagle zatęskniła za tamtymi czasami. Może warto odnowić znajomość? Portal nawet chyba zaczął sobie lepiej radzić. Czasami zaglądała na ich stronę. Zaczęli kręcić nawet całkiem fajne filmy i prowadzić rozmowy na żywo.

– Coś nie po twojej myśli? – usłyszała nagle cichy głos za plecami.

Odwróciła się. Obok niej właśnie zatrzymała się Ulka.

– Idziesz kogoś zadenuncjować? – Paulina pożałowała tych słów prawie od razu, ale nie mogła nic na to poradzić, szlag ją trafiał na widok czającego się w kącikach ust koleżanki uśmiechu.

Ulka od razu spoważniała i spojrzała na nią z nieukrywaną złością.

– To pewna odmiana dla ciebie, gdy nie sypia się z naczelnym, co? Trochę trudniej, prawda?

Uśmiechnęła się i powoli odplynęła w kierunku aneksu kuchennego.

## Rozdział 18

WTEDY...

*Lasy majątku Jakobsdorf, na północ od Szczecina*

**A**nula nie była specjalnie strachliwym dzieckiem. Nie bała się ani duchów, o których przed wojną opowiadał jej dziadek, że niby straszą w zrujnowanym zamku Sapienhów w nieodległych Holszanach, ani leśnych straszydeł, różnych strzyg, upiorów, nocnic czy utopców. W lasach wokół ich wsi miał rzekomo mieszkać pan leśnych ostępów Dziad Borowy – dziadek czasem nazywał go także Leszym lub Dobrohoczym, a na bagnach czaił się Bagiennik lub Brzeginka.

Żadnego z tych stworów nigdy nie spotkała, mimo że chodziła z matką bardzo często na grzyby czy jagody, a bywało, że wracały z targu w Holszanach późnym wieczorem, szły wąskim duktem, nad którym szumiały stare przydrożne dęby, a z lasów dochodziły tajemnicze odgłosy. Dziadek mówił, że to latawce albo poświsty tak hałasują, ale ksiądz, gdy go kiedyś o to zapytała, odparł, żeby nie wierzyła w leśne straszydła, bo to grzech i jedynie diabła bać się powinna, a jak w Boga wierzy, to i on niestraszny.

Jej szczęśliwe życie dziesięcioletniego dziecka zakończyło się w czterdziestym drugim roku. Wcześniej, gdy daleko za opłotkami ich wsi trwały wywózki, a Armia Czerwona pacyfikowała wsie, likwidowała i mordowała setki mieszkańców miast i miasteczek, strach i udrękę dostrzegala jedynie w oczach swoich bliskich. Matka często płakała, zwłaszcza gdy pytała ją, kiedy w końcu wróci tata, a dziadek w ogóle przestał żartować. Tak jakby na ich mały drewniany dom ginący wśród chabrów i malw spadła jakaś klątwa.



Gdzieś pod koniec września czterdziestego drugiego roku we wsi gruchnęła wieść, że do Holszan weszły Niemce i wywożą ludzi. Dwa dni później, z samego rana, ledwie otworzyła oczy, usłyszała na dworze jakieś hałasy, a potem strzały i warkot wielkich ciężarówek. Pamiętała doskonale, że to był piątek. Wraz z matką zostały wepchnięte na pakę ogromnego samochodu i wraz z kilkunastoma innymi kobietami i dziećmi przetransportowane na stację kolejową, skąd wyruszyły w drogę, która trwała całe osiem dni.

Miasto, w którym wyrzucono je z bydłych wagonów na boczny peron, było jedynym miastem, jakie kiedykolwiek widziała na własne oczy. Wydawało jej się ogromne. Gdy kolejny samochód wiozł je do miejsca przeznaczenia, patrzyła z osłupieniem na wielkie budynki z czerwonej cegły i kamienne ściany kościołów i bram miejskich. Folwark, do którego trafiły, także był w jej oczach gigantyczny. Kolejne ogromne budowle z kamienia i czerwonej cegły w oczach dziesięcioletniej dziewczynki wydawały się jakimiś przerażającymi zamkami z bajki. Najeżone wieżyczkami, daszkami, a nad wielkimi wrotami prowadzącymi do wnętrza były nawet dziwne okrągłe okna, z których wystawiały mordy kamienne krowy i konie.

Od tego wrześniowego dnia musiało upłynąć jeszcze sporo czasu, nim zrozumiała, że w rzeczywistości w tym tyglu tragedii, wysiedleń, pożegnań, rozstań i strat miały z matką sporo szczęścia. Wśród pożegnań ostatecznych, śmierci najbliższych i obcych, dołów z wapnem, pieców krematoryjnych i masowych grobów trafiły na zwykły folwark, gdzie pracownice były traktowane po ludzku, a przynajmniej po ludzku w owych czasach, kiedy ludzi, którzy tracili zdrowie, zabijano jako niepotrzebnych.

Mieszkały z matką i innymi kobietami w folwarcznych czworakach, gdzie kiedyś, w zamierzchłych czasach, przed wojną, mieszkali pracownicy sezonowi. Jako jedenastolatka miała dodatkowo sporo swobody. Kierowano ją jedynie do lżejszych prac w ogrodzie lub sadach, a w wolne dni mogła chodzić sama do lasu na grzyby i jagody.

Któregoś dnia zapuściła się zbyt daleko na północ. Lasy były tutaj inne niż te, które pamiętała z domu. Niebotyczne sosny poprzetykane olszyną i gdzieś tam tylko stary dąb. Wydawało się, że trudno tutaj zabłądzić, bo pomiędzy brązowymi pniami sosen cały czas widziało się okoliczne pola

i domy na horyzoncie. Gdzie było tym tutejszym słonecznym, sosnowym borom do półdzikich, zarośniętych i mrocznych ostępów Puszczy Nalibockiej.

Trafiła do miejsca, w którym wszystkie dziadkowe opowieści o leśnych potworach okazały się prawdziwe.

## Rozdział 19

Igor stanął przed wejściem i zirytowany dzwoniącą komórką wysupłał ją z wąskich dżinsów. Drugą ręką wcisnął przycisk domofonu.

Monika.

– Cześć, Monia – rzucił do telefonu. – To ja.

– No wiem, przecież to ja dzwonię...

– Przepraszam, to było do domofonu.

Po chwili rozległ się cichy pisk. Igor pchnął drzwi i zaczął wbiegać po schodach.

Uprzytomnił sobie, że Monika jest chyba znacznie bardziej przybita niż w poprzednich rozmowach.

– Przepraszam, Igor, że zwracam się z tym do ciebie, ale ty jesteś naszym jedynym wspólnym znajomym. To znaczy moim. To znaczy znałeś Szymona...

Monika się rozpląkała.

– Hej, co się dzieje? – Igor wszedł do swojego aneksu i zasunął drzwi. Rzucił torbę na krzesło i stanął przy oknie. – Czy coś się wyjaśniło?

Czemu ona powiedziała „znałeś”?

– Wprost przeciwnie. – Słyszał, jak Monika wyciera nos. – Rozmawiałam dzisiaj z policją. Powiedzieli mi, że nie było go u rodziców. W ogóle do nich nie przyjechał. Pytali, czy nigdy nie podejrzewałam go o romans. A jeszcze potem zadzwoniła jego matka i zaczęła mi wyrzucać, że to moja wina.

Igor odwrócił się i pokiwał głową koleżance, która energicznie machała do niego ręką. Spojrzał na zegar. No tak. Rzeczoznawca od sanepidu już czekał.

– Chwila, moment. – Odwrócił się ponownie do okna, próbując poskładać w głowie wszystkie informacje. – Przecież mówiłaś, że rozmawiałaś z nim...

– Nie rozmawiałam. – Monika ponownie wytarła nos. – Pisałam. W czwartek, to był osiemnasty lipca, napisał mi, że zatrzyma się u rodziny w Wałczu, ale okazuje się, że w ogóle tam nie dojechał.

– Ale zaraz... – Igor nerwowo postukał palcem w szybę. – Pisałaś do niego przecież także w sobotę? Tak?

– No tak, wysłałam mu wiadomość z pytaniem, kiedy wróci. Odpisał, że w poniedziałek wieczorem, najpóźniej we wtorek rano.

– A potem nie próbowałaś się z nim kontaktować?

– Oczywiście, że próbowałam. – Monika westchnęła. – Milion razy, ale od wtorku miał już wyłączony telefon.

– Igor! – Do pokoju zajrzała młoda kobieta w szarym swetrze i spiorunowała Igora wzrokiem. – Pani od sanepidu nie będzie czekała wiecznie.

– Dobra, dobra, już idę. – Igor pomachał ręką, nie odwracając się od okna. – Monia, ja muszę lecieć, mam tu gościa, przepraszam. Zadzwoń do ciebie potem, okej?

Pozegnał się, rzucił komórkę na blat biurka i wybiegł z pokoju.

Paulina siedziała na ławce na bulwarze przed budynkiem i wpatrywała się w płynącą leniwie Odrę. Sięgnęła po kubek i wypila kolejny łyk kawy. Piła kawę, chociaż powinna raczej napić się melisy. Pod wpływem łagodnego dotyku sierpniowego słońca czuła jednak, jak powoli jej nerwy przestają drgać jak napięte struny i rozlewa się w niej chwilowy spokój.

Chwilowy, bo za pięć–dziesięć minut będzie musiała wrócić na górę.

– To wszystko moja wina – kajał się siedzący obok niej Piotr. – To ja bez przerwy wciągałem cię w ten temat.

– E tam – zbagatelizowała jego wyznanie Paulina. – Gdybym nie chciała, tobym się nie dała wciągnąć. Myślę o czymś innym. Może to rzeczywiście była przesada, żeby tak deptać po piętach Ulce. W końcu się

dorwała do ciekawego tematu, a my ciągle coś jej podrzucaliśmy. Może trzeba było się trzymać od tego z daleka.

– No właśnie – ze złością przytaknął Piotr. – Podrzucaliśmy jej, a ona stale była niezadowolona. Najpierw, że za późno, teraz, że byłaś na konferencji, mimo że ona się nie kwapiła. No i ta chamska odzywka teraz. To w ogóle podpada pod mobbing.

– Jej uwagi na temat mnie i Pawła mam gdzieś. – Paulina odstawiła kubek na ławkę. – Odkąd tu pracuję, wciąż słyszałam te żarciki i plotki za plecami. Cieszę się, że w końcu wiem, kto je rozpuszczał. Ale szczerze mówiąc, postępowanie Ulki zaczyna mnie przerażać. Zachowuje się tak, jakby Paweł miał tu już nigdy nie wrócić. Tak jakby tych jej sukcesów nikt nigdy nie miał zweryfikować.

– Połowa tego kraju obecnie tak się zachowuje – mruknął Piotr, wpatrując się w rzekę. – Jeden wielki eksperyment stanfordzki.

– Jaki eksperyment?

– Ten, w którym studentów ochotników podzielono na dwie grupy. Jedna miała udawać strażników, a druga więźniów. Zamknięto ich i nie ingerowano w przebieg wydarzeń. Wystarczyły dwa dni, żeby strażnicy zaczęli znęcać się nad więźniami, poniżać ich i próbować wykorzystywać seksualnie.

Paulina smętnie pokiwała głową.

– No tak. Był nawet film nakręcony na kanwie tych wydarzeń – wtrąciła.

– No, niemiecki chyba. Taki fajny koleś tam grał...

– Moritz Bleibtreu.

– Właśnie – przytaknął Piotr. – Eksperyment dowiódł, że zwyczajni ludzie w określonych warunkach są w stanie zamienić się w oprawców. Wystarczy im tylko na to pozwolić.

Paulina sięgnęła po kawę, wypiała do końca i wyrzuciła kubek do stojącego niedaleko pojemnika.

– Niczego nowego nie odkryli, nawiasem mówiąc. Każda wojna jest tego przykładem.

– Ulce pozwolono być gwiazdą, więc spuściła ze smyczy swoją wewnętrzną świnię.

Paulina spojrzała na Piotra z naganą, ale nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

W kieszeni jej džinsów odezwała się komórka.

– Baśka – szepnęła do Piotra i odebrała.

– Widzę was na ławce.

Paulina odwróciła się i zobaczyła koleżankę, która machała im z okna na drugim piętrze.

– Jeśli nie chcecie przegapić czegoś naprawdę niezłego, to wracajcie szybko na górę.

Gdy weszli do redakcji, na środku, niedaleko swojego biurka, sterczała Ulka i zwracając się do całej sali, coś głośno mówiła. W progu swojego aneksu stała oparta o framugę Przeworska i przysłuchiwała się tej przemowie. Na jej twarzy widać było jednak cień powątpiewania.

Paulina i Piotr zatrzymali się przy wejściu do aneksu kuchennego.

– To jest tylko pomysł. Jednak to jakaś próba przewidzenia kolejnego kroku zamachowca. Po pierwsze sąsiedztwo – Ulka machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku – a więc łatwość organizacji. Po drugie zaś to kościół, w dodatku katolicki! – Powiodła wzrokiem po przysłuchujących się jej kolegach i pokiwała głową z namaszczaniem. – Kościół pod bardzo wymownym wezwaniem. Chrystusa Króla. Pana świata!

Paulina spojrzała na Piotra i podniosła pytająco brwi. Piotr pokręcił głową. Orientowała się, że jedyny kościół pod wezwaniem Chrystusa Króla jest na Skolwinie. Dziesięć kilometrów od Łasztowni. Jakie sąsiedztwo?

– Przecież Skolwin to zapadła dziura – przerwała Ulce Baśka. – Nawet jakby tam bomba atomowa wybuchła, to w centrum byśmy się zorientowali po tygodniu.

W redakcji rozległy się ciche śmiechy. Ulka spiorunowała Baśkę wzrokiem.

– Pozwólmy dokończyć pani Mateckiej – wtrąciła się Przeworska.

– Już pierwszy incydent dowiódł, że zamachowiec ma za nic moralność i etykę, atakuje wiarę, moralną podstawę społeczeństwa, więc oczywiście, że targnął się właśnie na kościół...

– Budynek straży pożarnej? – wtrąciła znowu Baśka, patrząc na Ulkę z ironią.

Ulka, gdyby wzrok zabijał, właśnie szatkowałaby Baśkę na plasterki.

– Mam na myśli pierwszy zamach w katedrze. Drugi w dalszym ciągu nie jest do końca pewny. Nawet prokuratura tego jeszcze nie potwierdziła.

– Co z tym kościołem na Skolwinie? – Baśka była nieustępliwa.

– Jakim Skolwinie?! – Ulka podniosła głos i spojrzała na nią z jawną złością. – Dlaczego mnie atakujesz? Jeszcze nie skończyłam.

– Nikt cię nie atakuje...

– Pani Barbaro... – odezwała się naczelna, uciszając Baśkę.

– Chodzi mi o kościół Chrystusa Króla na Łasztowni.

W redakcji zapanowała na moment cisza.

– Jaki kościół na Łasztowni? – spytała w końcu niepewnym głosem Julita z działu reklamy.

– Przecież nie ma żadnego... – Baśka zaczęła, ale przerwała i wbiła wzrok w Ulkę. – Masz na myśli tę rudere, w której do niedawna był komisariat policji?

– Ten budynek jest fragmentem dawnego kościoła katolickiego. Kościoła pod wezwaniem Chrystusa Króla. Pana świata, naszego Zbawiciela. Jeszcze ci się nie kojarzy?

– Mów za siebie, kochanie. Ja nie mam żadnego zbawiciela. Poza może moim mężem, który niekiedy za takiego się uważa. – Baśka, na tle rozbrzmiewającej w redakcji wesołości, patrzyła na Ulkę z protekcjonalnym uśmiechem. – Naprawdę uważasz, że zamachowiec tam podłożył bombę?

– To moja teoria. Heiland der Welt, czyli zbawiciel, pan świata i kościół Chrystusa Króla, Pana Świata. W dodatku kościół stał tuż obok miejsca poprzedniego zamachu. To nie może być przypadek. Poza tym czego się czepiasz, mogłaś sama coś wymyślić.

- Po co tam ktokolwiek miałby podkładać bombę?
- To jest jakaś prawidłowość, prawda? – Ulka spojrzała na Przeworską, szukając u niej pomocy. – Też kościół. Niedaleko miejsca poprzedniego zamachu...
- Którego prokuratura jeszcze nie potwierdziła – bąknął półgębkiem Piotr.
- A co? – Ulka spojrzała na niego z pogardą. – Lepszy pomysł na artykuł to oczywiście obraz Leonarda da Vinci – powiedziała kpiąco.
- A co z kodem kreskowym? – zapytała Baśka, ignorując złośliwość Ulki. – Masz jakiś pomysł?
- Ulka zacisnęła zęby.
- Może jakieś znaki satanistyczne? – odpowiedziała w końcu pytaniem.
- Tak samo jak pocięte płatki kwiatów.
- Nie przekonuje mnie to jakoś.
- To wymyśl coś lepszego!
- Zajmuję się gospodarką, nie ekologizmem. – Baśka uśmiechnęła się do niej pobłaźliwie.
- Dobrze. – Przeworska oderwała plecy od framugi i podeszła do Ulki.
- Jeśli nikt nie ma ciekawszego pomysłu na tekst w sprawie zamachowca... – Rozejrzała się po sali, podnosząc brwi. – Nikt? Oczywiście coś lepszego niż Leonardo da Vinci Dana Browna.
- Oprócz Ulki, która roześmiała się pod nosem, nikt inny w redakcji nie zareagował.
- W takim razie proszę panią Matecką o przygotowanie tekstu na portal, tak żeby ukazał się jeszcze dziś. Żebyśmy mieli cały jutrzejszy dzień na komentarze i wrzawę w innych mediach. Stare zdjęcia tego kościoła też by się przydały.

Joas siedział na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa i patrzył na zostające z tyłu budynku i mrowiące się pomiędzy nimi tłumy ludzi. W wąwozy wąskich uliczek Kopenhagi powoli już wpęła przedwieczorny



mrok. Mimo że do zachodu zostały jeszcze dwie godziny, nisko zawieszone słońce oświetlało już tylko nabrzeża i duże place.

Samochód minął wiadukt na Osterbrogade, wjechał na Strandvejen i pomknął przez przedmieścia w kierunku drogi nad zatoką.

Joas wciąż jeszcze pogrążony był w rozmyślaniach na temat zakończonej właśnie konferencji, więc w pierwszej chwili nie usłyszał dzwonka telefonu.

Wyjął go z kieszeni, gdy krótki motyw z opery Verdiego powtarzał się już po raz trzeci.

– Mam nadzieję, że wracasz do domu, kochanie.

– Wyjeżdżam z miasta.

– Martwię się coraz bardziej. – W głosie żony słychać było udrękę. – Przypomniałam sobie tę historię związaną z blokiem, gdzie on mieszka...

– Byłem tam, kochanie – przerwał jej Joas. – Nie było go w domu. Słuchaj, nie martwmy się na zapas. Doskonale wiesz, jaki jest...

– W tym budynku toczyła się akcja takiego chorego filmu, pamiętasz? On zawsze o tym opowiadał na różnych rodzinnych spotkaniach...

– Marie, przestań.

– Główny bohater, który mieszkał dokładnie w tym samym bloku, któregoś dnia przepada. Zostawia swoich bliskich, dziewczynę i nagle o wszystkich zapomina. Pamiętasz ten film, oglądaliśmy go w Cannes. Zirytował cię.

– Tak, pamiętam. *Rekonstrukcja* Christoffera Boe. – Joas zniecierpliwiony zamknął oczy. Film dostał dwie nagrody na festiwalu. Jedyne, co mu się w nim podobało, to Kopenhaga. Miasto ukazane jako labirynt, wąskie uliczki, ciasne, klaustrofobiczne zaułki będące symboliczną plątaniną ludzkich losów, w którym to mieście bohater poczuł się nagle obcy. Ale ta cała formuła przypowieści, że nie mamy wpływu na nasze życie, że wszystkim kieruje jakiś demiurg, który gmatwa ludzkie ścieżki i koleje życia, że jakiś architekt świata przedstawia ludzi jak pionki na szachownicy, wydała mu się mocno naciągana.

– Teraz myślę: czy on nie miał jakiejś obsesji na tym punkcie? Ludzie w tym wieku są podatni na taką emocjonalną manipulację.

– Marie, nie dramatyzuj. Przez moje dzisiejsze poszukiwania i telefony do różnych osób mogą się pojawić plotki. Wiesz, jak odbiłoby się to na firmie?

– Joas, nie mów mi teraz o firmie!

– Kochanie. – Joas złowił w lusterku zaciekawione spojrzenie kierowcy.  
– Będę w domu za dwadzieścia minut, wtedy porozmawiamy.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni marynarki.

Igor wyciągnął się na aksamitnej sofie górnego pokładu Pandory, prostując nogi na całą ich długość. Drugi drink zaczął właśnie działać, rozlewając się po całym ciele ciepłym, błogosławionym spokojem. Słuchał, jak Jamie się natrzęsa z Dermota, który ugrzązł w wąskim przejściu w podziemiach gmachu Urzędu Wojewódzkiego, gdzie Igor zabrał ich, by przeżyli chociaż namiastkę tego, co niegdyś on, Paulina i Johann zamknęli w podziemiach, z zawalonym stropem i odciętym wyjściem.

Resztę popołudnia spędzili na łążgowaniu po mieście i oglądaniu co ciekawszych jego części, chociaż Igor miał wątpliwości, czy dla mieszkańców Londynu znajdą się tutaj w ogóle jakiejkolwiek atrakcje. Po wizycie na zamku, wspięciu się na wieżę katedry, obejściu Wałów Chrobrego i Starego Miasta zjedli lody w niewielkiej lodziarni przy placu Orła Białego, posiedzieli przez chwilę w ogródku letnim i wrócili spacerem na jacht. Dopiero gdy znaleźli się na bulwarach, dołączyła do nich Paulina.

Szli właśnie szerokim chodnikiem od strony mostu Długiego, gdy zobaczyli, że macha do nich wesoło. Siedziała na ławce, a za nią wznosiły się białe jak śnieg burty Pandory, przy których zatrzymywały się tłumy spacerowiczów, chcąc zrobić sobie fotkę. Igor pomyślał, że w jasnej sportowej sukience i z rozpuszczonymi włosami, na tle tego śródziemnomorskiego jachtu, Paulina wygląda jak reklama jakichś rajskich wakacji.

Patrick przewidująco przygotował dla nich prawdziwe przyjęcie na najwyższym pokładzie, domyślając się, że wrócą zmęczeni, głodni i spragnieni i będą marzyć o spędzeniu reszty wieczoru na ultrawygodnych sofach.

Igor spojrział na Paulinę, która odpowiadała z uśmiechem na rozmaite pytania chłopaków i wszyscy co chwila wybuchali śmiechem. Pogoda była piękna, nad miastem z wolna zapadał zmierzch niebieskogrnatową ciemnością.

Czas wyrwany życiu z jego żarłocznych, wrednych kłów pospolitej codzienności.

Ale zauważył, że Paulina nie miała najlepszego humoru. Mimo śmiechu i żartów wyczuwał, że jest zgaszona. Domyślał się, że to przez pracę.

– A coś ty tak zamilkł? – Siedzący obok niego Johann szturchnął go, szczerząc zęby.

– Dałem się ponieść fantazjom, że to już urlop i mogę wypić jeszcze ze dwa drinki.

– A kto ci zabrania? – odezwał się Jamie. – Na tym jachcie prędzej zabraknie jedzenia niż alkoholu. Już sir Carley o to zadbał.

– A Jamie od pierwszego dnia pracowicie stara się naprawić te proporcje, pochłaniając prawie tyle samo jedzenia co alkoholu – zakpił Rupert, wzbudzając wybuch powszechnej wesołości.

– Jesteś po prostu zazdrosny, bo was w tym modelingu karmią wyłącznie wodą niegazowaną.

– I hummusem. – Paulina przyłączyła się do żartów i posłała uśmiech Rupertowi, patrzącemu z pobłażaniem na Jamiego.

– Te dwa dni wolnego więcej chyba cię nie zbawią – stwierdził Johann i odwrócił się ponownie do Igora.

– Jutro rano mam spotkanie z klientem, a potem parę spraw do załatwienia – wyliczał Igor... – Nawalony raczej nie zrobię dobrego wrażenia.

– A właśnie. – Jamie popatrzył na Paulinę, a potem na Igora. – Co to były za eksplozje dzisiaj w nocy?

– Jakie eksplozje? – Paulina ze zdziwieniem spojrzała na Igora. – Eksplozje?

– No, chyba koło drugiej.

– Aaa. – Igor klepnął się w czoło. – Tutaj niedaleko są prowadzone roboty rozbiórkowe. Nawet mam w tym swój udział.

– Rozbiórkowe? – Jamie gapił się na Igora zdezorientowany.

– Tak – potwierdził Igor. – Odpowiednio rozmieszczone ładunki wybuchowe kruszą beton albo mury. Albo cokolwiek.

– A jaki ty masz w tym udział?

Igor opowiedział pokrótce o przebiegu prac przy spichlerzach. Gdy skończył, zauważył, że Paulina, cały czas jakaś nieobecna, teraz intensywnie się nad czymś zastanawia. Cały wieczór była trochę przygaszona, a teraz myślała nie wiadomo o czym.

– Martwisz się wciąż swoją naczelną? – spytał po polsku.

– Co? – Paulina spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. – Nie, to znaczy tak... Słuchaj, coś mi przyszło do głowy. Te mikrowybuchy...

– Nie mówcie po polsku – jęknął Johann. – Wprawdzie rozumiem już trochę słów, ale mimo wszystko...

– Przepraszam. – Igor poklepał go po ramieniu. – Spytałem Paulinę, czemu jest markotna.

– Nie jestem markotna.

– Jak to nie jesteś? Jesteś nieobecna myślami, odkąd weszłaś na pokład.

– Myślałam teraz o tym, o czym mówiłeś. – Paulina chciała zakończyć temat złego humoru. – Te mikrowybuchy...

– Jakie znowu mikrowybuchy? – Jamie wstał i podszedł do baru, przechylił się przez kontuar i sięgnął po butelkę piwa.

– Byłam dzisiaj na konferencji prasowej prokuratury, zresztą napisali już o tym wszędzie. – Paulina patrzyła na Igora i nadal się nad czymś zastanawiała. – Zarówno w katedrze, jak i w porcie znaleźli ślady azotanu amonu. Rzeczniczka wspomniała coś o tym, że azotan amonu jest wykorzystywany w górnictwie i w robotach budowlanych.

– Zastanawiasz się, czy to może mieć jakiś związek? – Igor spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Dobra! – Jamie nic nie rozumiał. – O czym wy gadacie? Jaka prokuratura, do diabła?

– Znowu się w coś wplątaliście? – zapytała Gwen i spojrzała z niepokojem na Paulinę, a potem na Igora.

– W nic się nie wplątaliśmy.

– Jaka prokuratura? I jakie mikrowybuchy? – Jamie nie ustępował.

Paulina westchnęła, odstawiła szklankę z drinkiem i streściła przebieg ostatnich wydarzeń w Szczecinie.

Gdy skończyła mówić, sięgnęła do torebki po tabletki, otworzyła katalog z wiadomościami od Heilanda i podała siedzącej najbliżej Gwen.

Tablet przechodził z rąk do rąk, a Paulina w międzyczasie przetłumaczyła oba maile.

– Brenton Tarrant – powiedział pod nosem Dermot, wpatrując się w dziwny kod kreskowy. – Pamiętam tę sprawę, to było całkiem niedawno. Facet wtargnął do dwóch meczetów i wymordował pięćdziesiąt osób. Uważasz, że macie naśladowcę?

– Na razie na szczęście jest marnym naśladowcą, jeśli można tak powiedzieć, zginęła jedna osoba. – Paulina zmrużyła oczy. – Zastanowiła mnie ta dziwna zbieżność. – Spojrzała na Igora. – Sądysz, że w Szczecinie w tym czasie prowadzone są albo były niedawno, albo będą niedługo jakieś inne roboty wyburzeniowe?

Igor pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Nie wydaje mi się. Tego się tak często nie robi.

– No więc sam widzisz.

– Podejrzewasz, że to może być ktoś z tej naszej budowy?

– Albo z innej, na której wykorzystuje się azotan.

– Ale materiały na budowie są pod ścisłą kontrolą. Mają tam inspektora z magistratu, który sprawdzał co do metra nawet normatywne odległości od ogrodzeń i znaków ostrzegawczych. Gdyby coś zginęło, to przecież byłoby już wiadomo. Poza tym te materiały wybuchowe przyjechały na Łasztownię wczoraj wieczorem z magazynu. Wcześniej ich tutaj nie było.

– Ponadto azotan amonu można dość łatwo kupić, to saletra amonowa, o ile wiem, nawóz sztuczny – wtrącił Dermot. – Przy odrobinie inwencji

można samemu przygotować taki materiał wybuchowy. Do saletry dodaje się paliwo, benzynę, naftę, olej, ewentualnie nitrometan.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Jamie spojrział na Dermota z mimowolnym uznaniem.

– Prowadziłem kiedyś sprawę podłożenia bomby przez jakichś zdesperowanych rolników.

– Naprawdę? – Jamie otworzył szeroko oczy. – To się naprawdę zdarza?

– Świat się nie kończy na twojej księdze przychodów i rozchodów.

Paulina wzięła tablet od Alice, która jako ostatnia przypatrywała się wiadomościom od Heilanda, i spojrzała pytająco na Igora.

– Jak mocne musiałyby być ładunki, żeby wywołać takie efekty jak w katedrze i w porcie?

– W katedrze to było prawie nic. Ten efekt można było uzyskać nawet jakimiś petardami, a nie azotanem amonu. – Igor odstawił pustą szklankę na stół. – Co innego w porcie. To znaczy, w zasadzie... – Zamyślił się. – Tam też nie musiały być potężne. Wystarczyło tylko dokładnie wiedzieć, gdzie je umieścić.

– Czyli gdzie? – Jamie spoglądał to na Paulinę, to na Igora.

– Rusztowanie mocuje się do muru takimi specjalnymi wkrętami. W budynku straży pożarnej nie stało na ziemi, tylko było w całości zawieszane na ścianach. Hmm...

– Co hmm? – Paulina patrzyła na niego zaaferowana.

– Teraz jak się nad tym zastanawiam, to rzeczywiście wygląda na to, że trzeba się jednak trochę znać, żeby rozwalić takie rusztowanie. – Igor, skoncentrowany, nie odrywał wzroku od Pauliny. – A przynajmniej doprowadzić do zawalenia kilku modułów. Musiał podłożyć parę ładunków, na pewno na samym dole, na najniższych oparciach i przynajmniej jeden na górze.

– Chyba że ktoś zrobił to na oko i w ogóle się nie spodziewał takiego efektu. – Paulina znowu sięgnęła po tablet i po chwili pokazała wszystkim blok na Śląsku, który zawalił się w wyniku wybuchu butli z gazem. – Tak jak ta Brygada Wschód, której odezwę Heiland skopiował.

– A jeśli nie? – Igor uważnie taksował spojrzeniem zdjęcie budynku. – Jeśli to nie był przypadek?

– A na te rusztowania mógł sobie ot tak po prostu wejść? – odezwała się Alice. – Albo do katedry?

– No właśnie – podchwyciła Paulina. – Teoretycznie na rusztowania w porcie od biedy można się dostać z zewnątrz. Budynek stoi przy Bytomskiej, a tam nocą praktycznie nikt nie chodzi. Ktoś, niezauważony, mógł się tam wdrapać. Do katedry po rusztowaniu mógł także dostać się na dach.

– Czemu na dach?

– Bomba była w torbie przymocowanej do łańcucha, na którym wisi żyrandol. Dowiedziałam się, że na poddaszu jest taki automat, za pomocą którego opuszcza się żyrandole do mycia. Ktoś mógł tym otworem wsunąć i przymocować torbę z ładunkiem i kwiatkami.

– W katedrze nie ma żadnego automatu – sprostował Igor. – Jest zwyczajny kołowrót. Ręczny.

– Tym bardziej pasuje. Wręcz wszystko ułatwia – podsumowała Paulina. – Dzięki temu mógł sobie poradzić bez włamywania się do całego urządzenia i pilota. Wlazł, podciągnął trochę żyrandol, zaczepił torbę, a następnie opuścił z powrotem.

– Zastanawia mnie jego biegłość w różnych sprawach technicznych. – Igor sięgnął po mandarynkę i zaczął ją precyzyjnie rozbierać. – Zna się na ładunkach wybuchowych, wiedział, jak podłożyć ładunki, żeby wywrócić rusztowanie. I ta łatwość w dostawaniu się na różne budowle.

– Może to po prostu inżynier z wykształcenia? – odezwał się Dermot.

– A co z szyfrem? – Jamie skinął brodą w kierunku tabletu Pauliny.

– Nasza naczelna nazwała go kodem kreskowym. – Paulina położyła tablet na stole.

– Całkiem celnie – mruknął pod nosem Igor. – Wydaje mi się to jakieś znajome, ale nie mam pojęcia, o co w tym chodzi.

– Jeśli to szyfr, to nie powinien być trudny – wtrąciła Alice w skupieniu. – Zamachowiec, zakładając, że nie jest terrorystą, a nie jest, bo już postawiłby jakieś żądania, raczej dąży do tego, żeby się pochwalić,

nawiązać kontakt. Z reguły są to ludzie pielęgnujący jakieś krzywdy, zdesperowani, chcący się policzyć ze swoimi prześladowcami, odpłacić wszystkim za swoje prawdziwe lub wyimaginowane krzywdy. Zbyt trudny kod wykluczyłby porozumienie, którego oczekują.

Dermot zastanawiał się przez chwilę.

– Chłopak ze Śląska, którego manifest ten cały Heiland przytoczył, nie był żadnym psychopata, raczej idealistą.

– Breivik ani Tarrant także nie byli. – Alice wzruszyła ramionami. – Badania psychiatryczne wykazały, że obaj byli w pełni poczytalni. W tym właśnie problem. Ideologia, wiara potrafi poczynić w ludzkich umysłach więcej spustoszeń niż jakaś regularna jednostka chorobowa.

– Eksperyment stanfordzki – powiedziała cicho do siebie Paulina.

– Właśnie! Dokładnie o tym mówię.

– Wiadomości bez żadnych żądań, żadnego ultimatum. Po prostu informuje, że coś się stanie.

– Niezupełnie – uściśliła Alice z uśmiechem. – Dał wszystkim czas, który powoli się kończy. Tak jakby liczył na to, że ktoś jednak spróbuje go powstrzymać. To bardzo typowe.

– W obu wiadomościach nawiązuje do ekologii, ale w dziwny sposób, nie uważacie? – Paulina spojrzała na przyjaciół.

– Tak jakby chciał kogoś zrobić? – spytał Dermot.

– Albo sprowokować – stwierdził Igor. – Jątrzenie przeciwko ekologom i uchodźcom. W taki sposób, żeby takie osoby jak twoja Ulka – spojrzał na Paulinę – dały się przekonać, że to jakaś zradykalizowana grupa zielonych. A tymczasem w rzeczywistości chodzi o coś zupełnie innego.

– Mamy dwa dni – powiedziała cicho Paulina. – A potem siedem.

– Wtedy już nas tutaj nie będzie – wtrącił Johann. – Wypływamy przecież w poniedziałek.

Paulina kiwnęła głową. Racja. Przez konflikt w redakcji sama już nie wiedziała, czy ją to cieszy, czy wprost przeciwnie.



Patrick, korzystając z tego, że wszyscy siedzieli na najwyższym pokładzie i jak na razie nie zanosilo się na to, żeby mieli zamiar przestać biesiadować, w końcu dochodziła raptem dwudziesta pierwsza, opuścił kambuz i ostrożnie zszedł na najniższy poziom. Mieściły się tutaj kabiny załogi i niewielka mesa, gdzie mogli sobie posiedzieć albo zrobić coś do jedzenia. Nowy dostał pozwolenie na zejście na ląd i polazł gdzieś się poszwendać. Kapitan kazał mu wrócić do północy, więc pewnie wcześniej i tak nie należało się go spodziewać.

Ale mimo wszystko Patrick trochę się denerwował. Nowy mógł przecież stwierdzić, że w porównaniu z Kopenhagą w Szczecinie nie ma nic ciekawego do oglądania, i wrócić za dziesięć minut.

Patrick obejrzał się za siebie, przeszedł szybko krótki korytarz i stanął przed drzwiami przedostatniej kabiny.

Sam siebie w duchu ganiąc za głupotę, najpierw zastukał. Gdy nie odniosło to skutku, nacisnął klamkę, ale tak jak przypuszczał, nic to nie dało. Sięgnął więc do kieszeni i wyjął duży brzęczący pęk ponumerowanych kluczy.

Akcję zaplanował już wczoraj, czekał tylko na chwilę nieuwagi Artjoma. Gdy ten zszedł do ładowni, żeby sprawdzić sprzęt do nurkowania, zakradł się do kabiny kapitana i zwinął klucze. Artjom nie korzystał z kabiny kapitańskiej. Po pierwsze, stwierdził, że jest dla niego zbyt sztywna, a po drugie, było tam jeszcze trochę rzeczy Billa. Na co dzień stała więc pusta i nikt tam nie zaglądał.

Patrick liczył na to, że uda mu się tak samo niezauważenie podrzucić klucze z powrotem.

Znalazł w końcu klucz z numerem osiem i z bijącym sercem wsadził go do zamka. Przekręcił i po chwili pchnął drzwi, które bez oporu stanęły otworem.

Kabina była niewielka. Podwójna prycza, jedna nad drugą, szafka i małe miejsce do siedzenia ze składanym stolikiem. Pandora miała kabiny dla ośmiu członków załogi. Ich, wliczając kapitana, było obecnie tylko czworo, więc każdy miał swoją.

Patrick zapalił światło i rozejrzył się wokoło.

Na koi leżały jakieś ciuchy i książka.

Pochylił się i wziął ją do ręki. Spojrzał na okładkę. Jakieś bzdety o muzyce. Przekartkował i rzucił z powrotem na posłanie.

Pochylił się i zajrzał pod koję. Jest.

Stała tam spora granatowa torba. Wyciągnął ją i postawił na łóżku.

Powoli odpiął zamek błyskawiczny.

W środku było trochę ciuchów, których nowy nie zdążył jeszcze wyciągnąć i poukładać w swojej szafce, i czarny skórzany przybornik.

Patrick otworzył go i obejrzał komplet nożyków i nożyczek do pielęgnacji paznokci, elegancki trymer do brody i oddzielny do nosa i uszu.

Proszę, jaki piękniś. Przejechał palcem po błyszczącej stali i ściągnął brwi. Takiego sprzętu nie można było na przykład wnieść na pokład samolotów. Przy odrobinie inwencji spokojnie dałoby się tym kogoś zarznąć.

Ale sam przecież miał u siebie nożyczki do paznokci i trymer. Trudno, żeby podawał do stołu sir Carleyowi z brudnymi długimi pazurami i włosami wystającymi z nosa.

W zasadzie o nim też ktoś mógłby powiedzieć, że prawdziwy z niego piękniś.

Spakował przybornik z powrotem i włożył do torby. Zajrzał do wnętrza i fachowym ruchem przejechał ręką po wewnętrznych ścianach. Z dwóch stron torba miała kieszenie. W jednej była jakaś gazeta z Kopenhagi, druga była pusta.

Patrick odsunął jeszcze na bok ciuchy i dotknął dna. Przejechał palcami po gładkiej powierzchni i stwierdził, że żadnej skrytki tam nie było.

Podniósł wzrok i rozejrzał się. Gdzie on może mieć dokumenty?

Paszport pewnie ma przy sobie, e-dowód pewnie też, ale patent żeglarski? Prawo jazdy?

Nad koją znajdowała się wąska szafka z malutką lampką, którą można było przesunąć, żeby na przykład poczytać.

Leżała tam jeszcze jedna książka i notes. Patrick sięgnął po niego i zaczął kartkować. Imiona i numery, chyba telefoniczne. Duńskie

nazwiska, kilka adresów mailowych. Jakieś odręczne rysunki na niektórych stronach.

Zatrzymał wzrok na jednym i poczuł, jak robi mu się na przemian gorąco i zimno.

W kałuży krwi – to musiała być krew, biorąc pod uwagę całą resztę – leżała kobieta, a niedaleko niej odcięta głowa z wyłupiastymi oczami. Tuż obok walał się jakiś przedmiot, w którym Patrick ze zdumieniem rozpoznał mikrofon.

Stał przez chwilę jak sparaliżowany i wpatrywał się w rysunek. Z tego stanu wyrwał go dopiero hałas dochodzący z korytarza.

Gwałtownie się odwrócił, odłożył notes na szafkę, chwycił torbę, wepchnął ją pod łóżko i dopadł drzwi. Przyłożył do nich ucho, a potem delikatnie uchylił. Dwie kabiny dalej zobaczył półotwarte drzwi. Patrick ostrożnie wyszedł, cicho przekręcił klucz i na palcach ruszył w kierunku schodów.

\*

Zmierzch zakradał się tutaj podstępnie. Słońce powoli kryjące się za horyzontem wyłączało jeszcze wierzchołki wysokich sosen, na otwartych łąkach na skraju miejscowości i na rozległych trawnikach i tarasach nowobogackich domów światło kładło się jeszcze ostatnimi promieniami, ale pomiędzy starymi drzewami stojącymi na obrzeżach lasu pojawiały się już wielkie ciemne plamy mroku. Wypełzały spomiędzy sosen i dębów i rozkładały się na drogach i ulicach. Każdego, kto nieopatrznie zapuścił się na dłuższy spacer pieszo czy rowerem i dopiero co cieszył się złotem i czerwienią zachodu, nagle otaczały cienie, a ciemność pomiędzy drzewami zdawała się obserwować uważnym i wrogim wzrokiem.

Sercem miejsciny była główna ulica, przy której stało kilka budynków z początku zeszłego wieku, szkoła i kościół z lat słusznie minionych i kilka barakosklepów. Miejska ulica kończyła się przejazdem kolejowym i małą stacyjką, a dalej wpadała w las, w którym tuż za przejazdem rozciągały się tereny wybudowanego przed wojną szpitala. A dalej na wschód i południe rozciągała się puszcza.

Od głównej ulicy, prawie na jej końcu, odbiegała na północ droga, która przemykała pomiędzy ostatnim rzędem domów a lasem. Stały tutaj stare domy z czerwonej cegły, dawne siedziby pracowników szpitala, piękne przedwojenne wille i nowe domy, rozchełstane polskimi czterospadowymi dachami i tradycyjnie wsparte na kolumnach domorezydencje, przy których kipiały zimozielone rododendrony, żywotniki zachodnie i płożące jałowce.

Droga, powoli dziczejąc, tracąc najpierw asfaltową, a potem i szutrową nawierzchnię, wpadała pomiędzy drzewa i biegła dalej przez puszcę.

W słoneczny letni dzień wydawało się, że to przedmieścia Edenu, ale po zmroku z lasu wyłaziły wszystkie stare strachy.

W czasie wojny przy przejętym przez wojsko szpitalu mieścił się obóz pracy przymusowej, nieco dalej, na zachód, w sąsiedniej miejscowości znajdowała się ogromna fabryka produkująca dla Wehrmachtu silniki do samolotów Junkers, a jeszcze dalej, za lasem na północy, była tajna fabryka amunicji. We wszystkich tych miejscach znajdowały się obozy, do których zwożono z okupowanych krajów jeńców do pracy. Raz za razem wyjeżdżały stamtąd ciężarówki, którymi zabierano chorych i niezdatnych do pracy niewolników, a co jakiś czas poukładane w hałdy ludzkie zwłoki. Wielkie nakryte plandekami samochody zagłębiały się w las, a wracały stamtąd puste.

O wszystkich tych miejscach do dzisiaj krążą niestworzone opowieści i legendy. O długich podziemnych łączących je korytarzach, zalanych halach fabrycznych i laboratoriach, w których utopiono tysiące robotników, i o tajnych nieludzkich eksperymentach.

Jeżeli wydarzenia w jakiś niepojęty sposób potrafią pozostawiać ślad na drzewach, na kamieniach, w powietrzu, to niewątpliwie tutaj tak właśnie się stało.

Przy owej drodze, głęboko ukryty w lesie, otoczony wysokimi sosnami, stał stary, zapuszczony, przedwojenny dom. Z wysokim dachem pokrytym omszałą dachówką, powoli pożerany przez wspinające się na ściany dzikie wino. Najbliższe domostwo leżało jakieś dwieście–trzysta metrów dalej schowane za gęstą ścianą lasu.

W ciemności rozjaśnionej jedynie przez stojącą kilkadziesiąt metrów dalej starą latarnię na betonowym słupie jarzyło się mlecznym blaskiem

światło z pokoju na piętrze.

Na ścianach tego pokoju wisiały stare mapy i poprzypinane do nich pinezkami zdjęcia i rysunki. Pod jedną ze ścian stał stół zavalony papierami i pokrytymi kurzem teczkami.

Siedział przy nim mężczyzna, który powoli i systematycznie pakował do jasnoniebieskiej foliowej torby pocięte fragmenty fioletowych, niebieskich, czerwonych i białych płatków.

## Rozdział 20

*czwartek 8 sierpnia*

**W** wąwozie pomiędzy mostem nad Parnicą, a raczej wspinającą się na most ulicą Energetyków, a nitką wjazdową Trasy Zamkowej, stoi niepozorny, toporny i brzydki jak nieszczęście budynek. Przykryte prawie płaskim dachem cztery kondygnacje otynkowanej na szaro szpetoty. Jakby tego było mało, od strony Trasy Zamkowej ślepa ścianę budynku zdobi wyleniąta, wyblakła i wyjątkowo beznadziejna reklama Szczecińskich Zakładów Chemicznych, które dawno temu zdążyły się przepoczwarzyć w portową spółkę Baltchem.

Ta straszliwa dzisiaj budowla to pozostałość po jednym z najbardziej niezwykłych budynków Szczecina – kościele Chrystusa Króla, wzniesionego w trzydziestym pierwszym roku na fali zdecydowanie monumentalnego modernizmu, który w Niemczech przybrał formy wyjątkowo brutalne, tak jakby w architekturze swoje piętno odcisnęła rodzący się wówczas nazizm.

Potęzną, wykonaną z żelbetu bryłę wieńczył od strony północnej niezwykle korpus nawowy z pięćdziesięciometrowej wysokości wieżą. Do niej przylegało niższe skrzydło, w którym mieścił się wówczas dom katolickiego marynarza, przytulisko dla wierzących ludzi morza. Całość obłożona była czerwoną cegłą ceramiczną, a w surowych ścianach wykute były otwory, w których mieniły się witraże. W wieży z trzech stron umieszczono zegary, w których zamiast godzin były na nich stylizowane litery układające się w słowa. Od wschodu – Chrystus Król, od południa – Pan Świata, a od zachodu – Tobie Moje Życie.

Koszmarna rudera, która tkwi dzisiaj, przytulona rozpaczliwie do estakady Trasy Zamkowej, to skrzydło po dawnym przytulisku dla

marynarzy właśnie, otynkowane, przebudowane i architektonicznie zbezczeszczone.

Igor wpatrywał się z powątpiewaniem w otwarte w Google Earth zdjęcie budynku.

Kto chciałby podkładać tam bombę? Ta cała konstrukcja musiałaby wręcz wylecieć w powietrze, wraz z częścią Trasy Zamkowej najlepiej, żeby kogokolwiek to zainteresowało.

Pierwszy wybuch w katedrze był kompletnie niegroźny, nic nikomu się nie stało. Ale za to widowiskowość, moment w trakcie koncertu, który ściągnął tam rzeszę słuchaczy i dziennikarzy, przykuły od razu uwagę całego miasta. W drugim przypadku, mimo że wybrany obiekt w portowej straży pożarnej był skromny i mało spektakularny, to eksplozja w czasie największych korków na wjeździe do miasta i widowiskowo zwalające się na samochody rusztowania także dobrano z premedytacją. Zamachowiec osiągnął zamierzony efekt.

W miarę możliwości...

Igor na chwilę zamarł.

Właśnie! W miarę swoich możliwości. Bo przecież czemu nie doprowadził do wybuchu w którejś z galerii handlowych, co wywołałoby znacznie większą awanturę? Albo w urzędzie miejskim? Czy to nie chodzi o to, że dobiera miejsca zamachów, powodując się jakimiś swoimi ograniczonymi możliwościami? Te miejsca muszą mieć zatem wspólny mianownik.

Katedra, portowa straż pożarna. Oba budynki z czerwonej cegły, ale to raczej nie ma znaczenia. W obu prowadzone są prace remontowe...

Przecież to absurdalne, co sugerowała Paulina, ale to właśnie tak się przecież układa. Jakby ktoś stojący za zamachami miał coś wspólnego z tymi budowlami. Jakiś wyrzucony pracownik? Mści się, kierując podejrzenia na swoich pracodawców albo inwestorów?

Tylko po co byłby potrzebny mu ten cały ekologiczny sztafaż?! Te kwiaty. Szyfr.

Szyfr. Igor sięgnął do klawiatury i otworzył na ekranie jeden z maili.

Dziwaczny układ kresek i kropek. Każdy z tych kodów był troszkę inny. Powtarzalne elementy tworzyły jednak inne konfiguracje. Trzy różne układy znaków.

Igor sięgnął po myszkę i otworzył na ekranie wszystkie trzy grafiki. Pierwsza, na kartkach w katedrze, druga, która pojawiła się przed zamachem w porcie, w środę trzydziestego pierwszego lipca, w mailu z pierwszym ostrzeżeniem. I teraz trzecia. Znowu środa siódmego sierpnia.

Zaraz. Paulina mówiła, że kartki z szyfrem znaleziono również po zawaleniu się rusztowania w porcie.

Igor sięgnął ponownie po myszkę i otworzył jeszcze jedną grafikę.

Przez moment wpatrywał się w ekran, porównując wszystkie cztery szyfry. Ten z portu był taki sam jak ze środy trzydziestego pierwszego lipca.

Co to oznacza?

Najpierw kod na kartkach w katedrze. Nazwijmy go numer jeden. Potem mail z innym kodem, numer dwa. W porcie zawałają się rusztowania i pojawia się kod numer dwa. I teraz znowu mail, kod numer trzy. To wygląda na regułę. Gdziekolwiek będzie kolejny zamach, to tam powinien pojawić się kod numer trzy.

Igor ponownie spojrzął na żalną pozostałość po domu parafialnym kościoła Chrystusa Króla. Pomyślał, że to nie może być przecież miejsce kolejnego zamachu. Jaka pokrętna logika kazałaby akurat tutaj podkładać bombę?

Wprawdzie cyfry na tarczach zegarów na wieży były stylizowanymi literami, układającymi się w słowa, ale czy to ma jakieś znaczenie?

Powiększył widok na monitorze i pochylił się. Te litery można było od biedy, przy dużej dozie dobrej woli, rzeczywiście uznać za nieco podobne do znaków z szyfru Heilanda, tak jak napisała to dziennikarka z gazety Pauliny, ale...

Nie, to bzdura.

Litery to był stylizowany gotyk, typowo niemieckie odwołania do średniowiecznych, rycerskich wzorów, a ten szyfr to przecież jakiś kod, złożony z powtarzających się elementów...

Rozmyślenia Igora przerwał nagle niepokojący motyw z *Halloween*.



Igor sięgnął po telefon, zastanawiając się jednocześnie, co mu przyszło do głowy, żeby muzykę z horroru przypisać numerowi swojej księgowej.

Jasnowłosa mężczyzna w granatowym garniturze, w którym nawet niewprawne oko od razu rozpoznałoby robotę dobrego krawca, siedział w skórzanym czarnym fotelu i wpatrywał się w stojącego nad nim brata.

– Kiedy właściwie widzieliście go po raz ostatni? – spytał po dłuższej chwili milczenia, która przeciągnęła się i zawisała między obu mężczyznami, stając się wręcz namacalna.

– W ubiegły czwartek z nim rozmawiałem. – Ciemnowłosa wysoki mężczyzna splótł dłonie za plecami i zrobił kilka energicznych kroków po wielkim pokoju. – Rano. Miał przyjechać do nas na weekend. Na sobotę i zostać do niedzieli. No i się nie pojawił.

– Ale zdarzały mu się już takie wysoki. Pamiętasz, jak w zeszłym roku postawił nas przed faktem dokonanym z tym całym pokazem mody w Paryżu? Musieliśmy robić dobrą minę do złej gry.

– Tak, ale... – Joas stanął. – Od tygodnia nie odbiera telefonów. Zawsze oddzwaniał albo się kontaktował, a teraz nie dał znać nawet Christinie.

– Powiadomiliście swoją byłą żonę? – Jasnowłosa mężczyzna spojrzał z niedowierzaniem na brata.

– Marie do niej dzwoniła. Co miałem robić? Jedzie już tutaj.

– O Boże! – Blondyn westchnął ciężko i spojrzał w okno.

– Już tak nie jęcz, Christian. – Joas patrzył na brata z irytacją. – Zatrzyma się w swoim mieszkaniu. Nie będzie żadnego skandalu.

– Ja nie o skandal się martwię, tylko o to, że ona za chwilę wypaple wszystko jakimś cholernym dziennikarzem.

– Rozmawiałem z nią godzinę temu. Obiecała, że dostosuje się do naszych decyzji.

– Mówiłem ci, że powinien mieć ochronę. – Blondyn nerwowo stuknął palcami w biurko. – Zresztą tak jak i wy. Wasz dom na wybrzeżu nie zapewnia żadnej prywatności. Przecież wasz trawnik widać z okien sąsiednich budynków.

Joas zrobił ponownie kilka kroków po pokoju, nerwowo uderzając dłonią o udo.

– Miał ochronę. Ale jak się zorientował, że chodzi za nim wszędzie tajniak, zaczął oczywiście robić wszystko, żeby go zgubić. Kilka miesięcy temu zażądał, żeby się od niego odczepić raz na zawsze.

– A co on ma do powiedzenia, do diabła! – Blondyn podniósł głos. – Konsekwencje i tak spadają na nas wszystkich. Jeśli nie daj Boże ktoś go porwał...

– Już by się odezwali. – Joas stanął w miejscu i nerwowo zakasłał.

– Może czekają na jakiś dobry moment.

– Nie kracz, do diabła!

– Czy powiadamy matkę?!

Pytanie zawisło w powietrzu. Obaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Lepiej jej na razie nie denerwować – odezwał się w końcu Joas. – Jeśli się okaże nagle, że był na jakimś safari albo w Arktyce na przykład i nie raczył nikogo o tym wcześniej uprzedzić, to tylko narobimy zamieszania.

– Dzwonię do szefa ochrony w takim razie. – Blondyn wziął głęboki oddech, sięgnął po telefon i wystukał numer. – Naradzimy się, jakie kroki poczynić.

– A policja?

– Zobaczymy, co powie Olsson. Potem zadecydujemy.

Ciemnowłosa mężczyzna przytaknął i stanął w miejscu, czekając, aż jego brat połączy się z Paulem Olssonem, byłym agentem służb specjalnych, a obecnie szefem ochrony.

Paulina siedziała przed monitorem i z trudem hamując złość, waliła z całej siły w klawiaturę.

– Co ty właściwie robisz? – nie wytrzymał Piotr.

– Klecę notatkę na nasz portal – odburknęła Paulina. – Ma iść dzisiaj, więc mi nie przeszkadzaj.

Na chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko głośnym stukaniem w klawisze.

– Wiesz, o czym ona kazała mi napisać?

Piotr podniósł wzrok i uśmiechając się niewinnie, spojrzął na Paulinę.

– Wiedziałem, że zaraz mi powiesz.

– Nie denerwuj mnie. Naprawdę muszę to wrzucić do południa.

– A co to jest?

– Relacja z konferencji prasowej Nadleśnictwa Gryfino!

Piotr zachichotał i widząc urażone spojrzenie Pauliny, schował się od razu za swoim monitorem.

– Boże, przepraszam – wykrztusił. – Ale to jest tak złe, że aż komiczne. Przeworska to prawdziwa Cruella de Mon.

– To tam byłaś dzisiaj rano? – spytał po chwili, gdy już przestał się śmiać, wychylając się i zagryzając wargi.

Paulina potwierdziła.

– Wysłuchałam rewelacji, że wycinanie dwusetletnich drzew w Puszczy Bukowej to działania ochronne prowadzone według planu urzędnika lasu. Szutrowe drogi założone jeszcze przez Niemców, które do niedawna nie potrzebowały żadnego remontu, dzisiaj są rozjeżdżone ciężkim sprzętem i są tam dziury metrowej głębokości. Jesienią nie da się miejscami przejść. Cała ta puszcza wygląda obecnie jak rozharatana koparkami szkółka leśna. Jaka szkółka, kurwa! Jak krajobraz po bombardowaniu aliantów. Nadleśnictwo od kilku lat prowadzi tam po prostu zwykłą rabunkową, sowiecką gospodarę, nie dbając o drogi, nawierzchnię ani zachowanie unikalnego charakteru lasów. Po prostu, żeby jak najwięcej sprzedać drewna na deski, a w zamian za to za te zasługi jakaś córka leśniczego dostanie pewnie posadkę w ministerstwie.

– Napiszesz to? – zapytał Piotr.

– Coś ty! – warknęła Paulina ze złością. – Przeworska powiedziała, że to ma być zwyczajna relacja, bez wysnuwania żadnych konkluzji ani zbytecznych komentarzy. Czytelnicy sami mają wyciągnąć wnioski, a ja na gospodarce leśnej się nie znam.

– Poprawię ci humor. – Piotr uśmiechnął się znacząco i kliknął w klawiaturę, otwierając stronę z wiadomościami jednego z popularnych lokalnych portali.

– Nie sądzę. – Paulina, nie podnosząc głowy, wróciła do wściekłego walenia w klawiaturę.

– Posłuchaj tylko... – Piotr pochylił się nad monitorem i zaczął czytać: „Szczecin zamarł w oczekiwaniu na widowiskowy wybuch bomby w prawie nieużytkowanej, zapuszczonej od lat ruinie. Takie przynajmniej wnioski wyciągnęła dziennikarka »Dziennika Szczecińskiego«, która wspomina chwalebą przeszłość gmachu, stawiając tezę, że zamachowiec torpeduje podstawowe wartości społeczne, czemu ma służyć właśnie atakowanie Kościoła oraz wroga ideologia ekologiczna”.

– Ona naprawdę to napisała? – Paulina przestała stukać w klawisze i spojrzała z niedowierzaniem na Piotra.

Piotr pokiwał smętnie głową.

– Nam się wydaje jednak, że jeśli zamachowiec naprawdę chce podłożyć bombę pod dawny komisariat nad Odrą, to reprezentuje chyba lobby zwolenników Ustawy krajobrazowej i w tym akurat przypadku nie należałoby mu przeszkadzać, a zwłaszcza niech nie zajmują się tym dziennikarki „Naszego Dziennika”. Szczecińskiego oczywiście – dokończył ze śmiechem.

– Mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o żarty na ten temat – powiedziała Paulina z niezadowoleniem. – W porcie w końcu zginął człowiek. Nie wiemy, do czego się posunie ten cały Heiland.

– Na pewno nie do podkładania ładunków w tej ruinie. Musiałby być idiotą. Swoją drogą, pierwszy raz widzę, żeby inni z nas szydzili – dodał Piotr z ironią. – Polityka nowej naczelnej przynosi, jak widać, wymierne efekty. Wstajemy powoli z kolan.

– Przeglądałam wczoraj wieczorem różne fora. – Paulina zmieniła temat i podniosła wzrok. – Znalazłam kilka kilometrowych wątków, w których padały różne pomysły rozwiązania tego szyfru z listów Heilanda. Ktoś nawet wkleił skomplikowane obliczenia matematyczne na podstawie tych znaków.

– Chyba też to widziałem.

– Nie znalazłam natomiast niczego przekonującego. Sama też nie mam zielonego pojęcia, co to może być. Dziwne, bo znajoma, która zna się trochę na psychologii, uważa, że zagadka powinna być prosta. Zamachowiec nie używałby nadmiernie trudnego szyfru, bo chodzi mu właśnie o to, żeby ktoś go odgadł.

– No właśnie ja mam cały czas wrażenie, że gdzieś coś takiego już widziałem. – Piotr podrapał się po brodzie. – Ale nie mogę skojarzyć.

– Tak czy siak... – Paulina się zamyśliła. – W poniedziałek już mnie nie będzie w Szczecinie i chyba nie doczekam wyjaśnienia zagadki.

– Chyba że nikt jej nie wyjaśni do twojego powrotu.

– Chyba że tak.

– Słuchaj... – Piotr nagle pochylił się nad biurkiem. – Ten ogromny biały jacht, który stoi przy nabrzeżu Starówka, to jest jacht twoich znajomych?

– Tak, to ten. Nazywa się Pandora.

– I to z nimi w poniedziałek wypływasz? Dlaczego nie pokazałaś mi go wczoraj rano?

– Im mniej osób o tym wie, tym lepiej – syknęła Paulina. – Moja uboczna działalność, w jak na razie nieprzynoszącej żadnych dochodów, a jedynie pochłaniającej pieniądze Anglików spółce poszukiwawczej Sedinum Exploration, lepiej, żeby pozostała anonimowa. – Ale na wyjazd się cieszę! – powiedziała radośnie. – Trzy tygodnie na Bałtyku i na Bornholmie. Już się naprawdę nie mogę doczekać. W porównaniu z białymi pokładami, błękitnym niebem i doskonałą kuchnią Patryka szczecińskie zamachy nie mają żadnych szans. Niech sobie Ulka pisze o nich do znudzenia.

– Do znudzenia to jest dobre określenie. – Piotr spojrział nagle na Paulinę z malującym się na twarzy podnieceniem.

– Słuchaj, a może mógłbym wejść z tobą na pokład i obejrzeć ten jacht? Nigdy nie widziałem niczego takiego nawet na zdjęciach. – Spojrzął na nią błagalnym wzrokiem. – Proszę, proszę...

– Wybieram się dzisiaj do nich na kolację. Mogę cię ze sobą zabrać.

– Fantastycznie! – Piotr się rozpromienił. – I poznam w końcu tego twojego Igora.

– Dobra, ale teraz się zamknij przynajmniej na pół godziny, bo muszę skończyć to gówno z nadleśnictwa. A już jest jedenasta.

Zaraz po dość późnym śniadaniu, do czego zdążył się już tutaj przyzwyczać, Patrick krzątał się po kambuzie i robił porządki. Z tym towarzystwem było tak, że śniadanie niekiedy przeciągało się od godziny siódmej do prawie dwunastej. Po wieczornych imprezach Alice, która nigdy praktycznie się nie upijała i żyła według jakiegoś dietetycznego reżimu, wstawała o szóstej i szła biegać. Czasem towarzyszyła jej Gwen. Potem w mesie pojawiał się Rupert, Johann i inni, a na końcu, gdy dochodziła jedenasta, zazwyczaj Jamie. I oczywiście każdy chciał coś innego do żarcia. Patrick robił zwyczajny szwedzki stół, ale jajka trzeba było przecież zrobić w ostatniej chwili. Gotowane na miękko, w koszulkach, tak, smak, a Alice i Rupertowi, jako wegetarianom, to jeszcze coś innego trzeba było przygotować.

Więc robota przeciągała się do południa. Zazwyczaj pomagał mu Harry. Dzisiaj Artjom zabrał Harry'ego ze sobą do portu, żeby coś tam załatwić, więc został z nowym.

Morten był małomówny. Na wszystkie pytania odpowiadał półgębkiem, co tym bardziej Patrickowi wydawało się podejrzane. Machinalnie wstawiał naczynia do szafek, układał sztucce i dyskretnie obserwował nowego.

Koleś mało się uśmiechał, prawie zawsze zakładał bluzę z kapturem i chował się pod nim jak jakiś zjeb. Patrick był coraz bardziej przekonany, że coś z tym nowym jest nie tak. Wyglądał i zachowywał się jak psychol. Jak się do niego mówiło, to uciekał wzrokiem, na ląd łaził wszędzie sam. No i te zboczone rysunki.

Czy ta Polka nie jest przypadkiem dziennikarką?

Patrick poszukał w pamięci skrawków rozmów, które usłyszał, krzątając się pomiędzy kambuzem, mesą a górnym pokładem. No jasne! Przecież ten Polak, Aigor, coś mówił o jej artykułach. I pan Johann też chyba wspominał o jakiejś gazecie.

Czy to możliwe, że on ma chore fantazje na jej temat? Owszem, laska jest niezła, zwrócił na nią uwagę już dawno temu, gdy zaczęła się pojawiać u Carleyów. Ale kto, do diabła, fantazjuje o obcinaniu komuś głowy?!

Patrick, zezując, spojrział w bok.

Nowy akurat przejechał palcem po ostrzu dużego noża kuchennego, a potem włożył go do szuflady.

Joas chodził tam i z powrotem po gabinecie brata, coraz bardziej zdenerwowany. Wiedział, że rozmowa z Christianem wyprowadzi go z równowagi. Nie dlatego, że brat był irytujący czy zrobił lub powiedział coś, co go zdenerwowało. Po prostu do tej pory nie traktował zniknięcia syna poważnie, odpychał od siebie myśl, że rzeczywiście mogło się coś stać. Teraz w obliczu faktów, a zwłaszcza wobec szefa ochrony, który zadawał bez przerwy jakieś pytania, czuł, jak rośnie w nim niepokój.

– W jakiej sieci komórkowej syn ma numer?

– Telia DK – odpowiedział machinalnie Joas.

– Spróbujemy zlokalizować. Kiedy ostatnio rozmawiał pan z synem?

– W czwartek tydzień temu. Możecie go namierzyć? – Joas spojrział ze zdziwieniem na szefa ochrony. – Bez nakazów?

– Zobaczymy, co się da zrobić, proszę pana.

– Nie możemy wywoływać paniki – wtrącił się Christian. – Zwłaszcza u niego w pracy. To są, było nie było, media. Jak zaczniecie zadawać tam pytania, to od razu rozejdą się plotki.

– Będziemy bardzo ostrożni. Czy można byłoby zrobić spis jego najbliższych przyjaciół, kolegów? Może dziewczyna?

– Z dziewczyną już rozmawiałem. – Joas się nachmurzył. – Nic nie wie.

– Albo kłamie – wtrącił Christian.

– Dlaczego miałyby kłamać?

– Nie denerwuj się, nic o niej nie wiemy.

– Pan Christian ma rację. – Olsson sięgnął po telefon. – Poślemy kogoś, żeby za nią pochodził.

W gabinecie rozległa się nagle elektroniczna wersja walca wiedeńskiego.

Joas sięgnął po komórkę i przejechał palcem po ekranie. Żona.

Przez chwilę słuchał, marszcząc brwi.

– Uspokój się, kochanie – zdołał w końcu wtrącić. – Nie zrozumiałem, co mówiłaś.

– Jestem tutaj. W jego bloku – mówiła Marie załamującym się głosem. – Dzwoniłam do niego spod jego drzwi...

– No i co? – zapytał nerwowo Joas, gdy Marie umilkła.

– Słyszać w środku jego telefon. Coś się musiało stać.

– Uspokój się, kochanie. – Joas, słysząc, jak żona zaczyna płakać, spojrzał na szefa ochrony.

Olsson sięgnął po telefon.

– Posyłam tam ludzi.

– Jadę z wami! – Joas odwrócił się w stronę drzwi.

– Proszę tutaj zostać! – Szef ochrony zdecydowanym ruchem ręki wskazał fotel. – Jeśli oboje państwo pojawią się w tamtym miejscu, od razu ściągniemy sobie na głowę media.

– Olsson ma rację. Marie płacząca na korytarzu pod jego mieszkaniem to wystarczająca katastrofa – wtrącił Christian. – Boję się pomyśleć, co będzie, jeśli ktoś zrobił zdjęcie albo nakręcił film. Zostajemy tutaj i czekamy.

Joas w pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale po chwili wahania skinął zgodnie głową i opadł zrezygnowany na fotel.

Igor odłożył na bok kilka wydrukowanych rysunków i pochylił się nad kolejnym, rzutem parteru. Inwestor właśnie chciał wprowadzić parę zmian do praktycznie gotowego już projektu, skutkiem czego cały zespół architektów musiał teraz poprzesuwać swoje rury, nadproża, instalacje, skrzynki gazowe i Bóg wie co jeszcze. Zmiany, które inwestorom wydawały się nieistotne i drobne, w rzeczywistości pociągały za sobą



lawinę przekształceń całego projektu, niczym przewracające się widowiskowo klocki domina.

I oczywiście w momencie, gdy usiłował się skupić, zadzwonił telefon.

Igor przez chwilę patrzył na komórkę z nienawiścią, po czym sięgnął i ścisnął ją w rękę.

– Słucham? – wypalił niezbyt grzecznie.

– Panie Igorze. Tu Pawelczyk. – Głos kierownika budowy od spichrzów nie wróżył nic dobrego. – Mamy kłopoty z odgruzowywaniem, więc na piątek nie zdążymy oczyścić do końca.

– Jakie kłopoty? Znowu jakiś beton?

– Nie. – Pawelczyk westchnął. – Ludzi nie mam. Ściągamy właśnie paru z innej budowy. Pamięta pan, co mówiłem o tych, co się poparzyli i wycyganili zwolnienie od felczera jakiegoś? No to dzisiaj rzekomo w szpitalu byli na badaniach. A mieli dzisiaj do roboty wrócić. Łobuzerka!

– W szpitalu? – Igor z niedowierzaniem spojrział w okno. – Po tym jak sobie poparzyli ręce?

– No sam pan widzi. Pewnie wymyślili coś, żeby siedzieć na pełnopłatnym chorobowym. My ich tu na umowę o pracę zatrudniamy przecież. Tak więc...

– A w jakim szpitalu?

– Na Unii. Tak więc...

– Na jutro umówiłem do was moich studentów na pomiary.

– No jeszcze jest częściowo zagruzowane, tak więc przyjść mogą, ale wszystkiego nie pomierzą.

– O Boże.

– No tak to jest. Ale najważniejsze, że otwory w środkowym spichrzu są już zrobione, bo jak tu byłoby opóźnienie, to już nawet nie chcę myśleć.

– Dobra. – Igor zmarszczył czoło. – To przynajmniej zaczną, a kończyć będą w przyszłym tygodniu, bo wątpię, że będzie im się chciało w weekend.

– Okej, w porządku.

Igor odłożył telefon na stół i spojrzał ponownie na rysunki.  
Co on właściwie miał zrobić? Całą koncentrację szlag trafił.

Jamie stał na górnym pokładzie i wpatrywał się w przechadzających się po bulwarze spacerowiczów. Do tych ładniejszych i młodszych kobiet, które przystawały, żeby obejrzeć jacht, machał przyjaźnie ręką i uśmiechał się z miną dumnego posiadacza.

Usprawiedliwiał się, że każdy facet zrobiłby tak na jego miejscu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła właśnie szesnasta. Dopiero co zjadł obiad. Patrick to łobuz był w końcu, ale cokolwiek by o nim mówić, gotować drań potrafił.

Jamie właśnie miał się oderwać od relingu i usiąść na słońcu, już sobie nawet wypatrzył leżak, gdy zobaczył, jak po trapie na rufie schodzi na brzeg Morten.

Chłopak rozejrzał się, a potem nałożył na głowę kaptur, wsadził ręce w kieszenie i ruszył wzdłuż brzegu w kierunku mostu.

Jamie od początku uważał, że coś z tym kolesiem jest nie tak. Nawet zaraz po tym jak chłopak wsiadł na pokład w Kopenhadze, usiłował rozmawiać o tym z Johannem. Ale Johann jak to Johann, lekkoduch i pełen wiary w ludzi idealista.

A cholera wie, kim tak naprawdę jest ten cały Morten. Rzekomo student, rzekomo zna się na nurkowaniu i w ogóle studiuje gospodarkę morską, ale coś w nim mu nie grało.

Jamie posunął się nawet do tego, że skontaktował się z Duńskim Uniwersytetem Technicznym, gdzie niestety nie tylko potwierdzili, że u nich studiuje, ale nawet wystawili mu niezłą opinię. Morten Knut Haraldsson. Ale co to ma do rzeczy?!

Mało to było psychopatów po studiach? Wprawdzie Jamie nie mógł sobie akurat żadnego przypomnieć, ale... Zaraz, zaraz. A Albert Wiktor, wnuk królowej Wiktorii? Chodziły nawet słuchy, że mógł być Kubą Rozpruwaczem. O to samo podejrzewano także Lewisa Carolla, tego od *Alicji w Krainie Czarów*, słynnego pisarza. A Ted Bundy to przecież w ogóle skończył psychologię i studiował prawo.

Więc co za problem, żeby psychopatą był jakiś student z Kopenhagi?

Jamie patrzył za oddalającą się sylwetką w czarnym kapturze i nagle drgnął. Właściwie co on ma lepszego do roboty? Ajgor i Paula będą tu dopiero po osiemnastej, ma więc sporo czasu, żeby się rozejrzeć.

Kto wie, co w takim portowym mieście jak Szczecin może chcieć robić taki psychol? Może jak za nim pójdzie, uda mu się zdobyć dowód i go przyskrzynią?

Oderwał się od relingu, pobiegł do swojej kabiny, chwycił plecak i po namyśle okulary słoneczne i szybkim krokiem zszedł po trapie na bulwar.

Jak to dobrze, że wszystkich zmógł po obiedzie upał i teraz leżakowali na górnym pokładzie. Przynajmniej nie musiał się nikomu tłumaczyć.

Drzwi chronione zwykłym patentowym zamkiem stanęły otworem bez żadnego oporu. Wystarczyło kilka sekund, a jeden z trzech ubranych w stalowoszare garnitury mężczyzn włożył do dziurki od klucza dwie cienkie blaszki i nacisnął klamkę.

Marie natychmiast chciała wejść do środka, ale Olsson łagodnie, lecz stanowczo ją przed tym powstrzymał.

W środku panował półmrok. W sporym otwartym wnętrzu były zasłonięte żaluzje. W głębi, za półotwartymi przesuwными drzwiami, widać było łóżko, a na nim stertę porozrzucanych rzeczy.

Dwaj mężczyźni w garniturach weszli do środka. Jeden podszedł do panelu na korytarzu i na małym ekranie wybrał jedną z funkcji. Po chwili żaluzje w całym mieszkaniu powoli zaczęły się otwierać, a przez duże okna do środka wpadło słońce i ułożyło się na meblach i podłodze z ciemnego dębu długimi złocistymi smugami.

W aneksie kuchennym, na ciemnoszarym blacie wyspy, stały dwa kubki, a obok leżała gazeta i kilka nieotwartych listów. I telefon.

Jeden z mężczyzn otworzył drzwi do sypialni i wszedł do wnętrza.

Spora szafa była otwarta. Na podłodze stały buty, a obok leżała dżinsowa kurtka.

– Nikogo tu nie ma, szefie – zawołał jeden z mężczyzn do stojącego w progu Olssona. Po chwili do środka weszła Marie.

– Proszę niczego na wszelki wypadek nie dotykać. – Olsson powstrzymał kobietę przed sięgnięciem po leżącą na blacie komórkę.

– Wygląda tak, jakby w pośpiechu się pakował – skomentował agent stojący przed szafą w sypialni.

Spojrzał na leżącą u jego stóp kurtkę i zmarszczył brwi. Dyskretnie skinął na szefa, a następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej marynarki i wyjął żółte lateksowe rękawiczki.

Ukucnął i ostrożnie złapał za połę kurtki.

Po chwili milczenia spojrzał na Olssona, który podniósł wysoko brwi i sięgnął do kieszeni po telefon.

Na wewnętrznej stronie kurtki widać było kilka ciemnoczerwonych plam.

Jamie dogonił Mortena dopiero na drugim brzegu, gdy chłopak przechodził przez jezdnię. Jamie, w okularach przeciwsłonecznych i z narzuconym na ramiona plecakiem, był jakieś kilkadziesiąt metrów za nim. Szedł, obserwując wysoką sylwetkę w czarnej bluzie z kapturem.

Chłopak wybrał szeroką, wznoszącą się od strony mostu pod górę ulicę, a gdzieś na wysokości wielkiego ceglanego kościoła, katedry chyba, o ile Jamie pamiętał z rozmów z Ajgorem, skręcił nagle w lewo i zniknął za rogiem.

Jamie przyspieszył i prawie biegiem dopadł do narożnika budynku, a następnie, markując wolny krok, ruszył ponownie przed siebie. Od głównej ulicy odbiegała tutaj jakaś wąska ścieżka pomiędzy budynkami. Na jej końcu właśnie zniknął Morten.

Jamie, już trochę zdyszany, dobiegł do kolejnego narożnika i ostrożnie wyjrzał. Na rogu była tutaj jakaś mała knajpka, a po drugiej stronie wznosił się ogromny budynek z wieżą.

Rozejrzał się w panice i już myślał, że zgubił chłopaka, gdy ujrzał szczupłą sylwetkę na końcu biegnącej przed tym wielkim gmachem ulicy.

Już chciał ruszyć za nim, gdy Morten nagle stanął i zdjął kaptur.

Jamie odruchowo się odwrócił i zaczął grzebać w kieszeni, usiłując wyjąć komórkę.

Morten tymczasem zadarł głowę i przyglądał się z zainteresowaniem budynkowi.

Jamie markował pisanie esemesa. Miał nadzieję, że Morten nie spojrzy w jego kierunku. Cholerny turysta się znalazł. Myślałby kto, że zainteresowała go szwabska architektura.

Podniósł dyskretnie wzrok, a w tym samym momencie Morten się odwrócił i zboczył za winklem w prawo.

Jamie ruszył za nim, gdy był przy narożniku budynku, skręcił i stanął w miejscu, spłoszony. Dalej biegł w dół podjazd, otwierający się na położony w głębi plac, a za nim stał kolejny wielki gmach wyglądający trochę jak szkocki zamek. Rzecz w tym, że akurat nikt tutaj nie spacerował i gdyby tylko Morten, który dotarł już do przebiegającej niżej ulicy, odwrócił się, miałby Jamiego jak na dłoni. I nie pomogłyby żadne okulary przeciwsłoneczne.

Jamie cofnął się za róg i wychylając się raz po raz, obserwował chłopaka.

Morten przeszedł ulicę i zaczął się piąć w górę w kierunku ogromnego zamku z czerwonej cegły. Jamie poczekał, aż jego sylwetka będzie ledwie rozpoznawalna, i ruszył za nim szybkim krokiem.

Morten był wyższy, szczupły i miał długie nogi, co zdaniem Jamiego dawało mu fory na samym wstępie tego pościgu. Jamie, zmachany, dotarł do ulicy pod zamczyskiem – coś mu się kojarzyło, że chyba Ajgor mówił, że to ratusz – a Morten w tym momencie skręcał właśnie w boczną ulicę.

Po pokonaniu jeszcze kilku przecznic Jamie doszedł do irytującego wniosku, że chłopak rzeczywiście chyba po prostu zwiedza Szczecin i nie ma żadnych złych zamiarów. I tylko niepotrzebnie zrobił sobie przebieżkę po tym cholernym mieście, po której wieczorem nie będzie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

Tymczasem Morten wszedł w wąską ulicę, jej środkiem jechał właśnie tramwaj, i posuwał się wzdłuż odrapanych kamienic z małymi sklepikami i punktami usługowymi na parterach.

Na szczęście między nimi spacerowało kilka osób, więc Jamie mógł w miarę bezpiecznie go obserwować.

Z poprzecznej ulicy wyszli nagle naprzeciw nim dwaj umundurowani policjanci. Morten był od nich może dwadzieścia, może trzydzieści metrów.

I ku zdumieniu Jamiego nagle się zatrzymał. Jamie, skonsternowany, stanął także.

Morten rozejrzał się nerwowo wokół siebie, jakby oceniając szansę ucieczki, po czym rzucił się nagle w prawo i wpadł do środka jakiegoś sklepiku czy cukierni.

Jamie widział z daleka stojącą przed sklepem reklamę z wymalowanym na niej słodkim precelkiem. Stanął jak wryty i nie wiedząc, co dalej robić, wykonał gest, który zdołał się już odcisnąć w kodzie genetycznym każdego Europejczyka poniżej pięćdziesiątki, czyli sięgnął po telefon.

Komórka pisnęła, raz, drugi i wyłączyła się.

Jamie przez chwilę stał, wpatrując się tępo w ekran, i dopiero po dłuższym czasie zorientował się, że właśnie wyładowała się bateria.

Czując, irracjonalną wprawdzie, niemniej całkowicie autentyczną panikę, podniósł wzrok, a widząc wciąż zbliżających się policjantów, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył z powrotem. Gdy dopadł rogu, skręcił i wślizgnął się do pierwszej wolnej przestrzeni, jaka napatoczyła się w fasadzie budynku, a była to konkretnie brama na podwórze.

Zatrzymał się za załomem muru i ciężko oddychał.

Coś było nie tak z tym krajem, o ile orientował się z doniesień mediów. Czytał coś o policjantach, którzy ot tak sobie zakatowali niewinnego chłopaka na komisariacie. Chyba ich uniewinnili czy zasądzili jakieś śmiechu warte wyroki. Poza tym prześladowali tutaj obcokrajowców i gejów. Wprawdzie nawet przy ogromnej dozie złej woli trudno byłoby go pomylić z wyznawcą islamu, bo pewnie to ich prześladują najbardziej, jak nietrudno się domyślić, ale może Szkotów też nienawidzą?

A jak udowodni, że nie jest gejem? Ta samotna wycieczka to nie był jednak dobry pomysł.

Morten!

Przypomniał sobie o nowym marynarzu z Pandory, wyjrzał zza rogu i nie widząc nigdzie policjantów, ruszył z powrotem. Dotarł do maleńkiej

cukierni, przeszedł się jeszcze kawałek, skręcił w jakąś uliczkę i stwierdził w końcu, że zgubił chłopaka.

Co gorsza, nie miał komórki i nie wiedział, gdzie jest.

## Rozdział 21

**P**iotr przejechał palcami po włosach i przejrzał się po raz kolejny w lustrze. Chyba było okej. Nie miał pojęcia, jak się ubrać na kolację na jachcie w takim towarzystwie. Przez chwilę myślał nawet o białej koszuli bez krawata, nawet zadzwonił do Pauliny, żeby o to zapytać. Wyśmiała go i kazała włożyć wygodny T-shirt.

No więc założył granatowe dzinsy, dopasowaną ciemną marynarkę i białą koszulkę. W pierwszej chwili chciał wystąpić w polo od Tommy'ego Hilfigera, ale po zastanowieniu stwierdził, że chociaż dla niego wydatek trzech stów to była skończona ekstrawagancja, to w tym towarzystwie nikomu nie zaimponuje, a nawet więcej, może się wydać śmieszny. Założył więc zwykłą białą koszulkę bez żadnych widocznych emblematów.

Złapał plecak i już miał wyjść, gdy zadzwonił telefon.

Spojrzał na wyświetlacz, gotów odrzucić połączenie, bo nie miał już czasu, ale na ekranie ukazało się imię koleżanki, do której ostatnio zwrócił się z pewną sprawą.

– Hej, Piotruś! – Koleżanka miała strasznie zachrypnięty głos. – Jutro piątek, a ja właśnie lecę gardło.

– Smuteczek – powiedział Piotr współczująco. – Ale w klubie i tak się nie da gadać, a tańczyć możesz.

– Nie pleć. Zostaję w domu z kotem. Przyjrzałam się temu, o co prosiłeś.

– No... – Piotr przycisnął telefon do ucha. – I co?

– Wszystkie płatki to jeden i ten sam gatunek. Ketmia.

– Co takiego? – Piotr podniósł brwi.

– Ketmia. Hibiskus. Różne odmiany ogrodowe.

– Jesteś pewna?

– Tak, misiu. Jestem.



– To by wskazywało, że facet sobie ułatwił robotę, kupując jeden gatunek z jakiegoś sklepu internetowego.

– Niezupełnie. – Koleżanka odkasznęła. – W sklepach internetowych są zazwyczaj małe sadzonki. I raczej bez kwiatów. Za większe musiałyby więcej zapłacić, a i tak, żeby zebrać aż tyle płatków, musiałyby kupić ze dwadzieścia sporych krzewów.

– Hmm. – Piotr spojrział w lustro.

Zobaczył swój zamyślony wzrok. I zegar na ścianie nad ramieniem.

– Ojej, muszę lecieć, bo się spóźnię, przepraszam. Dzięki, odwdzięczę ci się jakoś, jak wyzdrowiejesz, pa, pa.

Złapał plecak i wypadł na klatkę schodową.

Christian intensywnie nad czymś się zastanawiał, jednocześnie głośno stukając palcami w biurko. Marie stała przy oknie i co chwilę wycierała nos w chusteczkę. Tylko Joas chodził po gabinecie niczym uwięziony w klatce lew.

– Przestań stukać, bo mnie szlag zaraz trafi! – Stanął i spojrział na brata ze złością.

– Joas! – Marie odwróciła się i popatrzyła na męża z dezaprobatą.

– W porządku, Marie. – Christian podniósł dłoń w uspokajającym geście. – Joas jest zdenerwowany i trudno mu się dziwić.

– Czekamy czy dzwonisz do Jensa? – Joas się zatrzymał i głęboko odetchnął.

– Jesteście pewni, że nikt się do was nie odzywał? Nie dzwonił? Żadne z was nie dostało maila z żądaniami? – Christian powiódł spojrzeniem po twarzach brata i jego żony.

– Sprawdzalam w drodze tutaj. – Marie pokręciła głową i chlipnęła, znowu sięgając po chusteczkę.

– Jesteś przekonana, że to jego kurtka? – Joas popatrzył na żonę.

– Nie znam na pamięć całej jego garderoby, ale była u niego w mieszkaniu, to czyja ma być?

– Kolegi? Znajomego? – Christian wstał i zrobił kilka kroków po gabinecie. – Nie dramatyzuj. Jeszcze wszystko może się okazać jakimś totalnym nieporozumieniem.

– Bardzo przepraszam – odezwał się stojący z boku i milczący Olsson. – Wydaje mi się, że powinniśmy zawiadomić służby. Jeśli państwo pozwolą, to skontaktuję się z szefem Policyjnej Służby Wywiadowczej osobiście.

– A co jeśli oni się odezwą i zakazą kontaktu z policją i kimkolwiek? – Marie podniosła chusteczkę do oczu.

– Na razie się nie skontaktowali, a mija właśnie tydzień. – Olsson cedził słowa. – Musimy być przygotowani na to, że to nie jest jednak zwykłe porwanie z okupem.

– Co masz na myśli? – Joas odwrócił się do szefa ochrony.

– To najczarniejszy scenariusz i absolutnie nic na to jeszcze jednoznacznie nie wskazuje, ale lepiej, żebyśmy się przygotowali na wszystko. Policja kilka miesięcy temu udaremniła zamach w centrum Kopenhagi, aresztowano dwudziestu zamachowców, którzy skupywali broń i komponenty do produkcji materiałów wybuchowych, a wcześniej, jak państwo wiedzą, aresztowano szaleńca, który opublikował w sieci poradnik, jak zamordować syna.

– Groził odcięciem głowy synkowi Williama – przerwała mu Marie, patrząc na męża, i się bezradnie rozpląkała.

Joas, blady jak ściana, podszedł powoli do fotela i ciężko usiadł.

Paulina wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi swojego mini. Ruszyła przed siebie, słysząc za plecami, jak ciche piśnięcie informuje o włączeniu alarmu.

W świetle tego, co się działo w redakcji, zaczynała już żałować, że kupiła ten samochód. Raty miała spłacać jeszcze przez trzy lata, a wcale nie były niskie.

No ale przynajmniej jeszcze tylko jutro i wreszcie ten upragniony urlop. Przez trzy tygodnie nie będzie musiała oglądać Przeworskiej, a jak wróci, to już jakoś zleci do powrotu Pawła.

Na bulwarach było sporo ludzi. Słońce o tej porze, a dochodziła dziewiętnasta, straciło na zjadliwości, stało się mniej intensywne, nabrało patyny, powoli przygotowując się do zmierzchu. Idealny moment na spacer. Kolacja na pokładzie słonecznym Pandory będzie jak zwykle cudowna.

Piotra zobaczyła już z daleka.

Siedział na ławce przy bulwarze i wpatrywał się w wodę. Zauważył ją chyba kątem oka, bo odwrócił się, poderwał z ławki i szeroko uśmiechnął.

– Nareszcie jesteś. Ale się denerwuję. A co w ogóle powiesz, że co?

– Że chciałeś obejrzyć jacht i że razem pracujemy. – Paulina z uśmiechem wzruszyła ramionami, poprawnie odgadując, o co chodziło Piotrowi.

– A ten koleś, ten cały Johann, naprawdę jest lordem?

– Jest synem lorda, to tytuł dziedziczny, o ile coś tam wiem na ten temat. Pamiętaj, że Dermot, Gwen i Alice są z tej samej sfery, więc żebyś nie palnął czegoś wyłącznie do Johanna.

– Super. To mnie uspokoiłaś – jęknął Piotr.

– Przestań się w ogóle przejmować. Po kilku zdaniach zamienionych z Jamiem cały ten dystans ci minie.

– A gdzie Igor? – Piotr się rozejrzył.

– Przyjedzie oddzielnie. Jest jeszcze na jakiejś budowie. Dzwonił, że się chwilę spóźni. Chodź, idziemy.

Paulina skinęła ręką w kierunku bielejącego kilka metrów dalej ogromnego jachtu.

– Poczekaj! – Piotr złapał ją za ramię i spojrzał w kierunku samochodu.

– Nie zostawiłaś przypadkiem w środku światła?

Paulina odwróciła się i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Znowu! Bez przerwy mi się to zdarza! Niby nowy samochód, a drzwi domykać trzeba mocniej. Zaraz wracam.

Poszła szybkim krokiem z powrotem w stronę parkingu, a Piotr, rad nierad, przestępując z nogi na nogę, odwrócił się w stronę Pandory.

– Halo! – Doleciało nagle do niego wołanie.

Podniósł wzrok i zobaczył, jak z górnego pokładu macha do niego jakaś dziewczyna, a stojący obok złotowłosa mężczyzna uśmiecha się przyjaźnie.

– To ty jesteś Piotr? – zapytała dziewczyna po angielsku. – A dokąd ona pobiegła?

– Tak, dzień dobry. Zapomniała światel wyłączyć – odpowiedział Piotr nerwowo.

– To chodź tu do nas. Miło cię poznać.

Piotr, oglądając się za Pauliną, ruszył w kierunku jachtu i wkrótce znalazł się na dolnym pokładzie, gdzie przywitał go dwornie jasnowłosa chłopak, a po chwili rozległ się stukot kroków i stanęła przed nim dwójka, z którą przed chwilą rozmawiał.

– Jestem Gwen. – Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę. – Paulina miała rację, jesteś uroczy. – Uśmiechnęła się.

Piotr oblał się rumieńcem, a przed Johannem ze zdenerwowania o mały włos nie dygnął. Z opresji wybawiła go Paulina, wchodząc na trap i głośno się witając ze wszystkimi.

Kolacja podana na najwyższym pokładzie przebiegała w swobodnej atmosferze. Piotr musiał odpowiadać na dziesiątki pytań, głównie zachwyconych nim Gwen i Alice, ale i panowie chcieli wiedzieć, jak wygląda praca w redakcji w odbiorze kogoś innego niż Paulina. Po godzinie i po kilku kieliszkach wina Piotr poczuł się na tyle swobodnie, że zaczął nawet żartować, ale to Paulina pierwsza zauważyła, że coś jest nie tak.

Rozmowa, mimo że swobodna, była zbyt kurtuazyjna.

– A gdzie jest Jamie?

Na chwilę przy stole zapanowała cisza.

– No właśnie – podjął temat Dermot. – Wiedziałem, że coś jest nie tak. Myślicie, że on śpi?

– Nie widziałam go od obiadu. – Gwen spojrzała na Johanna. – Może poszedł z Artjomem do miasta?

– A Artjom poszedł do miasta? – Johann odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Johann...

– No a skąd mam wiedzieć?

– Widzę, że nikt tutaj nie ma żadnej kontroli nad tą łajbą. – Dermot sięgnął do kieszeni po komórkę i po chwili wszyscy, zajmując się jednocześnie opróżnianiem talerzy, od niechcienia, ale z ciekawością wpatrywali się w niego i czekali na połączenie.

– Włącza się poczta.

– Wypadł za burzę – bąknął Rupert. – Dlatego komórka z dna nie odbiera.

– Dobra. To dorosły facet. Znajdzie się. Pewnie poszedł na spacer.

Na schodach rozległy się kroki i po chwili na pokładzie stanął Igor.

– Nareszcie! – Gwen wstała, żeby się z nim przywitać. – Właściwie to powinniście się już chyba zaokrętować. Kabina... kabiny, jak tam wolicie – poprawiła się szybko, rzucając rozbawione spojrzenie Paulinie. – Już czekają.

– Ustaliliśmy, że w weekend przywozimy manele. – Igor pomachał wszystkim i podszedł do stołu. – My się jeszcze nie znamy. – Uśmiechnął się do Piotra, który poderwał się i wyciągnął do niego rękę.

– To ty jesteś ten słynny Piotr.

– A ty ten słynny Igor.

– Dokładnie. – Igor wskazał sam na siebie. – To ja, we własnej osobie.

– Wiele o tobie słyszałem. – Piotr puścił oko do Pauliny.

– Ja o tobie też. Dlatego będziemy musieli to skonfrontować.

– Nie gadać po polsku! – wtrącił się Johann. – Uprzedzam jednocześnie lojalnie, że już sporo słów rozumiem.

Igor odsunął krzesło i usiadł obok Johanna.

Po chwili wszyscy pograżyli się w rozmowie i przekomarzaniach. Patrick i Harry, prawie przez nikogo niezauważeni, powoli zbierali ze stołu naczynia z jedzeniem i przystawkami, a w zamian za to przynieśli tace z kieliszkami i szklankami i poustawiali na kontuarze barku, nad którym zawieszona płócienna plandeka rozświetlona była teraz zachodzącym słońcem.

Piotr na chwilę uwolniony od Gwen i Alice, które postawiły sobie za punkt honoru opiekę nad nim, wstał i podszedł do stojącej przy barze i nalewającej sobie soku pomarańczowego Pauliny.

– Nie mówiłem ci, ale mam taką koleżankę, która pracuje na wydziale biotechnologii.

– Tak? – Paulina spojrzała na niego z zaciekawieniem. – Nalać ci coś?

– Nie, dzięki, mam jeszcze wino. – Podniósł do góry kieliszek. – Zaniósłem do niej przedwczoraj te płatki kwiatów i właśnie jak wychodziłem z domu, to do mnie zadzwoniła.

– Wydział biotechnologii mówisz?

– No właśnie. I wiesz, co się okazało?

– Co? – Paulina, słuchając go jednym uchem, obserwowała, jak towarzystwo powoli przemieszcza się od stołu w kierunku barku i kilku sof, za którymi mieniła się woda w sporym, podświetlonym basenie jacuzzi.

– O czym mówicie? – spytał Johann, który podszedł właśnie do nich z Igorem.

Piotr, chcąc nie chcąc, zaczął od początku.

– Wszystkie płatki pochodzą z tej samej rośliny – oznajmił, gdy dobrnął ponownie do końca. – Nazywa się ketmia.

– Chińska róża? – Paulina spojrzała na Piotra ze zdziwieniem. – Hibiskus?

– Teraz właśnie kwitną – odezwała się Alice, która razem z Gwen podeszła i przystanęła tuż obok. – Bardzo piękne. Odmiany mają kolory od białego do ciemnego fioleto.

– To tylko ja, jak widzę, nie wiedziałem w ogóle, co to jest – zdziwił się Piotr.

– Mam trzy rozrośnięte krzaki w ogrodzie. – Paulina upiła łyk soku i odstawiła szklankę na blat barku. – Podobno przynosi nieszczęście.

– W Polsce też się tak mówi? – Alice podniosła wzrok z zainteresowaniem. – Myślałam, że to angielska legenda. Moja mama jest zapaloną ogrodniczką, a hibiskus jest bardzo popularny w angielskich ogrodach. Z tego, co pamiętam, to przybył do Europy z Chin. Według

jednego z przekazów rozpowszechnił go we Francji Paul Gauguin, który każdej malowanej przez siebie kobiecie wkładał ten kwiat we włosy.

– I stąd ta legenda o tym, że przynosi pecha? – Johann spojrział na nią z powątpiewaniem i zaczął rozlewać czerwone wino do kieliszków.

– No skądże. – Alice spojrziała na niego pobłaźliwie. – Legenda o tym, że chińska róża przynosi nieszczęście, jest zupełnie inna. – Wzięła od Johanna kieliszek z winem. – Podobno w ogrodzie pewnego starego hotelu rosła wyjątkowo piękna odmiana hibiskusa o intensywnie fioletowych kwiatach. Gościom tak się podobała, że bez przerwy ucinali sobie sadzonki, doprowadzając krzew prawie do śmierci. Wtedy jedna z pracownic hotelu postawiła przy krzewie tabliczkę z informacją, że kwiaty są silnie trujące i rakotwórcze. Od tego momentu przestano go ogołacać, a ta historia rozprzestrzeniła się po całej Anglii.

– A mój ojciec opowiadał, że chodziło o szpital i o krzew rosnący w wielkiej donicy stojącej w holu. – Paulina uśmiechnęła się do Alice. – Od tego czasu podobno wszyscy powtarzali sobie, że hibiskus w ogrodzie przynosi w domu nieszczęście. Miejskie legendy.

– Miejskie legendy – powtórzył z namysłem Piotr. – Ciekawe, czy to ma jakieś znaczenie.

– Dla zamachowca? – spytał Igor.

Piotr przytaknął.

– Bo z jakiego powodu wybrałyby wyłącznie płatki kwiatów hibiskusa?

– Możliwie, że całkiem prozaicznego. Hibiskus jest jednym z bardzo nielicznych krzewów, które kwitną w sierpniu – stwierdziła Alice.

– No właśnie! – Paulina jej przytaknęła. – Akurat miał do nich łatwy dostęp.

– Tylko w jaki sposób? – Mina Piotra nadal zdradzała wątpliwości. – Gdzie by zerwał tyle kwiatów? Zakładając, że ma je u siebie w ogrodzie na przykład, to przecież ktoś by zauważył, że nagle ogołocił wszystkie krzaki i zostały same gałęzie.

– Jakież sklepy ogrodnicze? Hurtownie? – włączyła się Gwen. – Może zamówił po prostu przez internet?

– Podobno sadzonki oferowane przez internet nie mają najczęściej kwiatów, a jeśli nawet, to musiałyby kupić ich tony.

– Poza tym zamawianie przez internet dziesiątek sadzonek hibiskusa mogłoby zostać łatwo wykryte przez policję – wtrącił Igor.

– Może policja właśnie to sprawdza?

– Dlaczego wy wszyscy stoicie przy tym bufecie, do diabła?! – zawołał nagle Dermot, który chwilę wcześniej rozparł się na sofie i rozmawiał z Rupertem. – Nie możecie się tutaj jak ludzie? I dlaczego sir Carley robi za barmana, a nie Patrick albo Harry?

– Odczep się od chłopaków. – Johann poustawiał na tacy całą kolekcję szkła, zabrał dwie butelki wina pod pachę i ruszył z tym wszystkim w kierunku Dermota. – Dałem im już wolne. Co, nie potrafisz sam sobie wina nalać?

– O czym tam gadaliście?

– O szczecińskim zamachowcu. – Johann postawił tacę na ławie i opadł na sofę.

Po chwili reszta towarzystwa porozsiadała się dookoła.

Jeden Rupert podniósł się, podszedł do relingu i spojrzał w dół.

Traf chciał, że akurat w tym momencie przy bulwarach zatrzymała się taksówka.

– No proszę – powiedział z irytacją i odwrócił się. – Jest i nasza zguba.

Z taksówki wygramolił się Jamie i zataczając się, ruszył w kierunku jachtu.

– Jeszcze ma szansę wypaść za burtę – zauważył Dermot, który stanął obok Ruperta i obaj przyglądali się teraz z rozbawieniem, jak ich kolega gramoli się na trap.

Patrick przebrany w dżinsy i białą koszulę z krótkimi rękawami, stał oparty o reling na dolnym pokładzie i czekał na Harry'ego, który jeszcze się przebierał w kabinie.

Chcieli przejść się po mieście i wypić gdzieś jakieś miejscowe piwo. Młody Carley był w porządku, na takich spotkaniach jak to dzisiaj on i jego



przyjaciele radzili sobie sami. Nie trzeba było wokół nich skakać i nalewać każdemu wina, jak tylko jedno z drugim zobaczyło dno w kieliszku. Co innego z jego ojcem. Tam tego typu imprezy przeciągały się często do pierwszej–drugiej, a oni z Harrym musieli cały czas być pod ręką.

Ale nie narzekał. Gdzie on by tyle zarobił, co u Carleyów? W żadnej knajpie w Londynie, a jeśli już, to musiałby się naharować jak wół.

Jamie właśnie, trzymając się kurczowo poręczy, wchodził ostrożnie po trapie na pokład.

Patrick obrzucił go rozbawionym spojrzeniem. Ciekawe, gdzie ten grubas się pętał sam. Jeśli trafił do jakiegoś klubu go-go albo burdelu, to jeszcze się zaraz okaże, że mu wyczyścili kartę.

Jamie stanął w końcu na pokładzie, nadal trzymając się asekuracyjnie burty.

Patrick oderwał się od relingu i podszedł do niego.

– Pomogę – powiedział, uśmiechnął się i wziął Jamiego pod ramię.

– Nic mi nie jest! – Jamie wyrwał się i zataczając się, ruszył w kierunku schodów na górny pokład.

– Może lepiej niech pan się położy?

– A co ja niby robię? Tylko muszę tam dojść. Ten łobuz wrócił?

– Kto, proszę pana?

– Ten nowy, Morten?

Patrick spojrzał na Jamiego z ciekawością. No proszę. Jednak oni się też na nim poznali.

– Nie zauważyłem, niestety.

– Mam podejrzenia, że... – Jamie zatrzymał się u dołu schodów. – Policja go... szuka.

– Co takiego? – Patrick otworzył szeroko oczy. – Policja?

Z góry dobiegł nagle tętent zbiegających dwóch par nóg i po chwili na szczycie schodów pojawił się Dermot, a za nim Johann.

W drzwiach do kajut najniższego pokładu stanął Harry i obrzucił zaciekawionym spojrzeniem czterech mężczyzn.

– Możemy w czymś jeszcze pomóc? – zapytał przytomnie.  
– Nie, wszystko w porządku. – Johann machnął ręką.  
– Tylko wy macie wrócić w lepszym stanie. – Dermot rzucił im surowe spojrzenie i złapał Jamiego pod ramię.  
– Tak jest! – Harry uśmiechnął się szeroko i po chwili schodzili z trapu na bulwar.

Patrick spojrzął za siebie.

Co ten grubas miał na myśli? Policja szuka nowego?

– Widziałeś Mortena? Wrócił już?

Harry skinął głową.

– Tak, godzinę temu nawet. Jak wychodziłem z kabiny, to siedział w naszej mesie i pił herbatę, ćwok. Może powinniśmy go zabrać ze sobą? – Zatrzymał się.

Patrick spojrzął niezdecydowanie w kierunku jachtu.

– Teraz, jak dopiero wrócił? Pewnie i tak nie będzie chciał.

Harry wzruszył ramionami i obaj poszli w kierunku ciżby młodych ludzi, którzy imprezowali już na bulwarach, niedaleko mostu Długiego.

Na bulwarach świeciły się już latarnie. Z przeciwległego brzegu dochodziły dźwięki wciąż jeszcze pograżonego w zgiełku miasta, ale tłum spacerowiczów po obu stronach Odry powoli zaczął się przersedzać.

– To co ten statek badawczy robi właściwie od wtorku? – spytał Piotr na wieść o czerwonoburtowym duńskim statku badawczym, który wraz z Pandorą miał brać udział w poszukiwaniach średniowiecznego okrętu na Bałtyku. – Rozpoczęli już te poszukiwania?

– Zajmują się różnymi pracami wstępnymi – wtrąciła Gwen. – Badaniem dna morza, jakimiś analizami hydrograficznymi miejsca domniemanego zatonięcia okrętu...

– Dlaczego domniemanego? Przecież macie współrzędne? – Piotr spojrzął na Paulinę. – Tak?

– One nie były precyzyjne. – Alice pokręciła głową z niezadowoleniem, przypominając sobie zeszłoroczną wyprawę i lekkomyślne postępowanie

chłopaków.

– Igor, który natknął się na wrak jako pierwszy, oddalił się od liny opustowej i boi w przypadkowym kierunku. To mogło być kilkadziesiąt metrów nawet. Gdy Johann go znalazł, zrzuciliśmy im komplet butli i oznaczyliśmy boją miejsce zrzutu, a nie samą lokalizację wraku.

– Czyli możecie go w ogóle nie znaleźć?

– Bez przesady. – Alice się uśmiechnęła. – Zakres dna do przeszukania jest jednak mimo wszystko ograniczony, więc w końcu się na niego natkniemy.

– To tym także zajmuje się teraz właśnie Viden – wtrącił Rupert. – Skanują dno sonarem i robią dokładne zdjęcia, kwadrat po kwadracie.

– Radzą sobie bez nas, a poza tym i tak nie możemy rozpocząć nurkowania i penetrowania dna wcześniej, niż zostało to ustalone z władzami Danii. – Alice sięgnęła po kieliszek z winem. – We wtorek na miejsce przylatuje przedstawiciel ministerstwa kultury oraz jacyś oficjele z dworu królewskiego i mają dopiero uroczyście i oficjalnie rozpocząć projekt badawczy.

– Nie mogli tego zrobić w Kopenhadze?

– I mieliby przepuścić taką okazję pokazania się w telewizji i nagłośnienia działań rządu? Zwłaszcza że Dania opłaca jedynie udział tej wojskowej korbety i nic poza tym.

Na schodach rozległy się nagle kroki i po chwili na pokład wszedł Johann, a zaraz za nim Dermot.

– I co z nim? – spytał od razu Rupert.

– Nic. Poszedł spać, kretyn. – Dermot westchnął i usiadł na sofie obok Alice. – Pijany w sztok. Nie wiem, jak on to zrobił, że tak się zaprawił na zwykłym spacerze.

– Nie powiedział nic? – spytała Paulina.

– Coś tam bełkotał o jakichś lochach i pytał, czy Morten wrócił.

– Morten? – Gwen spojrzała zdziwiona. – To oni byli razem?

– Raczej nie. – Johann nalał sobie wina i wypił spory łyk. – Przecież Morten dotarł jakąś godzinę temu i poszedł chyba spać.

– Dziwny jakiś jest ten Morten. – Dermot sięgnął po słonego precla. – Taki mruk. Z chłopakami się nie zadaje, łązi ciągle sam.

– To jest student, a Patrick i Harry to proste chłopaki, pewnie nie ma o czym z nimi gadać.

– Od nas też jakoś stroni.

– A zaprosiłeś go chociaż raz? – Gwen spojrzała na Dermota z naganą. – On u nas pracuje jednak. Sam się nie wprosi do stołu.

– Dobra, dobra. – Johann machnął ręką. – Jutro z nim pogadamy. Trzeba będzie jakoś go oswoić. Na sprzęcie i na nurkowaniu zna się bardzo dobrze, a to najważniejsze. Nie musi być duszą towarzystwa.

– A co to jest? – Dermot pochylił się nad ławą i spojrzał na leżące na niej wyrwane z notatnika kartki.

– Kod kreskowy. – Igor wziął do ręki świstek papieru. – Zastanawialiśmy się nad tym szyfrem. Bez efektów jak na razie.

– A właśnie. – Paulina spojrzała na Johanna. – Miałam cię zapytać. Zbawiciel świata. Czy w języku niemieckim jest inne znaczenie tych słów? Może przychodzą ci do głowy kulturowe odniesienia? Jakies niemieckie, nie wiem, legendy?

Johann przez chwilę się zastanawiał.

– Hmm. – Spojrzał z namysłem w przestrzeń. – Zależy, jak do tego podejść. Zbawiciel świata, te słowa po niemiecku można przetłumaczyć na kilka sposobów. Wprawdzie rzeczywiście najbliższej znaczenia dotyczącego dzieła Leonarda jest *Heiland der Welt*, ale zamiennie w stosunku do tego obrazu stosuje się niekiedy także *Retter der Welt*. A *Weltretter* to z kolei znana niemiecka organizacja ekologiczna.

– No proszę. – Paulina podniosła brwi z zaciekawieniem.

– Z kolei *Retter der Welt* to także tytuł pewnego głupawego filmu z lat osiemdziesiątych. Superbohater, kapitan Berlin, walczył z jakimś demonicznym przeciwnikiem, który chciał zniszczyć świat.

– Jorg Buttgereit – przeczytał z ekranu swojej komórki Piotr. – Reżyser – dodał tytułem wyjaśnienia, widząc pytające spojrzenia.

– Tak. – Johann się uśmiechnął. – Taki skandalista z lat osiemdziesiątych. Robił niskobudżetowe pornohorror. Na przykład *Nekromantik*, o dziewczynie, która wykopała ciało swojego zabitego chłopaka i uprawiała z nim seks.

– Najwyższy czas na wysokobudżetowy remake – zakpił Igor.

– Nawet dwie części były, o ile pamiętam – roześmiał się Johann. – Boże, jakie to było straszne. Oglądałem to jako dzieciak na kasecie VHS, którą mi kolega pożyczył.

– Oto skojarzenia kulturowe terminu „zbawiciel świata”, jakie przyszły do głowy Johannowi – powiedziała z przekąsem Gwen, patrząc pobłaźliwie na wciąż zaśmiewających się chłopaków. – Chyba nie tego się spodziewałaś? – Spojrzała na Paulinę.

– Organizacja ekologiczna i film o superbohaterze to akurat ciekawe tropy – odpowiedziała Paulina z namysłem, patrząc w przestrzeń.

– Ale ta sprawa zakupu obrazu Leonarda – podjął, poważniejąc, Johann – ma bardzo ciekawe kulisy. Pamiętam, że matka mi o tym opowiadała. Ma wciąż swoje kontakty w National Gallery.

Piotr podniósł głowę z nagłym zainteresowaniem.

– Pamiętasz jakie?

– Coś o tym, że po kilku latach od tej transakcji pojawiły się poważne wątpliwości co do całej operacji. Zaczynając od sposobu renowacji, a właściwie rekonstrukcji obrazu, po ekspertyzy rozmaitych specjalistów od malarstwa renesansowego. Nieoficjalnie coraz częściej się mówi obecnie, że zarówno Christie's, sprzedając obraz, jak i National Gallery, sporządzając ekspertyzy, szukały na siłę wielkiej sensacji, w której miały po prostu interes.

– Rekonstrukcja polegała chyba w ogóle na złożeniu obrazu z czterech kawałków, na które się w międzyczasie rozpadł – wtrącił Igor.

– Nie tylko. Zdaniem najbardziej sceptycznych krytyków liczba warstw i przemalowań, które zostały zdjęte z oryginału, spowodowała, że praktycznie nic na tych deskach nie zostało, a rekonstrukcja była właściwie namalowaniem obrazu od nowa tak, żeby jak najbardziej przypominał twórczość Leonarda.

– Zupełnie nie mam pomysłu na to, co zamachowiec miał na myśli, przyjmując ten nick. – Paulina odłożyła na stół kartkę, w którą przez dłuższą chwilę się wpatrywała.

– A może najzwyczajniej w świecie chodzi o najprostszy psychologiczny mechanizm – odezwała się Alice. – Zamachowiec stawia się na miejscu Boga, wielkiego kreatora, demiurga, który dyktuje swoje warunki...

– Macie dwa dni, a potem siedem – zacytował cicho Piotr.

Alice przytaknęła.

– No właśnie.

Paulina była sceptycznie nastawiona.

– Pan świata. Tobie Moje Życie... I tak nie wierzę, że to chodzi o ten kościół.

– Jeśli się mylimy, to jutro ta rudera wyleci w powietrze.

Nagle w czyjejs kieszeni odezwała się komórka. Igor drgnął i zaczął szukać telefonu.

Piotr spojrzał nagle na zegarek.

– O rany. Już po dziesiątej. Chyba czas na mnie.

– Na mnie także, jutro ostatni dzień w pracy. – Paulina sięgnęła po swoją torbę. – Przeworska pewnie nie przeżyje, jak nie wymyśli mi jakiejś pokuty przedurlopowej.

– Zawsze możecie zostać tutaj na noc. – Gwen wskazała ręką pokład jachtu. – To znaczy, nie na pokładzie oczywiście – roześmiała się – tylko w kabinach na dole. Twoja jest już przyszykowana od dawna – spojrzała na Paulinę – a Piotrusiowi możemy zaraz przygotować jedną w strefie dla załogi.

– Niestety, zostawiłam w domu swój laptop, a on będzie mi jutro potrzebny, jeśli naczelna zechce wprowadzać poprawki do mojego ostatniego tekstu. Poza tym mojego ojca nie ma, a pies i kot siedzą same. Piotr, podrzucić cię?

– Dzięki, zamówię taksówkę – odpowiedział Piotr i rzucił wymowne spojrzenie w kierunku Igora.

Paulina także popatrzyła niezdecydowanie na Igora, który oparty o reling rozmawiał z kimś cichym głosem. Po chwili skończył i odwrócił się z zafrasowaną miną.

– Coś się stało? – spytała zaniepokojona.

– Dzwoniła Monika, o której ci kiedyś wspominałem, żona tego gościa, co zaginął – dodał gwoli wyjaśnienia, widząc pytające spojrzenie pozostałych osób.

– I co chciała?

– Prosiła, żebym zawiózł ją w jedno miejsce. Boi się sama tam jechać.

Na moment zapadło milczenie.

– O tej porze? – spytała w końcu Gwen.

– Dokąd? – Paulina patrzyła na Igora z rosnącym niepokojem.

– Na Wyspę Pucką.

– Gdzie? – Piotr otworzył szeroko oczy.

– Ulica Dobrej Nadziei. – Igor sięgnął po komórkę i otworzył mapy Google. – Nie mam pojęcia nawet, gdzie to jest.

– Chyba tam nie pojedziesz? – Paulina patrzyła na Igora z malującą się na twarzy grozą. – O tej porze? To kompletne zadupie.

– Mało powiedziane – dodał Piotr. – Tam są takie miejsca jak ten dom na odludziu z *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*. W dzień bym się bał tam znaleźć.

– Ale po co ona w ogóle chce tam jechać? – odezwała się Gwen, spoglądając to na Igora, to na Paulinę.

Igor podniósł wzrok znad komórki.

– Mają tam daczę, nad samą Odrą. Podejrzewa, że tam mógł się ukryć jej mąż.

## Rozdział 22

WTEDY...

*Lasy majątku Jakobsdorf, na północ od Szczecina*

**S**trzygi miały czerwone ślepia i dwa rzędy ostrych, wystających z pyska zębów. Miały także wielkie głowy z nastroszonymi rudymi kłakami i szpony niczym drapieżne ptaki.

Każdą opowieść dziadek oczywiście ubarwiał zapewnieniem, że kiedyś w dzieciństwie albo on, albo inne dzieciaki, z którymi biegał po lasach wokół Holszan, widziały je na własne oczy. Strzygi wychodziły na żer późnym wieczorem, w dzień podobno spały, a obudzone były senne i niemrawe, dlatego rzekomo wtedy najłatwiej udawało się je zabić. Mściwe i drapieżne, napadały nocami na ludzkie siedliska, ze swoich ofiar wypijały krew i wyżerały wnętrzności. Dlatego właśnie miały cały czas zakrwawione kły, a ich pyski pokryte były liszajami i wrzodami.

W strzygi zamieniały się dzieci, na których matki ktoś rzucił klątwę. Rodziły się z dwiema duszami, dwoma sercami i dwoma rzędami zębów, tyle tylko, że drugi rząd u małych dzieci był na tyle mało widoczny, że łatwo było go nie zauważyć i na skutek tego pozwolić strzydze dorosnąć między ludźmi.

Tej części opowieści Ania nie lubiła szczególnie. Mama także rugała zazwyczaj dziadka, że pogańskie banialuki dziecku wciska do głowy i że kto widział takie rzeczy pleść.

Wracając przez las wieczorami do domu, rozglądała się jednak dookoła, z cichą nadzieją, że pomiędzy drzewami zobaczy błyszczące czerwone ślepia i będzie mogła pochwalić się tym dziadkowi.

Ale to nie strzygę, której, jeśli już miałyby wybierać spośród dziadkowych demonów, obawiała się najbardziej, spotkała pierwszą.



Najpierw usłyszała pośwista. Lub świstuna, bo i tak dziadek, zdarzało się, że go nazywał.

W jego opowieściach nie był to szczególnie groźny demon, a bywał nawet pożyteczny. Gwizdał w lesie i świszczął, kiedy przepędzał chmury i deszcz, zapewniając dobrą pogodę i suche pola. Ale potrafił wyć głośno albo groźnie szumieć i sprowadzać grad.

Któregoś dnia pod koniec czerwca, a minęły wtedy dwa lata prawie, odkąd przyjechały na Pomorze, wybrała się do lasu na jagody. Słyszała, jak kobiety mówią, że dobra pogoda to pewnie i borówki, i kurki będzie można znaleźć, wymknęła się zatem zaraz po pracy w ogrodzie i w obejściu stajni i ruszyła dobrze już znaną drogą ku rozciągającym się na północy lasom. Jakies dwa kilometry od folwarku biegły tory. Trochę dalej na wschód była asfaltowa droga i przejazd kolejowy, ale Anula starała się trzymać z daleka od ludzkich traktów, wołała zagubione w polach ścieżki i leśne dukty. Przeszła zatem przez tory między drzewami. Dalej las się zagęszczał i tylko miejscami były polany, na których rosły młode sosny i olchy. Za torami zawsze było więcej grzybów, a i jagody, i borówki wisiały tutaj po krzakach, tak jakby nikt ich nie zbierał. Minęła jakąś boczną przecinkę i stanęła przed prowadzącą w głąb lasu ścieżką.

I wtedy to usłyszała.

Jakby szelest, ale inny niż ten, którym porozumiewały się drzewa. Monotonny, jakby brzęczący, świszczący. Najpierw pomyślała, że to pewnie jakieś zwierzątko, które zaraz gdzieś się schowa, ale gdy przeszła ścieżką jeszcze parę kroków, cały czas to słyszała.

Dzień nie był wtedy pogodny, chmury na niebie wolno się toczyły i wszystko zapowiadało, że zmierzch zapadnie wcześniej albo nadciągnie burza. Już zrobiło się jakoś szaro i gdy daleko za lasem rozległ się pierwszy grzmot, przestraszyła się. Pomyślała, że mrok zacznie wyłazić spomiędzy drzew, błyskawice będą walić, a burza zastanie ją w lesie.

Zawróciła i żeby skrócić sobie drogę, weszła pomiędzy drzewa i przez polanę chciała się dostać do torów, ale w tych nowych miejscach, do których wcześniej się nie zapuszczała, zabłądziła. Gdy pomiędzy sosnami zobaczyła jasne światło, była przekonana, że to już pola za torami, ale to nie było to miejsce.

Stała jak wryta i stałaby tak jeszcze długo jak skamieniała, gdyby instynkt nie kazał jej rzucić się na ziemię i schować w krzaki. Przeżona zobaczyła kilka koszmarnych postaci, które rozkładały na ziemi, a potem wieszały na rozciągniętych pomiędzy drzewami sznurach jakieś skóry. W pierwszej chwili pomyślała, że to skóry. Lata opowiadań dziadka odcisnęły piętno na jej wyobraźni i dopiero po chwili spostrzegła, że były to tylko brudne szmaty i koce.

Istoty miały czerwone oczy, nawet z tej odległości to widziała, potworne rany i liszaje na twarzach i szyjach, a wargi tak popękane i pokryte wrzodami, że widać było im zęby. Nie miały brwi ani rzęs, a na głowach sterczały im kępkami wściekle czerwone włosy. Niektóre ze stworzeń były zupełnie łyse, a ich twarzy nie było widać, bo pokrywały je ropiejące rany.

Strzygi, bo przecież to były strzygi, poruszały się niemrawo, z wyraźnym trudem. Ale przecież zbliżał się dopiero wczesny wieczór, musiały całkiem niedawno wyleźć ze swoich nor, wszystko się zgadzało. Tak jak dziadek opowiadał.

Anula była tak przeżona, że dopiero po dłuższej chwili spostrzegła, że polana ogrodzona jest stalową siatką, a w pewnej odległości od przeżających postaci, na pniach zwalonych drzew, siedzą dwaj niemieccy żołnierze. Matka i inne kobiety nazywały ich wachmanami. Tacy sami chodzili wzdłuż drogi, wokół pól i sadów, na których pracowały. Ci tutaj trzymali pomiędzy nogami karabiny i patrzyli co chwila w stronę istot. Coś w tym Anuli nie pasowało, bo dlaczego siedzą i ich pilnują zamiast uciekać albo je zastrzelić? Była jednak tak przestraszona, że gdy usłyszała gdzieś nad lasem kolejny grzmot, oprzytomniała i powoli wczołgała się w głąb krzaków, a następnie poderwała i biegiem rzuciła przed siebie. Gdy dotarła na pole i ruszyła wąską ścieżką w kierunku drzew na horyzoncie, gdzie znajdował się folwark, niebo zrobiło się ciemnogrnatowe, a gdy była w połowie drogi, przecięła je pierwsza błyskawica.

## Rozdział 23

Niezabudowany plac na nabrzeżu, używany jako parking, wyglądał o tej porze jak wielkie złożone z wielobarwnych samochodów puzzle, w których w przypadkowych miejscach ziały dziury po brakujących elementach. Samochodów powoli ubywało, ale piękna pogoda oraz pootwierane mniej więcej do północy knajpy powodowały, że ludzi w dalszym ciągu było tutaj sporo.

Toyota wymanewrowała pomiędzy zaparkowanych samochodów, wyjechała na ulicę Zbożową i pomknęła w kierunku wyjazdu z wyspy.

Paulina, która pożegnała się właśnie z Igorem, stała obok swojego samochodu i z namysłem odprowadziła wzrokiem odjeżdżające auto.

Piotr rzucił plecak na tylne siedzenie i spojrzał na Paulinę.

– Nie sądzisz, że to jednak jakieś dziwne, żeby o tej porze dzwonić do obcego faceta i prosić go o coś takiego?

– On nie jest obcy. Znają się od dawna. Z jej mężem znali się słabiej.

– Ale mimo wszystko. Poza tym Gwen miała rację, o tej porze? Nie mogła poczekać z tym do jutra?

– Akurat to potrafię zrozumieć. – Paulina otworzyła drzwi i wsiadła do auta. – Zaginął jej mąż. Nie ma go od trzech tygodni. Dziewczyna nie wie, co się dzieje, i prawdopodobnie jest na skraju załamania. Przypomniała sobie nagle o tej daczce i jeśli nie sprawdzi tego teraz, to nie prześpi nocy. Pewnie kolejnej z rzędu zresztą.

– To czym się denerwujesz?

– A kto powiedział, że się denerwuję? To znaczy... – Paulina spojrzała na Piotra i uruchomiła silnik. – Jeśli ten facet od trzech tygodni ukrywa się na działce, to cholera wie, co mu przyjdzie do głowy, jak oni tam przyjadą.

– Nie wierzę, że on się ukrywa na działce. To nonsens. Pewnie jednak ją po prostu zostawił, a ona teraz wymyśla jakieś historie.

– Jaka to była ulica?

– Jaka ulica? – Piotr spojrział na Paulinę pytająco. – Dobrej Nadziei.

– Nie ta na wyspie, ta, gdzie ona mieszka.

– Raginisa, siedem chyba.

– Raginisa. – Paulina wpisała nazwę na panelu nawigacji. – Majora Władysława Raginisa. To Nautica.

– Igor coś mówił właśnie, że oni chyba niedawno kupili tam mieszkanie.

Paulina wrzuciła bieg i ostro ruszyła z miejsca.

Ulica Majora Władysława Raginisa, bohaterskiego dowódcy obrony Wizny we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, małego miasteczka na Podlasiu, które określane jest czasem mianem polskich Termopil, pomimo szumnej nazwy była w rzeczywistości zwykłą drogą wewnętrzną. Pomiędzy budynkami mieszkalnymi nowego osiedla, ochrzczonego przez dewelopera Nauticą.

Toyota skręciła z Emilii Plater i wolno potoczyła się w kierunku drugiego w kolejności bloku z klatką o numerze siedem. Wzdłuż drogi, po obu stronach, wmontowane były słupki uniemożliwiające parkowanie. Igor podjechał do wjazdu na parking przed budynkiem i stanął, tarasując wyjazd. Miał nadzieję, że Monika zejdzie za moment i nie trzeba będzie z nikim się kłócić. Po chwili zobaczył, że na klatce schodowej zapaliło się światło i zaraz potem otworzyły się drzwi wejściowe. Wyszła stamtąd filigranowa blondynka w dżinsach i szarej bluzie narzuconej na biały T-shirt. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku samochodu. Gdy dotarła do krawężnika, przy którym stał Igor, otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Samochód prawie natychmiast ruszył, zawrócił i po chwili przejechał wzdłuż Raginisa, dotarł do wjazdu i skręcił w Emilii Plater.

– To gdzie my w końcu jedziemy? – Zdezorientowany Piotr rozejrzał się dookoła. – Zawracamy?

– Jedziemy na wyspę. – Paulina opuściła Wyszyńskiego, objechała torowisko Małą Odrzańską i z powrotem wjechała na most nad Odrą. –

Zanim się dotelepię na Raginisa, to oni dawno już stamtąd odfruną. Ta dziewczyna pewnie w takiej sytuacji nie będzie robiła przesadnie spektakularnego makijażu.

– Ja nie wiem, po co my w ogóle tam jedziemy. Co ty się spodziewasz tam zobaczyć?

– Jaka interesująca zmiana. – Paulina popatrzyła na Piotra z ironicznym uśmiechem. – Zawsze to ty pakowałeś nas w kłopoty.

– Ale serio. – Piotr spojrzął na Paulinę badawczo. – Co ty kombinujesz?

Paulina wrzuciła kierunkowskaz i stanęła na światłach przed zjazdem z ulicy Gdańskiej w półprzemysłowe i półdzikie rejony Szczecina.

– W zasadzie sama nie wiem, czy ci mówić, bo to nawet mnie wydaje się nieprawdopodobne...

– Ale co? Jezu! – Piotr sarknął z niedowierzaniem. – Ty chyba nie wzięłaś sobie do serca tych bredni Przeworskiej?! Tych, że dobry dziennikarz powinien sam kreować wydarzenia, a nie czekać, aż się przypadkiem znajdzie w epicentrum czegoś?

– Nie, coś ty, to znaczy nie wiem, może trochę.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Nie, no dobra. – Paulina się zniecierpliwiła. – Mam pewien pomysł związany z takim portalem, do którego kiedyś pisałam, ale to trochę nie halo.

– Jakim portalem? Dlaczego nie halo?

– Jutro ci powiem, bo czekam na telefon od redaktora. Krótko mówiąc, jeśli jutro Przeworska znowu zlekceważy to twoje odkrycie z hibiskusem, to napiszemy o tym gdzie indziej. Jeśli oczywiście chcesz...

Piotr uśmiechnął się z entuzjazmem.

– Jasne, że chcę!

Paulina wrzuciła pierwszy bieg i samochód ruszył.

Oczywiście zauważył tego, jak mu tam, Jamesa, nie, Jamiego. Grubas poszedł za nim i trzymał się w odległości, z której myślał, że nikt go pewnie nie zauważy. Naiwniak. Nauczył się w Kopenhadze unikać

tajniaków, policji i całej reszty w stopniu prawie doskonałym. Wiązało się to niestety najczęściej z koniecznością przemykania ulicami chyłkiem, z naciągniętym na głowę kapturem, albo chowania się za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi. Tutaj nowością było, że mógł spacerować po mieście całkiem swobodnie, robić zdjęcia, oglądać zabytkowe gmachy, siadać sobie spokojnie w kafejce i pić kawę. Albo zamówić piwo na bulwarach i przyłączyć się do gromady młodych ludzi, poznać całą rzeszę chłopaków i dziewczyn, i wtopić się w tłum.

I nikt go nie obserwował.

Grubas robił to tak nieporadnie, że było to raczej śmieszne niż niebezpieczne.

Nie wiedział tylko, jakie on ma zamiary. Co on się spodziewał zobaczyć? Że zaciąga kogoś w boczną uliczkę i podrzyna mu gardło? Albo handluje narkotykami?

Była też jeszcze taka opcja, że po prostu mu się podobał. Wiedział, że jego, trochę androgyniczny typ urody – znajomi się często naśmiewali, że wygląda jak bohaterowie bajek Disneya – przyciąga określony typ facetów, którzy gustują w młodych chłopcach z wielkimi oczami i zmierzwionymi czuprynami.

Nieważne w zasadzie.

Nie miał tu za dużo do roboty, ale dzięki temu mógł chodzić po mieście i cieszyć się całkowitą wolnością. Pewnie jak wypłynął w poniedziałek w morze, to trochę się w tych sprawach zmieni, ale na nurkowanie w Bałtyku, pomaganie przy sprzęcie czy naukowcom ze statku badawczego Viden cieszył się nawet bardziej.

No i była jeszcze ta dziewczyna...

Rzadko mu się to zdarzało. To raczej dziewczyny przy nim traciły rozsądek, a nie odwrotnie, przez co prawie od razu zaczynały go nudzić i męczyć. Ale to był właśnie ten szczególny przypadek. Ten, na który zawsze czekał.

Była od niego starsza, co też mu się podobało.

No i była dziennikarką, czyli jego naturalnym wrogiem.

Wyspa Pucka to ogromny areał mokradeł i wyrwanych z nich, zmeliorowanych i zamienionych w ogrody działkowe połączeni względnie stałego lądu, oblanych z wszystkich stron przez dopływy Odry, kanały i przekopy. Z bliżej nieokreślonych przyczyn mokradła te, w miarę regularnie nawiedzane powodziami, administracyjnie przyłączono do śródmieścia, nazywając osiedlem Międzyodrze Wyspa Pucka. Być może dlatego, że wzdłuż zachodniego jej brzegu zachowały się tutaj niewielkie domy jednorodzinne z okresu przedwojennego, pamiętające czasy, gdy miejsce to było niewielkim osiedlem z własną szkołą i kaplicą.

Od strony miasta na wyspę prowadzi tylko jedna droga przez pokieroszowany, choć wciąż malowniczy most nad Kanałem Rybnym. Żeby się do niego jednak dostać, najpierw trzeba zjechać z ulicy Gdańskiej – głównego wlotu do centrum, przedrzeć się przez przemysłowe kwartały nad Parnicą, wyszczerbioną, wąską asfaltówką objechać torowiska, lokomotywnię i obrotnicę kolejową drogą wzdłuż Odry Zachodniej. Stąd rozciąga się malowniczy widok na kolejną szczecińską wyspę – Kępę Parnicką. Wzdłuż zielonych działek można dojechać tędy do skrzyżowania z ulicą Marynarską. A potem asfaltowymi drogami jechać dalej na południe, pośród kolejnych działek, ogrodów i niewielkich gospodarstw, oddalając się coraz bardziej od tak zwanej cywilizacji.

W słoneczny dzień taka wyprawa urzeka swoją egzotyką, w nocy staje się jednak o wiele mniej zabawna.

Paulina zjechała z Gdańskiej, minęła stację benzynową Orlenu i powoli zagłębiła się w półprzemysłowy krajobraz rozciągający się wzdłuż torowisk, hangarów i kolejowej infrastruktury. Droga wiła się nad Parnicą, to pogrążając się w ciemności, to jaśniejąc w świetle latarni przy wjazdach na tereny różnych zakładów.

Po chwili znaleźli się na asfaltowej drodze wzdłuż kanału. Paulina skręciła na most.

– Tylko nie jedź prosto. Tamtędy na pewno pojedzie Igor – odezwał się Piotr, podnosząc głowę znad ekranu komórki, na którym wpatrywał się w mapę Google.

– A gdzie mam jechać? – Paulina zahamowała i spojrzała na Piotra z irytacją.

– Wjedź w Wiejską. Trafimy tam prosto do Dobrej Nadziei.

Za mostem asfaltowa droga skręcała po łuku w lewo, a od niej odbijała w bok węższa, wyłożona betonowymi płytami. Paulina skręciła i po legendarnych płytach jumbo potoczyła się wzdłuż wąskiej uliczki, po której obu stronach wznosiły się niewielkie domy mieszkalne i rekreacyjne.

– Jak Igor zobaczy, że depczemy mu po piętach, to raz, że będzie wściekły, a dwa, uzna mnie za wariatkę, która go szpieguje.

– Nie zobaczy. – Piotr to wgapił się w ekran komórki, to podnosił głowę i wyglądał na zewnątrz. – A dlaczego właściwie miałyby być wściekły?

– Chyba nie słuchałeś, co mówiłam. Wolę też, żeby ona nas nie widziała.

– Przecież ona cię nie zna ani nie wie, czym jeździsz.

– Ale jak Igor mnie zobaczy, to pewnie od razu jej powie albo się zdradzi jakoś.

Piotr przez chwilę patrzył na Paulinę dziwnym wzrokiem.

– Zaczynam się o ciebie bać. Ty chyba nie myślisz, że Igor i ona...

Paulina wślępiała się intensywnie w drogę, usiłując nie przegapić zjazdu.

– Co? – Spojrzała półprzytomna na Piotra. – Zwariowałeś?! Pewnie, że nie. Po prostu coś mi nie pasuje w tej całej historii. Facet wyjechał i ślad po nim zaginął. Z reguły jednak zostawiają jakiś list, w rodzaju przepraszam, muszę wszystko przemyśleć, pierdu, pierdu i tak dalej, albo dzwonią po kilku dniach z pytaniem, jak biedna, porzucona żona sobie radzi.

– Przecież chyba nie byłaś w takiej sytuacji?

– Prawie byłam. Związek z Mateuszem nie miał może aż tak spektakularnych epizodów, ale orientuję się mniej więcej w skali problemu.

– Więc o co może chodzić w tym przypadku?

– Intuicja mi podpowiada, że coś się za tym kryje.

– Ale co? Zamordowała swojego męża? Razem z jakimś kochankiem? Jeśli miała z mężem ubezpieczenie na życie, to pewnie są tam określone



wyjątki na takie właśnie okazje, więc nic by i tak nie dostali. Poza tym nie ma ciała.

– Oj tam. – Paulina westchnęła niecierpliwie. – Zaraz zamordowała. Nie mam żadnych teorii, po prostu... Boże! Miałam o tym na razie nie paplać. Pamiętasz, co rzeczniczka prokuratury mówiła o azotanie amonu? Że wykorzystywany jest jako tani materiał wybuchowy w górnictwie i przy robotach wyburzeniowych. Wczoraj rozmawialiśmy o tym z Igorem. Na tym ogrodzonym terenie niedaleko naszego biurowca odsłaniają teraz fundamenty tych renesansowych spichlerzy, wiesz, daliśmy nawet o tym wzmiankę.

– No i?

– Oni tam używają właśnie takiego środka, który się nazywa UltrAN, specjalnie to sprawdziłam po rozmowie z Igorem. To najczystsza forma azotanu amonu przeznaczona właśnie do produkcji materiałów wybuchowych. Skryształowane granulki technicznego azotanu o najlepszej absorpcji i retencji rozpuszczalnika organicznego, na przykład oleju napędowego.

– Nie miałem ani jednej godziny chemii na studiach, więc lepiej mów jaśniej.

– Azotan amonu plus jakiś rozpuszczalnik daje materiał wybuchowy.

Piotr otworzył usta.

– Aaa... Faktycznie, pamiętam. Jakaś dziennikarka wspominała o tym na konferencji, jak to się nazywało... A... coś...

– ANNM – odpowiedziała Paulina. – No więc, wracając do budowy koło naszego biurowca. Używają tam azotanu, po pierwsze. Po drugie, ta sama firma ustawiała rusztowanie w porcie.

– Skąd to wiesz? – Piotr spojrzał na Paulinę z nagłym zaciekawieniem.

– Igor mi powiedział. No i teraz ten facet, który przepadł. Nagle zniknął, w dodatku w atmosferze jakiegoś skandalu związanego z miastem.

– A katedra? A kwiaty? Co to ma z nim wspólnego?

– No właśnie tego musimy się dowiedzieć.

Paulina wrzuciła luz i samochód potoczył się dalej siłą rozpędu.

- W prawo i w te krzaki. – Piotr wskazał głową wjazd w wąską, pozbawioną oświetlenia drogę, która ginęła w ciemnym gąszczu drzew.
- Chyba zwariowałeś? – Paulina spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- To jest właśnie ulica Dobrej Nadziei.

Miasto koło godziny dwudziestej trzeciej powoli pogrążyło się w letargu. Igor przejeżdżał właśnie ulicą Matejki. Park Żeromskiego, oświetlony wyzierającymi zza pni drzew latarniami, przypominał tajemniczy ogród, w którym, w głębi, schowany był domek z piernika – hotel Park. Wznoszące się po drugiej stronie punktowce z lat siedemdziesiątych migotały jeszcze niebieskimi od telewizorów oknami, ale toporny gmach ZUS-u na rogu placu Rodła był już całkiem ciemny.

Toyota stanęła na światłach. Przez pasy przeszła grupa głośno zaśmiewających się młodych chłopaków, którzy zmierzali zapewne do leżących po drugiej stronie parku burs Akademii Morskiej.

Igor i Monika prawie się do siebie nie odzywali. Igor dlatego, że w zasadzie nie wiedział, jak ma się zachować i o czym rozmawiać, a Monika ponieważ pogrążona była w apatii spowodowanej niedostatkiem snu, ciągłym zamartwianiem się i brakiem jakichkolwiek informacji o Szymonie. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył Igor. Na początku, gdy ruszyli, zapytał tylko, czy córka nie będzie się bała zostać sama w domu, na co Monika odparła, że jest przyzwyczajona i poradzi sobie.

– Przepraszam, że poprosiłam cię o coś takiego – westchnęła Monika. – Ale nie chciałam znowu fatygować Romka. On i tak bardzo nam pomaga. Mieszka na prawobrzeżu, a to kawał drogi. Powiedział wprawdzie od razu, że mam zostać w domu i że on sam jutro rano pojedzie i sprawdzi, ale ja się potem zaczęłam tak denerwować...

– Skąd nagle ten pomysł? – Igor spojrzał na obgryzającą nerwowo paznokcie Monikę.

– Ten domek należał do dziadka Szymona. Kiedyś tam jeździliśmy, ale potem wolałam jechać nad morze albo gdziekolwiek niż siedzieć w szuwarach nad Odrą. To miejsce mnie zawsze przygnębiało.

Samochód ruszył i potoczył się w kierunku placu Żołnierza Polskiego. Po lewej stronie gęsta zieleń przysłaniała pas pomiędzy jezdniami,

po prawej wyrosły budynki mieszkalne z lat sześćdziesiątych. Bloki wybudowano w ramach powstającej wówczas Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, pierwszego osiedla w Szczecinie po drugiej wojnie. Podobno wysoki standard tych mieszkań do tego stopnia rozwścieczył ówczesnego pierwszego sekretarza KC PZPR Władysława Gomułkę, że cisnął szklanką z herbatą o ziemię.

– Nie wiem, czemu wcześniej nie pomyślałam o tym miejscu. – Monika pociągnęła nosem i sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. – Ale jak tylko mi się dzisiaj przypomniało, to musiałam tam jechać. Gdybym tego nie sprawdziła, to nie spałabym całą noc.

– Tylko mam nadzieję, że... – Igor urwał, nie bardzo wiedząc, jak skończyć.

– Że jestem przygotowana, że go tam nie będzie? O to ci chodziło?

Igor przytaknął.

– No tak.

Monika na moment umilkła.

– Ja chyba sama w to nie wierzę – wyduśliła w końcu. – Ale Szymon czasem tam się zaszywał. Jak dwa lata temu przeprowadziliśmy się na Raginisa i zabroniłam mu całymi dniami grać w te jego gry, to wywiózł cały swój majdan na wyspę i co jakiś czas pod byle pretekstem tam jeździł. – Monika uśmiechnęła się do siebie, a zaraz potem wytarła nos w chusteczkę.

– Nawet nie wiedziałem, że on jest takim namiętym graczem. – Igor pamiętał wprawdzie, że kilka razy nawet zgadał się na ten temat z Rogalą, ale takie nawiązanie do rozmowy wydawało mu się bezpieczne.

– Mnie to w zasadzie nie przeszkadzało – zawahała się Monika. – Irytowało mnie tylko w domu, jak zamieniał się w zombie i nie słyszał nic, co się do niego mówiło.

Toyota ruszyła i potoczyła się przez plac Żołnierza w kierunku zamku.

Mini cooper powoli zakręcił, przejeżdżając pod malowniczo pochyloną nad jezdnią starą wierzbą. Droga odbijała w lewo, a w głębi, w narożniku, widać było stalową, zardzewiałą bramę prowadzącą na podwórze jakiejś

nieruchomości. Zaraz za nią stał niegdyś biały, teraz całkowicie prawie pordzewiały dostawczak.

– Ty jesteś pewny, że to ulica Dobrej Nadziei? – Paulina spojrzała na Piotra.

– No tak. Za tym zakrętem ulica biegnie kilkaset metrów prosto. Ta ich dacza jest na samym końcu, prawie nad kanałem.

– To miejsce wygląda jak z amerykańskich filmów o psychopatach mieszkających na wysypiskach śmieci.

Za przekrzywionym drewnianym ogrodzeniem widać było podwórze, w którego głębi znajdował się nieduży budynek wyglądający, jakby ktoś z trudem sklecił go z tego, co miał akurat pod ręką. Przy płocie stał trup dawnej szklarni, a cały pozostały teren wcale niemałej nieruchomości zastawiony był różnymi gratami. Pordzewiałymi resztkami jakichś maszyn, karoseriami samochodów i luźnym żelastwem, zalegającym każdy wolny kawałek ziemi.

Wzdłuż płotu posiadłości, pod koronami niepokojąco rozgałęzionych wierzb, biegła wąska droga, niknąc w kompletnej ciemności.

Piotr westchnął.

– Chcesz wracać? – zapytał, spoglądając na Paulinę niepewnie.

– Skoro już tutaj przyjechaliśmy, to nie będziemy się teraz wygłupiać. – Paulina wrzuciła pierwszy bieg i powoli ruszyła.

Utwardzona część drogi miała szerokość pozwalającą przejechać jednemu samochodowi. Gdyby ktoś akurat zbliżał się z naprzeciwka, oba samochody musiałyby zjechać na wąskie pobocze i szorować o gęste krzaki.

– Nie możemy podjechać pod tę ich daczę, bo Igor pewnie tam się zatrzyma – odezwała się Paulina.

– Ja w dalszym ciągu nie wiem, co nam da gapienie się z samochodu na to, jak wchodzi do jakiegoś baraku, a potem wychodzą.

– A jeśli ona ma rację i ten facet rzeczywiście tam się ukrywa?

– Sądzisz, że może być niebezpieczny? – Piotr spojrzał na Paulinę z malującym się na twarzy powątpiewaniem.

– Jeśli to on stoi za tymi zamachami...  
– Przecież nie robi nic złego własnej żonie? Najwyżej ich tam zamknie.  
– No właśnie! – Paulina energicznie przytaknęła. – I wtedy będziemy mogli im pomóc. Wezwać policję znaczy.

– Zaczynam żałować, że nie wezwałem jednak dla siebie taksówki.

W perspektywie ciemnego tunelu pojawiło się nagle światło.

– Tam jest takie małe skrzyżowanie z latarnią, a potem droga zakręca i zaraz za zakrętem jest ich działka. – Piotr z pochyloną głową wpatrywał się w smartfon.

– Musimy gdzieś stanąć, tak żeby nie było nas widać.

– Tutaj. – Piotr wyciągnął telefon w kierunku Pauliny. – Zaraz za tym skrzyżowaniem, po lewej, jest zadrzewiony wyjazd na łąki i składowiska. Tam możemy schować samochód.

Po chwili z ciemności wyłoniło się skrzyżowanie, przy którym na tle wysokiego, skleconego z desek ogrodzenia stała latarnia. Światło tworzyło pod nią wielką jasną plamę na betonowo-szutrowej nawierzchni drogi.

Paulina pojechała prosto i skręciła w odbijający w lewo zjazd. Samochód toczył się jeszcze przez chwilę, po czym zatrzymał, schowany za wysokimi drzewami i rosnącymi pod nimi krzewami.

– I co dalej? – Spojrzała pytająco na Piotra.

– Musimy wyjść i schować się gdzieś, bo stąd to nic nie zobaczymy.

– Wycisz telefon. – Paulina sięgnęła do kieszeni. – Bo jak zaczniesz terkotać akurat, jak oni przyjadą, to chyba się zapadnę pod ziemię z zażenowania.

– Powiesz mu, że go śledziliśmy? – Piotr ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Oczywiście – oświadczyła Paulina.

Od strony Odry dochodził głośny rechot żab i cykad. Powietrze było wciąż rozgrzane, ale w międzyczasie zaczął wiać wiatr, który łagodnie poruszał liśćmi. Ich drganie wypełniało powietrze cichym, to wzmagającym się, to gasnącym szelestem.

Paulina wysiadła i rozejrzała się dookoła.

Wjazd, przy którym stanęli, prowadził na jakiś spory teren – znajdowały się na nim porozrzucane bez ładu i składu sterty żelastwa i sklecone z desek baraki. Całość oświetlona była zimnym światłem księżyca i łaskawie poprzesianiana koronami rosnących tutaj wielkich, rosochatych wierzb.

Po drugiej stronie drogi ciągnęły się, schowane praktycznie całe w zieleni, ogrodzenia działek, na których w głębi stały domki.

– Która to ta ich działka?

Piotr podniósł telefon i przejechał palcem po ekranie.

– Musimy przejść kawałek. Pierwsza za zakrętem.

– Ciekawe, czy tutaj ktoś jest dzisiaj. – Paulina rozejrzała się ponownie. – I obserwuje nas zza szyb któregoś z tych baraków. – Zerknęła w kierunku prześwitującego przez gałęzie domku na najbliższej działce.

– Jest po dwudziestej trzeciej. – Piotr schował komórkę do kieszeni. – Nikogo tu nie ma. Zobacz, wszędzie ciemno.

Przemknęli po cichu, chowając się między drzewami. Za załomem ogrodzenia droga biegła wzdłuż połyskującego w świetle księżyca kanału. Rosły przy nim postrzępione wierzby, sosny i pojedyncze lipy, którym ktoś w ramach jakichś prac melioracyjnych poucinał dolne konary.

– To tutaj. – Piotr, na wszelki wypadek chowając się za pniem drzewa, spojrział w kierunku stalowej furtki, można było przez nią zajrzeć na podwórze. Domek stał na końcu sporego terenu, na którym rosło kilka wielkich drzew. Wzdłuż ogrodzenia ciągnął się wysoki, dawno nieprzycinany żywopłot.

Paulina po niskiej skarpie zeszła kilka kroków nad kanał.

– Tutaj możemy się ukryć. – Wskazała ręką kępę kłębiących się przy drodze krzewów pod jedną z większych lip. – Nikt nas nie zobaczy.

– Żeby tylko nas nie zaskoczyli jakoś. – Piotr rozejrzał się wokół siebie, po czym usiadł na trawie nad kanałem. – Ale nie ma innej drogi. Muszą przejechać od strony tego małego rozjazdu z latarnią.

– Będziemy słyszeć silnik. – Paulina wyjrzała na drogę i naraz gwałtownie ukucnęła.

Przesunęła się za pień drzewa.

– Chodź tutaj! – syknęła na Piotra, który patrzył na nią zdezorientowany.  
– Ktoś jedzie.

Piotr uniósł się i skoczył za Pauliną. Oboje pochylili się nisko nad ziemią, obserwując drogę spomiędzy liści czarnego bzu.

Pierwsze, co zobaczyli, to światła samochodu. Nadjeżdżał od strony rozjazdu z latarnią. Reflektory w kompletnej ciemności wyglądały jak ślepa jakiegoś monstrum, które warcząc, powoli się do nich zbliżało. Gdy światło padło na krzewy, za którymi się schowali, oboje przypadli do ziemi, starając się nie ruszać.

Samochód przetoczył się przed furtką na działkę Rogali i stanął kilka metrów dalej przy płocie. Silnik zgasł i na moment znowu zapanowała cisza.

Otworzyły się drzwi i usłyszeli przyciszone głosy.

– To Igor – szepnęła Paulina.

– I Monika – syknął Piotr.

Nieliczne chmury na nocnym niebie rozproszyły się i księżyc, któremu brakowało tylko dwóch dni do pełni, rozjaśnił się srebrnym światłem.

Jasnowłosa kobieta wyciągnęła z kieszeni plik kluczy i zaczęła manipulować przy zamku stalowej furtki. Towarzyszący jej Igor stanął za nią i rozglądał się dookoła.

W tym momencie Paulina i Piotr przypadli do ziemi, usiłując wtopić się w krajobraz.

Zamek zachrobotał i po chwili furka z cichym metalicznym szmerem otworzyła się na oścież. Kobieta weszła do środka i stanęła, czekając, aż Igor wejdzie za nią i zamknie bramkę za sobą.

Piotr przechylił się i sięgnął do spodni po telefon.

– Nie hałasuj! – Paulina psyknęła, widząc, jak Piotr usiłuje wygrzebać smartfon z wąskich dzinsów.

– Lepiej mieć aparat w pogotowiu – szepnął i wyjął komórkę.

Igor i Monika właśnie oddalali się w głąb posesji, w kierunku jaśniejącej w świetle księżycy altany.

Monika przekręciła włącznik na ścianie przy drzwiach i drewniana weranda, wspierająca się na oplecionych winobluszczem słupach, rozjaśniła się bladym światłem latarenki zwisającej z jednej z belek.

Na ścianie frontowej oprócz drzwi wejściowych było jeszcze spore okno, w głębi werandy stała drewniana ławka, a na niej porzucono plastikowe doniczki i kilka brudnych poduszek na krzesła ogrodowe.

Drzwi oprócz zwyczajnego zamka miały jeszcze skoble, z których zwisała duża, lekko zardzewiała kłódka.

Monika wsunęła klucz w zamek i przekręciła. Następnie zaczęła jeden po drugim sprawdzać klucze, wsuwając je w kłódkę i manipulując przy zamku.

– Nie mogę otworzyć – oznajmiła, odwracając się do Igora. – Nie wiem, Szymon musiał chyba założyć tę kłódkę jakoś ostatnio. Teraz sobie przypominam, że mówił coś o złodziejach.

– Pokaż. Ja spróbuję. – Igor wyjął z jej rąk brzęczące kółko z kluczami i zaczął ponownie sprawdzać po kolei każdy.

– Mogłam się domyślić od początku, że to jednak słaby pomysł – westchnęła ciężko Monika i podeszła do okna.

Przyłożyła nos do szyby i zajrzała do wnętrza.

– Nikogo tu nie ma. Niepotrzebnie cię fatygowałam.

Igor włożył ostatni z kluczy i szarpnął kłódkę.

– Niestety – mruknął. – Żaden nie pasuje.

Puścił kłódkę, która z cichym stukiem opadła na drzwi, i pobrzękując kluczami, rozejrzał się dookoła.

– Gdyby Szymon tutaj się ukrył, to przecież samochód gdzieś by stał. Poza tym przykro mi, Monika, ale to miejsce wygląda, jakby nikt tu dawno nie zaglądał.

Zeskoczył z werandy i podszedł do okna. Wyjął ze spodni komórkę i przytknął ją do szyby.

Światło wydobyło z ciemności plastikowe krzesło przy stoliku, a dalej sofę, na której leżał stary, złożony w kostkę koc. Pod ścianą stał jakiś



przedmiot nakryty czarną folią. Obok w stertach leżały pudełka z kolorowymi nadrukami. Kilka walało się po podłodze.

– To chyba monitor. – Igor spojrzał na Monikę. – Rzeczywiście mogą wam się włamać do tej altanki. Szymon powinien jakoś bardziej te rzeczy schować, tak żeby ich przynajmniej przez okno nie było widać.

– To tylko stary telewizor. – Monika lekceważąco wzruszyła ramionami. – Konsolę chyba schował. Dawno tutaj nie byłam.

Igor przechylił głowę, usiłując odczytać napis na jednym z leżących najbliżej pudełek.

– GTA V – przeczytał. – Nigdy w to nie grałem.

Przesunął latarkę, usiłując spojrzeć w głąb altany. Jego wzrok padł na inną okładkę, która leżała trochę dalej.

Duże czerwone litery i nazwa gry, którą kojarzył chyba każdy pod dowolną szerokością geograficzną.

Igor nagle znieruchomiał.

Światło latarki, które przemknęło po okładkach gier i powędrowało w głąb pomieszczenia, gwałtownie wróciło i zatrzymało się na wierzchu plastikowego pudełka.

Paulina poruszyła się, usiłując dojrzeć cokolwiek z tego, co działo się na działce Rogali. Furtka stanowiła jedyny wyłom w zasłoniętym przez gęsty żywopłot ogrodzeniu.

Ostrożnie uniosła się, próbując spojrzeć ponad bramką.

Chwilę wcześniej przy domku zaświeciła się latarnia. Światło wylało się pomiędzy stalowymi prętami furty, podkreślając panujący dookoła mrok.

– Chyba nie udało im się wejść do środka – powiedziała cicho do rozciągniętego na trawie Piotra. – Jak to możliwe, że ona nie ma kluczy?

– Hmm... – Piotr podniósł się ostrożnie i ukucnął, ale długo w tej pozycji nie wytrzymał.

Paulina nagle zasyczała i znowu pochyliła się nad ziemią.

– Idą!

Po chwili furtka stanęła otworem i na drogę pierwsza wyszła Monika. Za nią Igor, który niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, czekając, aż kobieta zamknie bramkę.

Nie rozglądając się, szybko podszedł do samochodu i wsiadł do środka.

Gdy tylko Monika zamknęła za sobą drzwi pasażera, toyota ruszyła, z trudnością wykonała kilka manewrów na wąskiej drodze, zawróciła i z głośnym szmerem kół na szutrowej nawierzchni potoczyła się w kierunku rozstajów z latarnią. Chwilę później jej światła zniknęły za rogiem, pozostawiając jedynie oddalającą się poświatę i stopniowo cichnący pomruk silnika.

Paulina i Piotr zostali jeszcze przez kilka sekund w pozycji prawie horyzontalnej, po czym Piotr podniósł się i stanął. Paulina chciała pójść w jego ślady, ale nagle złapał ją za ramię i ścisnął. Ukucnął ponownie.

– Co jest? – Paulina, lekko zirytowana, spojrzała na niego z niepokojem.  
– Co się dzieje?

Piotr psyknął i ścisnął ponownie jej ramię.

Teraz dopiero usłyszała jakiś dźwięk dochodzący zza ogrodzenia.

Oboje wstrzymali oddechy i prawie w tym samym momencie po drugiej stronie płotu pojawiła się postać w kapturze.

Wspięła się na furtkę i zeskoczyła z niej na zewnątrz. Paulina poczuła ciarki na plecach. Postać ubrana była w ciemne luźne spodnie, chyba od dresu, i bluzę z głęboko naciągniętym na głowę kapturem. Gdy się poruszyła, stało się oczywiste, że był to mężczyzna.

Rozejrzał się, po czym wsadził ręce w kieszenie bluzy i ruszył, przemykając się tuż obok ogrodzenia w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyjechali. Droga prowadziła równolegle do kanału jeszcze może sto metrów, po czym tuż nad wylotem do Odry przedostawała się na drugą stronę i biegła dalej wzdłuż rzeki. Gdy mężczyzna powoli się oddalał, Paulina poruszyła się, ale Piotr ponownie złapał ją za rękę.

– Poczekajmy chwilę, może wrócić – szepnął.

– Lepiej stąd zjeżdżajmy – powiedziała Paulina, czując cały czas strach, który trzymał ją za gardło. – W końcu nas zauważy.

Jakby na potwierdzenie słów Piotra nagle rozległ się dźwięk silnika i od strony, gdzie zniknęła postać w kapturze, pojawiły się nagle światła samochodu.

Paulina gwałtownie przypadła do ziemi, czując, jak Piotr obok niej wstrzymuje oddech.

Samochód po chwili pojawił się na wysokości działki Rogali. Światła powodowały, że bryła samochodu pozostawała w mroku, nie pozwalając dojrzeć ani jego marki, ani dokładnie przyjrzeć się sylwetce. Paulina dostrzegła jedynie, że było to kombi. Jakiś stary model.

Samochód przejechał powoli wzdłuż ich kryjówek, po czym wjechał w łuk drogi. Piotr lekko się uniósł i gwałtownie sięgnął po telefon. Ukucnął i wysunął komórkę, jak daleko się dało pomiędzy gałęziami czarnego bzu.

– Tryb nocny, mam nadzieję, że coś będzie widać – szepnął. Po chwili ciemność na sekundę rozjaśniło światło lampy błyskowej.

– Kurwa! Cholerna lampa! – jęknął Piotr i gwałtownie cofnął rękę. Pochylił się nad telefonem i zaczął zmieniać ustawienia aparatu.

– Zobacz nas! – stęknęła Paulina.

Piotr ponownie wysunął komórkę i zrobił zdjęcie.

– Miał podświetloną tablicę – szepnął. – Boże! Mam nadzieję, że coś zobaczymy.

– Mógł dostrzec błysk lampy. – Paulina, cały czas skulona za krzewem, wpatrywała się w niknący właśnie za rogiem samochód.

I nagle się zatrzymał.

Zamarli. Minął zaledwie moment, ale oboje, z zaciśniętymi gardłami, mieli wrażenie, że czas stanął w miejscu.

Tylne światła samochodu świeciły w mroku jak para upiornych ślepi, wpatrujących się w nich w ciemności. Wyobraźnia Pauliny podsunęła jej obraz kierowcy, który patrzył teraz w lusterko wsteczne. Było w nim widać jedynie jego oczy.

– Zobaczyl ten błysk – jęknęła. – Jak tutaj wróci, to przecież nas zabije.

Wiatr szarpnął nagle gałęziami młodej brzozy, która wznosiła się przy drodze pomiędzy ich kryjówką a samochodem. Cienie gałęzi zatańczyły na

drodze i na liściach bzu, dokoła rzucając migoczące w światłach refleksy.

Samochód przez chwilę jeszcze stał, po czym nagle ruszył i powoli potoczył się w stronę skrzyżowania dróg z psychodelicznie mrugającą w oddali latarnią.

– Jezu! – odezwał się w końcu Piotr, gdy warkot silnika ucichł. – Jestem cały mokry.

– Spadajmy stąd, szybko! – Paulina poderwała się i pochyłona zrobiła parę kroków w kierunku drogi.

Trzymając się pobocza, przebiegli jakieś sto metrów, które dzieliło ich od zjazdu do dzikiego składowiska. Mini błysnął przyjaźnie światłami i po chwili siedzieli w środku, łapiąc z trudem oddech.

Paulina uruchomiła silnik i chciała wycofać się na drogę, gdy nagle coś przyszło jej do głowy.

– Słuchaj. – Spojrzała na Piotra z niepokojem. – A jeśli on się zatrzymał, bo zobaczył nasz samochód? Stanął dokładnie na wysokości tego zjazdu z drogi.

– No i co? – Piotr wyjrzał na zewnątrz, rozglądając się nerwowo.

– Zobaczył samochód, którego wcześniej nie było. Skojarzyło mu się z tym błyskiem.

– No i co niby?

– Stanie gdzieś po drodze i na nas poczeka. Na przykład u wylotu albo gdzieś po drodze tej upiornej Dobrej Nadziei.

Piotr przełknął ślinę.

– Ale co on może nam zrobić?

– Na przykład zabić?! – Paulina zacisnęła dłonie na kierownicy. – Albo po prostu może poczekać, żeby nas zobaczyć. I potem zabić.

– Uspokójmy się. – Piotr wziął głęboki wdech. – To najprawdopodobniej zwyczajny złodziej, którego Igor i ta Monika nakryli. Przyczaił się i jak poszli, to szybko uciekł. Pewnie sam jest zestrachany nie mniej niż my.

– A jeśli nie?

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w drogę przed samochodem.

– Jest jeszcze jeden wyjazd z wyspy – odezwał się w końcu Piotr, który w międzyczasie uruchomił mapy Google w telefonie. – Ale nie mam pojęcia, jak on wygląda, nigdy tamtędy nie jechałem.

– Gdzie? – Paulina spojrzała na monitor jego komórki.

– W przeciwnym kierunku – wyjaśnił Piotr i wskazał ginącą w mroku drogę nad kanałem. – Trzeba jechać na koniec wyspy i potem pod wiaduktem wyjeżdża się na Krygiera.

– A jak się okaże, że ta droga jest nieprzejezdna?

– Masz malutki samochód, zawsze będziemy mogli zawrócić.

– Dobra, ale w razie czego, jak wpakujemy się w bagno, to będziesz nas pchał.

Paulina powoli wycofała samochód na drogę, westchnęła ciężko i skręciła w stronę kanału.

## Rozdział 24

**D**roga, oddzielona niskim wzniesieniem falochronu, prowadziła wzdłuż ciemnej i milczącej Odry Zachodniej. Po drugiej stronie natomiast, zasłonięte rozrośniętą zielenią, ciągnęły się ogrodzenia działek. Co jakiś czas wyrastała za nimi wysoka sylwetka żywotnika lub świerka, które w ciemności wyglądały jak tajemnicze obeliski.

Jakieś pół kilometra od przejazdu przez kanał działki się skończyły, a standard szutrowej drogi gwałtownie się obniżył, zamieniając się w wąską, wyłożoną betonowymi płytami drogę polną.

– Po co ja ci się dałam namówić, żeby tędy pojechać. – Paulina, która od jakiegoś czasu zaczynała coraz bardziej się denerwować, spojrzała na Piotra z irytacją. – To jest jakieś kompletne odludzie.

– Przecież nic się nie dzieje. – Piotr podniósł głowę znad komórki i spojrzał w ślad za snopami światła wydobywającymi z ciemności betonowe płyty i młode drzewa na poboczu.

– Droga jest coraz gorsza. A jeśli ten bandzior pojedzie za nami, to tutaj nastąpi nasz koniec.

– Jaki koniec? – zdziwił się Piotr.

– Nikt nas nie usłyszy. Nawet jak zdecyduje, żeby zabić cię kluczem do felg i nie uda mu się za pierwszym razem, to nikt nie usłyszy twoich wrzasków.

– Ale twoje na pewno. – Piotr zaniósł się śmiechem.

– To wcale nie jest zabawne.

– Jeszcze dwa kilometry i dotrzemy do wiaduktu na Krygiera. Wyjedziemy prosto na parking przy plaży na Dziewokliczu.

Przez chwilę słychać było jedynie cichy pomruk silnika.

– Nic nie widzę tutaj – odezwał się Piotr, pochylony nad ekranem telefonu. – Ale są cyfry i litery widoczne. Dam grafikom jutro, to może to wyostrzą. A samochód to jakieś stare kombi.

– Zauważyłam.

– Jest tutaj logo z tyłu, ale też nie wiem, może być toyota albo opel. – Piotr zbliżył telefon do oczu. – Stara astra z lat dziewięćdziesiątych by pasowała. Chociaż w pierwszej chwili myślałem, że to audi 80.

– Czy to możliwe, że to był ten cały Rogala? Cholera! – Paulina zwolniła i powoli objechała wyszczerbioną, uniesioną do góry płytę betonową.

– Musiałby chyba stracić rozum, żeby się ukrywać na działce. Przed żoną, przed rodziną. Po co?

– Nie słyszałeś? Facet miał długi, dwa kontrakty po kolei mu się posypały. Nie miał z czego zapłacić podwykonawcom. Może po prostu coś mu pękło w głowie. Widziałeś ten film z Michaeliem Douglasem? Jaki to był tytuł?

– *Upadek* – podsunął Piotr.

– Właśnie. To by tłumaczyło także chęć odwetu.

– Ty naprawdę uważasz, że to on może stać za tymi zamachami?

Piotr oderwał wzrok od komórki i patrzył na Paulinę sceptycznie.

– Jak do tej pory pasuje. Miał wolny wstęp na budowę w porcie. To były jego rusztowania, mógł więc bez problemu wmontować tam ładunki wybuchowe. Jak pogrzebiemy, to się okaże, że z katedrą też miał coś wspólnego. No i ten azotan amonu. To jego firma prowadzi roboty rozbiórkowe.

– Ale oni zaczęli to robić, gdy już zniknął. – Piotr spojrzął z namysłem w okno. – Dopiero jak zaginął, jego wspólnik udobruchał poznańskiego dewelopera.

– Materiały mogli mieć na składzie już wcześniej.

– A kwiaty? O co mu chodzi?

– Nie mam pojęcia. – Paulina bezradnie pokręciła głową. – Tak samo jak te cytaty z manifestów różnych psychopatów.

– O widzisz. – Piotr wskazał palcem oświetloną konstrukcję kilkaset metrów przed nimi. – Wiadukt na Krygiera.

– Co za ulga – uradowała się Paulina. – Ale droga jeszcze się nie skończyła. Ciekawe, jak to wszystko tutaj wygląda w czasie cofek.

– Wszystko zalane oczywiście. Tak w ogóle to nadal jest ulica Dobrej Nadziei.

– Ulica. – Paulina prychnęła. – Nawet nazwanie tego bezdrożem to przegięcie.

Z tylnego siedzenia dobiegł nagle fragment triumfalnego motywu przewodniego.

– Indiana Jones *theme*? – Piotr spojrzał na Paulinę i uniósł kilka razy brwi.

– Podaj mi telefon. – Paulina wskazała głową swoją torebkę. – Igor.

– Tak myślałem. – Piotr uśmiechnął się pod nosem.

– Tylko siedź cicho, nie wiem, jak ja mu wyjaśnię, co my robimy razem o pierwszej w nocy na tej cholernej wyspie.

Piotr odpiął pas i zanurkował na tylną kanapę. Wyciągnął telefon i spojrzawszy na wyświetlacz, podał go Paulinie.

– Igor? Coś się stało? Nie, nie śpię. Nie, skądże... Co takiego?

Paulina spojrzała na Piotra i otworzyła szeroko oczy.

– Gdzie jesteś? Na jachcie? Oni wszyscy także jeszcze nie śpią? Dobra, będę tam zaraz. Nie, to nie problem akurat. Tak, w samochodzie. No tak. Zaraz jak tylko dojadę, to ci wszystko wytłumaczę.

Paulina przerwała połączenie i wrzuciła telefon do trzymadła na butelki.

Piotr patrzył na nią z niepokojem.

– Coś się stało?

– Igor odczytał szyfr Heilanda.

Paul Olsson otworzył oczy i ze wzrokiem wbitym w ciemność zastanawiał się, co się dzieje. Dopiero po chwili dotarło do niego, że leżący na szafce nocnej telefon wściekle wibruje i brzęczy. Przez chwilę myślał, jak na tej służbie dla braci stracił swój dawny instynkt. Kiedyś, gdy



pracował w służbach specjalnych, zaraz po otwarciu oczu, na jakąkolwiek oznakę, że coś jest nie tak, byłby w stanie wyskoczyć z łóżka jak pantera.

Jęknął, odwrócił się na bok i sięgnął po komórkę. Widząc na wyświetlaczu numer znajomego inspektora z Komendy Głównej Policji w Kopenhadze, na krótką chwilę poczuł złość, po czym nagle przypomniał sobie wszystkie wydarzenia minionego dnia i otworzył szeroko oczy. Poza tym była pierwsza. Zdarzało się w przeszłości, owszem, że policja kopenhaska wyrywała go w nocy ze snu, ale tym razem było to coś więcej. Jeśli sam Biorn dzwoni do niego po pierwszej, to musi być to coś więcej niż zwykłe zatargi na linii ochrona braci i ich rodzin a policja.

Odebrał telefon i przez chwilę słuchał.

Mimo panującej w pokoju ciemności, w której, nawet gdyby w zasięgu wzroku miał lustro bądź inną odbijającą płaszczyznę, nie był w stanie dostrzec koloru swojej twarzy, poczuł fizycznie wręcz, że zbladł.

Zerwał się z łóżka i zaczął się po omacku ubierać.

Paulina weszła po trapie na dolny pokład. Światła paliły się na górnym poziomie, gdzie znajdowała się największa mesa. Dochodziły stamtąd także odgłosy ożywionej dyskusji.

Weszła po schodach na górę i przez półotwarte oszklone drzwi zobaczyła Johanna i Alice, którzy siedzieli przy stole i wpatrywali się w leżące na nim papiery, a trochę dalej Igora i Dermota, którzy najwyraźniej zaciekle się o coś kłócili. Obaj usadowili się przed ogromnym ekranem telewizora, na co dzień schowanym w zabudowie za stołem, teraz ukazującym mroczny krajobraz jakiegoś, najwyraźniej podzwrotnikowego lasu, z oceanem w tle.

Paulina odsunęła drzwi i weszła do środka. Za nią nieśmiało wsunął się Piotr.

– To nie mogło być w tej części. – Igor patrzył w kierunku ekranu, z irytacją pouczając Dermota. – Tutaj na początku przecież ona pojechała na Syberię, a tam, gdzie widziałeś ten szyfr, było znacznie cieplej.

– Owszem. Jedzie na Syberię na początku. Ale zaraz potem ląduje przy granicy z Syrią i tam są właśnie takie naskalne murale.

– No jakie murale? – Igor jęknął. – To akurat chodziło o stary dialekt mongolski i nie żadne murale, tylko taki wielki monolit...

– No i właśnie na tym monolicie to było!

– To nie było to!

– No jak nie to?!

– No mówię ci, że nie to. To nie był żaden napis na skałach, tylko na jakiejś starej mapie.

– Paulina! – Johann podniósł głowę i spojrzał zaskoczony. – Przepraszam, nie zauważyliśmy, że weszłaś... że weszliście... – Dojrzał stojącego za plecami Pauliny Piotra.

– Co tu się dzieje? – Paulina spojrzała pytająco na Igora i Dermota. – Co oni robią?

Na ogromnym ekranie pokazała się nagle mocno roznegliżowana dziewczyna. Była ubrana w kuse szorty i brudną, podartą koszulę, która odsłaniała ogromny biust.

– Czy oni w coś grają? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie uwierzysz... – Johann uśmiechnął się zaaferowany.

– Paulina? – Igor odwrócił się i obrzucił nieco nieprzytomnym spojrzeniem przybyszy. – Piotr? A co wy właściwie... – Zmarszczył brwi. – Wyjechaliście stąd po dziesiątej, a jest pierwsza. Byliście w jakimś klubie?

– Nie byliśmy w żadnym klubie – odparła Paulina zniecierpliwiona. – Mówiłeś, że odczytałeś szyfr...

– To co wy robiliście przez trzy godziny?

– Boże! – odezwał się Piotr. – Lepiej mu powiedz.

– Co ma powiedzieć? – Igor patrzył to na Paulinę, to na Piotra.

– Patrz, patrz! – Dermot szturchnął go w ramię. – Teraz ona właśnie dojdzie do półki skalnej, a potem będzie przejście do tych skał...

– Co wy robicie? – Paulina patrzyła z osłupieniem na ekran, na którym roznegliżowana heroina wskakiwała właśnie niczym akrobatka na prawie pionowe skały, eksponując jednocześnie swoje ogromne piersi. – Dzwonisz i mówisz, że odgadliście ten cały kod, a teraz sobie po prostu siedzicie i gracie w jakąś durną grę?!

– *Tomb Raider*? – Piotr podszedł do Dermota i stanął za jego plecami, wpatrując się w ekran.

– Yhmm... – mruknął Dermot, nie wypuszczając z rąk iPada i zmuszając Larę Croft do wspinania się po skałach. – *Rise of the Tomb Raider*. Dwunasta część cyklu.

– Dermot upiera się przy tej części, ja uważam, że to było w poprzedniej, jedenastej.

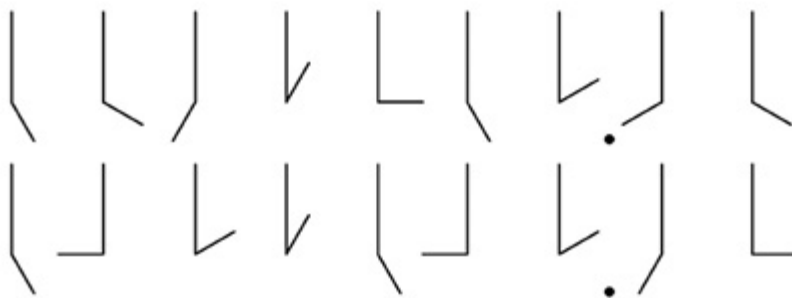
– Co było w jedenastej? – Paulina, coraz bardziej zniecierpliwiona, spojrzała na Igora z prawdziwą złością. – Powiecie w końcu, o co chodzi?

Igor wstał i podszedł do stołu, przy którym Alice i Johann, pochyleni nad jakimiś notatkami, wciąż o czymś zażarcie dyskutowali.

Wziął do ręki jedną z kartek i położył przed Pauliną.

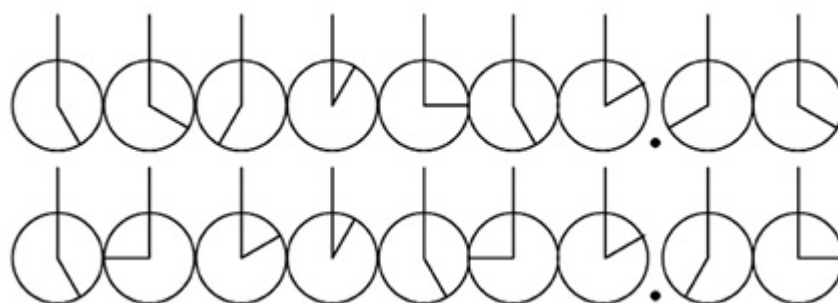
– Popatrz. – Wskazał palcem dwa rzędy kresek. – To ten szyfr. Pierwszy. Ten, który był na kartkach w katedrze.

Paulina pochyliła się nad wydrukiem.



– Wiedziałem, że z czymś mi się to kojarzy, ale nie mogłem nic sobie przypomnieć. Dopóki nie zobaczyłem okładek gier na PS cztery w domku na działce Rogali.

Igor pochylił się nad stołem, sięgnął po mazak i na każdym ze znaków narysował kółko.



Spojrzał na Paulinę, jakby oczekując, że to wystarczająca podpowiedź.

Paulina przez moment wpatrywała się w wydruk i w końcu podniosła wzrok.

– No i co to niby oznacza? – zapytała.

– To godziny!

Igor uśmiechnął się triumfalnie.

– Te kreski to wskazówki zegara. Pokazują pełne godziny. Każdy znak to godzina. – Dziobnął palcem pierwszy ze znaków w górnym rzędzie. – Po kolei pięć, cztery, siedem, jeden, trzy, pięć, dwa. I po kropce osiem i cztery.

– Mogę? – spytał Johanna i Alice, wskazując oczami notatnik, który leżał przed nimi na stole. Gdy Johann skinął głową, Igor wziął notatnik i położył przed Pauliną.

– Zobacz. – Podsunął jej kartkę pod nos. – Tak to wygląda.

**5471352.84**

**5921592.73**

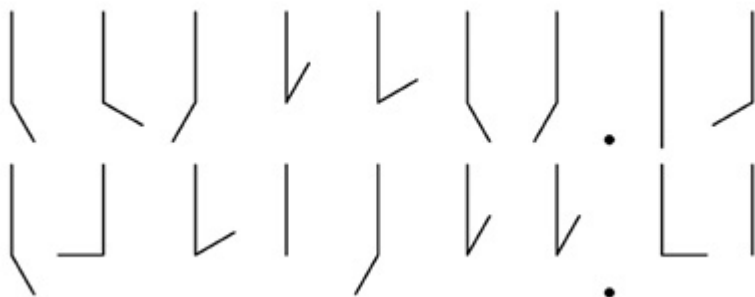
Paulina wpatrywała się w dwa rzędy cyfr, po czym odsunęła krzesło i powoli usiadła.

Pomyślała, że na dobrą sprawę można było się tego domyślić. To rzeczywiście nie była jakaś wybitnie trudna zagadka. Ale zaraz...

Igor przełożył kilka kartek, które leżały pod notatnikiem, i wyciągnął kolejną.

– Tutaj są dwa następne szyfry. Zauważyłem pewną prawidłowość. Najpierw w katedrze pojawił się pierwszy kod. Potem, w środę, był mail od Heilanda, a w nim kolejny szyfr.

Stuknął palcem w rysunek przedstawiający dwa rzędy kresek.

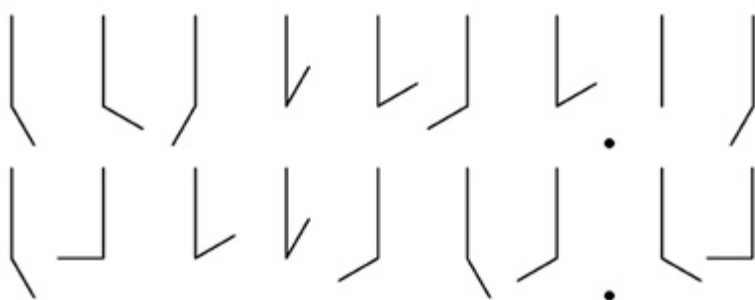


– Później był wybuch na rusztowaniach budynku straży portowej.

– W piątek – dodała Paulina w zamyśleniu.

Igor przytaknął.

– I tam znalazł się kod z pierwszego maila. No i kolejny mail. Ten z przedwczoraj. Znowu środa. – Igor wskazał palcem rysunek na samym dole kartki. – A w nim następny kod. Trzeci już.



– Odczytując je w taki sam sposób jak ten pierwszy, otrzymujemy kolejne dwa rzędy cyfr.

**5471257.68**  
**5920711.30**

5471282.07

5921858.49

Na krótką chwilę w mesie zapanowała cisza. Cała piątka, wliczając Piotra, który w międzyczasie stanął obok Igora, wpatrywała się w leżące na stole rysunki i kolekcję sześciu rzędów cyfr.

– Ale dlaczego... – Paulina w dalszym ciągu nie mogła pojąć. – Skąd się wziął ten *Tomb Raider*? Dlaczego akurat ta gra ci to uprzytomniła?

Igor się roześmiał.

– Bo to jest kod z tej gry. W którejś z kolei części była to po prostu zagadka do rozwiązania. A cyfry były kodem służącym chyba do otwierania jakiejś zapadni albo wrót. W tym rzecz właśnie, że mi kojarzy się to z jedenastą częścią, a Dermotowi z dwunastą.

– Zaraz... – Paulina w dalszym ciągu usiłowała uporządkować rewelacje, które właśnie usłyszała. – Ty jesteś aż takim fanem tej gry? Dlaczego nigdy nic nie mówiłeś?

– A kogo to obchodzi? Poza tym wcale nie jestem jakimś wyjątkowym fanem. W ogóle nie jestem fanem gier. Po prostu kiedyś bardzo mi się podobała pierwsza albo druga część, a kolejnych nawet nie skończyłem. Nie miałem cierpliwości.

– W dalszym ciągu uważam, że to chodzi o *Rise of the Tomb Raider* – odezwał się Dermot. – W części jedenastej chyba w ogóle nie było żadnych kamiennych wrót ani tablic. Lara była tam na wyspie i usiłowała się z niej wydostać.

– To było w dziesiątej części – stwierdził Igor.

– W jedenastej też była na wyspie.

– A co to ma do rzeczy? – Paulina przerwała zapętlającą się rozmowę. – W czym to nam pomoże?

– Usiłuję właśnie znaleźć to miejsce, żeby... Gównno! – Dermot kurczowo ścisnął iPada. Zza skały wypadli nagle na drogę dwaj muskularni gangsterzy. Lara uskoczyła w bok, zastrzeliła jednego z bandziorów, po czym przesadziła ogromną rozpadlinę i końcami palców złapała się półki skalnej.

– Usiłujemy znaleźć to miejsce, żeby sprawdzić, czy w grze nie ma jakiejś podpowiedzi. – Igor dokończył za Dermota, skupionego na desperackich próbach ocalenia życia angielskiej archeolożki. – Może to jakaś konkretna lokacja, która wyjaśniałaby motywy Heilanda albo cokolwiek. – Wzruszył ramionami.

– Zaraz, zaraz... – odezwał się nagle Piotr. – Obaj nie macie racji.

– Co takiego? – Dermot odwrócił się i spojrzał na chłopaka wilkiem. – Dlaczego?

– To znaczy macie i nie macie – szybko uzupełnił Piotr, widząc wlepione w siebie niezbyt w tym momencie przyjazne spojrzenia dwóch par oczu. – Bo to nie chodzi o grę.

– A o co? – Igor wciąż wpatrywał się w niego w skupieniu.

– O film! – Piotr sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. – Wiedziałem, że mi się to też jakoś kojarzy. To jest z filmu!

– Tego z Angeliną Jolie? – Paulina poczuła, że zaczyna się gubić. Jedyne kontakty z grami zapewniał jej kiedyś młodszy brat informatyk, który w swoim czasie marnował na nie większość swojego ówczesnego życia.

– Nie – zaprzeczył Piotr, wpatrując się w ekran telefonu. – Z dwa tysiące osiemnastego. Z taką młodą Angielką...

– Szwedką! – poprawiła Alice. – Alicia Vikander. Pamiętam ten film.

– Daj spokój z komórką! – Johann rzucił do Piotra i sięgnął po pilota.

Po chwili z ogromnego ekranu zniknęła gra i pokazał się ekran startowy Netflixu.

– Na Netflixie nie ma tego filmu – oświadczył Piotr. – Na HBO też nie.

– Może Player ma? – Igor sięgnął po swoją komórkę i zaczął w niej szukać aplikacji.

– Jest! – Piotr podniósł triumfalnie telefon i pokazał Johannowi.

Po chwili na ekranie ukazało się znane logo platformy streamingowej, a w chwilę potem pierwsze sceny filmu.

– Przewiń dalej – poprosił Piotr. – To było chyba wtedy, gdy Lara otworzyła testament swojego zaginionego ojca i dostała się do lochów, a tam znalazła jego dziennik.

Wszyscy umilkli, wpatrując się w ekran, na którym młoda Lara Croft otwiera ogromne zakurzone pudło i po kolei wyjmuje z niego rozmaite przedmioty: notatki, pamiątki, japońskie figurki i notes, w którym na jednej ze stron, pod rysunkiem ubranej w tradycyjne japońskie szaty kobiety, była mapa, a niżej kilka nakreślonych odręcznie znaków.

– Jest! – krzyknął Dermot. – Jest! Rzeczywiście!

Symbole składały się z dwóch złączonych ze sobą pod różnymi kątami kresek i dokładnie przypominały te z maili Heilanda.

– Przypomniałam sobie – odezwała się nagle Alice. – Lara potem będzie na łodzi z jakimś Chińczykiem i wtedy rozszyfrują te znaki.

– I o co tam chodziło? – spytał Johann. – W filmie znaczy. Pamiętasz?

– Chyba współrzędne. Współrzędne geograficzne wyspy, na której coś było ukryte – powiedział Piotr.

Johann przeskakiwał ze sceny na scenę i nagle na ekranie ukazało się wnętrze krypy i bohaterka wpatrująca się to w starą pożółkłą mapę, to w stojący na półce zegar.

– Ale to na pewno nie są współrzędne – odezwał się Johann. – Zastanawialiśmy się z Alice właśnie, czy to mogą być współrzędne, ale ani klasyczny, ani dawniejszy sposób zapisywania pozycji geograficznej nijak się ma do tych liczb.

– Dwa rzędy cyfr – powiedziała Paulina, która siedziała przy stole i wpatrywała się w kartkę z rozwiązaniem kodem. – Zauważyliście, że każda para zaczyna się od trzech takich samych cyfr?

– Tak? – Piotr stanął za jej plecami. – Rzeczywiście, odpowiednio pięć, cztery, siedem i pięć, dziewięć, dwa.

– To może być przypadek. – Dermot odłożył na stół iPada i usiadł naprzeciwko Pauliny. – Albo jeśli Heiland chce nam coś przekazać, to jest to wciąż to samo, tylko w jakiś sposób nas naprowadza. Was właściwie. Najwyraźniej zwraca się do mieszkańców Szczecina.

– Ale to wiadomo tylko dlatego, że te dwa zamachy miały miejsce w centrum miasta. – Igor spojrział na niego sceptycznie. – Nie wynika to bezpośrednio z tekstu jego maili.



– O co właściwie chodziło w filmie? – Paulina spojrzała wyczekująco na Piotra. – Co znaleźli na wyspie?

– Coś z jakąś legendarną japońską władczynią...

– Tak – przytaknęła Alice. – Pamiętam, bo tam był taki wątek epidemiologiczny...

– Epidemiologiczny? – Paulina spojrzała na nią ze zdziwieniem. – W *Tomb Raiderze*?

– Według legendy Himiko była okrutną i złą królową... – Alice zaczęła mówić, ale nagle rozległa się mroczna, symfoniczna muzyka, a na jej tle usłyszeli głos lektora.

– „Nazwali Himiko królową śmierci. Każda opowieść o niej kończy się rzeką krwi. Rzuca zaklęcia, zniewala umysły, sieje śmierć i zniszczenie za dotknięciem dłoni”.

Johann, który włączył ponownie film, rozejrzał się po wszystkich, udając przerażenie.

– „Terror przerwał bunt generałów, którzy zamurowali ją żywcem w grobie, odcinając od świata na niedostępnej dla żeglarzy wyspie. Wymazano jej wspomnienie z kart historii, a zagubiona wyspa stała się miejscem jej spoczynku”.

– W rzeczywistości Himiko jest pierwszą, na pół legendarną władczynią Japonii – przeczytała pochylona nad tabletem Alice. – Mówi o niej Kronika Trzech Królestw z czasów dynastii Wei. Nazywana jest tam księżniczką słońca albo królową Yamatai, kraju, który dopiero kilka wieków później zostanie nazwany Japonią.

– Te rzeczy o jej okrucieństwie z *Tomb Raidera* są jakoś potwierdzone? – Paulina cały czas wpatrywała się w skupieniu w sześć rzędów cyfr.

– To pewnie bzdury na potrzeby gry – rzucił Dermot lekceważąco.

– Źródła wspominają jedynie, że gdy objęła rządy, była już leciwa i zajmowała się czarną magią – przeczytała Alice.

– A co z tą pandemią?

– A właśnie. Spoileruję teraz, uwaga! – Podniosła rękę do góry. – Jak ktoś nie oglądał, a chce jeszcze obejrzeć, to niech nie słucha.

Paulina wzruszyła ramionami.

– Ja nie widziałam, ale chyba sobie daruję.

– No więc w końcu filmu, oczywiście w bardzo dramatycznych okolicznościach, Lara Croft odkrywa, że zamurowana w kamiennym grobowcu królowa była w rzeczywistości nie okrutną morderczynią, ale nosicielką zakaźnej śmiertelnej choroby. Każde więc jej zetknięcie się z kimkolwiek pociągało za sobą śmierć wielu osób.

– A racja! – przytaknął Piotr. – Czarny charakter w filmie chciał oczywiście otworzyć jej grobowiec i wypuścić wirusa, ale Lara w ostatniej chwili mu to uniemożliwiła.

– No i co to może mieć wspólnego z Heilandem? – Igor wstał od stołu i poszedł nalać sobie kawy.

Dochodziła druga i powoli zaczął odczuwać zmęczenie.

– Pewnie nic. – Paulina wydeła usta. – Ale inna sprawa, że pochodzenie tego szyfru z gry jeszcze bardziej czyni Rogalę podejrzanym.

– À propos... – Igor nagle przypomniał sobie o tajemniczym dwugodzinnym epizodzie Pauliny i Piotra. – O czym miałeś mi nie mówić? – Spojrzał surowo na Piotra.

– Co? – Piotr zdezorientowany otworzył szeroko oczy. – Nie miałem ci mówić? Nie, to nie tak! – zaprzeczył gwałtownie i spojrzał na Paulinę.

Paulina westchnęła.

– Śledziliśmy cię.

– Co takiego? – Igor zamarł nad kubkiem z gorącą kawą. – Śledziliście? Dlaczego? Kiedy?

– Miałam wrażenie, że coś jest nie tak z tą nocną wycieczką na Wyspę Pucką.

Paulina westchnęła jeszcze raz i opisała Igorowi przebieg ich wyprawy na ulicę Dobrej Nadziei.

Gdy skończyła, w mesie zapanowało milczenie.

– Jesteś pewna? – Igor patrzył na Paulinę skonsternowany. – Jesteście? – Wbił wzrok w Piotra.

– Z całą pewnością siedział na tej działce w tym samym czasie, w którym wy tam byliście.

– Zrobiłeś zdjęcia? – Dermot skupił się na najważniejszej według niego części historii.

Piotr potwierdził.

– Masz go na Google? – Johann sięgnął po pilota. – Możemy go obejrzeć?

Piotr ponownie skinął głową i sięgnął po komórkę.

Po chwili na ekranie ukazały się pierwsze niewyraźne kadry filmu.

– Mam jeszcze zdjęcie tyłu tego samochodu. Liczymy na to, że jutro informatycy nam to wyczyszczą i odcyfrujemy rejestrację.

Obraz na ekranie pokazał zamazany przez drgające liście widok na ciemną drogę, świecącą w tle latarnię i tył samochodu z podświetloną tablicą.

– Nie wiem, czy odważę się porozmawiać o tym z Moniką. – Igor przygryzł wargi. – Jeśli to był on, to w ogóle jakaś paranoja. Nie mogę w to uwierzyć.

– Nie powinniście iść z tym na policję? – spytała Alice.

Paulina, która w międzyczasie z zaaferowaniem sprawdzała coś na ekranie tabletu, spojrzała na Piotra.

– Chyba tak – odparła z wahaniem.

– Może zadzwoń jutro rano do komisarza z komendy wojewódzkiej, którego poznaliśmy, wiesz. W trakcie afery z promem. Jak on się nazywał... – Podrapał się po brodzie.

– Nadkomisarz Pawicki – poprawiła go automatycznie Paulina.

– Właśnie.

Paulina była wyraźnie pochłonięta czymś innym.

– Słuchaj. – Spojrzała badawczo na Igora. – Możemy użyć waszego odkrycia z szyfrem? Właśnie przeglądałam net. Nikt jeszcze nigdzie o tym nie napisał.

– Chcesz o tym napisać? – Piotr podniósł brwi z zainteresowaniem.

– Przecież to doskonały temat, nie mówiąc o tym, że to jest rozwiązanie zagadki.

– Nie poczuwam się do praw autorskich – oznajmił Igor z uśmiechem. – Ale Alice ma rację, najpierw powinniście, powinniśmy właściwie, w końcu to ja byłem tam z Moniką, iść na policję.

– No i to jeszcze nie jest rozwiązanie zagadki – wtrącił Dermot, przekrzywiając głowę i wpatrując się w kolekcję cyfr. – Dalej przecież nie wiemy, o co chodzi.

– Właśnie. – Piotr przytaknął i spojrzał na Paulinę z powątpiewaniem. – Nie wiem, czy Przeworska pozwoli nam to puścić.

– Jak nie ona, to Hubert.

– Kto?

– Szczecin & LeftSide.

Paulina spojrzała na zegar nad stołem. Dochodziła powoli trzecia. Wyglądało na to, że jeśli ma zdążyć napisać na jutro jakikolwiek tekst, to raczej nie pójdzie dzisiaj spać.

Paul Olsson odebrał telefon od Jensa, gdy siedział już w swoim czarnym mercedesie i jechał ciemnymi ulicami Kopenhagi w kierunku portu. Jak tylko zobaczył numer byłego szefa na wyświetlaczu swojej komórki, od razu wiedział, że to nie wróży niczego dobrego. Z dobrymi wiadomościami Jens wysłałby jakiegoś asystenta albo zadzwoniłaby wręcz jego sekretarka. Szef Policyjnej Służby Wywiadowczej, która jako jedna z dwóch służb specjalnych królestwa zajmowała się terroryzmem, szpiegostwem i tak zwanymi zagrożeniami wewnętrznymi, nie dzwoniłby bez powodu.

Olsson wysłuchał dwóch pierwszych zdań Jensa i zbladł po raz drugi w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Skoro Jens osobiście zajął się tą sprawą, to nie mogło być dobrze.

W najczarniejszych wyobrażeniach nie brał pod uwagę takiej możliwości. Oczywiście, nic nie było jeszcze do końca wiadomo i wszystko mogło się okazać nieporozumieniem, ale musiał się przygotować na najgorsze. A właściwie musiał przygotować na najgorsze swoich pracodawców.

Najrozsądniejszym wyjściem było jednak nie informować ich na razie o niczym. Olsson stwierdził, że najlepiej zrobią, jak powstrzymają się z tym do momentu, gdy nie będzie już żadnych wątpliwości. Nie chciał nawet myśleć, co by się działo, gdyby tę sprawę zwąchały media. Rozpętałyby się prawdziwe piekło.

Jens zgodził się z nim.

Stali więc teraz obaj na nabrzeżu w Nordhavn i z rękami w kieszeniach wpatrywali się z napięciem w ponton, z którego trzech policjantów wydobywało właśnie z wody mroczny, smętny, przelewający się im przez ręce toból.

Obok stało kilka policyjnych samochodów z irytująco mrugającymi kogutami i parę nieoznakowanych grafitowych sedanów.

Nabrzeże wzdłuż placów należących do firm budowlanych i spedycyjnych było zagospodarowane jedynie na początku, tam gdzie kiedyś był port przeładunkowy węgla i materiałów budowlanych, a teraz modna marina, w której na miejsce dla jachtu czekało się nawet rok. Ale tutaj, w pobliżu baraków i placów składowych, na wysokości betonowego gmachu wystawowego Bruun Rasmussen, nabrzeże było zniszczone i wyglądało tak, jakby wciąż trwały tutaj lata siedemdziesiąte.

Po drugiej stronie wznosiła się gargantuiczna bryła elektrowni Svanemølle, której projektant rzekomo inspirował się amerykańskimi budowlami z lat trzydziestych, uwiecznianymi w karykaturalnej formie w komiksach z tego okresu.

Od strony miasta dostęp do nabrzeża Kalkbrænderihavnen był zamknięty rozciągniętymi tam żółtymi taśmami, stał przy nich policyjny samochód. I powoli zaczynał się zbierać niewielki tłumek gapiów, którzy, nie wiadomo dlaczego, o tej porze nie spali.

Olsson uważał, że sprawca – jeśli w ogóle był jakiś sprawca – mógł wybrać zdecydowanie lepsze miejsce. Trzydzieści lat wcześniej, prawie dokładnie w tym samym miejscu, znaleziono zwłoki znanego duńskiego aktora Prebena Kaasa, o czym nadal, co jakiś czas, lubiły przypominać media, uzupełniając tamtą starą sprawę o coraz to nowe hipotezy i absurdalne spekulacje.

Przy pontonie rozległ się głośny chlupot i zaraz potem mała jednostka dobiła do nabrzeża. Kilku policjantów rzuciło się do pomocy i w chwilę później zwłoki ułożone na czarnym brezentowym worku spoczęły na brzegu.

Olsson westchnął ciężko, zaciągnął się jeszcze raz papierosem, po czym rzucił peta na ziemię i ruszył w ślad za szefem służb specjalnych.

Zaraz się wszystko okaże.

\*

Nie spodziewał się, że to się wyda. Gdy któregoś wrześniowego dnia, późno, ale nie za późno, była chyba ósma i powoli zmierzchało, zdecydował się zrealizować swoją fantazję, nie sądził, że ktoś się o tym dowie. W swojej ówczesnej naiwności sądził, że spalone mrowisko nikogo nie zainteresuje. Na wszelki wypadek jednak specjalnie wybrał taką porę dnia, żeby w lesie nie było żadnych spacerowiczów, ale żeby nie było za ciemno, bo łuna mogłaby kogoś zaniepokoić.

Miał na tyle rozsądku, że nie zrobił tego w upalny dzień, bo płonące ognisko mogło spowodować pożar. A wtedy od kilku dni padały deszcze lub przynajmniej mżyło i tego dnia było idealnie.

Stał tam, patrząc, jak ten cały świat płonie. Obserwując hordy oszalałych ze strachu mrówek, które biegały w każdą stronę, zapomniał zupełnie o wszystkim.

Tak wspaniale nie czuł się chyba nigdy w życiu.

Wiedział, że wspomnienia tego zdarzenia wystarczą mu na długo, że jeszcze przez wiele dni będzie mógł wracać myślami do tego, co się stało, i czerpać z tego siłę.

Był panem i kreatorem, zbawicielem i niszczycielem.

Ale wszystko ma swoje konsekwencje. Było to nauką na przyszłość. I potem już nie popełniał takich błędów.

Zygmunt był wściekły. Nigdy inaczej nie mówił i nie myślał o ojczymie jak Zygmunt. Był tak rozjuszony, że następnego dnia, gdy złapał go na podwórzu i zaciągnął do piwnicy, to myślał, że go zatłucze na śmierć.

Zygmunt był leśniczym. Nie był złym facetem. Gdy matka wyszła za niego kilka lat wcześniej, to w zasadzie wszystko było w porządku. Miał ciężką rękę, owszem, ale wydawało się, że tak być musi.

O spalonym mrowisku napisały nawet gazety. Wszyscy ludzie na osiedlu o tym mówili, a rodzice zabronili swoim dzieciakom chodzić do lasu.

Od tamtego dnia Zygmunt zaczął go traktować inaczej. Zabierał go do lasu na kontrole, jeździł z nim do szkółek leśnych, opowiadał o ekosystemie, o florze, o tym, jak ważne są wszystkie części lasu, od podszytu, w którym mieszkały tysiące małych stworzeń, po czubki najstarszych sosen.

I w zasadzie było to nawet wszystko bardzo interesujące, ale on patrzył na to swoimi oczami. I widział tylko, jak wszystko to jest kruche i zależne od widzimisię człowieka. I w dodatku, jakim hipokrytą jest Zygmunt, który z jednej strony z pasją opowiadał mu o leśnym ekosystemie, a później zabierał, żeby pokazać mu wyrąb. Gdy sosny osiągały swój wiek rębny, szły pod topór. Nie dlatego, że wymagał tego ekosystem, nie dlatego, że były stare czy chore, obumierające, ale dlatego, że tego wymagała tak zwana gospodarka leśna i zapotrzebowanie na drewno. Na deski.

Całe partie stuletnich sosnowych lasów były wycinane, ogromne pnie, które stanowiły siedliska setek różnych małych żyjątek, padały na ziemię z hukiem, a te wszystkie hordy stworzeń w panice uganiały się, szukając ratunku.

Nie dostrzegał więc żadnej różnicy między tym, co zrobił, a tym, co pokazywał mu Zygmunt.

Ale potem Zygmunt zaczął stwarzać jeszcze większe problemy...

## Rozdział 25

*piątek 9 sierpnia*

**D**ziewięciokondygnacyjny budynek, z dawno nieodświeżaną elewacją, której okładzina z brzydkich, niebieskawych aluminiowych płyt wyglądała, jakby za moment miała zacząć odpadać, o godzinie szóstej rano pogrążony był jeszcze w szarości. Jedynie w nielicznych oknach na kilku piętrach, za opuszczonymi do połowy żaluzjami zewnętrznymi, paliło się światło. W jednej z większych sal na szóstym piętrze trwała właśnie narada.

Budynek mieścił główny posterunek policji w Kopenhadze. Stał przy pasażu, którego głównym, oddalonym o kilkaset metrów elementem była wielka elipsa – miejsce spotkań i doskonały plac dla deskorolkowców. Zarówno elipsa, jak i niedalekie rondo były ukłonem dla duńskiego matematyka Pieta Heina, autora prac ewidentnie związanych z matematyką, przede wszystkim twórcy znanej duńskiej gry planszowej hex.

Przy stole, nad którym smętnie świeciło kilka świetlówek, siedziało kilkanaście osób, policjanci w mundurach oraz ponuro wyglądający mężczyźni w szarych garniturach.

Olsson stał pod ścianą i nerwowo uderzał dłonią o udo.

Jens chodził dookoła stołu i odpowiadał na pytania.

– Nie możemy prosić rodziny o rozpoznanie zwłok – odpowiedział kategorycznie na zadane przed chwilą przez nadkomisarza Biorna pytanie.

– Wie pan, czym by to się skończyło?

– Więc co? – enigmatycznie zapytał nadkomisarz.

– Testy DNA – stwierdził obojętnie Jens. – Będą gotowe w poniedziałek.

– Czy zwłoki były w aż tak złym stanie, że nie można było zidentyfikować ofiary? – odezwała się jedyna w tym gronie kobieta,



inspektorka policji, którą przydzielono właśnie do zespołu.

– Niestety tak – potwierdził Jens.

– A linie papilarne?

– Zwłoki są bardzo okaleczone. – Szef wyciągnął rękę z pilotem w kierunku ekranu na jednej ze ścian i po chwili ukazało się zdjęcie. –

Mężczyzna, biały, młody, dwadzieścia–trzydzieści lat, szczupły, dobrze zbudowany. Twarz została mocno okaleczona w taki sposób, że uniemożliwia to oczywistą weryfikację. Wstępny szacunkowy czas zgonu to od tygodnia do dwóch. Morderca odciął także ofierze dłonie. Grupa policjantów prowadzi właśnie poszukiwania w porcie, ale nie jest powiedziane, że sprawca nie ukrył ich gdzie indziej. Tyle wiemy.

– Ostatnie ustalenia – Jens, po chwili przerwy, w której wszyscy obecni wpatrywali się w zdjęcie trupa, mówił dalej – wykazały, że zaginiony mógł się kontaktować z tym mężczyzną. – Wyciągnął ponownie pilota w kierunku ekranu.

– Jego profil i wszystkie dane macie w teczkach przed sobą. Najbardziej interesującą nas rzeczą jest jeden epizod z jego życia. Dwa lata temu był członkiem pewnej anarchistycznej organizacji, która dopominała się zmian ustrojowych.

Kilka osób sięgnęło po teczki i zaczęło kartkować ich zawartość.

– To generalnie wszystko. – Jens rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. – Nie muszę chyba mówić, że sprawa jest priorytetowa oraz że wszystkich obowiązuje absolutna tajemnica. Żadnych rozmów z mediami, żadnych rozmów z rodziną zaginionego, żadnych konferencji prasowych.

W sali zapadła cisza, a Olsson nerwowo przełknął ślinę.

Paulina weszła do głównej sali redakcji i pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, to brak Piotra. Pomyślała, że albo jeszcze nie dotarł, albo gdzieś wyszedł. Umówili się, że przed południem zredagują wspólnie tekst, nad którym siedziała do piątej rano, i spróbują pokazać go Przeworskiej.

W sali, przy biurku Baški, stało kilka osób i przyciszonymi głosami prowadziło jakąś rozmowę. Paulina rzuciła okiem w kierunku zagródki

naczelnej, ale Przeworskiej nie było.

Nie było także Ulki. Jej biurko stało puste i nie kłuło też w oczy spektakularną torebką od Versace, którą eksponowała zawsze w widocznym miejscu.

Paulina od razu poczuła się swobodniej. Podeszła do swojego biurka, rzuciła torbę na wolne krzesło i włączyła komputer.

Czekając, aż laptop się uruchomi, spojrzała w kierunku pogrążonej w rozmowie grupki przy boksie Baśki.

Fotograf Filip, odwrócony do Pauliny tyłem, właśnie kontynuował jakiś wątek.

– Uważam, że Ulka przekroczyła już wszelkie granice. Ten styl relacji wideo zrobiony na *found footage* to przecież Paulina wymyśliła. A ta bez żadnego wstydu teraz to prymitywnie kopiuje. A ten jej ostatni tekst o kościele, a właściwie jakim, kurwa, kościele?! Ruinie!

– Zobaczymy, co z tego wyniknie. – Baśka założyła ręce na piersi i spojrzała z irytacją w kierunku biurka koleżanki. – Ta relacja to może być straszna wtopa.

– Może? – Filip się roześmiał. – To będzie wtopa na bank.

Baśka odwróciła się w kierunku okna, przy którym stały biurka Pauliny i Piotra.

– Paulina! Teraz dopiero cię zauważyłam, przepraszam. A my tu o tobie gadamy.

– To znaczy o czym? – Paulina wzięła kubek i skierowała się do aneksu kuchennego, ale po drodze, idąc nieco naokoło, zatrzymała przy stanowisku Baśki.

– Ulka zabrała Macieja z kamerą i pojechała robić relację na żywo spod tej ruiny pod Trasą Zamkową, gdzie niby ma być dzisiaj podłożona bomba.

Paulina wzruszyła ramionami. Pomyślała, że Ulka nieco ryzykuje. Jeśli ta lokalizacja okaże się chybiona, a wszystko na to wskazuje, to może się ośmieszyć.

– Pomijając wszystko inne, jest dziewiąta. – Zerknęła na zegar na ścianie. – Wybuch w katedrze był pod wieczór, a w porcie sporo po

południu. Skąd ona wie, kiedy to nastąpi?

– Gównu ona tam wie! – Baśka wypaliła ze złością. – Robi wokół siebie zamieszanie w nadziei, że zacznie być rozpoznawalna.

– Przejeżdżałem tamtędy w drodze do pracy. – Filip machnął ręką w kierunku okna. – Policja ogrodziła wszystko żółtymi taśmami, a obok na Bulwarze Gdańskim stoi cały czas radiowóz. Podobno też przetrząsnęli cały budynek dzisiaj rano i nic nie znaleźli.

– Policja zrobiła to dla porządku, na odczepnego. – Baśka przekręciła się ze swoim fotelem tak, żeby widzieć zegar. – Znajoma z wojewódzkiej mówiła mi, że nikt tej poronionej lokalizacji następnego zamachu na poważnie u nich nie wziął. Ale faktycznie... – Łypnęła na Paulinę. – Ona chyba nie zamierza tej relacji robić non stop cały dzień. Ludzie umrą z nudów.

– Zakładając, że ktoś w ogóle to ogląda. – Filip skrzywił się sceptycznie. – Czytałem wczoraj mnóstwo szydery na nasz temat.

– Piotr już przyszedł? – Paulina zawiesiła wzrok na drzwiach.

– Z samego rana – powiedziała Baśka. – I poleciał z czymś do Ksawera. Już tam z nim siedzi z godzinę.

– A Przeworska jest? Będzie?

– Nie mów, że się stęskniłaś.

– Nie w tym rzecz. Mamy z Piotrem naprawdę niezły news i chciałam z nią ustalić, kiedy to puszczamy.

– Jaki news? – Baśka spojrzała czujnie z malującym się na twarzy zainteresowaniem.

Paulina przez chwilę patrzyła na nią niezdecydowana.

– No mów!

– Mój przyjaciel odcyfrował kod Heilanda...

– Żartujesz?! – Baśka wyprostowała się na krześle. – Jesteś pewna? To znaczy to coś poważnego? Bo wiesz, już jest sporo takich teorii w necie.

– Niestety, dalej nie wiadomo, o co chodzi, bo to zaledwie rozwiązuje problem znaków. On tylko odgadł, że to są cyfry.

– Do Marcina idź – poradził Filip. – Przecież to pilne. Zaraz inni na to wpadną.

– Marcin nie będzie chciał się mieszać.

W drzwiach pojawił się Piotr.

Gdy zobaczył Paulinę, skinął na nią dyskretnie i nie czekając, ruszył w kierunku swojego biurka. Do gniazda USB włożył pendrive'a i pochylił się nad ekranem.

Paulina podeszła i stanęła obok.

– Co się dzieje? – zapytała, zaglądając mu przez ramię.

– Poprosiłem Ksawera, żeby zrobił coś z tym moim zdjęciem samochodu z Wyspy Puckiej. Zobacz sama. – Odsunął się i triumfalnym gestem wskazał ekran.

Na ciemnym tle drzew i przebijającego się przez ich korony światła stojącej nieopodal latarni odcinały się dwa jasne punkty tylnych świateł samochodu i wyraźnie teraz widoczna tablica rejestracyjna.

Paulina pochyliła się nad ekranem.

– ZS zero jeden czterysta dwanaście – przeczytała.

– I popatrz też tutaj. – Piotr otworzył kolejne zdjęcie. – Ksawer trochę popracował nad jednym kadrem z nagrania.

Na zdjęciu na tle rozmazanych liści widać było światła reflektorów oraz ciemną sylwetkę samochodu.

– To na osiemdziesiąt procent opel vectra. Stary typ, lata dziewięćdziesiąte.

Paulina wnikliwie wpatrywała się w ekran.

– Szkoda, że nie ma Pawła. On miał kontakty w prokuraturze. Ale mogę spróbować poprosić Martę. Może jej się uda jakoś to wyciągnąć.

– Martę? – Piotr, skupiony na fotografii, spojrzał na Paulinę skołowany.

– Moja znajoma prawniczka. No żeby wyciągnąć z policji, kto jest właścicielem – dodała, nadal widząc pytające spojrzenie Piotra.

– To byłoby zajebiste.

– Zadzwoń do niej potem.

– Co z waszym newsem? – Baśka wyrosła za plecami Pauliny i spojrzała ciekawie na ekran laptopa Piotra. – Jak chcesz, mogę cię wesprzeć. Razem pójdziemy z tym do Marcina. Czas leci, a możliwe, że za chwilę, nie ujmując zasług twojemu przyjacielowi, inni też wpadną na to samo.

Paulina popatrzyła z powątpiewaniem w kierunku aneksu, w którym siedział dyrektor administracyjny dziennika. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Przeworska. Obrzuciła wszystkich w sali spojrzeniem nadzorcy niewolników i bez słowa weszła do swojego pokoju.

– No teraz możemy porozmawiać z nią osobiście. Idziemy? – Baśka wskazała oczami oszkloną ścianę oddzielającą aneks naczelnej od reszty redakcji.

Paulina spojrzała nerwowo na Piotra, potem zagryzła wargi, a na koniec chwyciła ze swojego stołu plik kartek z wczorajszej rozmowy na jachcie i po chwili obie ruszyły w kierunku pokoiku naczelnej.

Jamie stanął w drzwiach mesy koło dziewiątej. Zabrał z bufetu cały dzbanek wody mineralnej z cytryną i usiadł przy stole.

– Coś ty wczoraj robił? – spytał go podejrzliwie Rupert, który pił kawę i przeglądał jakieś papiery. – Pamiętasz w ogóle cokolwiek?

– Już nie przesadzaj. – Jamie nalał sobie wody do szklanki i wypił całość duszkiem. – Nic się nie stało.

Dermot parsknął.

– Sprawdziłeś, czy masz kartę i czy nie płaciłeś nią przypadkiem w jakichś podejrzanych miejscach?

– W jakich podejrzanych miejscach?

– A ja wiem, gdzie ty byłeś?

– Dermot się martwi, czy ktoś cię nie naciągnął przypadkiem – odezwał się Johann, który kończył właśnie jeść śniadanie.

– Nie byłem w żadnym burdelu, jeśli to was martwi – rzucił Jamie z irytacją. – Niech Dermot nie mierzy wszystkich swoją miarą.

– A wy też jakoś wczoraj poszliście późno spać. – Rupert spojrzał na Johanna i Dermota. – Jakaś głośna imprezka tu była. Kto tu w ogóle

przyszedł?

– O proszę! – zadrwił Jamie. – Sami urządzają imprezki po nocach, nie wiadomo z kim, a do mnie z burdelem wyskakują.

– Paulina i Igor tu byli, kmiecie.

– Przecież poszli sobie przed jedenastą – zdziwił się Rupert.

Johann westchnął i pokrótce streścił przebieg wczorajszych wydarzeń.

– Paulina nie byłaby sobą, gdyby się w coś nie wplątała.

– A ten facet, który zaginął, to jakiś kolega Ajgora? – Jamie nalał sobie drugą szklanekę wody, wstał i zaczął grzebać w jednej z szuflad. – Tu gdzieś była aspiryna, przecież pamiętam.

– Nie ma. Poproś Patricka, to ci przyniesie i zrobi jakiś koktajl na kaca. Żona tego faceta jest jego znajomą, bardziej niż mąż, z tego, co zrozumiałem.

– Nie odpowiedziałeś w końcu, coś ty wczoraj robił? – Dermot zlustrował wzrokiem Jamiego.

– A co to śledztwo jakieś?

– A to jakaś tajemnica, durniu?

– Sam jesteś durniem. Zgubiłem się najpierw...

– Zgubiłeś się? – Dermot spojrzał na Jamiego z niedowierzaniem. – Z komórką? Z Google?

– Bateria mi siadła. Znalazłem się na jakichś podłych obrzeżach miasta...

– Obrzeżach? A po coś ty tam poszedł?

– To mam mówić czy nie? – Jamie pomachał do Patricka, który wychylił się z kambuza. – No więc zgubiłem się, ale trafiłem do jakiejś knajpy. Taka dziwna, ze trzy piętra pod ziemię się schodzi. Chciałem tam kogoś zapytać o drogę, ale wesołe towarzystwo tam było i zacząłem z nimi gadać. No i tyle, potem mi wezwali taksówkę.

Dermot, mimo wyjaśnień Jamiego, nadal patrzył na niego podejrzliwie.

– No ale jak ty się tam znalazłeś? Zawsze jęczysz, jak idziemy coś zwiedzać, a teraz nagle sam polazłeś piechotą na jakieś obrzeża miasta?

– Poszedłem za tym nowym. – Jamie pochylił się nad stołem i ściszył głos.

– Po jaką cholere?! – Dermot otworzył szeroko oczy. – Czy ty już całkiem zdurniałeś?

– Nie wydzieraj się – syknął Jamie i odwrócił się do Patricka, który wyrósł przy ich stole i ukłonił się grzecznie ze swoim typowym zuchowatym uśmiechem. – Mamy coś na ból głowy?

– Mamy, mamy. – Patrick uśmiechnął się szeroko. – I coś na ten ból głowy panu zrobię.

– Nie widzicie, że on jest jakiś dziwny? – Jamie wyszeptał konspiracyjnie, gdy tylko Patrick zniknął w kambuzie. – Siedzi sam, łązi sam, ciągle w tym kapturze...

– Chryste – westchnął Johann.

– No i nakryłem go na czymś. – Jamie wypił łyk wody.

– Na czym? – Mina Dermota wskazywała, że traci cierpliwość.

– Na widok policji dosłownie wpadł w panikę – zniżył głos Jamie. – Rozejrzał się tak, jakby chciał wiać, a potem wskoczył do jakiegoś sklepu chyba, bo przepadł nagle. Jak kamień w wodę.

– Jamie! – warknął Johann. – To, że chłopak jest nieśmiały, nie znaczy od razu, że jest Tedem Bundy. Zmiłuj się.

– Bo jak wiadomo, każdy nieśmiały facet na widok policji od razu czmycha jak zając.

– Może to tobie tylko tak się wydawało.

– Nic mi się nie wydawało. On mi się nie podoba i już! – powtórzył Jamie z uporem. – Coś z nim jest nie tak. Ja wam mówię.

W drzwiach z zewnętrznego pokładu pojawił się Artjom. Ukłonił się wszystkim i podszedł do Johanna.

– Przepraszam pana. Moglibyśmy zamienić słowo?

Johann spojrział na kapitana nieco zaskoczony. Przeprosił towarzystwo i obaj wyszli na korytarz.

Gdy znaleźli się na mostku, Johann widząc, że Artjom wskazuje mu wzrokiem drzwi, zasunął je za sobą. Spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

– Co się dzieje?

Artjom zasłonił usta i odkaszlnął.

– Jest taka sprawa. W środę, była chyba jakaś jedenasta wieczorem, zajrzałem do kajuty kapitana Whitmore’a...

– To kabina kapitańska. – Johann niecierpliwie pokręcił głową. – Masz prawo w niej mieszkać, po co się tłumaczysz. To, że tam wiszą jakieś łachy Liama...

– Nie o to chodzi.

– A o co? – Johann tym razem spojrzał na Artjoma z niepokojem.

– Nie chcę robić zamieszania, pewnie to jakieś nieporozumienie, ale wolę, żeby pan o tym wiedział. – Artjom sięgnął do szafki przy drzwiach i otworzył ją. – W środę nie było tutaj tego. – Wskazał na wiszący na haczyku pęk kluczy.

– Jak to? – Johann zmarszczył brwi. Nie bardzo jeszcze wiedział, o co chodzi.

– Ja wiem, że tu nikt specjalnie nie zamyka kajut, ale pana ojciec zawsze chciał, żeby marynarze mieli klucze do swoich kabin, żeby wie pan, nie było pomiędzy nimi awantur. Na niektóre wyprawy zabieramy więcej załogi, czasem obcych chłopaków.

– Może ktoś zatrasnął swój klucz.

– Klucze się pojawiły dopiero dzisiaj rano.

– Może po prostu zapomniał odnieść. Wiesz, jak to jest. – Johann się zamyślił. – Pod wieczór czasem tutaj niektórzy sobie popiją.

– Też uważam, że to na pewno nic poważnego, ale wie pan...

– Chyba nie podejrzewasz chłopaków, pływają u nas od lat. Ten nowy, Morten?

Artjom skrzywił się skępowany.

– Nikogo nie podejrzewam właściwie. Nowego nikt jednak nie zna.



Johann skinął głową.

– Dobra, zajmę się tym. Spytam dyskretnie, czy ktoś nie brał tych kluczy, i dam ci znać.

Artjom skinął głową i otworzył drzwi przed Johannem.

Gdy Paulina odsunęła przeszklone drzwi i weszła do wnętrza aneksu, Przeworska podniosła na nią wzrok i obrzuciła niechętnym spojrzeniem.

– Teraz nie mam czasu, przepraszam – rzuciła chłodno i wróciła do śledzenia czegoś na swoim monitorze.

– To ważne. – Paulina przepuściła w progu Baśkę, obie weszły do środka i stanęły nad biurkiem naczelniej.

– O co chodzi? – Przeworska podniosła głowę i otaksowała obie kobiety rozsierdzonym, ale i podejrzliwym wzrokiem. – Naprawdę nie mam teraz czasu.

– Mam materiał na news. – Paulina położyła przed Przeworską kartkę z trzema szyframi, które jak do tej pory przekazał mediom Heiland.

– Co to jest? – Naczelna rzuciła okiem na kartkę. – To te trzy kody kreskowe? I co z tego wynika? Jak pani sobie może przypomina, zabroniłam pani zajmować się tymi sprawami. To jest temat pani Mateckiej.

– Proszę przynajmniej wysłuchać, co koleżanka ma do powiedzenia – wtrąciła się Baśka, patrząc na Przeworską z niezbyt starannie ukrywaną irytacją.

– No więc słucham. – Naczelna splótła dłonie, oparła łokcie na biurku i wbiła wzrok w Paulinę.

I w tym momencie Paulina, która właśnie chciała pokazać resztę notatek, podjęła pewną decyzję. Dwie pozostałe kartki, na których Igor napisał wczoraj po kolei odczytane cyfry z kodów Heilanda, staranie złożyła na pół i włożyła do kieszeni.

– Mój przyjaciel wpadł na to, czym są te kody – powiedziała powoli. – Każdy z tych sześciu rzędów znaków składa się z pewnych symboli, które pojawiły się w popularnej grze komputerowej...

– Słucham? – Przeworska spojrzała na Paulinę z niedowierzaniem.

– *Tomb Raider*. Znana gra. Bohaterka, którą jest angielska archeolożka...

– Wiem, kto to jest Lara Croft. – Przeworska przerwała Paulinie. – Czy pani sobie ze mnie kpi?

– Zasadą w tej grze jest, że co jakiś czas pojawiają się tam rozmaite grobowce i tajne wejścia. Żeby je otworzyć, trzeba mieć odpowiedni szyfr.

Przeworska, z której twarzy zniknął typowy dla niej wyraz protekcyjnej niechęci, patrzyła na Paulinę z autentycznym osłupieniem.

– Mam wrażenie, że pani się kompletnie pogubiła, pani Paulino.

Paulina spojrzała na Baśkę, która ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w znaki widniejące na leżącej na biurku naczelnej kartce. Wyglądała, jakby właśnie zaczęła podejrzewać, że dała się wmanewrować w jakąś kompromitującą aferę.

– Te kody to w rzeczywistości cyfry – kontynuowała niezrażona Paulina.  
– Sześć rzędów cyfr.

– I co one niby znaczą?!

Paulina wydeła usta.

– Tego nie wiem. Odkryliśmy jedynie, że to cyfry.

– I co? Mamy może niby otworzyć jakiś grobowiec? – zakpiła Przeworska. – Skrzydło północne Zamku Książąt Pomorskich jest niestety nadal niedostępne, więc raczej nie dostaniemy się do krypty.

– Od dwudziestu minut pokazujemy na naszym kanale odrapane ściany ruiny na Bulwarze Gdańskim – wtrąciła niewinnie Baśka.

– Widzę, że przyłączyła się pani do zorganizowanego przez panią Weber hejtu na panią Matecką.

– Proszę jednak uważać z takimi oskarżeniami. – Paulina zacisnęła zęby.

– Od pierwszego dnia, odkąd tylko pojawił się w mediach temat tych zamachów bombowych, robi pani praktycznie wszystko, żeby zdyskredytować Urszulę. – Przeworska wbiła w Paulinę niechętnie spojrzenie. – A to ona była bezpośrednim świadkiem wybuchu w katedrze, ona jako pierwsza wpadła na to, skąd wziął się cytat z pierwszego maila zamachowca, i teraz ona, jako jedyna, odważyła się na próbę przewidzenia

następnego jego kroku. To, na co panią było stać, to jedynie kpiarskie pomysły z Leonardem da Vinci w tle.

Paulina stała przez chwilę, milcząc, po czym podniosła wzrok i starając się zachować obojętność, spojrzała na Przeworską.

– Nie muszę się pod tym podpisywać. Możemy to wrzucić jako gazeta, jeśli się pani upiera.

– To obojętne.

– Rozumiem zatem, że nie puścimy tego newsa?

– Dobrze pani rozumie. Nie pozwolę ośmieszać gazety.

– Będę musiała w takim razie, niestety, iść z tym na policję.

– Co takiego? – Przeworska otworzyła szeroko oczy.

Paulina nie mogła darować sobie takiego ubrania tego w słowa. Mogła to powiedzieć inaczej, ale chwilowe osłupienie, malujące się na twarzy naczelnej, było bardzo satysfakcjonujące.

– To nie ja odgadłam szyfr. – Paulina spojrzała na Baškę, jakby upewniając się, że do koleżanki dotarły te słowa. – Dowiedziałam się tego wczoraj w nocy, poza godzinami pracy. Ale jako że ta informacja może mieć znaczenie dla prowadzonego śledztwa, muszę udać się z tym na policję.

Baška, co nie było u niej częstym stanem, wyglądała, jakby wciąż nie wiedziała, w co dała się tym razem wpakować.

Przeworska parsknęła ironicznie.

– Jeśli chce się pani ośmieszać na komendzie wojewódzkiej, opowiadając im o tym, że grała pani wczoraj w grę i co z tego wynikło, to proszę bardzo.

Paulina zabrała z biurka Przeworskiej kartkę z trzema kodami i bez słowa ruszyła do wyjścia. Oszołomiona Baška spojrzała niepewnie na naczelną i poszła w ślad za koleżanką.

Gdy wyszły z aneksu, Paulina wróciła do swojego biurka, usiadła i zaczęła gorączkowo coś pisać.

– Co to było w ogóle? – Baśka, która szła z tyłu krok w krok za Pauliną, stanęła nad biurkiem i wbiła w koleżankę spojrzenie, w którym irytacja mieszała się ze zdumieniem.

– I jak wam poszło? – Piotr wyjrzał zza swojego monitora. – Puszczamy to?

– Co? – Paulina podniosła wzrok i spojrzała pytająco na Baškę.

– Jak co? Piotr pyta o ten news z Tomb Raiderem.

– Jaki news? Nie słyszałaś? Przeworska nie chce ośmieszać gazety.

Baśka umilkła i zerknęła na moment na ekran laptopa Pauliny.

– Ja cię popieram, ale możesz mieć kłopoty – ostrzegła cicho, gdy dotarło do niej, co Paulina zamierza.

– Słyszałaś sama. – Paulina zatrzymała się na moment z palcem nad klawiszem „enter”. – Po pierwsze, teoria na temat kodów nie jest moja. Usłyszałam ją wczoraj w nocy. Wczoraj w nocy także napisałam o tym wzmiankę. A naczelna tej gazety, co już obie wiemy, nie chce jej ośmieszać.

Paulina podniosła brwi, spojrzała najpierw na Baškę, a potem na Piotra i nacisnęła klawisz.

Na stole leżały wydruki rzutów ruin spichlerzy. Opracowane bardzo orientacyjnie, tylko na podstawie pomiarów widocznych części ścian. Dwaj studenci siedzieli nad nimi grzecznie i czekali, aż Igor przyniesie z plotera wydruk mapy geodezyjnej.

Po chwili pojawił się w drzwiach, niosąc wielką płachtę papieru.

– To wstępne pomiary geodezyjne. – Rozłożył mapę na stole i usiadł obok nich. – Na szczęście geodeta zdążył to zrobić. Wasze pomiary mogą się nieco różnić od geodezyjnych. Musimy uznać, że geodezja jest dokładniejsza, i jako założenie wstępne przyjąć, że punkty charakterystyczne, czyli narożniki budynków, bierzemy z geodezji, a resztę pomiarów dopasowujemy do nich.

Studenci pokiwali zgodnie głowami.

– Dzwoniłem do kierownika budowy. Usunęli już gruz z dwóch spichlerzy, z tego niezabetonowanego i z tego wysadzonego ostatnio, więc

możecie spokojnie mierzyć. Zostanie tylko środkowy.

– A kiedy będą wysadzać ten ostatni? Bo za dwa tygodnie ja mam wyjazd. Dwudziestego czwartego już mnie nie ma – uprzedził jeden z chłopaków.

– Za tydzień w piątek. Obiecali, że gruz usuną przez weekend, więc... – Igor obrócił się i spojrzął na kalendarz. – W piątek będzie szesnasty, więc od poniedziałku dziewiętnastego możecie mierzyć. Jak nie skończycie rysować, to przesyłacie to, co będziecie mieli.

– Okej, skończymy – powiedział uspokajająco drugi student. – Ja jestem na miejscu do września. Potem wyjeżdżam, ale tylko na tydzień.

– No to wszystko wiadomo. – Igor rozłożył ręce. – Mapę w dwg zaraz wam prześlę.

– A wysokości koron murów też bierzemy z geodezji? – Brodaty chłopak postukał palcem w mapę, na której w miejscu naniesionych ruin widniały małe cyferki określające wysokość nad poziomem morza.

– Te wysokości są w konkretnych miejscach, na rysunkach trzeba je zaznaczyć, ale własne pomiary też nanosicie. Tylko trzeba to opisać innym kolorem, jako pomiar geodezyjny.

– Okej – zgodził się brodac. – To wszystko już wiemy.

– Podeślę wam też współrzędne geodezyjne narożników. Geodeta przysłał to w odrębnym pliku, więc będziecie mogli...

Igor nagle umilkł.

– Wkleić bezpośrednio do CAD-a – dokończył, ze wzrokiem wbitym w mapę.

– Mamy jeszcze małą prośbę... – Brodac nieśmiało się uśmiechnął.

Igor spojrzął na niego roztargnionym wzrokiem.

– Moglibyśmy dostać zaliczkę przed zakończeniem? Nie ukrywam, że przyda nam się kasa.

– Tak, jasne – zgodził się Igor i pogrążony w myślach wstał. – Zostawię kasę w pracowni. Możecie wpaść po nią w przyszłym tygodniu.

Rozradowani studenci pożegnali się i zniknęli za drzwiami.

Igor znowu opadł na krzesło i przez chwilę siedział nieruchomo, wpatrując się w podkład geodezyjny. A po chwili zerwał się, dopadł komputera i otworzył jeden z plików.

Johann wszedł do mesy na głównym pokładzie i zamknął za sobą drzwi prowadzące na korytarz. W międzyczasie wróciła Gwen – jak zwykle rano była pobiegać i teraz kręciła się koło stołu, nalewając sobie do wysokiej szklanki soku pomarańczowego i rozmawiając z Rupertem. Przez panoramiczne, prowadzące na otwarty pokład drzwi widać było także Alice, która rozłożyła się na leżaku z tabletem i czytała wiadomości.

Johann wyjrzał na zewnątrz i zawołał ją do środka.

– Słuchajcie – powiedział cicho, zerkając w kierunku drzwi prowadzących na korytarzyk, do kambuza i dalej na mostek. – Jest taka dziwna sprawa.

– Nieźle się zaczyna – mruknął Dermot.

– Twój ojciec zbankrutował? – zapytał Jamie. – Albo gorzej, twoja matka zbankrutowała i nie mam już pracy?

– Czy możecie się zamknąć? – Johann syknął.

– Masz jakieś wiadomości z Danii? – zaniepokoiła się Gwen. – Z Videna się odezwali?

– Nie, to nie z żadnej Danii...

– Ale wypływamy w poniedziałek? – Alice, oparta o drzwi, podniosła głowę znad tabletu, od którego nie mogła się oderwać.

– Chryste! – Johann jęknął. – Czy z wami zawsze muszą być takie korowody jak w przedszkolu dla niepełnosprawnych umysłowo?

– Nie ma takich przedszkoli chyba – odezwał się Jamie.

– Jamie – syknęła Gwen. – Daj mu dojść do słowa.

Johann zamknął oczy i policzył do pięciu.

– Artjom mi właśnie powiedział, że w środę wieczorem ktoś zabrał klucze zapasowe – powiedział w końcu przyciszonym głosem. – Taki wielki pęk, który zawsze wisi w szafce w kajucie kapitana. Ktoś z was brał?

W mesie zapadła cisza. Na moment jedynie.

– I to jest ta sprawa? – Jamie się zakrztusił. – Jezu, ja myślałem, że coś się naprawdę stało. Od czego klucze?

– Od wszystkiego.

– Po co komukolwiek tutaj byłyby potrzebne klucze? – Dermot wzruszył ramionami. – Nikt nie zamyka kabin.

– Klucze zniknęły w środę, a pojawiły się z powrotem dopiero dzisiaj rano. – Johann podszedł do stołu i nalał sobie soku. – Artjom się niepokoi.

– Ktoś brał? – Dermot rozejrzał się po wszystkich. – Przyznać się. Rupert?

Rupert nawet nie podniósł wzroku.

– Dlaczego akurat ja?

– A coś zginęło? – Alice odłożyła tablet na stół i usiadła na sofie.

– No właśnie – powiedział Johann. – To następna sprawa. Sprawdźcie wszyscy, czy nic nie zginęło.

– Wiedziałem! – odezwał się nagle Jamie i pokiwał palcem, rozglądając się dookoła. – A wyście się ze mnie naśmiewali. Mówiłem, że ten nowy jest podejrzany. Mówiłem?

– Jeszcze nic nie wiadomo – syknął Johann. – Najpierw sprawdźcie swoje rzeczy. Ja tu w zasadzie nic cennego nie mam. Może to tylko jakieś nieporozumienie.

– Kochanie, żyjesz w równoległej rzeczywistości. – Gwen drwiła, patrząc ironicznie na Johanna. – Twój zegarek, który wciąż leży na szafce przy łóżku, mógłby zapewnić komuś chesne na studiach. Może nie w Oksfordzie zaraz, ale na St. Andrews pewnie już tak.

– A dlaczego akurat St. Andrews? – Jamie spojrzał urażony. – Że niby w Szkocji?

Gwen przewróciła oczami.

– Podałam pierwszy przykład z brzegu.

– Może lepiej włóż albo schowaj ten zegarek. – Dermot spojrzał na Johanna.

– O ile jeszcze tam leży – mruknął Jamie.

– Dość tych bredni! – Johann wstał i zamachał rękami, uciszając towarzystwo. – Obiad dzisiaj jemy na mieście. Igor nas gdzieś zaprasza. Ale do obiadu mamy trochę czasu. Co powiecie, żeby zobaczyć Szczecin z góry?

– Czyli skąd? – W głosie Jamiego nie było zbyt wiele entuzjazmu.

– Stamtąd. – Johann wycelował palec w kierunku okien wychodzących na bulwar.

Znalezienie miejsca postojowego w okolicach placu Solidarności granoczyło z cudem. I to niezależnie od pory dnia. Gdy więc dosłownie kilka metrów przed mini cooperem – spomiędzy zaparkowanych przy gmachu Centrum Dialogu Przełomy samochodów – zaczął wymanewrowywać jakiś czarny mercedes, Paulina uznała to za dobry znak. Wjechała szybko na parking, zapłaciła za postój i ruszyła w kierunku ceglanego budynku Komendy Wojewódzkiej Policji.

Nadkomisarza Zbyszka Pawickiego znała dopiero od kilku miesięcy, ale po jednym z jej ostatnich artykułów, z powodu którego wpakowała się w sprawy przemytu dzieł sztuki, nadkomisarz nie wzbraniał się przed jej przyjęciem.

Pawicki, teraz już, jeśli chodzi o ścisłość, podinspektor, rezydował na drugim piętrze. Razem z nim w pokoju czekała na Paulinę jakaś kobieta, która okazała się komisarzem bezpośrednio zaangażowanym w śledztwo w sprawie wydarzeń w katedrze i porcie.

– Iwona Halczyszyn – przedstawiła się.

– Pani Paulino. – Pawicki usiadł naprzeciwko Pauliny, gdy tylko zajęła miejsce przy małym stoliku dla gości i zaczęła szperać w swojej torebce. – Po naszym ostatnim spotkaniu aż boję się pytać, z czym pani przychodzi.

– Obawiam się, że pan mnie wyśmieje, tak jak moja aktualna naczelna, ale... – Paulina zaczerpnęła tchu i położyła na stole kserokopie notatek Igora. – Uważam, że nie należy tego ignorować. – Omiotła spojrzeniem przyglądającą się jej policjantkę.

– Nadinspektor mi przekazał, że to dotyczy tych...



– ...zamachów – dokończyła Paulina, jednocześnie uświadamiając sobie, że policja, tak jak i prokuratura stara się najwyraźniej nadal unikać tego określenia.

– Uwzględniamy ten aspekt, ale za wcześnie o tym mówić.

– Do rzeczy. – Paulina rozsunęła kartki na stole i wskazała palcem tę, na której znajdowały się odcyfrowane przez Igora symbole. – Heiland przekazał nam trzy wzory, złożone z pewnych symboli. Mój znajomy wpadł na pomysł, że owe symbole mogą być po prostu zakamuflowanymi cyframi – Paulina postukała palcem w kartkę – zgodnie z tym schematem.

Policjantka podeszła do stołu i przekrzywiając głowę, przyjrzała się rzędom cyfr.

– I co to niby oznacza? – zapytała.

Paulina nie odpowiedziała. W jej torebce odezwała się komórka. Wyjęła ją i odrzuciła połączenie.

– Nie wiemy, co oznaczają te cyfry. Może to jakieś kody do czegoś.

– A ten znajomy? – Pawicki spojrzał uważnie na Paulinę. – To jak na to wpadł?

Paulina, która w drodze na komendę postanowiła, że będzie unikać posługiwania się w rozmowie nazwą słynnej gry, stwierdziła z przykrością, że chyba tego nie uniknie.

– Przypadek. Ten szyfr pochodzi z pewnej gry komputerowej.

– Gry? – Halczyszyn wymieniła się spojrzeniami z Pawickim.

– Gry – przytaknęła Paulina z rezygnacją. – *Tomb Raider*.

– Co takiego?

Kamienny wyraz twarzy Halczyszyn na moment zniknął, ustępując miejsca osłupieniu.

– To dowodzi tylko tego, że zamachowiec wykorzystuje pewne znane powszechnie symbole kultury masowej – zaczęła tłumaczyć Paulina, widząc efekt, jaki przyniosły jej rewelacje. – Ja wiem oczywiście, jak to brzmi, ale przecież fragmenty, które zacytował w swoich listach do mediów, także są powszechnie już znanymi cytatami, które przeniknęły do kultury masowej.

– Pani Weber. – Policjantka oparła się o biurko. – Nie możemy zdradzać oczywiście żadnych szczegółów, ale prowadzimy śledztwo w kilku kierunkach. I mamy już podejrzanych.

– Czy jednym z nich jest Szymon Rogala?

– Rogala? – Policjantka spojrzała szybko na Pawickiego. – A dlaczego pani pyta akurat o niego?

Paulina westchnęła i opisała nocną wycieczkę na Wyspę Pucką.

– Rogala ma w domku na wyspie całą kolekcję gier na PlayStation. A tutaj jest ten numer rejestracyjny. – Wyciągnęła z torebki kolejną kserokopię z komputerowo wyczyszczonym zdjęciem tablic starego opla.

– Pani Paulino – odezwał się Pawicki. – Umawiamy się. Niech pani nie prowadzi żadnego śledztwa na własną rękę. Wie pani, jak to się skończyło ostatnim razem. Notabene, ja też mam niemałą kolekcję gier na plejaka.

– No tak... Ale sprawdźcie te rzeczy. – Paulina wskazała głową kserokopie. – Może wasi ludzie odkryją, o co chodzi z tymi cyframi?

– Robimy wszystko, co potrzeba. Jak pani zauważyła, pilnujemy dzisiaj od rana tego budynku byłego komisariatu nad Odrą przy Bulwarze Gdańskim – przypomniał Pawicki. – Chociaż to raczej mało prawdopodobne, żeby akurat tam coś się wydarzyło.

– Czy kojarzy pani nazwisko Hirszfeld? – zapytała nagle policjantka. – Bartosz Hirszfeld?

Zaskoczona Paulina szukała przez chwilę w pamięci.

– Niestety. – Pokręciła głową. – Nie znam nikogo o takim nazwisku. A kto to jest?

– A pana Borysa Ignatiuka zna pani oczywiście.

Paulina zmarszczyła brwi.

– Przepraszam, chyba na chwilę zapomniałam, że jestem jednak w komendzie policji – powiedziała z przekąsem. – Podległej wiadomo komu. Jeśli podejrzewacie aktywistów miejskich, w dodatku prawników, o podkładanie bomb, to jest to...

– Nikogo nie podejrzewamy – odparła policjantka ze zniecierpliwieniem. – Rozważamy po prostu różne scenariusze. Pan

Ignatiuk jest znany w mieście z bardzo medialnych protestów w obronie zieleni, więc...

– I dlatego miałyby podkładać bombę w katedrze?

– Proszę nie kpić. Nawet jeśli coś wygląda z pozoru absurdalnie, to i tak wolimy to sprawdzić. Różne środowiska obecnie bardzo się radykalizują, to cecha dzisiejszych czasów. Jako dziennikarka na pewno pani to zauważyła.

Paulina przez chwilę milczała. Przypomniała sobie to, co mówił Piotr. Na podstawie maili Heilanda – twierdził – ludzie mogą zacząć podejrzewać miejskich aktywistów walczących o zieleni, Młodzieżowy Strajk Klimatyczny i różne organizacje, którym mogą być przypisywane coraz bardziej radykalne działania. Nie mówiąc już w ogóle o tym, co pisała Ulka. A przecież były jeszcze portale prawicowe, chrześcijańskie z nazwy, na których oskarżenia już teraz padały bez żadnych zahamowań.

– Oczywiście, że zauważyłam – przyznała niechętnie. – Ale szczerze mówiąc, ja bym prędzej podłożyła bombę w obronie zieleni niż Borys. I to raczej nie w katedrze. A ten Hirszfeld? Kto to jest?

Halczyszyn spojrzała na Pawickiego, który kiwnął głową.

– Zapytałam panią o tego człowieka, ponieważ wspomniała pani o Rogali. Hirszfeld to były pracownik Rogali. Miesiąc przed happeningiem w katedrze Rogala wyrzucił go z roboty.

Paulina przez chwilę patrzyła na policjantkę, po czym spojrzała w okno.

– Nadzór budowlany prowadzi w dalszym ciągu postępowanie w sprawie niewłaściwego montażu rusztowania – powiedziała do siebie z namysłem. – A rusztowania rozstawiała firma Rogali...

– W dodatku kilka dni po tym, jak Hirszfeld wyleciał z roboty – dodała policjantka.

– Wiemy również, że Rogala także wykonywał drobne prace podzleczone w katedrze – odezwał się Pawicki.

– Dostęp do tych urządzeń jest dość prosty dla kogoś, kto tam pracuje. – Paulina wciąż patrzyła w przestrzeń.

– Ma pani na myśli kołowrót do opuszczania lamp?

Paulina przytaknęła, ciągle pogrążona w myślach. Obcy mężczyzna, ale orientujący się we wszystkich sprawach Rogali, mający łatwy dostęp na budowy. Czy to możliwe, że to Hirszfeld był w nocy na Wyspie Puckiej?

Pawicki spojrzął na Paulinę.

– To, o czym tutaj mówimy, ma pozostać między nami. Jeżeli oczywiście chce pani, żebyśmy nadal byli w dobrych stosunkach – powiedział z naciskiem.

Paulina niechętnie potwierdziła.

Johann zszedł po trapie jako ostatni i odwrócił się do Jamiego, który oparty o reling stał naburmuszony na pokładzie rufowym.

– Jesteś pewien, że nie chcesz iść z nami?

– A co to za atrakcja? W Londynie myślałem, że się porzygam. Trzęsie się to wszystko na wietrze, a panoramę już widziałem z tego wieżowca, gdzie byliśmy na górze w knajpie.

– Jamie. – Johann spojrzął, groźnie marszcząc brwi. – Tylko jeśli znowu zaczniesz prześladować tego chłopaka...

– A kto go prześladował? Nie bredź.

– Oskarży nas w końcu o mobbing. A właściwie mnie oskarży, to ja jestem jego pracodawcą.

– Położę się, kmiecie, na leżaku i sobie pośpię. Nie zamierzam w ogóle przejmować się twoim wynajętym przestępcą.

– Wracamy za godzinę. – Gwen złapała Johanna pod ramię i pomachała do Jamiego ręką. Johann, odchodząc, pogroził mu jeszcze palcem.

Na bulwarach, mimo zbliżającego się dopiero południa, było już trochę ludzi, pogoda piękna, słońce kładło się długimi złotymi błyskami na wodzie, a lekki wiatr poruszał liśćmi stojących niedaleko wysokich topól i kołysał białymi masztami i żaglami jachtów i łodzi przy sąsiedniej marinie.

Dopiero idąc Małopolską, w kierunku przejścia dla pieszych, Paulina przypomniała sobie o wyciszonym telefonie. Sięgnęła do torebki i wyjęła

smartfon. Na ekranie ukazało się siedem nieodebranych połączeń. I wszystkie od Igora.

Lekko zaniepokojona wybrała jego numer.

– Nareszcie! – Igor odetchnął, ale w jego głosie słyhać było irytację. – Gdzie jesteś?

– Byłam na policji z twoimi kodami. Coś się stało?

– Z tego, co widzę w mediach, to jeszcze nic, ale chyba mam rozwiązanie.

– Czego? – Paulina w pierwszej chwili nie zrozumiała. – Jakie rozwiązanie? Masz na myśli...

Stała w miejscu i ze wzrokiem wbitym w chodnik czekała na odpowiedź Igora.

– Wiem, co oznaczają te cyfry.

Piętnaście minut później Paulina wbiegała po schodach do pracowni Igora. Gdy weszła do środka, Igor stał nad rozłożoną na stole mapą. Kiedy zobaczył Paulinę, zasunął drzwi, wziął ze swojego biurka klawiaturę i położył na stole.

Po chwili wiszący na ścianie ekran rozjarzył się planszą startową programu AUTOCAD, a później Paulina zobaczyła tę samą mapę, której wydruk leżał na stole.

– Zobacz. – Igor sięgnął po myszkę i poruszył nią po ekranie. – Przypadkowo mam cały podkład geodezyjny Łasztowni wraz z niewielkim sięgaczem obejmującym Stare Miasto. Wprawdzie ta mapa nie jest już aktualna, a zakres zweryfikowany obejmuje jedynie część przy Nabrzeżu Celnym, ale całkowicie wystarczy.

Pochylił się nad klawiaturą i wpisał pierwszy zestaw cyfr.

Punkt na ekranie wskazał środek jakiegoś budynku.

– To katedra? – Paulina otworzyła szeroko oczy. – Te cyfry to były współrzędne geodezyjne?

– Domyśliłem się tego, jak siedziałem nad mapą ze spichlerzami. To tuż obok, więc współrzędne są podobne. Praktycznie na tym obszarze trzy

pierwsze cyfry współrzędnych x i y – czyli pięć, cztery, siedem i pięć, dziewięć, dwa – są takie same, zobacz sama. – Igor wskazał myszką lokalizację odkopanych spichlerzy.

– Domyślam się, że następne w kolejności to straż pożarna w porcie? – Paulina odsunęła krzesło i powoli usiadła.

Poczuła, że robi jej się słabo.

Igor przytaknął.

– Dokładnie! – Wpisał następne cyfry i na ekranie ukazała się linia łącząca katedrę z wieżą budynku straży pożarnej.

– Czyli te ostatnie współrzędne wskazują... – Paulina zbladła.

– Miejsce kolejnego zamachu.

Igor wpisał ostatni zestaw cyfr i oboje spojrzeli na ekran.

Paulina słyszała, jak głośno wali jej serce.

## Rozdział 26

WTEDY...

*Lasy majątku Jakobsdorf, na północ od Szczecina*

**P**rzez kolejne dni Anula bała się zapuszczać do lasów na północy. Chodziła na jagody i borówki jedynie do torów kolejowych. Było tam zdecydowanie mniej owoców wprawdzie, ale stwierdziła, że musi to jej wystarczyć. Przekroczenie torów zaczęła traktować jak przekroczenie jakiejś umownej granicy, za którą rozciągała się tajemnicza kraina pełna demonów.

Minął tydzień i w końcu ciekawość zwyciężyła. Anula zamiast przejść drogę i zapuścić się w rozciągające się na wschód zagajniki i laski okalające sąsiednią wieś, której nazwy nie mogła jakoś zapamiętać, Immendorf chyba, skręciła i z duszą na ramieniu skierowała się na północ.

Pogoda tego dnia była piękna. Początek lipca, a lato stało w zenicie. Wszystko wokoło bzycało, szumiało i słychać było, jak buzuje na polach i łąkach życie. To dodało jej odwagi. W tak piękny dzień nic złego nie mogło się przecież stać.

Przemierzyła znane już dobrze łąki i wydeptaną wśród pól drogą doszła do torów. Przystanęła tam i zaczęła nasłuchiwać. Albo o tej porze dnia gwizduny siedziały gdzieś ukryte, albo wśród dziennych odgłosów ich nie słyszała. Po krótkiej chwili przebiegła przez tory i znalazła się znowu na polanie, którą od północy strzegła gęsta ściana drzew.

Pomyślała, że to ostatni moment na to, żeby zawrócić. Przez krótką chwilę stała i wpatrywała się w wysokie sosny, poprzątkane młodymi dębami, aż w końcu powiedziała w duchu do siebie „raz kozie śmierć” i weszła pomiędzy drzewa.

Tak jak poprzednio, nagle zrobiło się ciszej, jakby i zwierzęta rzadziej tutaj się zapuszczały, ale tym razem nie usłyszała tego dziwnego odgłosu.

Przetarła rękawem twarz, tego dnia było bezwietrznie i w lesie trochę parno, po czym ruszyła dalej. Ostrożnie przemykała się pomiędzy drzewami, starając się nie hałasować i nie zwracać na siebie uwagi. Przeszła jeszcze kilkadziesiąt metrów i nagle pomiędzy drzewami dostrzegła błysk słońca. Następnym kilka kroków i zobaczyła znowu tę samą polanę co poprzednio. Za stalową siatką, trochę dalej niż ostatnim razem, zobaczyła ponownie grupę kobiet. Ubrane w brudne kombinezony prały szmaty w wielkich baliach. Tym razem spostrzegła jednak, że jest wśród nich wiele bardzo młodych dziewcząt, niektóre były chyba tylko trochę starsze od niej. Stała, schowana za pniem starej sosny, i wpatrywała się z przerażeniem w kobiety. Dopóki nie usłyszała, jak mówią.

Ze zdziwieniem pojęła, że przecież zna ten język. Mieszkając na Kresach, uczyła się go przecież od małego. Kobiety rozmawiały pomiędzy sobą po rosyjsku!

Stała tak wstrząśnięta tym odkryciem, że nie spostrzegła, że ktoś ją zauważył.

Od grupy kobiet oderwała się młoda, na oko, mimo sponiewieranego wyglądu, ran i okaleczonej skóry, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna i zbliżyła do siatki. Rozejrzała się wokół trwożnie i skinęła na Anulę.

– *Maleńka, my umirajem, priniesi chleba* – zawołała do niej.

Anula była tak przejęta tym spotkaniem, że w pierwszej chwili nie zrozumiała. Dziewczyna złożyła ręce jak do modlitwy i patrzyła na nią błagalnie.

– *Tolka nikomu nie gawori, bo roztreliajut.*

Anula pokiwała głową i nie czekając na nic więcej, rzuciła się biegiem do domu. W drodze kołatała się w jej głowie myśl, że ma teraz swoją wielką tajemnicę, której nie może nikomu zdradzić. Czuła się dorosła i potrzebna.

Prawie całą drogę na folwark przebiegła. Najpierw przez las, potem łąki nieopodal torów, pola i wreszcie mały zagajnik przed samymi zabudowaniami gospodarstwa. Wpadła do drewnianego baraku, który stał



za ceglanymi oborami i rzuciła się do ukrytych pomiędzy manelami skarbów. Matka zawsze trzymała tam trochę chleba albo sucharów, które dostawały od zarządcy. Chwyliła teraz ten niewielki bochenek, przełamała na pół i wsadziła do szmatki. Dołożyła do tego trzy sucharki i zawięła węzeł.

Drogę do polany w północnym lesie pokonała znowu biegiem. Emocje spowodowały, że prawie nie czuła zmęczenia. Dopiero gdy była znowu przy ogrodzeniu, dotarło do niej, że ma nogi jak z kamienia, a oddech rwie się przy każdym słowie.

Młoda Rosjanka nazywała się Szura. Pokazała Anuli ukrytą wśród krzaków szparę pod ogrodzeniem. Przecisnęły tamtędy woreczek z jedzeniem.

Anula wracała w to miejsce jeszcze wiele razy. Z krótkich rozmów, przerywanych strachliwym rozglądaniem się dookoła, dowiedziała się, że dziewczyna pochodzi z Kijowa i że zostawiła tam dwoje małych dzieci. Pracowała tutaj przy składaniu jakichś granatów i bomb. Mówiła, że te czerwone oczy to choroba prochowa. Bardzo się bała, że straci wzrok. Oślepiłe kobiety Niemcy gdzieś wywozili i nigdy już ich nie widzieli. Anula usłyszała, że z wycieńczenia, chorób, oparzeń umierało dziennie po kilkanaście kobiet. Szura i inne więźniarki musiały je wtedy zawijać w worki i ładować na ciężarówkę z wielką stalową budą.

Anula później ją zobaczyła.

Parkowała zawsze w tym samym miejscu, niedaleko głównej bramy i wartowni, jakby ciągle przygotowana na nowe partie zwłok.

Po pierwszej dłuższej rozmowie Anula wracała do domu zmieniona. Tak jakby naprawdę wydorowała. W to jedno letnie popołudnie czterdziestego czwartego roku z dwunastoletniej dziewczynki przeobraziła się w dorosłą kobietę. Z pominięciem młodości. Wysokie sosny, pod wieczór prześwietlone słońcem, zawsze wydawały jej się takie piękne – teraz zmieniły się w jakąś ciemną, oświetloną jedynie padającym z wysokich witraży światłem katedrę, w której dostąpiła poznania owoców dobra i zła.

Nie było żadnych strzyg i leśnych straszydeł. Gwizdunów ani innych borowych dziadów. Najgorszymi potworami kryjącymi się w tych lasach byli ludzie.

Tego lata wydarzyło się też wiele innych złych rzeczy. Któregoś dnia rzeczka, płynąca na wschód od zakładu, w którym pracowała Szura, zabarwiła się na rudy kolor, a wszystkie rośliny w jej pobliżu obumarły. Anula ostatni raz widziała Szurę gdzieś pod koniec lipca. Jej koleżanki powiedziały, że straciła wzrok i została wywieziona.

Anula przepłakała całą noc, a następnego dnia chciała nadal przynosić jedzenie, ale kobiety ostrzegły ją, żeby lepiej już tego nie robiła. Trzy pracownice zdołały uciec tym ukrytym pod siatką podkopem. Schwytano je jeszcze tego samego dnia i rozstrzelano. Wokół zakładu zaś zaczęło chodzić jeszcze więcej patroli z psami. A potem zakazano zbliżać się nawet do torów, za którymi na północy rozciągał się las.

Anula pamiętała, że gdzieś w połowie sierpnia z zakładu, drogą w kierunku miasta, wyjeżdżało sporo samochodów. Jeden z transportów zapamiętała szczególnie.

Ukryta w krzakach przy drodze, niedaleko folwarku, widziała jadącą drogą kawalkadę pojazdów, za którymi ciągnęły się tumany kurzu. Wielkie zielone ciężarówki z przyczepami oraz otwarte samochody, w których siedziało mnóstwo żołnierzy.

## Rozdział 27

Urszula stała na niskim kamiennym murku na tle rozległego trawnika, na którego końcu, osłonięta częściowo przez młode świerki i korony lip rosnących przy ulicy Energetyków, stała marna pozostałość po kościele Chrystusa Króla.

Maciej z kamerą na ramieniu i coraz bardziej poirytowanym wyrazem twarzy stał na chodniku i słuchał instrukcji.

Za jego plecami ulicą Bytomską co chwilę przejeżdżał jakiś samochód ciężarowy, tarabaniąc po popękany i dziurawym asfalcie. Na drodze dojazdowej do budynku dawnego kościoła stało kilka samochodów z lokalnych rozgłośni radiowych i jeden oddelegowany ze szczecińskiej telewizji. Obok nich koczowała grupka dziennikarzy – oparci o maski, wyraźnie znudzeni, rozmawiali.

Nad ich głowami, w tle, płynęła wstęga Trasy Zamkowej, z której dochodził szum przejeżdżających pojazdów.

– Za pięć minut wejdziemy znowu na żywo. – Ulka kiwnęła mikrofonem do Macieja, a następnie w kierunku widocznego między drzewami ceglanego zameczku portowej straży pożarnej. – Najpierw pokaż dla efektu tamten budynek, gdzie był poprzedni wybuch, a potem przejedź kamerą tutaj na mnie i kościół Chrystusa Króla ze mną w tle. Wtedy ja zacznę mówić.

– I co powiesz niby, czego nie mówiłaś już pół godziny temu? – Maciej nie wytrzymał i ściągnął kamerę z ramienia. W samochodzie miał statyw, ale Ulka się uparła, żeby nagranie miało charakter filmu kręconego na żywo, z ręki.

Ulka obrzuciła go urażonym spojrzeniem.

– To już nie twój problem. Coś powiem. Skoro dajemy relację na żywo, to powinniśmy co jakiś czas wrzucić kilka słów. Ludzie czekają na

informacje.

– W tym budynku nikogo nie ma. Jest zamknięty.

– Nieprawda, na parterze jest hurtownia.

– I co? Zamierzasz co dziesięć minut mówić to samo? Jak długo będziemy tutaj jeszcze stać?

– To nie twoja sprawa. – Ulka, niezadowolona, poprawiła włosy i odwróciła się do Macieja tyłem. – Zajmij się tym, co do ciebie należy.

Maciej zacisnął zęby.

Od strony miasta nadjechał grafitowy SUV i wysiadło z niego kilka osób. Jeden z mężczyzn wyjął z tylnego siedzenia niewielką cyfrową kamerę i zaczął filmować okolicę dawnego kościoła. Dwie kobiety, śmiejąc się perliście, zaczęły robić selfie.

– Dobra. – Ulka kiwnęła do Macieja. – Kręcimy.

Maciej podniósł oczy do nieba, dźwignął kamerę na ramię, a następnie zamiast zacząć streaming od budynku straży pożarnej, wycelował kamerę w tyłek Ulki i ustawiając spory zoom, rozpoczął w taki sposób kolejną relację na żywo.

Paulina wpatrywała się w ekran, na którym wpisane przez Igora współrzędne wskazywały punkt na mapie Szczecina.

– Wiesz, co tam jest? – spytała i spojrzała na Igora.

Igor przytaknął. Na jego twarzy malowała się zgroza.

– To niemożliwe, żeby on to zorganizował. Musiałby mieć dostęp w trakcie montażu. Teraz, jak to działa, jakby tam łąził, od razu by go nakryli.

– Chyba że pracuje w dozorze technicznym. – Paulina sięgnęła po telefon i zaczęła gorączkowo przesuwac listę kontaktów.

– Dokąd dzwonicz?

– Na policję. Muszą przecież to zatrzymać. – Paulina przyłożyła telefon do ucha. – No odbierz...

Igor wpatrywał się w nią z napięciem.

– Pawicki nie odbiera. – Paulina rozłączyła się i zaczęła nerwowo stukać telefonem w blat stołu. – Policja podejrzewa byłego pracownika Rogali, którego on wyrzucił jakiś miesiąc temu z roboty. Hirszfeld. Bartosz Hirszfeld. Kojarzysz go?

Igor pokręcił głową.

– Myślisz, że ja znam każdego budowlańca? To pewnie jakiś robotnik.

– A według nich Rogala podobno także robił coś w katedrze.

– Ale na jakiej podstawie właściwie go podejrzewają? – Igor wpatrywał się w leżącą na stole mapę.

– Dwie poprzednie lokalizacje wiązały się z Rogalą, wyrzucony robotnik chciał się zemścić – dodała Paulina.

– I po to zorganizował całą tę szopkę z listami do mediów, kwiatkami i cytatami z psychopatów?

– Ja też w to wątpię. Powtarzam ci tylko, co mówiła mi pani komisarz.

– Tylko że jest pewien problem. – Igor nagle wpadł na to, co go niepokoiło w związku z mapą. – Punktów geodezyjnych nie można sobie ot tak znaleźć. Nie ma powszechnie dostępnych map. Można je kupić w urzędzie miejskim albo zamówić podkład konkretnego obszaru u geodety. O, taki jak ten, który mam do spichlerzy. – Wskazał ręką leżący na stole rulon. – Zatem jeżeli Heiland posłużył się punktami geodezyjnymi, to po pierwsze, miał dostęp do map Łasztowni, a po drugie, zna się na tym, bo laik też ot tak sobie tych punktów nie odczyta.

– To by jednak wskazywało, że policja może mieć rację z tym Hirszfeldem.

– Jest dwadzieścia po dwunastej. – Igor spojrzął na zegar na ścianie. – Co robimy?

Paulina popatrzyła na ekran.

– Możesz mi zrobić zrzut albo zamienić to w jpg?

– Tak. – Igor sięgnął po klawiaturę.

– Wyślę to do redakcji z komentarzem. Jeśli zamieszczą w necie, to może ostrzeżemy ludzi.

– Wysłałem! – Igor zerwał się od stołu. – Jedziemy! Wyślesz w drodze!

Mały czerwony punkcik skakał po dziurawej ścianie i w końcu zatrzymał się na płaskiej powierzchni cegły.

– Jest! – krzyknął chłopak z długą zmierzwioną brodą. – Pięć trzydzieści siedem, nie, zaraz, sześć.

– To siedem czy sześć? – Drugi ze studentów podniósł wzrok znad notatnika.

– Sześć.

Gładko ogolony chłopak z jasnymi włosami spiętymi na karku w mały koczek zapisał wynik i po chwili obaj przenieśli się w kolejne miejsce.

Stali na dnie odsłoniętych całkowicie ścian piwnicznych dawnego spichlerza, trzeciego, licząc od strony biurowca Lastadia. Spichrz nosił numer dwadzieścia siedem i to w nim właśnie kilka dni temu wykruszono za pomocą mikrowybuchów całe betonowe wypełnienie.

Gruz z wykopu, który do niedawna jeszcze szczelnie wypełniał piwnice byłego budynku, leżał teraz w wielkich hałdach nieopodal.

– Te ściany są tak zniszczone, że trudno znaleźć miejsce, żeby gdzieś dokładnie strzelić naszym laserem. – Brodacz wycelował dalmierz i stał przez chwilę w skupieniu, czekając, aż mała czerwona plamka znajdzie w miarę równy kawałek ściany.

– Jeszcze gorzej będzie z poziomowaniem – westchnął drugi chłopak. – Nie wiem, gdzie przyjmiemy zero i jak je przeniesiemy.

– Dwa trzydzieści! – zawołał brodacz. – Najlepiej chyba na chodniku, bo tam jest rzędna na mapie. Będziemy mogli ustalić poziomy tych ruin w odniesieniu do geodezji.

– No masz rację chyba. – Blondyn pokiwał głową, drapiąc się w brodę i spoglądając w kierunku chodnika, którego połowa była zajęta przez ogrodzenie placu robót.

– Ale jestem głodny. – Brodacz potrząsnął dalmierzem. – I chyba bateria zaraz się wyjebie.

– Nie masz baterii przy sobie?

– Zapomniałem. Została w samochodzie.

– Ćwok. No to wyłazimy. – Blondas położył notatnik na kilku ceglach i złapał za szczeble drabiny.

Parę minut później brodacz siedział na zrębach dawnej ściany piwnicznej i wymieniał baterie w dalmierzu, a blondas stał obok i jadł drożdżówkę.

– Ciekawe, czemu czekają z rozwaleniem tego środkowego? – Pomiedzy jednym kęsem a drugim machnął ręką w kierunku wypełnionych betonem ścian sąsiedniego spichrza.

– Igor coś tam mówił, że chyba przepisy są takie albo miasto coś ustaliło. – Brodacz włączył dalmierz i wycelował w najbliższą ścianę. Mały punkcik po wymianie baterii zrobił się bardziej intensywnie czerwony.

Blondyn wpakował do ust ostatni kawałek drożdżówki, po czym zeskoczył z muru prosto do środkowego spichlerza.

W kilku miejscach w betonowej pulpie były wyrąbane spore otwory. Jeden na środku miał średnicę około metra i był najgłębszy.

– To są te dziury, które mają zrównoważyć siłę wybuchu – blondyn kopnął nogą kawałek betonu – żeby ścian nie rozepchło.

– Nie rozepchnęło chyba. – Brodacz stanął obok. – A co to? – Nagle się pochylił i zeskoczył do dziury.

W pogruhotanej bryle tkwił kawałek metalu. Chłopak złapał go i usiłował wyszarpnąć.

– Siedzi głęboko – stęknął. – Wygląda jak fragment jakiegoś błotnika.

– Skąd wiesz? – Blondas ukucnął obok otworu.

– Zobacz! – Brodaty student dotknął palcem metalowej powierzchni. – Ten profil. Wygląda jak błotnik motocykla. Znam się na motorach.

– No to Igor przecież mówił, że tu po wojnie zwalili wszystkie śmiecie z portu i zalali betonem. To mogły być i resztki jakiegoś ruskiego albo niemieckiego motocykla.

Brodacz wyskoczył z wykopu i po chwili wrócił z łomem.

– Aleś się uparł. I po cholere ci to?

– Lubię takie stare rzeczy. – Chłopak wskoczył ponownie do wykopu i zaczął grzebać w ścianie wokół sterczącego z niej fragmentu blachy.

– Kurde, nie da rady – wycharczał i po chwili oparł się zmachany o krawędź dziury.

– Idziemy mierzyć, bo nie zdążymy do wieczora. Mieliśmy skończyć dzisiaj ten tam.

– Dobra, dobra. – Brodacz wylazł z dziury, otrzepał ręce o spodnie i ruszył za kolegą.

Igor wjechał na Wojska Polskiego i utknął w tworzącym się właśnie korku nieopodal świeżutko wyremontowanej Willi Lentza, o którą miejscy aktywiści nadal toczyli boje z urzędem miejskim, przekonując, że willa powinna być miejscem kultury, a nie komercyjnym pałacem do wynajęcia.

– Zapomniałem o tym cholernym remoncie na placu Szarych Szeregów – zreflektował się.

– Wyrębie bardziej niż remoncie – zakpiła Paulina, która od kilku minut pracowicie wstukiwiała coś na klawiaturze swojego smartfona. – Wszystkie remonty, które robi miasto, oznaczają ostatnio w gruncie rzeczy wyłącznie wycinanie starych drzew. Może pojedziemy Piłsudskiego i zjedziemy nad Odrę przez plac Rodła? – Podniosła wzrok.

– Obawiam się, że tam będzie jeszcze gorzej. Chyba lepiej jechać dalej Wojska Polskiego.

Paulina wzruszyła ramionami i pochyliła się z powrotem nad komórką.

Igor spojrział na zegar na tablicy rozdzielczej.

– O której były poprzednie zamachy? Może w tym też jest jakaś prawidłowość.

– W katedrze był jakoś po dziewiątej, o dwudziestej pierwszej właściwie trzydzieści, a w porcie po siedemnastej – odpowiedziała Paulina, nie podnosząc głowy.

W tym samym momencie, w którym zadzwoniła jej komórka, Igor nagle gwałtownie zwolnił, zakręcił i wjechał na chodnik przy budynku Enei.

Paulina, zdezorientowana, spojrzała najpierw na niego, a potem na wyświetlacz.

– Co ty robisz?



Igor odpiął pas i zanurkował na tylne siedzenia do swojej torby.

– Co się dzieje? – zapytała. – To Pawicki, muszę odebrać.

– Panie inspektorze, dzwoniłam do pana – zaczęła mówić, gdy usłyszała głos policjanta. – Mam bardzo pilną wiadomość. Te liczby, z którymi byłam u was godzinę temu, to współrzędne geodezyjne.

– Jakie? – W głosie Pawickiego dało się słyszeć powątpiewanie. – Geodezyjne? A skąd ten pomysł?

– Z mapy! Można je odczytać z mapy. Pierwszy symbol to były współrzędne katedry, drugi wieży portowej straży pożarnej. To nie może być żaden przypadek!

W tle rozległy się jakieś hałasy, a potem słychać było odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

– Przepraszam. – Pawicki na chwilę oderwał się od słuchawki. Paulina słyszała, jak z kimś rozmawia.

– Pani Paulino, jest tutaj komisarz Halczyszyn. Właśnie przyniosła mi tablet, na którym widzę właśnie, że jakiś portal umieścił te rewelacje, o których pani mi tutaj opowiada. Szczecin & LeftSide. To pani sprawka?

– Tak! – Paulina przytaknęła energicznie. – I jest tam również załączona fotka tego podkładu geodezyjnego, więc widzi pan czarno na białym, że to się zgadza. Panie inspektorze, nie ma czasu, przecież ten wybuch może być w każdej chwili. Trzeba zamknąć...

– Będzie o pierwszej trzydzieści – odezwał się nagle Igor.

– Co? – Paulina na chwilę straciła wątek i spojrzała na niego z konsternacją. – Co takiego? Dlaczego o pierwszej trzydzieści?

– Dlaczego o pierwszej?! – odezwała się w tle Halczyszyn. – Skąd państwo mają takie informacje?!

– Igor! – Paulina podniosła głos, widząc, że Igor siedzi cały czas wpatrzony w swój tablet, który właśnie dopiero co wyciągnął z torby na tylnym siedzeniu.

– Popatrz tylko. – Igor przesunął tablet. Na ekranie była mapa z zaznaczonymi współrzędnymi.

– No to te współrzędne przecież. – Paulina patrzyła na Igora z irytacją. – I co z tego wynika?

– Dlaczego ma być o pierwszej trzydzieści?! Halo! – z telefonu Pauliny doleciał głos zdenerwowanej policjantki.

– Katedra. – Igor pokazał palcem punkt na ekranie. – Portowa straż pożarna... – Przesunął palcem w kolejne miejsce. – I ostatnie współrzędne.

– No i co?

– A teraz popatrz tutaj. – Przeciągnął palcem po ekranie i po chwili ukazała się tarcza zwyczajnego zegara.

– Dwudziesta pierwsza trzydzieści. – Wskazał palcem godzinę. – Siedemnasta trzydzieści i... – Przeniósł wzrok na Paulinę, jakby upewniając się, że go rozumie.

– No i co to ma do rzeczy? To jakiś test na inteligencję? – Zniecierpliwiona Paulina nagle zamarła. – Boże, rzeczywiście.

– Halo! Pani Paulino! – Inspektor Pawicki wyraźnie tracił cierpliwość. – Do diabła!

– Trzynasta trzydzieści. – Paulina wpatrywała się w Igora szeroko otwartymi oczami. – Dokładnie taki sam układ. To nie może być przypadek.

– Jedziemy! – Igor wrzucił wsteczny i prawie wpakował się pod autobus linii pięćset trzydzieści jeden, który w proteście zagrzemiał basowym klaksonem.

Toyota wypadła na drogę i z piskiem opon ruszyła w kierunku placu Szarych Szeregów, wpychając się pomiędzy wolniej przemieszczające się samochody.

Pawicki odłożył swój smartfon na biurko i spojrzał na komisarz Halczyszyn.

– Co robimy?

– Jeden wóz pilnuje tego budynku na Bulwarze Gdańskim. Od dziewiątej rano tam się kręca. Otoczyliśmy tam wszystko taśmami, ale według mnie to zupełnie bezcelowe.

– A jeśli ta Weber ma rację?

– Przecież to jej gazeta właśnie dopiero co wyskoczyła z rewelacjami na temat tego zrujnowanego byłego komisariatu nad Odrą czy tam kościoła jakiegoś, a teraz znowu coś innego? Mam wątpliwości.

– Tylko jeśli tam coś się stanie, to będzie skandal na całą Polskę. To nie jest jakaś tam straż pożarna i jakieś tam rusztowania. Nawet wszystkie gazety o tym nie napisały, ale to...

– Dobra! – Halczyszyn podjęła decyzję. – Wezmę kogoś i jadę na Łasztownię. Tylko nie wiem po co. Nie mam żadnych uprawnień, żeby tam wejść, sprawdzać czy zrobić cokolwiek.

– Spróbuję zadzwonić do prokuratury.

Policjantka skinęła głową i wyszła z pokoju Pawickiego. Po chwili na kamiennej posadzce korytarza słychać było jej szybkie kroki.

Paulina z telefonem przy uchu wpatrywała się ze zgrozą, jak Igor przejeżdża na czerwonym świetle przez skrzyżowanie na dole Wyszyńskiego i wpada na most Długi.

– Jak to nie puściła? – Paulina pomyślała, że źle usłyszała. – Wysłałam do redakcji! Pół godziny temu!

– Stwierdziła, że już raz powiedziała, że nie będziemy pisać o żadnych grach komputerowych, bo to żenujące. A i pytała, dlaczego nadal nie ma cię w redakcji.

– Co za cholerna idiotka! – Paulina zacisnęła zęby. – Powiedziałam jej nawet, że nie musimy tego dawać pod moim nazwiskiem.

Piotr westchnął i ściszył głos.

– Kilka minut temu skończyliśmy nadawać kolejny streaming z Bulwaru Gdańskiego. Ulka robi tam prawdziwy cyrk.

– Nieważne! Słuchaj! – Paulina przerwała Piotrowi. – Wysłałam wszystko także na Szczecin & LeftSide. Już u nich poszło, razem z tym, że wybuch będzie według nas o pierwszej trzydzieści.

– Pierwszej trzydzieści?! – Piotr się zakrztusił. – To za dwadzieścia minut! Skąd to wiesz?!

– Potem ci powiem. Weź napisz, gdzie się tylko da, żeby ludzie tam nie szli!

– To już nic nie da! Za późno, żeby się z tego jakiś viral zrobił. Zaraz!

– Co jest?

Igor zjechał z ulicy Energetyków. Toyota, podskakując na wybojach, pomknęła w kierunku zarządu portu.

– Chyba kojarzę kołesia, który tam siedzi na kasie. Z klubu! Spróbuję z nim zagadać! – Paulina usłyszała, jak Piotr zerwał się od swojego biurka.

W tym samym czasie Igor minął bramę wjazdową na teren portu.

Maciej siedział na murku i trzymając oburącz swój smartfon, lawirował pomiędzy kolorowymi klockami w zręcznościowej grze na Androida. Kilkanaście metrów dalej, po trawniku, chodziła w tę i z powrotem Ulka i od dłuższego czasu gadała z kimś przez telefon.

Z niewielkiej grupy dziennikarzy, która stała przy drodze dojazdowej do ruiny pod Trasą Zamkową, zaczynały się wykruszać pojedyncze osoby. Chwilę wcześniej, po raz któryś z kolei, przejechał tędy radiowóz od rana patrolujący regularnie ulicę, a zaraz potem przemknęła, bardzo mocno naginająca przepisy drogowe, terenowa toyota.

Maciej podniósł głowę. Wydawało mu się, że słyszy sygnał syreny. Jakby się zbliżał.

Bulwar Gdański, a potem Bytomska były jedyną drogą dojazdową z centrum na Łasztownię. Koszmarny dojazd zapomnianym bulwarem wzdłuż Parnicy, dookoła półprzemysłowych dogorywających kwartałów miasta, który trzeba było pokonywać w oczekiwaniu na mającą rzekomo lada chwila ruszyć budowę mostu Kłodnego.

Sygnał narastał i w chwilę później z ulicy Świętego Floriana wyskoczyła szara octavia z przyssanym do dachu kogutem i rycząc syreną, pomknęła w kierunku portu.

Maciej zmarszczył brwi i odprowadził ją wzrokiem.

Ulka nadał z kimś gadała.

Maciej zamknął grę i otworzył Facebook. Pierwsze, co zobaczył, to sensacyjne komentarze na różnych forach. Przewinął kilka metrów wiadomości i znalazł źródło rewelacji. Konkurencyjny portal Szczecin & LeftSide.

„...Według naszych ustaleń kod zamachowca, złożony z dwóch rzędów symboli, opiera się na znanym motywie z popularnej gry komputerowej i jest w rzeczywistości kodem cyfrowym, którego zapis oznacza po prostu współrzędne geodezyjne. Dwa pierwsze kody, przesłane przez Heilanda, pokrywają się idealnie z lokalizacją katedry oraz portowej straży pożarnej. Trzeci natomiast...”

Doczytał do końca i zbladł. Otworzył usta i siedział tak przez chwilę, kompletnie otępiały, wpatrując się w spacerującą wciąż z telefonem przy uchu Ulkę.

Za jego plecami przejechał nagle, rycząc wściekle, drażniącym nerwy sygnałem, kolejny radiowóz. Policyjna furgonetka.

– Ulka! – Maciej zerwał się, chwycił kamerę i ruszył biegiem do samochodu. – Ulka, skończ pierdolić przez tę komórkę, do kurwy! Coś się dzieje na Łasztowni!

– O co ci chodzi?! – Ulka oderwała się od telefonu i spojrzała na niego ze złością. – Dokąd?

– Jedziesz?! – Maciej spojrzał na nią pytająco, otworzył tylne drzwi i wrzucił do środka kamerę.

– Co ty robisz? – Ulka rozłączyła się i patrzyła na Macieja z wściekłością. – Mamy tutaj kręcić!

– Jeśli nie jedziesz, to luz. Stój tutaj i dalej piernicz przez telefon. – Maciej wskoczył za kierownicę i zapalił silnik.

– Czeka! – Ulka podbiegła do samochodu i złapała za klamkę. – To ci nie ujdzie na sucho, obiecuję! – krzyknęła, wsiadając do środka.

– Możesz tutaj zostać!

Skoda warknęła, zakręciła na wąskiej ulicy Bulwaru Gdańskiego i pomknęła w kierunku Łasztowni.

Gdy Igor zaparkował na placu przy bulwarach, była trzynasta dwadzieścia. Oboje z Pauliną wypadli z samochodu i ruszyli biegiem w kierunku wznoszącej się na tle Wałów Chrobrego ogromnej śnieżnobiałej konstrukcji.

Wheel of Szczecin – największy w Polsce i jeden z największych w Europie, gigantyczny diabelski młyn, który od czerwca po raz kolejny ruszył na Łasztowni. Ogromne koło wolno przesuwało się po błękitnym niebie, a w tle, u jego stóp, kołysały się maszty żaglówek przy przystani na Wyspie Grodzkiej. Na ogrodzonym placu wokół młyna kręciły się już tłumy ludzi, którzy chcieli zobaczyć Szczecin z wysokości pięćdziesięciu pięciu metrów z jednej z czterdziestu dwóch gondoli zawieszonych na ogromnych kołach stalowej konstrukcji.

Igor i Paulina zatrzymali się przed stalowym ogrodzeniem. Za nim, wytyczona ażurowymi panelami, ciągnęła się alejka, którą podchodziło się do pomostu, skąd już bezpośrednio wsiadało do gondoli.

Paulina wychyliła się, usiłując dostrzec przeszkloną budkę, w której tuż przy wejściu na diabelski młyn siedział pracownik. Nagle zobaczyła stojącego przy pomoście Piotra, który gestykulując i najwyraźniej coś krzycząc, usiłował zainteresować sobą chłopaka w budce.

– To niemożliwe, żeby Heiland to zorganizował. – Igor zadarł do góry głowę.

Z tej perspektywy diabelski młyn wyglądał jak platforma startowa rakiet kosmicznych Saturn V na przylądku Canaveral. Białe kratownice, spinające dwa ogromne koła, migotały w słońcu, a po masywnych filarach pięły się wstęgi stalowych stopni, rygły i technicznych pomostów.

– Nie wiem, w jaki sposób on miałyby podłożyć tutaj ładunki wybuchowe, żeby to zadziało. Żeby to przewrócić, musiałyby rozwalić którąś z tych nóg. – Igor wskazał ręką potężne podpory prawie metrowej średnicy.

– Piotr! – Paulina krzyknęła i zaczęła machać rękami.

– Właśnie chyba skończyli wsiadać – jęknął Igor, widząc, jak ostatnia gondola automatycznie się zamyka, a po chwili rozlega się głośny alarm.

Obok Pauliny wyrósł nagle drab ubrany w czarną koszulę i spodnie, i narzuconą na wierzch zieloną odblaskową kamizelkę i bezceremonialnie przepchnął się do środka. Na czapce z daszkiem miał logo firmy, której własnością był młyn. Podszedł do Piotra, złapał go za ramię i wskazał ręką wyjście z ogrodzonej części.

Piotr, który przez moment usiłował mu coś tłumaczyć, w końcu podniósł ręce w geście kapitulacji i odwrócił się w stronę wyjścia.

– Ten przygłup nie chciał mnie słuchać – kajał się przed Pauliną.

– Gdzie tu jest jakiś kierownik albo wasz szef? – Igor stanął na drodze wychodzącego na zewnątrz ogrodzenia pracownika.

– My tu pilnujemy, ja nic nie wiem. – Mężczyzna machnął ręką w kierunku stojącej nieco z boku budki. – Tam pan się dowie.

Nagle rozległ się stłumiony pomruk, kilka gondoli się zakołysało i diabelski młyn powoli zaczął się obracać.

– Dochodzi pierwsza trzydzieści! – Igor zadarł głowę.

– Nawet jak teraz zaczęliby opróżniać po kolei każdy wagonik, to potrwa to dobre dziesięć minut. – Piotr nie był w stanie ukryć silnego wzburzenia.

– Może jednak się pomyliliśmy. – Paulina spojrzała na zegarek.

Od strony mostu Długiego rozległ się naraz sygnał policyjnej syreny i po chwili na plac przed diabelskim młynem, pomiędzy rozstępujące się niewielkie grupki ludzi, wjechała skoda octavia z policyjnym kogutem na dachu.

Wysiadła z niej komisarz Halczyszyn i widząc Paulinę, ruszyła ku niej.

Paulina wyszła jej naprzeciw.

– Trzeba coś natychmiast zrobić! Zatrzymać to jak najszybciej!

– Proszę, niech pani się uspokoi. – Policjantka rozejrzała się dookoła. – Z kim tu można porozmawiać?

Z małego pawilonu, który przed chwilą wskazał Igorowi pracownik, wyszedł mężczyzna w czarnym T-shircie i takiej samej zielonej, odblaskowej kamizelce i ruszył w kierunku policyjnego samochodu.

– Dzień dobry – zwrócił się do policjantki. – Klientów mi płoszycie. Coś się dzieje?

– Musimy zatrzymać młyn. – Policjantka wyjęła z kieszeni džinsów legitymację służbową i wyciągnęła ją w kierunku mężczyzny.

– Z jakiego powodu?

Halczyszyn rozejrzała się wokół siebie.

– Mamy doniesienie o możliwości podłożenia bomby – powiedziała przyciszonym głosem.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią osłupiały.

– Ja pierdolę. – Otworzył szeroko oczy. – Tutaj?

Od strony miasta rozległ się ponownie dźwięk policyjnej syreny i po chwili obok skody zaparkował policyjny mercedes transporter.

Mężczyzna w kamizelce ruszył biegiem do oszklonej budki za ogrodzeniem.

Paulina spojrzała na zegarek. Było trzydzieści dwie po pierwszej.

Może jednak się pomylili.

Nagle poczuła na plecach czyjś wzrok.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w tłumie młodego mężczyznę w czarnej sportowej bluzie. Wpatrywał się w nią intensywnie. Gdy spojrzała na niego, na moment się zawahał, jakby nie wiedział, jak się zachować. Paulina uświadomiła sobie, że skądś go zna.

Przez króciutką chwilę oboje się sobie przyglądali. Gdy chłopak zauważył policyjny samochód, przez jego twarz przemknął cień.

– Morten? – Dopiero gdy Igor zawołał do niego po imieniu, Paulina uprzytomniła sobie, że to przecież nowy marynarz z Pandory.

I naraz przyszło jej coś do głowy. Wpatrywała się w chłopaka, ale w ogóle go nie widziała. Morten uśmiechnął się w końcu onieśmielony i zrobił ruch, jakby chciał odejść, ale wtedy Paulina ocknęła się i podbiegła do niego.

– Morten! Gdzie są wszyscy? Johann? Gwen? – Gapiała się na niego i czuła, jak ogarnia ją panika.

– Co ty... – Piotr patrzył na nią zdziwiony i nagle otworzył szeroko oczy, a następnie podniósł głowę i przysłaniając oczy dłonią, spojrzał w niebo.

– No pojechali właśnie. – Morten wskazał diabelski młyn. – Chcieli zobaczyć Szczecin z lotu ptaka.

I wtedy nad ich głowami rozległ się huk.



## Rozdział 28

**M**aciej minął urząd celny, biurowiec Lastadia i przedzierając się pomiędzy psychopatycznie zaparkowanymi samochodami, których kupry blokowały połowę pasa, pognął w kierunku przecinającej w poprzek widok na miasto estakady Trasy Zamkowej. Za nią widać już było ogromne, lśniące w słońcu koło, które obracało się z wolna. W oddali, pod filarami Trasy Zamkowej, znikąca właśnie policyjna furgonetka.

– Gdzie my jedziemy? – Ulka, zaciskając zęby, z wściekłością wpatrywała się w Macieja. – Myślałam, że wysadzisz mnie przy redakcji. Obiecuję ci, że od razu pójdę do naczelnej! Właśnie przez ciebie przerwaliśmy relację na żywo! To jest działanie na szkodę gazety! Bo tobie się nie chciało trzymać kamery!

Skoda Macieja przemknęła pod filarami estakady i wypadła na ulicę Tadeusza Wendy – ostatnią prostą w kierunku cypla na końcu Łasztowni. Po lewej stronie, spośród tłoczących się samochodów, ludzi i pawilonów gastronomicznych, wyrastało ogromne śnieżnobiałe koło.

– Maciej, bo zaraz mnie szlag trafi! – krzyknęła Ulka.

I w tym momencie rozległ się huk.

– O ja pierdołę! – Maciej wcisnął pedał hamulca i skoda zatrzymała się z piskiem opon.

Jedna z gondoli nagle się zakołysała, rozległ się łomot i mrozący krew w żyłach, słyszalny nawet z odległości, w której zatrzymała się skoda, skowyt stali ocierającej się o stal. Jeden z dwóch obrotowych sworzni, mocujących wagonik do prowadnic, właśnie puścił. Gondola drgnęła i nagle z łomotem opadła w dół, zawieszając się na jedynym mocowaniu, które jej pozostało.

– Chryste! – Maciej wyskoczył z samochodu, szarpnął tylne drzwi i złapał kamerę. Podbiegł na chodnik i wycelował ją prosto w diabelski

młyn.

– Kręcisz to?! Kręcisz?! – wrzeszczała Ulka, która wysiadła z drugiej strony samochodu i z przerażeniem złapała się za głowę. – O Boże!

Przekrzywiona i wisząca na jedynym zaczepie gondola zaczęła się huścić, uderzając ścianami o główne koło młyna.

– Proszę państwa! – zaczęła się drzeć Ulka, która po odzyskaniu przytomności umysłu wskoczyła przed kamerę Macieja i wymachując rękami, wskazywała ogromną karuzelę. – To, co się dzieje, jest straszne! To prawdziwy diabelski młyn! Potworna tragedia!

Wokół słyhać było krzyki i ryk syreny alarmowej.

Maciej zacisnął zęby i przesunął kamerę, żeby odsłonić koło młyńskie zza podskakującej i jazgoczącej histerycznie Ulki.

Rozchybotana gondola uderzyła ponownie o konstrukcję i rozległ się dźwięk tłukących się szyb. W słońcu zaiskrzyły tafle spadającego na ziemię przezroczystego plastiku.

– Boże! – piszczała Ulka. – Przecież ci ludzie wypadną! Czemu nikt nic nie robi! Do kurwy nędzy, co z policją! – Nagle spojrzała z przestachem na Macieja. – To streaming?

– Nie, skądże! – Maciej warknął ironicznie, nie odrywając oka od kamery. – Potem to zmontujemy i dodamy muzykę.

– Żartujesz?

– No przecież, że to streaming. Leci na żywo!

– Przepraszamy państwa! – Ulka, cała czerwona ze złości i zdenerwowania, wzięła głęboki oddech. – To straszne emocje. Emocje nas ponoszą...

Policjanci, którzy wyskoczyli z transportera, okrążyli teren pod młynem i zaczęli krzyczeć do ludzi, żeby się cofnęli. Tłum ludzi, celujących w górę komórkami, niemogących wprost uwierzyć w swoje szczęście, że dali się namówić na spacer na Łasztownię, powoli się rozstępował, tworząc pod diabelskim młynem coraz większe koło.

– Tam jest Johann i wszyscy! – Paulina krzyknęła do Igora, pokazując palcami karuzelę. – Morten powiedział, że właśnie wsiedli!

Igor odwrócił się gwałtownie i spojrzał na oszołomionego chłopaka, który z zadartą głową obserwował widowisko.

– Odsuńcie się! – krzyknęła Halczyszyn i złapała Paulinę za ramię.

W górze rozległ się w tym momencie huk tłukących się kolejnych fragmentów plastikowych paneli, które łomocząc o stalowe pręty, spadały z wysokości pięćdziesięciu metrów. Nad ich głowami rozpostarła się nagle chmura, mieniących się w słońcu odłamków.

– Uważaj! – Igor krzyknął do sparaliżowanego ze strachu Piotra i złapał go za ramię, ciągnąc za sobą na bok.

Po chwili na ziemię wokół karuzeli posypały się fragmenty zniszczonych paneli.

Tymczasem gondola, wciąż uderzając o stalowe prowadnice i kołysząc się na boki, powoli zjeżdżała w dół, zbliżając się do pomostu startowego. Widać w niej było dwoje przerażonych ludzi, kurczowo trzymających się stalowych poręczy. Kobieta miała zakrwawioną głowę.

Gondola dotknęła pomostu i zatrzymała się bokiem na balustradzie, coraz bardziej się przekrzywiając.

– Nie zmieści się na pomoście! – wrzasnął szef obsługi do dwóch stojących obok pracowników.

Stalowa poręcz pomostu wygięła się i przeraźliwie skowycząc, w końcu się złamała. Gondola drgnęła i pozbawiona oporu poręczy poleciała rozkołysana, ponownie uderzając o pomost i konstrukcję. Z jej wnętrza słychać było krzyki przerażonej pary.

Dwóch chłopaków z obsługi wskoczyło na schody i pobiegło w kierunku wagonika.

Diabelski młyn się zatrzymał.

Maciej z kamerą jakby przyspawaną do oczu filmował całe widowisko, starając się nie słuchać pisków Ulki. Młyńskie koło wciąż powoli się obracało. Uszkodzona gondola była coraz niżej i w końcu zatrzymała się na pomoście startowym.

Maciej usłyszał narastający od strony mostu Długiego sygnał karetek pogotowia.

– Proszę państwa! To niebywała tragedia! Zuchwały atak na naszą wolność zgromadzeń! Na nasze wartości! – darła się Ulka.

Maciej pomyślał, że za chwilę ją chyba zaknebluje.

Od strony miasta nadjeżdżały wciąż nowe samochody, a od strony Lastadii i urzędu celnego i pawilonów gastronomicznych na bulwarach biegły grupy ludzi. Wszyscy wyposażeni w wycelowane przed siebie smartfony lub kamerki Go-pro.

– Nie wiemy jeszcze, czy ktoś na karuzeli został uszkodzony, ale zaraz się dowiemy! Maciej, musimy podjechać jak najbliżej! Maciej!

– Nie będziemy się tam wpychać samochodem, bo nie ma gdzie zaparkować! Idziemy! – Maciej ruszył przodem.

Ulka, która została z tyłu, pobiegła za nim, wpychając się znowu przed kamerę i przepraszając stojących na drodze ludzi.

Od strony ulicy, pomiędzy wciąż przybywających z okolicznych restauracji i biur gapiów, doszedł nagle sygnał karetki i po chwili tłum zaczął się rozstępować, przepuszczając samochód pogotowia, a zaraz za nim kolejny radiowóz.

Po chwili ze środka wyskoczyli czterej sanitariusze i ruszyli w kierunku pomostu.

Kobieta ze zniszczonej gondoli, którą obsługa karuzeli zdążyła wyprowadzić na zewnątrz, miała rozbitą głowę i trzymała rękę na wysokości klatki piersiowej, zaciskając usta z bólu. Mężczyzna miał chyba złamaną nogę, bo nadal był jeszcze wewnątrz, skąd dochodziły jego głośne krzyki.

Dwaj sanitariusze wbiegli na pomost i jeden z nich pochylił się nad mężczyzną.

– Widziałeś na pewno, że Johann i pozostali wsiadali? – Igor spojrzał na Mortena.

Chłopak przytaknął.

– Wiem nawet, gdzie teraz są. – Podniósł rękę, wskazując jakiś punkt na ogromnym kole karuzeli.

– Jak mogłeś to zapamiętać? Wszystkie wagoniki są takie same. – Paulina powiodła spojrzeniem za jego palcem. – Jesteś pewny?

– Nie są takie same – zaoponował Morten. – Dwa są czarne, dlatego zapamiętałem. Pani Alice, pan Carmondeley i ten fotomodel, przepraszam, nie pamiętam jego imienia...

– Rupert.

– Tak, właśnie. Cała trójka jest w tej gondoli zaraz za czarną, a pan Johann i pani Gwen są w następnej.

Igor podniósł wzrok.

Rzeczywiście. Morten miał rację. Przypomniawszy sobie, że wśród czterdziestu dwóch gondoli dwie miały lepsze wyposażenie, skórzane kanapy czy coś tam. I te były czarne.

Czarny wagonik wisiał wysoko. Od ziemi dzieliło go jakieś dwie trzecie wysokości całego młyna. Ze czterdzieści metrów.

Pomiędzy otaczającymi ich ludźmi nagle rozległ się głośny histeryczny głos i po chwili pojawił się Jamie. Popatrzył nieprzytomnie na Igora i Paulinę.

– Johann, Gwen, oni wszyscy są tam! – krzyknął, wskazując młyn.

– Wiemy. Na szczęście nic im nie jest. Zaraz pewnie zjadą do nas.

Igor, który wciąż wpatrywał się w karuzelę, nagle zmienił się na twarzy.

Podniósł palec i zaczął liczyć.

– Czterdzieści dwa. Trzy razy czternaście...

– Co się dzieje? – Paulina popatrzyła na niego z niepokojem.

– Boże! – Igor zbladł. – To nie koniec.

Rzucił się do przodu i omijając dwóch policjantów, którzy drgnęli gwałtownie i skoczyli za nim, pobiegł w kierunku policyjnej skody i stojącej przy niej Halczyszyn.

– To nie koniec! – krzyknął do kobiety, zanim dopadł go jeden z policjantów.

– Będą trzy wybuchy! – wrzeszczał, gdy policjant złapał go za ramię i odciągał z powrotem na zewnątrz wytyczonej strefy.

I w tym momencie nad ich głowami ponownie rozległ się huk.

Alice chwyciła się kurczowo poręczy i wychyliła z gondoli. Wagoniki miały dookoła, do wysokości mniej więcej głowy średnio wysokiej osoby, obudowę z tworzywa sztucznego, umocowanego w ramach z aluminiowych prętów. Widok, który się rozpościerał z tej wysokości, zapierał dech. Pomyślała, że teraz to nawet całkowicie dosłownie.

– Coś się musiało stać – powiedziała zaniepokojona, odwracając się do Dermota.

– Słyszałem sygnał pogotowia. Może ktoś zasłabł? – Dermot stanął obok niej.

– A skąd by wiedzieli? – Rupert sięgnął po telefon.

– Może zadzwonił na dół do obsługi? – Alice spojrzała na niego bez przekonania.

– Pamiętacie numer? Tam przy kasie wisiała jakaś informacja. – Dermot rozejrzał się dookoła. – Powinna tu być tabliczka.

– O mój Boże! – jęknął nagle Rupert, wpatrując się w ekran smartfona.

– Co tam masz? – Dermot zajrzał przez ramię kolegi.

Na ekranie telefonu Ruperta leciał właśnie film, na którym na mocnym zoomie ktoś nagrał, jak jedna z gondoli, chybcząc się na jednym mocowaniu, wali z hukiem w konstrukcję karuzeli. W tle słychać było głośne krzyki, a na dole ekranu widać było głowy innych gapiów.

– To strona gazety Pauliny. – Rupert oderwał wzrok od ekranu. – Mam ją wśród polubionych.

– Oderwała się? – Alice z malującym się na twarzy przerażeniem usiadła na drewnianej ławeczce. – Tak po prostu?

Gondola, w której siedzieli, była w takim położeniu względem koła karuzeli, że następna znajdowała się prawie nad ich głowami. Jechali tam Johann i Gwen. Gondola poniżej była czarna.

Wybuch, który rozległ się gdzieś pod nimi, był na tyle głośny, że cała trójka podskoczyła.

– To pod nami! – Alice złapała się kurczowo ławeczki.

Z dołu doszły ich krzyki i podniesione przestraszone głosy.

Naraz czarna gondola drgnęła, z głośnym hukiem oderwała się jedną stroną od mocowania i uderzyła dnem o pokrywę dachu położonej poniżej. Z obu doszły ich głośne okrzyki przerażenia.

Alice krzyknęła, a Rupert złapał się kurczowo balustrady.

– Co się dzieje?! – zawołał Dermot głośno. – Co się, kurwa, dzieje?!

Czarna kabina zachybotała się i ponownie uderzyła o dach sąsiedniej. Z dołu dobiegały głośne krzyki coraz bardziej przerażonych pasażerów.

– To bomba – jęknął Rupert, obejmując dłońmi pionową poręcz przy drzwiach.

– Dlaczego nas nie opuszczą na dół?!

Dermot złapał się za balustradę, pochylił i przykleił twarz do przezroczystej tafli, usiłując dojrzeć gondolę poniżej.

W tym momencie diabelski młyn drgnął i koło zaczęło się obracać.

Chybocząca się na jednej śrubie czarna gondola uderzyła w główne koło młyna i przejechała z potwornym zgrzytem po dachu jadącej niżej.

Koło diabelskiego młyna obracało się, powoli przesuwając wagonik, w którym byli uwięzieni Alice, Dermot i Rupert, w kierunku szczytu.

Gdy zostało kilka metrów, czarna kołysząca się gondola wraz z obracającym się kołem powoli zrównywała się z ich wagonikiem. Gdy znaleźli się prawie na szczycie diabelskiego młyna, uderzyła o koło i ze zgrzytem przechyliła na drugą stronę.

Na krótki moment zobaczyli uwięzione w niej cztery osoby.

– Jak znajdzie się nad nami, to nas rozwali! – krzyknął Rupert.

Czarna gondola, zgrzytając oderwanym sworzniem, odchyliła się i przetoczyła nad nimi, zawadzając kantem o ich dach.

Wagonik zatrzęsł się, a szarpnięcie było na tyle silne, że Alice spadła na podłogę.

Rupert i Dermot polecili na ścianę, machając rękami i usiłując chwycić się stalowych poręczy.

Koło obróciło się o kolejne kilka stopni i czarna gondola znalazła się nad nimi.

Paulina schowała twarz w dłoniach.

– Nie mogę na to patrzeć – jęknęła. – Jak ta oderwana znajdzie się nad nimi, to rozwali im dach.

– Skąd pan wiedział, że będzie kolejny wybuch? – Przy pilnujących kordonu policjantach pojawiła się Halczyszyn i spojrzała na Igora surowo.

– Ta sama zasada, co na mapie. – Igor zmierzwił sobie włosy, przejeżdżając po nich obiema rękami. Widział, jak potwornie pomału przesuwiają się wagoniki, w których byli uwięzieni Alice i Dermot. I jak daleko jeszcze zostało im do podestu startowego. – Trzy punkty. Są czterdzieści dwa wagoniki, bomba była podłożona w co czternastym.

– Czyli będzie jeszcze jeden wybuch w...

– W czternastej gondoli, licząc od tej czarnej.

Halczyszyn gwałtownie się obróciła i przysłaniając oczy, spojrzała do góry. Wyciągnęła dłoń i zaczęła po cichu liczyć, przesuwając palcem po kolejnych wagonikach.

– Ta gondola będzie w takim razie pierwsza na dole! Przed czarną! – krzyknęła i ruszyła biegiem do budki obsługi. – Zatrzymać koło! Zatrzymać!

Diabelski młyn obrócił się o kilka kolejnych stopni i zwolnił. Gdy czternasta gondola znalazła się na pomoście, stanął.

Halczyszyn, machając rękami, podbiegła do pomostu.

– Zaraz będzie wybuch! Niech stamtąd wychodzą! Natychmiast!

Jeden z pracowników szarpnął oszklone drzwi i ze środka wypadła na zewnątrz przerażona kobieta, ciągnąc za sobą głośno płaczącą, może dziesięcioletnią córeczkę.

Za nią wybiegło jeszcze dwóch młodych mężczyzn. Pracownicy rzucili się ze schodów i prawie jednocześnie w tym momencie rozległ się kolejny głośny wybuch.



Siła wybuchu wyrwała sworzeń podtrzymujący wagonik i rozerwała jego ramię. Kawał żelastwa wyleciał na plac przed karuzelą i z łomotem spadł na stalowe panele ogrodzenia.

Wśród gapiów rozległy się głośne krzyki.

Gondola przechyliła się i uderzyła w pomost. Z kilku sąsiadujących z nią wagoników dobiegły krzyki uwieczonych w nich ludzi. W jednej jacyś młodzi mężczyźni siłą wyważyli oszklone drzwi i zwieszając się na rękach i czepiając konstrukcji młyna, zaczęli wyskakiwać z wysokości kilku metrów na ziemię.

– Proszę ich powstrzymać! – krzyknął szef obsługi do policjantów.

– Jak? Do diabła! – Halczyszyn zakląła. – W jaki sposób my mamy to zrobić?

– Nie możemy ruszyć koła, jak wyskakują! – Mężczyzna zaczął machać rękami do pasażerów kolejnych wagoników, którzy przerażeni tym, że za chwilę znowu pojedą do góry, także szykowali się do wyskoczenia z jeszcze większej wysokości.

– Proszę się nie ruszać! – krzyczał. – Proszę czekać na swoją kolej!

Koło drgnęło i powoli przesunęło się o kilka stopni. Z następnej gondoli, która dobiła do pomostu, wybiegła w panice kolejna grupa ludzi, w tym głośno płacząca kobieta w średnim wieku. Łysiejący młody mężczyzna, wciśnięty jak baleron w czarną koszulkę z nadrukiem biało-czerwonej flagi i napisem *Chwała bohaterom*, odepchnął ją na bok i zbiegł po schodach pierwszy.

Tymczasem jakieś trzydzieści metrów nad ziemią uszkodzony czarny wagonik pod wpływem ruchu karuzeli znowu zaczął się kołysać, szorując stalowym narożnikiem po dachu gondoli poniżej.

Maciej podniósł kamerę do góry i wycelował w kołyszącą się czarną gondolę. Widział, jak we wnętrzu kilkoro ludzi kurczowo trzyma się poręczy.

– Filmujesz? Teraz? – Ulka ze złością spojrzała w ślad za kamerą. – Daj na mnie! Musimy robić przekaz! To nie jest pieprzony film katastroficzny! Musimy podać informacje!

Maciej zmniejszył zoom i wycelował kamerę prosto w Ulkę.

Zaskoczona, cofnęła się lekko i nerwowo uśmiechnęła.

– Widzimy, proszę państwa, kołyszący się wagonik, ee... To jest przerażające! Żałujcie państwo, że was tutaj... eee. – Rozejrzała się dookoła, jakby szukając inspiracji. – Pod karuzelą stoją samochody policyjne i pogotowie. Spróbujemy się dowiedzieć, czy ktoś jest ranny! Za mną!

Kiwnęła na Macieja i zaczęła się przepychać w kierunku kordonu policjantów wokół diabelskiego młyna, pokrzykując do mijanych ludzi: „Prasa, filmujemy!”.

Gdy byli prawie u celu, rozległ się ponownie zgrzyt metalu i czarna gondola uderzyła powtórnie w koło młyna. Tym razem jednak, mocno już chyba naruszona i maksymalnie dynamicznie obciążona, jedyna trzymająca ją jeszcze obrotowa kotew puściła.

Alice oddychała, jakby miała rodzić. Ta myśl ją rozśmieszyła na tyle, że przez króciutki moment poczuła ulgę. Młyn obracał się powoli i wiedziała, że z każdym kolejnym kątem obrotu zbliżają się o następny metr do ziemi.

Dermot stał oparty o ścianę wagonika i kurczowo trzymał się słupka. Widziała, że jego palce są prawie całkiem białe. Pomyślała, że znając jego siłę, można zacząć się chyba obawiać, że słupek pęknie.

Czarna gondola ponownie przesunęła się po ich dachu, jeszcze raz powodując upiorny zgrzyt.

Alice wyjrzała ostrożnie przez oszklone drzwi. Do ziemi zostało dobre dwadzieścia metrów. Dziewiętnaście... osiemnaście... Wtem rozległ się huk i zgrzyt ocierających się o główne koło ścian gondoli. Nagle cały ich wagonik się zatrząsł. Dermot poleciał bokiem na ławkę i uderzył głową o siedzisko. Rupert puścił poręcz i przetoczył się przez całą gondolę, zatrzymując się dopiero na drzwiach.

Czarna gondola oderwała się od mocującego sworznia i z przerażającym łomotem opadła na ich dach.

Alice nie wytrzymała i zaczęła głośno krzyczeć.

Paulina złapała kurczowo ramię stojącego akurat obok niej Mortena i ścisnęła je z całych sił. Ze wzrokiem wbitym w znajdującą się wciąż kilkanaście metrów nad ziemią gondolę, nie zdawała sobie chyba nawet z tego sprawy.

Gdy czarny wagonik oderwał się i uderzył w dach gondoli poniżej, przestała oddychać i prawdopodobnie już by nie zaczęła, gdyby nie Jamie – on nie mógł ustać spokojnie i szturchnął ją, chodząc nerwowo to w jedną, to w drugą stronę.

Paulina, wciąż zaciskając palce na ramieniu Mortena, liczyła każdy kolejny metr, który jak w zwolnionym tempie przybliżał gondolę do ziemi.

Gdy czarny wagonik, pod wpływem obracającego się wciąż koła, wychylił się nagle i na chwilę zastygł w tej pozycji, Paulina zamknęła oczy.

Nie widziała zatem, jak czarna gondola z wysokości może dziesięciu, może jedenastu metrów spadła na ziemię. Słyszała tylko potworny łomot i zgrzyt gnącej się i łamiącej stali. A zaraz potem wrzaski ludzi, głosy krzyczących pracowników i policjantów i sygnał kolejnej karetki, która od strony ulicy Tadeusza Wendy przedzierała się w kierunku diabelskiego młyna.

## Rozdział 29

*poniedziałek 12 sierpnia*

**T**oyota zwolniła na moście Akademickim, przemknęła obok Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Szczecińskiego i potoczyła się dalej ulicą Adama Mickiewicza, mijając eleganckie, modernistyczne budynki z lat międzywojennych, powciskane pomiędzy nie po wojnie bloki i wyrosłe w ostatnich latach tak zwane apartamentowce. Po chwili po lewej został z tyłu rynecek na Grzegorza z Sanoka, kolejny szpaler starych i nowych gmachów i wreszcie zakręt w Stanisława Brzozowskiego, gdzie wzdłuż wijącej się ulicy stały kolejne, nietknięte przez wojnę przepiękne, modernistyczne budynki mieszkalne. Dzięki tej architekturze, wspólnej dla obu miast i mającej te same korzenie, spacer tutaj nie różnił się prawie niczym od spaceru po przedmieściach Berlina. Ulica kończyła się sporym prostokątnym placem, a tuż za nim rozciągały się zabudowania szpitala klinicznego Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Szpital, ogromny zespół gmachów, niedawno powiększonych o nowoczesny budynek kliniki ortopedii, mieścił się przy ulicy Unii Lubelskiej, skąd prowadził jeden z wjazdów na teren zespołu.

Historia szpitala zaczęła się w latach trzydziestych, gdy przygotowujące się do wojny Niemcy zabezpieczały zaplecze logistyczne dla wojska. Budowę placówki, przeznaczonej dla armii, rozpoczęto w roku trzydziestym szóstym, a skończono już w trakcie wojny, w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Szpital, zdaniem ówczesnych, był najnowocześniejszą kliniką w Europie. Miał, oprócz świetnie wyposażonych laboratoriów i sal operacyjnych, z których część została usytuowana w podziemiach, także własne szwalnie, pralnie i komory dezynfekcji. Tutaj również, zaraz po zakończeniu budowy, przeniesiono

Akademię Medyczną z Berlina, dzięki czemu klinika stała się jednym z najlepszych w Europie ośrodków szkoleniowych.

Po wojnie w mocno zdewastowanych budynkach szpitala wojska radzieckie umieściły obóz dla jeńców wojennych, a do dawnej funkcji obiekt wrócił dopiero pod koniec lat czterdziestych, gdy budynki przejął Polski Czerwony Krzyż.

Igor westchnął, po raz kolejny zresztą w trakcie podróży z Łasztowni.

– A mieliśmy dzisiaj rano wypływać. – Spojrzał na siedzącego obok Johanna. – Powiesz w końcu, co to za rewelacje?

Johann pokręcił głową.

– Powiem, jak będziemy na miejscu.

– Co za głupoty – odezwał się niezadowolony Jamie. – Co za jakieś durne tajemnice!

– Nie będę powtarzał tego samego piętnaście razy, bo gadanie z wami to gorzej niż w przedszkolu.

– Kiedy ich wypuszczą? Wiadomo? – Gwen, ignorując wymianę zdań pomiędzy Jamiem a Johannem, spojrzała w lusterko na Igora. – Słyszałam, że gadaliście z kimś rano.

– A skąd wiesz, że gadali ze szpitalem? – zainteresował się Jamie.

– Słowo szpital brzmi prawie tak samo po angielsku, jak po polsku.

– Z dyżurną lekarką – przytaknął Igor. – Ale ona nie wiedziała jeszcze. Takie decyzje podejmują, o ile się orientuję, po obchodach, czyli pewnie po obiedzie. Najważniejsze, że nic im się nie stało – dodał po chwili.

– Jeżeli złamane dwa zebra Dermota, ręka Ruperta i wstrząs mózgu Alice to nic – odezwała się Paulina.

– Biorąc pod uwagę, że zginęło pięć osób... – mruknął cicho do siebie Johann.

Paulina odwróciła głowę i spojrzała w okno. Miał rację.

Przed oczami ponownie stanęły jej wydarzenia piątkowego popołudnia.

Gdy czarna gondola, z mrozącym krew w żyłach zgrzytem, zaczęła powoli się odchyłać od pionu, szorując bokami o ogromne koliste prowadnice i dach gondoli, w której byli uwięzieni Alice, Rupert i Dermot, Paulina zamknęła oczy. Nie widziała, jak czarny wagonik opiera się o koło, z łoskotem pęka tworzywo sztuczne paneli osłonowych, a deszcz iskier wybucha w powietrzu i z hukiem spada na stalowe elementy konstrukcji, dachy stojących pod młynem pawilonów obsługi i ziemię. Przez króciutki moment wydawało się, że wagonik, oparty o stalowe ramiona karuzeli, zdoła dotrzeć na dół, ale nagle pękła jedna z beleczek dachu gondoli poniżej. Wszyscy na placu na moment zamarli, po czym gondola się przechyliła i z wysokości jedenastu metrów runęła w dół.

Krzyki ludzi, ryk syren kolejnych karetek i łoskot pękającej stali Paulina miała w uszach jeszcze teraz. Otworzyła oczy tylko dlatego, że policjanci zaczęli wypychać na zewnątrz wszystkich, którzy napierali na ogromne puste koło wokół karuzeli. Popchnięty przez kogoś Morten cofnął się o dwa kroki, a Paulina otworzyła oczy, rejestrując teraz dopiero, że kurczowo ścisnęła jego ramię.

Diabelski młyn ze zgrzytem połamanych fragmentów konstrukcji zatrzymał się, a drzwi najniżej zawieszonych nad ziemią gondoli zaczęły się otwierać pod naporem przerażonych i krzyczących, uwięzionych wewnątrz ludzi. Obsługa wbiegła na schody i otworzyła drzwi tej, która zatrzymała się na pomoście.

Od strony ulicy przez tłum ludzi zaczął się przedzierać czerwony samochód straży pożarnej. Falujące koło ciżby wokół młyna na chwilę się otworzyło, wpuściło samochód do środka i ponownie zamknęło. Z wozu wyskoczyli strażacy i z łomami, nożycami i innym sprzętem do cięcia stali pobiegli w kierunku leżącej na boku czarnej góry połamanej stali.

Paulina rozejrzała się za Igorem. Dostrzegła go koło samochodu policyjnego. Rozmawiał z policjantką, która zapisywała coś w notesie.

Tuż obok, chyba non stop, jak zorientowała się z opóźnieniem, wydzierał się Jamie, machając rękami do ratowników wynoszących właśnie z gondoli Dermota i Alice.

Tubalny głos Dermota było słychać nawet z tej odległości, ale Alice była chyba nieprzytomna.

Rupert wy dostał się o własnych siłach. Jeden z ratowników wziął go pod ramię i pomógł wejść do karetki.

– Dokąd ich zabieracie?! – Paulina doskoczyła do policjantów, wygradzających teren wokół karuzeli. – Do jakiego szpitala?!

– Proszę się odsunąć! – mruknął jeden z funkcjonariuszy.

– To moi przyjaciele!

– Pogotowie się nimi zajmuje.

– Pani jest z rodziny? – Jeden z młodych lekarzy ubrany w zielony fartuch zatrzymał się na moment i spojrzał w jej kierunku.

Pokręciła głową.

– To moi znajomi – krzyknęła. – To Anglicy! Musimy zawiadomić rodziny!

Lekarz bezradnie wskazał rękami na uszy i ruszył biegiem w kierunku krzątających się wokół zniszczonej gondoli ratowników.

– Tutaj! – wrzasnął nagle Jamie i zaczął machać rękami nad głową.

Paulina odwróciła wzrok i zobaczyła, że z następnej gondoli, zaraz za pomostem, wygląda, trzymając za ramię Gwen, Johann.

Dwóch pracowników ustawiało właśnie koło gondoli przytarganą skądś drabinę i po chwili dziewczyna zaczęła powoli schodzić na dół.

Kilkanaście minut później, gdy pielęgniarz opatrzył Johannowi rozbitą głowę i prawie siłą – głośno mówiącego, że nic mu nie jest – zaciągnął do karetki, Gwen wyszła na zewnątrz i dopadła Pauliny.

– Dokąd ich zabrali? Nie mogłam się dogadać z tymi lekarzami. – Złapała ją za ramię. – Musimy za nimi jechać. Wiesz, co to za szpital?! – dopytywała się gorączkowo.

Tuż obok Jamie głośno domagał się odpowiedzi, czy nic jej nie jest i co z Johannem.

Nagle rozległ się ryk stojącej tuż obok karetki i samochód, migając światłami, zaczął się przedzierać w kierunku ulicy.

Paulina zobaczyła, że Igor skończył rozmawiać z policjantką i przepycha się właśnie przez tłum. Po chwili stanął obok.

– Zabrali ich do szpitala na Unii Lubelskiej! – zawołał do Pauliny, przekrzykując hałas.

– Czego ona chciała? – Paulina pochyliła się w jego kierunku, wskazując oczami policyjny samochód.

– Wciąż dopytywała się, skąd wiedziałem, że będą trzy wybuchy. Chyba nie mogą się z tym pogodzić. Mają nas wezwać na przesłuchanie.

Na moment wybuchło zamieszanie, gdy wszyscy zaczęli się nawzajem dopytywać, o co chodzi.

– Zamknijcie się! – krzyknął w końcu Igor, przejmując dowodzenie. – Morten! – Spojrzał na trzymającego się z boku chłopaka. – Idź na jacht i powiedz Artjomowi, co się stało. Pewnie się martwią. – Spojrzał z kolei na stojącego obok Pauliny Piotra. – Ty musisz zostać. Jeśli Johanna wypuszczą dzisiaj, to nie będziemy mieli jak się zabrać.

– Ja i tak muszę wracać do redakcji. Może Przeworska pozwoli mi sklecić jakąś relację. W końcu byłem na miejscu, jak to wszystko się stało. – Przeniósł wzrok na Paulinę. – Usprawiedliwię cię jakoś.

Zaczęli się przedzierać w kierunku parkingu, a pół godziny później znaleźli się w ogromnym, jasnym holu izby przyjęć szpitala. Musiały jednak upłynąć jeszcze dwie godziny, zanim w końcu wyszedł do nich Johann, a kolejne dwie, zanim dowiedzieli się czegoś na temat pozostałej trójki.

Paulina oderwała wzrok od przesuwającej się za oknem zieleni na placu Norwida. Samochód zwolnił i po chwili przemknął Unii Lubelskiej i wjechał na parking niedaleko głównego wejścia na teren szpitala.

Paul Olsson, gdy tylko z samego rana dostał do rąk test DNA, przebiegł szybko wzrokiem po druczku, na którym przedstawione były dwa profile genetyczne wraz z analizą powtarzających się sekwencji DNA, po czym zamknął na chwilę oczy. Przez dwa dni musiał lawirować. W czasie rozmów z braćmi wznosił się wręcz na wyżyny dyplomacji, unikając odpowiedzi na pytania i przekonując, że nic jeszcze nie wiadomo. Średnio co godzinę także dzwoniła któraś z żon młodszego brata, jak nie aktualna, to była.



I oczywiście, nie dało się utrzymać w tajemnicy faktu wyłowienia trupa w Nordhavn. Z samego rana jeden z kopenhaskich dzienników zamieścił dzisiaj o tym wzmiankę. Wprawdzie na jednej z ostatnich stron, ale za to ich portal internetowy wywalił to na samym wierzchu.

A potem kilka następnych portali zrobiło to samo.

Na szczęście nikt nie łączył tych okaleczonych zwłok z ich zaginionym podopiecznym. Bo na szczęście nikt z prasy jeszcze nie wyniucał, że ktoś w ogóle zaginał. Olsson miał cichą nadzieję, że chłopak się znajdzie, zanim któryś z brukowców albo tych szmat internetowych to odkryje.

Tymczasem kamień spadał mu z serca. Test DNA wykazał, że zwłoki młodego mężczyzny znalezione przy nabrzeżu w Nordhavn to na pewno nie była ich zguba. Teraz sprawę morderstwa może sobie przejąć policja, jemu na szczęście nic do tego.

Wyniki testu wprawiły go w dobry humor. Wprawdzie problem wciąż pozostawał problemem, dzieciaka nadal przecież nie było, ale przynajmniej w nieco lepszym humorze szedł właśnie na spotkanie z byłym przełożonym.

Skinął głową sekretarce, która bez słowa wcisnęła przycisk interkomu, uprzedzając swojego szefa, że ma gościa.

Jens siedział w fotelu i odwrócony do okna, z którego rozciągał się widok na dachy sąsiednich budynków, przeglądał plik dokumentów.

Gdy Olsson wszedł, odwrócił się i nie podnosząc głowy, wysunął rękę, dając znać, że chce dokończyć czytanie.

Po chwili odłożył teczkę na biurko i westchnął.

– Gówniarz przepadł. Jak kamień w wodę. Jedyne trop to ten jego znajomek anarchista.

– Sprawdziłem go. – Olsson usiadł naprzeciw Jensa. – Kumplują się od kilku lat. Firma zna jego rodzinę. To bardzo zamożni ludzie. Czynniki ekonomiczny nie wchodziłby w grę.

Jens skinął głową z powątpiewającą miną.

– Jeśli to anarchista, to mógłby wchodzić. Jakaś kontestacja czy inna filozofia, ekstremizm, chęć dokopania bogatym, a konkretnie tatusiowi.

- Bardzo głęboka charakterystyka psychologiczna – zakpił Olsson. Jens zarechotał pod nosem i szybko spoważniał.
- A jego matka jest Szwedką w dodatku.
- Nie sugerujesz chyba, że to może mieć coś wspólnego z ostatnimi zamachami? Przecież ich wszystkich zamknęliście.
- Nie wszystkich – westchnął Jens.

W Kopenhadze wydarzyło się ostatnio kilka zamachów bombowych. Jeden po drugim. Jens do tej pory miał z tym sporo roboty. Najpierw zniszczony został niemalże doszczętnie budynek urzędu podatkowego, a kilka dni później jeden z lokalnych komisariatów policji. Policja oficjalnie nie łączyła tych wydarzeń, zaraz potem jednak aresztowano dwudziestodwuletniego Szweda, który okazał się działaczem jednej z radykalnych lewicowych partii. Oba wydarzenia poskutkowały rozpoczęciem rozmów na szczeblu ministerialnym na temat wzmożenia kontroli na granicy pomiędzy Szwecją a Danią. Wkrótce potem aresztowano kolejnych dwadzieścia osób, u których znaleziono broń oraz preparaty służące do produkcji materiałów wybuchowych.

– Ten chłopak jest w podobnym wieku, także Szwed. No i te jego kontakty z anarchistami. – Jens wpatrywał się w Olssona, który zamyślony patrzył z kolei w okno.

– A jeśli to nie porwanie ani zaginięcie? – Olsson oderwał wzrok od nieba nad dachami sąsiednich budynków i odezwał się z namysłem, bardziej do siebie niż do byłego szefa.

- Tylko co?
- Może ten koleś wkręcił go do jakiejś organizacji. Chłopak poczuł się wolny, wiesz... te rzeczy. Zerwał kontakt z rodziną i tak dalej.
- Nie wiem, co byłoby gorsze. – Jens westchnął i sięgnął po teczkę, którą przeglądał przed przyjściem Olssona. – Zobacz sam. – Rzucił teczkę na kolana kolegi.
- Co to jest? – Olsson z zainteresowaniem otworzył okładkę i zajrzał na pierwszą stronę.
- Dokumentacja z badań chłopaka. Konsultacje psychologa.

– A tajemnica lekarska?

– Nie żartuj. – Jens się zachnął. – W takiej sprawie?

Olsson przejrzał kilka włożonych do środka dokumentów. Terapia poznawczo-behawioralna. Rozmowy przeprowadzone z pacjentem wykazały nasilające się stany depresyjne. Sprzyjają temu stanowi oraz jego pogłębianiu izolacja, presja rodziny, negatywne wzorce myślowe.

Olsson spojrział na byłego szefa z rezygnacją.

– To się nie może przedostać do mediów.

– To oczywiste. – Jens wzruszył tylko ramionami.

Sięgnął do swojego biurka i wygrzebał kolejną teczkę, którą położył przed Olssonem.

– Jest jeszcze jeden wątek tej sprawy. Dziwna korelacja czasowa pewnych wydarzeń.

Rozświetlony wpadającym przez przeszklone ściany światłem hol kończył się przejściem do dalszych części budynku. Nowe skrzydło powstało od strony południowo-zachodniej, zaraz za kończącym modernistyczną dzielnicę mieszkaniową placem Cypriana Kamila Norwida. Główna izba przyjęć mieściła się jednak w starej części szpitala, w skrzydle, do którego wejście prowadziło od strony północnej bramy wjazdowej.

– Jak udało ci się tutaj dostać w sobotę? – Igor otworzył oszklone drzwi, przepuścił przodem Gwen i Paulinę i poczekał na idącego na końcu Johanna.

– Taksówką po prostu. – Gwen przystanęła i odwróciła się. – Gdzie teraz?

– Musimy się dostać na drugie piętro. – Igor wskazał ręką dojście do schodów. – Tak mi powiedzieli przynajmniej.

Pamiętał, że kilka razy, będąc tutaj przy jakichś niezbyt miłych okazjach, pogubił się w ciągnących się przez całe gmachy korytarzach, schodach i łącznikach.

– Ale ja pytałem o to, jak cię wpuścili? – Igor spojrział na Johanna. – Nie pozwalali przecież tutaj nikomu wejść w piątek, a w weekend tylko

najbliższej rodzinie.

– Powiedział beczelnie, że jest rodziną – odezwała się znowu Gwen.

– Jak beczelnie? – Johann uśmiechnął się niewinnie.

– Nauczyłeś się ostatnio bardzo dobrze kłamać. Muszę przyznać, że to jest dość niepokojące.

– Chcesz powiedzieć, że to przez nas? – Paulina spojrzała na Gwen z uśmiechem.

– Nie analizowałam jeszcze tego aż tak dokładnie.

– Wcale nie musiałem kłamać. – Johann rzucił Gwen ironiczny uśmieszek. – Moja praprababka, jakaś tam Emma czy jakoś, w szesnastym wieku wyszła za mąż za Carmondeleya z Warwickshire. Jesteśmy więc z Dermotem rodziną.

– Jasne! – zachichotał Jamie. – A po co ci ta teczka? – Wskazał głową na trzymaną przez Johanna elegancką skórzaną aktówkę.

– Dowiesz się we właściwym czasie.

– Co za głąb!

– Tędy. – Igor pchnął kolejne drzwi, ucinając następną, dobrze zapowiadającą się dygresję, która, co było oczywiste, zmutowałaby zaraz w ciąg utarczek i przytyków.

– Osiemdziesiąt dwa chyba albo trzy. – Paulina zajrzała do pierwszego pokoju i uśmiechnęła się. – Są tutaj!

W jasnym pomalowanym na piaskowy kolor pokoju stały trzy łóżka. Na dwóch ze znudzonymi minami siedzieli Dermot i Rupert, a na parapecie okiennym, wyglądając na rozciągający się za oknem, obrzeżony zielenią parking, Alice.

Rupert miał obandażowaną rękę i założony temblak, a Dermot widoczny spod szpitalnej piżamy bandaż.

– Nareszcie! – jęknął Rupert. – Wypuszczają nas?

– A skąd mamy wiedzieć. – Jamie obrzucił obu kolegów powątpiewającym spojrzeniem. – Wyglądacie jak mumie. Z nurkowania chyba nici.

– Zaraz pomimo tych bandaży wstanę i dam ci w dziób. – Dermot dźwignął się i usiadł na łóżku. – Nic mi nie jest.

– Masz złamane dwa żebra, ćwoku. Jak chcesz nurkować?

– I tak mnie wyjdzie to lepiej niż tobie.

– Policja była tutaj. Z samego rana – odezwała się Alice, ignorując Jamiego i Dermota, którzy nadal się spierali.

– I co chcieli wiedzieć? – Paulina usiadła na brzegu pustego łóżka.

– Byliśmy najbliżej tej trzeciej gondoli. Dopytywali się, czy niczego nie zauważyliśmy, wsiadając. Czy nie zwróciliśmy uwagi na pozostawione torby czy coś. I pytali, jak długo się znamy.

– My? – Paulina i Igor spojrzeli po sobie. – To znaczy my z wami?

Alice przytaknęła.

– Drażą ciągle temat trzech wybuchów – stwierdził z przekąsem Igor. – Widocznie moje tłumaczenie ich nie przekonało.

– W zasadzie... – Johann usiadł obok Pauliny. – Pracujesz na budowie, gdzie odbywają się właśnie wyburzenia za pomocą ładunków wybuchowych. Jesteś inżynierem. Pewnie dobrze znasz zarówno topografię portu, jak i dokładne plany katedry i straży pożarnej.

– Jesteś znany policji już z jednej sporej afery, w wyniku której zawałił się pewien budynek – dodała Paulina. – Sama bym cię podejrzewała.

– Z tej afery to wy oboje też jesteście znani policji.

– A właściwie to o co chodziło z tymi trzema wybuchami? – Dermot wyciągnął nogi na łóżku i oparł się o wezglowie. – Nam nikt tego nie wytłumaczył. I skąd wiedzieliście, że ten zamach będzie o pierwszej?

– Właśnie. – Jamie usiadł obok niego i obrzucił Igora pytającym spojrzeniem.

– Żeby to wyjaśnić, trzeba mieć mapę albo przynajmniej jakąś kartkę i długopis... – Igor przerwał i rozejrzał się po pokoju.

– Czekaj, mam w swojej skrzynce. – Paulina sięgnęła po torebkę. – Wysłałeś mi to pocztą.

Wyjęła telefon, przez chwilę szukała właściwej wiadomości i w końcu podała komórkę Jamiemu.

– Kody liczbowe z maili Heilanda to były współrzędne geodezyjne. – Igor oparł się o parapet okna. – Wpadłem na to w pracy, gdy zajmowałem się podkładem geodezyjnym dla spichlerzy.

– Geodezyjne? – Alice spojrzała na Johanna. – A myśmy się zastanawiali nad różnymi formami zapisu współrzędnych geograficznych.

– A czym one się właściwie różnią? – Jamie wpatrywał się w ekran komórki Pauliny. – To mapa i to mapa.

– Ale ty ciemniak jesteś – westchnął Dermot.

– Jestem księgowym. Twoim też, lepiej o tym pamiętaj.

– Współrzędne geograficzne to długość i szerokość podane w układzie, w którym początek to przecięcie się południka zerowego i równika.

– Opisane na kuli – wtrąciła Paulina.

– Właśnie – podjął Igor. – Geodezyjne różnią się tym, że opisane są na elipsoidzie. Współrzędne punktu natomiast to szerokość, czyli kąt pomiędzy normalną do elipsoidy a płaszczyzną równika...

– O Chryste! – jęknął Jamie. – Już mnie boli głowa.

– To jak ci mam to wytłumaczyć?!

– Po co w ogóle pytałeś, głąbie? Pokaż ten telefon. – Dermot wyciągnął rękę w kierunku Jamiego.

– Przecież wszystko podobno rozumiesz.

– Daj ten telefon!

– Z tego, co wiem – odezwała się Alice – współrzędnych geodezyjnych nie można sprawdzić w necie ani w ogóle to nie jest takie proste.

– Do tego potrzebna jest mapa albo wtórnik elektroniczny – przytaknął Igor.

– W takim razie ten Heiland chyba wiedział, że prawie nikt nie będzie w stanie ich odczytać.

– Przypadkowo akurat ty miałeś tylko tę mapę. – Johann spojrzał na Igora i uniósł brew. – Co tym bardziej czyni cię podejrzanym.

– No i o co chodzi z tymi współrzędnymi? – Jamie podał w końcu komórkę Dermotowi. – Co dalej?

– Popatrzcie, jaki kształt tworzą te punkty. Trzy miejsca wybuchów wyznaczone współrzędnymi geodezyjnymi.

– Hmm... – mruknął Dermot, wpatrując się w mapę.

Alice zeskoczyła z parapetu i podeszła do łóżka Dermota. Usiadła obok niego i zajrzała mu przez ramię.

– Mapa jest zorientowana... – kontynuował Igor.

– Czyli co? – Jamie podniósł wzrok.

– Czyli północ jest na górze, południe na dole. A teraz odtwórzcie sobie tarczę jakiegoś zegara. Analogową oczywiście – powiedział Igor dobitnie, patrząc na Jamiego. – I zobaczcie, jak to wygląda.

– Nie rób ze mnie idioty! – Jamie poczuł się urażony.

– Pierwszy wybuch był w katedrze o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Drugi w porcie o siedemnastej trzydzieści. Zegar ma taki sam układ jak mapa...

Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w komórki.

– Czyli rzeczywiście wychodzi, że o trzynastej trzydzieści – stwierdziła Alice. – Ale czy to...

– Przypadek? – Igor pokręcił głową. – Nie wierzę.

– Tylko po co to wszystko? Po co on takie rzeczy wymyśla? – odezwał się milczący do tej pory Rupert.

– I jeszcze te kwiaty – dodała Paulina. – Hibiskus.

– I te cytaty ze znanych zamachowców – dodał Igor. – A właśnie! Zapomnieliśmy o kwiatkach! Widziałaś je pod karuzelą?

– Wszystko się działo za szybko i byłam zbyt zdenerwowana, żeby o tym myśleć.

– Ja je widziałam – odezwała się nagle Alice. – Boże! Rzeczywiście. Teraz sobie przypomniałam. Jak rozległ się ten huk i wybuch. Czarna gondola była wówczas pod nami, jeszcze zanim koło się obróciło, ale ja siedziałam przy drzwiach i zauważyłam taką kolorową chmurę.

– Ja też ją chyba widziałem – stwierdził Rupert.

– I już o tym napisali – dodała Paulina, która w międzyczasie zanurkowała do internetu.

– Gdybyśmy wsiedli kilka minut później albo wybrali byście czarną gondolę... – Johann pokręcił głową ze zgrozą i spojrzał na przyjaciół.

– A właśnie. Co z tymi trzema gondolami? – Dermot podniósł wzrok na Igora.

– Podobno wszystko rozumiesz.

– Jamie! – przerwała kolejną utarczkę Gwen.

– Ten sam schemat – powiedział Igor. – Diabelski młyn to koło z czterdziestoma dwoma wagonikami. Jeśli wybierzemy co czternasty, to razem tworzą idealny trójkąt równoboczny.

Przez moment panowała cisza.

– Kiedy ci to zdejmą? – odezwał się w końcu Johann, patrząc na Dermota.

– Ten bandaż to tylko dla usztywnienia. Powiedzieli, że może mnie boleć przy oddychaniu i poruszaniu się, a żebra zrosną się całkowicie za sześć miesięcy. Nic mi nie jest generalnie.

– Biorąc pod uwagę wstrząs mózgu Alice i złamaną rękę Ruperta, to nie mamy w takim razie wykwalifikowanych nurków. To znaczy, niby ja i jeszcze Morten zostaje...

– Morten? – Jamie fuknął. – Chcesz, żeby ci odciął powietrze pod wodą?

– A ten dalej swoje. Przestań w końcu gadać głupoty.

– Teraz byśmy właśnie... – Dermot spojrzał na zegarek – ...mijali falochron w Świnoujściu. Będziemy musieli ściągnąć jakichś nurków do pomocy, trudno. Zresztą nie wiadomo także, kiedy znajdziemy wrak. To też może potrwać ze dwa tygodnie.

– À propos. – Johann z tajemniczą miną sięgnął po swoją elegancką aktówkę. – Dostałem dzisiaj mail...

Przerwał, wyjął sporą szarą kopertę i podniósł ją do góry z triumfalnym uśmiechem.

– To mail? – zakpił Jamie. – Do ciebie przychodzą w kopertach?



Johann, nie zważając na te złośliwości, wyciągnął z koperty kilka kolorowych fotografii i uśmiechnął się szeroko.

– Profesor Solberg przysłał mi właśnie kilka zdjęć dna morskiego. To są wprawdzie tylko zdjęcia z sonarów, ale wyglądają nieźle. Ta nowa sonda, którą mają na Videnie, jest świetna. Trójwymiarowa batygrafia i fantastyczny przestrzenny obraz dna morskiego!

– Co to jest batygrafia? – zapytała Paulina i pochyliła się do Alice.

– Pomiary głębokości dna i tworzenie map – odpowiedziała Alice odruchowo, patrząc z napięciem na Johanna. – Johann, nie chcesz powiedzieć chyba, że...

– Zobacz sama. – Johann uśmiechnął się szeroko.

Alice zerwała się z łóżka Dermota i wyrwała zdjęcia z rąk Jamiego.

– No weź. Co robisz? – jęknął.

Alice szybko obejrzała kilka pierwszych i nagle zatrzymała się nad jednym. Przez chwilę wpatrywała się w kolorową fotografię i wreszcie podniosła wzrok.

– Boże! Znaleźli go! – wyszeptała.

– Pokaż! Au! – Dermot poderwał się z łóżka i natychmiast z powrotem opadł na poduszki. – Kurde z tymi żebrami! – warknął.

Alice podała mu zdjęcie.

Wszyscy podnieśli się i rzucili do Dermota, usiłując coś dojrzeć.

Na kolorowej fotografii, na której brązowe linie warstwic układały się w skomplikowany wzór wzniesień i zagłębień, w samym środku kadru widać było niezwykle kształt.

Leżał przechylony na bok. Środek wyraźnie był zniszczony przez wyrwany maszt, który w postaci połamanych resztek leżał obok na dnie. Kadłub był jednak zachowany. Na dziobie i rufie nadal wznosiły się, niczym w średniowiecznym zamku, charakterystyczne wysokie kasztele z blankami, w które były wyposażone w tamtych czasach bałtyckie żaglowce, zwane kogami.

Dermot wciąż oniemiały, trzymał kurczowo zdjęcie i wpatrywał się w nie intensywnie.

– Tu widać nawet tę wyrwę w burcie, przez którą Igor zajrzał do środka.  
– Jednak mi się to nie przyśniło – powiedział Igor do siebie.  
– Czyli pewnie reszta też nie. – Johann poderwał się z łóżka, doskoczył do Igora, objął go i zaczął skakać wokół niego, wrzeszcząc: – Udało się!  
Po chwili dołączył do nich Jamie, a potem i Rupert z ręką na temblaku.  
– A co tu się wyprawia?! – od strony drzwi dobiegł nagle tubalny głos.  
Korpulentna pielęgniarka, trzymając się pod boki, stała w progu i patrzyła ze zgrozą na wydzierające się towarzystwo.

Patrick podsłuchiwał w piątek rozmowę Carleya z Artjomem na temat kluczy. Nie wszystko wprawdzie usłyszał, bo zamknęli się w kabine Starego, ale to, co dotarło do jego uszu, wystarczyło. W czwartek nie miał żadnej okazji, żeby podrzucić klucze z powrotem. Przez cały dzień akurat bez przerwy ktoś łaził w pobliżu, jak nie Artjom, to któryś z pasażerów. Potem obiad, potem Artjom kazał mu sprzątać kamubuzy i wszystkie pokłady, bo wieczorem znowu miała być impreza. A o dziewiątej, skoro Carley dał im wolne, to trzeba było przecież wyjść z Harrym na miasto i się napić. Miał nadzieję, że jak wrócą o pierwszej–drugiej, to wszyscy będą spać i wtedy podrzuci te klucze. A ci akurat siedzieli aż do trzeciej i grali w *Tomb Raidera*. Kompletnie tym bogolom odbiło, żeby siedzieć po nocach i grać w gry na plejaku. Dopiero zatem rano w piątek mógł to zrobić. Wstał wcześniej o szóstej, udało mu się na moment wemknąć do kajuty kapitana i odwiesić klucze do szafy. Swoją drogą nie sądził, że kogokolwiek one zainteresują. Bywało, że wisiały całe miesiące, pokrywały się kurzem i nikt się nimi nie zainteresował, a teraz, akurat jak jemu były potrzebne, to Artjom musiał tam wleźć i robić porządki w szafach.

Patrick wyjął z lodówki miskę nakrytą serwetką i ostrożnie zajrzał do środka. Ciasto już sporo urosło, jeszcze z godzinę postoi i będzie spoko. Malutkie chrupiące bułeczki z oliwkami, pieczone do obiadu, zazwyczaj znikają w kilka minut.

Szpital szpitalem, afera aferą, a Johann i pozostali przyjadą pewnie głodni. Na szczęście nic się nikomu nie stało poważnego. Ten drałgal Dermot się wykuruje, chociaż będzie musiał potem nadrabiać na siłce, żeby

wrócić do poprzedniego wyglądu. Najbardziej mu było szkoda tej sympatycznej Alice. Wstrząs mózgu, biedna.

I co teraz z nurkowaniem? A dzisiaj wieczorem przecież planowali już być na Bałtyku. We wtorek, czyli jutro, miała tam przylecieć jakaś ważna delegacja, żeby uroczyście rozpocząć prace. I co teraz?

Właściwie było mu to obojętne. Teraz w zasadzie było nawet ciekawiej. Przynajmniej można co wieczór zejść na ląd. Na morzu to musiałby tkwić na pokładzie i co najwyżej grać w karty z Harrym w mesie dla załogi.

Ale ten wypadek to była jednak masakra. W dodatku, całkowicie przypadkowo, widział wszystko od samego początku. Jak tylko całe towarzystwo zeszło na ląd, spytał kapitana, czy może się przejść. No i poszedł, ale tak naprawdę to podążył za tym nowym.

Morten wymknął się zaraz po tym, jak Johann i reszta zniknęli w tłumie na bulwarze.

Patrick trzymał się z tyłu i skupiony na obserwowaniu poczynąń nowego, nawet nie zarejestrował, że jego pracodawcy postanowili przejechać się na diabelskim młynie. Jakies dziesięć minut później zaczęła się cała ta awantura i nagle nie wiadomo skąd pod karuzelą znaleźli się Ajgor z dziennikarką.

Ale on patrzył na Mortena.

Drań stał w tłumie kilka metrów za dziewczyną i nie spuszczał jej z oka.

Wpatrywał się w nią jak jakiś psychol.

Patrick, korzystając z tego, że dookoła bez przerwy ktoś łąził i ciągle wrzeszczały jakieś dzieciaki, zrobił mu dyskretnie fotkę. Miał teraz dowód, jak ten psychol stoi i się gapi, pewnie znowu snując te swoje fantazje o odcinaniu głowy.

A potem był wybuch. I dopiero gdy wszyscy zaczęli wrzeszczeć, a najgłośniej ten grubas McGowan, dotarło do niego, że Carley i całe jego towarzystwo jest w jednej z gondoli.

Olsson podniósł wzrok znad pliku dokumentów i spojrzął na Jensa.

– Dlaczego to jest tajne? Przecież to ma kulturową wartość. Nagłośnienie zapewniłoby dobry public relations i królowej, i Danii.

– Taki był warunek angielskiej firmy. Do czasu odnalezienia wraku i zabezpieczenia go cała operacja ma mieć charakter naukowego badania dna morskiego i prób z nowym typem sond i sonarów. Dlatego też oficjalnie ze strony duńskiej jest to ekspedycja naukowa organizowana przez Duński Uniwersytet Techniczny. Jutro leci tam wiceminister i ktoś z dworu, żeby formalnie rozpocząć badania.

– Jutro? – Olsson uniósł brwi.

– No właśnie... – zastanowił się Jens. – Tymczasem popatrz, co znaleźliśmy na ich temat.

Mężczyzna sięgnął do dolnej szuflady biurka i po chwili na blacie leżała kolejnateczka z adnotacją „tajne”.

– Sedinum Exploration to tak naprawdę ośmioro udziałowców. Sześcioro to Anglicy, ale dwoje pochodzi z Polski. I w tym rzecz. Szefem, jak się zdaje, jest Johann Carley, awanturnik i londyński bawidamek, od pewnego czasu związany z Gwendolyn Crichton-Stuart.

– To bardzo dobre nazwiska. – Olsson pokiwał głową z uznaniem. – Nic dziwnego, że łatwo zdobyli zaufanie królowej.

– Tak, tak. I być może w tym sęk. – Jens westchnął. – Rzecz w tym, że tych dwoje Polaków było podejrzanych o szantaż. Zostali zatrzymani pod zarzutem próby kradzieży obrazów z kolekcji lorda Carleya, tatusia tego Johanna.

Olsson gwizdnął przeciągle.

– To nie koniec. Na trop wraku wpadli w bardzo ciekawych okolicznościach. Nie ujawniono tego, ale mamy swoje źródła. Poszukiwaniem wraku zajmowała się rosyjska mafia na zlecenie jednego z wysoko postawionych generałów. W efekcie tych działań, nie wiadomo w jakich okolicznościach, Pandora, luksusowy jacht Carleyów, znalazła się w Bałtyjsku, w wojskowym porcie Rosjan. Oczywiście poza jakimikolwiek procedurami granicznymi. A następnie w podobny sposób wróciła do Polski, konkretnie do Darłowa, gdzie pozostała jeszcze kilka dni i dopiero stamtąd wyruszyła na Bałtyk, gdzie, ni z tego, ni z owego, odkryli nagle wrak okrętu. Kilka tygodni później natomiast narodziła się spółka Sedinum Exploration, a kolejny miesiąc później do Ministerstwa Kultury Danii trafiło pismo z niezwykłą propozycją.

– I ci Anglicy robiliby takie rzeczy na skutek szantażu? – Olsson skrzywił się z powątpiewaniem. – To mało przekonujące.

– Albo w tym zagustowali – stwierdził Jens. – Robota w City, imprezy w Soho, wizyty w wiejskich rodzinnych posiadłościach, nuda. A tutaj ekscytująca przygoda i poszukiwanie skarbów. Może ta kradzież obrazów ojca też była ukartowana wspólnie.

Olsson postukał palcami w okładkę teczki, którą trzymał na kolanach.

– Tylko w dalszym ciągu nie wiem, co miałyby mieć z tym wspólnego nasz podopieczny.

– No właśnie to trzeba wyjaśnić.

– Ale że zaczął z nimi współpracować?

– Nie on. – Jens pokręcił głową.

– A kto?

– Ten jego podejrzany znajomek. Anarchista, radykał, mógł być podstawiony.

– Po co?

– Widziałeś warunki tej umowy. Dania dostaje sporą część, w tym wyłączne prawo do wydobycia zabytkowego okrętu. Może nasz podopieczny miał być kartą przetargową w celu lekkiej, powiedzmy – Jens ściągnął usta – modyfikacji tej umowy.

Olsson w milczeniu wpatrywał się w przestrzeń.

– I co, porwali go? – spytał.

– Pandora płynie do Kopenhagi. – Jens, widząc sceptycyzm na twarzy Olssona, podjął wątek. – I nagle na środku Morza Północnego jeden z ich marynarzy ma atak wyrostka. Cudowne zrządzenie losu.

– W takim scenariuszu nasz podopieczny siedzi sobie w kabinie pod pokładem i czeka, aż porywacze dogadają się w kwestii okupu. Ale jest kilka wątpliwości...

– W zasadzie to są wyłącznie wątpliwości – skwitował Jens. – Pewne jest jedynie to, że dzieciak przepadł, tak samo jak ten typek zresztą.

– Ślady krwi na kurtce... – Olsson zagryzł wargi, rozważając w myślach wszystko, co przed chwilą usłyszał.

Szef duńskiej Policyjnej Służby Wywiadowczej wbił wzrok w swojego byłego podwładnego i zamyślił się.

Wizyta w szpitalu przeciągnęła się prawie do pory obiadowej. Za zgodą lekarza dyżurnego cała trójka rekonwalescentów mogła wyjść na zewnątrz. Spędzili więc jeszcze godzinę razem, spacerując lub siedząc na słońcu i obmyślając plan działania, jak tylko zdołają w końcu wypłynąć ze Szczecina.

Tuż przed pierwszą pielęgniarki zaczęły wzywać na obiad. Dermot zmusił w końcu lekarza do deklaracji, że jutro będą mogli wyjść. Goście zaczęli się zbierać.

Gdy byli już w drodze powrotnej i dojeżdżali do centrum, do Pauliny zadzwonił Piotr.

– Zaglądałaś na Facebooka? – spytał bez wstępów. – Albo którykolwiek portal?

– Rano zajrzałam tylko na „Wyborczą”. Nie miałam siły na społecznościówkę.

– Wylało się niezłe szambo.

– Masz na myśli ten film Ulki?

– Daj spokój – burknął Piotr ze złością. – To jej bredzenie to zgroza. Kompromitacja. Jedyne film Macieja się obronił i zrobił nam mnóstwo wejść. Mieliśmy najlepszą relację, w dodatku na żywo. A dziś od rana to wszędzie już leci.

– No to o co chodzi?

– Po pierwsze, wszędzie piszą o Igorze i o tym, że portal Szczecin & LeftSide jako pierwszy miał informacje o zamachu. Niestety, my też o tym napisaliśmy. Na forach różne brednie i teorie spiskowe, ale żeby jeszcze na tym się tylko skończyło. Straszny hejt na zielonych...

Paulina westchnęła. Spodziewała się tego już od dawna. Niewielki medialny zasięg poprzednich zamachów nie wywołał efektu, ale teraz listy Heilanda i te nawiązania do ekologii w końcu odniosły skutek.

– Właśnie wracamy ze szpitala. Wpadnę do redakcji po drodze, to pogadamy.

– Jak Anglicy?

– W porządku na szczęście. Jutro ich wypuszczają.

Pół godziny później Paulina weszła do redakcji. Piotr, odwrócony przodem do sali, siedział przy swoim biurku, a obok niego stało parę osób i przyciszonymi głosami o czymś rozmawiało.

Paulina rzuciła okiem w kierunku aneksu Przeworskiej, konstatuując, że chyba jej to weszło już w krew, i upewniwszy się, że naczelnej nie ma, skierowała się do spiskowców.

Gdy podeszła bliżej, usłyszała, jak Julita z reklamy kończy o czymś mówić.

– ...dlatego się rano spóźniłam. Rozmawiałam z nimi, jak tylko stamtąd wyszli. Trzymali ich prawie trzy godziny na komendzie. Od szóstej. Straszili, że mogą ich zamknąć bez wyjaśnienia na trzy dni.

– A jakie mieli podstawy? – Baśka założyła ręce na piersi i patrzyła na koleżankę z irytacją. – Przecież to nonsens.

– Zamknąć na trzy dni mogą pod byle pretekstem, ale wkurza mnie, że policja włączyła się w to polowanie na czarownice.

Fotograf Filip pochylił się lekko i ściszył głos.

– Przecież wiadomo, od czego to się zaczęło. Od tych dennyh artykułów Ulki. To ona pierwsza zaczęła to szczucie na nich. Te brednie o ekologizmie.

– Jak to możliwe, że „Dziennik Szczeciński” takie rzeczy wypuszcza – powiedziała Baśka z niedowierzaniem. – Może w międzyczasie góra zmieniła profil, żeby się przypodobać władzy? Może dostaliśmy jakieś wytyczne, tylko Przeworska nie raczyła nas o tym poinformować?

– Może zapytamy Marcina?

– Wiesz, jaki jest Marcin. – Baśka wzruszyła ramionami. – Nie będzie chciał się w nic mieszać.

– Ale może nam coś powie?

– O czym powie? – Paulina postawiła torbę na blacie biurka i spojrzała na grupkę skupionych wokół biurka Piotra kolegów i koleżanek.

– A ty nie na urlopie? – Baśka odpowiedziała pytaniem na pytanie, w dodatku nie na temat.

– Musieliśmy przełożyć wyjazd. – Paulina zerknęła na Piotra. Miała nadzieję, że nie pochwalił się znajomością z Anglikami.

– O czym Marcin nie powie? – Paulina powtórzyła pytanie.

– Rozmawiamy o zmieniającym się stroju naszej gazety – wyjaśniła zirytowana Baśka. – Czyli marnujesz właśnie urlop w Szczecinie... –

Spojrzała na Paulinę ze współczuciem. – Ale biorąc pod uwagę, co wypisują o tym twoim Igorze, to wcale się nie dziwię, że musieliście zostać.

– Wypisują... – prychnął Piotr.

– Co wy wszyscy z tym Igorem. Co wypisują?

Paulina popatrzyła na Piotra, a potem na pozostałych, po czym usiadła przy biurku i uruchomiła komputer. W drodze cały czas rozmawiali, nie miała czasu, żeby zajrzeć do netu.

– Jak wspomniałaś u Przeworskiej o tej grze, to ja zwątpiłam, przyznaję. Sama pomyślałam, że ci chyba odbiło, ale powiedzmy, że pomimo absurdalności tej całej sprawy mogła ci jednak zaufać...

– Chciałam puścić ten materiał, który poszedł na LeftSide, u nas. – Paulina ze wzrokiem wbitym w ekran słuchała Baśki jednym uchem. – Wysłałam wszystko Piotrowi.

– No właśnie o tym mówimy. Piotr nam zdał relację. Uważam, że to skandal. Wtedy, gdy przysłałaś tę mapę, to u nas cały czas leciały te idiotyczne migawki z Ulką z Bulwaru Gdańskiego. Dopiero jak się wszystko zaczęło, to tylko dzięki Maciejowi nagraliśmy relację.

– Boże! My tu mówimy o relacjach, o gazetach, a tam przecież zginęli ludzie – przypomniała ze smutkiem Julita. – Dopiero teraz prokuratura zaczęła traktować wszystko poważnie. Jak pięcioro ludzi zginęło.

– A dalszych, bodajże ośmioro, jest w szpitalu w poważnym stanie – dodała Baśka.

Paulina przestała słuchać. Czytała relacje na portalach na temat piątkowych wydarzeń i powoli ogarniała ją złość.



„Zgodnie z naszymi informacjami – pisał jeden z miejskich portali – policja na godzinę przed eksplozją dostała informację o możliwym zamachu na Łasztowni. Przekazano także, że nastąpi to dokładnie o godzinie trzynastej trzydzieści. Tuż po pierwszym wybuchu jeden z mężczyzn pod karuzelą przekazał policji, że podłożone zostały trzy ładunki...”

„Ustaliliśmy, że mężczyzną, który był w posiadaniu informacji na temat zamachu, jest architekt ze Szczecina – pisała inna internetowa gazeta. – Informacja pozwoliła sprawniej ewakuować ludzi z karuzeli, tuż przed wybuchem w jednym z wagoników...”

Inny portal drukowanymi literami dopytywał się na swojej stronie na Facebooku:

„CZY POLICJA BADA, JAK SZCZECIŃSKI ARCHITEKT WSZEDŁ W POSIADANIE INFORMACJI NA TEMAT HEILANDA?”

– Kurwa! – Paulina nie wytrzymała i walnęła ręką w biurko. – Co za brednie! Poza tym skąd te portale się o tym dowiedziały?

– Nie czytałaś jeszcze najgorszej – mruknął cicho Piotr.

– Ale to prawda? – zapytała ostrożnie Baśka.

– Co prawda?! – Paulina spojrzała na nią ze złością. – Że Igor ma związki z zamachowcami?

– Nie o to pytam przecież...

– Igor odgadł po prostu, że kody Heilanda to współrzędne geodezyjne. Cała reszta była już oczywista dla każdego, kto spojrzał na mapę. Trzy miejsca na mapie układające się w charakterystyczny kształt. Układ godzin na cyferblacie.

– Napisałaś o tym w piątek na portalu Huberta, wiemy, ale trzy ładunki na karuzeli?

– Igor odgadł to na miejscu! Ta sama zasada. Co czternasty wagonik na kole! Gdyby nie on zresztą, to możliwe, że zginęłoby więcej ludzi. Tylko dzięki temu, że zaczęto opróżniać co czternastą gondolę, tak się nie stało.

Na moment wszyscy umilkli.

– A czytałaś to? – odezwał się Piotr, pochylając się nad monitorem. – W świetle wypadku to się wszystkim teraz mało ważne wydaje, ale to oczywiste, skąd to się wzięło. Posłuchaj.

„W nocy z soboty na niedzielę nieznani sprawcy wybili szyby witryny restauracji Brazylijskiej na Starym Mieście. Wrzucono pojemnik z cuchnącą substancją do sklepu z ukraińską żywnością przy ulicy Wielkopolskiej...”

– Słyszałam, że ktoś w nocy w niedzielę napisał „RAUS Z POLSKI” na ścianach tego hotelu, który należy do Turka – dodała Julita.

– To o tym mówiłaś, jak przyszłam? – Paulina spojrzała na koleżankę.

– O czym? – Julita patrzyła przez moment, nic nie rozumiejąc. – A... nie. Dzisiaj rano o szóstej, wyobraź sobie, przesłuchiwali aktywistów z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Rozmawiałam z nimi zaraz potem. Podobno potraktowali ich jak jakichś terrorystów.

– Tego Borysa... jak mu tam... – Baśka strzeliła palcami.

– Ignatiuka. – Paulina przypomniała sobie rozmowę z Pawickim i Halczyszyn. – Domyślałam się, że też już go przesłuchiwali. Ale ten hejt na obcokrajowców to w zasadzie nie ma co się dziwić. To następstwo listów Heilanda, zwłaszcza tego ostatniego.

– „Najeźdźcy są tymi, którzy zaludniają świat. Zabić najeźdźców, zwalczyć przeludnienie i ocalić środowisko...” – zacytował z grobową miną Piotr.

– Uchodźcy i zieloni. Odwieczni wrogowie prawdziwych Polaków. Aż boję się pomyśleć, co będzie, jak pojutrze przyjdzie kolejny mail.

– Sądzisz, że przyjdzie? – Julita spojrzała w kierunku aneksu naczelnej. – Słyszałam, jak dzisiaj rano Ulka mówiła Przeworskiej, że jej zdaniem to ostatni zamach.

– Ponieważ? – Paulina podążyła wzrokiem za spojrzeniem koleżanki.

– Ponieważ trójkąt równoboczny się zamknął. Tak sobie to wymyśliła.

– Hmm...

Paulina odgarnęła włosy z czoła. Pomyślała, że w zasadzie nie było to nawet takie głupie. Tylko coś było nie tak z tym rozumowaniem. Macie

dwa dni, a potem siedem...

No oczywiście! Od środy zostaną tylko dwa dni. Do czego?

Motyw przewodni filmu Spielberga, który rozległ się w jej torebce, oderwał ją od dalszego zgłębiania tematu.

Paulina wyciągnęła komórkę, odebrała i z kubkiem w ręce ruszyła w stronę aneksu kuchennego.

– Wiem, z czym dzwoniś – westchnęła do słuchawki.

– Twoja gazeta zrobiła ze mnie kryminalistę. – W głosie Igora słychać było złość.

– Czytałam te bzdury, nigdzie na szczęście nie wymienili twojego nazwiska. – Paulina zdębiała. – Jak to moja gazeta?

Spojrzała na Piotra takim wzrokiem, że od razu schował się za monitorem.

– Nie musieli – warknął Igor. – Na forach wszędzie już usłużnie je przypomniano.

Paulina usiadła i nerwowo otworzyła portal „Dziennika Szczecińskiego”. Od razu rzucał się w oczy kadr z filmu Macieja, na którym czarny wagonik spada z karuzeli. Opis pod zdjęciem krzyczał wytłuszczonym drukiem **„Wheel of Szczecin – Kolejny zamach! Trzy wybuchy na diabelskim młynie!”**.

Poniżej w kilku krótkich zdaniach był opis piątkowych wydarzeń.

„Co łączy szczecińskiego architekta, zamieszanego kilka lat temu w katastrofę budowlaną, z Heilandem, Zbawicielem Świata?” – Paulina przeczytała z niedowierzaniem ostatnie zdanie zajawki artykułu.

– Boże! Dopiero teraz to zobaczyłam. Nie mam z tym nic wspólnego.

– A Piotr? – W głosie Igora wciąż słychać było irytację.

– On też nie! – Paulina spojrzała na wytrzeszczającego oczy kolegę. – Nie napisaliśmy ani słowa na ten temat, nawet nie rozmawialiśmy z nikim w gazecie od piątku. Ale niestety – Paulina postukała ze złością palcami w biurko – nasz fotograf nagrał film z całego zajścia, a Ulka napisała do tego komentarz.

– Ta twoja Ulka?

– No właśnie.

Przez chwilę panowała cisza.

– Wasza wojna zaczyna zbierać żniwo w postaci przypadkowych ofiar – odezwał się w końcu Igor. W jego głosie, co Paulina zarejestrowała z ulgą, pojawił się w miejsce złości wisielczy humor.

– Na naszej stronie na Fejsie pojawiło się już sporo niewybrednych komentarzy. Dzwonił do mnie właśnie Bartek Lorenz i zaoferował pomoc. Oczywiście w swoim stylu, przekonując mnie, że pozew to doskonała promocja.

– I ja bym tak zrobiła. Ulka powinna dostać za swoje.

Paulina odetchnęła głęboko. Spojrzała w kierunku aneksu Przeworskiej. Naczelnej nadal nie było. Tak samo jak Mateckiej. Miała ochotę iść do jednej i drugiej i wygarnąć obu, co o nich myśli.

– Ale najgorsze przede mną. – Igor westchnął ciężko. – Moja matka czyta twoją gazetę i pewnie za moment zadzwoni.

Paulina uśmiechnęła się mimowolnie.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś o tym gównie?! – ze złością natarła na Piotra, jak tylko skończyła rozmawiać z Igorem.

– No przecież próbowałem. – Piotruś wzniósł oczy ku niebu. – Ale tu byli wszyscy akurat. Igor nas pozwie?

– Zastanawia się nad tym.

– Bardzo dobrze! – Piotr uśmiechnął się mściwie. – Sam bym nas pozwał. Napisaliśmy naprawdę najwredniejszą dla Igora relację. Ale wiesz co...

Piotr nagle umilkł, zagryzł wargi i spojrzał w bok, jakby coś rozważał.

– Mam pewien pomysł.

– Ty i te twoje pomysły!

– Ale posłuchaj...

\*

Miał wtedy już szesnaście lat. Po tym jak wrzucił grzałkę do szkolnego akwarium, a następnie stał spokojnie i obserwował, jak woda powoli się gotuje, a rybki wypływają jedna po drugiej na powierzchnię, technikum zażądało konsultacji psychiatrycznej. Został zawieszony, a Zygmunt ponownie użył swojej ciężkiej ręki. Gdyby wiedział, że to zupełnie nieskuteczne, to pewnie aż tak bardzo by się nie starał.

Kilka dni później znalazł się w smętnym pokoju poradni psychiatrycznej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego na Broniewskiego. Matka i Zygmunt zostali w poczekalni, a jego młoda stażystka, ubrana w zielony fartuch, zabrała do gabinetu lekarza.

– Zadam ci teraz kilka pytań. Chciałbym, żebyś odpowiedział na nie bez namysłu. – Lekarz uśmiechnął się i podniósł na chwilę wzrok znad karty pacjenta. – Powiedz po prostu to, co uważasz. – Kliknął długopisem i zawiesił dłoń nad pierwszym pytaniem z testu, który miał przed sobą.

– Czy obchodzą cię inni ludzie?

Spodziewał się czegoś w tym stylu, ale sądził, że najpierw padną pytania na temat zniszczonego akwarium. Oczywiście, że obchodzili go inni ludzie. W końcu jak na razie to matka i ojczym zapewniali mu dach nad głową i jedzenie. Byli przydatni, bez nich nie miałyby co jeść ani gdzie się podziać. Ale bez przesady. To nie tak, że czuł się lepszy od innych. Ale na przykład ta cała psychiatria. Czy któryś z głąbów z jego klasy w technikum wiedział, co to jest PCR? Ci debile interesowali się tylko nowym wydechem do swoich wyklepanych beemek trójek. Jak mogli się z nim równać? Nawet po minie lekarza zauważył, że chyba go teraz zaskoczył i mu zaimponował.

Skala obserwacyjna skłonności społecznych czy tam psychopatycznych opracowana według badań Roberta Hare'a w latach osiemdziesiątych. Przyswoił sobie cały ten psychiatryczny bełkot już jakiś czas temu i doskonale wiedział, do czego zmiierzają pytania tego konowała.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc, jak lekarz coś notuje w swoich papierach.

Godzinę później został sam na korytarzu. Siedział na drewnianej ławce i liczył kwadratowe płytki podłogowe. Najpierw po kolei, wzdłuż ściany, potem po trzy, dodając w pamięci. A na końcu starał się obejmować

wzrokiem od razu dziesiątki, postrzegając jedynie trójki i dwójki i łącząc je w piątki.

W tym czasie za zamkniętymi drzwiami gabinetu lekarz rozmawiał z matką i Zygmuntem, który zaciskał pięści.

Używał swojej ciężkiej ręki potem jeszcze wielokrotnie. Robił to dotąd, dokąd mógł. Ale to się w pewnym momencie zmieniło. Kilka lat później Zygmunt od nich odszedł.

Któregoś dnia zabrał swoje rzeczy i zniknął ze starego domu na skraju lasu.

## Rozdział 30

*WTEDY...*

*Lasy majątku Jakobsdorf,  
na północ od Szczecina*

**F**ranciszek Krasowski do Massow trafił spod Olsztyna. W czterdziestym pierwszym roku razem z matką i kilkoma jeszcze biedakami z ich wsi na Warmii. Przyjechał tutaj w bydłym wagonie najpierw do dużego miasta na zachodzie, a potem ciężarówkami przywieziono ich na folwark niedaleko Massow.

On i matka mieli tę przewagę nad innymi robotnikami przymusowymi, że dobrze znali niemiecki. Ale jak mieli nie znać? Pod Allenstein? Matkę przydzielono do pracy na polu, jego do magazynów przy folwarku. Franek, gdy trafił do Massow, miał piętnaście lat, ale już w tym młodym wieku miał fach w ręku. Przyuczał się jeszcze na Warmii, pokonując codziennie po kilkanaście kilometrów z ich wsi do Allenstein, żeby uczyć się zawodu elektryka. Rodzice byli z niego dumni, że taki zmyślny, a i o pracę z takimi kwalifikacjami nie byłoby trudno tam u nich.

Przydał się ten fach i tutaj.

Miejscowy bogaty bauer, gdy tylko zauważył, że chłopak potrafi każdą elektryczną instalację naprawić, a i na samochodach się zna, od razu zabrał go z pola, gdzie początkowo pracował, i posłał do pracy przy naprawach i konserwacji maszyn rolniczych.

Rok później z miejscowego zakładu elektrycznego odjechał na wojnę syn właściciela. I któregoś dnia Kurt Winkler, właściciel owego zakładu, zawitał pod Massow na folwark i ugadał się z bauerem, że Franka zabierze do warsztatu. Zakład w Massow był dużo większy niż ten w Allenstein, ale szybko i tutaj właściciel poznał się na Franku i zaczął powierzać mu coraz

poważniejsze zadania. Któregoś dnia stary Winkler dostał zlecenie naprawy pompy na folwarku w nieodległym majątku. Dzierżawca owego folwarczku należącego do większych włości von Wedłów, niejaki Moltke, znany był ze swojej organicznej wręcz nienawiści do Polaków. Do tego stopnia ich nie znosił, że nie tolerował ich nawet wśród robotników przymusowych, przyjmując za to Rosjan lub Białorusinów. Winkler nie miał już wtedy dobrego wzroku ani zdrowia w ogóle. Jeszcze przed wojną większość roboty wykonywał jego syn Hans. Uknuł więc mały spisek. Wyposażył Franka w papiery swojego syna, do którego Franek od biedy był nawet podobny, i kazał jechać do Wedłów naprawiać pompę. Spisek się powiódł, dzierżawca bardzo zadowolony z usług młodego Winklera, nawet nie podejrzewał, że na folwark przyjechał Polak spod Olsztyna.

Któregoś dnia pod zakładem zatrzymał się wojskowy samochód. Wsiadł z niego oficer i wszedł do biura Winklera. Przez następne dwa dni, a było to lato roku czterdziestego czwartego, stary Kurt chodził po warsztacie i dumał. I zamartwiał się czymś wyraźnie.

Trzeciego dnia zawołał do siebie Franka i wyłuszczył mu, w czym rzecz.

Na zachód od Massow, w dawnych lasach majątku Jakobsdorf, wojsko miało ogromny tajny zakład, nawet miejscowi nie wiedzieli, co w nim robią. Pracowało tam mnóstwo kobiet sprowadzanych ze Wschodu, których wciąż ubywało, a ciężarówki ze zwłokami co i rusz jechały do okolicznych lasów i wracały puste. W zakładach były windy towarowe obsługujące poziomy tamtejszych magazynów. Zepsuła się w nich instalacja elektryczna. No i trzeba było ją naprawić. Winkler przyjął zlecenie, bo strach było mu odmówić, ale nie był w stanie go wykonać.

Kilka dni później Franek, ponownie wyposażony w dokumenty syna Winklera, z duszą na ramieniu przekraczał bramę prowadzącą na teren zakładu. Strażnik długo patrzył to na zdjęcie, to na gębę Polaka, ale w końcu machnął ręką i go przepuścił.

Inny strażnik, z przewieszonym przez ramię karabinem, zaprowadził najpierw Franka do bunkra. Stalowe drzwi prowadziły do kilku pomieszczeń, a z nich inne stalowe drzwi wiodły w głąb budynku. Winda z ręcznie odsuwanymi zakratowanymi wrotami znajdowała się w sąsiedztwie przejścia do wielkiej hali, w której na drewnianych stołach



sterczały różne stalowe korpusy urządzeń, jak mu się wtedy wydawało. Winda zatrzymała się na samym dole i nie chciała ruszyć. Strażnik odsunął kratę i pokazał Frankowi drabinę, która prowadziła w dół szybu. Po ścianach wiły się grube wiązki kabli. Na niższe kondygnacje wiodły też betonowe schody, do których wejście zamykały jeszcze jedne stalowe wierzeje.

Gdy Franek zajrzał do szybu, zakręciło mu się w głowie. A potem przerażony spojrzął przez zakratowane okno na widoczne stamtąd niebo. Hala, w której się znajdowali wraz z pilnującymi go strażnikami, była przecież na poziomie terenu! Natomiast szyb sięgał w dół na co najmniej dwadzieścia metrów. Czegóż takiego Franek jeszcze nie widział.

Struchlały ze strachu, trzymając pod pachą wojskową latarkę, którą dali mu strażnicy, ruszył w dół po stalowej drabinie. Szyb miał może trzy metry szerokości. Wystarczająco dużo, żeby nieszczęsnemu elektrykowi napędzić niezłego stracha.

Nie pozwolili mu schodzić schodami, pewnie żeby za dużo nie zobaczył.

Przez zakratowane wrota na poszczególnych kondygnacjach widział fragmenty podziemnych pomieszczeń. Były ogromne, mogły mieć i po sto metrów długości i Franek czuł się, jakby schodził w głąb jakiegoś mrocznego królestwa podziemnych stworów, o których w dzieciństwie opowiadała mu matka.

Usterka, która zatrzymała windę, była prozaiczna. Przetarte kable – bo ich parciana powłoka w pewnym miejscu się wyrobiła – stykały się ze sobą, powodując spięcie. Franek uporał się z tym dość szybko, ale specjalnie przedłużał robotę, żeby dokładniej przyjrzeć się podziemnym kondygnacjom.

Wspinając się po drabinie po raz wtóry, zwrócił uwagę na leżące w głębi jednego z pomieszczeń ogromne obłe kształty, które wyglądały jak cielska martwych wielorybów.

Mimo że fortel starego Winklera się powiódł, Franek do fabryki nigdy potem już nie wrócił.

I tylko któregoś dnia pod koniec sierpnia widział, jak z zakładu wyjeżdżają wielkie ciężarówki z obstawą kilku wojskowych motocykli. Po szutrowej drodze za samochodami ciągnęły się tumany kurzu.

Pamiętał, że było to przed wieczorem. W głowie zostały mu długie cienie, które rzucały na drogę stare sosny.

## Rozdział 31

*wtorek 13 sierpnia*

Słońce, które wzeszło jakąś godzinę wcześniej, kładło się długimi refleksami na falach i zapowiadało kolejny upalny dzień. Wiał dość silny wiatr północno-wschodni, morze więc, mimo pięknego błękitu nieba i lazurowych fal dekorowanych białymi grzywami piany, było pobudzone i raczej niespokojne.

Na statku badawczym R.V. Viden panował już spory ruch. Marynarze uwijali się już od wschodu słońca, usiłując doprowadzić do porządku każdy kawałek pokładu przed spodziewanym w okolicach południa przylotem ważnych gości z Kopenhagi. Ruch też panował w brzuchu wielkiego czerwonoburtowego pływającego laboratorium. Wykonane w niedzielę zdjęcia dna, które przyniosły tak radosne, ale i niespodziewane efekty, spowodowały, że cała naukowa obsada statku była w szampańskim nastroju.

Gdy zatem koło godziny siódmej, a więc sporo za wcześnie jak na oficjalną delegację, na horyzoncie od strony zachodniej pojawił się malutki punkcik i powoli zaczął rosnać, wszyscy intuicyjnie poczuli niepokój.

Po chwili malutki punkcik urósł na tyle, że dało się w nim rozpoznać spory śmigłowiec morski Westland, który z głośnym warkotem dwóch potężnych silników Rolls-Royce'a zbliżał się do statku. Nad samym pokładem zrobił małe koło, lekko zataczając się na wietrze i po chwili osiadł na owalnej zielonej platformie lądowiska.

Śmigła wirowały jeszcze z głośnym hukiem, gdy otworzyły się boczne drzwi i na pokład zeskoczyła najpierw kobieta w jasnych spodniach i kolorowej koszuli, ze spiętymi na karku jasnymi włosami, a zaraz za nią kilku mężczyzn, wśród których jedynie dwóch było w mundurach.

Prawie jednocześnie na bocznym pokładzie na sterburcie pojawił się oficer nawigacyjny w towarzystwie dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn.

– Dzień dobry! – Kobieta uśmiechnęła się oficjalnie i wyciągnęła rękę do oficera. – Jette Kjaer. Policyjna Służba Wywiadowcza.

– Kapitan Vestergaard czeka na mostku. – Oficer przywitał się z wszystkimi po kolei i wskazał ręką kierunek.

– Profesor Solberg? – Kobieta spojrzała na siwego tęgiego mężczyznę, który wyciągnął rękę jako ostatni.

– W rzeczy samej. – Profesor poprawił okulary. – Proszę wybaczyć śmiałość, ale jakoś nikt z państwa nie wygląda mi na wiceministra kultury...

– Wizyta została odwołana, panie profesorze. – Kobieta się uśmiechnęła i przepuszczając przed sobą naukowca, ruszyła za oficerem. – Zaszły pewne niespodziewane okoliczności. Czy na pokładzie jest może pan Carley?

– Pandora jeszcze nie wypłynęła ze Szczecina – poinformował zmartwiony profesor. – Miał tam miejsce jakiś wypadek, trzy osoby z załogi są w szpitalu.

Kobieta wymieniła spojrzenia z idącym z tyłu potężnie zbudowanym mężczyzną po cywilnemu.

– Panie profesorze, proszę bez mojej wiedzy nie kontaktować się z Pandorą. Chcę wiedzieć o każdym telefonie od Johanna Carleya lub kogokolwiek z jachtu.

– Ale o co chodzi, na Boga? Czy coś się stało?

– Niestety, jesteśmy także zmuszeni prosić o możliwość przeszukania statku – tym razem policjantka zwróciła się do oficera.

Zaskoczony oficer uniósł lekko brwi, ale oczywiście wyraził zgodę.

– Jak powiedziałem, kapitan na państwa czeka.

Otworzył drzwi do wnętrza pokładu i przepuścił przodem funkcjonariuszkę.

– Proszę powiedzieć, co się dzieje. – Profesor zatrzymał się i spojrzał poirytowany na policjantów.

– Panie profesorze, proszę z nami. Zaraz postaram się wszystko wyjaśnić, na tyle, na ile mogę oczywiście.

Profesor Solberg westchnął i zniknął w drzwiach, a zaraz za nim reszta towarzyszących mu osób.

Igor zatrzymał się przed bramą szpitala i otworzył okno. Z parterowej budki strażniczej wyszedł starszy mężczyzna w czapce z daszkiem i z wiszącym na szyi identyfikatorem i podszedł do samochodu.

– Jedziemy po rodzinę. – Igor uśmiechnął się przyjaźnie.

– Parking dla odwiedzających jest od strony Unii Lubelskiej.

– Nie da rady! Nie dojdą sami taki kawał. – Igor pokręcił głową i pochylił się konspiracyjnie do portiera. – To z tego wypadku na diabelskim młynie.

– Uuu... – Strażnik otworzył szeroko oczy. – Dobra, niech pan jedzie! Ale zabrać pacjentów i z powrotem.

Szlaban podniósł się i toyota wjechała na teren szpitala.

Cała trójka siedziała w holu i co chwilę rzucała pełne nadziei i tęskne spojrzenia w stronę drzwi wejściowych. Gdy wreszcie Johann i Igor weszli do wnętrza, Dermot głośno odetchnął.

– Nareszcie! – Dźwignął się z ławki i sięgnął po torbę.

Pod koszulą miał widoczny bandaż. Rupert miał założony temblak. Wydawało się, że tylko Alice wyszła z katastrofy na karuzeli bez szwanku.

– Mam powtórzyć prześwietlenie, jak już będę w Londynie – wyjaśniła, widząc spojrzenie Igora.

– Musisz iść załatwić formalności. – Dermot skinął w stronę pokoju lekarzy dyżurnych. – Wypis, ubezpieczenie i takie tam. Lekarz coś tam chce, nie wiem, o co mu chodzi, pytał się, czy jesteś z rodziny. Mówią dobrze po angielsku. Igor nie musi ci pomagać. Może nas już stąd zabrać.

Johann kiwnął głową i ruszył we wskazanym kierunku.

Igor miał właśnie odebrać torbę od Dermota, gdy zadzwoniła jego komórka.

Przeprosił i odszedł na bok.

– Pawelczyk, dzień dobry – usłyszał niski głos kierownika budowy z Łasztowni. – Panie Igorze, dzwonię, bo dowiedziałem się właśnie, że jednak pan w Szczecinie jeszcze jest. Pana chłopaki chyba dziś już kończą, ale jeszcze taki kłopot będzie... Bo dzisiaj od konserwatora byli i chcą, żeby jakoś zinwentaryzować, kurwa, te większe resztki wygrzebane. Takie rzeczy wymyślają, że niepodobna.

– Z tego gruzu? – Igor jęknął, przypominając sobie fragmenty murowanych ścian, na których zachowały się resztki tynków i dekoracji.

– No właśnie.

– Dobra, zadzwonię do konserwatora i wyjaśnię. Pewnie chodzi o te resztki dekoracji...

– Zdradzę panu jeszcze, że chyba dodatkową robotę pan będzie miał. Słyszałem, jak Jarost gadał z tymi z Docklands.

– Jaką dodatkową robotę znowu?

– Kupują teren, właśnie się dogadują z miastem i będą potrzebować pewnie projektu odbudowy. To się odezwą do pana.

– Panie Bogdanie, ja tu jestem właśnie w szpitalu, może oddzwonię później.

– W szpitalu? Coś się stało?

– Nic się nie stało, odbieram przyjaciół. Wszystko w porządku.

– Na Unii? – Pawelczyk się ożywił. – Panie Igorze złoty. To mam prośbę. Niech pan tam podejdzie do kogoś i się zapyta o tych bandziorów.

Igor przez chwilę wpatrywał się w posadzkę.

– Jakich bandziorów, na miłość boską, panie Bogdanie?!

– No tych dwóch chłopaków od nas, których tam leczyli rzekomo. Oni cały czas mają L cztery i to już jeden kant jest. Niech pan zapyta, czy oni w ogóle tam byli, bo mam wątpliwości. Jak nie, to już ja się im do dupy...

– Ale nikt mi nic nie powie.

– Ale spróbuje pan chociaż. Jeden to Kałuża Marcin, a drugi Jacyna Krystian. Bandydzi.

– Dobrze, dobrze, spróbuję. – Igor wzniósł oczy do nieba, widząc zniecierpliwione spojrzenia Dermota.

– Dziękuję bardzo, to czekam na telefon. Co zrobić z tym głównym z gruzu, bo my nie wiemy, czy to w końcu wywozić, czy czekać, czy co. No i z tymi bandziorami...

Igor wsadził w końcu telefon do kieszeni i ruszył do markującego podrzynanie gardła Dermota.

Gdy wszyscy byli już na zewnątrz i cała trójka rekonwalescentów rozsiadła się we wnętrzu samochodu, Igor pomyślał, że skoro i tak Johann gada jeszcze z lekarzem dyżurnym albo załatwia sprawy związane z ubezpieczeniem, to on spróbuje jednak dotrzymać słowa danego Pawelczykowi.

Wszedł ponownie do holu i podszedł do informacji.

– Dzień dobry, czy mógłbym się dowiedzieć, czy byli tutaj na badaniach dwaj panowie?

– Pan jest z rodziny?

– Tak. – Igor skłamał bezczelnie, gotowy uciec biegiem, jeśli tylko siostra zaczęłaby się dopominać o dokumenty albo sprawy przybrały jakiś podobny obrót. Po dzisiejszych doniesieniach prasowych i tak mają go za bandziora. Jacyna. Jacyna Krystian nazywa się kuzyn. A jego kolega Kałuża.

– Kiedy pan mówi, że byli? – zapytała pielęgniarka, nie odrywając wzroku od monitora.

Igor pamiętał, że Pawelczyk dzwonił do niego w czwartek i to wtedy powiedział, że ci dwaj byli tutaj na badaniach jakichś czy coś.

– W czwartek, z tego, co wiem – odpowiedział niepewnie.

– Hmm. – Siostra przemknęła wzrokiem po ekranie. – Zgadza się, byli w czwartek na badaniu i założeniu opatrunku.

– Czyli wszystko w porządku. Wie pani, jak to jest, matka się bała, że jednak nie poszedł i coś kręci. – Igor się uśmiechnął i już chciał odejść.

– Mieli przyjść na kontrolę wczoraj. – Siostra podniosła wzrok i obrzuciła Igora podejrzliwym spojrzeniem. – I widzę tu, że byli i że zostali przyjęci na oddział chirurgii.

– Przyjęci? – Igor spojrzał ze zdziwieniem, wychodząc na chwilę z roli nieco ograniczonego kuzyna bandziora Jacyny. – Zostali w szpitalu?

– No tak tu widzę. Pewnie się jakieś zakażenie wdało. – Siostra poprawiła okulary. – Więcej jak chce się pan dowiedzieć, to trzeba do lekarza prowadzącego, ale tam to tylko najbliższa rodzina.

– Tak, tak – powiedział Igor. – Dziękuję, ja tylko chciałem się upewnić. Jestem kuzynem i chciałem tylko przekazać rodzinie, że wszystko w porządku, dziękuję pani bardzo.

Uśmiechnął się znowu i szybko poszedł w kierunku wyjścia.

Morten, którego zaprzęgnięto do sprzątania ładowni, przestawiał właśnie butle z gazem do nurkowania, żeby zrobić sobie więcej miejsca na rozłożenie plandeki i staranne jej zrolowanie. Miał za zadanie porządnie oczyścić i posprawdzać wszystkie pontony. Po ostatnim używaniu były całe utyłane w piasku i pozostałościach piany. Przy okazji sprawdzał poziom napełnienia i szczelność każdej butli. Robił to po raz kolejny, ale kapitan Zetlers miał prawdziwego fioła na tym punkcie, a i on sam zresztą także.

Prawdę powiedziawszy, nie było za wiele do roboty na jachcie. Kuchnią i kabinami zajmowali się Patrick i Harry. Jego zadaniem miała być właściwie robota na morzu, nurkowanie, przygotowywanie sprzętu i tak dalej, ale oczywiście, nie wzbraniał się przy pomocy nawet w kuchni, jeśli tylko go o to poproszono. W zasadzie to cieszył się, że ma zajęcie.

Wykonując manualne czynności, przy których nie musiał specjalnie angażować umysłu, wciąż był myślami przy diabelskim młynie.

Gdy stał tam pod tym ogromnym kołem i podbiegła do niego ta dziewczyna, to oniemiał. Czuł się jak w pierwszym rzędzie w kinie na filmie katastroficznym. Nad jego głową praktycznie ważyły się losy kilkorga ludzi, wokół uwijali się strażacy i policja. No i wszyscy ci ludzie, rozentuzjasmowani i skupieni na kręceniu filmików komórkami, szczęśliwi, jakby wygrali los na loterii, mogą napawać się tym widokiem.



Cyniczne, ale spotkał się z tym wielokrotnie. Ostatnie lata w Kopenhadze to był ciąg zamachów bombowych, którymi żyły potem prasa i internet. Wszyscy prześcigali się w podawaniu informacji w jak najbarwniejszy sposób, tytuły waliły po oczach czcionką na pół strony. Nienawidził dziennikarzy, tych hien kręcących się dookoła z wyszczerzonymi zębami, żeby tylko uszczknąć jakiś krwisty kawałek.

Gdy to wszystko zaczęło się dziać, był akurat na miejscu. Poszedł po prostu za Johannem i jego przyjaciółmi. Ot tak, z nudów. Stanął w tłumie i patrzył, jak śmiejąc się i przekomarzając, pakują się do gondoli.

Jego takie rzeczy w ogóle nie bawiły. Nie dlatego, że miał lęk wysokości czy problemy z błędnikiem. Nic z tych rzeczy. Po prostu znajdując się w takich sytuacjach, miał wrażenie, że nad niczym nie panuje, nie ma kontroli. Jakiś cieć włącza guzik, a potem czy tego chcesz, czy nie, musisz dać się wozić dookoła jak mała. I wszyscy się na ciebie gapią. Za dużo tego miał w swoim życiu na co dzień, żeby jeszcze godzić się z tym w takich miejscach.

Gdy rozległ się pierwszy wybuch, замуrowało go. Ale na szczęście nie trwało to długo. Miał wielką wprawę w patrzeniu na wszystko z boku i na szybkim dostosowywaniu się do okoliczności. Dzięki temu na ogół widział więcej niż inni.

Ale teraz wyciągając na środek ładowni następny ponton, myślał o konsekwencjach.

W końcu przecież nastąpią. Teraz to był taki krótki urlop od życia.

Niedługo czas będzie do niego wrócić.

Johann, dzierżąc w dłoniach plik dokumentów, wyszedł w końcu ze szpitala i wsiadł do samochodu.

– Musiałem te sprawy z ubezpieczeniem pozałatwiać. I to nie chodziło o rodzinę, tylko o to, że jesteście teoretycznie załogą na moim statku. Wprawdzie można było... ale, ech, nie chce mi się o tym rozmawiać. Pewnie Jamie będzie się czepiał, że wszystko jest źle i nam nie zrefundują.

– Pieprzyć refundację! – wypalił zniecierpliwiony Dermot. – Jedźmy już stąd! Siedzimy tu całe czterdzieści minut.

Igor zamknął drzwi i uruchomił samochód. Toyota wytoczyła się z parkingu i zaczęła powoli manewrować w kierunku bramy wyjazdowej.

– W międzyczasie zadzwonił do mnie profesor Solberg. – Johann westchnął ciężko. – Mam złe wieści.

– No nie! – Alice pochyliła się nad oparciem fotela. – Okazało się, że to nie wrak Eryka?

– Tylko mi nie mów, że to prawda! – Dermot dźwignął się z tylnej kanapy, ale prawie od razu jęknął i oparł się z powrotem.

– Nie chodzi o to. – Johann się odwrócił. – Dzisiaj miała przylecieć tam delegacja państwowa, w ogóle to, pomijając wszystko inne, beznadziejnie byłoby, gdyby nas tam nie było, ale wszystko się skomplikowało.

– Jezu! – Dermot wznosił oczy do nieba. – Zawsze to samo.

– Podobno Polska wniosła jakąś notę protestacyjną i zażądała wyjaśnień w kwestii prawdziwych celów badań. Dopóki tego nie wyjaśnią, to nie możemy nic robić przy wraku.

Cała czwórka z dziwnymi wyrazami twarzy przez moment patrzyła na Igora.

– I co? To ja niby jestem winny? – Igor pomachał portierowi i wyjechał na ulicę przed szpitalem. – To pewnie ta nieuregulowana pomiędzy Danią a Polską sprawa wyłącznej strefy ekonomicznej wód wokół Bornholmu.

– Tak czy siak, jesteśmy w czarnej dupie. – Johann trzasnął papierami o deskę rozdzielczą. – Solberg był strasznie osowiały, ale wcale mu się nie dziwię.

– A jak długo to może potrwać? – Alice wychyliła się pomiędzy przednimi siedzeniami. – Przecież Dania jest chyba świadoma tego, że każda godzina przebywania statku badawczego na Bałtyku to ogromne pieniądze.

– Solberg nic nie potrafi powiedzieć. Obiecał, że odezwie się natychmiast, jak będzie coś wiedział.

– Dzwonię do stryja! – Dermot zaczął grzebać w kieszeniach, głośno postępując z bólu.

– Zostaw! Zadzwonimy, jak będziemy na jachcie. Zastanowimy się, czy nie napuścić mojego ojca i twojego stryja na administrację królowej. W końcu mamy przecież formalną umowę z Danią. Mogli przewidzieć, że będą problemy z Polską, to nie nasza sprawa.

Samochód wyjechał na aleję Wojska Polskiego i zaczął się przedzierać w kierunku centrum. Wszyscy byli w marnych humorach.

Paulina, mimo że właśnie trwał drugi dzień jej urlopu, postanowiła przyjść do redakcji. Miała cichą nadzieję, że uda jej się jakoś dyskretnie dogadać z Marcinem i przesunąć ten urlop o kilka dni. Wprawdzie Alice, Dermot i Rupert właśnie wyszli ze szpitala, ale z tego, co przed chwilą usłyszała od Johanna, można było wnioskować, że nie wypłyną ze Szczecina i do piątku nawet. Pomijając wszystko inne, co za koszmarny pech.

Jakieś prawdziwe fatum. Niedaleko Bornholmu czekał na nich wrak okrętu Eryka Pomorskiego, a oni ugrzęźli w tym mieście na amen.

Gdy weszła do redakcji, od razu się zorientowała, że wkroczyła właśnie w sam środek jakiejś ożywionej dyskusji.

– A jak inaczej nazwałabyś wariata, który w imię jakichś bzdur na temat naturalnego środowiska podkłada bombę pod blok mieszkalny? – Ulka, z rękami założonymi na piersiach, stała oparta o swoje biurko i wpatrywała się w Baśkę.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówiła dalej.

– Obląkaniec, podszywając się pod jakąś wymyśloną organizację Brygada Wschód, wysadza w powietrze budynek. Tylko przez przypadek nikt tam nie zginął – perorowała. – Jak inaczej można go nazwać, jeśli nie ekoterrorystą?

Baśka przez chwilę patrzyła na nią powątpiewająco, po czym sięgnęła po swój laptop.

– I to z tego powodu napisałaś wtedy, cytuję: „W dobie coraz większego radykalizowania się rozmaitych pseudoaktywistów miejskich, podważania porządku społecznego, walki z podstawowymi wartościami pod pretekstem ochrony środowiska, mącenia w głowie młodzieży, która, nieświadoma niebezpieczeństw płynących z takich ideologii, daje się wmanewrować

w strajki klimatyczne, należy pamiętać, że Frakcja Czerwonej Armii też na początku była niegroźną organizacją lewicową walczącą z niesprawiedliwością społeczną, a skończyło się na międzynarodowym ekoterroryzmie i wysadzeniu w powietrze budynków rządowych...”.

– Taka jest moja opinia. – Ulka, czerwona na twarzy, świadoma tego, że już cała redakcja przysłuchuje się ich rozmowie, wpatrywała się w Baśkę ze złością.

– Zdajesz sobie sprawę, że stoisz teraz po tej samej stronie co bandziory, które wybijają właśnie szyby w tureckich i wegańskich knajpach? – Baśka patrzyła na Ulkę z wystudiowanym spokojem. – Policja przesłuchuje miejskich aktywistów, a ty dalej bredzisz o ekoterrorystach.

– Zamachowiec w swoim drugim mailu posłużył się cytatem z manifestu Brentona Tarranta, ekofaszysty i zwolennika eksterminacji ludzi w imię ochrony środowiska! To ty jesteś ślepa, że nie dostrzegasz, o co mu chodzi.

– Jakiego ekofaszysty? Cytujesz polską nacjonalistyczną stronkę i jej bzdurne poprzekręcane psychopatyczne interpretacje jego manifestu. – Baska wściekle prychnęła. – Natomiast celowo pomijasz albo po prostu nie masz na ten temat żadnej wiedzy, że Tarrant tuż przed zamachem był w kontakcie z austriackimi politykami stojącymi za neonazistowskimi atakami na synagogi i będącymi organizatorami nabożeństw żałobnych dla Wehrmachtu. Umknęło ci także, że Tarrant przed zamachem w Nowej Zelandii był w Polsce. Rzekomo zwiedzał krzyżackie zamki, ale jest oczywiste, że kontaktował się z polskimi nacjonalistami. Dokładnie tymi, którzy stoją za portalami, z których czerpiesz swoją wiedzę.

Ulka, zbita z tropu, na moment straciła rezon.

– A co to ma do rzeczy?! – odezwała się w końcu. – Heiland użył akurat tego fragmentu, który dotyczy ochrony środowiska...

– Który dotyczy mordowania obcokrajowców, a nie ochrony środowiska.

– Zginęło pięcioro ludzi! – Ulka podniosła głos i machnęła ręką w stronę okien, za którymi widać było Odrę i bulwary. – A po katastrofie w porcie jeden robotnik zmarł w szpitalu! A ty mi tu wyjeżdżasz ze swoim liberalizmem w stosunku do uchodźców!

– Heiland nawołuje do zabijania uchodźców, a ty beztrąsko zrucasz winę na liberałów i zielonych.

– Co? Nic takiego nie powiedziałam. Ale jeśli ktoś nawołuje do zabijania w imię ochrony środowiska, to jest ekoterrorystą, czy ci się to podoba, czy nie.

– Atakując zielonych, aktywistów i Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, robisz dokładnie to, czego on chce! Nie zauważyłaś, że stałaś się narzędziem? Realizujesz właśnie jego scenariusz.

Baśka chwyciła swój laptop i przesunęła go tak, żeby Ulka widziała ekran, na którym widać było rozbitą szybę i porzucane po chodniku fragmenty dekoracji wystawy.

– Właśnie ktoś rozwalił kolejną witrynę. Tym razem w ukraińskiej piekarni.

Paulina, która tak jak wszyscy w redakcji przysłuchiwała się rozmowie, drgnęła.

Czy przypadkiem Baśka nie dotknęła właśnie istoty tych zamachów?

Heiland do tej pory nie postawił żadnych żądań, żadnych warunków. Więc albo dopiero miał zamiar to zrobić, albo jego celem było po prostu wywołanie zamieszania. Dokładnie coś takiego opisał przecież w swoim manifestie Tarrant.

Paulina sięgnęła po laptop i otworzyła przeglądarkę.

Po chwili wpatrywała się w artykuł na jednym z internetowych portali, gdzie cytowano fragmenty manifestu australijskiego zamachowca.

„...aby stworzyć atmosferę strachu i zmiany, w której mogą wystąpić drastyczne, potężne i rewolucyjne działania... aby wywołać konflikt między dwiema ideologiami... w celu wspierania społecznych, kulturowych, politycznych i rasowych podziałów...”

– Akurat porównanie idei Młodzieżowego Strajku Klimatycznego do działań Heilanda to nie moja zasługa. – Ulka cały czas kłóciła się z Baśką. – To Piotr wymyślił. „Dosyć słów, teraz czyny”. – Posłała złośliwy uśmiech w stronę Pauliny i Piotra.

– A skąd ona wie, że ty to wyciągnęłaś? – Paulina spojrzała pytająco na Piotra.

– Mam zwyczaj notowania sobie wszystkiego, o tutaj. – Piotr pokazał kilka leżących obok monitora kartek. – Pewnie przeczytała.

– Dobrze wiesz, że chodzi o kontekst – stwierdziła Baśka z niechęcią.

– Czyli jak tego typu porównania robi gej, to jest dobrze, a jak praktykująca katoliczka, to znaczy, że to nazizm – zakpiła Ulka, ponownie spoglądając z niechęcią w stronę Pauliny i siedzącego do niej tyłem Piotra.

Piotr nie odwracając się, wykrzywił się do Pauliny, przedrzeźniając Matecką.

Paulina nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

– Tak cię to śmieszy? – Ulka rzuciła jej wściekłe spojrzenie. – Nie będzie ci do śmiechu, jak policja zacznie przepytować tego twojego faceta.

Paulina podniosła głowę i spojrzała na Ulkę wzrokiem, którego lodowate zimno mogłoby w kilka sekund zamrozić wodę w szklance.

– Martw się o siebie. A co do Piotra, to co innego coś tylko rozważać, a co innego, dla taniego rozgłosu, napisać o tym w artykule.

– Taniego rozgłosu! – Ulka była oburzona. – I to mówi ktoś, kto od początku tej historii z Heilandem usiłuje mi zaszkodzić po to tylko, żeby wypromować siebie. Jesteś wściekła, bo nowa naczelna nie daje się nabierać na słodkie oczy i nie pozwala ci robić tego, co zechcesz.

– Chyba się nieco zapominasz – odezwała się Baśka ostrożnie.

– Ja? – Ulka uśmiechnęła się drwiąco. – A co powiesz na to, że ona – wskazała wzrokiem Paulinę – znała rozwiązanie tego szyfru już tydzień temu?

– Co takiego? – Paulina popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Zdradziłaś się przez przypadek. W środę, nie pamiętasz już? Podeszłaś do mnie z tymi kartkami z portu, które przyniósł majster z budowy, i pochwaliłaś się, oczywiście w swoim stylu... „A co znaczy ten szyfr, to cię nie ciekawi? Nie chciałabyś się dowiedzieć?” – Ulka wyrecytowała nosowym głosem, który miał imitować ton Pauliny. – A jak zapytałam, o co ci chodzi, to odpowiedziałas z przekąsem, że przecież macie się tym nie zajmować.

– Tobie chyba odbiło całkiem!

– Mam w dupie to, co sobie myślisz na mój temat, ale przez twoją chorą ambicję zginęło pięć osób! Gdybyś wtedy zdradziła, że wiesz, co ten szyfr oznacza, to może dałoby się powstrzymać Heilanda. To dlatego w ostatniej chwili poszłaś na policję i nagle, ni stąd, ni zowąd, znaleźliście się pod diabelskim młynem! Przestraszyłaś się konsekwencji?!

Paulina otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w mściwie uśmiechniętą Ulkę.

W redakcji zapadła kompletna cisza.

– Jeszcze w piątek próbowałaś negocjować z Julią! Chciałaś, żeby pozwoliła ci napisać tekst na ten temat, ale celowo nie zdradziłaś, o co chodzi, a gdy cię olała, to poszłaś do konkurencji. Gdybyś w środę ujawniła znaczenie tych liczb, to policja mogłaby zablokować diabelski młyn!

– Pierdolisz głupoty! – warknął Piotr. – Gdyby Paulina tydzień temu wiedziała coś na temat szyfru, to poszłaby z tym do Przeworskiej od razu. Nie mówiąc o policji.

– Nie poszła, bo dostała opierdol za wpięprzanie się w nie swoje sprawy!

– To poważne oskarżenia. – Baśka wbiła wzrok w Ulkę.

– Oczywiście! – jadowicie powiedziała Ulka. – A dodatkowo przekazanie newsów za plecami dziennika innemu portalowi to ewidentnie działanie na szkodę gazety.

Paulina wpatrywała się w Ulkę z kompletnym zamętem w głowie.

Kiedy ten konflikt osiągnął takie rozmiary? Kiedy zdołały się tak do siebie zniechęcić? Do tego stopnia, że doszło do czegoś takiego? Czy zupełnie nie zauważyła, jak wyrósł pomiędzy nimi mur uprzedzeń. I co było tego powodem? Przecież nie łączyła ich żadna bliska znajomość, nie miały właściwie między sobą żadnych zatargów. Czy winne były ich odmienne poglądy? Faktycznie, nigdy nie miała oporów przed tym, żeby głośno mówić, co myśli. Wyklócała się z Pawłem, to on przecież zawsze zarzucał jej lewackie poglądy i wojujący feminizm, oczywiście przesadzając, ale koniec końców, jakoś się dogadywali. A Ulka z tą swoją religijnością, tymi swoimi przekonaniem... Czy to możliwe, że w międzyczasie relacje między nimi dwiema stały się niczym miniatura

sytuacji w kraju? Zapadła się pomiędzy nimi ziemia, tworząc przepaść. Kto za to odpowiadał?

Miała oczywiście świadomość, że zarzuty Ulki w tym wszystkim były najmniej ważne. Kompletnie bzdurne, chociaż po wzroku niektórych kolegów, którzy dyskretnie jej się przypatrywali, możliwe, że i przekonujące. A najgorsze, że Ulka chyba naprawdę w to wierzyła. I raczej żadne racjonalne tłumaczenie czy argumenty nie mogłyby jej przekonać.

– To chyba dobry moment na rozmowę – usłyszała nagle od strony drzwi głos Przeworskiej.

Naczelną wskazała głową swój aneks i nie czekając na nią, weszła do środka.

Powrót na pokład Pandory odbył się w minorowym nastroju. Gwen i Jamie, którzy, nieświadomi ostatnich doniesień, witali ich roześmiani na najniższym pokładzie, złożyli to na karb stanu zdrowia i ogólnego samopoczucia trojga poszkodowanych. Johann wtajemniczył Gwen i Jamiego w ustalenia z Solbergiem dopiero wtedy, gdy wszyscy rozsiedli się na najwyższym pokładzie, a Dermot z ulgą położył się na sofie nad basenem.

– Musimy w takim razie rozważyć, czy zostajemy tutaj, czy płyniemy. – Gwen, zniechęcona, oparła się i założyła ręce na piersiach. – Nawet pomijając to, że tu się zrobiło niebezpiecznie.

– A jeśli to potrwa dłużej niż tydzień? Co będziemy robić na środku Bałtyku? – Rupert zdjął temblak i położył rękę na kolanach.

– Zwłaszcza że zapowiadają zmianę pogody i sztormy – odezwał się Jamie. – Będziemy zamknięci w tej puszce. Tutaj przynajmniej możemy gdzieś pojechać na przykład.

– Na przykład gdzie? – W głosie Dermota nie było entuzjazmu. – Poza tym to ty pierwszy zawsze torpedowałeś każdą propozycję zwiedzania czegokolwiek.

– To najlepszy przykład, jak tak inteligentny człowiek jak ja potrafi się dostosować do zmieniających się okoliczności.



- Do dupy, nie do okoliczności.
- Powinni ci obandażować cały łeb, tobyśmy odpoczęli trochę.
- Nurkować nie będziemy mogli, bo nie mamy składu nawet na jeden zespół – powiedziała Gwen, tradycyjnie ignorując utarczki obu panów, i westchnęła. – Ja z Johannem i Jamiem się potopimy. To znaczy Johann, zamiast robić coś sensownego, będzie musiał nas pilnować.
- Nurkować do wraku nie możemy – przypomniał Johann. – Więc nawet to odpada.
- Dzwonię do stryja w takim razie – burknął Dermot i zaczął się ostrożnie podnosić. – Może on się czegoś dowie.

Igor przypomniał sobie sir Williama Carmondeleya, siwego nobliwego pana, właściciela londyńskiej kancelarii Carmondeley & Chatfield Ltd., która reprezentowała ich spółkę przed Danią. Spotkał stryja Dermota tylko kilka razy podczas tych wszystkich formalności przy organizacji rejsu, ale był pewien, że nigdy nie chciałby być jego wrogiem. Tylko że jeśli to Polska wniosła rzeczywiście jakiś sprzeciw, to można było się spodziewać, że żadne racjonalne działanie nie odniesie skutku.

Dermot wreszcie się podniósł i odszedł na koniec zewnętrznego pokładu, gdzie stał teraz, oparty o reling, i przyglądając się ludziom na bulwarach, prowadził z kimś ożywioną rozmowę.

Piotr patrzył, jak Paulina wchodzi do aneksu Przeworskiej i siada w fotelu przy jej biurku. Miał złe przeczucia.

Rozejrzał się po sali. Przybycie naczelnicy jak nożem uciął skończyło ożywioną dyskusję, która jeszcze przed chwilą toczyła się w redakcji. Baśka skupiła się nad swoją robotą i tylko widział, jak rzuca zaniepokojone spojrzenia w kierunku szklanej przegrody oddzielającej główną salę od aneksu.

Jedynie Ulka spokojnie wzięła swój kubek i przedfilowała przez całą salę do kuchni, żeby zrobić sobie kolejną kawę. Gdy wracała równie niespiesznym krokiem, zadzwonił telefon Piotra.

– Cześć, Aga – rzucił przyciszonym głosem, słysząc wesołe powitanie koleżanki, doktorantki z wydziału biotechnologii na ZUT[6]. – Mam tu

trochę roboty...

– Nie zabiorę ci dużo czasu, ale to powinno cię zainteresować.

Piotr odsunął się z fotelem pod samo okno.

– No mów, tylko szybko, bo nasza naczelna urządza tutaj polowanie na czarownice.

– Ketmia, hibiskus. À propos kwiatów tego zamachowca, które mi dałeś do zbadania. – Aga odczekała chwilę, jakby pozwalając Piotrowi przypomnieć sobie fakty. – Podejrzewam, że to nie jest jakieś wybitne odkrycie i pewnie policja już dawno to sprawdziła, ale ty pewnie nic o tym nie wiesz, więc pomyślałam...

– Aga... – Piotr syknął. – Nie barokizuj, tylko mów, o co chodzi.

– Sprawdziłam kilka lokalnych dużych sklepów i hurtowni. Przez ciekawość po prostu – dodała Aga usprawiedliwiająco. – W zasadzie to nie ma ich aż tak dużo.

– No i?

– W każdej oferują hibiskusy oczywiście. I to wszędzie teraz mają różne odmiany i kolory. Sierpień, najlepszy okres na sadzenie ketmii, zatem nic dziwnego. Więc teoretycznie ten wasz Heiland mógł wszędzie kupić spore sadzonki, ale to byłoby bezsensowne, bo przecież by go łatwo nakryli...

Piotr spojrzał w kierunku aneksu naczelnej i akurat zobaczył, jak Przeworska i Paulina ostro się kłócą. Paulina wyglądała na wzburzoną.

– Ja, pracując na tej biotechnologii, nie wzbudzałam nigdzie podejrzeń, więc mogłam swobodnie pytać... – Piotr słuchał Agi jednym uchem, konstatując, że koleżanka chyba odkryła w sobie żyłkę detektywistyczną.

– No więc trafiłam na sklep o nazwie Różany Ogród w Zdrojach...

Piotr, coraz bardziej zaniepokojony, śledził to, co się działo w gabinecie Przeworskiej.

– No i dowiedziałam się, że ten sklep splajtował, zamknęli go na początku lipca. Właściciel terenu, tam stoją takie dwa spore namioty i jeden blaszany barak, wziął od nich sporo roślin w rozliczeniu, bo nie mogli mu zapłacić nawet za wynajem...

Ulka uśmiechnęła się do siebie, widząc, jak Paulina peroruje o czymś Przeworskiej. Piotr miał ochotę pójść i zrzucić z biurka cały jej śmietnik z czerwonym laptopem włącznie.

– No i ten teren, uważaj, z całą partią hibiskusa, którą oni planowali sprzedać w sierpniu, ktoś wynajął. Pewna spółka budowlana...

Piotr skupiony na tym, co działo się u naczelnej, nie od razu zorientował się, że Aga skończyła mówić i czeka na jego reakcję.

– No i co z tego wynika? – spytał bezrefleksyjnie. – Pewnie opchnęli rodzinom za pół ceny albo...

Paulina uderzyła ręką w biurko Przeworskiej i energicznie gestykulując, coś jej ze złością tłumaczyła.

Intuicja Piotra podpowiadała mu, że nic dobrego z tej rozmowy nie wyniknie.

– Zadzwoiłam do właściciela terenu, pod pretekstem, że niby prowadzę badania nad procentowym udziałem roślin zimozielonych w ofercie handlowej i zbieram dane statystyczne. – Aga zachichotała. – No i dał mi namiary na tego nowego najemcę. Wprowadzili się tam piątego lipca...

Piotr złapał się na tym, że nie słucha koleżanki, tylko wpatruje się w szklane przepierzenie.

– Aga, przepraszam, ja do ciebie oddzwonię potem. Szykuje się tutaj jakaś kurewska awantura. Oddzwonię, pa, pa.

Nie czekając na reakcję Agi, odłożył komórkę na stół i skupił się na dalszym śledzeniu wydarzeń w aneksie naczelnej.

Paulina wpatrywała się w naczelną z niedowierzaniem. Wysłuchała przed chwilą zarzutów Przeworskiej, że kolejny raz naraziła dobre imię gazety i że przez jej ambicje Matecka, która niepotrzebnie prowadziła relację sprzed ruiny na Bulwarze Gdańskim, została postawiona w złym świetle.

– Zataiła pani przed gazetą ważne informacje – mówiła Przeworska automatycznym głosem wykluczającym możliwość jakiegokolwiek porozumienia czy nawet rozmowy.

Paulina miała wrażenie, że naczelna ufortyfikowała się właśnie w swojej linii ataku i nie zamierza ustąpić ani na jotę.

– Nie mnie jest osądzać, kiedy weszła pani w posiadanie informacji na temat znaczenia tego szyfru, tym zajmie się policja. Ja natomiast rozliczam panią właśnie z karygodnego zaniedbania względem gazety.

– Pani jest obecnie naczelną! – Paulinie udało się wstrzelić w słowotok Przeworskiej. – Stwierdzenie, że to nie pani rola mnie osądzać, w sytuacji, w której pani protegowana zrobiła to publicznie, w obecności co najmniej dziesięciu świadków, w tym pani, jest paradne. Nie zareagowała pani ani nie skomentowała tego! A to jest pomówienie. Artykuł dwieście dwunasty kodeksu karnego.

– Pani Weber. – Przeworska zacisnęła usta. – W tej kwestii może pani dochodzić swoich praw przed sądem. Ja, jako naczelna gazety, stwierdzam, że dopuściła się pani ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków, w tym obowiązku dbania o dobro miejsca pracy oraz zasad współżycia społecznego. Proszę nie przerywać!

Przeworska, widząc, że Paulina ponownie chce coś powiedzieć, podniosła głos.

– Mimo moich dwukrotnych upomnień w dalszym ciągu zajmowała się pani tematem, który należał do pani Mateckiej. Ponadto w momencie, gdy otrzymała pani ważną, z punktu widzenia tematu, którym zajmowała się pani Matecka, informację, celowo wprowadziła mnie pani w błąd, a następnie przygotowała artykuł na ten temat dla konkurencyjnego portalu...

– Wprowadziłam panią w błąd?! – Paulina przerwała naczelnej. – Przecież przyszedłam do pani z Baśką z tym materiałem! Odmówiła pani jego publikacji, żeby nie narażać na śmieszność gazety! To są pani słowa! Przy świadkach!

– Powiedziała mi pani jedynie o grze komputerowej...

– O tym, że dwa rzędy znaków to cyfry! A to był szyfr skopiowany z gry!

– Proszę pani...

– To pani podjęła decyzję, żeby tego nie publikować! Ponadto w piątek, gdy odgadliśmy, że to współrzędne geodezyjne i że chodzi o diabelski młyn, przysłałam do redakcji rysunki wraz z tekstem newsa! Także odmówiła pani publikacji!

– W piątek – Przeworska przymknęła oczy, jakby nie przyjmując do wiadomości tłumaczeń Pauliny – oddaliła się pani samowolnie z redakcji, bez jakiegokolwiek usprawiedliwienia i nie informując mnie o niczym. Nie wróciła pani do pracy do końca dnia!

– Przecież przysłałam pani absolutnie sensacyjny news! Ważniejsze jest to, że siedzę na dupie pod oknem czy to, że dostarczam informacji?!

– Dopóki ja jestem naczelną, to ja o tym decyduję!

– Pani tylko pełni obowiązki naczelnej, o ile mi wiadomo...

Przeworska spojrzała na Paulinę lodowatym wzrokiem.

– Z wszystkimi wynikającymi z tego tytułu uprawnieniami. I dlatego informuje panią niniejszym, że ze względu na rażące niedopełnienie obowiązków służbowych zwalniam panią w trybie natychmiastowym!

## Rozdział 32

**Z**dezorientowany Piotr obserwował, jak Paulina bez słowa odpina laptop od monitora, wygrzebuje swoje szpargały z szuflady i wrzuca je do torby.

– Co jest? – zapytał pełen najgorszych przeczuć.

Baśka najpierw dyskretnie obserwowała, jak Paulina wychodzi z aneksu naczelnej, potem przez moment patrzyła na siedzącą za szklaną ścianą Przeworską. Teraz wstała i podeszła do ich zagródki przy oknie.

– Co się dzieje? – zapytała.

Paulina ukucnęła i wyjęła z najniższej szuflady kilka starych notatników i niemodny tablet, który niedawno zastąpiła nowym.

– Zostałam zwolniona – wypaliła.

– Co? – Piotr otworzył szeroko oczy i pochylił się nad swoim biurkiem.  
– Żartujesz? Może ją źle zrozumiałaś?

– Piotr... – Paulina rzuciła mu takie spojrzenie, że skulił się nad swoją klawiaturą.

– Przecież to nonsens! – Baśka się wściekła. – Gównu ci może zrobić. Masz trzy miesiące okresu wypowiedzenia. Do tego czasu wróci Paweł i wszystko odkręci.

– Zwolniła mnie za rażące naruszenie obowiązków.

Baśka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamarła, gdy dotarło do niej, co usłyszała.

– Szczecin & LeftSide? – westchnęła i pokiwała smutno głową. – Przepraszam, że to powiem, ale tak myślałam, że wynikną z tego kłopoty.

– To całkiem fajny portal. – Paulina wyjęła z kontaktu ładowarkę do telefonu i wrzuciła ją do torby.

– Jeśli zdecydujesz się odwoływać albo coś w tym rodzaju – Baśka pochyliła się nad biurkiem – to ja oczywiście doskonale pamiętam, że przysłaś z tym materiałem do niej.

– Ja także – dorzucił szybko Piotr.

– Dzięki, ale to nie będzie potrzebne. – Paulina zamknęła torbę. – Dobrze, że zabrałam dzisiaj ten duży worek. – Uśmiechnęła się do Piotra i założyła na ramię torbę z laptopem.

Odwróciła się i obrzuciła spojrzeniem salę redakcji.

Ulka pochyłona nad klawiaturą w niezwykłym skupieniu coś pisała.

– Zobaczymy się chyba wieczorem? – Spojrzała na Piotra, który smętnie przytaknął.

– Będziemy w kontakcie – rzuciła do Baśki i ruszyła szybkim krokiem do wyjścia.

Piotr i Baśka stali przez chwilę, patrząc na siebie niepewnie.

– Nie przejmuj się! – Baśka uśmiechnęła się do Piotra. – Przecież Paweł wróci za dwa miesiące i zrobi porządek. W ogóle to...

– Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

Oboje prawie podskoczyli, słysząc głos naczelnej.

Przeworska popatrzyła wymownie na Baśkę, która rzuciła Piotrowi porozumiewawcze spojrzenie i odeszła do swojego biurka.

– Piotr... – O dziwo, naczelna się uśmiechnęła. – Pamiętasz, że mamy te dwa intratne artykuły sponsorowane na czwartek? Zwłaszcza ten paramedyczny. Oba są dobrze płatne, ale ten ze środkiem nawilżającym jest o tyle ważny, że firma, która nam to zleciła, ma w sobotę konferencję promocyjną w Radisson Blu. To ważne, żeby artykuł poszedł w czwartek.

– Już są właściwie gotowe – powiedział Piotr. – Miałem tylko dać do przejrzania Pau...

– Wyślij to do mnie, sama przejrzę. – Przeworska chciała odejść, ale nagle odwróciła się i spojrzała na Piotra z namysłem.

– Podejdź do mnie potem, to uregulujemy umowy o dzieło za te teksty, bo jak zwykle nie było czasu.

Piotr patrzył, jak naczelna defiluje przez całą salę i wchodzi do swojego aneksu.

Spojrzał na zegar na głównej ścianie redakcji. Dochodziło właśnie południe.

Na bulwarach przed budynkiem słońce kładło się długimi wstęgami na chodnikach i drgającymi błyskami na Odrze.

Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na swój laptop.

Artykuły sponsorowane miał na swoim prywatnym laptopie, ale zdążył je już przenieść do sieci wewnętrznej do katalogu Pauliny.

Przez chwilę jeszcze się zastanawiał, po czym sięgnął po klawiaturę, wszedł do intranetu i usunął swoje teksty. Następnie odpiął laptop, sięgnął po torbę i zaczął wrzucać do niej wszystkie swoje rzeczy. Na szczęście, pomyślał, nie miał ich tutaj zbyt wiele.

Pomachał do Baśki i patrzących na niego z niedowierzaniem reszty kolegów i ruszył do wyjścia.

Zanim wyszedł, zajrzał jeszcze do aneksu Przeworskiej.

– Rezygnuję z tych śmieciowych umów – rzucił i nie czekając na reakcję naczelnej, wyszedł z redakcji.

Siedziba coraz bardziej popularnego w mieście portalu internetowego Szczecin & LeftSide mieściła się w całkiem niedawno odświeżonej kamienicy przy zacisznej uliczce w sąsiedztwie parku imienia Generała Władysława Andersa. Park, jak większość szczecińskich zieleńców, miał niezwykle burzliwą przeszłość. Niegdyś był cmentarzem wojskowym, który w połowie dziewiętnastego wieku założono pomiędzy placem ćwiczebnym szczecińskiego garnizonu a wałami pruskich fortyfikacji z osiemnastego wieku. Żeby było jeszcze ciekawiej, zaraz po założeniu cmentarza przeniesiono tutaj groby z likwidowanego właśnie starego cmentarza leżącego w pobliżu dworca kolejowego. Parkiem to miejsce stało się już pod koniec dziewiętnastego wieku, ale stare nagrobki i rodowe kwatery stały tutaj jeszcze przed ostatnią wojną, w tym najznamienitszy rodzinny grobowiec pruskiego marszałka polnego Friedricha von Wrangla, na którym to grobowcu widniała biblijna sentencja „Miłość nigdy się nie kończy”, a tuż obok kamienny herb rodziny von Wrangel, przeniesiony z rodzowego



zamku w Polanowie. Grobowiec przetrwał wojnę nietknięty, ominęły go wszystkie bomby aliantów i gąsienice radzieckich czołgów. W perzynę obrócili go dopiero Polacy.

Igor przejechał wolno wzdłuż ulicy, zdając sobie sprawę, że znalezienie tu miejsca parkingowego było już nawet nie cudem, ale czystą fantazją. Samochody stały tutaj dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeden obok drugiego. Igor niekiedy nawet podejrzewał, że mieszkańcy pobliskich kamienic po prostu w ogóle ich nie ruszają z miejsca, ponieważ doskonale zdają sobie sprawę, że ponownie już ich nie zaparkują, i jeżdżą komunikacją miejską.

Zgodnie z przewidywaniami bez efektu dotarł do końca ślepej uliczki, zawrócił i po namyśle okrążył cały kwartał. Wjechał w końcu na parking sąsiadującej z parkiem galerii Kaskada.

W redakcji portalu był dziesięć minut później i ledwo zdążył na nagranie. Pocieszające było jedynie to, że jeszcze bardziej spóźniona, w ostatniej chwili, wpadła do redakcji zdyszana Paulina.

– To się źle skończy – mruknął Igor, któremu uśmiechnięta dziewczyna zakładała właśnie mikrofon. – Teraz z kolei napiszą, że szczeciński architekt – rzecznik prasowy Heilanda – zdecydował się na wywiad przed kamerami.

– Nie mogę ci niestety obiecać, że tak nie będzie. – Paulina uśmiechnęła się cierpko.

– Nie wiem, po co ja się dałem w to wciągnąć. – Igor przejechał palcami po włosach. – Zabiję tego twojego Piotrusia, jak mnie jeszcze bardziej zhejtują.

– Możemy zaczynać? – Brodaty redaktor uśmiechnął się szeroko i włączył pilotem ekran, na którym ukazała się mapa Szczecina.

Paulina zamknęła oczy, policzyła do pięciu, otworzyła je i uśmiechnęła się.

– Witam państwa. – Brodacz obszedł stół i usiadł w wolnym fotelu. – W naszym specjalnym wydaniu *Rozmów bez krawata* mamy dzisiaj szczególnych gości, naszą redaktorkę Paulinę Weber, autorkę piątkowego

newsa będącego efektem jej reporterskiego śledztwa, oraz pana Igora Fleminga, który jako pierwszy rozwiązał szyfr Heilanda.

– Panie Igorze... – dziennikarz spojrział na Igora – jak to się stało, że wpadliście na to, czym są te liczby z maili zamachowca?

Igor spojrział na Paulinę.

– Zabrzmi to dość dziwnie – uśmiechnął się nerwowo – ale rozwiązaniem okazał się *Tomb Raider*, a konkretnie film z dwa tysiące osiemnastego roku, w którym znalazł się właśnie ów szyfr.

– Przypomnimy naszym widzom – redaktor skinął w kierunku ekranu, na którym widać było fragmenty piątkowego artykułu Pauliny – tajemnicze symbole z maili Heilanda okazały się kodem odwołującym się do zwykłej tarczy zegara. Dzięki czemu można było zamienić je w liczby. I co dalej? – Redaktor zwrócił się do Igora.

– Przypadek sprawił, że zajmuję się akurat tematem, do którego niezbędna mi była mapa, tak zwany podkład geodezyjny terenu na Łasztowni. – Igor przełknął ślinę. – Liczby Heilanda miały charakterystyczny układ – siedem cyfr i dwie kolejne po przecinku. Tak właśnie podaje się współrzędne geodezyjne, a że teren, którego dotyczą wykonywane przeze mnie zlecenia, leży bardzo blisko miejsc, w których Heiland podłożył bomby, więc siłą rzeczy te współrzędne były podobne.

– To nie wszystko. – Reporter kliknął pilotem i na ekranie ukazała się ponownie mapa, tym razem z naniesionymi punktami geodezyjnymi. – Miejsca zamachów tworzą pewną figurę.

Igor przytaknął.

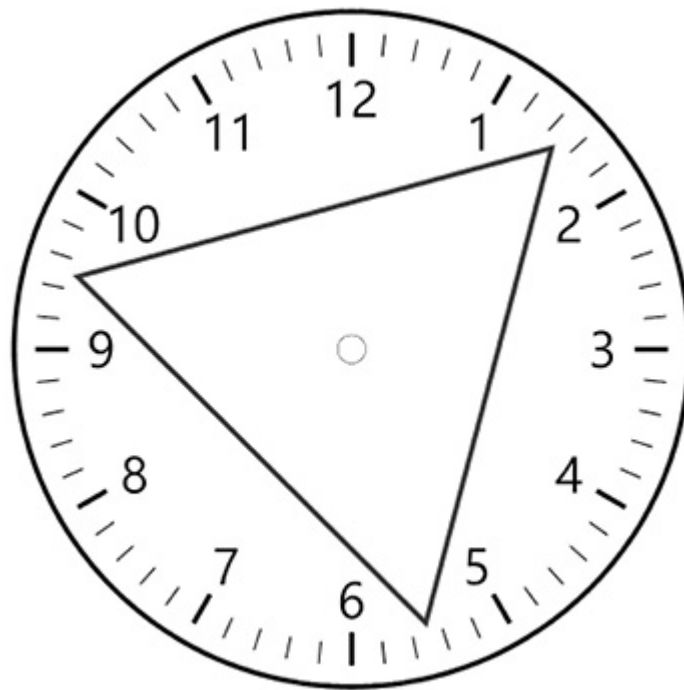


– Trójkąt równoboczny. Wręcz idealny, dlatego trudno uznać to za przypadek.

– Okazało się ponadto, że zamachy bombowe Heilanda miały miejsce w określonych godzinach – podsunął redaktor, zmieniając ponownie zdjęcie na ekranie.

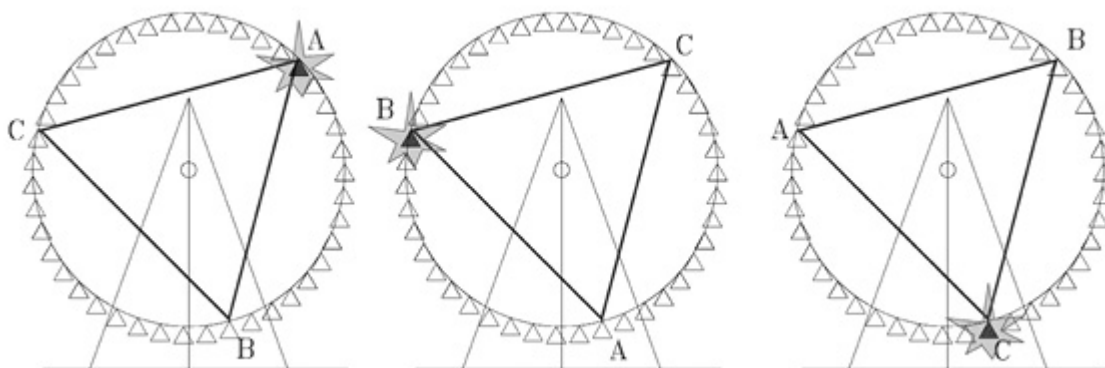
– Pierwszy zamach, w katedrze, wydarzył się o dwudziestej pierwszej trzydzieści – potwierdził Igor, a brodac wskazał elektronicznym wskaźnikiem miejsce na ekranie. – Do drugiego, w porcie, doszło o siedemnastej trzydzieści. – Czerwony punkcik powędrował w nowe położenie. – I patrząc na mapę i na tarczę zegara, można się było domyślić, o której będzie kolejny.

Mapa na ekranie stopniowo rozjaśniła się, a pod nią pokazała się tarcza zegara. Zdjęcie powoli się zmieniało i po chwili został sam zegar z zaznaczonymi trzema godzinami.



– Zamach na diabelskim młynie zaczął się dokładnie o godzinie trzynastej trzydzieści – grobowym głosem powiedział redaktor. – Trzy gondole, jedna po drugiej, oderwały się od mocowań. Jedna nie utrzymała się i z wysokości jedenastu metrów spadła na ziemię. Zginęło pięcioro ludzi. Zobaczmy teraz, jak wyglądało to po kolei.

Redaktor odwrócił się i skierował pilota na ekran. Po chwili ukazały się na nim trzy koła z zaznaczonymi uszkodzonymi gondolami, obrazujące fazy obrotu karuzeli.



– Na diabelskim młynie zawieszono są czterdzieści dwie gondole. – Igor podjął temat. – Tylko dwie są czarne. Pierwszy wybuch nastąpił w momencie, gdy gondole, w których podłożono bomby, były ustawione dokładnie tak, jak miejsca zamachów na mapie i godziny na tarczy zegara.

– Proszę zobaczyć, jak to wygląda. – Redaktor zwrócił się do kamery, a potem przesunął czerwony punkcik po ekranie, wskazując miejsca na schemacie.

Igor kontynuował.

– Najpierw nastąpił wybuch w gondoli oznaczonej literką A. Gdy pierwsza uszkodzona gondola znalazła się na dole, doszło do wybuchu w czarnej gondoli B, która zbliżała się wówczas właśnie do szczytu diabelskiego młyna. Gondola C powoli zjeżdżała już na dół i trzeci wybuch, w niej właśnie, nastąpił praktycznie w momencie, gdy znajdowała się na platformie przystankowej.

– A w tym czasie czarna gondola wisiała jakieś czterdzieści metrów nad ziemią. – Dziennikarz pokazał elektronicznym wskaźnikiem punkt na ekranie.

– Dokładnie. – Igor skinął głową. – W tym czasie, gdy usuwano ludzi z gondoli C, czarna wciąż się bujała, a jej mocowanie ulegało coraz większym przeciążeniom.

– Czyli prawdopodobnie dlatego czarna gondola została tak mocno zniszczona, że była najdłużej w powietrzu.

– Najprawdopodobniej.

– Jest pan inżynierem. Proszę powiedzieć, w jaki sposób doszło do urwania się zaczepów każdej z nich?

– Każda jest zawieszona na dwóch obrotowych sworzniach, które są przymocowane do głównej konstrukcji młyna...

– Czyli do tych wielkich kół.

– Tak właśnie – potwierdził Igor. – Z tego, co widziałem, mogę się jedynie domyślać, że ładunek został podłożony w każdej gondoli po jednej stronie.

– Jak Heiland mógł to zrobić? Jak to możliwe?

– Gondole są otwarte powyżej oszklonych przegród. Wystarczyło do torby z ładunkiem włożyć magnes, a następnie stanąć na ławeczce, wychylić się i zarzucić tę torbę wokół jednego ze sworzni.

– Ale kiedy on to zrobił? Przecież obsługa cały czas pilnuje wejść.

– Mógł po prostu pojechać kilka razy jako pasażer. – Igorowi przemknęło przez myśl, że tak dokładne tłumaczenie Heilanda znowu wyda się wielu osobom podejrzane. – W godzinach najmniejszego zainteresowania młynem.

– Panie Igorze, na wielu forach w komentarzach pojawiły się pytania, czy można było uratować tych ludzi...

Pytanie redaktora zawisło na moment w powietrzu.

Igor zastanawiał się nad odpowiedzią, ale uprzedziła go Paulina.

– Proszę sobie wyobrazić sytuację – spojrzała na ekran – że po drugiej eksplozji, w czarnej gondoli, nie zostałaby opróżniona, niejako po drodze, gondola C.

Brodaty prowadzący ponownie wskazał czerwonym punkcikiem drugi z rysunków.

– Obsługa, nie mając świadomości, że będą trzy wybuchy, czeka, aż czarna gondola zjedzie na dół. W międzyczasie gondola C mija platformę i zaczyna się wznosić ponownie.

Prowadzący przez moment wpatrywał się w ekran.

– I w takiej sytuacji wybuch w niej nastąpiłby nie na platformie, jak się to stało, ale w powietrzu – potwierdził redaktor.

– A czarna pewnie i tak by spadła. – Paulina się wzdrygnęła. – Mogliśmy mieć zatem dwa razy więcej ofiar śmiertelnych.

Igor wpatrywał się w rysunki na ekranie. Coś zaczęło go zastanawiać.

W tym momencie prowadzący przyłożył dłoń do ucha i z zaaferowaniem spojrział w kamerę.

– Proszę państwa, właśnie się dowiedziałem, że prezydent ogłosił stan podwyższonej gotowości w mieście. Na ulicach pojawią się patrole policyjne i wojskowe – powiedział, sięgając po leżący przed nim tablet. – Odwołane zostają wszystkie większe imprezy, koncerty plenerowe,

widowiska i tym podobne. Do jutra miasto ma zdecydować o tymczasowym zamknięciu kin, filharmonii i muzeów.

– Pani Paulino... – Redaktor, wpatrując się jeszcze przez moment w tablet, zwrócił się do swojego gościa. – Jak pani sądzi, co znajdziemy jutro w kolejnym mailu od zamachowca?

– Zakładając, że będzie kolejny. – Paulina wbiła wzrok w ekran. – W poprzednich mailach za każdym razem była informacja – ostrzeżenie. Najpierw „Macie dwa dni, a potem czternaście”, w zeszłym tygodniu „Macie dwa dni, a potem siedem”. Logika zatem każe się domyślać, że jutro przeczytamy, że mamy już tylko dwa dni.

– Na mapie – redaktor otworzył ponownie na ekranie plan miasta z zaznaczonymi trzema punktami zamachów – te trzy miejsca, a więc katedra, straż portowa i diabelski młyn, tworzą regularny trójkąt równoboczny. Zakładając – oczywiście mam nadzieję, że rację mają jednak ci, którzy twierdzą, że to był ostatni zamach – zakładając jednak, że dojdzie do kolejnego, czy można przewidzieć następny krok Heilanda?

– Rzeczywiście, trójkąt równoboczny tworzy zamknięty układ i można by się zastanawiać, czy to koniec zamachów... – Igor przekrzywił głowę, wpatrując się w ekran.

– A jeśli to trapez, a nie trójkąt? – zadał pytanie redaktor.

W studiu zapanowało na moment milczenie.

– Wtedy następnym miejscem zamachu – kontynuował swoją teorię redaktor – może być hotel Park! Leży dokładnie w punkcie wyznaczonym przez trapez.

Igor wpatrywał się w ekran zaskoczony. Rzeczywiście, nie pomyślał o tym.

Hotel Park, ulubione miejsce jego rodziców. Zatrzymywali się tam zawsze, kiedy byli w Szczecinie. Prowadząc linię z punktu, w którym stał diabelski młyn, trafiało się właśnie w hotel w parku Kasprowicza.

– Albo – odezwała się nagle Paulina – jeśli trapez zbudujemy w drugą stronę, na wschód, terminal kontenerowy w porcie.

Redaktor pokiwał głową z powątpiewaniem.

– Terminal kontenerowy chyba nie jest jednak zbyt widowiskowym miejscem. Do tej pory Heiland wybierał punkty dość spektakularne.

– Zależy, co akurat znajduje się na placu składowym. – Paulina uśmiechnęła się z wahaniem. – Albo co może tam do piątku trafić. Jeśli są to na przykład substancje łatwopalne, to mielibyśmy widowiskowy pożar na powierzchni kilkudziesięciu hektarów, praktycznie w samym centrum miasta.

Redaktor otworzył usta i na moment zamarł. Zaskoczony wpatrywał się mapę.

– No tak. Proszę państwa... – zwrócił się po chwili w stronę kamery. – Musimy kończyć naszą dzisiejszą rozmowę, ale nasi goście zostaną z nami jeszcze przez chwilę. Prosimy zatem o państwa pytania. Na wszystkie postaramy się odpowiedzieć na naszej stronie na Facebooku.

Piotr po wyjściu z redakcji w pierwszej chwili nie wiedział, co ze sobą zrobić. Postanowił, że potem odezwie się do Pauliny. Wiedział, że o trzynastej miała nagranie w Szczecin & LeftSide, co, notabene, było jego własnym pomysłem na oczyszczenie Igora, a pewnie po wydarzeniach w redakcji będzie chciała dojechać do siebie. Sama, bez towarzystwa. Wobec tego postanowił poczekać z wtajemniczeniem jej w hibiskusowe rewelacje Agi.

W pierwszej chwili, gdy wprowadził już w życie swoją decyzję o odejściu z „Dziennika Szczecińskiego”, poczuł się bardzo dobrze. Jak wywrotowiec nawet, ale każdy kolejny krok, z którym oddalał się od biurowca Lastadii, sprawiał, że ogarniały go coraz większe wątpliwości.

Praca tutaj to, owszem, były umowy śmieciowe, ale oprócz tych zleconych artykułów cały czas dostawał dodatek za pomoc Paulinie. Więc umowy śmieciowe umowami śmieciowymi, ale co miesiąc spływała na jego konto kwota, która umożliwiała zapłacenie czynszu i uregulowanie wszystkich pozostałych opłat i jeszcze coś mu zostawało. Teraz ma w perspektywie zostanie freelancerem. A biorąc po uwagę nie największy rynek na takie usługi w Szczecinie, groziło to brakiem zleceń. Ewentualnie zmuszało go do szukania pracy w którejś ze szczecińskich gazet. Paulina



wprawdzie mówiła, że wciągnie go do S & LS, ale jak na razie to pewnie sama nie wiedziała, na czym stoi.

Piotr wsadził ręce do kieszeni i z torbą przewieszoną przez ramię stanął na parkingu przed ogromnym gmachem urzędu celnego, zastanawiając się, co zrobić z niespodziewanym nadmiarem wolnego czasu.

Z tej rozterki wyzwolił go nadjeżdżający od strony mostu nad Parnicą tramwaj linii osiem.

Piotr, kierowany impulsem, ruszył biegiem w stronę ulicy Energetyków, pognał kawałek chodnikiem, a następnie, łamiąc co najmniej kilka przepisów drogowych, przemknął pomiędzy samochodami przez nitkę wjazdową do miasta i praktycznie tuż przed wtaczającym się na wysepkę tramwajem wpadł na przystanek i wskoczył do środka.

Igor stanął jak wryty i spojrzał na Paulinę z niedowierzaniem.

– Co zrobiła?!

– No wywaliła mnie z roboty. – Paulina zatrzymała się i uśmiechnęła, rozbawiona zszokowaną miną Igora. – Jestem teraz freelancerką. Nie wiem tylko, jak ja będę spłacała ten cholerny kredyt za mini.

– Ale jak cię mogła zwolnić?! – Igor wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. – Jakie miała podstawy? Przecież możesz się odwołać, iść do sądu.

– Po co? – Paulina ściągnęła brwi. – To będzie trwało miesiącami, będę musiała mieć świadków, a nie wiadomo, czy ktoś z redakcji nie potwierdzi jej zarzutów w obawie o to, że sam wyleci...

– Ale to jest mobbing przecież!!!

Stali w alejce w parku Generała Andersa. Od strony ulicy Świętego Wojciecha dochodził warkot aut, których kierowcy, powoli przetaczając się pomiędzy kwaterkami, wypatrywali z okien miejsc postojowych, a z pobliskiego placu zabaw dochodziły głosy dzieciaków i krzyki jakiejś matki, która usiłowała przekonać swojego syna, żeby nie wkładał rąk do buzi.

– Na szczęście Hubert, szef tego portalu – Paulina skinęła głową w stronę kamienicy, z której bramy dopiero co wyszli – odniósł się,

powiedziałabym nawet, że entuzjastycznie, do mojej propozycji pisania dla nich. Więc nie jest jeszcze najgorzej.

– A co z twoim urlopem? – Igor przypomniał sobie o ich wspólnych planach.

– Na razie z tego, co słyszałam, nigdzie nie płyniemy. – Paulina usiadła na wolnej ławeczce, sięgnęła do torby i wyjęła jednorazowe chusteczki.

– Już wiesz? – Igor odetchnął ciężko i wyciągnął nogi. Pod jego butami zachrobotał żwir.

– Johann do mnie dzwonił ze szpitala, żeby zapytać, czy dobrze zrozumiał lekarza. Przy okazji wspomniał o tym, że miał telefon od Solberga.

– Pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu nie mogłem się doczekać poniedziałku. – Igor zmarszczył czoło. – Tak się cieszyłem na ten wyjazd.

– Tak to właśnie życie weryfikuje wszelkie plany – skomentowała Paulina filozoficznie. – Ja też jeszcze kilka dni temu, nie dość, że miałam całkiem dobrą pracę, to jeszcze w perspektywie wakacje na luksusowym jachcie, a tu masz...

– Tak jakby naszym życiem kierował jakiś demiurg, który celowo płące ścieżki.

– Niektórzy nazywają to miłością. Bóg rzekomo doświadcza tych, których kocha szczególnie.

– Obejdę się bez jego miłości.

– Zabawne, jak błyskawicznie może się zmienić perspektywa. – Paulina wyrzuciła chusteczkę do stojącego niedaleko kosza. – Oczywiście nadal uważam, że ten ostatni zamach to tragedia, zresztą poprzedni także, nadal mnie to ciekawi jako dziennikarkę, ale nabrałam właśnie do tego wszystkiego jakiegoś dystansu.

Igor uśmiechnął się ironicznie.

– Jutro, jak przyjdzie kolejny mail od Heilanda, na pewno od razu ci to przejdzie.

– Możliwe. – Paulina odwzajemniła jego uśmiech.

Przez chwilę siedzieli, wpatrując się w zielen drzew i trawników i dyskretnie wodząc oczami za przechodzącymi alejką ludźmi.

– Mam wyrzuty sumienia w stosunku do Anglików – odezwała się w końcu Paulina.

Igor spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Dlaczego?

– Od poniedziałku mieliśmy być już na Bałtyku, tymczasem Dermot i Rupert są połamani, a Alice miała wstrząs mózgu. A teraz dodatkowo marnują urlopy na pobyt w Szczecinie. A zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje ropa do tego jachtu?

– Jak na razie to on stoi spokojnie przy nabrzeżu, ale wiem, co masz na myśli – powiedział ponuro. – O kosztach pracy statku badawczego z uniwersytetu w Kopenhadze nawet nie chcę myśleć.

– A to nie Dania za to płaci?

– Dwadzieścia procent jedynie i opłaca tę fregatę. Resztę pokrywa Sedinum Exploration, a tak naprawdę nasza angielska arystokracja.

– Powinniśmy bardziej się nimi zająć. To w końcu nasi goście.

Od strony placu zabaw rozległ się nagle gniewny płacz dziecka, a zaraz po nim zirytowany głos kobiety, która utyskiwała, że przecież tyle razy mówiła, żeby tak się nie bawić.

Piotr dobrnął do swojego wynajmowanego mieszkania na Pomorzanach koło piętnastej. Po drodze pogrążony w myślach na temat przyszłości, którą jak na razie widział niestety wyłącznie w ciemnych barwach, zjadł tylko jakiś batonik, więc gdy wszedł do swojej kawalerki, jedynym naprawdę interesującym tematem wydawało mu się jedzenie.

Po pobieżnej inspekcji lodówki stwierdził, że od biedy coś tam da się zrobić, ale zanim przeszedł do części wykonawczej tego projektu, zadzwoniła jego komórka.

– Cze, Mati – mruknął do telefonu i wsadził go sobie między ramię a ucho. – Co tam?

– Słuchałem tej twojej Pauliny na Leftsajdzie. Ty, nie mówiłeś, że to taka laska.

– I to wszystko, co cię zainteresowało? – Piotr wyjął pojemnik z jajkami i położył na stole, a obok postawił torbę mąki.

– Oj, już nie gadaj. – Mati zarechotał. – Co sądzisz o teorii tego typu?

– Że plan zamachów to trapez? – domyślił się Piotr.

– Aha.

– Nie przyszło mi to wcześniej do głowy. To coś nowego.

Piotr przypomniał sobie rozmowę w redakcji i Ulkę, która postawiła tezę, że zamach na diabelskim młynie był ostatni. Ale co w takim razie znaczyłyby słowa o dwóch dniach, które im zostały?

– Mam dla ciebie newsa, tylko nie waz się nawet pisać, skąd to wiesz.

– Jakiego newsa? – Piotr, mimo że przez ostatnie trzy godziny pogrążony był w czarnych myślach na temat rychłego końca swojej kariery dziennikarskiej, nadstawił uszu.

– Kojarzysz, co mówiła ta wasza Paulina? Że jeśli trapez wytyczymy na wschód, to kolejny punkt wypadnie na placu składowym terminalu kontenerowego. Albo ona coś wie, albo po prostu strzeliła...

– A co? No mów.

– Nie zgadniesz, co teraz tam przeładowują. W sobotę mają dopiero ładować, a póki co to gówno stoi na placu.

– Mati, powiedz w końcu, co stoi?! – Piotr znalazł miskę i usiłował przypomnieć sobie proporcje składników do zrobienia omletu.

– No to uważaj... – Mati zawiesił na moment głos dla lepszego efektu. – Stoi tam prawie trzydzieści kontenerów z propanem.

Piotr przerwał przesypywanie mąki do miski.

– A to nie wszystko... – Mati ściszył głos. – Oprócz tego jest tam partia kontenerów, które jadą do Czech z czterochloroetylenem. To taki preparat do myjni, pralni chemicznych i urządzeń tego typu. Silnie żrący, trujący i rakotwórczy. Jeśli Heiland rzeczywiście podłożył ładunek wybuchowy na placu, to, kurwa, w Szczecinie będzie Czarnobyl.

– Boże. – Piotr zamarł nad miską, a po chwili drgnął i pomyślał, że powinien to natychmiast sprzedać Paulinie.

– I co, port tego nie sprawdza? Do tej pory ładunki Heilanda to były jakieś torby. Takie coś chyba łatwo znaleźć.

– Kontenery stoją jeden obok drugiego i jeden na drugim. – Mati westchnął. – Jeśli dostał się do portu i wpierdolił gdzieś kilka takich toreb pomiędzy nie, to trzeba by do piątku wszystko po kolei przestawiać. Właśnie się zrobiło niezłe zamieszanie u nas, ale jak komuś piśniesz, że to wiesz ode mnie...

– Przecież port musi to przekazać policji.

– Pewnie tak zrobią, ale jak na razie jest Sajgon. Jeśli macie zamiar wrzucić to do was, to...

– Ja też mam newsa. – Piotr westchnął. – Nie pracujemy już w „Dzienniku Szczecińskim”.

– A co się stało?

Piotr po chwili wahania opowiedział pokrótce o wydarzeniach w redakcji.

– O rany! – jęknął Mati. – To idziemy na piwo. Pogadamy!

– Eee.

– Nie ee, tylko o ósmej w Ceglanej.

Paulina wysiadła z taksówki, zapłaciła i ruszyła bulwarem w kierunku widocznej z daleka Pandory. Nie zabrała samochodu, miała ochotę dzisiaj się napić.

– Dobry wieczór – czyjś głos wyrwał ją z zamyślenia.

Na bulwarze pod budynkiem urzędu celnego zgromadziła się już spora grupka młodych ludzi, którzy przekrzykując się i zaśmiewając głośno, szykowali się do kolejnego, długiego letniego wieczoru.

Na chodniku stał młody facet. Jego twarz ukryta była w cieniu kaptura. Paulina w pierwszej chwili go nie poznała.

– Morten? – zapytała i uśmiechnęła się, kiedy w końcu do niej dotarło, że to nowy marynarz z Pandory.

– Na jacht? – Wskazał głową górującą nad masztami odległej mariny ogromną białą łódź. – Odprowadzę cię.

– Bardzo mi miło. Chociaż ja na twoim miejscu chyba wolałabym zostać tutaj. – Paulina spojrzała w kierunku zbiegowiska młodzieży.

– Jeszcze jest wcześnie. – Morten zsunął kaptur i dwornie skinął przed Pauliną ręką.

Ruszyli powoli bulwarem.

– Jak ci się podoba u Johanna?

– Jest w porządku – stwierdził Morten. – Z tego, co słyszałem od chłopaków, to doskonały pracodawca.

– Ale dla ciebie to chyba tylko praca na wakacje? Studiujesz?

– Tak. – Chłopak przytaknął. – Chociaż w zasadzie to sam jeszcze nie za dobrze wiem, czego chcę.

– I tak dokładnie powinno być w twoim wieku. – Paulina poczuła się nagle starszą panią.

– Aż tak bardzo się wiekiem nie różnimy, nie przesadzaj.

– Jesteś bardzo miły.

– Zawsze.

Dermot i Jamie utyskiwali, że ten chłopak to straszny mruk. Ciekawe.

Morten odprowadził Paulinę pod sam trap Pandory.

Stali jeszcze moment, rozmawiając o opóźniającym się wypłynięciu na Bałtyk i ostatnich tragicznych wydarzeniach. W końcu Morten pożegnał się, życzył jej udanego wieczoru i wrócił na bulwar.

Kilkanaście metrów wyżej przy relingu stał Patrick i obserwował całą scenę.

\*

Gdy Zygmunt od nich odszedł, życie w domu na skraju lasu zrobiło się wreszcie znośne. Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogli ten dom stracić, w końcu Zygmunt miał jakąś dalszą rodzinę, która mogła się upomnieć o podział majątku. Na szczęście tak się nie stało. Matka oczywiście przez jakiś czas go opłakiwała, ale w końcu pogodziła się z tym, że obiady i kolacje muszą jeść sami. W wielkiej kuchni, z której okien

widać było pnie sosen i wspinające się po ścianach i zaglądale do wnętrza domu dzikie wino.

Mógł teraz przez nikogo niekontrolowany chodzić na długie spaceru po lesie i przyglądać się z ukrycia ludziom w innych domach. Z czasem stało się to jego ulubioną rozrywką. Zaczynał się gdzieś za drzewem i obserwował, jak wchodzili do środka, jak uganiali się za dziećmiaki po ogrodzie, jak nadmuchiwali baseny z Castoramy, w których potem taplały się małe dziewczynki i chłopcy. Lub jak pod wieczór, gdy z lasu dochodził głośny koncert świerszczy, rozpalali grilla.

Lubił sobie wyobrazić, że jest tak jak wtedy z mrowiskiem. Że w każdej chwili może zrobić coś, co zmieni to ich przelewające się z pustego w próżne życie, że skieruje je na inny tor. Obmyślał szczegółowe plany, jak mógłby to przeprowadzić, i wtedy w zupełności wystarczała mu świadomość, że może to zrobić w każdej chwili. Ale nie musi.

Siedząc w gęstych krzakach lub chowając się za jakimś grubym pniem drzewa i obserwując uwijających się w swoich codziennych sprawach ludzi, czuł się znowu jak demiurg.

Czasem myślał o pytaniu, które wtedy w klinice na Broniewskiego zadał mu lekarz. Dostał wówczas jakieś tabletki, które musiał brać, chociaż go otumaniały, więc niekiedy, gdy udało mu się usnąć czujność matki, udawał tylko, że je łyka.

Czy obchodzą cię inni ludzie?

I z czasem zaczął myśleć, że w rzeczywistości coraz mniej. Za to nauczył się lawirować pomiędzy nimi tak, żeby nie kończyło się to jak wcześniej.

Dla świętego spokoju oczywiście przybierał te wszystkie maski, które trzeba było nosić na co dzień. Był grzecznym synem, przez jakiś czas dobrym chłopakiem, całkiem dobrym uczniem. Mało tego, tak jak kiedyś poszedł do komunii, tak i potem dał się przekonać do bierzmowania. Bo matka nie wyobrażała sobie, żeby było inaczej.

Natomiast coraz wyraźniej obserwował u siebie pewne odspajanie się od przyjętych konwencji, od tego, co powszechnie uznawano za dobre czy złe. Dla niego niekoniecznie znaczyło to samo.

Tak jak nie potrafił zrozumieć kiedyś, dlaczego spalenie mrowiska, które dla niego było cudownym, uwznioślającym aktem końca świata, było czymś gorszym niż wycięcie połowy lasu, tak teraz nie potrafił zrozumieć znaczenia pozbawiania kogoś życia.

Dlaczego wrzucanie żywego raka do wrzątku jest czymś akceptowalnym, a zabicie psa już nie? Dlaczego złowienie, wypatroszenie i upieczenie ryby na ognisku jest fantastyczne, a wypatroszenie kota już nie? Fascynowały go życiorysy słynnych zbrodniarzy, zaczął się z nimi po części utożsamiać.

Lubił cytaty. Nigdy nie był dobry z polskiego, ale potrafił za to znajdować teksty, które w jakimś stopniu go określały lub definiowały.

Pamiętał, jak kiedyś Zygmunt zabierał go do lasu na polowania. Wśród leśniczych nie brakowało myśliwych, którzy przynosili z lasu dziesiątki martwych lisów, ptactwa czy saren. Zygmunt zabierał go często na leśne ogniska, licząc pewnie, że znajdą w ten sposób wspólny język. No więc słuchał o patroszeniu ptaków, pozbawianiu ich piór, odcinaniu głowy, czyszczeniu, a potem o tym, jak nabijać na ruszt, żeby się najlepiej trzymały i piekły. A wcześniej o tropieniu i polowaniu.

Dużo później natknął się na słowa jednego z najsłynniejszych seryjnych morderców, który na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zabił kilkadziesiąt osób w okolicach San Francisco.

„Lubię zabijać ludzi, bo to świetna zabawa, to zabawniejsze niż polowanie w lesie na dzikie zwierzęta, bo człowiek jest najniebezpieczniejszym ze wszystkich zwierząt. Zabijanie dostarcza mi najbardziej ekscytujących doznań”.



## Rozdział 33

*środa 14 sierpnia*

**P**iotra obudził dźwięk radia dochodzący zza ściany. Cholerny sąsiad. Burak, który od samego świtu włączał jak nie radio, to telewizor. I żeby jeszcze cicho jakoś, ale gdzie tam, nawalało to, kurwa, jakby to bydlę głuche było.

Z wściekłością odrzucił z siebie kołdrę i podniósł się na ramieniu, sięgając po komórkę.

Jęknął, gdy zobaczył, że właśnie dochodziła dziesiąta.

Wstał i poczuł, jak zakręciło mu się w głowie.

Zabalowali wczoraj z Matim. Miało być jedno piwo i pogaduchy, a skończyło się chyba na czterech. Mati nie musiał się martwić rannym wstawaniem, bo do piątku pracował zdalnie w domu. Miał jakąś dokumentację czy projekt hydrotechniczny do weryfikacji, czy coś tam.

No i tak to wyszło. Wrócił do domu o trzeciej.

Poczłapał do łazienki i sięgnął do szafki, w której trzymał wszystkie prochy. Wygrzebał aspirynę i od razu połknął, a po namyśle wrzucił do gardła jeszcze dwie tabletki magnezu.

Ściągnął bokserki i wszedł pod prysznic.

Dwadzieścia minut później, w nieco lepszej kondycji, wszedł do kuchni i nastawił wodę.

Radio za ścianą słyhać było w dalszym ciągu na tyle dobrze, że właściwie nie tracił nic z porannej audycji informacyjnej. Wprawdzie biorąc pod uwagę, jakie to było radio, to wolałby wsadzić łeb do kibla niż zastanawiać się nad tym, co słyszy. Ściek.

Nalał sobie kawy i stanął przy oknie.

Przypomniało mu się, że miał zadzwonić do Pauliny. Zaraz. Jasne. Te kontenery w porcie.

I jeszcze gdzieś miał zadzwonić...

„Wczorajszy wywiad z architektem i dziennikarką, którzy niestety za późno powiadomili policję o możliwości podłożenia bomby w diabelskim młynie...”

Piotr usiłował sobie przypomnieć, z kim rozmawiał wczoraj. Paulina chyba do niego napisała, racja.

„Policja jak na razie nie wypowiada się na temat miejsca kolejnego zamachu, niemniej lokalizacja w katedrze, o czym wspomniał dzisiaj rano „Dziennik Szczeciński”, wydaje się teorią bardzo prawdopodobną...”

Odpisał Paulinie, że idzie z kumplem na piwo. Katedrze? O czym oni do diabła mówią?

Piotr postawił kubek na stole i sięgnął po torbę z laptopem, którego wczoraj po przyjściu z redakcji nie zdążył wyjąć.

Po chwili siedział przy stole, wpatrywał się w ekran i czytał artykuł z portalu gazety, dla której do wczoraj jeszcze pracował.

„Wczorajsza rozmowa naszej byłej redaktorki Pauliny Weber nie przyniosła żadnych rewelacji ani niczego specjalnie odkrywczego. O tym, że trójkąt leży u podstaw logiki zamachowca, pisaliśmy na naszym portalu już w poniedziałek...”

Piotr zacisnął zęby. Mógłby złapać za te tlenione kudły.

„Trójkąt, a więc trójca. Heiland nie po raz pierwszy dokonuje bluźnierczego nawiązania do wartości chrześcijańskich...”

A Paulina jeszcze wczoraj mówiła przez telefon coś o braku wzajemnego zrozumienia i wciąż powiększającej się przepaści mentalnej.

Właśnie! Przypomniał sobie, że dzwonił do Pauliny wczoraj w nocy, chyba po drugim piwie, i w czasie, gdy Mati polecał zamówić następne, przez moment gadali.

„Miejsca kolejnych zamachów w oczywisty sposób układają się w trójkąt, a biorąc pod uwagę, że pierwszy kod, jaki Heiland podrzucił

w katedrze, to były właśnie współrzędne katedry...”

Piotr podniósł wzrok i zamyślił się.

To akurat racja. Rzeczywiście.

Na karteczkach, które spadły ze sklepienia katedry, były współrzędne katedry!

Późniejsza reguła była taka, że Heiland najpierw pisał mail ze współrzędnymi, a potem one znajdowały się w miejscu zamachu. Pierwszy z cytatem z zamachowca ze Śląska i współrzędne straży portowej i ten sam kod pojawił się na kartkach, które przyniósł im kierownik budowy. Potem następny mail z faszystowskim bełkotem Tarranta i współrzędnymi diabelskiego młyna i te same współrzędne były na kilku karteczkach znalezionych w szczątkach czarnej gondoli. Więc skoro w katedrze był kod... To w kolejnym mailu powinny się pojawić współrzędne katedry. Wówczas trójca... tfu, trójkąt się zamknie...

Przez chwilę, ignorując dobiegającą zza ściany głośną muzykę disco polo, wpatrywał się w okno.

Po chwili zaklął. Dał się wpuścić w te brednie Ulki. Przecież to oczywisty błąd logiczny. Równie dobrze można zakładać, że figurą Heilanda będzie trapez i dopiero po zamachu w hotelu w parku Żeromskiego lub w terminalu kontenerowym pojawi się ostatni kod.

A co jeśli to w ogóle błędne założenie? I Heiland na przykład wymyślił to sobie zupełnie inaczej?

Paulina położyła torbę z laptopem na biurku. Musiała mieć chyba nieszczęśliwą minę, gdy Hubert pokazał jej miejsce w kącie, w pobliżu kserokopiarki. Wprawdzie biurko było spore, po dwóch stronach spokojnie mieściły się dwie osoby, ale w porównaniu z redakcją w Lastadii wyglądało to znacznie gorzej.

– To na razie – mruknął Hubert. – My wszyscy sporo pracujemy zdalnie, spotykamy się tutaj na narady i nagrania, ale mamy w planie dołączenie sąsiedniego lokalu. Rozwijamy się – powiedział i spojrzał na Paulinę z zadowoleniem.

– Jest okej – powiedziała i uśmiechnęła się.

Hubert podrapał się w głowę i spojrzał na Paulinę z namysłem.

– Musimy się przygotować na mail od Heilanda. – Zagryzł wargi. – Myślałem, żeby nie czekać i już napisać artykuł, a jak przyjdzie wiadomość, to go zmienimy w zależności od kontekstu. W ten sposób znowu będziemy pierwsi.

– Hmm. – Paulina przytaknęła.

– Można rozwinąć te wczorajsze wątki, hotel Park i terminal, w razie czego któryś się wywali. Widziałaś, co napisał twój dziennik?

– O katedrze? – Paulina pokiwała głową. – Przejrzałam rano.

– Co o tym sądzisz?

– Kod z katedry daje do myślenia, ale nie jestem przekonana.

W torebce Pauliny odezwała się komórka. Paulina przeprosiła i spojrzała na wyświetlacz.

– Piotruś? Pewnie dopiero wstałeś?

– Zapomniałem wczoraj o czymś ci powiedzieć. – W tle słychać było głośną muzykę. – Dostałem wczoraj cynk na temat portu.

– Chodzi o straż pożarną?

– O twoją hipotezę na temat terminalu kontenerowego.

Paulina, słuchając o setkach ton propanu, sięgnęła po stojące niedaleko krzesło, przysunęła je i usiadła, jednocześnie otwierając laptop.

– To pewna informacja? Skąd to wiesz?

– Mati pracuje w zarządzie portu. Nie możemy się na niego powołać, bo go wywalą.

– Co ty w ogóle robisz? – Paulina zerknęła w kierunku rozmawiającego z kimś Huberta. – Ja jestem w redakcji Leftsajda. Przyjeżdżaj tutaj! Jest sporo roboty. Wszyscy czekają na mail od Heilanda.

– A rozmawiałaś o mnie z naczelnym?

– Rozmawiałam. Czekam! Masz być w ciągu godziny!

Paulina podniosła się, policzyła do pięciu i ruszyła w kierunku nowego szefa.

Na ekranie laptopa Filipa kończyło się właśnie nagranie wczorajszego wywiadu z Igozem i Pauliną.

Baśka stała nad fotografem i wpatrywała się ponuro w ekran.

– A mogło być u nas... – skomentowała grobowym głosem. – Niezależnie od zaklęć Ulki to obejrzało już kilka milionów ludzi.

– Ciekawie się rozkłada zainteresowanie – mruknął Filip. – Połowa ze Szczecina i połowa z całego kraju.

– Wheel of Szczecin ściągnął niezłą uwagę. Wspominali już o tym w Niemczech i Danii.

– Mało tego – dodał Filip. – Widziałem filmiki z tej katastrofy na YouTube u Anglików, Szwedów i na Ukrainie.

– A ta debilka gładzi coś o Trójcy Świętej – stwierdziła zrezygnowana Baśka.

– Wiesz już o Macieju? – Filip westchnął, nie podnosząc głowy.

– Co o Macieju? – Baśka odwróciła wzrok od ekranu i spojrzała na fotografa z niepokojem. – Coś się stało?

– Po tej relacji z Łasztowni i jego filmie Przeworska powiedziała, że nie przedłużą z nim kontraktu. A jemu się kontrakt kończy we wrześniu.

– Co ty mówisz?! – Baśka otworzyła szeroko oczy. – Przecież to robota tej suki! Skompromitowała się swoim bredzeniem. „Żałujcie państwo, że was tutaj nie ma!” Słyszałeś to? Przez cały weekend ludzie to na forach komentowali.

– Podobno się poskarżyła, że Maciej celowo zrobił z niej idiotkę. – Filip ściszył głos. – Powiedziała, że te jego komentarze na wizji były niedopuszczalne.

Baśka głośno wciągnęła powietrze, zacisnęła szczęki i wypadła z pokoju fotografów na korytarz.

W głównej sali redakcji panowała dziwna cisza. W tle słychać było tylko program informacyjny w Trójce i głos prowadzącej, która informowała o najważniejszych wydarzeniach państwowych: Koroncy do miłosierdzia w intencji zbawienia i zbliżających się uroczystościach religijno-patriotycznych w związku z rocznicą napaści Niemców na Polskę.

Baśka stanęła przed biurkiem Ulki i wbiła w nią wzrok.

– Żałujcie państwo, że was tutaj nie ma! – powiedziała głośno ze złośliwym uśmiechem, ściągając od razu uwagę całej redakcji.

– O co ci chodzi? – Ulka spojrzała na nią z niechęcią.

– Skompromitowałeś się nieprofesjonalnymi, debilnymi komentarzami, a winę zrzuciłeś na Macieja!

– Na nikogo nie zrzuciłam winy. – Ulka w lekkim popłochu spojrzała w stronę aneksu naczelnej, która zajęta była jednak jakąś bardzo absorbującą rozmową przez telefon. – Maciej postąpił skandalicznie. Te jego teksty na wizji. Kamerzysta w ogóle nie powinien się odzywać. To ja prowadziłam relację.

– Gdyby nie Maciej, to pewnie do tej pory stałabyś pod ruiną na Bulwarze Gdańskim! – Baśka patrzyła na Ulkę z wściekłością. – Dzięki niemu jako jedyni mieliśmy profesjonalne nagranie całej katastrofy. Powinnaś być mu wdzięczna, a nie donosić na niego! Przez ciebie go zwolnili!

– Co takiego? – Julita od reklamy podniosła się od swojego biurka i podeszła do Baśki. – Przeworska zwolniła Macieja?!

Kilka osób oderwało się od monitorów i spojrzało na Ulkę.

– Nikt go nie zwolnił! – Ulka rozejrzała się po redakcji z wyższością. – Nie słuchajcie tych bzdur. Po prostu Marcin chyba nie przedłużył z nim kontraktu.

– Marcin?! – Baśka zacisnęła pięści. – A co Marcin ma do tego? Kolejną osobę wciągasz w swoje gierki?!

– Ja tylko powiedziałam, jak wyglądała cała sytuacja. – Ulka patrzyła z niepokojem na pochmurne twarze kolegów. – Widzieliście zresztą na filmie. Zachował się skandalicznie! To niedopuszczalne!

– Pani Barbaro!

W progu swojego aneksu stała Przeworska i patrzyła ze zniecierpliwieniem na zbiegowisko na środku sali.

– Proszę do mnie! Mam do pani pewną sprawę.

W pomieszczeniu zaległa cisza, a Baśka weszła za naczelną do jej gabinetu.

– Pani Barbaro! – Przeworska zasunęła drzwi i stanęła przy biurku.

– Słyszałam rozmowę pań. Nikt nie zwolnił Macieja. Po prostu jego kontrakt kończy się we wrześniu i postanowiliśmy nie przedłużyć z nim współpracy. Szukamy właśnie jakiegoś dobrego fotografa z wizją. Potrzebujemy dobrych zmian. Skończmy z tym tematem. – Przeworska, nie czekając na reakcję Baśki, sięgnęła po plik dokumentów. – To są materiały dotyczące dwóch sponsorowanych artykułów, które muszą się ukazać jeszcze w tym tygodniu. Zwłaszcza jeden. Jutro!

– A to nie jest przypadkiem to, co robił Piotr? – zdziwiła się Baśka.

– No właśnie to. Ten pętaś skasował całą swoją pracę. Ja jeszcze się zastanawiam, w jaki sposób możemy go pociągnąć za to do odpowiedzialności, ale tak czy inaczej, zostaliśmy z materiałem, który trzeba przetłumaczyć. Zleceniodawca nas zaskarży, jak nie damy tego w czwartek.

– Po co mi pani o tym mówi? – zapytała ostrożnie Baśka, domyślając się, dokąd zmierza ich rozmowa.

– Zna pani dobrze język angielski i niemiecki, pisze pani o gospodarce. Poradzi sobie pani z tym tematem. To jest dobrze płatne. Niestety, dzięki takim zleceniom nadal utrzymujemy się na rynku.

– Niestety. – Baśka przekartkowała plik dokumentów. – To jest specjalistyczny język techniczny. Moja znajomość angielskiego nie jest na tyle dobra, żeby zrobić to w tak krótkim czasie. U nas jedynie Paulina ma... miała wykształcenie techniczne i radziła sobie z takimi tekstami. Przykro mi. – Rzuciła teczkę na biurko Przeworskiej.

– Pani Barbaro! – Naczelną poczerwieniała. – To nie jest rozmowa przy kawce, to jest polecenie służbowe.

– Nikt u nas nie robi tego do jutra! Proszę poszukać kogoś z zewnątrz. Może ktoś się podejmie.

– Nie chciałam pani grozić, ale...

Baśka spojrzała na Przeworską ze spokojem.

– Jeżeli zechce mnie pani zwolnić, to jutro będzie pani miała na głowie kontrolę Państwowej Inspekcji Pracy, a do problemów ze zleceniodawcą dojdzie jeszcze mój pozew sądowy.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Dalszą rozmowę przerwał nagle rejwach, który wybuchł w głównej sali redakcji.

Ulka szarpnęła drzwiami i z rozmachem je odsunęła.

– Heiland! – krzyknęła i spojrzała na Baśkę triumfalnie. – Miałam rację!

Piotr wszedł nieśmiało do redakcji portalu, przywitał się z recepcjonistką, a następnie ruszył w kierunku jednego z pokoi, który wskazała mu dziewczyna. Rozejrzył się nieśmiało po wnętrzu i widząc Paulinę w kącie pod oknem, podszedł do niej, uśmiechając się do innych pracowników.

– Wysiadłem z przyzwyczajenia przed mostem Długim i szedłem piechotą. – Zdjął z ramienia laptop i postawił go na blacie. – Przechodziłem obok katedry. Mówię ci! Co tam się dzieje! Jest cała obstawiona kordonem policjantów.

Paulina pokiwała głową.

– Hotel Park też przeszukują od rana. Koleżanka mi mówiła. Dobrze cię widzieć! – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Ciebie także. – Piotr odwzajemnił uśmiech, usiadł i zaczął wypakowywać swoje manele. – Może być tutaj. – Rozejrzył się dookoła. – Całkiem fajnie jest.

– Tylko parking to tragedia – zauważyła kwaśno Paulina.

– Z Pogodna to ci się bardziej w lecie opłaca rowerem miejskim dojeżdżać albo hulajnogą.

– No chyba tak będę robiła. Wiesz, gdzie zaparkowałam? Na Piastów. Masakra. Rozmawiałam z Hubertem na temat tego twojego cynku z portu. Mamy to wrzucić jako news pod wywiadem z Igozem. Jak najszybciej. O, jest Hubert! – Paulina pomachała do zaglądnącego do pokoju mężczyzny.

– To jest właśnie Piotr. – Podniosła się, gdy szef portalu podszedł bliżej.



– Wpadnij do mnie potem, to omówimy jakieś warunki. – Hubert uściśnął dłoń Piotrowi. – Niestety, na razie mogę ci zaproponować tylko umowy o dzieło, ale sądzę, że będą dość regularne. Znam wasze artykuły i wiem, na co was stać – powiedział i uśmiechnął się do Pauliny.

– Jak biedowałem, tak będę biedował – skwitował Piotr, gdy tylko Hubert zniknął za drzwiami. – Ale może przynajmniej mieszkania z narodowym radiowężłem nie stracę.

– Wygrzeb coś na temat hotelu Park, może współrzędne geodezyjne gdzieś są podane w necie. Igor nie ma map tego terenu, sprawdzałam już – uprzedziła pytanie Piotra Paulina. – Cholera wie, kiedy Heiland przyśle kolejnego maila...

Dźwięk przychodzącej poczty spowodował, że oboje sparaliżowało.

– Masz tu już pocztę? – zapytał w końcu Piotr, patrząc ze strachem na laptop Pauliny.

– To moje konto z „Dziennika Szczecińskiego”. – Paulina nerwowo przełknęła ślinę. – Pewnie to tylko wiadomość, że już je zamknęli.

Gwar z sąsiednich pokoiów zweryfikował tę koncepcję, zanim jeszcze Paulina otworzyła swoją pocztę.

– Heiland! – wrzasnęła dziewczyna z krótkimi, zafarbowanymi na czerwono włosami, wpadając do pokoju i rzucając się do swojego komputera. – Mail od Heilanda!

– Ja pierdolę... – Piotr trzęsącymi się rękami otworzył swój laptop. – Ja też mam jeszcze pocztę, kurwa!

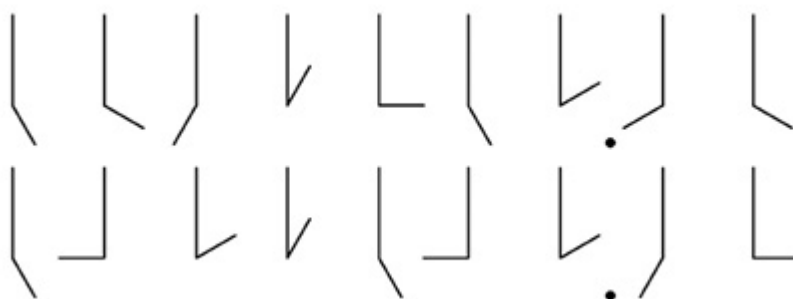
Wpatrywał się w ekran, na którym pod znajomym kodem z *Tomb Raidera* widniało kilka zdań.

– „Macie już tylko dwa dni...” – przeczytała Paulina i podniosła wzrok.

– „Chcę, żebyście wpadli w panikę...” – Piotr przytoczył początek ostatniego zdania. – No to pojechał...

– Wiesz, skąd jest ten cytat? – Paulina wbiła w niego wzrok.

– Oczywiście.



*Każdy obawia się śmierci, ale tylko ci, którzy wiedzą, jakie będzie życie po śmierci i jaka czeka ich nagroda, szukają śmierci.*

*Powinieneś modlić, modlić się gorąco. Powinieneś prosić Boga, aby cię prowadził, prosić go o pomoc. Módl się w nocy, nie przestawaj.*

*Sprawdź wszystko, co masz ze sobą – swoją torbę podróżną, ubrania, noże, swój testament, dowody swojej tożsamości, paszport, wszystkie papiery. Sprawdź, czy jesteś bezpieczny, zanim wyjdiesz z domu. Upewnij się, że nikt cię nie śledzi.*

*Macie już tylko dwa dni...*

*Heiland der Welt*

*Chcę, żebyście wpadli w panikę. Chcę, żebyście panikowali, jakby wasz dom się palił.*

Baśka nachylała się nad laptopem i z palcem wciąż jeszcze na klawiaturze wpatrywała się w ekran.

Ulka stała na środku redakcji i nie mogła powstrzymać się od triumfalnych okrzyków.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że chodzi o katedrę! Widzicie! – Pokazała palcem ekran swojego laptopa. – To ten sam kod, co w katedrze! Te same współrzędne! Trójkąt się zamknął albo inaczej... Boże! Rzeczywiście! – Na moment umilkła.

Baśka posłała jej niechętnie spojrzenie.

Bała się zapytać, co wymyśliła.

– Przecież pomysł z trójkątem tego inżynierka od Weber to wcale nie musi być prawda!

– Co masz na myśli? – zainteresowała się Przeworska stojąca na progu swojego aneksu.

– Trzy punkty wytyczają przecież nie tylko trójkąt! – Ulka spojrzała triumfalnie na Baškę. – Trzy punkty wytyczają także koło! Koło! – powtórzyła.

– No i co z tego?! – Baška nie ukrywała niechęci.

– Diabelskie koło! – wrzasnęła Ulka. – Ostatni wypadek był na diabelskim młynie, a trzy punkty wytyczają diabelski krąg. Diabelski krąg! – powtórzyła.

– No i?

– Diabelski krąg! Nie kojarzysz? To stara planszówka, powinnaś ją pamiętać jeszcze z dzieciństwa. – Ulka patrzyła na Baškę z triumfem wymieszanym z pogardą. – Siły dobra walczą z demonami! – Rozejrzała się wokoło. – Dobro reprezentują magowie, a zło osiem demonów. Plansza do gry jest kolista, bo to symbolizuje wieżę, w której toczy się walka dobra ze złem. Boże! – Ulka złapała się za głowę. – W tej grze jest przecież także zegar! Magowie rzucają kośćmi i wyznaczają czas trwania gry! Więc godziny, które podał ten inżynierek, to nie godziny zamachów, tylko czas, w którym rozpoczyna się gra! Heiland gra z nami w diabelską grę! To stąd te nawiązania do *Tomb Raidera*!

– To jest doskonałe! – Przeworskiej udzielił się entuzjazm Ulki. – Jesteś pewna, że to jest ten sam kod, który znalazł się w katedrze?

– Tak na pewno! To te same cyfry! – odpowiedziała Ulka entuzjastycznie. – To współrzędne geodezyjne katedry!

– Filip! – Naczelną krzyknęła do stojącego na progu fotografa. – Zdjęcia katedry! Jak najbardziej mroczne! Na tle księżycy jakieś!

– Może zamieścimy zdjęcia zrujnowanej katedry z czasów wojny?! – zapytała Baška z ledwie wyczuwalną ironią w głosie.

– Doskonały pomysł! – zgodziła się Przeworska. – Filip! Znajdź jakieś fotografie z czasów wojny! Tylko sprawdź prawa autorskie, żeby kłopotów nie było!

– Kiedy to puszczamy? – Ulka, promieniejąc szczęściem, stała na środku redakcji i wpatrywała się w naczelną.

– Pisz! Jak najszybciej! Dziś damy na portal, a jutro na papierze! Dzwonię do drukarni, żeby zatrzymali pierwszą stronę!

Przeworska wpadła do swojego aneksu i chwyciła za telefon.

Paulina patrzyła na Piotra z malującym się na twarzy napięciem.

– Jesteś pewien, że to słowa Greta Thunberg? – spytał Hubert. Po raz drugi.

– Na sto procent! – Piotr energicznie potwierdził. – To są jej słowa z przemówienia w Parlamencie Europejskim. „Nazywam się Greta, mam szesnaście lat i chcę, żebyście wpadli w panikę” – zacytował. – Pamiętam każde słowo!

Dookoła stołu stała grupka dziennikarzy portalu, którzy wpatrywali się z niedowierzaniem w nowego kolegę.

– O co mu chodzi? – Hubert zmierzwił palcami gęstą czuprynę. – Co to ma znaczyć?

– Pozostały tekst też jest niezły – odezwała się czerwonowłosa dziewczyna. – Pogrywa sobie z nami?

– No właśnie też tak uważam – powiedziała Paulina. – Nie postawił żadnych żądań. Myślałam, że dzisiaj to zrobi. Tymczasem mamy kolejny cytat i znowu ostrzeżenie.

– W dodatku chyba już ostatnie.

– Wiecie, skąd jest pozostała część tekstu? – odezwał się Piotr, który wpatrywał się w ekran swojego laptopa. – Wystarczyło wpisać w Google.

Hubert i czerwonowłosa pochylili się nad plecami Piotra.

– Ja dziękuję! – gwizdnęła dziewczyna.

– Mohamed Atta – przeczytał Hubert.

Czerwonowłosa pokręciła głową.

– To nie Atta. FBI znalazło to tylko w jego plecaku po zamachu. Poradnik dla zamachowców, pięć stron napisanych ręcznie po arabsku.

– Po jakim zamachu? – zapytał jeden z młodych chłopaków.

– Jedenastego września.

– World Trade Center? – Chłopak spojrział z niedowierzaniem na koleżankę.

Przez chwilę wszyscy w milczeniu wpatrywali się w ekran.

– Ulka miała niestety rację – grobowym głosem odezwał się w końcu Piotr i uśmiechnął z przekąsem do Pauliny. – To współrzędne katedry. Te same, które spadły ze sklepienia podczas koncertu Bacha.

– Czyli trójkąt się zamknął – powiedziała cicho Paulina.

Igor wstał i trzymając kurczowo telefon przy uchu, zrobił kilka wielkich kroków po pokoju.

– Tato! Po prostu anuluj rezerwację. Po co masz cokolwiek tłumaczyć. Anuluj i już.

– Ale ja o twojej matce mówię! – Edward, ojciec Igora, nie mógł pojąć, jak to możliwe, że jego rodzony syn jest taki niepojętny. – Nie o menadżerke hotelu. Co mnie obchodzi, co pomyśli sobie jakaś menadżerka? Ja o twojej matce mówię. Co ja jej powiem? Że dlaczego niby anulowałem rezerwację?

– A musisz mówić? Powiedz, że zalało pokój, pękły rury. Albo nic nie mów po prostu.

– Z kim ty rozmawiasz? – Igor usłyszał w tle głos matki.

– O Chryste! To ja już porozmawiać nie mogę! No rozmawiam. Z twoim synem rozmawiam.

– Z Igorem?

– A masz innego syna?

– Edward. Czy ty w ogóle zastanawiasz się nad swoimi słowami? Czego masz mi nie mówić?

Igor odsunął telefon od ucha i głęboko odetchnął.

– Niczego mam ci nie mówić! Twój syn chce właśnie, żebym ci niczego nie mówił.

– Co to ma znaczyć? Daj mi ten telefon!

– Rozmawiam przecież, kobieto, nie widzisz? Z twoim synem!

– Edward! Daj mi telefon!

Igor podniósł głowę do góry i wbił wzrok w sufit. W tle słychać było szamotaninę i po chwili dobiegł go zirytowany głos pani Anny.

– Igor! Co to ma znaczyć!? Czego mi nie mówicie? Coś się stało? Boże!  
– Matka Igora na chwilę umilkła. – Żenisz się? Boże! Naprawdę?!

Igor nabrał powietrza w płuca.

– Mamo! Nie żenię się! Skąd ci to przyszło do głowy, na miłość boską!

– Właśnie! A jesteś już dawno po trzydziestce! Przecież ta Paulina nie będzie całe życie czekała!

– Mamo! Koniec! Dość tych bzdur! W ogóle się z wami nie można dogadać! Policja podejrzewa, że w hotelu Park mogą podłożyć w piątek bombę. Nie możecie się tam zatrzymywać!

– Bombę?! Kolejną? W hotelu? Czytałam właśnie o tej tragedii na karuzeli. Boże, co się dzieje w tym Szczecinie?

Igor skonstatował, że matka jeszcze chyba nie oglądała wywiadu z nim i Pauliną, bo tak szybko temat zamachów by się wówczas nie skończył.

– Igor, ja czytałam coś o tym, że jakiś architekt był w to zamieszany. Tylko nie mówi, że to ty! A ja ci zawsze powtarzałam, żebyś uważał i się w coś nie wpakował.

– Mamo! Jak nie zarezerwujecie zaraz, to potem nie będzie miejsc.

– Dlaczego?! Ludzie specjalnie na te zamachy do Szczecinie przyjeżdżają?!

– W hotelu miejsc nie będzie, jest sezon! Anulujcie rezerwację albo zostawcie ją w cholerę i zatrzymajcie się gdzieś indziej! A w ogóle to po co wy chcecie tu nocować? Do Dalewa jest przecież tylko godzina drogi.

– To jest ta wielkowiejska gościnność – zakpiła Anna. – Ojciec chciał się zatrzymać w mieście, przejść się gdzieś...

– Niczego nie chciałem! – Igora doszedł okrzyk ojca z sąsiedniego pokoju.

– Jesteśmy w Szczecinie raz na pół roku, więc przynajmniej chcemy to jakoś wykorzystać. Ale teraz dopiero o tym mówisz? Jak my już pojutrze przyjeżdżamy? Gdzie my teraz coś zarezerwujemy? Co się dzieje w tym

twoim Szczecinie? Nie dość, że przesłuchania w upiornej Izbie Morskiej, to jeszcze bomba.

– Możecie się zatrzymać u mnie. Mam dość miejsca.

– U ciebie? Na tym strychu? Bez windy? Dziecko, przecież jak ja wejść na to twoje szóste piętro, to już sama stamtąd nie zejść.

– O której macie przesłuchanie w Izbie Morskiej?

– O piętnastej.

– Niech ojciec anuluje rezerwację, a ja wam coś znajdę! Zadzwoń, jak znajdę! Muszę kończyć, mam! Przepraszam, pa, pa.

Igor odłożył telefon na biurko i głęboko odetchnął.

Sięgnął po myszkę i poruszył nią, budząc do życia uśpiony monitor.

Otwarta strona portalu internetowego jednej z gazet krzyczała wielkimi literami o kolejnym mailu od Heilanda.

Hubert z telefonem w ręku wpadł ponownie do pokoju i zatrzymał się tuż za progiem.

– Policja właśnie zamknęła dostęp do katedry. Nikt tam nie wejdzie do soboty. Boją się zwłaszcza o wieżę. Dowiedziałem się od znajomego konstruktora, że kilka umiejętnie rozmieszczonych ładunków wybuchowych mogłoby zachwiać jej statyką.

– Już dwa razy chyba się przewracała. – Czerwonowłosa dziewczyna sięgnęła do laptopa i zaczęła szukać informacji na temat katedry.

– Boże! Ależ to byłoby spektakularne. – Piotr spojrział z osłupieniem w okno, gdzie za dachami kamienic przy ulicy Świętego Wojciecha widać było wieżę katedry. – To najwyższa wieża kościelna w Polsce.

– Licheń jest chyba wyższy – odezwała się czerwonowłosa.

– A kto by tam brał na poważnie Licheń?

– Racja. – Hubert z uśmiechem pochylił się nad Piotrem. – Wygrzebcie, kiedy wieża się przewracała. Damy o tym coś na portalu plus kilka fotek. Dopóki Paulina nie napisze artykułu. Jutro ma iść!

– Zwaliła się podczas remontu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym w trakcie szalejącej nad miastem burzy – przeczytała

czerwonowłosa. – I drugi raz pod koniec wojny podczas bombardowań.

Paulina, która siedziała skupiona nad montowaniem ram artykułu, podniosła nagle głowę.

– Bombardowań? – Łypnęła na Piotra. – Kiedy to było? Dokładnie.

Piotr otworzył usta, po czym pochylił się gwałtownie nad klawiaturą.

– W nocy z szesnastego na siedemnastego sierpnia. – Czerwonowłosa dziewczyna odwróciła się i spojrzała zszokowana na Paulinę.

– „Macie już tylko dwa dni...” – Paulina wyrecytowała słowa Heilanda.

Igor wpatrywał się z osłupieniem w zdjęcie z końca dziewiętnastego wieku. Pokieroszowane rusztowanie, które zwałyło się razem z wieżą na dach kościoła, wyglądało jak budowla z zapalek, pchnięta dla zabawy palcem. Podziurawiony dach i zrujnowana, przekrzywiona sygnaturka, na którą przewrócił się ogromny, dopiero co postawiony hełm. Stało się to w lutym, dokładnie z dwunastego na trzynastego lutego, w nocy podczas burzy, która rozpętała się wówczas nad miastem.

Kod w mailu to był ten sam kod, który Heiland zrzucił w katedrze. Współrzędne. Więc całkowicie regularny trójkąt właśnie się zamknął. Czy o to mu chodziło? Jaki właściwie miał w tym cel?

Igor sięgnął do klawiatury i wybrał z galerii kolejne zdjęcie.

Na tle morza gruzów po alianckich bombardowaniach pośród ruin i zgliszcz sterczała ogromna ruina, ze zwaloną wieżą i zniszczonym dachem nad korpusem głównym.

Bomby trafiły prawie dokładnie w katedrę, niszcząc, oprócz kościoła, kilka wielkich grobowców, kamiennych steli, obrazów i kaplic rodzin, których członkowie rodzili się i umierali w tym mieście od dwunastego wieku.

Współrzędne geodezyjne układające się w trójkąt równoboczny. Godziny zamachów tworzące na tarczy zegara trójkąt o dokładnie takim kształcie jak na mapie.

To wszystko było precyzyjnie przemyślane, skonstruowane w drobiazgach. I w dodatku te teksty, skopiowane z różnych manifestów rozmaitych zamachowców.



Ostatni ze znalezionej u jednego z terrorystów instrukcji postępowania w czasie zamachu.

Zawalone wieże World Trade Center. I teraz wieża katedry. Najwyższy kościół w Polsce. Czy o to chodziło? Ale jaki był w tym sens? W dodatku jeszcze te ekologiczne wtręty.

Może to robota psychopaty owładniętego jakąś sobie tylko zrozumiałą ideą?

Ale zamachowcom z jedenastego września także nie chodziło przecież o nic konkretnego. Celem było zdestabilizowanie sytuacji, zasianie strachu, poróżnienie ras, narodów.

Wybuchy na diabelskim młynie były spektakularne, napisano już o tym w całej Europie. Jedna z największych karuzeli na kontynencie. A teraz? Trzy gondole, na których ładunki wybuchły w momencie, gdy układ był znowu taki sam jak na mapie.

Zamyślony cały czas wpatrywał się w zdjęcie katedry na swoim monitorze. Gdy po chwili jego wzrok odzyskał normalną ogniskową, pierwsze, co zobaczył, to data na zdjęciu.

Sierpień tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego.

Nalot aliancki, który praktycznie zrównał stary Szczecin z ziemią.

Igor po raz kolejny zamarł. Kiedy był ten nalot?

Głośny dźwięk telefonu sprawił, że prawie podskoczył. Odruchowo spojrział na wyświetlacz. Jarost.

– Mam dwie wiadomości – usłyszał pogodny głos współnika Rogali. – Pierwszą to słyszałem, że już ci Pawelczyk zdradził. Docklands podpisał umowę z miastem. Nieoficjalnie wiem, że zwrócą się do ciebie z projektem.

Igor oderwany od geometrycznych zamachów Heilanda powoli wracał do rzeczywistości. Bardzo fajny projekt. Nowe budynki z architektonicznym ukłonem w kierunku renesansowych spichlerzy.

– A druga sprawa to jakaś masakra. Szukają naszego pracownika.

– Kto szuka? Policja? – Igor przypomniał sobie, że Paulina coś o tym wspominała. – W związku z Rogalą?

– W związku z zamachami, wyobrażasz sobie? Facet się nazywa Bartosz Hirszfeld. Szymon go wywalił za wieczne spóźnienia i kłopoty. W lipcu. Tyle że...

– Z zamachami? Miałby stać za tym jakiś robot? – sapnął Igor z niedowierzaniem. Podniósł się i podszedł do okna.

– To nie jest niewykwalifikowany robotnik. Po technikum jest. Całkiem w porzo, łebski facet. Tyle że kłopoty w domu ciągle miał i coś z głową nie tak. W sensie, że depresja albo coś tam.

– Ale co? Zgarnęli go?

– No właśnie nie. Przepadł gdzieś. Szukają go. Po tym jak Rogala zaginął, w dalszym ciągu nic nie wiadomo. Notabene przez te zamachy to policja to w ogóle olewa – westchnął Jarost. – Ale z tym Hirszfoldem... Po tym jak go Rogala zwolnił, to ja przyjąłem biedaka z powrotem, ale tylko do pracy w naszym magazynie. Miał tam po prostu siedzieć jako cieć i pilnować.

– I co?

– Nie przychodzi podobno od dwóch, trzech dni. Dzisiaj się dowiedziałem, bo ludzie musieli stamtąd zabrać koparkę. Czaisz w ogóle, co za koszmar? To najbardziej pechowa robota w tym roku. Nie wiem, czy w ogóle przetrwamy, to znaczy przetrwam właściwie, bez Szymona.

Igor wysłuchał jeszcze kilku informacji z budowy na temat przygotowań do oczyszczania kolejnego spichlerza i wreszcie pożegnał się z Jarostem. Dopadł do swojego komputera.

Nie mieściło mu się w głowie, żeby pracownik Jarosta był diabolicznym Heilandem. Kojarzył go nawet, taki jasnowłosy, przystojny chłopak. Ale kto powiedział, że psychopata ma wyglądać jak Quasimodo? Albo Hannibal Lecter?

Igor potrząsnął głową, odpędzając od siebie inne sprawy, i pochylił się nad ekranem.

O czym on właśnie myślał?

Nalot bombowy był w nocy z szesnastego na siedemnastego sierpnia!

Eskadra aliantów licząca czterysta sześćdziesiąt ciężkich bombowców, na pokładach których było po kilka ton bomb, zamieniła Szczecin w morze

gruzów.

W nocy z szesnastego na siedemnastego sierpnia!

## Rozdział 34

WTEDY...

*Autostrada Rzeszy Berlin–Królewiec,  
16 sierpnia 1944 roku godz. 20.00*

**R**osnące wzdłuż autostrady sosnowe lasy kąpały się w ostatnich promieniach zbliżającego się powoli ku zachodowi słońca. Wysokie pnie starych drzew wyłoczone były jeszcze światłem, ale dolne partie zaczynały powoli skrywać się już w szarości. Za godzinę pobocza szosy miały ukryć się w całkowitym mroku.

To właśnie ta autostrada, którą tuż przed wieczorem czterdziestego czwartego roku przemierzała kawalkada wojskowych samochodów, a którą Fritz Todt, generalny inspektor budowy dróg, rozpoczął budować w trzydziestym czwartym roku w ramach czteroletniego planu pokonania kryzysu gospodarczego. W trzydziestym dziewiątym posłużyła jako pretekst do rozpoczęcia wojny z Polską. Poszczególne jej fragmenty przetrwały wojnę w różnym stanie. Odcinek, który pokonywała kolumna od okolic Rzęsnicy, zmierzał w kierunku Chociwła. Przez długie lata, mimo oficjalnej nazwy „droga wojewódzka sto czterdzieści dwa”, nazywano go „chociwelką”.

Konwój otwierały wojskowe motocykle BMW R 12 z bocznymi wózkami, w których czaiły się karabiny maszynowe. Dalej podążały dwie transportowe ciężarówki Blitz, w których na pakach siedzieli uzbrojeni żołnierze dywizji SS Frundsberg, a jako trzecia jechała właśnie ta, której strzeżono jak oka w głowie – zamaskowana brezentową plandeką ciężarówka z platformą dźwigająca dwutonowy ładunek.

Kolumnę zamykał wóz pancerny z działkiem przeciwlotniczym.

Gdy konwój mijał roгатki Szczecina i w okolicach zjazdu na Dąbie przejeżdżał most nad Odrą, słońce właśnie chowało się za horyzontem, a niebo nad rozlewiskami Odry i Wyspą Pucką mieniło się jeszcze czerwienią.

Samochody wjechały na Altdammer Strasse i skierowały się do centrum. Za mostem nad Parnicą, od wschodu, wznosiła się wieża portowej straży pożarnej, do której wjazd prowadził jeszcze przez bramę od strony bulwaru. Gdy ciężarówki z żołnierzami dywizji Frundsberg znalazły się już na brzegu Łasztowni, na monumentalnej, górującej nad drogą wjazdową do miasta wieży zegarowej kościoła Chrystusa Króla, gdzie na tarczy zegara zamiast cyfr były litery tworzące napis „Pan Świata”, wybiła właśnie dwudziesta pierwsza dwadzieścia.

Nad miastem zapadał zmierzch, a obowiązujące zaciemnienie powodowało, że całe ulice i kwartały pogrążone były już w mroku.

Kawalkada pojazdów skręciła w ulicę Władysława IV. Mijając słynne w całych ówczesnych Niemczech cztery krzywe kamienice pod numerami 12–15, które dawno temu zapadły się, pochylając na bok i opierając jedna o drugą, pojazdy skierowały się do portu.

Na końcu ulicy Władysława IV, nad samą Odrą, wznosiła się ogromna bryła urzędu celnego, który zawsze kojarzył się chyba z zamkami nad Loarą, a zaraz za zakrętem w ulicę Zbożową wznosiły się pierwsze spichlerze.

Konwój wjechał na ulicę Zbożową. Do pierwszego z trzech spichlerzy o numerach 25, 26 i 27 zostało jeszcze trzysta metrów.

## Rozdział 35

*czwartek 15 sierpnia*

**S**potkanie odbyło się tradycyjnie o świcie i Olsson miał już nawet w planach, żeby zapytać Jensa, czy jeśli ta awantura jeszcze trochę się przedłuży, to nie można by zmienić grafiku tak, żeby nie wyglądali tutaj jak mnisi na jutrzni.

Słońce dopiero co wdrapywało się na ściany sąsiednich budynków i do salki na szóstym piętrze głównego posterunku policji w Kopenhadze docierały dopiero jego pierwsze promienie.

Kjaer stanęła przy ścianie i poczekała, aż cała grupa zbierze się w sali.

Ostatni wszedł Jens z kubkiem kawy w dłoni i stanął obok Olssona.

– Mamy potwierdzenie od polskich służb. Będą z nami współpracować. W Szczecinie będzie to Pododdział Antyterrorystyczny Komendy Wojewódzkiej – mruknął cicho do Olssona. – Sytuacja u nich jest jakaś nieciekawa. W ostatnich dniach były tam zamachy terrorystyczne. W piątek przewidywany jest kolejny, więc ich służby będą postawione na nogi od samego świtu.

– Czy ci Anglicy mogą mieć z tym wszystkim coś wspólnego?

– Według naszych danych nie, ale tak naprawdę Polacy nic jeszcze nie wiedzą.

– Postawili jakieś warunki?

– Nic nie wiemy. Uzgodniliśmy tylko, że pomogą nam w akcji. Dowodzić będzie szef tej jednostki.

– To bezpieczne? – Olsson spojrział na Jensa z powątpiewaniem. – Ile oni wiedzą?

– Tyle, ile muszą.

Kjaer poprosiła o ciszę i włączyła ekran.

– To jest Łasztownia. – Wskazała ręką szarą plamę na mapie. – Wyspa na prawym brzegu Szczecina. Obiekt stoi tutaj. – Postukała palcem w biały punkt. – Na pokładzie jest załoga złożona z dwóch marynarzy. Kapitanem jest Łotysz. Artjom Zetlers, były żołnierz rosyjskich służb specjalnych, więc zalecam szczególną ostrożność.

– Dlaczego właściwie jachtem dowodzi ten Rusek? – Olsson odwrócił się do Jensa.

– To jest właśnie pytanie za milion euro.

Kjaer pstryknęła pilotem i na ekranie ukazało się zdjęcie satelitarne jachtu.

– Jacht ma trzy pokłady. To luksusowy model na specjalne zamówienie ze stoczni w Poole Harbour w Dorset. Do modelu oferowanego w katalogu wprowadzono wiele poprawek, zarówno funkcjonalnych, jak i technicznych, na przykład znacznie potężniejsze silniki. Ale też rozkład niektórych pomieszczeń może być trochę inny. Wspominam o tym dlatego, żeby nie ufać ślepo planom, które udostępniła nam stocznia. Na pokładzie oprócz kapitana nie ma ochrony. Pasażerowie to sześć osób.

– To nabrzeże to jakaś marina? – zapytał jeden z policjantów.

– Ogólnodostępny bulwar – westchnęła Kjaer. – To dodatkowe utrudnienie. Nie możemy zamknąć tego miejsca, zresztą to by zostało od razu zauważone.

Powiodła spojrzeniem po kilkunastu twarzach.

– Dlatego właśnie wejdziemy tam w nocy.

Paulinę obudziło dziwne kołysanie. W dodatku gdzieś obok słyszała jednostajny szum, jakby ktoś dyskretnie nadmuchiwał materac.

Przez jakiś czas leżała pogrążona jeszcze w świecie pół snu i pół jawy i dopiero po chwili zdecydowała się otworzyć oczy.

Przywitała ją wielka czarna morda ze sterczącymi do góry uszami i dwoma rzędami białych zębów w otwartym i wyraźnie uśmiechniętym pysku. Paulina przeciągnęła się i uniosła na posłaniu.

Maks polizał ją po ręce i zeskokczył na podłogę.

Już zapomniała, że miał taki zwyczaj. Zawsze gdy udało jej się pospać nieco dłużej, przychodził, żeby sprawdzić, co się dzieje. Godzina dziewiąta to była granica jego cierpliwości. Nie wyobrażał sobie, żeby można spać dłużej.

Nawet jak się jest człowiekiem.

Ostatnio wstawała prawie zawsze przed siódmą, więc nie dawała mu powodów do niepokoju. Wczorajszy dzień był jednak zbyt męczący. Z redakcji Szczecin & LeftSide wyszli z Piotrem dopiero po dziewiętnastej. Przygotowanie w ostatniej chwili artykułu na portal, redakcja, zdjęcia, a jeszcze w międzyczasie drobne wrzutki pod aktualne wydarzenia.

Piotr po nieprzespanej nocy nie miał już siły na to, żeby wpaść na chwilę na pokład Pandory, zlitowała się więc nad nim i odwiozła go pod sam dom, a właściwie klatkę schodową bloku na Pomorzanach.

Paulina zerwała się i sięgnęła po smartfon.

Trzy nieodebrane od Huberta. Cholera!

Otworzyła portal. Jej artykuł był na wierzchu. Miał setki komentarzy na forum, a na Facebooku kilka tysięcy polubień i kilkaset udostępnień.

Zajrzała na stronę „Dziennika Szczecińskiego”. Na pierwszej jedynce dwa zdjęcia katedry, jedno aktualne, zrobione późnym wieczorem, drugie z czasów wojny, ze zniszczonym dachem i zwaloną wieżą.

Paulina szybko przeczytała tekst Ulki i zamarła. Przeczytała jeszcze raz, wolniej.

Ulka szeroko rozpisywała się na temat jakiejś starej planszowej gry, ale nie wspomniała ani jednym słowem o zbliżającej się rocznicy największego bombardowania Szczecina. A zamieścili przecież nawet fotkę!

Nie wpadła na to!

Paulina prychnęła z niedowierzaniem.

Usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać internet. Na większości szczecińskich stron pisano o przeszukiwaniu katedry, na kilku portalach były rozmowy z policjantami i ze strażakami. Gdzieś podawano informacje o hotelu Park, ale katedra po mailu Heilanda znalazła się



zdecydowanie na pierwszym miejscu domniemań na temat lokalizacji następnego zamachu.

Gdy odezwała się komórka, Paulina skupiona na artykule na stronie „Wyborczej” przypomniała sobie o telefonach Huberta i sięgnęła, nie patrząc na wyświetlacz.

– Paulina! A czemu cię nie ma jeszcze w robocie? – Głosu Piotra nie byłaby w stanie pomylić z żadnym innym.

– Boże! Musiałam się wyspać po wczorajszym. Coś się dzieje? A ty w ogóle jesteś już tam na miejscu od samego rana?

– Jakiego rana? Jest po dziewiątej. Ja nie jestem heteroseksualną, seksowną szatynką. Mnie wszystko samo nie spada z nieba.

– Jasne. Bo mnie spada.

– Słuchaj, tutaj Hubert stoi mi nad głową. Pamiętasz, jak się nazywał ten gościu, o którego cię pytała ta policjantka?

– Borys? Ignatiuk? Ten aktywista miejski?

– No nie Borys, no jaki Borys. Kto Borysa nie zna. Ten jakiś robotnik.

– Hirszfeld.

– Właśnie! Hirszfeld! – Piotr krzyknął do kogoś w tle. – Będziesz tu w ogóle?

– Zbieram się właśnie.

Pół godziny później Paulina zaparkowała samochód trzy przecznice dalej i weszła do redakcji.

Przywitał ją mały tłumek kręcący się wokół stołu, który zajęli wcześniej ona i Piotr. Piotr najwyraźniej zdołał już podbić serca całej żeńskiej obsady portalu.

– Paulina! – Czerwonowłosa odwróciła się i uśmiechnęła do niej szeroko. – Mamy najwięcej wejść, cytuje nas nawet „Wyborcza”. Ten motyw z nalotem bombowym to się zrobił viral! Wszyscy się w necie zastanawiają, czy to jest przypadek, czy Heiland to zaplanował.

Paulina postawiła swój laptop na stole. Nawiasem mówiąc, czy ona będzie miała w końcu pracę, w której zapewnią jej komputer na miejscu,

najlepiej stacjonarny, z ogromnym monitorem, a nie, że ciągle musi dźwigać tę torbę? Pamiętała, że dziewczyna nazywa się Patrycja. Była zdecydowanie sympatyczna.

– Zastanawiamy się, jak podać coś o tym Hirszfeldzie – odezwał się Hubert.

– Skąd w ogóle o nim wiecie? – Paulina spojrzała oskarżycielsko na Piotra.

– Ja nic nie mówiłem.

– On nic nie mówił – potwierdził Hubert. – Mam swoje dojścia. Dowiedziałem się, że jest podejrzanym i policja właśnie go poszukuje. Zaginiony Szymon Rogala wywalił go z roboty na miesiąc przed pierwszym zamachem. Wszystko się układa, jakby to była zemsta na nim. Hirszfeld pracował zarówno w porcie, jak i w katedrze.

– Policja mi kategorycznie zakazała pisania na ten temat – powiedziała Paulina. – Zagrozili, że przestaną być mili.

– A jeżeli zaginięcie Rogali to także jego sprawka? – zapytał Piotr, wpatrując się w Huberta z ekscytacją.

– Że go zamordował? – zapytała czerwonowłosa Patrycja. – To już jak scenariusz na Netflixie się z tego robi.

– Ktoś od nas w ogóle przygotowuje jakąś relację wideo spod katedry? – Paulina zmieniła temat na chwilę. – Przejeżdżałam tamtędy. Roi się od dziennikarzy.

– Jest tam chłopak od nas – potwierdził Hubert. – Zamierzamy puścić materiał w porze lunchu i właśnie myślałem, żeby to poszło z jakimś newsem.

Paulinie przemknęło przez myśl, że czas w portalu internetowym będzie zdecydowanie szybciej niż w tradycyjnej gazecie.

Igor wbiegł po trapie na pokład Pandory. Na bulwarach, mimo że teren wokół diabelskiego młyna był ogrodzony i niedostępny, spacerowało już sporo ludzi. Ogromny biały jacht był lokalną atrakcją, przyciągał prawdziwe pielgrzymki spacerowiczów, którzy robili sobie zdjęcia na jego

tle. Co odważniejsi wchodzili na trap i pytali, czy mogą obejrzeć przynajmniej najniższy pokład.

Patrick, Harry i Morten dostali instrukcje od Johanna, żeby nie wypraszać bezceremonialnie ludzi i jeżeli tylko nie przerodzi się to – jak się wyraził – w najazd Hunów, to w miarę możliwości oprowadzać chętnych. Zwłaszcza dzieci.

Na najwyższym pokładzie na leżakach wokół basenu leżeli Dermot, Rupert i Jamie, a w sąsiadującej z pokładem solarnym salonce Johann i Gwen prowadzili jakąś rozmowę, pochyleni nad dokumentami.

– Igor! – Johann uśmiechnął się na widok przyjaciela. – Dobrze, że jesteś. Rozmawiałem z ojcem, a wcześniej Dermot konferował ze swoim stryjem i radzą nam, żeby nie robić awantur, ale wystosować jednak oficjalne pismo. Stryj Dermota nam przysłał właśnie do wglądu.

– Co to da? – Igor usiadł obok Gwen i spojrzał na pismo z logo i herbem londyńskiej kancelarii.

– Nic – odparł Johann. – Ale musimy się do tego odnieść. Jeżeli to są nieporozumienia na linii Polska – Dania, to i tak nic nie zdziałamy.

– Natomiast będziemy mogli zażądać odszkodowania w razie czego – krzyknął Dermot, który najwyraźniej przysłuchiwał się rozmowie.

– Jeżeli to zaakceptował Dermot – Igor wskazał brodą dokumenty – to ja nie muszę tego czytać.

– Ale przeczytaj. – Johann popchnął w jego kierunku plik kartek.

– Sir... – Obok nagle wyrósł Patrick. – Przy trapie stoi człowiek, który twierdzi, że pan wypożyczył samochód. Właśnie go przywiózł.

– Znakomicie! – ucieszył się Johann. – Załatw to, proszę, jesteśmy zajęci.

– Oczywiście. – Patrick uśmiechnął się, ukłonił i zniknął za drzwiami.

– Wypożyczyłeś samochód? – Igor podniósł wzrok znad dokumentów.

– Podjęliśmy decyzję, że zostajemy tutaj przez weekend, więc nam się przyda. Razem z twoim wszyscy się mieścimy.

Igor obejrzał resztę papierów, potwierdził, że wszystko jest w porządku, i odłożył pismo na stół.

- À propos – dodał z konsternacją. – Mam taką prośbę.
- Dla ciebie wszystko – odpowiedziała za Carleya Gwen.
- Moi rodzice przyjeżdżają do Szczecina i muszą przenocować. Jutro mają kolejne przesłuchanie w Izbie Morskiej. Nigdzie już dzisiaj nie zdołałem znaleźć pokoju dla nich, poza całkowitymi norami...
- Oczywiście, że mogą tutaj się zatrzymać. Po co w ogóle pytasz. – Johann uśmiechnął się z pobłażaniem. – Dostaną tę wielką kabinę obok kapitańskiej. Nikt nigdy jej nie chce, bo jest zbyt...
- Zbyt odstawiona. – Gwen zachichotała. – Twój ojciec chyba liczył, że kiedyś na Pandorze zatrzyma się nasza królowa.

Johann uśmiechnął się do Igora.

- Jak znam ojca, to on raczej liczył na Harry'ego i Meghan.

Patrick wyposażony w swój wystudiowany kamerdynerski uśmiech zszedł z trapu i skinął łaskawie stojącemu na bulwarze mężczyźnie, który z zadartą głową wpatrywał się w śnieżnobiałe burty Pandory.

- Sir Johann jest zajęty, niestety. Czy trzeba coś podpisać?
- To znaczy... – Agent wyjął ze swojej teczki dokument. – To powinien podpisać klient.
- Znakomicie. – Patrick sięgnął do kieszeni i wyjął pióro. – W którym miejscu?
- Ale to... powinien jednak podpisać pan Carley. – Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.
- To naprawdę zbyt techniczne. – Patrick wyjął z rąk agenta umowę. – Jeżeli trzeba, to prześlemy mailem potwierdzenie.
- No chyba że tak. – Agent wciąż nie do końca przekonany sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki. – Samochód stoi na parkingu przy bulwarze. O tam. – Odwrócił się i wskazał ręką białego SUV-a zaparkowanego kilkadziesiąt metrów od jachtu. – Suzuki SX cztery, zgodnie z umową. Powinien ktoś go obejrzeć.

Mężczyzna nagle się odwrócił i sięgnął ponownie do torby.

– Byłbym zapomniał. Tu jest login, hasło do monitoringu i link do aplikacji, skąd można ją ściągnąć. Czy podejdzie pan ze mną do samochodu?

– Oczywiście. – Patrick uśmiechnął się i zszedł na ląd. – Proszę prowadzić.

Paulina przyglądała się czterem zdjęciom, które fotograf portalu właśnie jej przysłał do obejrzenia. Miały iść dwa jako zajawka przed relacją wideo z katedry. Prowadził ją ten sam redaktor, który był gospodarzem rozmowy z nią i Igorem.

Patrząc na fotografii kościoła, zastanawiała się, gdzie Heiland mógł podłożyć bombę. Gdziekolwiek była, nadal jej nie odnaleziono. Przy tak precyzyjnie skonstruowanej akcji z tym trójkątem i współrzędnymi raczej nie zostawiał sobie podkładania ładunków na ostatnią chwilę.

Pytanie też, czy odkrycie przez nich, że kodem są współrzędne geodezyjne, nie pokrzyżowało mu planów.

Piotr tuż obok rozmawiał z Patrycją, a w tle grało Radio Zet.

Gdy zadzwonił telefon, Paulina dopiero po drugim sygnale zorientowała się, że to jej komórka.

Sięgnęła po nią i widząc na wyświetlaczu imię koleżanki adwokatki, wstała, wzięła swój kubek i ruszyła w stronę aneksu kuchennego.

– Udało mi się to sprawdzić – mówiła Marta nosowym głosem. Jej dzieci od dwóch tygodni, na zmianę, raz jedno, potem drugie i od nowa przechodziły infekcję. – To znaczy nie ja, ale znajomy policjant. Tylko, tak jak mówiłam, nie możesz zdradzić, skąd masz te informacje, a najlepiej w ogóle ich nigdzie nie publikuj.

Paulina przypomniała sobie dopiero w tym momencie, że prosiła przecież Martę o znalezienie właściciela starego opla z Wyspy Puckiej.

– To nie do artykułu. – Odczekała, aż ekspres naleje do końca śmietankę, i zabrała kubek z kawą. – Nigdzie tego nie będę publikować.

– No to dobrze – słysząc było, że Marta przełożyła jakieś papiery na biurku. – Gdzie ja to zapisałam... Czekaj.

Paulina wyszła z aneksu i z kubkiem w ręku zaczęła się przechadzać po korytarzu redakcji.

– Mam! – Marta triumfalnie zaszeleściła jakimś papierem. – Rejestracja ZS zero jeden czterysta dwanaście. Opel Vectra zarejestrowany w dziewięćdziesiątym szóstym. Właścicielem był niejaki Zygmunt Kołodziejczyk. Leśniczy. Nadleśnictwo Kliniska. Zamieszkały w Wielgowie ulica Wiślana.

Paulina weszła do pokoju, stanęła przy biurku, sięgnęła po kartkę i długopis i zanotowała dane właściciela starego opła.

– Zmienił właściciela? Powiedziałaś „był”...

– No właśnie nie był przerejestrowany nigdy potem. Ale to interesująca sprawa w ogóle.

– Co takiego?

– Sprawdziłam to z ciekawości. Sama się zainteresowałam. Ten cały Kołodziejczyk zaginął.

– Co takiego? – Paulina osłupiała.

– W dziewięćdziesiątym dziewiątym porzucił rodzinę. Żonę i pasierba. Dopiero w dwa tysiące drugim dalsza rodzina zgłosiła zaginięcie. Nigdy go nie odnaleziono. Nadal figuruje w bazie osób zaginionych.

Paulina odsunęła krzesło i powoli usiadła.

– Tylko, Paulina... – Marta wytarła nos. – Facet figuruje w bazie zaginionych, więc o nim możesz sobie pisać, co chcesz, ale...

– Marta, na razie to prywatna sprawa, do żadnego artykułu.

– Muszę kończyć, klient. – Marta ściszyła głos. – Zadzwoń, jak będziesz wpływała w końcu w ten rejs.

Paulina położyła komórkę na biurku i przez chwilę, oszołomiona, wpatrywała się w przestrzeń.

Piotr spoglądał na Paulinę podejrzliwie. Patrycja wyszła do sekretariatu, a Piotr pochylony nad klawiaturą co chwilę rzucał zaintrygowane spojrzenia na koleżankę.

– Co się stało? – zapytał podekscytowany.

– Marta dzwoniła. – Paulina wciąż zszokowana podniosła wzrok i popatrzyła na Piotra niezbyt przytomnie.

– Jaka Marta? – Piotr nie zrozumiał w pierwszej chwili. – Ta prawniczka? I co? I co? – dopytywał się niecierpliwie.

Paulina odetchnęła i zdała mu relację z rozmowy z koleżanką.

Piotr otworzył szeroko oczy.

– Zaginął? Jak ten Rogala? I akurat jego samochód przez przypadek znalazł się na działce Rogali, a on tam się wkładał? Przecież to jest...

– Na pewno nie on się tam wkładał, skoro zaginął.

– Zaginął, ale niekoniecznie jest tak, że nie żyje.

– Samochód mógł po prostu ktoś ukraść. – Paulina spojrzała na Piotra z politowaniem i postukała się palcem w czoło.

– Tym bardziej podejrzane jest, co robił na działce Rogali. – Piotr drgnął i pochylił się nad klawiaturą. – Wiślana? Wiślana mówiłaś? – upewniał się. Paulina przytaknęła.

– Wiślana, Wiślana... – Piotr mruzczał do siebie, klikając w klawiaturę. Po chwili wbił wzrok w ekran i zaczął studiować mapę w Google Earth.

– To sam koniec Wielgowa – powiedział do siebie. – Pod samym lasem. Po drugiej stronie drogi ciągną się już kilometry kwadratowe Puszczy Goleniowskiej.

Paulina podniosła się, okrążyła biurko i stanęła za plecami Piotra.

– Tam dalej jest przejazd kolejowy, a za nim szpital w Zdunowie – powiedziała i pokazała palcem na monitorze.

Piotr najechał kursorem na białe kółeczko na ulicy Wiślanej i przełączył się na tryb Street View.

Na ekranie ukazał się ukryty pomiędzy starymi sosnami, opleciony dzikim winem, ledwie widoczny z drogi stary przedwojenny dom.

– Wygląda na opuszczony. – Paulina przekrzywiła głowę, usiłując dojrzeć coś pomiędzy gęstymi drzewami.

Piotr zafascynowany wpatrywał się w monitor.

– Musimy tam pojechać – powiedział z przekonaniem.

Paulina westchnęła.

– Po co? Przecież się nie włamiemy do środka, a co możesz zobaczyć z zewnątrz, czego nie widać tutaj?

– A jeśli to tam mieszka ten Hirszfeld?

– Facet się nazywał Kołodziejczyk. Zygmunt. Skąd tam Hirszfeld? Poza tym po co Hirszfeld miałby wkraść się do dachy Rogali na Wyspie Puckiej?

– Hmm. – Piotr oderwał wzrok od ekranu i głęboko się zamyślił.

Paulina dotarła na bulwar na Łasztowni dopiero koło dwudziestej. Parkując przy Zbożowej niedaleko Lastadii, rzuciła okiem na biurowiec. Na pierwszym piętrze, w dwóch sąsiadujących ze sobą wielkich oknach, z postoju, na którym się zatrzymała, widać było jej dawne miejsce pracy. Poczowała ukłucie w sercu.

Dziecinada! Zła na siebie, trzasnęła drzwiami mini i ruszyła chodnikiem w kierunku miejskiej mariny, gdzie przy nabrzeżu stała Pandora.

Oczywiście we wtorek po południu dzwonił do niej i do Piotra prawie wszyscy koledzy z „Dziennika”. Baśka nawet dwa razy, zapowiadając, że tego nie odpuści. Dzięki temu dowiedziała się także o kontrakcie Macieja.

Skurwysyństwo, ale wiedziała, że Maciej jest na tyle dobrym fotografem, że błyskawicznie znajdzie pracę gdzie indziej.

Jakie to śmieszne. Jeszcze tydzień temu o tej porze robiła przegląd ciuchów i szykowała się na trzy tygodnie urlopu na pokładzie luksusowego jachtu, a teraz drugi dzień z rzędu kończy pracę po osiemnastej i cholera wie, co w ogóle będzie z ich wyjazdem. Przypomniała sobie powiedzenie ojca: „Jak chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz mu o swoich planach”.

Przy jachcie na bulwarze oświetlonym złotymi pręgami nisko już stojącego słońca stało kilka osób. Wyglądali na studentów. Na trapie był Morten i coś do nich mówił. Grupa co chwila wybuchała śmiechem.

Ciekawe. To naprawdę ten sam chłopak, którego wszyscy na pokładzie nazywali mrukiem?

Gdy zbliżyła się na tyle, że mogła usłyszeć, o czym mówią, okazało się, że Morten mówi czystym, pięknym hiszpańskim, a grupa młodych ludzi to



studenci na jakiejś wakacyjnej wymianie. Poliglota, proszę, kolejna niespodzianka. Ale właściwie czemu się dziwić. Nic o nim nie wiedziała. Mógł mieć na przykład matkę Hiszpankę. Albo ojca. Przywitała się i łowiąc po drodze jego łobuzerski uśmiech, przemknęła za plecami studentów na pokład.

Na najwyższym poziomie trwała ożywiona dyskusja.

Gdy weszła, Gwen akurat głośno się śmiała.

– Widzę, że humory dopisują. – Paulina przywitała się z wszystkimi i podeszła do barku, żeby nalać sobie soku.

– Śmiejemy się z Igora. Jest tak zestresowany, że wręcz trudno się z nim dogadać.

– Z nim się trudno dogadać niezależnie od tego, czy jest zestresowany, czy nie. – Paulina uśmiechnęła się do Igora i usiadła obok niego. – A konkretnie?

– Jego rodzice przyjeżdżają jutro i zatrzymają się tutaj na noc. – Gwen wprowadziła Paulinę w kulisy hotelowych problemów państwa Flemingów i roześmiała się, widząc naburmuszoną minę Igora.

– Poznacie moją mamę i na pewno nie będzie wam do śmiechu.

– W hotelu Park raczej nie dojdzie do żadnego zamachu – Paulina zmieniła temat, gdy już skończyli się śmiać z kolejnych żartów z Igora i jego wspomnień z wizyty w zamku babci Johanna. W pewnym momencie Dermot wspomniał jeszcze Bridget, żonę Jamiego, i wzajemne kpiny i śmiechy oparły się o narodowe angielsko-irlandzkie zatargi.

– Igor przetłumaczył nam twój ostatni artykuł. – Rupert sięgnął po leżący obok tablet. – Te zdjęcia roztrzaskanej wieży katedry są niezłe. Naprawdę może do czegoś takiego dojść?

– Od wczoraj przeszukują tam każdy kąt. Żeby zawaliła się wieża, ładunki musiałyby być podłożone w konkretnych miejscach, więc pewnie w pierwszej kolejności tam zajrzeli – stwierdził z przekonaniem Igor.

– Hubert mówił, że jakiś jego znajomy konstruktor bierze w tym udział – przypomniała sobie Paulina.

– No więc właśnie.

– Ale my mamy pecha – odezwał się Johann. – Nie dość, że nasze poszukiwania na Bałtyku utknęły...

– W dodatku w momencie, gdy znaleźliśmy wrak – wtrąciła Alice.

– Dokładnie – powiedział z przekąsem Dermot. – To jeszcze wzięliśmy czynny udział w zamachu lokalnych terrorystów. Jako ofiary.

– I profesor Solberg naprawdę nic ci nie wytłumaczył? – Paulina zwróciła się do Johanna. – Nie powiedział, o co chodzi?

– Pewnie sam niewiele wie. – Johann wzruszył ramionami. – Skoro Dania odwołała oficjalną wizytę, podając za powód jakieś dyplomatyczne problemy z Polską...

– Nie uważasz, że to trochę dziwne, że nie powiadomili o tym ciebie?

– Właśnie – odezwał się Jamie. – To przecież ty teoretycznie jesteś szefem.

– Ta wyprawa jest oficjalnie ekspedycją badawczą, współorganizowaną przez duński Uniwersytet Techniczny, więc oficjalne pisma muszą iść oficjalną drogą.

Dermot ciężko westchnął.

– Boję się, że jeśli to rzeczywiście chodzi o ten polsko-duński zatarg o wyłączną strefę ekonomiczną, to mogą nam uwalić wszystko na lata.

– Zaraz. – Paulina podniosła wzrok. – Przecież ten konflikt o strefę ekonomiczną dopiero co został zażegnany. – Mogę zobaczyć? – zapytała Ruperta, który wciąż bawił się tabletem.

– No oczywiście – powiedział, odrywając oczy od ekranu, i podał jej tablet. – „Dziewiętnastego listopada dwa tysiące osiemnastego Rzeczpospolita Polska podpisała z Królestwem Danii umowę kończącą czterdziestoletni spór... – przeczytała – ...godząc się na to, żeby Polsce przypadło jedynie dwadzieścia procent spornych wód...”

– No to nieźle – parsknął Dermot. – Wstaliście z kolan.

– Nie jesteśmy lepsi, wyszliśmy z Unii – warknął Johann.

– Pomijając niekwestionowane sukcesy dyplomatyczne naszych władz – Paulina zwróciła się do Johanna – to w takim razie, o co chodzi Duńczykom?

Johann wzruszył ramionami.

– Pokażcie mapę. – Dermot odwrócił się i wyciągnął rękę po tablet. – Są gdzieś granice tej strefy? Gdzie leży wrak?

– Boże! – jęknął Igor. – Jeśli w Polsce, to koniec. Wydobędą go Rosjanie, przy milczącej akceptacji naszych władz.

– Milczącej? – Paulina parsknęła szyderczo. – To będzie nasz kolejny narodowy sukces. Pewnie Rosjanie w dowód uznania oddadzą nam jakiś świecznik.

– Zostawcie tę skurwiałą politykę! – Dermot pochylony nad otwartym Google Earth zaczął nerwowo wpisywać rzędne zatopionego wraku.

– I co? I co? – Jamie pochylił mu się nad głową.

Na ekranie tabletu ukazał się mały punkcik.

– Jesteśmy w duńskiej strefie. – Dermot głęboko odetchnął z ulgą i zaraz potem jęknął z bólu, opierając się na łokciu i prostując kręgosłup.

– Dzięki Bogu! – Igorowi kamień spadł z serca.

– Nie dzięki żadnemu Bogu, tylko dzięki naszym polskim negocjatorom – roześmiała się Paulina. – Gdybyśmy dostali połowę strefy, to wrak byłby już Rosjan.

– No to o co w końcu wam chodzi? – Jamie popatrzył oskarżycielsko na Paulinę i Igora. – Solberg powiedział, że Polska zażądała wyjaśnień w kwestii prowadzonych prac. Przecież nie macie już nic do powiedzenia!

– Jamie – bąknął z rezygnacją Igor. – Mnie by nie zdziwiło, nawet gdyby Polska zażądała wyjaśnień od wszystkich państw na półkuli południowej, argumentując, że przecież Ziemia jest płaska.

– Ja chyba znowu zadzwonię do stryja. Niech coś zrobi. – Dermot z trudem usiłował dźwignąć się z sofy.

W ciszy, która na moment zapadła po tej deklaracji, rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości.

Paulina sięgnęła po komórkę.

„Odkryłem coś. Nie uwierzysz, co tutaj jest. Jutro rano ci opowiem”. Przez chwilę wpatrywała się w ekranik, po czym stwierdziła, że nie

zamierza czekać do rana, i oddzwoniła. Odczekała pięć sygnałów. Piotr nie odebrał.

Westchnęła, włożyła telefon do kieszeni, przeprosiła i ruszyła na dół do toalety.

Gdy chwilę później poprawiała włosy przed lustrem, zastanawiała się oczywiście, co Piotr znowu wymyślił. Odkrył coś? W związku z czym? I gdzie? W internecie? Jakaś stronę? Czy fizycznie coś odkrył?

Wyszła na zewnętrzny pokład, stanęła przy relingu i wybrała ponownie numer Piotra.

Z góry dobiegały do niej fragmenty głośnej rozmowy, która zatoczyła koło i oparła się ponownie o zamachy i podejrzenia policji względem miejskich aktywistów.

– To co z tego, że jest sympatyczny! – Słyszała, jak Dermot głośno się roześmiał na słowa Igora opisujące Borysa Ignatiuka. – Ted Bundy był przeuroczym facetem, który zamordował co najmniej trzydzieści kobiet. Do końca jego pobytu w więzieniu głupie baby pisały do niego listy miłosne. A Jeffrey Dahmer? Kojarzysz go, Rupert?

– Dlaczego ja akurat?

Baryton Dermota przedarł się przez głośne wybuchy śmiechu.

– Dahmer zabił oficjalnie dwudziestu facetów, w rzeczywistości pewnie znacznie więcej. Swoje ofiary ćwiartował, rozpuszczał w kwasie, a niektóre szczątki trzymał w lodówce.

– Dermot! – Gwen głośno zaprotestowała.

– W jego ogrodzie znaleziono kilka beczek z ludzkimi korpusami, a w piwnicy zamrażarkę z ludzkim mięsem. – Dermot niezrażony kontynuował swój monolog. – A wyglądał jak? Sobie wygooglajcie! Jak supermodel. Ty, Rupert, to neptek przy nim jesteś.

– Spierdalaj! – Paulina usłyszała lapidarną odpowiedź Ruperta, a w tle kolejne wybuchy śmiechu.

– Ale za to na przykład taki Ottis Toole, kanibal, który zamordował i zjadł stu pięćdziesięciu ludzi, wyglądał jak potwór wyjęty z amerykańskich horrorów dla nastolatków. Nigdy nic nie wiadomo.

Komentarz Jamiego, że jeśli chodzi o ten ostatni opis, to wypisz, wymaluj Alice, ponownie utonął w głośnych wybuchach śmiechu.

Paulina jeszcze raz wybrała numer Piotrusia i odczekała kolejnych pięć sygnałów, wpatrując się w przechadzające się po bulwarach tłumy ludzi.

Co za pętał!

Może coś akurat robi, a komórkę zostawił na przykład na stole w kuchni? Albo akurat nie może odebrać. Próbowwała go usprawiedliwić, ale pomyślała, że jutro go ochrzani. Kto tak robi? Żeby pisać, że coś odkrył, a potem nie odbierać telefonu. Co za dziecinada!

– Zły dzień? – usłyszała nagle czyjś głos za plecami.

Odwróciła się. Metr obok, oparty o reling, stał Morten. Zamiast bluzy z kapturem, do której zdążył już wszystkich przyzwyczać, miał na sobie biały T-shirt. Jego długie ciemne włosy opadały w nieładzie na ramiona.

– Na szczęście mam go już za sobą. – Paulina uśmiechnęła się do chłopaka. – I w zasadzie nie był taki zły. A przynajmniej nie taki jak wczorajszy.

– To dobrze. Wczoraj sprawiałaś wrażenie bardzo przybitej.

– Nie mówiłam, bo generalnie nie ma się czym chwalić, ale wyleciałam z pracy.

– Hmm. – Morten kiwnął głową. – Ktokolwiek cię zwolnił, jest frajerem.

Paulina się roześmiała.

– Przecież nawet nie wiesz, co robię. Może jestem w tym wyjątkowo kiepska.

– Pracuję tutaj. – Morten uśmiechnął się lekko. – Właściwie to należałoby powiedzieć, że kręcę się tutaj, więc słyszałem przecież, że jesteś dziennikarką. Nie wierzę, że jest coś, w czym jesteś kiepska.

Paulina spojrzała z rozbawieniem na chłopaka.

– No właśnie. Johann cię zatrudnił jako nurka, a tymczasem od tygodnia stoimy w porcie. Nie masz dość?

– Skoro płacą... – Morten wzruszył ramionami. – Może trochę. Czasem się nudzę. Ale to niezwykła dla mnie odmiana.

Paulina pokiwała głową. Bulwarem przeszła grupa młodych ludzi, głośno wymieniając komentarze na temat białego jachtu. Na pasażu paliły się już latarnie, rzucając jasne plamy na chodniki, ale niebo nad portem wciąż jeszcze było granatowe.

– Słyszałam, że studiujesz.

– I pracuję jednocześnie. Prawdziwy ze mnie ideał.

– Mówisz doskonale po hiszpańsku. Jak cię usłyszałam, to pomyślałam wręcz, że masz jakieś hiszpańskie korzenie.

– Jestem ciekaw, co powiesz na mój francuski w takim razie.

Morten znowu się uśmiechnął, a Paulina sama siebie zgañała za pomysł, że to w ogóle mogło być dwuznaczne.

Ale zanim zdążyła pomyśleć o czymś innym, Morten pochylił się i ją pocałował.

Godzinę wcześniej, nim Morten, wprowadzając ją w kompletne osłupienie, pocałował Paulinę, Piotr otwierał właśnie puszkę heinekena i szykował się do wieczoru przy kolejnych odcinkach jakiegoś serialu, który miał sobie dopiero wybrać z długiej listy czekających na obejrzenie.

Ale zadzwonił telefon.

– Nie spodziewałam się, że będziesz takim bucem – warknęła na niego niezadowolona Aga. – Rozumiem, kupa roboty, ale mogłeś przynajmniej oddzwonić. Jak potrzebowałeś przysługi w laboratorium, to...

– Jejku, Aga, przepraszam! – Piotr przypomniał sobie, że rzeczywiście Aga dzwoniła we wtorek, a on się rozłączył i obiecał odezwać. – Nie wyobrażasz sobie, co się stało właśnie wtedy, jak rozmawialiśmy. – W kilku malowniczych zdaniach opisał całą sytuację, dodając, w charakterze przerywników, mnóstwo bardzo nieparlamentarnych określeń i aluzji.

– Ja dziękuję! Zwolniła was? Naprawdę? Oboje? – W głosie Agi, bezpiecznej na uniwersyteckim etacie, brzmiało autentyczne niedowierzenie.

– Paulinę zwolniła – poprawił Piotr. – Ja sam odszedłem. Zresztą nie miałem skąd odchodzić tak naprawdę. Przecież robiłem tam tylko umowy o dzieło.

- Jezu, jaka wiedźma. A jak ten nowy portal?
- W porządku. – Piotr wypił łyk heinekena i ułożył się wygodniej na kanapie. – Chyba nie będzie źle. Tyle że to kolejna śmieciówka.
- Według prognoz z powodu zniszczenia środowiska koniec świata ma być za trzydzieści lat, więc i tak nie doczekasz emerytury.
- No w sumie masz rację.
- Sprawdziłeś tę firmę?
- Jaką firmę?
- Jezu! Piotr! Ja rozumiem, wywalili was z roboty, ale nic a nic nie słuchałeś?! W ogóle coś pamiętasz? Gadałam dwadzieścia minut!
- Pamiętam, że jakaś hurtownia kwiatów splajtowała.
- O Chryste! To opowiem ci od początku.

Po piętnastu minutach Aga dobrnęła ponownie do momentu, w którym Piotr przerwał rozmowę.

– ...No i zadzwoniłam do właściciela terenu, że niby prowadzę badania nad procentowym udziałem roślin zimozielonych w ofercie handlowej i zbieram dane statystyczne. No i dał mi namiary na tego nowego najemcę. Ulica Pszenna w Zdrojach. Wprowadzili się tam piątego lipca. Firma się nazywa JA-RO. Usługi budowlane.

Piotr wypił kolejny łyk piwa, zastanawiając się, dlaczego właściwie to niby ma go interesować, po czym prawie się zakrztusił.

Kasłając, odstawił puszkę na podłogę i zerwał się z kanapy. Rogala, a ten jego wspólnik przecież nazywał się Jarost. JA-RO. Cała partia hibiskusa usychająca w jakimś baraku.

No to przecież... I ten Hirszfeld, który u nich pracował, a którego poszukuje policja.

– Aga! Jesteś cudowna! Odwdzięczę ci się jakoś! Muszę kończyć teraz. Pa, pa.

Rozłączył się i w pierwszej chwili chciał od razu zadzwonić do Pauliny, ale potem sobie przypomniał, że pisała te artykuły i wczoraj, i dzisiaj do osiemnastej i pewnie teraz się relaksuje z tym swoim Igorem. Nie będzie jej przecież przeszkadzał. Do jutra nic się nie stanie.

Chwycił czarną bluzę z kapturem i plecak i wypadł na klatkę schodową.

Pętla ósemki była na obrzeżu Zdrojów, prawobrzeżnej dzielnicy Szczecina, dawniej małego miasteczka przycupniętego pod wzniesieniami Puszczy Bukowej.

Piotr całkiem spory odcinek od Łasztowni poświęcił na oglądanie rozmowy z sierżantem szefującym prowadzonym obecnie czynnościami zabezpieczającym katedrę i z proboszczem parafii św. Jakuba Apostoła. Redaktor szczecińskiego radia usiłował studzić atmosferę, ale na forum i tak nieustannie padały pytania o to, czy miasto jest przygotowane na ewentualne zawalenie się wieży na okoliczne domy i ulice.

Piotr, wysiadając z tramwaju, ledwo zdołał się oderwać od wizji, w której najwyższa w Polsce wieża kościelna, jak w jakimś filmie fantasy, wali się z łoskotem na kilka kwartałów kamienic.

Ulica Pszenna, jak zdążył w międzyczasie sprawdzić w Google, była prawie już na Bukowym, naprzeciwko lasku w Klęskowie. Z pętli ósemki jeździło parę autobusów w tamtą stronę, ale piechotą było jakieś dziesięć minut, więc dał sobie spokój z czekaniem i pomaszerował.

Dotarł do głównej drogi, pomiędzy Zdrojami a Bukowym, minął wznoszący się na wzgórzu pałac, nazywany Zielonym Dworem, w którym jeszcze do niedawna mieścił się dom dziecka. Teraz od kilku dobrych lat tę ogromną rezydencję miasto usiłowało sprzedać i bez powodzenia szukało nabywcy. Minął skrzyżowanie przy Mącznej i wszedł w końcu na Pszenną.

Wąska droga zagospodarowana była jedynie od strony północnej, jej południową granicę zajmował natomiast mroczny masyw lasku w Klęskowie.

Gdy tramwaj zatrzymał się na pętli ósemki, powoli zaczynało zmierzchać, a gdy Piotr szedł chodnikiem wzdłuż Pszennej, zaczynało się już robić całkiem ciemno. Miejsce, w którym do niedawna znajdował się Różany Ogród, a obecnie magazyn firmy JA-RO, położone było w niezabudowanej części ulicy. W pewnym momencie kończyły się stare domy i zaczynały działki porośnięte dziczejącą zielenią, w której poukrywane były, schowane teraz w ciemności, hangary i magazyny.



Piotr się zatrzymał. Kilka metrów dalej zaczynało się ogrodzenie, w którym pośrodku była stalowa, pordzewiała brama. W głębi działki stały wielkie namioty, a bliżej ogrodzenia stalowo-murowany hangar. Przy małej budce strażnika paliła się latarnia, ale wewnątrz było ciemno.

Piotr rozejrzył się. Po drugiej stronie ulicy lasek Klęskowo, będący właściwie parkiem, zrobił się już całkiem czarny, tylko gdzieniegdzie przebierały przez niego światła osiedla na Bukowym.

Włożył na głowę kaptur i zbliżył się do płotu nieruchomości.

Ściana magazynu była może ze trzy metry od płotu. Mieściło się w niej jedno spore zakratowane okno podzielone na kwatki stalowymi szprosami. W kilku kwatkach szyby były zbite.

Piotr pomyślał, że raz kozie śmierć, chwycił za stalową ramę siatki i zwinnie przeskoczył na drugą stronę. Na moment skamieniał, czekając na ewentualne ujadanie jakichś krwiożerczych dobermanów, które wypadłyby z obślinionymi pyskami zza winkła, a gdy to się nie stało, przemknął się do ściany magazynu.

Złapał za kraty i wspiął się na podmurówkę. Wyjął z kieszeni komórkę, włączył tryb latarki i zajrzał przez jedną ze ślepych kwatek do wnętrza.

Najpierw zobaczył las kikutów, które wystawały ze sporych czarnych donic, a trochę dalej przyczepkę wyładowaną jakimiś workami i małą koparkę. Za nią majaczył ciemny kształt osobowego samochodu.

Piotr wsadził telefon do wnętrza, chcąc oświetlić jak największą część magazynu, ale jego dalsze rejony i tak pozostały w mroku.

Zeskoczył i podszedł do narożnika budynku. Plac na środku hurtowni był pusty. Obok magazynu rósł spory krzew doświadczonego przez życie bzu.

Piotr przemknął pod jego koroną i zatrzymał się przy bramie wjazdowej do hangaru.

Była zamknięta na kłódkę, ale tuż obok niej znajdowało się kolejne okno.

Piotr odwrócił się, rozejrzył po obejściu, po czym wskoczył na podmurówkę i zajrzał do środka budynku. To, co zobaczył, spowodowało, że omal nie spadł na ziemię.

Krańcowo podekscytowany zrobił zdjęcia, po czym zeskoczył i trzęsącymi się rękami napisał wiadomość do Pauliny.

A potem nagle wszystko spowiała kompletna ciemność.

## Rozdział 36

*piątek 16 sierpnia*

**M**iało od wczesnych godzin rannych przypominało już oblężoną twierdzę. Biorąc pod uwagę przeszłość Szczecina, który przez kilkaset lat miał taki właśnie status, teoretycznie nie powinno być to niczym nowym. Niemniej dla obecnych mieszkańców zamknięte szczelnie przez policję i wojsko kwartały Starego Miasta wokół katedry były zdecydowanie czymś egzotycznym.

Kordon samochodów i ubranych na czarno policjantów chronił dostępu do katedry od każdej strony. Zamknięta była także spora część leżącego u stóp kościoła placu Orła Białego, a do domów w obrębie chronionej strefy przepuszczani byli jedynie mieszkańcy.

Ludzie, jak to ludzie, zaczęli się gromadzić w miejscach, z których można było cokolwiek zobaczyć. Gdy więc zbliżało się południe, balkony okolicznych domów wypełniły się widzami. Kładka nad ulicą Kardynała Stefana Wyszyńskiego, z której roztaczał się malowniczy widok na ogromną wieżę kościelną górującą nad ulicą zbiegającą ku Odrze, zaczęła przypominać ów most w Czarnobylu, na którym zgromadzili się mieszkańcy Prypeci, żeby oglądać łunę nad płonącym reaktorem.

Nomen omen nieszczęsna kładka nawet ten most przypominała.

Od strony zamku i północnych kwartałów Starego Miasta, na pozapychanych autami uliczkach, ustawiały się samochody ekip telewizyjnych i portali internetowych.

Nad katedrą co jakiś czas przelatywał policyjny śmigłowiec.

Mimo że rzeczoznawcy, którzy od środy obejrzeliby każdy centymetr kwadratowy kościoła, zapewniali, że nigdzie nie znaleźli ładunków,

a przynajmniej w miejscach, które mogłyby zagrozić konstrukcji gmachu, władze wołały dmuchać na zimne.

Ogłoszona w poniedziałek po dramatycznych wydarzeniach na diabelskim młynie żałoba, a także spekulacje dotyczące kolejnego zamachu skupiły na sobie ogromne zainteresowanie zarówno mediów ogólnopolskich, jak i niemieckich, szwedzkich, a nawet duńskich.

Na położonej nieco dalej od katedry części placu Orła Białego stoi sobie fontanna z zachowaną barokową rzeźbą. Na imitującym kamienne wzniesienie cokole, z którego spływa woda do basenu w kształcie liścia koniczyny, rozpościera skrzydła biały orzeł. I to od niego, symbolu żywiołów ognia i powietrza, a zarazem królewskiej władzy nad dopiero co przyłączonym do Niemiec księstwem, wzięła się nazwa placu, a nie od polskiego orła, jak wiele osób nadal myśli.

I to tutaj około południa wśród gromadzącego się tłumu ciekawskich stała Paulina wraz z towarzyszącym jej brodatym redaktorem portalu Szczecin & LeftSide i młodym kamerzystą.

– Ale gdyby ta wieża runęła, to byłaby istna masakra – odezwał się chłopak, wpatrzony w kościół. – Nie chciałbym tego oczywiście – dodał, widząc spojrzenia Pauliny i brodatego redaktora.

– Jest dwadzieścia po dwunastej. – Brodacz spojrział na zegarek. – Wejdziemy o pierwszej i potem jeszcze raz o pierwszej trzydzieści. Najpierw porozmawiamy o faktycznym zagrożeniu, o dzisiejszej rocznicy bombardowania Szczecina i czy to ma jakiś związek i tak dalej. – Spojrział na Paulinę. – O pierwszej trzydzieści wchodzimy tylko dla bezpośredniej relacji.

Paulina przytaknęła, uśmiechnęła się przepaszająco i odeszła na bok.

– Czy jest już Piotr? – zapytała, gdy tylko usłyszała głos czerwonołosej Patrycji.

– A co ty się tak denerwujesz? To duży chłopiec. Może gdzieś utknął po prostu.

– Wczoraj był w redakcji o ósmej, a dzisiaj utknął do południa? Poza tym nie odbiera.

– Jak tylko się pojawi, dam ci znać. Może komórka mu siadła?

Paulina nieusatysfakcjonowana rozłączyła się i nerwowo poprawiając włosy, ruszyła w kierunku kamerzysty i brodacza.

Igor połapał się, że nie zostawił w pracowni pieniędzy dla studentów, gdy przerzucał rzeczy w garderobie w swoim mieszkaniu przy Kapitańskiej, szukając czystej koszuli. Na pokładzie Pandory miał już spakowane rzeczy na wyjazd, ale nie przewidział tam żadnych innych ciuchów poza dżinsami, T-shirtami i polarem. Po co, na miłość boską, byłaby mu potrzebna koszula podczas nurkowania i pomiędzy jakimiś zajęciami na środku Bałtyku. Boże! Jaka to niesprawiedliwość losu. Zamiast spędzać ekscytującą przygodę, nurkując do zatopionego wraku z piętnastego wieku, szykuje się do kolacji z rodzicami, przy której uparła się oczywiście lady Gwendolyn.

Wyszarpnął w końcu ciemnoszarą koszulę z krótkimi rękawami i konstatuując, że pewnie matka znowu stwierdzi, że nie potrafi się ubrać jak człowiek, przejechał po niej kilka razy żelazkiem i wpakował do torby. A potem spojrzał na zegar.

Zbliżała się powoli piętnasta.

Rodzice pewnie, a konkretnie mama, siedzą właśnie jak na rozżarzonych węglach na korytarzu Izby Morskiej i czekają na swoją kolej przesłuchania.

Gwen wymyśliła, że gdy przesłuchanie się skończy, prawdopodobnie około osiemnastej, to akurat będzie można zrobić miłą kolację, a mama będzie zachwycona.

Igor stwierdził przy okazji, że wszystkie te opowieści o niewiarygodnej flegmie Anglików, a zwłaszcza angielskiej arystokracji absolutnie nie są przesadzone. A na pewno nie były w przypadku Gwen.

W Szczecinie roi się na ulicach od policji, wszystkie fora internetowe kipią wręcz od komentarzy i katastroficznych wizji zawałającej się katedry, a lady Gwen szykuje kolację przy świecach dla jego rodziców.

Wyjął z szuflady sześć stów dla studentów i chwycił telefon.

Jak oni się nazywali? Ten blondas Miłosz, a ten brodaty brunet chyba Mikołaj, tak. Wybrał numer blondasa i stukając nerwowo palcami w blat stołu, czekał na połączenie.

– Dzień dobry, jak pewnie zauważyliście, zapomniałem wam zostawić kasę – zaczął, gdy usłyszał głos studenta. – Bardzo przepraszam. Za dużo na głowie. Mogę ją teraz podzucić w jakieś miejsce.

– Byłoby bardzo miło. Prawdę powiedziawszy, sami nie trafiliśmy jeszcze do pracowni, ale inwentaryzacja będzie skończona, proszę się nie martwić.

– A co się stało?

– Mikołaj miał mały wypadek. Jest w szpitalu na Unii. Wczoraj go przyjęli.

– Bardzo mi przykro. – Igor westchnął, spoglądając jednocześnie na zegar. Po drodze musiał jeszcze załatwić kilka spraw dla matki, o które prosiła. – Przekaż mu ode mnie, żeby szybko wracał do zdrowia. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Nie, raczej nie – zapewnił chłopak, śmiejąc się. – Ale jakiś zabieg będzie musiał mieć z tego, co wiem. Jakbyś mógł podjechać do akademików na Ku Słońcu, to zejść przed bramę.

Igor stał przez chwilę i bawił się komórka.

Spojrzał w okno. Słońce właśnie powoli zbliżało się do tego momentu, gdy wpadające na strych światło sączyło się przez okna połaciowe od strony zachodniej, rzucając na podłogę wielkie prostokątne plamy.

Przypomniał sobie właśnie, że przecież ma kolegę na Unii, na chirurgii. Nie o to chodzi, że nie wierzył studentom, ale przy okazji pogada z kolegą. Dawno nie mieli kontaktu.

Paulina, gdy na zegarze w studiu wybiła punkt szesnasta, postanowiła podjechać do Piotra na Pomorzany i sprawdzić, co się dzieje. Nie знаła żadnych jego znajomych, nie miała telefonów do rodziny. Może musiał gdzieś nagle wyjechać? Ale przecież by się odezwał. A jego telefon był martwy. Cały czas pojawiał się komunikat, że abonent jest poza zasięgiem sieci albo ma wyłączony telefon.

Piętnaście minut później Paulina zatrzymała się przy Orawskiej i spojrzała do góry. Blok na Pomorzanych, w którym wynajmował mieszkanie Piotr, to był dwunastopiętrowy kloc z wielkiej płyty,

wystyropianizowany w różowo-pomarańczowe ciapki, zgodnie z życzeniem pań ze wspólnoty mieszkaniowej – „żeby było przytulnie i żeby były ciepłe kolory”.

Paulina pchnęła drzwi wejściowe i weszła na klatkę. Wcisnęła przycisk domofonu i odczekała kilka sekund. Po kilkukrotnym powtórzeniu wcisnęła sąsiednie przyciski.

Po chwili zgodnie ze znaną teorią, że trzydzieści procent mieszkańców otwiera drzwi bezwiednie albo akurat czeka na męża wracającego z apteki, rozległ się chrapliwy brzęczyk.

Paulina wbiegła po schodach na parter i wsiadła do windy. Piotr mieszkał na dziewiątym piętrze. Pomyślała, że to pewnie dlatego miał taką kondycję. Plus zumba.

Wysiadła prosto na korytarz pomalowany na równie ciepły i przytulny różowy kolor co fasady i podeszła do drzwi. Ani dzwonek, ani stukanie nie odniosły spodziewanych efektów. Za to niespodziewanie otworzyły się drzwi sąsiada.

– A pani to do kogo? – Jegomość w siateczkowym podkoszulku spojrzał na nią podejrzliwie.

– Nie wie pan, czy pan Piotr nie wychodził gdzieś?

Pytanie było bardzo ogólne i Paulina nie liczyła specjalnie na odpowiedź.

– Od wczoraj nie ma tego łobuza. – Mężczyzna skinął z niechęcią głową w kierunku odrapanych drzwi. – Wiem, bo jak wraca, to tę muzykę murzyńską włącza. Ten hip-hop. I wiadomości w ogóle obejrzeć nie da.

– Od wczoraj? Jest pan pewien? – Paulina obrzuciła mężczyznę uważnym spojrzeniem.

– A co mam nie być? – Mężczyzna wskazał brodą swoje drzwi. – Judasz jest, to i widać. A pani po co właściwie?

– Jestem znajomą z pracy. Jeśliby się pojawił, proszę powtórzyć, żeby zadzwonił do redakcji.

Pożegnała się z obserwującym ją nieufnie mężczyzną i wsiadła do windy.

Zza zamykających się drzwi usłyszała jeszcze komentarz.

– Do redakcji. Myślałby kto, że taka ważna. Kodziara.

Filip z zawieszoną na ramieniu kamerą stał na rogu Grodzkiej i Farnej i z bardzo nieszczęśliwą miną patrzył, jak Ulka poprawia włosy, jednocześnie rozmawiając z kimś przez komórkę.

– No ja mówiłam, że o pierwszej to nie ma szans. Według mnie to będzie wieczorem, po dziewiątej, tak jak koncert był. No dokładnie, bo to logiczne.

Filip jeszcze raz powtórzył w pamięci kolejność ustawień i zdusił w sobie przekleństwo, widząc, jak Ulka żegna się z jakąś swoją koleżanką.

– Wejdziemy zaraz, jak tylko będzie punkt siedemnasta trzydzieści. – Ulka poprawiła białą bluzkę. – Żadnego wybuchu nie będzie, ja ci to mówię. Ale musimy puścić relację na portal.

Filip kiwnął głową.

Maciej, korzystając z wybiegu, że ma do zrobienia montaż na sobotę, odmówił kategorycznie współpracy z Ulką. W jego obronie prawie natychmiast stanęła Baśka. Przeworska więc, niewiele myśląc, Filipowi kazała tutaj przyjść. A on nie miał żadnej wprawy w robieniu relacji na żywo, zajmuje się przecież fotografią i grafiką. Cholerne kretyнки!

– Jedziemy! – Ulka poprawiła włosy i podniosła mikrofon.

– Jesteśmy ponownie na żywo przed naszą szczecińską bazyliką archikatedralną Świętego Jakuba Apostoła. Mija właśnie kolejna złowroga godzina – siedemnasta trzydzieści – jeden z trzech terminów, które – według niepotwierdzonej i nie oszukujmy się, dość niepoważnej teorii – posłużyły złowieszczemu Heilandowi, czyli szczecińskiemu Zbawicielowi Świata, do zaatakowania podstawowych wartości, jakie reprezentuje ten właśnie budynek. – Ulka odwróciła się i wskazała ręką z mikrofonem budowlę. – Ale na szczęście kościół nadal stoi!

Uśmiechnęła się, odwróciła z powrotem do kamery i zaczęła mówić.

Filip oczywiście słyszał jej głos, ale na ekranach widzów wyglądało to pewnie, jakby Ulka poruszała tylko ustami.

Ulka przerwała i spojrzała spłoszona na Filipa.



– Nie działa chyba. Halo! Halo! No nie działa! – krzyczała.

Mikrofon na chwilę najwyraźniej odzyskał sprawność, bo ostatnie słowa musiały nadwerężyć bębunki w uszach widzów „Dziennika Szczecińskiego”.

– Działa! – wrzasnęła Ulka. – Proszę państwa, minęła już pora zagrożenia...

Mikrofon ponownie umilkł, by włączyć się chwilę później.

– Cholera jasna! Jak się to włącza? Coś się przecież tutaj psuje! To wasza sprawka! – Ulka znowu przez moment poruszała wargami.

Filip wszystko to obserwował skamieniały z przerażenia. Bał się odezwać, ponieważ miał świadomość, że to leci właśnie na żywo. Tej świadomości najwyraźniej brakowało Ulce utożsamiającej działanie mikrofonu z kamerą.

Filip wyłączyłby kamerę, ale nie wiedział, jak to powiedzieć Ulce, nie będąc jednocześnie usłyszanym przez widzów.

No to koniec. On też wyleci z roboty.

– To wina Macieja! Specjalne to zrobił! To zwyczajne kurewstwo!

Ulka wygrażała jeszcze przez chwilę kamerzyście, po czym wściekle rzuciła całkiem sprawnym mikrofonem o ziemię.

Oczywiście była nadal na wizji.

Paulina zatrzymała się na parkingu na Łasztowni. Widziała stąd Pandorę, stojącą przy nabrzeżu na początku mariny. Obok niej i za nią wyrastał las białych masztów, a na bulwarze prężyły swoje stalowe cielska zabytkowe dźwigozaury.

Właśnie minęła siedemnasta trzydzieści. Katedra nadal stała, a wokół niej ciągle kłębił się kordon policji i straży pożarnej. Ludzie, początkowo zaaferowani, widząc, że nic się jednak nie dzieje, tracili zainteresowanie tematem. Paulina wiedziała, że przed dziewiątą portale internetowe i Facebook znowu podkręcą atmosferę na tyle, że na ulice wyjdą setki ludzi, żeby pod pozorem spaceru znaleźć się w pobliżu największego szczecińskiego kościoła.

Naprawdę niepokoiła się o Piotra. Od wczorajszego wieczoru nie dał znaku życia. Pluła sobie w brodę, że nie ma żadnych namiarów na jakichś jego przyjaciół, kolegów, na kogoś z rodziny. Nie miała pojęcia, co robić. Powoli zaczęła nabierać przekonania, że powinna powiadomić policję.

Wpatrywała się w białe burty jachtu i światła latarń na bulwarach. Za chwilę przyjadą rodzice Igora. Pomyślała, że musi z kimś porozmawiać. Najlepiej z Igorem. Może coś poradzi. To w ogóle niemożliwe, żeby Piotr zniknął bez słowa. Nawet jeśli musiał nagle wyjechać, bo na przykład coś się stało w domu, czy miałyby jakiś wypadek, to przecież dałby znać. Zwłaszcza że wczoraj napisał, że znalazł coś ciekawego. A jeśli jego zniknięcie z tym się właśnie wiązało?

Nie ma rady, musi zadzwonić do Pawickiego.

Szarpnęła drzwi i wysiadła. Do trapu miała stąd z dwieście metrów.

Przez ten cały dzisiejszy rejwach, niedoszły zamach w katedrze, Piotra, zwłaszcza Piotra, nie miała w ogóle czasu, żeby pomyśleć o wczorajszym pożałowania godnym incydencie z Mortenem.

Jego pocałunek był tak niespodziewany, że w ogóle nie zdążyła zareagować. Nie ma się co oszukiwać, pocałunki facetów, nawet niespodziewane, nie były dla niej ani czymś nowym, ani czymś specjalnie szokującym. Dziewiętnasty wiek skończył się jakieś sto dwadzieścia lat temu.

Niemniej należało coś z tym zrobić.

Morten zaraz po fakcie odsunął się, popatrzył na nią – to dziwne – ale wcale nie przestraszony czy speszony, raczej zaskoczony tym, że stracił nad sobą kontrolę. To chyba najlepiej opisuje jego reakcję. Przeprosił, powiedział, żeby się nie gniewała, i szybko sobie poszedł.

Ile ten chłopak mógł mieć lat? Studiuje, więc dwadzieścia kilka najwyżej.

Czy on ją podrywał?

Albo co gorsza, wziął ją za jakiegoś kuguara?

Przypomniała sobie, że zwróciła wczoraj uwagę, że jest bardzo atrakcyjny. Gdy wcześniej przemykał gdzieś po pokładach, ukryty pod tym swoim kapturem, to w ogóle nie oceniała go jako faceta, w ogóle go nawet

nie zauważała. Wczoraj dopiero spostrzegła, jak bardzo jest przystojny, a właściwie chyba nawet w środe, gdy po raz pierwszy ją zaczepił.

Może ci młodzi faceci pracujący na luksusowych jachtach są przyzwyczajeni do takich sytuacji? Może on właśnie myślał, że ona tego oczekuje? Coś jak te turystki jeżdżące samotnie do Egiptu czy Tunezji. Gdy nie zareagowała, to stwierdził, że niestety spudłował. No to już gorzej być nie mogło.

Olsson wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku śmigłowca. Na płycie lotniska stała grupa policjantów. Olsson poczuł na twarzy chłodny, rześki podmuch wiatru i drobne krople wody. Nie przepadał za morzem, ale mieszkając w Kopenhadze, czy chciał, czy nie chciał, miał je i tak na co dzień.

No i jego pracodawcy lubili morskie wypady swoim jachtem. Nie zawsze im towarzyszył, czasem w sprawdzonych przewidywalnych okolicznościach wystarczała obecność dwóch–trzech chłopaków.

Kjaer stanęła i poczekała, aż cała grupa zbierze się przy niej.

– Lądujemy w Szczecinie, gdzie przejmuje nas lokalny oddział antyterrorystyczny. Cała operacja musi być absolutnie dyskretna. Możemy mieć jedynie nadzieję, że Polacy są profesjonalistami, bo to oni będą rządzić. Jeżeli coś pójdzie nie tak, nawet w minimalnym zakresie, będziemy musieli się od razu wycofać. Nie ma miejsca na żadne filmowe akcje. Czy to jest zrozumiałe?

Policjanci zgodnie potwierdzili.

Silnik helikoptera zaryczał, a śmigła zaczęły się obracać, coraz szybciej młóćąc powietrze. Policjanci jeden po drugim wskoczyli do brzucha wielkiej wojskowej maszyny, Olsson wszedł na samym końcu. Drzwi zasunęły się za nim.

Śmigłowiec powoli uniósł się w powietrze, zakręcił i szybko nabierając prędkości, odleciał na południowy wschód.

Igor wyszedł na pokład i wychylił się przez reling. Czy to możliwe, że rodzice nie mogą tutaj trafić? Była siedemnasta trzydzieści, a po matce

i ojcu ani śladu. Wprawdzie uprzedzili, że to przesłuchanie może potrwać, ale bez przesady. Dwie i pół godziny?

Jakby w odpowiedzi na jego wątpliwości zadzwonił telefon.

– Igor, ojciec właśnie parkuje pod tym brzydkim ceglanym biurowcem. Gdzie stoi ten statek?

– Po co ty się pytasz? Przecież ja wiem, gdzie stoi – dobiegł go przyciszony głos ojca. – Trafimy.

– Tak jak tutaj trafiliśmy? Ojciec zamiast na most Długi pojechał Trasą Zamkową, upierając się, że to ta sama droga. A potem wyjechał z miasta i dotarł prawie do Dąbia, zanim się zorientował, że trzeba było skręcić.

– Już nie przesadzaj.

Igor westchnął.

– Jest biały – powiedział z rezygnacją. – Nie ma możliwości, żebyście go nie zauważyli.

– Prawie wszystkie jachty są białe. – Igor słyszał, jak matka trzasnęła drzwiami ich starego mercedesa. – Co ty mi tutaj opowiadasz?

– Anno – w tle odezwał się ojciec. – Daj chłopakowi spokój. Idziemy.

Igor nie wiedział, jak to się działo, ale w kontakcie z rodzicami, zwłaszcza matką, cofał się w czasie i stawał ponownie nastolatkiem, który za moment się obrazi, trzaśnie drzwiami i zamknie w swoim pokoju.

Dziesięć minut później Igor, cały czerwony, patrzył, jak jego matka i ojciec wchodzi po trapie w asyście ubranych w galowe stroje stewardów Patricka i Harry'ego.

Matkę najwyraźniej nieco zszokowała wielkość Pandory, bo nie odzywała się aż do momentu, gdy nie zobaczyła nakrytego stołu na najwyższym zewnętrznym pokładzie.

– Igor – syknęła do stojącego za jej plecami syna. – Czy ty wiedziałeś o tym? Ja i ojciec w tych starych łachach na kolacji u lordów? Ja myślałam, że po prostu wejdziemy gdzieś od tyłu i dostaniemy małą wygodną kajutę.

– Mamo. – Igor westchnął po raz nie wiadomo który. – Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Bardzo mi miło. Mam nadzieję, że pani mnie pamięta. – Johann uklonił się Annie. – Gościliśmy w państwa domu.

– Oczywiście, młody człowieku. – Anna uśmiechnęła się, odpowiadając całkiem poprawną angielszczyzną. – Pamiętam, że smakowały ci moje drożdżowe ciastka.

– Do tej pory je wspominam. – Johann mrugnął do Igora, który zaskoczony wpatrywał się w matkę z niedowierzaniem.

Kiedy ona zdążyła nauczyć się tak dobrze angielskiego?

Wiedział, że do Dalewa do pensjonatu przyjeżdża coraz więcej Niemców i Szwedów, zwłaszcza jak ojciec uporządkował stary park podworski i zrobił pomost nad jeziorem, ale nie sądził, że matka tak się w tym odnajdzie.

Pół godziny później wieczór trwał w całkiem sympatycznej atmosferze i wbrew obawom Igora nie skończył się jego kompromitacją. Spodziewał się, że ojciec zacznie tradycyjnie opowiadać o jego przygodach w liceum, a matka nagle nie wiadomo skąd wyciągnie jakieś upiorne fotografie. Ale, jak widać, tego, co zrobi matka, nijak nie dało się przewidzieć.

Martwiło go trochę rozkojarzenie Pauliny. Nie miał czasu, żeby porozmawiać z nią dłużej, ale widział, że coś ją gryzie. Chciał się właśnie do niej przysiąść, gdy zadzwonił jego telefon.

– Przepraszam, że dzwonię o tej porze. – Igor w pierwszej chwili nie poznał głosu. – Daniel Ratajczak, menadżer projektu Docklands Developer. Czy możemy się pana spodziewać dzisiaj na budowie?

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział ostrożnie Igor. Czyżby obiecał Jarostowi, że wpadnie?

– Rozumiem, tak tylko pytałem. Panie Igorze, pewnie już pan słyszał, że będziemy chcieli zamówić u pana projekt rekonstrukcji spichlerzy? Jestem w Szczecinie do poniedziałku. Czy moglibyśmy się spotkać?

– Oczywiście. – Igor wstał i odszedł na bok. – W poniedziałek jestem do dyspozycji.

– No to doskonale. Pozwolę sobie zadzwonić z rana. Przepraszam za telefon, ale godziny tych prac rozbiórkowych są niestety takie, jakie są.

Właśnie przyjechałem z Poznania.

– To państwo nalegaliście przecież. – Igor oparł się o reling.

– Godziny to konkretnie ustalał projektant, który uzgadniał je z miastem. I tak cud podobno, że miasto zgodziło się, żeby to się odbyło tym razem przed północą. I to tylko dlatego, że roboty strzałowe przy tym pierwszym spichlerzu były takie bezproblemowe. No więc tym razem alarm ogłaszamy po dwudziestej pierwszej, a wszystko, mam nadzieję, uda się zakończyć do północy. To więcej nie przeszkadzam, do miłego zobaczenia.

Igor pożegnał się i odetchnął.

Powietrze miało cudowny zapach letniego wieczoru. Nawet tutaj, na nabrzeżu w centrum miasta. Za plecami słyszał, jak jego matka śmieje się z jakiegoś dowcipu Johanna, a ojciec komplementuje Gwen. Prawdziwy cud, ale zanosilo się na to, że wizyta rodziców przejdzie bez żadnych incydentów i bez chaosu.

Ruszył w kierunku Pauliny, kiedy znowu zadzwonił telefon.

– Przeszkadzam? – głos znajomego chirurga ze szpitala na Unii poznał od razu. Ciekawe, że w zamierzonych czasach telefonów analogowych (które pamiętał jak przez mgłę) nikomu jakoś nie przychodziło do głowy, żeby dzwonić i pytać, czy się przeszkadza. – Pytałeś o swojego praktykanta – lekarz ściszył głos. – Nie powinienem ci w ogóle nic mówić. Faktycznie został przyjęty na chirurgię wczoraj, ale dziś przewieźli go na hematologię. Nic więcej nie wiem.

– Hematologia? To coś z krwią?

– Choroby krwi, oddział też się zajmuje transplantacją szpiku. Właściwie to nie byłoby w tym nic dziwnego. Mogli u niego coś tam wykryć...

– Ale co? – Igor zerknął w kierunku Pauliny, która po raz dziesiąty chyba spojrzała na komórkę. Coś zdecydowanie było nie tak.

– To już trzeci pacjent od nas, którego zabrali na hematologię. Jakaś czarna seria. No ale medycyna to nie matematyka. – Kolega Igora skończył filozoficznie. – Muszę lecieć, mam dyżur.

Igor schował komórkę do kieszeni dzinsów i ruszył do Pauliny.

Paulina wyciągnęła telefon, odszukała wiadomość od Piotra i pokazała Igorowi.

– I nie odezwał się do tej pory. – Nerwowo postukała otwartą dłonią w reling. – To w ogóle do niego niepodobne. A już nie do pomyślenia w takiej sytuacji. Heiland, nasza relacja, nagrania na żywo, nowa robota, a ten nie daje znaku życia.

Igor przeczytał wiadomość po raz kolejny.

– Może go zamknęli? – zapytał.

– Słucham? – Paulina spojrzała na niego kompletnie zaskoczona.

– W Szczecinie jest stan podwyższonej gotowości bojowej. Katedra jest obstawiona policją. Może gdzieś wlaźł i go zatrzymali. To byłoby w jego stylu. Boże! – Igor jęknął i wzniósł oczy do nieba. – Matka mnie woła. – Rzucił Paulinie porozumiewawcze spojrzenie i odszedł w kierunku stołu.

Paulina patrzyła na Igora, rozważając to, co powiedział. Czegoś takiego nie brała w ogóle pod uwagę, ale można patrzeć na to i z tej strony.

Co mogły znaczyć słowa, że coś odkrył? I że coś gdzieś jest?

Rzeczywiście. Musiał gdzieś wleźć. To się trzymało kupy. Zatrzymali go i wsadzili na dwadzieścia cztery godziny do wyjaśnienia.

O czym oni ostatnio rozmawiali? Czego on mógł szukać?

Jej komórka zaczęła wściekle pulsować.

Wiadomość od Huberta!

„Nasze relacje mają najwięcej wejść! Szkoda, że nie zgodziłaś się prowadzić tej ostatniej o dwudziestej pierwszej. Patti prowadzi! Narka!”

Paulina w tym momencie dopiero spojrzała na zegarek, konstatując, że zbliża się dziewiętnasta. Nawet nie zauważyła, kiedy upłynęły dwie godziny, odkąd weszła na pokład.

– Co wy macie z tymi telefonami? – zapytał Dermot z dezaprobatą. Wracał właśnie na pokład z dolnych rejonów jachtu. – Wyłącz to i chodź do nas.

Paulina schowała telefon do kieszeni i dała się porwać Dermotowi.

Patrick przystanął obok stołu i pochylił się nad przemiłą starszą panią, żeby zapytać, czy życzy sobie jeszcze odrobinę czerwonego wina. Z tego, co usłyszał, to była chyba matka tego Polaka. Odmówiła, zdecydowanie zasłaniając kieliszek.

Poczuł nagle, jak w kieszeni zawibrował mu telefon.

Uklonił się i obszedł stół dookoła. Gruby Irlandczyk oczywiście kazał sobie dolać. Jakżeby inaczej.

Patrick zgrabnie ominął stół i po chwili zniknął w drzwiach do mesy.

Postawił tacę z butelką i kieliszkami na stole i sięgnął do kieszeni spodni.

Wiadomość.

Otworzył i przez chwilę czekał, aż załączona do niej fotka się załaduje.

Podniósł komórkę do oczu i wbił wzrok w fotografię, na której widać było młodego ciemnowłosego mężczyznę. W jakimś barze z kolegami. Śmiał się, patrząc prosto w obiektyw aparatu.

Patrick otworzył szeroko usta i oderwał wzrok od ekranu komórki, kompletnie zaskoczony. Wiedział, że coś jest nie tak z tym bandziorem! Miał rację!

Tylko co on ma teraz zrobić?!

Musi jak najszybciej jakoś dyskretnie odciągnąć na bok Carleya i mu to pokazać. I to tak, żeby ten bandzior się nie zorientował.

Igor z miną cierpiętnika siedział obok ojca i wysłuchiwał jego rubasznych opowieści na temat tego, jak jego syn w wieku szesnastu lat zaczął chodzić na pierwsze randki i zamiast szwendać się z kolegami spędzał długie godziny przed lustrem, zaczesując swoje kręcone pukle za pomocą lokówki matki.

No więc jednak nie dało się tego uniknąć. A tak dobrze szło.

Johann i Jamie pokładali się ze śmiechu, a tubalny rechot Dermota słychać było chyba na całym bulwarze.

Pół godziny później rodzice Igora stwierdzili, że są bardzo zmęczeni i jeśli wszyscy pozwolą, to pójdą odpocząć. Igor sądził, że chcieli po prostu



zostawić młodych samym sobie, ale w duchu odetchnął z ulgą.

Gwen odprowadziła wzrokiem jego rodziców.

– Gdybyś chciał poprawić dzisiaj włosy, to mogę ci pożyczyć swoją lokówkę. Technologia mocno poszła do przodu od tamtych czasów – zaproponowała, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

– Paulina ma dzisiaj chyba jakiś zły humor. – Johann pochylił się do Igora, gdy skończyli się w końcu z niego natrzęsać.

– Piotr gdzież przepadł. Martwi się o niego.

– Przepadł? – Johann spojrział zdziwiony.

– Od wczoraj nie daje znaku życia. Paulina wizualizuje sobie rozmaite nieszczęścia.

– Na przykład, że stracił pamięć i trafił do szpitala?

– Na przykład – stwierdził Igor. Nagle coś go tknęło.

– Alice – zwrócił się do Angielki. – Co może być powodem, że ktoś, kto poparzył sobie ręce, trafia na chirurgię?

Alice była lekarzem tylko z wykształcenia, pracowała natomiast w firmie farmaceutycznej, o czym zawsze wszystkim przypominała, gdy ktoś pytał ją o jakieś medyczne problemy.

Przez krótką chwilę się zastanawiała.

– Pamiętasz naszą zeszłoroczną wyprawę na Bałtyk? No więc na przykład iperyt. Lub inny środek tego typu, sarin, ogólnie luizyty. Niektóre związki chemiczne oprócz zwykłych poparzeń mogą wywołać znacznie poważniejsze dolegliwości, nawet ogólnoustrojowe.

Igor siedział ze wzrokiem wbitym w stół i zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Miłosz powiedział, że Mikołaj miał jakiś wypadek, nie zapytał ani gdzie, ani o co chodziło. Ale ci dwaj robotnicy ewidentnie poparzyli się na budowie. Prawdopodobnie podczas grzebania gołymi łapami w gruzie. Czy to możliwe, że w tych śmieciach były aż tak trujące odpady? No ale w końcu to port. A po wojnie Rosjanie w ogóle się przecież nie martwili takimi rzeczami. Pamiętał z ostatniego pobytu na budowie, że wszyscy robotnicy mieli rękawice, a ci, którzy pracowali przy załadunku gruzu, nosili nawet maseczki.

Studentom też kazał przecież pracować w rękawicach.

– Co może znaczyć ten trójkąt? – dobiegło go pytanie Dermota, który patrzył najwyraźniej w jego stronę. Zorientował się, że chyba rozmowa zahaczyła ponownie o Heilanda.

– Jeśli w ogóle coś znaczy. – Potarł czoło.

– No raczej tak – odezwała się Paulina. – Skoro miejsca zamachów tworzą trójkąt równoboczny, to chyba nie jest przypadek.

– Zaczynając od tematyki, na której skupiła się twoja była gazeta, trójkąt uosabia Trójcę Świętą.

– Na drzwiach do kibla to chyba u was symbol facetów – mruknął Jamie, a Paulina skonstatowała, że na wyspach tego symbolu nie używano w takim kontekście...

– Nieprzypadkowo. Trójkąt symbolizował męskość. Z kolei w demonologii trójkąt równoboczny, w który wpisane jest koło, to symbol Salomona, wyznacza strefę ochrony przed demonami.

– A skąd to wiesz? – zainteresowała się Paulina.

– Poczytałem sobie przed tym całym wywiadem, ale twój redaktor o to nie zapytał. – Igor uśmiechnął się i wrócił do tematu. – Dla masonów trójkąt to z kolei alegoria najwyższej mądrości architekta świata, demiurga kierującego naszym życiem.

– A w alchemii trójkąt to symbol ognia – dodała Alice.

– A nie pomyśleliście, że Heiland to po prostu jakaś grupa terrorystów, która w ten sposób chce jedynie namieszać? – Dermot wyciągnął się na sofie, poprawiając marszczącą się na bandażach koszulę. – Większość zamachów w Europie to były ostatnio jedynie próby destabilizacji. Najczęściej, co tu dużo mówić, stały za nimi organizacje islamskie. Celem było wyłącznie zabijanie niewiernych.

Johann spojrział powątpiewająco.

– Mnie to bardziej wygląda właśnie na podszywanie się pod terrorystów. Te cytaty. Nawiązujące to do ekologów, to do zabijania uchodźców. A teraz z kolei cytat z manifestu ISIS. Tak jakby celowo chciał wszystkich poróżnić. Wykorzystać rozmaite uprzedzenia.

– Też odniosłam takie wrażenie – przyznała Paulina. – I co gorsza, tak się stało. W ciągu ostatniego tygodnia w mieście było co najmniej kilkanaście napadów na różne ukraińskie, syryjskie czy brazylijskie knajpy. Policja przesłuchiwała środowiska związane z ochroną przyrody, a wczoraj były kolejne pobicia.

Igor chciał właśnie wspomnieć o jeszcze jednym wątku, czyli dzisiejszej rocznicy bombardowania Szczecina, ale akurat podszedł Patrick i spytał, czy może o czymś porozmawiać z Johannem.

Johann przeprosił, wstał i obaj zeszli na niższy pokład.

Paulina nagle sięgnęła po torebkę i wyjęła komórkę.

– Muszę jechać na Pogodno, przepraszam – powiedziała i uśmiechnęła się usprawiedliwiająco. – Miałam dzisiaj strasznie załatany dzień i nawet nie zdążyłam zajrzeć do domu. Zupełnie zapomniałam, że pies i koty nie mają dzisiaj opieki.

Igor wstał.

– Odprowadzę cię.

– Pojadę taksówką. Dałam ci się skusić przecież i wypłam dwie lampki wina – powiedziała z uśmiechem.

– Bierzesz taksówkę? – Gwen, która właśnie instruowała Harry’ego, żeby zapytał, czy rodzice Igora czegoś nie potrzebują, skinęła nagle ręką do kogoś, kto pojawił się na niższym pokładzie. – To po co Johann ten samochód pożyczał? Morten cię podwiezie.

Po chwili usłyszeli odgłos kroków i na schodach pojawił się Morten. Paulina, skrępowana, spojrzała na chłopaka.

Nie pokazał się na kolacji z rodzicami Igora. Nawet dziwiła się, że tak zniknął. Teraz okazało się, że dopiero właśnie wrócił z miasta.

Miał na sobie znowu biały T-shirt, a na głowie czapkę z daszkiem z napisem *Ahoy Szczecin*.

– Dostałem od jakichś dziewczyn – powiedział, widząc zaciekawione spojrzenia.

– Jasne – mruknął Jamie, obserwując go podejrzliwie. – Dobrze się bawiłeś?

– Byłem tu niedaleko. Pod tym wielkim zamkiem na nabrzeżu. To jakaś młodzieżowa strefa. Bardzo dużo ludzi tam przyszło. Wszyscy rozmawiali o katedrze. Nie chciałem przeszkadzać w rodzinnym spotkaniu.

– Rodzinne to trochę za dużo powiedziane – zaprzeczył Igor. – Moi rodzice zatrzymali się w Szczecinie. To wszystko.

– Mam nadzieję, że nie piłeś. – Gwen uniosła brwi. – Chciałam cię prosić, żebyś odwiózł Paulinę.

– Z przyjemnością. Nie wypłem ani kropli.

Morten poprawił czapkę z daszkiem i przelotnie spojrzał na Paulinę. Odniosła wrażenie, że w jego oczach dostrzegła jakiś łobuzerski błysk.

Albo za dużo wypła.

Dziesięć minut później w całkowitym milczeniu siedziała w białym suzuki i dyskretnie obserwowała, jak Morten wyprowadza samochód z parkingu. Po chwili wyjechali na ulicę i SUV potoczył się w kierunku urzędu celnego.

– Słuchaj – odezwał się Morten. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Wygłupiłem się trochę...

Paulina, która takiej właśnie rozmowy się obawiała, podziękowała w duchu opatrności, że akurat zaterkotała jej komórka. Notabene irytowało ją, że Morten w najmniejszym nawet stopniu nie okazywał onieśmienia. Wprost przeciwnie, był bardzo pewny siebie.

Profesjonalista, cholera.

W przeblysku świadomości zastanowiło ją, kto może do niej dzwonić o tej porze i może to coś z Piotrem. Odebrała.

Baśka. No nie.

– Cześć, zakładam, że po dzisiejszym dniu jeszcze nie śpisz. W katedrze mają zamiar czuwać przez całą noc. Maciej dał się uprosić i pojechał, żeby nagrać wieczorny materiał. Z Szymkiem, tym stażystą, wyobrażasz sobie? A wiesz dlaczego? Widziałaś relację Ulki? – Baśka zaczęła się krztusić ze śmiechu. – Cały internet już się z tego nabija. Ale Filip to raczej wyleci w poniedziałek, chyba że poszuka sobie szybko prawnika. Katedra się wprawdzie jeszcze nie zawała, ale relacja Ulki to będzie prawdziwy

przebój na YouTube. Przeworska prawie od razu kazała to ściągnąć z naszego kanału, ale w internecie nic nie ginie. Obejrzyj koniecznie, wysłałam ci link.

Morten skręcił za tymczasowym, stojącym już od dobrych kilku lat namiotem opery i podjechał do głównej drogi. Zatrzymał się, czekając na instrukcje, gdzie ma skręcić.

Paulina pożegnała się z Baśką i od razu zajrzała do poczty. Po chwili z niedowierzaniem wpatrywała się w wyczyny byłej koleżanki z pracy.

Biedny Filip. Prawnika?

Podniosła wzrok znad ekranu komórki.

Marta!

Marta przecież znalazła właściciela tego starego opla. Jak on się nazywał? Kołodziejczyk chyba. Zaginął. Jakiś stary dom w Wielgowie. Jaka to była ulica?

Zaczęła gorączkowo otwierać przeglądarkę. Po chwili sunęła palcem w Google, szukając Wielgowa. Zaraz za przejazdem. Tam dalej jest szpital. Wiślana!

Taki stary opuszczony dom.

Boże! Przecież Piotr nawet mówił, że muszą tam pojechać.

Przypomniała sobie noc na Wyspie Puckiej, samochód, który nagle się zatrzymał, i oni z Piotrem przerażeni w krzakah. Mimo że tylko to sobie wówczas wyobraziła, wzrok mężczyzny w lusterku wstecznym znowu stanął jej przed oczami, wywołując dreszcze na plecach.

Uprzytomniła sobie nagle, że Morten cały czas czeka, aż powie mu, dokąd ma ją odwieźć.

– Mam do ciebie prośbę. – Spojrzała na niego z namysłem.

## Rozdział 37

*WTEDY...*

*Niebo nad Szczecinem,  
16 sierpnia 1944 roku godz. 21.30*

**G**dyby tej sierpniowej nocy, z szesnastego na siedemnastego sierpnia, była brzydka pogoda, gdyby niebo zaciągnięte było chmurami lub padały deszcz, prawdopodobnie wszystko potoczyłoby się inaczej. Możliwe, że Dowództwo Lotnictwa Wojskowego Wielkiej Brytanii zrezygnowałoby z operacji lub przełożyło ją na inny termin.

Tak się jednak nie stało.

Niebo tej nocy było czyste i już od zmierzchu było widać gwiazdy. Zwłaszcza że przez zaciemnienie całe połacie miasta pogrążone były w mroku.

Brytyjski marszałek Królewskich Sił Lotniczych Arthur Travers Harris w wydanej po wojnie książce wspominał, że wyszkolenie członka załogi bombowca kosztowało w czasach wojny dziesięć tysięcy funtów, co pozwalało posłać na trzy lata do Oxfordu lub Cambridge dziesięciu ludzi.

Lecąca owej letniej nocy ze swoją misją eskadra aliantów liczyła czterysta sześćdziesiąt ciężkich bombowców, a na pokładzie każdego z nich znajdowało się średnio po pięciu ludzi. Ale na przykład ciężki bombowiec Avro Lancaster, którymi latali lotnicy z polskiego Dywizjonu 300, musiał mieć załogę złożoną aż z siedmiu osób.

Te liczby pozwalają uprzytomnić sobie, jak gigantycznym wysiłkiem było wyszkolenie i utrzymanie sił powietrznych. Bardziej złowieszczo brzmiały jednak inne obliczenia brytyjskiego dowództwa, według których każda tona bomb, zrzucona na miasto, pozbawia dwieście osób dachu nad głową.

Eskadra, która szesnastego sierpnia wystartowała z Faldingworth, a około godziny dwudziestej pierwszej zbliżała się do granic Szczecina, miała zniszczyć jeden z najważniejszych ośrodków niemieckiej maszyny wojennej. Wielki port, stocznia, całą ogromną infrastrukturę z koleją, kanałami portowymi, magazynami, siecią dróg lądowych i wodnych, dzięki którym cały ten konglomerat, wliczając w to także niedalekie fabryki benzyny syntetycznej w Policach czy fabrykę silników lotniczych w Załomiu, działał jak dobrze naoliwiona maszyna.

Pół godziny po starcie, gdy eskadra znajdowała się nad Morzem Północnym, radiotelegrafista z jednego z siedmiu bombowców Avro Lancaster polskiego Dywizjonu 300, prowadząc zwyczajowy „nasłuch na bazę”, odebrał dziwny rozkaz.

Głównym celem, w który miało trafić kilka ton bomb z pokładu każdego samolotu Dywizjonu, miał być punkt, który nazwano *bull's eye* – oko byka. Były to nabrzeża portowe Łasztowni, a o niej radiotelegrafista wiedział tyle, że to wyspa na prawym brzegu tego szwabskiego miasta.

Jeszcze dziwniejszy rozkaz dostały załogi innych bombowców – za wszelką cenę należy zniszczyć pewien niewielki, zmierzający w stronę portu statek handlowy.

Gdy tajemniczy konwój niemieckich ciężarówek wjeżdżał właśnie na most nad Parnicą, a zegar na wieży kościoła Chrystusa Króla wybijał godzinę dwudziestą pierwszą dwadzieścia, rój bombowców przelatywał właśnie nad ogromnymi pogrążonymi w mroku połaciami Puszczy Goleniowskiej, a do celu pozostało im zaledwie kilka minut.

## Rozdział 38

Zabijanie ludzi jednak wcale go nie kręciło. Nie było w tym nic aż tak ekscytującego jak w manipulowaniu nimi. Potrafił zrozumieć Zodiaka, że polowanie na ludzi dostarcza mu najbardziej ekscytujących doznań, ale to nie była jego bajka.

Znacznie bardziej w dokonaniach tego nigdy nieschwytanego geniusza zbrodni z San Francisco podobała mu się jego zabawa w kotka i myszkę z policją i mediami. Wysyłanie listów z zaszyfrowanymi wiadomościami, nad którymi głowiły się potem całe zastępy cwaniaków. Tylko jeden z szyfrów Zodiaka został odczytany poprawnie. No i nigdy go nie schwytali.

Nie o to chodzi, że zabicie kogoś było dla niego nieprzekraczalną granicą. Nie potrzebował tego, ale czasem było to po prostu niezbędne. Tak jak z Zygmuntem.

Zygmunt naprawdę chciał odejść. Ale tak wiele by to skomplikowało. Pewnie koniec końców, rozwiódłby się z matką i musieliby się wyprowadzić. Jego dalsza rodzina nie spoczęłaby dopóki, dopóty nie położyłaby łapy na starym domu pod lasem.

No więc Zygmunt odszedł, ale niezbyt daleko.

Wiedział, że na starym cmentarzu nikt nie będzie go szukał. Jeszcze do tej pory dzieciaki bały się tam chodzić, a stare baby plotły różne bzdury o duchach i o upiorach.

Miał osiemnaście lat, gdy pozbył się Zygmunta.

Szedł za nim tamtego wieczoru, gdy ojczym po kłótni z matką zabrał swoje rzeczy i wyszedł z domu. Opatrzność chyba sprawiła, że samochód był akurat w warsztacie, bo w przeciwnym razie nie byłoby to takie proste.

A tak wszystko ułożyło się idealnie. Było już całkiem ciemno, a Zygmunt na przystanek poszedł jak zwykle na skróty przez las. Końcowy



mieścił się koło przejazdu kolejowego i od Wiślanej wiodła tam wąska przecinka. Matka nigdy by tamtędy nie poszła. Wybrałaby drogę dookoła, a potem główną drogą, niedaleko szkoły, doszłaby do przejazdu.

Na szczęście to Zygmunt od niej odszedł, a nie odwrotnie.

Problemem był jedynie ciężar tego starego dziada. Ale jakoś sobie poradził. Gdy potem wielokrotnie się nad tym zastanawiał, myślał, że miał jednak mnóstwo szczęścia. Przeprowadzanie się z ciałem przez kawał lasu do starego cmentarza dla zadzumionych mogło się źle skończyć. W każdej chwili ktoś mógł tam skądś wyleźć. Jakieś niewydarzone zakochane pary włóczące się po nocach albo jakaś wracająca ze szpitala na skróty pielęgniarzka.

Ale tak się nie stało.

Cała operacja spowodowała u niego taki przypływ adrenaliny, że żył nią jeszcze bardzo długo, wielokrotnie wracając do tej nocy myślami i łażąc po tym lesie.

A potem życie toczyło się dalej aż do momentu, gdy ktoś wpadł na trop starej tajemnicy.

I od razu wiedział, że musi znowu zabić, żeby znaleźć się na jego miejscu.

\*

Samochód zwolnił na moście nad Płonią i gdy skończyły się bariery energochłonne, zjechał na lewy pas. Z szosy stargardzkiej na lewo odbijała wąska asfaltowa droga biegnąca dalej przez niekończące się połączenie Puszczy Goleniowskiej, która od tego rozstaju dróg praktycznie właśnie się zaczynała. Po kilku kilometrach kolejny zakręt prowadził prosto przed bramę szpitala w Zdunowie.

Ale Morten, słuchając podpowiedzi nawigacji, pojechał prosto. Minął stary budynek dróżnika i samochód przetoczył się po torach, wjeżdżając w las, który zaraz się ponownie skończył. Po lewej stronie pojawiła się szkoła, a zaraz potem pierwsze zabudowania miejscowości.

Morten zwolnił przed zakrętem i wjechał na gruntową drogę.

Paulina rozglądająca się dookoła wzdrygnęła się. Nie przepadała za tym miejscem. Przede wszystkim ten szpital nie kojarzył się jej za dobrze. Dawno temu umarła w nim jej babcia. W ogóle cała ta okolica zawsze wydawała się mroczna.

Droga przemykała pomiędzy ostatnim rzędem domów a drzewami. O tej porze, gdy słońce właśnie chowało się za horyzont, las był tak ciemny, jak tylko ciemny może być las leżący na skraju puszczy.

Morten ponownie zwolnił i wyjrzał z zaciekawiony.

Cywilizowana część osiedla skończyła się jakiś czas wcześniej. Oddalony od drogi, schowany pomiędzy wysokimi sosnami stał stary zapuszczony przedwojenny dom. Z wysokim dachem, stopniowo pożerany przez bluszcz i dzikie wino.

Samochód zjechał na pobocze i stanął, schowany za pniem rozpychającej się pomiędzy sosnami olchy.

– I co dalej? – Morten spojrzał pytająco na Paulinę.

– Nie mam pojęcia – powiedziała bezradnie. Cała ta podróż wydała jej się teraz absurdalna. Co Piotr miałby tutaj niby robić. I co odkryć?

– No to idziemy zobaczyć. – Morten, nie czekając, otworzył drzwi i wysiadł.

Przez chwilę, pełna złych przeczuć, chciała go powstrzymać, ale zdążył już odejść parę kroków od samochodu i stał, przypatrując się ociemniałym oknom.

Paulina, rada nierada, wysiadła za nim.

– Nikt tu nie mieszka – zawyrokowała, gdy Morten pomiędzy drzewami ruszył w kierunku ogrodzenia. Na niskiej zardzewiałej furtce kołysał się kłęb bluszczu, który zarósł ogrodzenie i teraz oplatał murowane słupki.

– Boże, jak tu upiornie. – Paulina rozejrzała się dookoła. Z wolna robiło się coraz ciemniej. Najbliższa latarnia świeciła dobre kilkadziesiąt metrów dalej, dopiero przy drodze.

Morten szarpnął furtkę, ale była zamknięta na zamek, a w dodatku oplatały ją dzikie pnącza.

– Zastanówmy się, co mógłby zrobić twój nieodpowiedzialny przyjaciel, gdyby tutaj się znalazł. – Morten uśmiechnął się łobuzersko i zwinnie przeskoczył przez płot.

– Morten! – syknęła Paulina. – Zwariowałeś?! Przecież ktoś nas zaraz nakryje. To przestępstwo.

– Szukamy przecież zaginionego dziennikarza. – Morten nie przejął się za bardzo ostrzeżeniami Pauliny i wąskim chodnikiem ruszył dookoła domu. – No chodź! – szepnął, odwracając się do niej.

Paulina westchnęła i gratulując sobie w duchu, że założyła dzinsy na wieczór z rodzicami Igora, wspięła się na ogrodzenie i podbiegła do znikającego za rogiem Mortena.

Za domem było klepisko, pod którym widać było miejscami przedzierający się jeszcze przez chaszcze bruk. W narożniku stał murowany garaż, o którego funkcji świadczyła spora brama od frontu i kilka starych, opartych o ścianę alufelg. Do garażu przylegał niewielki budynek gospodarczy, w którym kiedyś pewnie trzymano jakieś zwierzaki.

Do domu od tej strony prowadziły drzwi z niewielkim okienkiem zabitym kawałkiem deski.

Morten podszedł do wejścia, a Paulina zrobiła kilka kroków w kierunku garażu i zajrzała do środka przez oplątane pajęczynami okienko.

To, co zobaczyła, sprawiło, że zmartwiała.

Johann wyszedł na najwyższy pokład i rozejrzył się.

– Gdzie jest Morten? Ktoś go widział? – Spojrzył pytająco na pogrążonych w rozmowie przyjaciół.

– Pojechał odwiedzić Paulinę. Chodź, siądź tu z nami wreszcie – rzuciła Gwen niecierpliwie. – Co Patrick w ogóle chciał od ciebie o tej porze?

– Odwiedzić? Czym?

– Dałam mu kluczyki od tego pożyczonego suzuki. Paulina piła wino.

Johann zagryzł wargi.

– Co się dzieje? – zapytał Igor.

– Sam popatrz. – Johann podszedł, opadł na sofę obok Gwen i wyciągnął telefon w kierunku Igora.

– Kto to jest? – zdziwił się Igor.

– Według Patricka to Morten Knut Haraldsson. Jego znajomi jacyś to zdjęcie skądś wygrzebali. Sprawdziłem właśnie wyszukiwarką grafiki i w Google znalazły się inne jego fotografie. Student Duńskiego Uniwersytetu Technicznego, to się zgadza.

Gwen wzięła telefon i pochyliła się nad ekranem.

– Pokaż to! – Dermot wyciągnął rękę w jej kierunku, a Rupert i Jamie zerwali się i zaglądając Gwen przez ramię, usiłowali dojrzeć coś na ekranie komórki.

– Ja pierniczę! Wiedziałem! – Jamie złapał się za głowę i zmierzwił włosy. – Wiedziałem, że z nim coś jest nie tak!

– To na pewno on? – Alice przekrzywiła głowę, wpatrując się w komórkę.

– To nie wszystko. – Johann westchnął i rzucił na stół notes w czarnej skórce. – Przy okazji wyszło na jaw, kto ukradł klucze. Patrick włamał się do jego kabiny i to znalazł.

– Grzebaliście w jego rzeczach?! – Gwen zmierzyła Johanna wzrokiem pełnym wyrzutu.

– Najpierw to obejrzyj.

Igor, nie czekając na Gwen, sięgnął po notes i zaczął kartkować. Zatrzymał się na jednej ze stron i zdębiał.

Morten wpatrywał się z fascynacją w stojący w garażu samochód.

– Jesteś pewna, że to ten sam? – spytał, gdy Paulina opowiedziała mu skróconą wersję wydarzeń na Wyspie Puckiej.

– Musielibyśmy zobaczyć rejestrację, ale to ten opel. Stara vectra. Poza tym jak tutaj mieszkał właściciel, to co to miałyby być za samochód?

– Może ten twój Piotr właśnie to odkrył.

– I co się mogło stać potem?

Morten odwrócił się i spojrzał na pogrążone w ciemności domostwo.

– No to sprawdźmy. – Nie czekając, ruszył w kierunku drzwi.

– Poczekaj! Nie chcesz się chyba włamywać? – Paulina pobiegła za chłopakiem, ale było już za późno. Morten oderwał deski od okienka i wsadził do środka rękę. Po chwili drzwi stanęły otworem.

Paulina przełknęła ślinę i rozmyślając, że w końcu szczęście się od niej odwróci i pójdzie siedzieć względnie ktoś ją ukatrupi, weszła za nim do środka.

Schody prowadziły na parter, a obok były drzwi do piwnicy.

Morten włączył latarkę w komórce i powoli wszedł na górę.

Korytarz biegł przez całą szerokość budynku, a po jego obu stronach prowadziły wejścia do różnych pomieszczeń. W podłodze skrzypiały stare deski.

Pierwszym pomieszczeniem była kuchnia z wielkim drewnianym stołem, na którym stał kubek i talerz z kilkoma bułkami. Pod ścianą był piecyk gazowy i wypełniony brudnymi naczyniami zlew.

– Ktoś tu jednak mieszka – stwierdził Morten i oświetlił stół.

– Jak tu nas zastanie, to wylądujemy pewnie tam, gdzie Piotr. – Paulinie, której chodziło konkretnie o komisariat, przebiegło przez myśl, że wyraziła się chyba jakoś niezręcznie.

– Sprawdzimy górę? – Morten wskazał ręką schody, gdy już zajrzeli do każdego pokoju.

Paulina zrobiła krok do tyłu i zawadziła ręką o szafkę, z której z potwornym łomotem spadła miska, na dokładkę z całym kompletem sztućców w środku.

– Słyszeli nas chyba w tym szpitalu za lasem – mruknął Morten, pochylając się i przesuwając światłem latarki po ziemi.

Paulina odczekała moment, aż serce przestanie jej tak walić, i poszła za Mortenem.

Drewniane schody skrzypiały praktycznie przy każdym kroku.

Na górze były cztery pokoje i łazienka. Drewniane drabiniaste schodki prowadziły na strych.

– Zwykły stary dom – szepnęła Paulina, stając za plecami Mortena, który rozglądał się po jednym z pokoiów wypełnionym jakimiś starymi szpargałami.

– Została piwnica – rzucił także szeptem, uśmiechając się i otwierając szeroko oczy.

Skrzypiące potępięczo schody sprowadziły ich z powrotem na dół.

– Słyszałaś? – Morten nagle stanął w miejscu i zaczął nasłuchiwać.

– Nie strasz mnie, do diabła!

– Poważnie mówię. Coś słyszałem.

Szarpnął za drzwi do piwnicy. Na skoblu wisiała wielka kłódka. Morten rozejrzał się wokół siebie, po czym zniknął za rogiem i wrócił ze sporym młotkiem.

– Chyba nie chcesz... – Paulina znowu się spóźniła. Stary, zardzewiały skobel odskoczył od drewnianych drzwi, które z łoskotem otworzyły się i walnęły o ścianę.

W tym momencie Paulina chciała w końcu zaprotestować i ruszyć do wyjścia. Przecież muszą być jakieś granice, a to zaczynało wyglądać jak zwyczajne włamanie. Właściwie nie wiedziała, kim jest Morten. Z dużą łatwością przychodziło mu łamanie zasad.

Ale sama usłyszała jakieś odgłosy. Jakby ktoś się dusił i szarpał.

Igor wskoczył za kierownicę toyoty i włożył kluczyki do stacyjki.

– Wszyscy piliście – ściszym głosem zaproponowała Gwen. – Gdzie chcecie jechać?

– Tylko nie mówcie nic mojej matce, błagam – jęknął Igor, patrząc ze strachem na najniższy pokład Pandory.

– Paulina mieszka na Pogodnie, gdziekolwiek to jest. – Jamie wyciągnął w kierunku Gwen komórkę. – A aplikacja pokazuje, że suzuki jest teraz w środku jakiejś puszczy!

– Goleniowskiej i nie w środku – poprawił Igor, ale jemu też wydawało się to mocno podejrzane.

– Dzwoniliście do niej?

- Nie odbiera – stwierdził Johann ze złością.
- Może ta aplikacja jest jakoś nie tak ustawiona? – Gwen sięgnęła po kolejny argument.
- Tu nie ma nic do ustawiania. GPS lokalizuje samochód i tyle.
- Może na przykład facet się pomylił i dał Patrickowi nie ten login. Właśnie śledzimy inny samochód.
- Sprawdzalem to przy nim. – Patrick trzymający się grzecznie na boku, ale przypatrujący się wszystkiemu z ekscytacją, zaprotestował. – Lokalizator działał.
- Jedziemy! – Johann zamknął drzwi.
- To jest kompletne wariactwo – orzekła Gwen i pokręciła głową.
- Wariactwo to jest puszczać ich tam samych – mruknął Dermot i odsunął się od samochodu.
- Połamanećców nie zabieramy! – zdążył krzyknąć do niego Jamie.

Toyota zawróciła i po szutrowej nawierzchni placu przy bulwarze ruszyła w kierunku drogi. Po chwili zjechała na ulicę Zbożową, przejechała pod wiaduktem Trasy Zamkowej, minęła ogrodzony plac budowy niedaleko biurowca Lastadii i pomknęła w kierunku wyjazdu na główną drogę.

Paulina właśnie zaczęła żałować, że komórkę zostawiła w samochodzie. Kto tak dzisiaj robi? Musiało ją chyba coś otumanić. Nie co, ale kto. Gdyby Morten nie wylazł z samochodu i nie poszedł od razu do tego domu, toby się tak nie stało. Myślała, że rozejrzą się i za chwilę wrócą. Dobrze, że on przynajmniej zabrał telefon.

Dlaczego raz na jakiś czas, ale w miarę regularnie zdarzają jej się takie rzeczy?

Snop światła z aplikacji przesuwiał się po wąskim korytarzu. Na jego końcu było okienko otwarte przy samej ziemi na podwórzu. Docierało przez nie jakieś mizerne światło z zewnątrz. Paulina podeszła bliżej i znowu usłyszała ten dźwięk.

Do diabła! Przecież on dochodził z garażu!

– Morten! – krzyknęła do chłopaka, który otwierał właśnie drzwi do kolejnego zamkniętego pomieszczenia. Zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Ten odgłos! Dochodzi z garażu! – szepnęła zdenerwowana i nie czekając, zaczęła się przedzierać po omacku do schodów. Po chwili Morten znalazł się obok niej. Wyszli na zewnątrz.

Paulina podbiegła do okienka w ścianie garażu i wspięła się na palcach.

– Halo! – krzyknęła. W tym momencie z wnętrza dobiegł przytłumiony, ale jeszcze intensywniejszy jęk. A samochód wyraźnie się poruszył.

– Tam ktoś jest! W bagażniku! To Piotr! – krzyknęła, odwracając się do Mortena.

Czy to rzeczywiście Piotr? Dlaczego wcześniej nie krzyczał, tylko teraz? Może dopiero się ocknął?

Morten podbiegł do drzwi i szarpnął. Wisiała na nich kłódka, ale skobel wyglądał na mocniejszy.

Chłopak rozejrzał się po podwórzu, szukając czegoś, czym można by wyrwać skobel ze ściany, ale w tym samym momencie pomiędzy sosnami przemknęły światła, a od strony dojazdu z głównej drogi dobiegł pomruk silnika.

Paulina i Morten spłoszeni spojrzeli na siebie. Światła prześlizgnęły się po ścianie budynku i po chwili wyraźnie już usłyszeli, jak samochód wjeżdża na drogę dojazdową.

Morten złapał Paulinę za ramię i popchnął w kierunku drzwi. Wcisnął ponownie deski w miejsca dziurek wokół okienka, mając nadzieję, że nie wypadną przy pierwszej próbie otwarcia, a następnie zamknął drzwi na zamek.

Spodziewał się, że ten ktoś, kto tu nadjeżdża, wejdzie głównymi drzwiami. Podniósł skobel od drzwi od piwnicy i tak samo prowizorycznie upchnął go na miejsce.

Zbiegli na dół i stanęli przy okienku, z którego widać było wjazd na działkę i kawałek drzwi od garażu.

Oboje znieruchomieli, gdy usłyszeli wyraźne kroki na parterze. Drewniany strop trzeszczał potężnie. Paulinie stanęły przed oczami



wszystkie sceny z amerykańskich filmów i zaczęła żałować, że je oglądała. Ktoś przeszedł przez cały dom, a następnie rozległo się skrzypienie dębowych stopni i nagle głośny rumor odrywającego się od drzwi i upadającego na betonową posadzkę skobla.

Na moment zapanowała cisza. Paulinie wydawało się, że słyszy, jak przez jej tętnice z potwornym szumem przepływa krew.

Poczuła dotknięcie na ramieniu i Morten delikatnie pociągnął ją za sobą. Weszli do najbliższego pomieszczenia. Wewnątrz na wprost stała zamrażarka, a pod dwiema bocznymi ścianami szafy z różnymi puszkami i słoikami.

Wskoczyli za drzwi i schowali się w kącie pomiędzy drewnianym regałem a ścianą.

Na korytarzu rozległy się kroki. Ktoś powoli szedł, tak jakby się rozglądał. Pod drzwiami pokazała się plama elektrycznego światła.

Paulina wstrzymała oddech.

Usłyszeli, jak drzwi do pomieszczeń kolejno się otwierają, tak jakby ktoś do każdego zaglądał. I wreszcie drzwi od spiżarni także ze zgrzytem ustąpiły. Stały otworem i oparły się o regał, za którym stali oboje. Z korytarza do środka wpadło światło latarki, przemknęło po ścianach i na dłuższy moment zatrzymało się na zamrażarce.

A potem cofnęło się i usłyszeli szybkie kroki oddalające się na schodach.

Paulina odetchnęła głęboko. Morten wysunął się z kryjówki i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Na zewnątrz nagle usłyszeli warkot silnika, a po chwili w okienku pojawił się cień samochodu. Trzasnęły drzwi i znowu usłyszeli kroki na parterze.

Morten wślizgnął się z powrotem za regał i prawie jednocześnie na schodach rozległ się odgłos kroków. Światło latarki było coraz jaśniejsze i skakało po ścianach, w miarę jak kroki się zbliżały.

Drzwi od spiżarni ponownie się otworzyły i Paulina zamknęła oczy. Na progu ktoś stał i wpatrywał się w ciemne wnętrze spiżarni.

Minęły może sekundy, które Paulinie wydawały się całymi godzinami, aż tajemniczy osobnik ruszył się i wszedł do środka. Zawiesił latarkę na skoblu pod sufitem i podszedł do zamrażarki. Wyjął z kieszeni klucz

i otworzył wiszącą na niej kłódkę. Podniósł pokrywę i wyprostował się. Słyszeli, jak westchnął, a następnie pochylił się i zaczął wyciągać jakiś ciężar.

Gdy nad brzegiem chłodziarki pojawiła się martwa zamrożona twarz, Paulina otworzyła usta i bezwiednie krzyknęła z przerażenia, gdyby Morten nie zakrył jej ust ręką.

Toyota jechała prawie sto dwadzieścia na godzinę. Minęła zjazd na S3 i wjechała pomiędzy szpaler drzew, który ciągnął się aż do Płoni, małego osiedla na obrzeżach Szczecina.

– Miałem rację! – Jamie powtórzył to po raz czwarty. Johann miał ochotę go udusić. – Jak mogłeś w ogóle go nie sprawdzić?

– Jeszcze nic nie wiemy – odburknął. – Może to się wszystko da jakoś w prosty sposób wytłumaczyć.

– Paulina nie odbiera od pół godziny, on też. Zamiast do domu zabrał ją do jakiejś puszczy. Nie wierzysz chyba, że nagle postanowili pojechać sobie naokoło, żeby dla relaksu pooglądać żubry!

– W Puszczy Goleniowskiej nie ma żubrów – odruchowo zaprotestował Igor. Ale sam zachodził w głowę, jak to się stało, że nagle Paulina i ten cały Morten znaleźli się razem w lesie.

– Jest jeszcze jedna możliwość. Tam jest szpital. Może coś się stało. Może dlatego nie odbierają.

– Boże! – jęknął Johann.

Mężczyzna przeciągnął zamrożone zwłoki przez całą spiżarnię i wywłókł je na korytarz. Paulina i Morten sparaliżowani ze strachu widzieli, jak martwa upiorna twarz wlecze się po betonowej posadzce i powoli zniknie za drzwiami z ich pola widzenia.

Mężczyzna zdjął latarkę ze skobla i zamknął drzwi. Usłyszeli, jak taszczy makabryczny ładunek po schodach na górę. A potem rozległ się znowu odgłos kroków na parterze i szuranie, jakby ciągnął go gdzieś dalej.

Stłumiony odgłos zamykanych drzwi zewnętrznych i po dłuższej chwili cisza.

Paulina nabrała powietrza w płuca i miała wrażenie, że zrobiła to po raz pierwszy od momentu, gdy morderca, bo to przecież był morderca, bo ktoś inny, wyciągnął zamrożone zwłoki z zamrażarki.

Morten podszedł do drzwi i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Po tych przerażająco długich chwilach, które spędzili w piwnicy, ich oczy nieco przywykły do ciemności.

– Co z Piotrem? – Paulina wyjrzała przez ramię Mortena.

– Bałem się, że ten trup to Piotr. – Morten odetchnął i spojrzał na nią niezdecydowany. – Jesteś pewna, że to nie był on?

– Tak, jestem! – Paulina przytaknęła energicznie i odgarnęła włosy z czoła. – Nie mam pojęcia, kto to był. Boże!

Obiecała sobie właśnie w duchu, że jeśli wyjdzie z tej przygody cało, to odtąd zajmie się wyłącznie przepisami kulinarnymi. Nie pamiętała tylko, czy na portalu Huberta jest w ogóle taki dział.

– Zabrał zwłoki. Może tego twojego Piotra też zabrał. Chce się pozbyć i jednego, i drugiego.

– Morten! – krzyknęła Paulina

Morten nie zareagował.

Usłyszeli nagle warkot silnika i przez okienko na moment wpadła smuga światła, a za chwilę znowu zniknęła.

– Wraca? – Paulina przerażona cofnęła się do wnętrza. – Jak nas znajdzie... – zawahała się. – Sama bym nas zabiła w takich okolicznościach.

– Ciszej. – Morten ostrożnie przymknął drzwi i oboje przyłożyli do nich uszy.

Na zewnątrz powtórnie usłyszeli kroki, jakby ktoś przechodził ścieżką koło domu. Dobięły ich przyciszone głosy, a po chwili skrzypienie drzwi i łoskot wypadającej z okienka deski.

I znowu ostrożne kroki na parterze, a po chwili skrzypienie schodów.

Paulina wślizgnęła się ponownie za regał. Morten schował się za drzwiami.

Kroki powoli się zbliżały. Usłyszeli otwieranie drzwi i po chwili ktoś pchnął te od spiżarni. Otworzyły się, przysłaniając Mortena. Jakaś postać zrobiła krok do środka, światło latarki zatańczyło na regałach.

I wtedy Morten wyskoczył na środek i jednym susem znalazł się za plecami mężczyzny. Ramieniem złapał go za gardło. Mężczyzna zdołał głośno krzyknąć i odwrócił się. Nie zdołał się jednak wyrwać, Morten chwycił go za ramię i przerzucił przez plecy. Paulina usłyszała ciężkie łupnięcie ciała o beton i czyjś zdławiony jęk.

Nagle z korytarza dobiegły krzyki.

– Stój! – rozległ się czyjś przerażony głos.

Snop światła zatrzymał w kadrze Mortena, który chciał właśnie wymierzyć cios, i leżącego na posadzce Igora.

Przez chwilę wszyscy, nie wyłączając Pauliny za szafą, stali nieruchomo i przypatrywali się sobie nawzajem.

– Kurwa! – usłyszeli głos Igora.

– Mówiłem, że to bandzior! – wrzasnął Jamie. – Gdzie jest Paulina, bydlaku!

– Co tu się dzieje, do diabła! – Johann wpadł do środka i gwałtownie odepchnął Mortena. Wyciągnął rękę do Igora i pomógł mu wstać.

– Gdzie jest Paulina? – Igor wyprostował się z trudem i odwrócił do Mortena. – Coś ty jej zrobił?

Paulina nie była jeszcze w stanie wydobyć z siebie głosu, więc pchnęła tylko drzwi, które skrzypiąc, odsłoniły jej kryjówkę.

– Chryste! – Johann rzucił się do niej. – Nic ci nie jest? Co on ci zrobił?

– Nic mi nie zrobił! Chciał mnie właśnie obronić. Boże! Muszę usiąść – jęknęła i oparła się o regał.

Komisarz Barański, szef Pododdziału Antyterrorystycznego Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, choć bardzo długo służył w tej jednostce, nigdy nie spotkał się jeszcze z takim zadaniem. On i jego czworo ludzi siedziało w salce komendy wojewódzkiej i po raz któryś z rzędu słuchało wyjaśnień duńskiej komisarzy policji. Krótkie i treściwe informacje przekazał też Olsson, szef ochrony rodziny.

Reperkusje, jakie mogła wywołać ta afera, nawet w przybliżeniu były niewyobrażalne.

Godzina wybrana na akcję – pierwsza trzydzieści – niepokojąco z czymś mu się kojarzyła.

Stalowa sztaba jęknęła i z trzaskiem odłamała się od drewnianych wrót. Johann z Jamiem pchnęli jeszcze raz i w końcu drzwi się uchyliły, trzeszcząc przeraźliwie.

W ciemnym garażu zobaczyli tył starego opla vectry. Na dachu samochodu leżała częściowo zdjęta brezentowa plandeka.

– ZS zero jeden czterysta dwanaście. – Paulina odcyfrowała głośno rejestrację. – To ten samochód!

Złapała za uchwyt do otwierania bagażnika i pociągnęła. O dziwo, kłapa od razu z cichym zgrzytem pojechała do góry. Bagażnik był jednak pusty.

– Jesteś pewna, że słyszałaś jakiś głos? – Johann zajrzał do wnętrza.

– Oczywiście, że tak! On też słyszał. Morten! – zwróciła się do trzymającego się na boku chłopaka. – Słyszałeś?

Morten skinął głową.

– To nie żaden Morten! Niech on lepiej powie, co to za kręactwo?! – Jamie wyciągnął palec w kierunku chłopaka. – Od początku czułem, że coś jest z tobą nie tak.

– Zostawcie go w spokoju! – Paulina trzasnęła kłapą bagażnika. – Ten morderca przecież porwał Piotra! Musimy zadzwonić na policję. Do tej Halczyszyn albo Pawickiego! Idę po telefon. Morten! Kluczyki.

– Pójdę z tobą. – Morten ruszył za Pauliną i po chwili oboje zniknęli wśród sosen porastających lasek między domem a drogą, na której poboczu stało suzuki.

– Pozwolisz jej z nim gdzieś chodzić? – Jamie spojrzał na Igora. – Dalej nie wiemy, co to za bandzior.

– Jamie! – zniecierpliwził się Johann. – Nie teraz! Jutro z nim porozmawiam. Teraz mamy co innego na głowie.

– Może w domu coś znajdziemy? – Igor ruszył w kierunku drzwi w tylnej elewacji. – Po co on zabierałby Piotra ze sobą?

– Nie chce mi się w to wszystko wierzyć. – Johann podrapał się po głowie. – To jakaś masakra! Może to nie był Piotr i może to nie były żadne zwłoki.

– Tylko co?

– Słyszałeś, co Paulina mówiła. Dom należał do jakiegoś leśniczego. Może to były upolowane zwierzęta? Byli w strachu i zobaczyli to, co podsunęła im wyobraźnia.

– Miejmy nadzieję, że tak to właśnie wyglądało. – Igor pchnął drzwi i wszyscy troje weszli do środka domu.

– Ja się rozejrzę na parterze. – Johann skinął ręką w kierunku kuchni. – A wy idźcie na górę. Może zamknął Piotra gdzieś tutaj? – dodał bez przekonania. – I ma zamiar dopiero po niego wrócić?

Igor złapał za poręcz i ruszył po schodach na piętro.

Jamie włączył latarkę w swoim smartfonie i zaczął się wspinać za Igorem.

– Jak to możliwe, że ta lodówka w piwnicy działa, a światła nie ma?

– Korki – mruknął Igor. – Inny obwód.

– Czyli wyłączył prąd od oświetlenia, a zostawił tylko gniazdka, żeby trup nie zaczął gnić.

– Coś w tym stylu. – Igor miał mętlik w głowie. Teoria Johanna, że Paulina i Morten widzieli zwłoki jakiejś sarny, a w bagażniku poruszał się jeszcze żywy inny zwierzak, była wprawdzie też koszmarna, ale znacznie łatwiejsza do pomyślenia niż teoria, że to ludzkie zwłoki.

Jamie wszedł do jednego z pokojów.

– Tu jest normalne posłanie i w miarę nawet czysto – mruknął, oświetlając wnętrze. – Jak to się stało, że zamiast eksplorować zatopiony wrak, włamaliśmy się właśnie do czyjś domu?

Igor też się nad tym głowił.

Pchnął drzwi i wszedł do największego pokoju.

Jako jedyny członek ekspedycji miał latarkę. A właściwie spory budowlany reflektor, którym omiótł właśnie wszystkie kąty pomieszczenia.

Zatrzymał się. Na sporym stole pod jedną ze ścian, na której na korkowej tablicy wisiało mnóstwo zdjęć, notatek i fotografii, leżała sterta szpargałów. Stare teczki, jakieś dokumenty i brudna torba.

Nic ciekawego, Igor chciał odwrócić się już i wyjść, gdy coś go zastanowiło. Zawrócił i podszedł bliżej.

Światło reflektora przesunęło się po zakurzonych papierach i zatrzymało na zielonym, częściowo spalonym chlebaku.

Paulina, krańcowo zdenerwowana po rozmowie z Iwoną Halczyszyn, chodziła z założonymi na piersiach rękami po podwórzu domostwa.

Morten siedział na kamieniu niedaleko garażu i co chwila rzucał niespokojne spojrzenia w jej kierunku.

Ledwo zresztą się widzieli. Mrok rozjaśniała tylko poświata odległej latarni.

– Słyszałeś, co oni mówili? – Paulina zatrzymała się przed Mortenem. – Że to była sarna! Sama zaczynam już wątpić w to, co widziałam.

– Ja też widziałem trupa. – Morten kopnął kamyk na ścieżce. – A żywych zwierząt nikt przy zdrowych zmysłach nie przewozi w bagażniku. Co z tą policją?

– Nie wiem, czy mi uwierzyli, ale mają tutaj przyjechać. W końcu w tej zamrażarce musiały zostać jakieś ślady, cokolwiek, krew, fragmenty naskórka, DNA.

– Domyślasz się w ogóle, kto to mógł być? Przecież to ty kazałaś mi tu przyjechać.

Paulina pokręciła głową.

– Ten samochód widzieliśmy z Piotrem na wyspie. W domku Szymona Rogali, który kilka tygodni temu zaginął.

– Czyli ten trup to mógł być ten zaginiony facet?

– To pierwsze, co się nasuwa. No bo kto? – Paulina spojrzała na ekran komórki. – No chyba że ten Rogala wdepnął w jakieś porachunki mafijne

i właśnie my też.

Od strony budynku doszedł ich nagle głośny rumor, a następnie zapaliły się niespodziewanie światła w oknach na parterze, po czym zgasły. Po chwili rozległ się wrzask Jamiego, a światła znowu rozjarzyły się upiornie, ale teraz dla odmiany na piętrze.

Na koniec usłyszeli przeraźliwy łomot, jakby ktoś zbiegał właśnie ze schodów, względnie z nich spadał.

Paulina i Morten spojrzeli na siebie, po czym oboje rzucili się do drzwi.

– Co tu się dzieje? – Paulina wpadła do wnętrza domu i zatrzymała się na korytarzyku.

U stóp schodów podnosił się właśnie z ziemi Johann z malującym się na twarzy przerażeniem wymieszanym z wściekłością. Klnąc w dodatku przeraźliwie po angielsku.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – warknął ze złością do Jamiego, który stał oparty o poręcz przy ścianie i głośno oddychał.

Dopiero teraz Paulina zauważyła, że nad głową Jamiego znajduje się otwarta teraz na oścież szafka, a wewnątrz niej starodawna kolekcja porcelanowych bezpieczników.

– Prąd mnie kopnął.

Z kuchni rozległ się nagle odgłos, jakby ruszała właśnie kolej żelazna.

Jamie spojrzał w tamtym kierunku z przerażeniem.

– Lodówka. – Paulina odetchnęła głęboko. – Przecież ja z wami dostanę zawału.

Spokój nie potrwał zbyt długo. Z góry dobiegł krzyk Igora. Cała czwórka rzuciła się na schody i po chwili znaleźli się w progu jednego z pokojów.

Igor stał obok sporego stołu i trzymał w rękach dużą podróżną torbę. Wsadził do środka rękę, nabrał całą garść czegoś, a następnie podniósł i wysypał na podłogę.

Małe przywiedłe okruchy zszarzałych, gdzieniegdzie jeszcze tylko niebieskich i fioletowych płatków rozsypały się po parkiecie.

– Co to jest? – jęknął Jamie.



– Nie widzisz? – Igor rzucił torbę na podłogę. – Jesteśmy w domu Heilanda.

Paulina weszła do pokoju i rozejrzała się dookoła.

– O co tu chodzi? – Spojrzała kompletnie oniemiała na Igora.

– Jak się ten gość, którego policja podejrzewa, nazywał? Hirsz...

– Hirszfeld.

– Może to dom jego rodziców.

– Właściciel nazywał się Kołodziejczyk. Zygmunt.

– No to dziadków ze strony matki, cholera wie zresztą.

– A co to za papiery? – Johann pochylił się nagle z zainteresowaniem nad stołem i wziął do ręki jedną z kartek. – To wygląda jak wydruk. Nie jest stare. Po angielsku – zdziwił się.

– Poufne – przeczytał. – To kopia jakiegoś starego dokumentu.

Igor podszedł, stanął obok i zajrzał Johannowi przez ramię.

– Kraj: Polska strefa okupacyjna – przeczytał. – Temat notatki: Wojska sowieckie w strefie portu. – Spojrzał zdziwiony na Paulinę.

– Wiesz, co to jest? – Johann otworzył szeroko oczy. – To są tajne raporty FBI. Zobacz – wskazał palcem sygnaturę dokumentu – Federal Bureau of Investigation. Ze stycznia pięćdziesiątego pierwszego roku.

– FBI? – Jamie stanął po drugiej stronie Johanna. – Skąd to się tutaj wzięło?

– Jest tego więcej. – Igor wziął do ręki kolejny papier. – Wszystkie dotyczą strefy portu i wojsk sowieckich. „Siedziba dowództwa mieści się na ulicy Piotra Skargi... – przeczytał. – Wojsko posiada trzy ciężarówki... Sowieci okupują strefę portu. Około pięciuset żołnierzy patroluje strefę portu...”

– To są raporty wywiadu. – Paulina podeszła bliżej Igora, spoglądając na trzymany przez niego dokument. – Zimna wojna wtedy właśnie się zaczęła. Ale to nie musi być nic cennego. To wszystko zostało już jakiś czasu temu odtajnione i można znaleźć nawet w archiwum FBI. Zaglądałam tam wielokrotnie.

– Po co Heilandowi były potrzebne te dokumenty? – Igor sięgnął po kolejny i zaczął czytać.

Paulina spojrzała na niego. Miała wrażenie, że zbladł.

– Co tam jest?

– *From unconfirmed information obtained in the Soviet controlled zone (Stettin) – the German operation Heiland der Welt failed. The transport did not reach its destination* – przeczytał. – Ty czytaj, bo sam nie wierzę własnym oczom – poprosił Paulinę.

– Heiland der Welt? – Paulina wyrwała Igorowi dokument. I zaczęła głośno czytać.

– „Z niepotwierdzonych danych uzyskanych w rosyjskiej strefie okupacyjnej (Stettin) – niemiecka operacja Heiland der Welt zakończyła się niepowodzeniem. Transport nie dotarł do miejsca docelowego.

Na temat tego, gdzie mogą się znajdować i czy w ogóle zachowały się pozostałości ZB ze Speck – brak danych.

Przypuszczalna lokalizacja na terenie portu (Stettin) – nie została potwierdzona.

Brak potwierdzonych danych przez jednostkę A.

Brak potwierdzonych danych z jednostki RAF Medmenham.

Z wywiadu w sowieckiej strefie okupacyjnej (Stettin) – Rosjanie w latach 45–51 nie prowadzili poszukiwań w rejonie portu (*bull's eye*)” .

– Co to jest do diabła? – Johann obszedł stół i stanął obok Pauliny. – O czym oni piszą?

Igor sięgnął po kolejną kartkę. Była pożółkła i miejscami nadpalona. Z jednej strony kończyła się poszarpanymi szerniałymi brzegami.

Lampa wisząca nad stołem zakołysała się, popchnięta niechcący przez Igora, a w jej świetle zatańczyła nagle cała chmura drobinek kurzu.

– *...du kleines Loch wir finden dich doch* – wydukał. – Co to znaczy? – Spojrzał na Johanna.

– Ty mała dziuro, i tak cię znajdziemy. – Johann parsknął nerwowym śmiechem. – Nie powiem, z czym mi się to kojarzy.

– A tu jest jeszcze jedna. – Jamie wziął do ręki kolejną spaloną kartkę. – *...liegt Gollnow im Dreck* – wyrecytował.

– Obrócimy Gollnow w perzynę – przetłumaczył Johann. – Co to jest Gollnow?

– Goleniów. – Igor odpowiedział automatycznie. Właśnie zwrócił uwagę na element, który zastanowił go na samym początku.

Obszedł pochylonego nad stołem Jamiego i chwycił zielony poczerniały chlebak.

Przecież to był ten chlebak, który robotnicy Pawelczyka znaleźli w wykopach po spichlerzach na Łasztowni. Kozik z emblematem firmy Bayer, nieśmiertelnik jakiegoś żołnierza z dywizji SS Frundsberg, IG Farben.

Przypomniał sobie rozmowę z Borolą. Rafał się dziwił, że w porcie znalazł się nieśmiertelnik tego esesmana. Co oni napisali w tym raporcie? Transport nie dotarł do miejsca docelowego...

– Co to jest Medmenham? – zapytał Paulinę. Miał wrażenie, jakby właśnie z trudem układał puzzle. – Skądś to znam.

– Wywiad RAF. Centralna Jednostka Interpretacji Materiału Fotograficznego – odezwał się nagle milczący dotąd Morten. – W Medmenham niedaleko Barlow.

– A skąd ty to wiesz? – Jamie spojrzał na niego nieufnie. – Ty podobno studiujesz coś z morzem, a nie militaria.

– A Unit A? – Igor, puszczając mimo uszu dociekania Jamiego, patrzył intensywnie na Mortena.

– Jednostka A? – Morten pokręcił głową. – Za mało danych.

Paulina z niedowierzaniem wpatrywała się w papiery.

– Myśleliśmy, że Heiland der Welt to tytuł obrazu Leonarda, a to jakaś szwabska operacja wojskowa. Kryptonim „Zbawiciel Świata”. Tu są nawet rozkazy, wszystkie z dopiskiem „tajne”. – Wzięła do ręki poślódkę kartki. – I przepustki.

– A ZB? – przeczytał Johann. – I Speck? Napisali: ze Speck, więc to chyba jakieś miejsce. Jest miejscowość o takiej nazwie?

– A tu jest coś po polsku. – Jamie podniósł kilka spiętych razem kartek.  
Paulina wzięła do ręki dokument.

– To zapis wspomnień jakiejś kobiety – stwierdziła. – W wieku jedenastu lat trafiła na roboty przymusowe do Marsdorf, Marszewa chyba, koło Goleniowa...

– „Pewnego dnia zapędziłam się za daleko w las i zauważyłam między drzewami jakieś kobiety wieszające coś na sznurach... Wszystkie miały ten sam zadziwiający czerwony kolor włosów, nie miały brwi ani rzęs, a ich twarze pokryte były okropnymi liszczami i wrzodami...”

I w tym momencie coś odblokowało się w pamięci Igora.

– Speck to nie miejscowość. – Miał zamęt w głowie. – To znaczy też i miejscowość. Teraz to Mosty koło Goleniowa. Stoi tam wielki pałac. Tuż przed wojną Niemcy wykupili ogromne ilości ziemi i lasów, głównie po dawnym majątku w Danowie i oficjalnie zbudowali tam fabrykę amunicji dla lotnictwa. Luftmuna...

– Lufthauptmunitionsanstalt Speck. – Paulina wygrzebała z pamięci pełną nazwę fabryki. – Czytałam o tym, kiedy pisałam artykuł o jednostce w Darłowie.

– Alianci nie znali jej położenia. A szukali jej przez całą wojnę i nigdy nie znaleźli. Była doskonale zamaskowana. Cały teren pokryty stalową siatką, na której rozpięta była roślinność. Gdzieś czytałem, że siatka szumiała na wietrze i miejscowi opowiadali sobie na ten temat mnóstwo tajemniczych historii. Alianci, nie mogąc jej znaleźć, zrzucali na Goleniów i Szczecin ulotki – *Speck, ty mała dziuro, i tak cię znajdziemy*. No i SS Frundsberg właśnie nadzorowało tam pracowników przymusowych.

– Jeśli ten transport był ze Speck, w takim razie... – odezwał się z namysłem Johann. – A FBI po wojnie tak mocno się interesowało portem w Szczecinie... To co to znaczy?

– Że transport zaginął gdzieś w Szczecinie. Pewnie odpłynął na jakimś statku – zawyrokowała Paulina. – Na tej budowie Igora znalazły się tylko szpargały jakiegoś żołnierza... – Nagle zamarła.

– A właściwie dlaczego alianci tak się interesowali tym zakładem? – dociekał dalej Johann.

Paulina sięgnęła nagle po raport FBI, który czytali na początku.

– *Bull's eye* – powtórzyła. – Oko byka. Boże! Oczywiście.

– Co oczywiście? – Zniecierpliwiony Jamie sięgnął po krzesło i usiadł na nim ciężko. – Już kompletnie się w tym pogubiłem.

– Wiem, co to było Oko byka. – Paulina oparła się o stół. – W czasie nalotu na Szczecin część dywizji dostała rozkaz bombardowania Łasztowni. Cel nazwano „Okiem byka”.

– A nalot był? – zapytał Johann i spojrzał na Paulinę i Igora, mimo że już wiedział, co odpowiedzą.

– W nocy z szesnastego na siedemnastego sierpnia czterdziestego czwartego roku – obwieścił Igor grobowym głosem. – I zaczął się o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści.

– Boże! – Paulina wyszarpnęła telefon z kieszeni i zaczęła gorączkowo coś przeglądać. – Trójkąt wyznaczony przez Heilanda, czyli katedra, straż portowa i diabelski młyn. Gdzie jest ta budowa, na której znalazły się te szpargały? – Wyciągnęła komórkę w stronę Igora. – Możesz pokazać?

– Ulica Zbożowa, spichlerz numer dwadzieścia sześć. – Igor wskazał palcem punkt na ekranie i zbladł. – W samym środku tego trójkąta.

– Ja już wiem, co znaczy Unit A – odezwał się nagle Morten.

– Jest za pięć dziewiąta! – Igor gwałtownie skoczył do drzwi. – Mamy trzydzieści pięć minut, żeby tam dojechać!

## Rozdział 39

Nad wyspą zapadł już zmrok. Od strony Odry słychać było rechot żab i szum rosnących nad brzegiem rosochatych wierzb. Gdzieś z zewnątrz dobiegł nagle dźwięk silnika. Szymon odwrócił się i wyjrzał przez okno. Za gęstym żywopłotem przesuwał się powoli jakiś samochód, którego światła przedzierały się przez gałęzie krzewów. Na chwilę pojawił się w wąskim prześwicie furty, przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał gdzieś nad samym kanałem.

Stare bordowe kombi. Opel chyba, o ile Szymon dobrze rozpoznał kształt. Ktoś z niego wysiadł i po chwili pchał już furtkę.

Rogala otworzył drzwi i wyszedł na ganek.

Zaskoczony, patrzył na idącą w jego kierunku postać.

– A co ty tutaj robisz? – zapytał.

– Nie sądziłem, że się tu zatrzymasz. – Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo. – Monika powiedziała, że jesteś w Poznaniu. Po drodze mam, to wpadłem, żeby zabrać tę twoją pompę i dać chłopakom do naprawy.

– Spoko. – Szymon machnął ręką, zapraszając mężczyznę do środka. – Dzisiaj tutaj przenocuję. Jutro rano jadę do Poznania. W domu miałbym cały wieczór na głowie dzieciaka. Chcesz piwo?

– No samochodu nie widziałeś? – Mężczyzna się roześmiał.

– Jedno piwo to nie alkohol.

– Nie wiem, co my zrobimy z tym gównem w porcie. – Rogala wyjął z lodówki piwo, otworzył je i podał koledze. – Jak sobie przypomnę, jak ta pinda z urzędu na mnie patrzyła, kiedy jej mówiłem, co możemy znaleźć w wykopach, to mnie szlag trafia! – powiedział ze złością. – Ale na spotkanie z tymi z Poznania się przygotowałem. Zobacz.

Pochylił się nad torbą i wyciągnął cienką teczkę oprawioną w plastikowe okładki.

– Co to jest?

– Wyniki skanowania georadarem 3D.

– Kiedy to zleciłeś?

– W zeszły piątek, jak mnie wyśmiali w urzędzie. A to jest niepodważalne. Wszystko widać. Platformę, aparat, zbiornik z tlenem. – Rogala rzucił teczkę na stół. – Jak im pokażę jeszcze te archiwalia, to nie będą mieli wyjścia, jak tylko wstrzymać robotę.

– Nie zapłacą nam wtedy.

– Wtedy akurat zapłacą. – Rogala się roześmiał. – Punkt ósmy umowy: nieprzewidziane wydarzenia naturalne, katastrofy geologiczne, pożary, powodzie i tak dalej.

Odwrócił się, żeby sięgnąć po butelkę piwa.

Pod ścianą, przy drzwiach, stał wielki łom.

Sam go używał niedawno, gdy pomagał Rogali rozpirzyć ten stary gołębnik jego dziadka. Idealnie się nadawał. Sześćdziesiąt centymetrów, dwa kilo wagi i zakrzywione zęby do wyciągania największych nawet gwoździ.

\*

Toyota z protestacyjnym chrzęstem żwiru wycofała się z podjazdu.

Johann wskoczył na siedzenie pasażera.

– Zostaw to Suzuki! – krzyknął do Mortena, który pobiegł w kierunku drogi. – Patrick po nie jutro przyjedzie!

Morten zatrzymał się gwałtownie i zawrócił. Złapał za drzwi toyoty i wskoczył na tylne siedzenie.

Po chwili Igor wyjechał na drogę i ruszył.

– Trójkąt z okiem w środku to symbol władcy wszechświata, zbawiciela świata! – Wrzucił trzeci bieg i zakręcił na drogę w kierunku centrum miejscowości. – Przez Dąbie będzie szybciej – rzucił, gdy zobaczył wzrok

Pauliny w lusterku. – Trójkąt to symbol ognia, ale także symbol promieniowania!

– Ta dziewczynka, która w czasie wojny widziała kobiety z fabryki. – Paulina trzymała się kurczowo oparcia fotela Johanna. – Boże, przecież one wszystkie miały te same objawy.

Igor zacisnął szczęki.

– Dwóch pracowników Rogali, którzy grzebali się w tych gruzach, wylądowało w szpitalu. To samo spotkało mojego studenta. A ja się dziwiłem, dlaczego ich przenieśli na hematologię. Tylko tam, na oddziale przeszczepu szpiku, mogli ich odizolować.

Igor wyjechał z Wielgowa, zakręcił na drogę do Dąbia i pomknął w kierunku lasu na horyzoncie.

– W dodatku niedaleko szpitala w Zdunowie jest stary nieczynny cmentarz. Chowano tam nieszczęśników z okolicznych wsi, którzy pomarli na choroby zakaźne, a także zmarłych w szpitalu na gruźlicę. Do tej pory ludzie boją się tam chodzić. Przecież Niemcy mogli tam chować zmarłych w wyniku tych eksperymentów.

– Jak to w ogóle możliwe, żeśmy się w to wpakowali?

– To ty nas wpakowałaś. Jak zwykle.

– Mówcie po angielsku, do diabła! – odezwał się Jamie. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Igora.

Paulina i Igor ze zdenerwowania mówili po polsku.

– Alianci nigdy nie odkryli Speck. Zbombardowali, i to kilkakrotnie, Peenemünde. To wtedy z Peenemünde ewakuowano kilka różnych zakładów i ośrodków badawczych nad bronią V-1 i V-2 i przeniesiono między innymi do Speck. Czytałem relację jakiegoś pracownika przymusowego. Opowiadał o Polaku, który z niemieckimi papierami dostał się do fabryki jako elektryk. Rzekomo widział pięć podziemnych kondygnacji.

– Alianci dowiedzieli się o operacji pod kryptonimem Heiland der Welt i za wszelką cenę starali się powstrzymać Niemców – dodała Paulina.

– Ale dlaczego czekali z tym, aż transport wjedzie do miasta? – zapytał Johann.



– Hiroszima? To byłby przecież koniec wojny. – Paulina syknęła niezadowolona, gdy Igor przemknął przez skrzyżowanie, nie zwalniając. – O rok wcześniej. Coś takiego w centrum niemieckiego miasta? W środku Europy?

– Czy ja się dowiem w końcu, o czym wy, do diabła, mówicie? – warknął Jamie. – I co to jest to cholerne Unit A? – Spojrzał ze złością na Mortena.

– Amerykańska jednostka specjalna wyznaczona do konkretnej misji – odpowiedział chłopak.

– Czyli?

– Poszukiwania wszelkich informacji na temat niemieckiego programu Uranverein. Misja Alsos.

– Ja jestem księgowym, skąd mam wiedzieć, co to znaczy? – parsknął rozzłoszczony Jamie. – Poza tym skąd ty tyle wiesz na ten temat?

– Tak naprawdę studiuję w szkole oficerskiej – mruknął Morten. – Jutro wam wszystko opowiem, obiecuję – dodał, widząc pytające spojrzenie Johanna. – Tylko to nie jest takie proste. Może mnie szukać policja.

– Co takiego?! – Johann odwrócił się gwałtownie. – O czym ty mówisz?!

– Po kolei! – wrzasnął nagle Jamie. – Jak mówiłem, że to bandzior, to nikt mi nie wierzył. Teraz chcę się wreszcie dowiedzieć, o czym wy, do diabła, tu mówicie?!

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w Centralnym Archiwum Wojskowym w odtajnionych wówczas materiałach znaleziono dokument z pięćdziesiątego trzeciego roku o nazwie „Wykaz obiektów opuszczonych i niewłaściwie zagospodarowanych”. – Igor spojrzął w lusterko. – Znalazło się tam dziwne sformułowanie, które potem wojsko starało się bagatelizować. Generalnie przyjęli strategię, że to był błąd w druku. W dokumencie bowiem ośrodek w Speck określono jako „Podziemną fabrykę amunicji, w której prowadzono doświadczenia nad bronią atomową”.

– Co takiego?! – Jamie złapał oparcie fotela Igora i spojrzął z niedowierzaniem w lusterko.

– Amerykanie z Alsos w czterdziestym piątym roku odkryli w Haigerloch w Badenii-Wirtembergii porzucony, ale nieukończony reaktor jądrowy – odezwał się Morten. – Na tej podstawie potem twierdzono, że Niemcom nie udało się przeprowadzić kontrolowanej reakcji jądrowej. Byli wprawdzie zaledwie o krok od celu, ale nie zdążyli.

– Tymczasem dokładnie takie samo urządzenie, okrągły żelbetowy silos, znajduje się do dzisiaj w Mostach – powiedział Igor. – Niemcy początkowo swoją technologię jądrową oparli o ciężką wodę. Przejęli zakłady chemiczne Norsk Hydro przy ogromnej hydroelektrowni w Vemork w Norwegii, gdzie znajdowały się największe na świecie zapasy tlenu deuteru, niezbędnego w tej technologii do przeprowadzenia syntezy jądrowej.

– Był nawet taki angielski film – odezwał się Johann. – Alianci zbombardowali ten zakład i zniszczyli zapasy ciężkiej wody, aby uniemożliwić Niemcom zbudowanie bomby atomowej. Niemcy potem ewakuowali pozostałe zapasy ciężkiej wody kutrem, ale norwescy partyzanci wysadzili go w powietrze.

– Według niektórych specjalistów od drugiej wojny część tych zapasów jednak przetrwała i trafiła na początku czterdziestego czwartego roku do jakiegoś ośrodka badawczego na północy Niemiec. – Igor znów popatrzył w lusterko. – Co było dalej, to chyba się domyślasz?

– Więc ta cała operacja Heiland der Welt, ten transport, to była...

– Pierwsza w historii bomba atomowa, która miała rzucić świat na kolana i uratować Niemcy przed klęską – dodała Paulina, konstatując jednocześnie, że te słowa wypowiedziane na głos brzmią jeszcze bardziej absurdalnie niż powtarzane w myślach.

– Prawdopodobnie ten zaginiony konwój przewoził ją na poligon – dodał Igor.

– Uważaj! – krzyknęła Paulina, gdy Igor odwrócił się na chwilę, a jakiś samotny van zaczął zjeżdżać nagle na jego pas.

Igor gwałtownie skręcił i odprowadzając samochód głośnym klaksonem, pomknął w kierunku ronda przed wjazdem do Dąbia.

– Ten zaginiony konwój jechał prawdopodobnie do portu, a stamtąd ładunek dalej miał płynąć statkiem. – Igor zjechał z ronda i wrócił do tematu. – W czasie tej samej nocy bowiem alianci zatopili pewien tajemniczy statek transportowy Arturshof. W pięćdziesiątym roku Polacy go wydobyli. Data może pośrednio wskazywać na wzmożone w tym czasie zainteresowanie tematem CIA. I okazało się, że na pokładzie było trzydzieści osiem dwumetrowych słupów grafitowo-węglowych i trzysta kilogramów prasowanego grafitu.

Jamie pochylił się między fotelami i z taką miną, jakby dopiero teraz dotarło do niego to, o czym mówili od dwudziestu minut, spojrzał z przerażeniem na Igora.

– Czyli chcecie powiedzieć, że w tych wykopach na twojej budowie jest...

– Niemiecka bomba jądrowa – przytaknął Igor. – *Zerlegungsbombe*. ZB. Niemcy początkowo mówili o niej bomba rozpadowa. „Zbawiciel świata” Hitlera.

– Ale jak ona się znalazła w tych lochach?! Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia – przyznał Igor.

– I co ma z tym wszystkim wspólnego ten cały Hirszfeld? O co mu chodzi? – Jamie patrzył z niedowierzaniem na Igora. – Chce zniszczyć miasto?

– Nie mam pojęcia – powtórzył Igor. – Ale jeśli o pierwszej trzydzieści zdetonują ładunki na Łasztowni, to Szczecin przestanie istnieć.

Plac przed katedrą wypełniony był tłumem ciekawskich. Cały kwartał, który zajmowała katedra, oddzielały ustawione wzdłuż Wyszyńskiego, Grodzkiej, Staromiejskiej i Sołtysiej kordony policji i straży miejskiej.

Na zieleńcu przy placu Orła Białego, na kładce nad Wyszyńskiego i na balkonach okolicznych domów już od dwudziestej pierwszej gromadziła się znowu widownia.

Ostatnia z diabelskich godzin, wyznaczonych trójkątem Heilanda, była ostatnią szansą na ekscytujące widowisko.

W rzeczywistości mało kto chyba wierzył, że wieża katedry runie. Ekspertyzy, dziesiątki wywiadów z inżynierami, architektami i rzeczoznawcami od statyki budowli, które przetoczyły się w ciągu ostatnich dni przez media, zupełnie taką ewentualność wykluczały.

Ale nadzieja umiera wszak ostatnia.

Taki zjadliwy komentarz wygłosiła właśnie stojąca na chodniku pod hotelem Campanille, czerwonowłosa Patrycja z portalu Szczecin & LeftSide, która na żywo nagrywała właśnie relację z tych wydarzeń.

Skończyła mówić i teatralnym gestem wyciągnęła rękę w kierunku zegara na wieży katedry, który wskazywał właśnie dwudziestą pierwszą dwadzieścia pięć.

Toyota przemknęła Gdańską koło elektrowni Dolna Odra i nie zwalniając, zjechała na lewy pas.

– Dzwoniłeś w ogóle na tę budowę? – zapytał Johann.

– Dziesięć razy! – Igor wskazał brodą panel na tablicy rozdzielczej. – Nikt tam nie odbiera, ale nie ma się co dziwić.

– Czy to wszystko jedno, jak te ładunki miałyby być rozłożone? – Paulina, która przez chwilę intensywnie nad czymś się zastanawiała, spojrzała nagle na Igora z namysłem. – W sensie, żeby wzbudzić tę bombę?

Igor spojrzał w lusterko i nagle gwałtownie przyhamował.

– Boże! Rzeczywiście! Oczywiście, że nie. To są małe ładunki. Ale... Masz rację. To trzeba byłoby umiejętnie rozmieścić. Policzyć najlepiej. A jeszcze lepiej mieć skan z georadaru.

– W jaki więc sposób Hirszfeld, robotnik budowlany, miałby to zrobić?

Telefon Pauliny zaczął nagle dzwonić.

– Halczyszyn. Chryste! Co ja mam jej powiedzieć? Że gdzie my niby jesteśmy? Mieliśmy tam na nich czekać!

– Powiedz, żeby kazali zatrzymać białą navarę! To ten samochód był przy garażu, jak siedzieliście w piwnicy! I na pewno jest w nim Piotr!

– Skąd wiesz?!

– To samochód Rogali! Zabrał zwłoki i Piotra, mam nadzieję, że jeszcze żywego. Podrzuci je gdzieś na Łasztowni albo jeszcze lepiej – zostawi samochód i odjedzie innym, a dowody zbrodni wyparują.

Paulina przez moment wpatrywała się w Igora szeroko otwartymi oczami, po czym odebrała telefon. Igor przemknął mostem nad Parnicą. Na zegarze na tablicy rozdzielczej była dziewiąta dwadzieścia cztery.

Toyota skręciła na Władysława IV, podskakując na wybojach, przeleciała pod estakadami Trasy Zamkowej, minęła namiot opery i z piskiem opon skręciła w Zbożową.

– Biała navara. – Paulina gorączkowo powtarzała komisarz Halczyszyn. – Tak! Biała navara! Wewnątrz ktoś był! Zakneblowany i związany. Skąd wiem? Bo słyszałam, jak jęczał. Proszę jak najszybciej coś zrobić!

Igor zahamował przy metalowych panelach ogrodzenia i wyskoczył z samochodu. Przed bramą prowadzącą na teren budowy stał zaparkowany samochód straży miejskiej. Jeden ze strażników był oparty o maskę, drugi siedział na przednim siedzeniu z nogami na chodniku.

Gdy Igor szarpnął za blaszaną bramę, obaj na moment znieruchomieli, a następnie rzucili się za nim w pogoń, krzycząc, żeby się zatrzymał.

Igor wpadł na ogrodzony plac. Fundamenty środkowego spichlerza były nakryte brezentowym namiotem. Pod samym ogrodzeniem, po drugiej stronie, schowani za ustawionymi panelami ochronnymi stali budowlańcy. Igor zobaczył menadżera z Poznania, wąsatego inspektora z urzędu miasta i Pawelczyka.

Pawelczyk trzymał w rękach małą skrzynkę, która wyglądała jak panel zdalnego sterowania modelem samolotu. Gdy zobaczył biegnącego w jego kierunku i machającego rękami Igora, ze zdziwienia otworzył szeroko oczy.

– Stop! – wrzeszczał Igor. – Nie ruszaj tego!

Czy dlatego, że miał na uszach słuchawki i nie słyszał Igora, czy dlatego, że czasem w trakcie wykonywania jakiejś czynności trudno od razu zareagować manualnie, Pawelczyk przesunął mały dźwójstik.

Stało się.

## Rozdział 40

WTEDY...

**P**ięć minut przed tym, jak w mieście zawył *Voralarm*, a na niebie pojawiły się setki bombowców, konwój mijał właśnie pierwsze spichlerze przy ulicy Zbożowej, w których mieściły się magazyny kupieckie, hurtownie i domy mieszkalne, adaptowane w dawnych garbarniach fabrykantów skór. A zaraz potem nowe ceglane magazyny *Pommersche Provinzial-Zuckersiederei* i zachowane spichrze, w których nadal, tak jak w zamierzchłych czasach, przechowywano zboża, sól lub inne dobra. W jednym mieścił się kiedyś skład sprowadzanego z Gotlandii kamienia wapiennego, w innym magazynowano żelazo.

Gdy zawył alarm, motocykle i dwa blitze z żołnierzami SS mijały właśnie magazyny pomorskiej Spółki Handlu Morskiego. Przyśpieszyły i znalazły się na wysokości, przerobionego na początku wieku na skromne mieszkania, spichlerza numer 27.

Bomba spadła prawie dokładnie na samochody.

Wybuch zniszczył stojące na nabrzeżu drewniane składy, ściana spichlerza runęła, odsłaniając żelbetowe stropy, a dwie ciężarówki wyleciały w powietrze. Zaraz potem spadły bomby zapalające, a huragan ognia zmiotł drewniane dachy budynków i przetoczył się po ulicy, pożerając ocalałych żołnierzy na motocyklach i wciągając w ogień wszystko w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Kolejne bomby zrujnowały budynki pomorskiej spółki cukrowniczej i domy mieszkalne przy Władysława IV. Pancerny samochód z działkiem lotniczym zatrzymał się gwałtownie, a następnie wjechał pomiędzy zgliszcza baraków, próbując przedrzeć się dalej nabrzeżem nad samą Odrą.

Kolejna bomba wyrzuciła w powietrze stojące przy nabrzeżu kutry i handlowce, a wóz pancerny wylądował w Odrze, na którą alianci zrzucali bomby benzolowe, zamieniając ją w płynącą rzekę lawy.

Nad miastem ryczały silniki angielskich lancasterów i amerykańskich latających fortet. Bomby, które cały czas spadały na Łasztownię i port, nie oszczędziły Starego Miasta.

Dziewiętnastowieczne kamienice, barokowe pałace miejskie, renesansowe dwory pomorskich rodów w jednej chwili zamieniły się w zgliszcza. Setki lat trwania kamiennych portali, ceglanych sklepień, marmurowych posadzek, mozaikowych parkietów przerwały dwadzieścia dwie minuty piekła. Koronkowy świat kryształowych luster, dębowych ram portretów, złożonych i inkrustowanych stołów i sekreter, krzeseł i średniowiecznych zydl skończył się tak, jakby nigdy nie istniał.

Płonął nawet bruk. Ogień, który trawił drewniane dachy, całe budynki i kwartały ulic, zlewał się w ocean płomieni i wysysał z powietrza tlen. Na wąskich ulicach powodowało to burze ogniowe, trąby gorącego powietrza, wirujące z ogromną prędkością i wciągające w ogień wszystko, co znalazło się na ich drodze. Między innymi setki ludzi.

Na fragmencie ocalałego chodnika, tuż obok dwóch renesansowych spichlerzy, z wolutowymi szczytami, pamiętającymi ostatnich Gryfitów, rzeźbionymi nadprożami i ogromnymi bramami, obok których wały się teraz sterty żelastwa i płonącego drewna, została ocalała ciężarówka. Na jej platformie wciąż znajdował się dwutonowy ładunek.

Jedna z bomb zapalających spadła kilkadziesiąt metrów przed ciężarówką, wzbudzając tsunami ognia, które ruszyło prosto na skamieniałych z przerażenia, uwięzionych w szoferce esesmanów z dywizji SS Frundsberg.

Kilkanaście metrów przed nimi ziała otwarta brama spichlerza numer 26.

Kierowca wcisnął pedał gazu i ogromny samochód ruszył z rykiem w kierunku wieży.

Wdarł się do środka, rozwalając renesansowe ościeżnice i fragment szesnastowiecznych murów, a zaraz za nim ulicą przewaliła się ściana ognia.

Stary spichlerz miał lochy. Trzymano tam niegdyś beczki ze smołą albo winem lub czymkolwiek, czym akurat handlowano. Ciężarówka zatrzymała się, uderzając w filary podtrzymujące strop nad parterem, na moment znieruchomiła, po czym nagle zwały się na nią belki i ściany piętra, wraz z pozostałościami spalonego dachu.

Sklepienia nad lochami nie wytrzymały długo.

Zanim któryś z żołnierzy zdążył sięgnąć do klamki, gruchnęły kilka metrów w dół, grzebiąc ciężarówkę i jej dwutonowy ładunek.

Tymczasem Szczecin, taki jaki był przez kilkaset lat swojej historii, przestał istnieć.



## Rozdział 41

**C**óż mogło być wspanialszego niż unicestwienie całego wielkiego miasta? Z czym mogłoby się to równać? Ogromne mrowisko tysięcy malutkich ludzi, pochłoniętych swoimi sprawami, swoimi problemami. Tysiące firm i zakładów, których pracownicy z mozołem układali chodniki, budowali kolejne szpetne apartamentowce, sadzili kolejne magnolie i japońskie wiśnie Kanzan, że niby takie szczecińskie. Te mrówki, tak pochłonięte swoimi sprawami, swoją codziennością, biurami, szkołami, przedszkolami, sadzeniem żywotników Szmaragd obok szeregowców za pół miliona, z kredytem na resztę życia, że zapominały o tym, żeby żyć.

Gdy pierwszego lipca Pawelczyk pokazał im te cholerne betonowe czopy, którymi po wojnie zalano wszystko w porcie, był tak samo wściekły jak Szymon. Załamał go ten pech, a to, że tracili właśnie kontrolę nad terminami, finansami, doprowadzało go do obłędu.

Ale gdy dwunastego lipca, w piątek, Szymon pokazał mu stare papiery, które wyciągnął z rumowiska jeden z tych tępaków, poczuł intuicyjnie, że to jest to, na co czekał całe życie.

Jeszcze wtedy nie wiedział, jak bardzo niszczące było to, co odkryli w ruinach spichlerza, ale wówczas wystarczała mu sama myśl, że jest w ogóle coś, co jest w stanie zmienić bieg rzeczy.

Gdy w poniedziałek Rogala wpadł w panikę, zaczął przekonywać wszystkich wkóło, że muszą wstrzymać prace, sam dyskretnie zadzwonił do urzędu i pogadał z kolegą, że jego wspólnik gra z nimi nieczysto, a on nie chce mieć z tym nic wspólnego.

W środę Szymon zdecydował się jechać do Poznania. Zabrał ze sobą wszystkie papiery, które traktował jak relikwie. Właściwie to sam zaczął wtedy wątpić, czy Rogalę tak fascynuje ta sprawa, czy bardziej jest przerażony jej konsekwencjami.

Wiedział, że Rogala pojedzie na wyspę, bo go śledził. Los sam wszystko mu ułatwił.

Jeszcze w czwartek i sobotę napisał z telefonu Rogali jakieś bzdury do Moniki, ale policja i tak ją olała, założywszy, że facet od niej zwiął.

Ten cały diaboliczny plan był taki ekscytujący. Jakie to wszystko było proste, kiedy się miało świadomość, że każdy błąd, niedokładność czy ślad i tak wymaże ostatecznie Zbawiciel Świata. Ale bawiło go, jak pod wpływem jego listów ludzie zaczynają nagle działać. Pisać te durne artykuły, główkować, co może znaczyć kod z głupiej gry, co mają wspólnego zamachowcy z obrońcami zieleni i czy hibiskus przynosi pecha.

Byli jak te mrówki, które zaczynały się uwijać wokół wrzuconego w środek mrowiska kamienia, żeby uporać się ze skutkami, nie mając żadnej świadomości tego, że nie są panami własnego losu.

Ludzie są tylko trybikami, które można przesuwać do woli i zmuszać, żeby robili wszystko, co zechce, i tańczyli tak, jak im zagra.

Popełnił tylko jeden błąd.

Gdy Rogala pokazał mu wyniki z georadaru, rzucił je potem na stół.

Zabrał wszystko i tylko o tej teczce zapomniał. Złała się z kilkoma innymi z budowy, które Szymon tam trzymał.

Przypomniał sobie o tym dopiero, gdy Monika zadzwoniła, że musi jechać na wyspę, bo może tam ukrył się Szymon. W środku nocy, debilka. Chociaż obiecał jej, że pojedzie tam rano i wszystko sprawdzi, doskonale wiedział, że ona nie odstąpi. Znał ją dobrze.

A ponadto bał się, że jednak zostały tam jakieś ślady.

Pojechał więc i wymienił kłódkę.

I to był jedyny błąd, który popełnił.

\*

Igor zamarł w pół kroku, chyba nawet z uniesionymi do góry rękami. Nie był tego potem pewny. Pawelczyk patrzył z głupią miną to na niego, to na trzymane w rękach pudełko.

– No znowu, kurwa! – warknął w końcu. – Cały czas coś, kurwa, nie kontaktuje! Panie Igorze, co się dzieje?! Co pan tu robi? – powiedział do oszołomionego Igora, a potem odwrócił się i ryknął: – Kabel! Kabel, kurwa! Znowu nie działa! Ile razy to kurewstwo można naprawiać!

– Może fazy nie ma? – zaryzykował jeden z robotników, patrząc ze strachem na majstra.

W tym momencie dwóch ochroniarzy dopadło Igora. Jeden złapał go za ramię i zaczął ciągnąć w kierunku wyjścia. Igor był tak zdenerwowany, że nawet nie protestował.

– Zostawcie tego pana! – wrzasnął Pawelczyk. – To architekt! Do diabła! I wynosić się stąd! Nie widzicie, że tu roboty strzałowe są robione?!

– Tak to my będziemy to robić do rana – jęknął menadżer z Poznania i usiadł zrezygnowany na stercie jakichś desek.

W tym momencie gdzieś na bulwarze rozległy się sygnały policji, straży pożarnej i każdej ze służb, do jakiej udało się dodzwonić Paulinie.

Po chwili zza metalowych ogrodzeń doszły okrzyki i nawoływania, a na plandece nad wykopami i na twarzach skonsternowanych budowlańców pojawiły się pomarańczowo pulsujące światła.

Igor ocknął się w końcu, podbiegł do zdumionego Pawelczyka i wyrwał z jego rąk pudełko.

– Pan to da!

– Ale co tu się dzieje?!

Tymczasem tuż obok budowy, na parkingu, na którym stało kilka samochodów ekipy budowlanej, inspektorów nadzoru i przedstawicieli inwestora z Poznania, Paulina zobaczyła nagle białego pick-upa.

– To ta navara? To ten samochód! – krzyknęła i ruszyła biegiem w kierunku nissana.

Na parking wjeżdżała właśnie, rycząc syreną alarmową, ciężka scania straży pożarnej, a za nią dwa samochody policji.

Morten, który pobiegł za Pauliną, wyprzedził ją i dopadł paki nissana jako pierwszy.

Gdy uderzył w nią ręką, ze środka dobiegł czyjś jęk.

– Piotr! – Paulina przyłożyła głowę do obudowy bagażnika. – Piotr!

– Jak jest zakneblowany, to raczej ci nie odpowie – krzyknął Johann. Złapał za bagażnik i szarpnął z całej siły.

Z wnętrza dobiegł głośniejszy jęk i ktoś zaczął się szamotać.

Z wozu strażackiego wysiadło akurat trzech strażaków i zdezorientowani rozglądali się dookoła. Jeden z mężczyzn miał przytroczony do pasa toporek.

Morten rzucił się w jego kierunku i zanim strażak zdążył zareagować, wyrwał mu go i ruszył biegiem do samochodu. Strażak z krzykiem pobiegł za nim.

Po chwili Morten wsadził toporek pod klapę bagażnika i z całej siły szarpnął.

– O Chryste! – Strażak, który miał właśnie rzucić się na Mortena, żeby wyrwać mu swój sprzęt, stanął jak wryty, ze wzrokiem utkwionym w bagażniku.

Szamocząc się na boki, leżał tam zakneblowany i wytrzeszczający oczy w krańcowym przerażeniu chłopak, a obok niego związane i powoli roztopiające się zwłoki.

Tłum ludzi pod katedrą, gdy minęła dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć i nic się nie stało, powoli zaczął się rozchodzić. W kordonie policjantów i straży miejskiej w pewnym momencie zapanowało jakieś zamieszanie, a dowódcy zaczęli odbierać telefony od przełożonych. Czerwonowłosą Patrycję nawet przez chwilę zastanowiło, dlaczego nagle kilka samochodów w pośpiechu odjechało, nie włączywszy syren, ale stwierdziła w końcu, że po prostu oddalili się do zaniedbanych na rzecz zamachu w katedrze obowiązków. W końcu złodzieje i różnej maści psychole nie zawiesili roboty na kołku tylko dlatego, że miał być jakiś zamach.

Ekipa portalu zaczęła ładować sprzęt i tak jak inne grupy dziennikarzy wokół odjechała po chwili do redakcji lub domów.

Tymczasem zamieszanie na Łasztowni, mimo prób utrzymania wszystkiego w tajemnicy, zaczęło dopiero rosnąć. Ekipa policyjna z lekarzem sądowym i prokuratorem dotarła na miejsce pół godziny po niedoszłym wybuchu, osobno trwało dochodzenie w sprawie ładunku, który rzekomo znajdował się w zabetonowanych lochach spichlerza, przyjeżdżały wciąż nowe służby w miarę zaostrzania się sporów kompetencyjnych.

Przesłuchania wszystkich zamieszanych w tę sprawę trwały prawie do północy. Gdy Paulina i reszta dotarli na pokład Pandory, była dwunasta czterdzieści.

Igor nalał sobie od razu całą szklanekę whisky, dorzucił garść lodu i opadł na sofę. Miał wrażenie, że głowa mu pęknie.

– Przecież my się stąd przez miesiąc teraz nie ruszymy? – wstrząśnięty Dermot usiadł obok niego, wpatrując się przerażony w Johanna i Paulinę, którzy skończyli właśnie zdawać wszystkim relację.

– Będą was przesłuchiwać w nieskończoność. – Alice westchnęła. – Raz morderstwo, a dwa to coś, co nawet nie wiem, jak skomentować.

– Nie mogą nas zatrzymać! – Johann przeszedł się po pokładzie. Był wciąż bardzo zdenerwowany, emocje dosłownie w nim buzowały. – Jutro będziemy musieli powiadomić konsula.

– A co z Piotrem? – Gwen wymacała fotel i usiadła. – Nic mu nie jest?

– Zabrali go do szpitala na wszelki wypadek, ale wszystko jest w porządku. – Paulina odetchnęła i podeszła do barku. Też potrzebowała alkoholu, najlepiej w dużej ilości.

Grupa, która miała wejść na najniższy pokład, składała się z trzech osób. Wślizgnęli się bezszelestnie na statek, a następnie przy samych ścianach dolnej ładowni przemknęli do wnętrza. Był tutaj tylko jeden człowiek. Jeden ze stewardów. Nie zdążył się nawet odezwać, a wylądował skuty na podłodze.

Trzech innych policjantów przedostało się od strony zewnętrznej na korytarz przed mostkiem. Plany jachtu, które przekazała stocznia, pozwoliły uniknąć kamer.

Z kapitanem tak łatwo nie poszło. Gdy zobaczył dwie zamaskowane, ubrane na czarno sylwetki, skoczył jak lampart i bez trudu powalił na ziemię obu policjantów. Powstrzymała go dopiero czerwona plamka na czole i przyłożony do ust palec samej Jette Kjaer.

Igor chciał właśnie wychylić ostatni łyk whisky, gdy usłyszał dźwięk, którego nie pomyliłby z żadnym innym i który postawił mu wszystkie włosy na głowie.

Z dolnego pokładu kabinowego rozległ się nagle głośny krzyk jego matki. Wszyscy na moment skamienieli, po czym zerwali się ze swoich miejsc i stanęli ponownie jak wryci.

Na najwyższy pokład, cicho jak duchy, wskoczyło nagle pięciu zamaskowanych zbirów, wyposażonych w broń z celownikami laserowymi, i bez słowa wyjaśnienia powaliło Igora, Johanna i Patricka na ziemię. Dermot chciał się poderwać, ale skutecznie powstrzymał go przed tym ból w klatce piersiowej oraz wycelowana w środek czoła broń. Alice, Gwen i Paulina kompletnie zaskoczone nie były w stanie wydobyć z siebie głosu.

Jeden z napastników skinął na dwóch kolegów, którzy podeszli do schodów i stanęli, trzymając kurczowo broń.

Chwilę wcześniej Jette i dwóch policjantów przemykało właśnie przez korytarzyk do mesy na środkowym pokładzie, gdy drzwi jednej z kabin otworzyły się z impetem i stanęła w nich korpulentna kobieta w jasnym peniuarze.

Przez krótką chwilę obie panie mierzyły się wzrokiem, po czym pani Anna głośno wrzasnęła.

– To napad! Zamach! Na pomoc! To ci bandyci! – Gwałtownie cofnęła się do wnętrza kabiny, chwyciła dzbanek z wodą i rzuciła nim prosto w policjantkę. Dzbanek roztrzaskał się na ścianie, a na schodach na niższy pokład pojawił się nagle Morten. Jeden z policjantów, korzystając z chwili nieuwagi pani Fleming, wepchnął ją do kabiny i zatrzaskał. Po chwili rozległo się głośne walenie w drzwi i jej krzyki.

Morten wyszedł na korytarz i w geście kapitulacji podniósł obie ręce do góry.

Oczy Kjaer zrobiły się na moment wielkie jak spodki.

Dwaj funkcjonariusze, eskortując Mortena, wyszli na pokład zewnętrzny. Na bulwarze pod samym jachtem zatrzymały się z piskiem opon dwa auta. Z jednego wyskoczył Olsson. Morten w towarzystwie dwóch Polaków został odprowadzony do samochodu.

Wsiadając, na moment się odwrócił i zobaczył, jak z górnego pokładu całą scenę obserwuje oniemiała z przerażenia Paulina.

Pięć minut później Jette Kjaer, Olsson i trzech policjantów ze Szczecina stało na górnym pokładzie. Johann rozmasowywał sobie nadwerżony łokieć i rzucał wściekle spojrzenia stojącej przed nim kobiecie.

– Bardzo proszę o współpracę. Pan Carley pojedzie z nami złożyć wyjaśnienia. Do momentu, gdy nie powiadomimy państwa, nie możecie opuszczać pokładu.

– Wiedziałem, że to bandzior – odezwał się nagle Jamie. – Nikt mi nie wierzył. Ale co on takiego zrobił? Zabił kogoś?

Olsson i Kjaer spojrzeli po sobie.

– Uprzedzam panią, że odszkodowania, które Dania nam zapłaci, odbiją się na pani karierze. – Dermot nagle nabrał prawniczego chłodu. – Pan Carley nie złoży żadnych wyjaśnień, dopóki nie powie pani, co tu się stało, i dopóki nie pojawi się tutaj konsul.

Jette Kjaer przez dłuższą chwilę wodziła wzrokiem po twarzach wszystkich na pokładzie, jakby upewniając się, że rzeczywiście żadne z nich nie ma zielonego pojęcia, co właśnie się wydarzyło, po czym zdecydowała się zapytać.

– Pan naprawdę nie zdaje sobie sprawy, co tu się stało? – zwróciła się do Johanna.

– Nie zdaję! – Johann zaprzeczył z nieukrywaną złością. – I zanim złożę na panią oficjalną skargę w naszym konsulacie, chcę wiedzieć, z jakiego powodu aresztowaliście mojego marynarza?

– Nikogo nie aresztowaliśmy – zaprzeczyła Kjaer. – Nie mamy poza tym w Polsce takich uprawnień. Niemniej będziemy zmuszeni prosić państwa o wyjaśnienia...

– Na razie to ja żądam wyjaśnień! – przerwał jej Johann. – Poturbowaliście kapitana, trzymaliście na muszkach moich przyjaciół, a teraz zabieracie członka mojej załogi!

Kjaer ponownie wymieniła się porozumiewawczymi spojrzeniami z Olssonem.

– Dlaczego aresztowaliście Mortena?! – Paulina podeszła do Johanna. – Proszę to po prostu wytłumaczyć. Po tym wszystkim mamy chyba prawo wiedzieć, o co wam chodzi?!

Olsson prawie niezauważalnym gestem skinął głową.

Poczuł, że dostanie mu się za to w Kopenhadze, ale ci Bogu ducha winni ludzie rzeczywiście zasługiwali na jakieś wyjaśnienia.

Kjaer odetchnęła i spojrzała na Paulinę.

– To nie jest Morten Knut Haraldsson. Pan Haraldsson przebywa obecnie w Kopenhadze i staramy się wyjaśnić, co robił na Seszelach w pewnej prywatnej willi.

– To kim jest nasz Morten... – Johann zaplątał się. – To znaczy... Kto to jest?

– Maksymilian – Kjaer, jakby dla pewności jeszcze raz powiodła spojrzeniem po twarzach wszystkich obecnych. – Jego Królewska Wysokość Maksymilian, książę Danii.

Paulina, która nagle stwierdziła, że musi usiąść, potrąciła tacę ze szklankami i kieliszkami.

Łoskot tłukącego się szkła zabrzmiał niczym detonacja.



## Rozdział 42

*Bałtyk, pozycja 5438.18 N, 01546 E,  
23 sierpnia wczesnym wieczorem*

**M**orze było całkiem spokojne. Gładka jak stół granatowa płaszczyzna migotała w promieniach powoli zbliżającego się do horyzontu słońca. Na zachodzie niebo zaczynało zmieniać barwę. Na bezchmurnym błękitcie pojawiły się pierwsze żółte i pomarańczowe refleksy niczym maźnięcia pędzla na obrazie impresjonisty, a morze na samym brzegu widnokregu pociemniało granatowo.

Tę idylliczną scenę zakłócały trzy barwne plamy unoszące się na wodzie, a właściwie nieruchomo tkwiące w samym centrum obrazu. Gdyby obserwatorem wydarzeń był ktoś na południu, to na pierwszym planie widziałby spory statek z intensywnie czerwonymi burtami i zielonym owalem lądowiska dla helikopterów. Trochę dalej dryfowała biała jak śnieg Pandora, a na końcu widać było surowy szary kolor okrętu patrolowego Duńskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, który powoli, jak strzegący stada wilk, okrążał dwa pozostałe statki.

Pomiędzy tymi trzema jednostkami kołysała się na wodzie czerwona boja.

Gwen stała przed oszklonymi drzwiami oddzielającymi otwarty tylny pokład od zabudowanej części w jego centrum i poprawiała burzę brązowych loków, usiłując poskromić łaskoczące policzki pasemka.

– Jesteś pewien, kochanie, że to był dobry pomysł, żeby to przyjęcie robić na zewnątrz? – Odwróciła się do poprawiającego mankiety białej koszuli Johanna. – A jak będzie deszcz?

– Nie będzie żadnego deszczu! – Johann pokręcił niecierpliwie głową, nerwowo szarpiąc za rękawy granatowej marynarki. – Przecież mamy tutaj specjalistyczne serwisy pogodowe. Przez tydzień nie będzie wiało. Żadnych sztormów ani deszczu.

– No miejmy nadzieję. – Gwen westchnęła. – Inna sprawa, że największa mesa na Videnie wygląda jak ładownia na trawlerze.

– To akurat może byłoby i dobrze. Te sfery lubią pokazywać się na tle takich miejsc.

– A ty to niby jesteś jakie sfery? Johann Clarens Charles Carley, syn lorda Carleya! – z głębi pomieszczenia dobiegł niski poirytowany głos. – Nie mógł pan nas wcześniej w ogóle uprzedzić o tej całej szopce? Sir?!

Na końcu mesy szarpał się z zieloną koszulą Jamie, rzucając co chwila rozgorączkowane spojrzenia w kierunku okien, za którymi po horyzont ciągnęło się spokojne morze. – Jak można coś takiego wymyślić?

– Już chyba wszystkim naraz i każdemu z osobna mówiłem, że nic o tym nie wiedziałem! Do diabła! – Johann zaklął i złapał zębami za mankiet.

– Zostaw to, kochanie! – Gwen chwyciła go za nadgarstek i pochyliła się nad zapięciem.

– Ojciec mi to powiedział dopiero dwie godziny temu. – Johann spojrzał na przyjaciela. – Jesteś pewien, Jamie, co do tej koszuli?

– Nic innego nie mam, sir! – warknął Jamie. – Przyjechałem tu nurkować, a nie brylować w towarzystwie. Jak mogłeś tego nie wiedzieć? To w ogóle możliwe? Myślałem, że mają tam jakiś protokół spotkań i audiencji rozpisany na miesiące z góry. A poza tym po tych wydarzeniach w Szczecinie raczej spodziewałem się, że Dania wypowie wojnę Wielkiej Brytanii.

– No nie wiedziałem, do diabła! Ojciec mówił, że oni sami to wymyślili w ostatniej chwili, ale pewnie kręcił. Wiedział od początku, tylko najwyraźniej stwierdził, że nic się nie stanie, jak dowiem się jako ostatni.

– Nie wiedziałeś, a ten gajer to niby skąd tutaj masz? – Jamie obrzucił oskarżycielskim spojrzeniem granatową marynarkę Johanna. – Na oko widać, że to na takie okazje właśnie. I kosztowała pewnie tyle, co moje

roczne dochody. Zabrałeś ją ze sobą ot tak, przypadkiem? A ten kapelusz Gwendolyn?

– To ojca, gamoni! Trzyma tutaj całą garderobę na różne okazje. – Johann wyprostował ramiona, patrząc na zapięte w końcu mankiety. – Widać, że trochę za mała? – spojrzał na Gwen, która uśmiechała się z politowaniem do Jamiego.

– Jesteś wyższy niż ojciec – stwierdziła. – Ale teraz są modne takie przykrótkie marynarki.

– Kapelusz Gwen jest też twojego ojca? – Jamie nie dawał za wygraną.

– A czyj?! – warknął Johann i zamarł. – To znaczy... Skąd ty go wzięłaś tak w ogóle? – Spojrzał podejrzliwie na swoją dziewczynę.

– Z szafy twojego ojca – odpowiedziała Gwen spokojnie.

– Hmm... – Johann zmarszczył czoło. – Nie wiedziałem, że ojciec się z kimś spotyka.

Gwen niecierpliwie spojrzała na zegar wiszący na ścianie.

– Potem będziemy się nad tym zastanawiać, kochanie.

– Bo trzeba było zostać w normalnych łąkach. – Jamie wsunął koszulę w spodnie i poprawił pasek. – Po co my się tak przebieramy w ogóle. Kto to wymyślił?

– Jak to kto? – W drzwiach do mesy stanął wysoki, szeroki w ramionach brunet. – Rupert.

– Nie zaczynajcie tylko znowu tych bzdur! – rzucił Johann.

– Widziałeś, co on wyciągnął ze swojej szafy? Jakaś cholerną, szytą na miarę sportową marynarkę. Czy on nie może być sobie tym fotomodelem tylko w pracy? Musi bez przerwy?

– Chryste! – Johann wznosił oczy do nieba.

– Ta twoja koszula to rzeczywiście... – Dermot przejechał wzrokiem po brzuchu Jamiego. – Może jednak weźmiesz tę moją białą, którą ci dawałem.

– Jasne – odparł Jamie z irytacją. – Do kolan mi sięga! Jeszcze jak Gwen dałaby mi jakiś biały pasek, to wyglądałbym jak pielęgniarka.

– Mogę ci nawet oddać kapelusz ojca Johanna. Zrobisz piorunujące wrażenie. – Gwen uśmiechnęła się złośliwie do Jamiego. – Która godzina?

Powinni zaraz tutaj być.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa nad horyzontem pojawił się nagle malutki punkcik i szybko zaczął rosnać w oczach. Po chwili usłyszeli regularny warkot wirnika.

Śmigłowiec zatrzymał się nad dziobem czerwonego statku i powoli opuścił się na platformę lądowiska.

– Co tam się u was, do diabła, odpierdala?!

Paulina w pierwszej chwili, nie poznając głosu rozmówcy i nie podejrzewając nikogo ze znajomych o tak wyszukany sposób rozpoczynania rozmowy, chciała odrzucić połączenie. W ostatniej chwili coś ją tknęło.

– Paweł?

– A kto? Co ty mojego numeru już nie masz? No ja pierdołę, człowiek w szpitalu. Operacja, a tu się takie rzeczy dzieją!

Paulina oderwała na moment telefon od ucha i spojrzała na ekran, bo sama zwątpiła, czy przypadkiem rzeczywiście numer Pawła jej się w jakiś sposób nie skasował.

Komórki były obecnie zdolne do wszystkiego.

Ale wszystko było w porządku.

– Miałem dopiero co operację. Sylwia zabrania mi jakichkolwiek kontaktów z gazetą, żebym się nie denerwował, ale jak ja mam się nie denerwować, jak czytam takie rzeczy! Dzisiaj dostałem do rąk „Dziennik Szczeciński”. I widziałem tę relację spod katedry! Przecież, kurwa, z nas się już cała Polska śmieje! A potem zadzwoniłem do Baśki, bo odkryłem na swojej komórce dziesięć nieodebranych połączeń od niej.

– To już wiesz wszystko?

– Chciałem od razu dzwonić do Przeworskiej, ale Sylwia mi tu racjonuje liczbę połączeń.

– I ma rację. – Paulina mimowolnie się uśmiechnęła. – Powinieneś leżeć w spokoju.

– Wiem, że ty i Piotruś dostaliście robotę u Huberta. Już kończę, tak, już... – odgłosy w tle sprawiały wrażenie, jakby Pawłowi ktoś wyrywał komórkę. – Nie podpisuj żadnych umów! Ani ty, ani Piotr! Wracacie do mnie!

– Paweł, porozmawiamy, jak wyjdiesz ze szpitala! Muszę kończyć. – Paulina dostrzegła ponaglącego ją Igora. – Mam właśnie wywiad z następcą duńskiego tronu. Ma się ukazać w „Vogue” i „Cosmo”.

– Z kim?! Co ty gadasz?!

– Oddzwonię, słuchaj Sylwii!

Igor stał w progu z założonymi na piersiach rękami i uśmiechał się ironicznie.

– Niech się pani pośpieszy, pani Meghan. Książę nie będzie na panią czekał w nieskończoność.

Paulina otworzyła usta, żeby się zrewanżować, ale znowu zadzwoniła jej komórka.

– To Piotruś! – Zniecierpliwiony Igor wzniósł oczy do nieba. – Jedna chwileczka. Zaraz idziemy.

Pierwszy ponton dobił do najniższego pokładu załadunkowego statku bazy kilkanaście minut po tym, jak wirniki śmigłowca przestały się obracać. Dwaj marynarze pomogli Gwen, która jedną ręką przytrzymując kapelusz, z gracją weszła na pokład. Zaraz po niej znalazł się tam Johann.

Jamie wdrapał się po niskim wysuwającym trapie jako ostatni.

– Jak pogoda się zepsuje, to w tych łałkach będziemy wyglądać jak rodzina Addamsów – sapnął i złapał za reling.

– Zwłaszcza ty – zakpiła Gwen.

– Jak będziemy wracać, to będę miał to gdzieś. – Johann ostrożnie poruszył rękoma i westchnął z irytacją, patrząc, jak materiał napina się na ramionach. – A najpewniej zdejmę tę pieprzoną marynarkę już tutaj i wyrzucę za burtę.

– Twój ojciec na pewno będzie przeschęśliwy. – Jamie oparł się o balustradę i obserwował drugi ponton, który właśnie dobijał do pokładu.

– Patrick, zostaniesz tutaj z Harrym. – Johann zwrócił się do jasnowłosego chłopaka w białej koszuli z pagonami, który siedział w pontonie przy sterze i pogodnie uśmiechnięty wpatrywał się w Gwen. – Macie pilnować telefonów, żeby nie musiał was szukać, jak coś...

– Jak co? – Jamie odwrócił się i spojrzał na Johanna.

Johann wzruszył ramionami.

– Jak będą potrzebni. Na przykład Gwen zasłabnie i będzie trzeba ją natychmiast odwieźć na Pandorę.

– Prędzej ty zasłabniesz w tej przyciasnej marynarce niż Gwendolyn w kapeluszu.

Gwen obdarzyła obu panów pobłażliwym uśmiechem, nie zaszczycając żadnego komentarzem.

Z drugiego pontonu wysiadła najpierw Alice, z włosami związanymi w koński ogon, ubrana w prostą białą koszulę i spodnie khaki. Zaraz za nią wyszedł Rupert, a na końcu w pontonie został już tylko Dermot.

Przeskoczył przez ławeczkę i chciał wskoczyć na pokład, ale potknął się i wyłożyłby się jak długi, gdyby nie refleks Ruperta, który złapał go za ramię.

– Szlag by to trafił! – Dermot warknął i wyprostował się. – Dzięki.

– Nie ma za co. – Rupert błysnął zębami.

– Co to w ogóle za gówno? – Dermot ze złością spojrzał na szarobury kłęb skołtunionego materiału wystającego z dziobu pontonu.

– Przepraszam... – Harry z trudem ukrywał wesołość. – Dawno nie używaliśmy tego drugiego pontonu. To pokrowiec na skuter. Ktoś go tutaj upchnął. Nie zauważyłem go nawet.

– Alice. – Gwen zwróciła się do blondynki. – Mam dość tych naszych facetów. Proponuję zapytać, czy nie znalazłaby się dla nas tutaj jakaś kabina.

– Z piętrową koją i prysznicem połączonym z umywalką – mruknął kpiąco Johann.

– I z pisuarem – dodał Jamie.

Dalszą niezłe się zapowiadającą rozmowę przerwał oficer, który pojawił się w drzwiach prowadzących na wyższy pokład.

– Lady Gwen, sir Johann, sir Dermot, proszę państwa. – Oficer obrzucił wszystkich zaaferowanym i pełnym niepokoju spojrzeniem. – Bardzo proszę na górę. Tam już wszyscy czekają na głównym pokładzie.

– A oni. – Johann na wszelki wypadek ściszył głos – są już?

– Jeszcze są na górnym pokładzie z kapitanem, ale zaraz zejda. – Oficer wskazał ręką drzwi i niecierpliwie skinął dłonią.

Po chwili cała szóstka zniknęła na schodach.

Główny pokład, jeszcze mokry po świeżym zmyciu wodą, lśnił w promieniach zachodzącego słońca. Stało tutaj kilku marynarzy w galowych mundurach oraz grupa ubranych w cywilne ubrania mężczyzn, którzy zbici w mały tłumek cicho ze sobą rozmawiali.

– Sir Johann. – Jeden z naukowców, tęgi siwy mężczyzna, rozpromienił się na widok Johanna i ruszył w jego kierunku. – Już się bałem, że będę musiał pełnić honory gospodarza.

– Właściwie to chętnie je na pana zrzucę, profesorze Solberg.

– Mowy nie ma! – Mężczyzna roześmiał się, a następnie pochylił do Johanna i ściszył głos. – Czego oni właściwie tutaj chcą? Miał być tylko jakiś przedstawiciel dworu.

– To wizyta absolutnie kurtuazyjna. – Johann uśmiechnął się uspokajająco. – Pewnie nie mogli sobie darować takiej okazji, żeby pokazać się w prasie.

– Sądzi pan, że jest z nimi reporter? – przestraszył się Solberg.

– Fotograf, który jutro wypchnie kilka fotek do dzienników. Standard.

– Przepraszam państwa. – Profesor odwrócił się do pozostałej piątki. – Witam na pokładzie.

Nikt nie zdążył zareagować, bo na schodach prowadzących na najwyższy pokład rozległy się kroki. Jako pierwszy ukazał się ubrany w czarną koszulę i takąż marynarkę mężczyzna, który zszedł na dół i stanął dyskretnie przy ścianie. Gwar głosów ucichł i słychać było tylko szum morza.

Za plecami Johanna rozległy się znowu kroki i po chwili do całej grupy dołączyli poirytowany Igor i chowająca do torebki komórkę Paulina.

W drzwiach pojawił się wysoki szpakowaty mężczyzna z zaczesanymi gładko włosami. Zrobił krok w kierunku środka pokładu.

Zaraz za nim, ubrany w galowy granatowy mundur, zszedł kapitan Vestergaard. Widząc Johanna i Gwen, za plecami których tłoczyli się wszyscy pozostali, szybko podszedł i stanął pomiędzy nimi a uśmiechającym się skromnie mężczyzną.

Kapitan się uklonił.

– Wasza Królewska Wysokość, sir Johann Carley, główny organizator naszej operacji. – Wskazał dłonią Johanna.

Olsson otworzył drzwi przed Pauliną, skinął jej grzecznie głową i poczekał, aż wejdzie do środka.

– Wasza Królewska Wysokość – zwrócił się do stojącego tyłem młodego mężczyzny. – Pani Paulina Weber.

Księżę odwrócił się i uśmiechnął.

Był ubrany w białą koszulę i czarne spodnie. Ciemne włosy miał tym razem elegancko przycięte, ale nadal pozostały długie. Paulinie przeszło przez myśl, że to absurdalne, jak bardzo przypomina królewiczów z bajek Disneya.

– Wasza Wysokość. – Ukloniła się z uśmiechem.

Uprzytomniła sobie, że chyba powinna dygnąć czy coś, ale miała spodnie, a pamiętała, że chyba w spodniach się nie dyga.

– Nie wygłupiaj się. – Księżę wskazał jej ręką fotel, poczekał, aż usiądzie, i sam zajął miejsce naprzeciwko.

Olsson z kamienną twarzą stał przy wejściu i wpatrywał się w podłogę.

– Przepraszam za to wszystko. – Maksymilian uśmiechnął się ponownie, zakłopotany. – Nie sądziłem, że to zajdzie aż tak daleko.

– Kim jest Morten? – Paulina pomyślała, że trudno jest się jej przestawić. Kilka dni temu z tym siedzącym naprzeciw niej chłopakiem ukrywała się w piwnicy przed mordercą szaleńcem.



– To mój przyjaciel. Wpadłem na pomysł tej maskarady, gdy dowiedziałem się, że ma zamustrować na wasz jacht. Oczywiście wiedziałem o celu tej misji. Od babci. – Uśmiechnął się, a Paulina z dużym opóźnieniem uprzytomniła sobie, że chodzi o królową Danii.

– Musiałem go tylko przekonać, że trzy tygodnie w dacy moich rodziców, w której notabene nie byli od czterech lat, są równie fajne. A potem zrobiła się afera. Przez mamę, oczywiście. Najpierw sądzili, że ktoś mnie porwał. Potem, gdy natrafili na ślad Mortena, on stał się podejrzanym. Jest Szwedem i lewakiem, w dodatku skaleczyłem się w knajpie i pobrudziłem krwią jego kurtkę. – Książę się roześmiał. – I tak wpadli na wasz trop.

– A te rysunki? – Paulina się zaczerwieniła. Było, nie było, grzebali w jego rzeczach.

– Jesteś pierwszą dziennikarką, której udzielam wywiadu. – Książę podniósł wzrok na Paulinę. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak to jest. Zwłaszcza gdy ma się dwadzieścia cztery lata i masz ochotę robić same głupstwa.

– Takie jak ten pocałunek? – Paulina uśmiechnęła się z lekką ironią.

– To akurat była przyjemność.

Olsson, bez jednego mrugnięcia, uniósł brwi.

– Wiesz, że nie możesz o niczym napisać? W ogóle nie odwiedziłem Szczecina. Oficjalnie byłem gościem ekspedycji i brałem udział w poszukiwaniach wraku. – Maksymilian skrzywił się z niesmakiem. – Przykro mi.

– Jakoś sobie z tym poradzę.

Książę znowu się roześmiał.

Paulina wyciągnęła kartkę i spojrzała na długi zestaw pytań, które przygotowała sobie przed rozmową, a potem odłożyła je na bok i westchnęła. Pomyślała, że przecież mogą rozmawiać swobodnie.

Po dwudziestu minutach, gdy Olsson dał im dyskretny znak, że czas kończyć, wyłączyła dyktafon w komórce i spojrzała na Maksa z namysłem.

– Mam jeszcze jedno pytanie, Wasza Wysokość. To właściwie mały test – powiedziała zagadkowo. – Czy lubi pan kino?

– Oczywiście – potwierdził Maksymilian.

– Podróżował księżę po całej Europie. Które z odwiedzonych miast podobało się Waszej Wysokości najbardziej?

Maksymilian na moment się zawahał, jakby usiłował coś sobie przypomnieć, po czym uśmiechnął się łobuzersko.

– Każde jest dla mnie w jakiś sposób niezapomniane. Trudno mi... – przerwał. – Szczecin. Stanowczo Szczecin. Do końca życia niewątpliwie zachowam tę wizytę w pamięci.

# Epilog

WTEDY...

**D**wa miesiące po nieudanej operacji Heiland der Welt rozpoczęto likwidację leżącego w lasach pod Goleniowem ośrodka badawczego. Na początku października wyjechały stamtąd rodziny najwyższego kierownictwa oraz kadra naukowa. Na miejscu pozostał jedynie oddział wartowniczy SS.

Fiasko operacji nie powstrzymało Niemców przed dalszymi eksperymentami. Na początku października 1944 roku korespondent wojenny dziennika „Corriere della Sera” Luigi Rommersa, na polecenie Mussoliniego, został oddelegowany do Niemiec, żeby obejrzeć próby z „najnowszym materiałem wybuchowym o mocy, której nic nie będzie się w stanie oprzeć”. Rommersę przewieziono najpierw do Peenemünde, a stamtąd na jakąś wyspę na Bałtyku (do tej pory trwają spory, czy była to Rugia, czy też maleńka wyspa Greifswalder Oie na północ od Rugii). Wraz z niemieckim dowództwem Rommersa ulokowany został w żelbetowym schronie. Napisał później: „Najpierw pojawił się błysk i betonowa bryła bunkra zakołysała się. Pojawiło się oślepiające światło i potężna chmura dymu, która najpierw miała kształt kolumny, a w chwilę później gigantycznego kwiatu”.

O tym, że wybuch bomby na Rugii miał rzeczywiście miejsce, świadczą także zeznania wziętego do niewoli przez Amerykanów niemieckiego oficera i naukowca Hansa Zinssera, który zeznał, że dwunastego października z okien samolotu widział „silną, jasną iluminację całej atmosfery trwającą około dwóch sekund”. Później miała utworzyć się ogromna chmura dymu i kurzu, która miała kształt grzyba. Zinsser

wspominał także o powstałych wówczas zakłóceniach radiowych i elektrycznych.

Z połowy października pochodzi także notatka sztokholmskiego korespondenta gazety „Daily Mail” Waltera Farra, który napisał, że „Berlin milczy od sześćdziesięciu godzin. Stolica Rzeszy nie ma połączenia telefonicznego z resztą Europy”. W dalszej części relacji Farr podaje informacje o spóźnionym o kilka godzin samolocie do Sztokholmu, którego pasażerowie widzieli dziwne zjawiska nad północnymi Niemcami, a także informacje o tym, że brak połączeń telefonicznych mógł być spowodowany wybuchem bomby.

23 marca 1945 roku szef wywiadu wojskowego GRU pułkownik Iwan Iliczow złożył raport, który wywołał panikę w najwyższych władzach Związku Radzieckiego, w tym samego Stalina. Według raportu Niemcy na poligonie wojskowym niedaleko Ohrdrufu w Turynгии trzeciego i czwartego marca dokonali próbných eksplozji nuklearnych.

Czwartego marca 1945 roku Claire Werner, mieszkająca w zamku Wachsenburg, na zaproszenie swojego osobistego przyjaciela Hansa Rittermanna, pełnomocnika do spraw projektów specjalnych Poczty Rzeszy i Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, obserwowała z wieży zamkowej niesamowity eksperyment. O dwudziestej pierwszej trzydziestej „Niebo na zachodzie rozbłysło światłem tysiąca błyskawic. Eksplozja miała czerwony odcień w środku, a żółty na zewnątrz”.

Kilka dni po tych wydarzeniach zatrudniony w miejscowej firmie Brix robotnik Heinz Wachsmutt został oddelegowany do zadania powierzonego firmie przez SS. Wraz z innymi robotnikami na skraju lasu niedaleko Ohrdrufu mieli ułożyć stosy drewna. Wachsmutt zeznał później, że pod lasem leżała ogromna liczba ludzkich ciał i że od razu wówczas domyślił się, że są to zwłoki robotników przymusowych z niedalekiego poligonu. Nieszczęśnicy byli pozbawieni włosów, a na ich ciałach widać było pęcherze, oparzenia, a miejscami surowe mięso. Na każdym z kilkunastu stosów spalono około pięćdziesięciu ciał.

Następnego dnia Wachsmutt miał zobaczyć jeszcze bardziej wstrząsającą rzecz. Gdy układał kolejne bele drewna, „Z lasu wypełzło nagle kilkunastu

kompletnie zdeformowanych ludzi. Esesmani natychmiast ich zastrzelili, a ich ciała kazali od razu wrzucić na stosy”.

W lutym 1945 roku ośrodek koło Goleniowa został opuszczony. Najważniejsze obiekty oraz składy amunicji wysadzono w powietrze, a podziemne hale doświadczalne zalano wodą.

W marcu żołnierze wkraczającej na Pomorze Armii Czerwonej odkryli wypełniony wodą żelbetowy silos, który uznali za zbiornik przeciwpożarowy.

Od 1958 roku teren dawnego ośrodka jest w rękach wojska. Pomimo że znajduje się tutaj jedynie baza i skład materiałowy jednostki w Wałczu, obiekt nadal ma najwyższą rangę ochrony, a wstęp na jego teren jest możliwy jedynie za zgodą odpowiedniego ministra. Oprócz spekulacji i różnych teorii, które pojawiają się w rozmaitych artykułach i książkach na temat drugiej wojny światowej, prawdziwa historia tego miejsca nadal owiana jest tajemnicą.

# Podziękowania

Gdy skończyłem wreszcie zbierać materiały do napisania tej historii, gdy przeczytałem wszystkie ściągnięte z różnych archiwów stare artykuły i zamówione w księgarniach internetowych książki, był akurat koniec lata. Przyszedł czas na pisanie.

Prawdopodobnie każdy autor daje się uwieść pokusie wypowiedzenia się – przy okazji oczywiście – na temat tak zwanych aktualnych spraw, zajęcia stanowiska w jakichś ważnych społecznych kwestiach, czy napisania po prostu czegoś na tematy, którymi aktualnie żyją czytelnicy. Ja oczywiście, chociaż zawsze z tym walczę, także niezmiennie ulegam tej pokusie. Nie inaczej było i tym razem.

Przez portale internetowe, fora czytelników i łamy rozmaitych gazet przetaczały się wówczas burzliwe dyskusje na temat ocieplenia klimatu, niszczenia środowiska, wycinania lasów i oczywiście końca świata, który według szczegółowych obliczeń naukowców, niechybnie nastąpi za jakieś trzydzieści lat (licząc od końca tego lata, kiedy zacząłem pisać, bo jeżeli czytacie to trochę później, to czasu zostało oczywiście odpowiednio mniej).

Popierałem (i wciąż popieram) działaczy miejskich, organizacje ekologiczne, Gretę Thunberg i wszystkich, którzy przywiązują się łańcuchami do pni, żeby uratować życie jakiemuś biednemu drzewu.

Minęło pół roku, książka była prawie gotowa i wtedy wybuchła zaraza.

Nagle wszystkie inne tematy zeszły na plan dalszy, a czytelnicy rzucili się na *Dzumę* Alberta Camus.

Covid-19 oderwał wszystkich od codziennych spraw, wydawałoby się ważnych problemów i zatrzymał ludzi w domach. Gdyby ktoś pół roku wcześniej powiedział mi, że niedługo będzie trzeba chodzić po ulicach w maseczkach ochronnych, uznałbym to za idiotyzm. Nawet po tym jak w celach turystycznych wybrałem się jeszcze jesienią do Czarnobyła, gdzie paradoksalnie musiałem przecież chodzić cały czas w masce na twarzy.

I tak to właśnie jest z aktualnymi sprawami w dobie internetu, gdy sensacje, problemy, skandale z dnia na dzień tracą aktualność, a rzeczywiście ważne sprawy schodzą często na plan dalszy.

Rad nierad zatem, a był to koniec lutego, zabrałem się za wprowadzanie pewnych zmian do napisanych już sporych partii książki.

Dzięki zarazie jednak – zgodnie ze starą mądrością, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – udało mi się, po raz pierwszy od trzech kolejnych książek, skończyć pisanie w terminie. Czym najbardziej zaskoczyłem panią redaktor Małgorzatę Burakiewicz, która przez zarazę utknęła w Amsterdamie, i stamtąd przysłała mi gratulacje z powodu tego niebywałego sukcesu.

Ta książka wymagała przeczytania co najmniej kilku pozycji popularnonaukowych autorstwa Leszka Adamczewskiego, któremu, za owe pozycje będące kompendium wiedzy na temat tajemnic II wojny, jestem niezmiernie wdzięczny.

Za pomoc w kompletnie dla mnie niepojętych zagadnieniach medycznych chcę podziękować znajomemu lekarzowi, doktorowi Tomaszowi Płonce, który kilka razy na rozmowy ze mną zmarnował swój cenny wolny czas na dyżurze.

Tradycyjnie bratu Marcinowi za takie same jak zwykle absurdalne rozmowy, dzięki którym jednak wiele wątków w tej książce paradoksalnie zyskało na prawdopodobieństwie.

Olce, przyjaciółce z Berlina, ponownie dziękuje za pierwsze dobre słowa po lekturze skończonego tekstu.

Pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz za profesjonalną redakcję, dzięki której tę książkę w ogóle da się czytać. A także za czujne wychwycenie kilku przerażających błędów ortograficznych, które umiejętnie wplotłem w pierwotny tekst.

- [1] Raport Międzyrządowego Panelu do spraw Zmian Klimatu (*Intergovernmental Panel on Climate Change – IPCC*) przy ONZ, dotyczący ocieplenia klimatu o 1,5°C.
- [2] „Szczecin Floating Garden 2050” – Opracowana w 2007 roku strategia rozwoju miasta do roku 2050, opierająca się na koncepcji budowy nowej marki Szczecina z wykorzystaniem naturalnych atutów krajobrazowo-urbanistycznych.
- [3] Frakcja Czerwonej Armii (Rote Armee Fraktion), niemiecka organizacja terrorystyczna, zwana też Grupą Baader-Meinhof, od nazwisk dwojga przywódców, Andreasa Baadera, anarchisty i działacza kontrkultury, oraz Ulrike Meinhof, dziennikarki studenckiego lewicującego pisma „Konkret”. Początek działalności organizacji przypada na koniec lat siedemdziesiątych i okres protestów przeciwko wojnie w Wietnamie.
- [4] *God Save the Queen* – „Boże, chroń Królową” – hymn Wielkiej Brytanii.
- [5] ECDIS (Electronic Chart Display & Information System) – elektroniczna mapa do planowania trasy.
- [6] ZUT – Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie.



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz